

RIOT HOUSE

CROOKED SINNERS #1

CALLIE HART



CALLIE HART

RIOT HOUSE

CROOKED SINNERS #1

TŁUMACZENIE

PAULINA WIĘCEK

OŚWIĘCIM 2023

CHOMIKO_WARNIA

Tytuł oryginału

Riot House

Copyright © 2020 by Callie Hart

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Klaudia Zając-Kwiecień

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-546-5

SPIS TREŚCI

PROLOG

1

2

3

4

5

W CIEMNOŚCIACH...

6

7

8

9

10

11

W CIEMNOŚCIACH...

12

13

14

15

16

17

W CIEMNOŚCIACH...

18

19

20

21

22

23

24

W CIEMNOŚCI...

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

EPILOG

54

KSIĄŻKI AUTORSTWA CALLIE HART

ZAOBSERWUJ MNIE NA INSTAGRAMIE!

DEVIANT DIVAS

PODZIĘKOWANIA

Przypisy

Dla Gemmy i Kylie, dzięki którym nie zwariowałam.

Przynajmniej jeszcze nie do końca.

PROLOG

Nie mogłam się ruszyć nawet o centymetr.

Przedzierający się przez małe otwory okropny smród zgnilizny przyprawiał mnie o mdłości. Zwymiotowałam już cztery razy w ciągu... Nawet nie wiedziałam, ile czasu minęło. Ale nie to było najgorszą częścią tego koszmaru.

Największą grozę budziło we mnie to, że nie wiedziałam, kiedy wróci.

Noc przechodziła w dzień, dzień w noc, noc w dzień.

Moje skrępowane ciało było sine z braku dopływu krwi.

Pomyślałam, że mogę tu umrzeć.

Śmierć byłaby lepsza od tego, co czułam.

Jednak nie umarłam. Oddychałam dalej, niesiona na spirali coraz mniej zrozumiałych myśli, które finalnie przybrały formę tępego dźwięku.

Wszystko, co mi pozostało, to trwanie w wymuszonej pozycji.

Klęczenie i czekanie.

ELODIE

Kurwa, co za szczęście, że jest ciemno.

Nie ma nic gorszego, niż pojawienie się w nowej szkole w środku dnia.

Limuzyna trafiła na dziurę w drodze, przez co podskoczyło całe auto, a ja poczułam nadszarpniętą falę paniki – ot, automatyczna i niezbyt przyjemna reakcja po dwóch latach życia w strefie działań wojennych. I nie chodzi o to, że mój poprzedni dom znajdował się w Izraelu. Rzecz w tym, że mieszkał w nim również pułkownik Stillwater – mój ojciec, który lubił spuszczać mi łomot w czasie wspólnych treningów krav magi w każdy weekend.

Nadal się wzdrygałam, słysząc, jak ktoś odchrząkiwał. Gdy tak robił mój kochany tatuś, to zwykle oznaczało, że zaraz zostanę przez niego poniżona lub w jakiś sposób zawstydzona. Czasami potrafił zafundować mi obie te rzeczy za jednym razem.

– Wygląda na to, że zostawili dla panienki włączone światła, panienko Elodie – rzucił kierowca przez otwartą szklaną przegrodę, oddzielającą jego siedzenie od części pasażerskiej.

To były pierwsze wypowiedziane przez niego słowa, odkąd odebrał mnie z lotniska i zapakował na tyły czarnego, błyszczącego auta. Potem tylko wcisnął pedał gazu, żeby pomknąć na północ, w stronę Mountain Lakes w stanie New Hampshire.

Z ciemności wyłonił się budynek. Miał mnóstwo ostrych, kanciastych wieżyczek, przez co wyglądał jak architektoniczny twór rodem ze stronic tanich wiktoriańskich nowelek. Nie mogłam patrzeć zbyt długo na tę majestatyczną konstrukcję. Odwróciłam wzrok od okna. Skupiłam się na ulotce, którą rzucił we mnie pułkownik Stillwater chwilę przed tym, gdy bezceremonialnie oznajmił, że przeprowadzam się do Stanów Zjednoczonych. Bez niego. Wpatrywałam się w nią, dopóki imponująca fasada akademii nie zapisała mi się w pamięci.

Korty tenisowe.

Basen.

Sala szermiercza.

Salonik dyskusyjny.

Biblioteka upamiętniona w 1793 roku przez samego George’a Washingtona.

W teorii wszystko wyglądało pięknie. Potwierdzać miały to słowa ojca, który burknął tylko, wrzucając moją walizkę do taksówki: „Wszystko, co najlepsze dla Stillwaterów”. Wtedy zostałam wyrwana z dotychczasowego życia w Tel Awiwie.

Od razu wiedziałam, że te udogodnienia są tylko grą pozorów. To miejsce nie było zwykłą szkołą dla zwykłych dzieciaków. Zdawałam sobie sprawę, że jest to po prostu areszt udający placówkę edukacyjną. Dzięki niemu oficerowie armii, podrzucający tutaj swoje pociechy, mogli pozbyć się wyrzutów sumienia. W końcu Wolf Hall gwarantowało iście wojskowy nadzór.

Wolf Hall.

Jezu Chryste.

Nawet nazwa tej szkoły brzmiała, jakby należała do pieprzonego więzienia.

Uciekałam coraz bardziej w swój wewnętrzny świat, by nie dopuszczać do siebie tego, jak będzie wyglądać moja nowa rzeczywistość. Może i w Tel Awiwie nie mogłam się pochwalić jakąś szczególną popularnością, ale miałam tam przyjaciół. Eden, Ayala i Levi jeszcze przez następną dobę mieli nic nie wiedzieć o tym, że zmieniłam szkołę. Nie mogli mnie uratować przed

przeznaczeniem. Wiedziałam, że sytuacja była beznadziejna, jeszcze zanim wiozący mnie samolot wojskowy wzbił się w powietrze.

Tymczasem, gdy samochód zaparkował tuż przed obszernymi marmurowymi schodami prowadzącymi do głównego wejścia akademii, byłam już mentalnie kilka kilometrów stąd. Jeśli tylko mogłabym o tym zdecydować, to fizycznie również już bym tam była.

Silnik zgasł, a limuzynę wypełniła niezręczna cisza, od której dzwoniło mi w uszach. Po chwili zorientowałam się, że kierowca czekał, aż wysiądę.

– To... wezmę swoje rzeczy?

Nie chciałam tam być. A już na pewno nie powinnam sama mocować się z własnym bagażem. Nigdy nie doniosłabym na kierowcę – to nie w moim stylu – ale ojciec dostałby wylewu, gdyby się dowiedział, że facet, któremu zapłacił za eskortowanie mnie, nie wykonał dobrze swojej pracy. Mężczyzna, jakby właśnie też zdał sobie z tego sprawę, niechętnie wysiadł z samochodu, a potem ruszył do bagażnika i wyrzucił moje rzeczy na chodnik. Miał jeszcze czelność czekać na napiwek.

Po moim trupie. Kto normalny pomaga w niszczeniu czyjegoś życia, by następnie spodziewać się podziękowań i studolarówki za wysiłek? Cudem powstrzymałam się przed wybuchem. Wzięłam swoje torby, a potem rozpoczęłam wspinaczkę w stronę budzących grozę dębowych drzwi Wolf Hall. Tysiące stóp, przez lata przemierzających te schody, wytarły ich środkową część, czyniąc marmur niesamowicie gładkim. Byłam jednak zbyt sfrustrowana, by móc czerpać przyjemność z kontaktu z jego powierzchnią.

Gdy dotarłam do ostatniego stopnia, kierowca jeszcze manewrował autem przed budynkiem akademii. Część mnie chciała zostawić bagaże i za nim pobiec. Nie należał do stałych pracowników mojego staruszka, więc nie był mu nic winien. Może gdybym zaoferowała mu parę tysięcy, dałby się przekonać, by podrzucić mnie do innego stanu, z dala od czujnych oczu ojca? Ale nie potrafiłabym błagać. W końcu mam na nazwisko Stillwater, a moja rodzina jest znana ze swojej dumy.

Jedyną szansą na ucieczkę było dołączenie do kierowcy, który odjechał, pozostawiając mnie sam na sam z dwiema mosiężnymi kołatkami przytwierdzonymi do podwójnych drzwi wejściowych. Lewa była w kształcie groteskowego gargulca, któremu z wykrzywionego w dół pyska zwisała pokryta patyną obręcz. Uchwyt po prawej stronie wyglądał niemal identycznie, ale ta rzeźba wykrzywiała się w niepokojącym, przerysowanym uśmiešku, który przyprawiał mnie o zimne dreszcze.

– Co za chory pomysł... – wymamrotałam, chwytając za kołatkę po lewej stronie.

Smutny gargulec nie grzeszył urodą, ale przynajmniej nie wyglądał, jakby miał zaraz wyskoczyć ze swojej oprawy i pożreć mi jebaną duszę. Uderzyłam kołatką o drewno, a po drugiej stronie drzwi rozległ się donośny huk. Dźwięk przypominał uderzenie młotka sędziowskiego, przypieczętowującego los zbrodniarza.

– Nie ma co pukać, otwarte.

Ja pierdolę.

Prawie zesłam na zawał.

Szybko się odwróciłam. Nogi z trudem utrzymywały mnie w pionie, gdy przeczesywałam wzrokiem ciemności w poszukiwaniu właściciela głosu, który mógł stać się przyczyną mojej śmierci. Nie od razu, ale dzięki błyskaniu żarzącego się niedopałka – wyglądało to na końcówkę papierosa – w końcu dostrzegłam skrytą w cieniu postać. Ktoś siedział na krawędzi donicy wykonanej z białego kamienia.

– Jezu, nie wiedziałam, że nie jestem tu sama. – Przycisnęłam dłoń do piersi, jakby to miało uspokoić moje wciąż galopujące serce.

– Domyśliłem się – odpowiedział głęboki głos, który z pewnością należał do mężczyzny, który wypalił więcej niż kilka paczek papierosów w swoim życiu. Mógłby należeć do złodzieja samochodów albo hazardzisty. Ten ktoś zaciągnął się dymem, a końcówka papierosa ponownie się rozjarzyła, na krótką chwilę oświetlając jego twarz. Tyle mi wystarczyło.

Czarny podkoszulek tajemniczego mężczyzny był zdecydowanie za duży, a on sam wyglądał na znacznie młodszego, niż się spodziewałam.

Zamiast gderliwego, znudzonego życiem profesora w znoszonej marynarce z łatami na łokciach, zobaczyłam młodego chłopaka, który mógłby być w moim wieku. Na pewno uczył się w Wolf Hall. Czarne włosy opadały mu na oczy, a grube brwi marszczyły się w wyrazie niezadowolenia. Ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie schodów mogłam zobaczyć go wyłącznie z profilu. Miał prosty nos i wyraźnie zarysowaną żuchwę. Przyjął luźną, wręcz zblazowaną pozę. Zrozumiałam od razu ten niewerbalny komunikat.

Nie potrzebowałam znać jego imienia, by wiedzieć, że był jednym z „nich”.

Tych aroganckich, *cool*, rozpieszczonych. Urodzonych w pieprzonym czepku.

To nieodłączny element bycia dzieckiem wojskowych. Każdego dnia jesteś zmuszany do obcowania z uprzywilejowanymi i doszczętnie zepsutymi, dzięki czemu z daleka rozpoznajesz zgniliznę.

– Rozumiem, że powinnam poszukać kogoś z recepcji? – zapytałam słodko.

Nie było sensu wdawać się w dyskusję.

Potrząsnął głową w odpowiedzi, będąc w trakcie ściągania z języka kawałka tytoniu. Jednym pstryknięciem posłał go pod swoje stopy.

– To mnie wybrano na przewodniczącego Komitetu Powitalnego Nowej. Niby z jakiego innego powodu siedziałbym w tych pieprzonych ciemnościach? – powiedział z naciskiem.

Panie i panowie, poznajcie dupka. Cóż za zaszczyt.

Zostałam bagażem i z założonymi rękami powoli zesłam po schodach. Stanąwszy tuż przed nim, zauważyłam, że przewyższał mnie przynajmniej o głowę. Nawet gdy się garbił, oparty o donicę, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wciąż był ode mnie wyższy.

– Może dlatego, że nie chcesz być przyłapany na paleniu?

Strzepnął popiół z papierosa, a jego usta wykrzywiły się w chłodnym uśmiešku. Wszystko było w nim chłodne: od błysku w jasnozielonych oczach, po sposób w jaki odchylił głowę, przyglądając mi się niczym pantera szacująca wymiary swojej nowej ofiary. Najwidoczniej nieszczęśliwie mu odpowiadało czekanie na mnie, nie wspominając o tej całej zabawie w gościnność, ale ja przecież nie prosiłam go o oprowadzanie. O nic go nie prosiłam.

– W takim razie wskaż mi drogę do pokoju i zwolnię cię ze służby – burknęłam.

Roześmiał się. Nie było w tym dźwięku nic przyjaznego. Pewnie dziesiątki ludzi zostały już przez niego tak wyśmiane, a każdy z nich czuł się, jakby właśnie dostał bagnetem w głowę.

– Zwolnisz mnie ze służby? – powtórzył. – Spocznij, żołnierzu. Coś czuję, że nasi rodzice by się ze sobą zajebicie dogadali.

Do tego typu szkół nie chodziły wyłącznie dzieci oficerów. Bankierzy, prawnicy, dyplomaci i politycy też pakowali swoje bachory do miejsc takich jak Wolf Hall. Od czasu do czasu trafiał się jakiś zmęczony lekarz albo pracownik pomocy społecznej, dla którego od własnych dzieci ważniejsze było zajmowanie się cudzymi. Uczniowie takich placówek na ogół pochodzili więc z bardzo różnych środowisk, najczęściej jednak ich rodzicami rzeczywiście byli wojskowi.

– Słuchaj, jestem po długim locie, w dodatku takim bez posiłków czy czystej ubikacji. Potrzebuję dwóch rzeczy: prysznic i snu. Możemy przełożyć wszelkie gówniane gadki na inny termin? Po prostu mi powiedz, gdzie mam iść.

Zaciągnął się po raz ostatni, wydechając dym nosem. Pstryknięty pet wylądował w rosnących obok krzewach róż, a mój wzrok przykuły paznokcie chłopaka, pokryte czarnym lakierem z odpryskami. *Dziwne*. Jego koszulka też była czarna, a usposobienie miał niesamowicie drażliwe, ale nie wzięłam go za jednego z tych „emo-typów”. Na nogach miał wysokiej klasy buty z włoskiej skóry, a pasek wyglądał, jakby kosztował więcej niż cały mój strój.

– Przechodzisz przez drzwi. Na lewo masz schody. Czwarte piętro. Pokój numer 416. Powodzenia z ogrzewaniem – wyliczył, prostując się.

Nawet na mnie nie spojrzął. Ruszył przed siebie, ale nie w stronę budynku. Już po chwili szedł podjazdem, z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach.

– Ej! Gdzie ty się, do cholery, wybierasz? – Nie chciałam za nim wołać, ale musiałam wiedzieć. Tak bardzo mu zazdrościłam, że ot tak sobie stąd poszedł. Zagryzłam język, by powstrzymać się przed zapytaniem, czy mogłabym się z nim zabrać.

– Ha! Chyba nie myślałaś, że tutaj mieszkam – rzucił przez ramię. – A, i nie martw się, nowa. Nie musimy przekładać „tego gówna” na inny termin. Głowa w dół, schodź ludziom z drogi i jest szansa, że jakoś przetrwasz w tym piekle.

Może byłam zmęczona, a może zwyczajnie uprzedzona do Wolf Hall, ale zabrzmiało to jak groźba.

ELODIE

Środek Wolf Hall wyglądał tak, jakby ktoś próbował odtworzyć z pamięci wnętrze Hogwartu, ale mu nie wyszło. Gdzie nie spojrzełam, czyhały na mnie mroczne wnęki. Żaden z kątów nie był prosty. Wyłożony parkietem korytarz, którym szłam, zachowany był w surowym stylu. Czułam się, jakbym wylądowała w samym środku jednego z psychodelicznych obrazów Eschera¹. Skręciłam w stronę klatki schodowej na lewo, a następnie naiwnie rozejrzałam się za windą, choć wiedziałam, że w tak starym budynku nie ma co liczyć na tego typu luksusy.

Cicho jak w grobie.

Byłam w wielu starych domach. Skrzypiały, jęczały, a potem cichły – ale nie budynek Wolf Hall. On wstrzymywał oddech, spoglądając na mnie z góry i osądzając, gdy niechętnie wtaszczałam walizkę na pierwsze piętro. Choć z zewnątrz akademia nie wyglądała na szczególnie wysoką, cholerne schody wydawały się nie mieć końca. O ile już na drugim piętrze dyszałam i zaczynałam się pocić, o tyle na trzecim otwarcie walczyłam o każdy oddech. Byłam cała mokra. Wiekowe drzwi ze wstawką z matowego szkła odsłoniły wąski korytarzyk rodem z *Lśnienia*. Słabe światło mrugało złowrogo z sufitu. Ciągnęłam bagaż po zakurzonym, wytartym dywanie, wyliczając jednocześnie w myślach wszystkie sposoby, na jakie można umrzeć w tak nawiedzonym miejscu.

Mijając drzwi, zauważyłam przytwierdzone do nich mosiężne numery. Normalnie na ich miejscu byłyby jakieś kolorowe naklejki i tabliczki z imionami – małe akcenty, dzięki którym uczniowie czuli się mniej nieswojo. Ale nie tutaj. Żadnych ozdóbek, zdjęć, plakatów, niczego. Tylko przygnębiająco ciemne drewno i wypolerowane liczby.

410...

412...

414...

416.

Super.

Nie ma jak w domu.

Nacisnęłam klamkę. Na szczęście drzwi pozostawiono otwarte. Pokój był większy, niż się spodziewałam. W kącie stało podwójne łóżko ze świeżo wyprasowaną szarą pościelą, złożoną na rogach w charakterystyczny dla wojska sposób. Tylko dwie poduszki, ale można się było do tego przyzwyczaić. Przy ścianie znajdowała się ogromna komoda, a nad nią ponuro wyglądający obraz z powykrecanym staruszkiem, zginającym się pod naporem zamieci. Dziwny wybór tematu na obraz. Wykonaniu nie można było niczego zarzucić – przez zręczność i precyzję ruchów pędzla niemal można by go pomylić z fotografią. Był jednak niesamowicie przygnębiający. Napawał dławiącym poczuciem beznadziei.

Na drugim końcu pokoju znajdowało się duże okno z wykuszem. Rozpościerał się z niego widok na – jak zakładałam – ogrody akademii. Świat spowijały ciemności. Paleta barw ograniczała się do przypominających siniaki fioletoów i granatów, przerywanych smolistą czernią. Mimo to byłam w stanie dostrzec w oddali kontury wysokich drzew, tak nieruchomych, jakby żaden powiew nie był na tyle silny, by je poruszyć.

Zostawiłam rzeczy przy swoim nowym łóżku, po czym poszłam w stronę okna, żeby lepiej się przyjrzeć. Dopiero stojąc tuż przed nim, zauważyłam mroczny, zawity labirynt –

w samym środku trawnika, pomiędzy budynkiem a drzewami.

Labirynt? Cudownie. Tego nie było w pieprzonej broszurce.

Musiał być stary: żywopłot był wysoki, wyższy od jakiegokolwiek człowieka, i tak gęsty, że nie dałoby się nic przez niego dostrzec. Na jego widok wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz; nigdy nie byłam fanką labiryntów. Plus był taki, że w świetle słonecznym mogłabym z tego miejsca zapamiętać właściwą trasę. Nie żebym planowała wchodzić do tego cholerstwa.

Znalezienie pryszniców nie sprawiło mi większego problemu. Korytarz kończył się dwiema łazienkami o szeroko otwartych drzwiach. Na wyłożonych płytkami ścianach obydwu z nich – *lubię sprawdzać takie rzeczy, okej* – wisiał duży biały znak z napisem: „Maksymalny czas trwania prysznic to trzy minuty. Jego przekroczenie skutkuje karą czyszczenia latryn”.

Czyszczenie latryn? Boże. Było gorzej, niż myślałam.

Przewróciłam oczami, zdjęłam ubrania z podróży i wzięłam prysznic, który trwał zdecydowanie dłużej niż przysługujące trzy minuty. Niby kto się miał o tym, kurwa, dowiedzieć? Poza tym – pieprzyć to. Nie mogli wymagać tego typu gówna od kogoś, kto jeszcze nawet nie został oficjalnie przyjęty do akademii. Użyłam czerwonego, karbolowego mydła, które zwisało z postrzępionego kawałka liny. Zmarszczyłam nos, obiecując sobie, że rano umyję się raz jeszcze swoim żelem. Potem osuszyłam się szorstkim, cienkim ręcznikiem, włożyłam piżamę i z mokrą głową pobiegłam do pokoju.

Planowałam zafarbować długie blond włosy z powrotem na ciemny brąz. Większość ojców nie chciałyby, by ich siedemnastoletnie córki rozjaśniały włosy, ale pułkownik Stillwater nie mógł znieść mojego naturalnego koloru. Nigdy by tego nie przyznał, ale zupełnie nie radził sobie ze mną jako brunetką. Za bardzo ją wtedy przypominałam.

Poza zmuszeniem mnie do noszenia kontaktów, nie mógł nic zrobić z błękitem moich tęczywek. Nie mógł zmienić rozszianych na grzbiecie nosa piegów ani struktury kości tworzących twarz w kształcie serca. Bez zapłacenia sporych pieniędzy jakiemuś niezwykle utalentowanemu chirurgowi plastycznemu, nie miał też wpływu ani na wysokie kości policzkowe, ani na oczy w kształcie migdałów. Wszystkie te rzeczy odziedziczyłam po matce. Mógł za to uczynić mnie blondynką, więc to właśnie zrobił. A ja nie znosiłam nią być.

Będąc znowu w pokoju, po raz pierwszy zwróciłam uwagę na to, jak przenikliwie zimno w nim było. W porównaniu z Tel Awiwem temperatury panujące w New Hampshire przywodziły na myśl klimat arktyczny. Zwłaszcza, że władze Wolf Hall ewidentnie nie uznawały ogrzewania za coś potrzebnego uczniom. Po długich poszukiwaniach w stojącej przy oknie szafie w końcu udało mi się znaleźć popękany i pożółkły termostat. Przekręciłam pokrętko w prawo, do samego końca, ale nic się nie stało. Staroświecki i wyjątkowo szkaradny grzejnik wydał z siebie jedynie zdławiony odgłos, po czym cały się zatrząsnął, by po chwili całkowicie zamilknąć.

Na szczęście byłam tak zmęczona, że nawet zimno nie mogło powstrzymać mnie przed zaśnięciem.

ELODIE

Poczułam zapach palących się tostów i swąd rdzy. Otworzyłam oczy i od razu się skrzywiłam. Tak powitał mnie nowy dzień.

Jakimś cudem o siódmej rano było jeszcze zimniej niż wtedy, gdy zasypiałam. Nieźle; w końcu byłam pewna, że nocą temperatura spadła poniżej zera. Widziałam własny oddech.

Gdyby ojcu choć trochę na mnie zależało, nie wyskoczyłby z tymi przenosinami w połowie semestru. Mógłby to zrobić przynajmniej w czasie przerwy świątecznej. Uznał jednak, że wyrwanie córki z jej naturalnego środowiska w czasie zwykłego weekendu jest najlepszym możliwym rozwiązaniem, więc tak właśnie zrobił. Nie daj Boże, żebym to ja naruszyła jego grafik – w końcu w niedzielę musiał wyjechać na szkolenie trwające jakieś czterysta godzin. W związku z tym najlogiczniejszym wyjściem było przewrócenie mojego życia do góry nogami. Bo niby czemu miałabym mieć cokolwiek przeciwko wyprowadzce z kraju, zmianie swojej dotychczasowej rzeczywistości o sto osiemdziesiąt stopni i rozpoczęciu nauki w nowej szkole? Wszystko to dało się zrobić w przeciągu trzydziestu dwóch godzin. Miał jednak na swoim koncie gorsze przewinienia.

I oto jestem. Poniedziałek rano. Pierwszy dzień mojego nowego życia. Z pełnego rygorystycznych zasad przewodnika, który ojciec wsadził mi do plecaka, wynikało, że miałam się stawić w sekretariacie dwadzieścia minut przed rozpoczęciem zajęć. Dawało mi to czterdzieści minut na ogarnięcie się. Myłam się wczoraj, więc normalnie nie brałabym drugiego prysznica, ale wciąż czułam się obrzydliwie po podróży. Poza tym byłam przemarznięta i potrzebowałam wymoczyć stopy we wrzątku, by jakoś je odmrozić, a to dopiero połowa stycznia. Podejrzywałam, że miało mnie czekać jeszcze wiele zimnych nocy, zanim w New Hampshire temperatury zaczną się podnosić. Musiałam coś zrobić z tym ogrzewaniem.

Odrzuciłam cienką pościel, przez cały czas dzwoniąc zębami, i upewniłam się, że tym razem wzięłam ze sobą własny ręcznik i kosmetyczkę. W korytarzu wiele z drzwi było już otwartych, a pod każdą ze ścian uformowała się kolejka złożona z czekających na łazienkę dziewczyn. Załamalam się. Mimo że sytuacja w domu była okropna, przynajmniej miałam własną pieprzoną łazienkę. Nie byłam przyzwyczajona do dzielenia się takimi rzeczami.

Dołączyłam do kolejki po prawej stronie, a stojące przede mną osoby nagle zamilkły. Osiem par nienawistnych oczu zlustrowało mnie od stóp do głów. Ich właścicielki nie wydawały się zbyt sympatyczne. Jedna z dziewczyn przerwała prowadzoną rozmowę i odwróciła się do mnie z półuśmiechem.

Choć na głowie miała budzące zazdrość afro, złożone z brązowych zbitych loczków, jej skóra była prawie tak blada jak moja. W połączeniu z sarnimi oczami koloru głębokiego brązu wyglądała jak młoda Natalie Portman.

– Hej. Ty musisz być Elodie, no nie? Numer 416?

– To ja – przyznałam, po czym zacisnęłam usta w nerwowym uśmiechu.

To całe „bycie nową” tak naprawdę nie było dla mnie czymś nadzwyczajnym. Odkąd rozpoczęłam liceum, musiałam się przeprowadzać przynajmniej cztery razy. Ostatnie trzy lata w Tel Awiwie uspiły jednak moją czujność, co było, jak widać, wielkim błędem.

– Carina – przedstawiła się dziewczyna, wyciągając rękę w moją stronę. – Super, że dotarłaś w jednym kawałku. Część z nas czekała na ciebie w nocy, ale potem zrobiło się późno

i... – Wzruszyła ramionami.

Energicznie potrząsnęłam głową, trochę ośmielona faktem, że niektóre z dziewczyn chciały zrobić dla mnie coś tak miłego.

– Nie ma problemu, rozumiem.

– Bardzo tu pilnują ciszy nocnej – wtrąciła rudowłosa, z którą jeszcze przed chwilą rozmawiała Carina. Była wysoka. Naprawdę wysoka. Prawie tak wysoka, jak ten dupek z wczoraj, który wskazał mi drogę do pokoju. – O dziesiątej trzydzieści wszyscy musimy być w swoich pokojach. Naszego piętra pilnuje Miriam i czasami daje się przekupić czekoladą. Jest cholernie zimno, ale i tak masz farta. Dziewczyny z pierwszego piętra mają gorzej. Ich babeczka jest skończoną suką.

– Hej! – oburzyła się dziewczyna stojąca na początku mojej kolejki. – Uważaj, co mówisz, Pres. Niektóre z nas przyjaźnią się z Sarai.

– Ach, no tak, jak mogłam zapomnieć – od razu odszczekała się rudowłosa. Nie kryła grymasu. – Tak jej włazisz do dupy, że nie wiem, jakim cudem nie dostałaś jeszcze odznaki Badaczki Zwieracza, Damiana.

Damiana. Ale fajne imię. Szkoda, że nosząca je dziewczyna nie sprawiała wrażenia równie fajnej. Jej blond był trzy razy jaśniejszy od mojego, a twarz pokrywała gruba warstwa mejkapu, mimo że nie miała jeszcze szansy wejść do łazienki. *Może ten eyeliner to tatuaż?*

– Wow. Brawo, twoje riposty są coraz lepsze, pomiecie Szatana, ale nadal im czegoś brakuje. Może powinnaś jeszcze trochę poćwiczyć przed lustrem?

Drzwi nagle się otworzyły. Z łazienki wyszła piękna dziewczyna owinięta ręcznikiem, z mnóstwem czarnych loczków i skórą w odcieniu cyfamonu. Od razu wywróciła oczami.

– Boże, nawet nie ma siódmej trzydzieści, a ty już się rzucasz, Dami. Wyluzuj.

Damiana warknęła pod nosem i wepchnęła się do łazienki, niemal przewracając stojącą w drzwiach dziewczynę.

– Rashida, to jest Elodie – powiedziała Carina, skinąwszy w moją stronę.

Dziewczyna podciągnęła ręcznik i, przytrzymując go pod pachą, potrząsnęła moją dłonią.

– Porozmawiamy, jeśli przetrwasz tu trzy miesiące – rzuciła, po czym ruszyła w stronę pokoju o numerze 410 i po chwili zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Przepraszam za nią – westchnęła Carina i oparła się o ścianę. – Ostatnie dziewczyny, które trafiły tutaj w połowie semestru, znowu szybko się przeniosły. Chyba po prostu dla niektórych wysilanie się, by kogoś poznać, gdy ta osoba może zaraz zniknąć, jest zbyt trudne.

– Przeniosły się? – powtórzyła Pres z wysoko uniesionymi brwiami. Brzmiała, jakby nie zgadzała się z użytym określeniem, ale Carina szybko spiorunowała ją wzrokiem.

– Przestań – ostrzegła. – Jeszcze nie. Jezu, dziewczyna dopiero tu trafiła. Może pozwól jej się trochę zadomowić, zanim zaczniesz wygrzebywać ten cały gnój, co?

Uch... Okej, to nie zabrzmiało dobrze.

– Jaki znowu gnój?

– Żaden – odparła stanowczo Carina, mrużąc oczy w stronę reszty dziewczyn.

To z pewnością miało być ciche ostrzeżenie, by nawet przez myśl im nie przeszło się odzywać. Żadna się nie ośmieliła. Widocznie liczyły się ze zdaniem Cariny, bo wszystkie, łącznie z Pres, w milczeniu spuściły wzrok.

– Okeeeej... – mruknęłam przeciągle.

Była tylko jedna rzecz, której nienawidziłam na równi ze swoim ojcem: sekrety. Zbyt dużo ich było w mojej przeszłości. Zbyt wiele rzeczy przede mną ukrywano, więc miałam bardzo niski próg tolerancji na tego typu gówna. W tym momencie postarałam się, by zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby zignorować incydent. To był mój pierwszy dzień tutaj. Poznałam te

dziewczyny jakieś dziesięć minut temu. Nie mogłam wymagać od nich stuprocentowej szczerości, gdy nawet nie znałam jeszcze ich wszystkich imion.

– Hej, zapukaj do mnie, gdy będziesz schodzić na dół, okej? – zaoferowała Carina. – Jestem pośredniczką między uczniami a nauczycielami. Mogę cię zaprowadzić do sekretariatu i wybrać twoje papiery, a potem możemy razem pójść na angielski. Co ty na to? Wydaje mi się, że będziemy miały wiele wspólnych lekcji.

Może mój wzrost nie powalał, ale byłam dużą dziewczynką. Sama mogłam znaleźć drogę do sekretariatu i klasy. Jednak już dawno temu nauczyłam się, że gdy ktoś ci podaje gałązkę oliwną w bezlitosnych wodach międzynarodowego szkolnictwa, chwytasz się tego skurwysyna i nie puszczasz.

– Jasne, dzięki. Byłoby super.

Wycieczce do sekretariatu nie towarzyszyło zbyt wiele przygód. Wypełniłam ankietę dotyczącą zdrowia, odebrałam potrzebne listy lektur i obowiązkowe podręczniki, a świat się nie zawalił. Carina doskonale odnalazła się w roli pomostu komunikacyjnego między mną a zniedołężniałą, przygłuchą osiemdziesięciolatką za biurkiem – krzyżąc, gdy zachodziła taka konieczność. Przez grubość szkieł okularów, siedzących na nosie biednej staruszki, jej oczy wyglądały na osiem razy większe. Wciąż je jednak mrużyła, przyglądając mi się znad stosu dokumentów. Jakby miało jej to w czymkolwiek pomóc.

Ledwie wyszłyśmy z gabinetu, a Carina wyrwała mi z rąk dopiero co otrzymaną mapkę. Jednym ruchem posłała ją prosto do kosza na śmieci, po czym pociągnęła mnie za sobą wzdłuż długiego korytarza. Po obydwu jego stronach stały wazy z kwiatami.

– To nam nie będzie potrzebne – oznajmiła śpiewnym tonem. – Od dzisiaj jestem twoją osobistą przewodniczką po Wolf Hall. Wiedziałam, że się dogadamy, gdy tylko zobaczyłam te kabaretki.

Spojrzałam w dół. Miałam na sobie kabaretki, ulubioną parę podartych jeansowych szortów i Martensy, które może były przesadą, ale stanowiły konieczny element stroju.

Choć było zimno, skandaliczny ubiór znajdował się na długiej liście protestów, jakie przyszykowałam dla Wolf Hall. Wyszłam z pokoju, stanęłam naprzeciw Cariny i już wiedziałam, że mój plan był nietrafiony. Najwidoczniej tutejsi uczniowie mogli nosić, co tylko im się podobało. Jej neonowo-żółta bomberka tak mocno kontrastowała z czerwonymi spodniami, że od samego patrzenia na nią obawiałam się ataku migreny.

Ubrania reszty mieszkańców akademii stanowiły jeden wielki miszmasz stylów i kolorów. Przez olbrzymie ilości podartych jeansów i podkoszulków z zespołami muzycznymi można było odnieść wrażenie, jakbyśmy wybierali się razem na festiwal.

Szybko dodałam dwa do dwóch. Zorientowałam się, że Carina prowadziła mnie prosto do klasy.

– Nie powinnam najpierw zostawić rzeczy w szafce?

– Pfff, no co ty. Nie mamy szafek. Jeśli nie chce ci się nosić torby, będziesz musiała podrzucić ją do pokoju między zajęciami, ale uwierz mi, nie będzie na to czasu. Chodź.

Co prawda nie do końca dobrowolnie, ale przestąpiłam próg sali od angielskiego. Zapadła głucha cisza. Wszystkie głowy zwróciły się w naszą stronę, a rozmowy gwałtownie urwano. Poczulałam jak na szyi stają mi wszystkie włoski. Przy masywnym oknie stała stara skórzana kanapa, a na niej leżał chłopak – ten sam, którego poznałam wczoraj. Wyglądał, jakby nałykał się jakichś tabletek.

Jego obecność była pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam. Drugą stanowił brak ławek – cóż,

przynajmniej takich tradycyjnych.

Oniemiała, rozejrzałam się po pomieszczeniu, próbując jakoś poukładać to sobie w głowie. Szafy, pufy, wygodne tapicerowane fotele, stare zniszczone biurka. Wszystko rozsiane w losowych miejscach obszernej przestrzeni. Z tyłu sali znajdowały się regały z książkami, drewniane ławki i – *o ja pierdole* – ogromny ogień zionący z otwartego kominka, co zaskoczyło mnie najbardziej.

Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

– Że... co? Mamy angielski w bibliotece?

Wśród uczniów, porozkładanych na fotelach i biurkach, rozszedł się chichot. Dwóch chłopaków, którzy siedzieli pod drugim z ogromnych okien, wymieniło się porozumiewawczym spojrzeniem. Reakcja z gatunku: „o-co-tu-do-chuja-pana-chodzi”, widocznie już dawno im się znudziła. Czułam się zupełnie tak, jakbym weszła do budki policyjnej rodem z *Doctor Who*, która w rzeczywistości była statkiem kosmicznym, i naiwnie wykrzyknęła: „Ojeju! Ależ tu w środku przestrzenie!”.

Carina zaprowadziła mnie w stronę pustej kanapy w kwiatki. Po drodze kopnęła buta jednego z siedzących na podłodze chłopaków. Jego właściciel od razu rzucił się do przodu, obnażając zęby i kłapiąc nimi. Dziewczyna kompletnie zignorowała ten dziwny występ.

– Nie, biblioteka jest o wiele większa. To nora doktora Fitzpatricka. Sam ją tak nazywa, żeby nie było. Typ robi tu za boga, nawet morderstwo by mu uszło płazem. Niby powinien prowadzić te zajęcia na wydziale angielskiego, ale uznał, że łatwiej mu będzie inspirować studentów w bardziej relaksujących warunkach.

„Relaksujące” to mało powiedziane. Nigdy nawet nie słyszałam o tym, by jakiś nauczyciel miał w swojej sali sofę, a teraz na takiej właśnie siedziałam.

– Hej, a kto to? – Ruchem głowy wskazałam swojego nowego znajomego, który zeszłej nocy tak „ciepło” mnie powitał. Leżał na kanapie z kwicistą poduszką na twarzy.

Carina znieruchomiała, podnosząc na mnie brew. Czułam, że właśnie zaliczyłam kolejne *faux pas*.

– Uch... To coś, to Wren Jacobi. Bliżej mu do zdziczałego psa niż człowieka. Jakby... serio... – westchnęła ciężko. Zajęła ręce wyciąganiem z torby ogromnego zeszytu. – Powiedziałabym, żebyś trzymała się od niego z daleka, ale w tym miejscu nie bardzo da się kogokolwiek unikać. Poza tym Wren już tak ma, że wtyka nos w nie swoje sprawy, czy się to komuś podoba, czy nie, więc...

Zmarszczyłam nos, zmrużyłam oczy i przechyliłam głowę.

– Wiesz... Jestem prawie pewna, że ma na sobie ubrania z zeszłej nocy.

– Tak właśnie jest. – Zaśmiała się krótko.

A ona, skąd to niby wie? Chyba że... Podobno parę dziewczyn na mnie wczoraj czekało. Musiała być tam razem z nim. Twierdził, że został wybrany na nieszczęśnika, który miał czuwać aż do mojego przyjazdu. Nic o nim nie wiedziałam, poza tym, że palił, ale jakoś nie mogłam go sobie wyobrazić spędzającego wolny czas z grupką dziewczyn, w oczekiwaniu na pojawienie się nowego nabytku Wolf Hall.

– Wren i jego paczka lubią bawić się ludźmi, Elodie. A gdy nikt nie ma ochoty na ich durne gierki, ani na życie zgodne z ich durnymi zasadami, zaczynają pogrywać sami ze sobą. Pax rzucił mu wyzwanie, żeby przeleciał dziesięć lasek przed przerwą świąteczną. Nie udało mu się, więc teraz musi chodzić w tych samych ciuchach przez cały miesiąc. Tak że tak, Wren zdecydowanie ma na sobie ubrania z zeszłej nocy, bo to te same ubrania, które nosi od dwóch tygodni. Chyba pozwalają mu je prać raz na kilka dni, czy coś. W każdym razie możesz być pewna, że jutro będzie w tej samej czarnej koszulce, i pojutrze, i popojutrze, i popopojutrze,

i popopopojutrze... – wywróciła oczami – aż do pierwszego lutego. Bo jedyną rzeczą gorszą od przegrania zakładu z chłopakiem z Riot House, jest niewywiązanie się z danego mu słowa. Nieważne, ile to będzie kosztowało, ani kto ucierpi po drodze.

– Z chłopakiem z Riot House? – powtórzyłam.

– Mhm. – Skrzywiła się w odpowiedzi. – Ta trójka idiotów ma własny dom w połowie drogi z gór. Nazywają go „Riot House”. Wszyscy go tak nazywają. Z jakiegoś chorego powodu pozwolono im tam mieszkać, podczas gdy reszta z nas musi tu sobie odmrażać tyłki zimą, a latem je gotować.

– To akademia ma jakieś kwatery poza kampusem?

– No co ty – odparła rozbawiona. – Wren jest nadziany. Całe to miejsce należy do jego rodziny. Albo do niego? Nie wiem, nie znam szczegółów. Wiem tyle, że mogą sobie tam na dole robić, co im się żywnie podoba, a my musimy tu siedzieć i nie wychodzić przed szereg.

Choć w jej głosie pobrzmiwała wyraźna gorycz, gdy podniosła wzrok znad torby, na jej ślicznej twarzy widniał już przyklejony promienny uśmiech.

– Nieważne. To Pax, Dashiell, a już szczególnie przypadkiem jest Wren. Po prostu na nich uważaj, okej? Inaczej będziesz tego żałować, tyle ci mogę obiecać.

– Co za piękne przemówienie, Carrie. Widzę, że już szkicujesz naszej uroczej Elodie Stillwater obraz sytuacji. Miło z twojej strony.

Żadna z nas nie zauważyła, kiedy siedzący na podłodze chłopak wstał i do nas podszedł. Był przystojny w ten sam sposób, w jaki piękne potrafiły być węże, pająki czy wilki. Było w tym coś niebezpiecznego. Ciemne włosy miał ścięte na języka. Spod długich rękawów białej bluzki wystawały tatuaże. Zimne niebieskie oczy iskrzyły, jakby płynął w nich prąd. Gdy tak mnie przewiercały, przyszpilając do oparcia kanapy, czułam się, jakbym chwyciła przewód pod napięciem i nie potrafiła go puścić.

– Pierdol się, Pax – wyszczała dziewczyna.

Po raz pierwszy zobaczyłam niemłą wersję Cariny. Ilość jadu w jej tonie odebrała mi oddech. To nie tak, że nie lubiła tego typu. Ona go nienawdziła.

Pax przeniósł na nią świdrujący wzrok, jednocześnie przejeżdżając zębami po dolnej wardze. Włoski na rękach stanęły mi dęba. Było coś jawnie seksualnego w energii, jaka od niego emanowała. Choć w ogóle mi się to nie podobało, nie mogłam oderwać od niego oczu. Chłopak, z którym jeszcze przed chwilą siedział, wydał z siebie głośne stęknienie, po czym podniósł się z podłogi.

Jeśli Pax ze swoimi tatuażami, ostrzyżoną głową i dziwnym stylem bycia przypominał byłego więźnia, Dashiell z kolei – bo kim innym mógłby być – wyglądał jak bibliotekarz. Co jak co, ale on zdecydowanie spędził dzisiaj dużo czasu przed lustrem. Biała koszula, dopasowane szare spodnie i okulary w grubych, czarnych oprawkach. Sprawiał wrażenie kogoś, kto lubił czytać. Choć było to z mojej strony mocno stereotypowe myślenie, bystry błysk w piwnych oczach zdawał się potwierdzać tę teorię. Nawet kolor włosów miał nieoczywisty: pod kątem wyglądały na jasnobrązowe, ale gdy odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć, nagle przemieniły się w ciemny blond.

– Moje panie, musicie mu wybaczyć. Pax nie wie, jak się zachować, gdy staje twarzą w twarz z takim pięknem. W dodatku dzisiejszego poranka wypił odrobinę za dużo kawy. Rozumiecie więc, że energia go rozpiera.

Och, wow. Angielski akcent. Jedwabisty głos Dashiella od razu mnie uspokoił. Był taki pewny siebie, swojego miejsca i roli w tym świecie. Działo to niesamowicie. Człowiek automatycznie czuł się przy nim bezpiecznie, podczas gdy obecność Paxa miała zupełnie odwrotny skutek.

Carina zaczęła się wiercić, wbijając wzrok w regał książek stojący po drugiej stronie sali i starannie unikając spojrzenia Dashiella. Podczas gdy jej reakcją na Paxa była otwarta wrogość, teraz nagle jakby skuliła się w sobie, całkowicie się zamykając.

– Carrie? Nie przedstawiś nas swojej nowej koleżance? – wymruczał.

Moja towarzyszka zeszywniała do tego stopnia, że wyglądała jak kłoda, która w każdej chwili mogła zwalić się z kanapy, więc postanowiłam ją wyręczyć.

– Przecież wiecie, kim jestem. Wolf Hall nie jest aż tak duże. Poza tym on dopiero co zwrócił się do mnie po imieniu i nazwisku – zauważyłam, zerkając w stronę Paxa. – Elodie Stillwater. Przeniosłam się z Tel Awiwu. Ojciec wojskowy. Matka nie żyje. Interesuję się malowaniem, muzyką i fotografią. Jestem uczulona na ananasa. Jedynaczka. Boję się burzy i uwielbiam pchle targi. Proszę. Czy to wystarczająca ilość informacji?

Wymieniłam kilka randomowych faktów na swój temat z uśmiechem na twarzy – tak fałszywym i tak słodkim, że bolały mnie od niego zęby. Pax zaśmiał się drwiąco pod nosem w odpowiedzi na moją autoprezentację. Dashiell z kolei skierował na mnie całą swoją uwagę. Usta rozszerzyły się w powolnym, kalkulującym uśmiechu. Był bystry, trzeba mu to przyznać. Mogłam niemal zobaczyć odpalające się w jego głowie trybiki, pieczołowicie magazynujące informacje, których właśnie dostarczyłam. Dlaczego nagle powiedzenie czegokolwiek wydało mi się tak wielkim błędem?

– Cała przyjemność po naszej stronie, Elodie Stillwater. Zawsze miło jest zyskać nowego przyjaciela. Może wpadniesz kiedyś do Riot House? Chcielibyśmy cię należycie powitać.

Dwa głosy zabrzmiały jednocześnie, jeden spanikowany, drugi wyraźnie znudzony.

– Nie ma mowy!

– Chyba śnisz, Dash.

Siedzącą obok mnie właścicielką pierwszego głosu wstrząsnął wyraźny dreszcz. Chyba nie zamierzała tak głośno zaprotestować. Zawstydzona, spłotła nasze palce.

– Będzie miała problemy, jeśli Harcourt się dowie.

Spod poduszki dobiegło nas warknięcie Wrena Jacobiego.

– Nie jest zaproszona. – Powiedział to w taki sposób, jakby wydawał dekret. Odgórne rozporządzenie, którego należało przestrzegać.

Dashiell westchnął pośepnie; brzmiał na szczerze rozczarowanego.

– Nie martw się, Stillwater. Jacobi jest jak chorągiewka, zmienia zdanie równie często, co skarpetki. Cóż. Może jego obecny stan ubioru na to nie wskazuje, zazwyczaj jednak jest naprawdę świetny, jeśli chodzi o regularność w zmienianiu skarpetek. I wiesz co, chyba tym właśnie imponuje mi najbardziej.

– Uwaga, klasa! Tyłki na płaskie powierzchnie! Ruchy, ruchy, ruchy!

Wysoki mężczyzna w przylegającej czarnej koszuli i czarnym krawacie jednym kopniakiem odsunął kawałek drewna, powstrzymujący drzwi przed zamknięciem się, a drugim zatrzaskał je za sobą, wparowując do sali. Miał około czterdziestu lat i *vibe* Clarka Kenta. Żuchwą mógłby ciąć stal. Ciemne falujące włosy, ciemne oczy. W ogóle się nie dziwiłam, że połowa obecnych na sali dziewczyn rozplynęła się na sam jego widok.

Doktor Fitzpatrick, mój nowy nauczyciel angielskiego, był gorący i lodowaty jednocześnie.

– Wren, poduszka z twarzy. Weź się, kurwa, podnieś i usiądź jak człowiek. Znasz zasady

– rozkazał, kładąc na szafce stos papierów. W drugiej ręce trzymał kubek z kawą. Mięśnie szyi pracowały intensywnie, gdy za pierwszym podejściem opróżnił jego zawartość.

O dziwo Wren rzeczywiście odłożył poduszkę i przeszedł do pozycji siedzącej. Co prawda przez cały czas piorunował Fitzpatricka wzrokiem, ale go posłuchał.

Tego się nie spodziewałam. Patrząc na Wrena, można by pomyśleć, że nigdy nikogo nie słuchał. A już na pewno nie takiego autorytetu, jakim był nauczyciel od literatury.

W przerażeniu zdałam sobie sprawę z kilku rzeczy. W nocy było tak ciemno, że nie miałam szansy dobrze mu się przyjrzeć. Wtedy z niechęcią przyznałam, że w poświacie papierosa wyglądał na całkiem przystojnego. Ale w pełnym świetle, gdy słabe promienie słoneczne wpadały do pomieszczenia przez okno tuż za jego głową? Mogłam zobaczyć o wiele, wiele więcej i... miałam przesrane. Miałam po prostu przesrane. Jak, kurwa, nigdy.

Był piękny.

Czarne włosy zakręcały się wokół uszu w taki sposób, że wyglądały jak namalowane pędzlem prawdziwego mistrza. Gęste, w nieładzie. Tak bardzo chciałam móc je dotknąć, że palce same mi się podkurczyły, zaciskając w pięść.

Jego oczy były zielone, żywe i przerażająco jasne. Jadeit – kolor świeżej trawy i limonek. Wiosny, budzącej się po zimie. Absolutnie na granicy realności. Usta też miał nietypowe. Górna warga delikatnie pełniejsza od dolnej, co powinno wyglądać dziwnie na facecie, ale Wren potrafił sprawić, że nawet coś tak zmysłowego i kobiecego nabierało okrutnego wyrazu.

Syciłam oczy jego widokiem. Obserwowałam ruch mięśni, gdy podsunął się na skraj skórzanej sofy, a następnie wsparł ramiona na kolanach. Zachwycałam się dzikim uśmiechem, który podniósł mu kąciki ust, gdy dostrzegł wpatrującą się w niego dziewczynę z warkoczami. Widziałam też, jak złożył palce, nagle ożywiając się na słowa nauczyciela.

– Dobra, popaprańcy. Słuchajcie uważnie. Przeczytałem wasze eseje, były bardzo interesujące. Surowe i emocjonalne. Prawdziwe. A niektóre... zwyczajnie drastyczne.

– Jak to „drastyczne”? – zapytała dziewczyna siedząca na pufie z przodu. – Przecież esej dotyczył moralności epoki wiktoriańskiej widocznej w angielskiej literaturze.

– Dokładnie tak, Damiana.

Wspaniale. Z miejsca, w którym siedziałam, mogłam dostrzec tylko tył jej głowy. Nie miałam pojęcia, że byłam w tej samej grupie, co ta żmija z dzisiejszego poranka.

Doktor Fitzpatrick zakołysał głową, jakby rozciągał szyję, po czym odwrócił się do stosu kartek. Przez dłuższą chwilę przeszukiwał spięte pliki papieru, aż znalazł właściwy.

– Tytuł to *Niezaspokojona guwernantka*. Cztery tysiące słów ponad limitem dwóch tysięcy. Podkreśliłem te fragmenty, które uznałem za dość pouczające.

Odchrząknął teatralnie i zaczął czytać:

– „Dopiero co tak niewinna, teraz była już tylko przerażona. Na widok strachu w kobiecych oczach jego długość stwardniała. Ruszył do przodu, zdeterminowany, by zagonić swą ofiarę w pułapkę. Jej klatka piersiowa unosiła się gwałtownie, a obfity biust niemal wylewał z gorsetu. Nie mógł sobie wyobrazić niczego bardziej podniecającego, niż ona, przypadkowo obnażona, zdana na jego łaskę. Niecierpliwił się; jak zawsze, gdy był tak blisko osiągnięcia swych nikczemnych zamierzeń. Miesiącami pracował nad tą guwernantką, poznał nawet jej kościół, jej wiarę, a mimo to szalony ojciec powstrzymywał córkę przed spełnieniem najmroczniejszych pragnień. Ale on się nie poddał. Rozpoznał płonący w jej duszy płomień bezceństwa i obrał sobie za cel wyzwolenie go. Guwernantka krzyknęła, gdy jej plecy spotkały się ze ścianą. Wiedziała, że została zapędzona w kozi róg, z którego nie było ucieczki. Ledwie jednak zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, a już się z nią pogodziła. Oddech przyspieszył jej jeszcze bardziej, tym razem z ekscytacji. Kto by pomyślał, że wyzbycie się kontroli na rzecz potwora w kapeluszu tak jej się spodoba. Zbliżał się szybkim krokiem, jego oczy krzyczały o tym, że jest w niebezpieczeństwie, a guwernantka odkryła, że nie było w niej żadnej obawy. A przecież wybrzuszenie w jego spodniach przerażało! Przecież sposób, w jaki je ścisnął, był wprost mefistofeliczny! Śledziła wzrokiem każdy ruch jego dłoni i z zaskoczeniem odkryła

wilgoć między własnymi nogami. Czują, jak jej srom nabrzmiewał, ociekając pragnieniem, podczas gdy on...” – tutaj urwał.

Ręce dosłownie mu opadły. Zirytowany, potrząsnął głową.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Kawalek dobrej prozy utrzymanej w duchu czasów. Do tego ciekawe zastosowanie dla słowa „mefistofeliczny”. Widać, że musiałeś się nieźle wczytać w temat, Jacobi.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Wrenowi.

Oczywiście, że to on był autorem tego „dzieła”. Nie czułam się zaskoczona. Tylko taki czort, jak on, mógł oddać pornograficzne opowiadanie w ramach zadania z angielskiego. Nawet nie wyglądał na skruszonego.

– Ta. Internet jest niesamowitym miejscem. Można w nim znaleźć najdziwniejsze gówno, jeśli tylko się wie, gdzie szukać – odparł, nie spuszczać wzroku z mężczyzny.

– Ale rozumiesz, że ten esej miał być o wiktoriańskiej moralności, tak? – upewnił się Fitzpatrick, akcentując ostatni rzeczownik.

– Rozumiem, ale nie ma czegoś takiego. – Wzruszył ramionami. – Ludzie tej epoki byli tak samo napaleni i zdeprawowani, ale lepiej im wychodziło ukrywanie tego. Książek o uroczych, podporządkowanych kobiecinkach, żyjących w dbałości o swoje cnoty niewieście, wcale nie było więcej, niż tych obleśnych o pieprzeniu. Po prostu się o nich nie mówiło.

– Czyli twierdzisz, że w literaturze epoki wiktoriańskiej kobiety były przedstawiane jako słabe, podporządkowane stworzenia?

Chłopak westchnął, jakby znużony samym tym, że musiał tłumaczyć takie rzeczy.

– Nie twierdzą tak. Tak po prostu jest. To przez Austen² myślimy, że tamtejsze kobiety były cnotliwymi, grzecznymi istotkami, którym nawet przez myśl nie przeszłoby nic zbereźnego. Prawda jest inna, Fitz. Kobiety lubiły się różnić od zarania dziejów, tak samo jak faceci. To, że zrobili z tego jakiś jebany sekret, zalatuje ostrym fetyszyzmem.

Brwi doktora Fitzpatricka powędrowały do góry. Wydawał się jednocześnie być i nie być pod wrażeniem przedstawionych argumentów. Finalnie rzucił w niego esejem. Plik kartek zatrzepotał w powietrzu, powoli opadając do stóp Wrena.

– Napisz to jeszcze raz. Masz czterdzieści osiem godzin, Jacobi. Trzymaj się wytycznych albo skończysz, pisząc całość od nowa po raz kolejny. W kółko i w kółko, jak w *Dniu świstaka*, dopóki nie zrobisz tego dobrze. Aha, i żadnych wulgaryzmów. Dobrze wiesz, że szokowanie na mnie nie działa.

Esej leżał nietknięty na cienkim perskim dywanie. Nikt go nie podniósł. Większość ludzi byłaby zirytowana taką karą, a tymczasem chłopak wyglądał na zupełnie niewzruszonego. Przez cały ten czas ani na chwilę nie stracił rezonu.

– Szokowanie działa na każdego. Po prostu nie odkryłem jeszcze, gdzie leży twoja granica, Fitz. Ale nie martw się, jestem wytrwały. Do końca semestru się z tym uporam.

Boże, typ formułował zdania tak, by brzmiały jak ukryte groźby. I był w tym niesamowity. Ciekawe, czy z rodzicami też tak rozmawiał. Ojciec skróciłby mnie o głowę, gdybym ośmieliła się odezwać w ten sposób do niego albo któregokolwiek z nauczycieli. Może i Wren też pochodził z wojskowej rodziny, ale musieliśmy zostać wychowani w zupełnie odmienny sposób, skoro pozwalał sobie na takie akcje.

Fitzpatrick zagryzł język między zębami i szeroko się uśmiechnął. Odwrócony od Jacobiego wziął głęboki oddech, po czym skupił się na reszcie grupy.

– W porządku, dzieciaki. Czas na zabawę. Kto się zgłasza na ochotnika? – Jego wzrok nagle padł na mnie. Uderzył się dłonią w czoło. – No tak, przecież mamy „nową”. Kompletnie zapomniałem. Cholera, i ciasteczek też ze sobą nie wziąłem, a pichciłem całą noc. Eiiiiiiiiise,

tak? – zapytał, mrużąc oczy.

„Eloise” zdarzało się często, ale trafiały się też „Emily”, „Evelyn” czy „Elena”. Najwidoczniej moje imię nie było tak popularne w innych krajach, jak we Francji.

– Prawie. Elodie. Jak „Melody”, tylko bez „m” – poprawiłam z przyjaznym uśmiechem na twarzy, żeby przypadkiem nie pomyślał, że mnie to obraziło.

Kiwnął głową w odpowiedzi, jednocześnie grożąc mi palcem. Trzy osoby na prawo ode mnie znajdowała się pufa okupowana przez jakąś dziewczynę, z której ust nagle wydobyło się nieprzytomne westchnięcie. To Fitzpatrick odwrócił się do białej tablicy na kółkach. Szare spodnie ciasno opinały jego zgrabny tyłeczek.

– Obawiam się, że zamiast tego całego nonsensu z gatunku „wstań i opowiedz nam o sobie” zostałam właśnie wytypowana na ochotniczkę do naszej dzisiejszej zabawy, Elodie – stwierdził. W międzyczasie zapisał czerwonym markerem moje imię. O dziwo – bez błędu.

– Nie może być ochotniczką, jeśli została wytypowana – poskarżyła się Damiana i obrzuciła mnie wrogim spojrzeniem. – Niektórzy z nas już od miesiąca czekają na swoją kolej, Fitz. Przecież to niesprawiedliwe.

– Jeny, skończ wreszcie narzekać. Wszyscy jesteśmy zmęczeni nieustannym brzęczeniem twojego głosu, dzieciaku.

Wow, okej. Myślałam, że sposób, w jaki Wren zwracał się do doktora Fitzpatricka, był całkiem nie na miejscu – tymczasem w drugą stronę funkcjonowało to niewiele lepiej. Zdecydowanie nie był typowym nauczycielem. Spodziewałam się raczej akademickiego robota usiłującego przeprowadzić nas przez podstawę programową tak szybko, jak to tylko było fizycznie możliwe. Tymczasem on sprawiał wrażenie normalnego człowieka. Było w tym coś odświeżającego. To, że zwracał uwagę osobom takim jak Damiana, też było plusem. Naprawdę polubiłam tego faceta.

A przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki nie kazał mi stanąć na środku sali.

– Dalej, Still...?

– ...water – uzupełniłam.

– Dalej, Stillwater. Wstawaj. Na środek, twarzą do nas. Masz robotę do zrobienia.

Zażenowana zerknęłam na Carinę, cicho licząc na cud. Miałam nadzieję, że będę mogła pozostać na swoim miejscu. Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Sorry, stara. Powinnaś była to przewidzieć – powiedziała przepaszającym tonem. – Idź tam i miej to już z głowy.

Ja pierdolę, co za koszmara. Podniosłam się z kanapy w tak zwolnionym tempie, jakbym co najmniej była do niej przyklejona. Gdy już stałam na środku sali, odwróciłam się do reszty uczniów z przywdzianym na twarzy szerokim, radosnym (fałszywym) uśmiechem. Na szczęście grupa była dość mała. W norze Fitzpatricka mieściło się około piętnastu uczniów, przypominających polegające całymi dniami rozpuszczone kociska.

– Co to za zabawa? – zapytałam przez zaciśnięte zęby, cały czas usiłując kontrolować swój uśmiech. Miałam wrażenie, że był o wiele za sztywny, by wyglądać naturalnie. Nie znosiłam takich rzeczy. Nie znosiłam zmieniania szkoły, nie znosiłam poznawania ludzi, nie znosiłam uczenia się nowych zasad. I zabaw też nie znosiłam.

Doktorowi Fitzpatrickowi pojaśniała cała twarz. Usadowił się na parapecie, tuż obok skórzanej kanapy Wrena. Chyba nie posiadał własnego biurka.

– Kto wyjaśni Elodie zasady?

Bawiło go to. Autentycznie czerpał przyjemność z siedzenia tutaj i uczenia ludzi. Mieszkałam w pięciu krajach, chodziłam do pięciu różnych szkół, a jeszcze nigdy nie trafiłam na nauczyciela, który lubiłby swoją pracę.

Prośbę postanowił spełnić chłopak opierający się o jeden z regałów na tyłach sali.

– To konkurs popularności – ogłosił ani nie podnosząc ręki, ani nie przestając bawić się kostką Rubika. – Stoisz sobie tutaj, zgodnie z rozkazem naszego czcigodnego władcy marionetek, i wymyślasz temat debaty. Musi być związany z książkami albo językiem. Jeśli grupa zaangażuje się w debatę, a Fitz nie zaśnie z nudów, z góry dostajesz piątkę z następnego zadania domowego.

Chwila...

Co?

Nauczyciel miał zaraz sprostować to wszystko i przedstawić prawdziwe zasady zabawy. Już za chwilę. Na pewno. *Prawda?* Ale doktor Fitzpatrick wciąż siedział na parapecie z całkiem radosnym uśmiechem na ustach. Nie miał nawet nic przeciwko temu, że został właśnie nazwany „czcigodnym władcą marionetek”.

Nie wiedziałam, co zrobić. Chciałabym móc powiedzieć, że nie obchodziły mnie oceny, ale prawda była taka, że między nimi a wysokością przelewu od ojca istniał ścisły związek. Dobrze wiedziałam, jak to miało wyglądać. Najwyższe możliwe wyniki z testów i zadań to ładna sumka, bardziej niż wystarczająca, by tu przeżyć. Zejście z dotychczasowej średniej, albo po prostu niesprostanie oczekiwaniom pułkownika Stillwatera, oznaczało marną wegetację.

Nie zdążyłam się jeszcze zorientować, jak tu wyglądała sytuacja z jedzeniem, ale na pewno w okolicy musiała być jakaś stołówka albo może nawet kawiarnia. Najbardziej optymistyczny scenariusz zakładał restaurację. Miło byłoby móc czasem przegryźć coś jadalnego, zamiast paść się zupkami chińskimi od rana do nocy. A piątaczka na samym starcie? To już zupełnie utrudniłoby ojcu zmniejszenie kieszonkowego.

– Ooooookej... – Wymyślania z marszu mądrych, interesujących tematów do dyskusji też nie znosiłam. Gdybym wiedziała, że coś takiego mogło się wydarzyć, w ogóle nie kładłabym się spać. Spędziłabym całą noc, szukając czegoś, co zaimponowałoby tym ludziom. Niestety jedynym, co przyszło mi do głowy, było: – Język angielski umiera. Współczesny slang, język Internetu i SMS-ów, tak zwany „textspeak”, wszystko to wysysa z niego życie i historię do tego stopnia, że już niedługo będzie musiał całkowicie ewoluować. Pod dyskusję.

Fitzpatrick zaczął klaskać, po czym zerwał się na równe nogi i rzucił do tablicy.

– Świetne. Nikczemnicy, niszczyście mój język tymi swoimi wiadomościami i obrzydliwym neandertalskim slangiem! Niech ktoś coś powie! Może pani usiąść, pani Stillwater. – Trącił mnie łokciem, a ja ze wzrokiem wbitym w ziemię pomknęłam w stronę sofy. *Co za, kurwa, szczęście, że spodobał mu się temat. Co za, kurwa, szczęście, że nie załamał mi się głos, a język nie zaczął płatać. Co za, kurwa, szczęście, że nikt mnie nie wyśmiał.*

Gdy, już bezpieczna, zasiadłam na kanapie, rozejrzałam się po sali, oczekując – nie, bojąc się momentu, w którym doktor Fitzpatrick miał się zorientować, że nikt nie zamierzał brać udziału w takiej debacie. Po drugiej stronie pomieszczenia ktoś głośno zamknął książkę. Ktoś inny kaszlnął. A potem...

Siedzący przy kominku czarnowłosy chłopak w znoszonym swetrze zabrał głos.

– Język cały czas ewoluuje. Uznać angielski za martwy tylko dlatego, że zmienia się i rozwija w określonym kierunku, to tak jakby powiedzieć, że człowiek wyginał, odkąd małpy ewoluowały w *homo sapiens*.

– Cóż. – „Władca marionetek” zakręcił czerwony pisak. Na jego twarzy widniał pełen samozadowolenia uśmieszek. – I co teraz powiecie?

Damiana od razu się poderwała.

– Ale z ciebie głupek, Andrew. Człowiek nie wyginał dlatego, że *homo sapiens* ewoluował. Staliśmy się czymś nowym. Nowym gatunkiem czy też nową gałęzią

człowiekowatych. To gatunek, od którego ewoluowaliśmy, wyginął. Nie na odwrót. To, co powiedziałeś, nie ma żadnego sensu.

– Czyli uważasz, że angielski nie ewoluuje? – zapytał doktor Fitzpatrick.

– Oczywiście, że ewoluuje. Na ogół jednak, gdy coś ewoluuje, zmienia się na lepsze. Nasze mózgi stały się większe i bardziej złożone, bo nauczyliśmy się mówić i komunikować za pomocą języka. Było to krokiem naprzód od prostszych, bardziej prymitywnych wersji naszych umysłów. Ale „textspeak” nie ulepsza języka. Jest zwykłym lenistwem i zarazą.

Nauczyciel aż zatarł ręce z uciechy.

– Słuchajcie, robi się coraz bardziej interesująco. Ktoś ma coś do dodania?

Wren usadowił się wygodniej, opierając plecy o podłokietnik sofy. Wyciągnął przed siebie nogi, splótł palce i oparł je o klatkę piersiową.

– Zejdź na ziemię, Dami. Non stop piszesz w tym stylu. Żadna z ciebie purystka.

– Wcale, że nie! – zaprotestowała żywo.

– „Lol”, „lmfao”, „btw”, „np”... Ciągłe wysyłasz mi tego typu gówna.

Ha. I dlaczego w ogóle mnie nie dziwiło, że Damiana i Wren ze sobą pisali? Byli siebie warci; tak samo podli. Nie zdziwiłabym się też, gdyby się okazało, że byli swoimi najlepszymi jebanymi przyjaciółmi.

– Przecież nie o tym mówimy – klóciła się Damiana. – To zwykłe skrótowce.

O. Mój. Boże. Niemożliwe. Wcale właśnie tego nie powiedziała. *Ona tak serio?* Ukryłam uśmiech za zeszytem. Dwieście stron czystych kartek w linie pomogły zębom powstrzymać usiłujący się wydostać śmiech.

– Wygląda na to, że się nie zgadzasz, Elodie – zauważył Fitzpatrick.

Nosz ja pierdołę.

Wbił we mnie rozbawiony wzrok. Może i powstrzymałam się od parsknięcia na komentarz Damiany, ale zupełnie zapomniałam o tych częściach twarzy, których nie udało mi się zasłonić. Levi zawsze powtarzał, że uśmiechałam się bardziej oczami niż buzią. Damiana odwróciła się gwałtownie, piorunując mnie wzrokiem.

– Dajesz, Stillwater. Skoro ci się wydaje, że jesteś taka, kurwa, mądra, to nas oświeć.

Wszyscy licealiści byli tacy sami. Nawet ci z nienormalnie drogich prywatnych szkół z internatem. Zmieniał się ich stopień bogactwa, uprzywilejowania, styl wychowania, społeczne zróżnicowanie, ale zawsze musiała się znaleźć ta jedna popularna dziewczyna, której się wydawało, że słońce świeci jej z dupy. Dobrze było wiedzieć, czego się spodziewać, ale ten jeden raz chciałam móc się obejść bez akcji rodem z *Wrednych dziewczyn*. Z doświadczenia wiedziałam jednak, że milczenie tylko pogorszyłoby sytuację. Już lepiej było wypowiedzieć swoje zdanie. Tak jak w naturze – okaż słabość i zaraz padniesz ofiarą drapieżników. Żadnej litości. Dlatego właśnie upewniłam się, że ręce mi nie drżały, opuściłam trzymany przed twarzą zeszyt i spojrzałam jej prosto w oczy.

– „Lol” i „btw” to akurat nie skrótowce, tylko akronimy. A tak się składa, że skrótowce, akronimy i emotki, wszystkie te rzeczy, tworzą „textspeak”. – Byłam pewna swoich słów. Pułkownik Stillwater nienawidził slangu we wszelkiej formie. Obiecał, że jeśli kiedykolwiek przyłapie mnie na używaniu takiego języka, od razu wyłamie mi palce. A ojciec prędzej złamałby komuś kość, niż dane słowo. Dzięki temu nigdy nie użyłam żadnego skrótowca.

Damiana patrzyła na mnie wilkiem spod posklejanych maskarą rzęs. Może innym ludziom taka ilość podkładu i konturowania się podobała, ale dla mnie to wyglądało, jakby namalowała sobie twarz kogoś innego.

– A może byś się tak po prostu, kurwa, przymknęła, co? Ledwie przyjechałaś, a już się zachowujesz, jakbyś była u siebie.

Wow. O co tej suce chodziło? Jakim cudem zdążyła poczuć się przeze mnie zagrożona? Nie kręciły mnie takie demonstracje siły i nie miałam najmniejszego zamiaru starać się o jej koronę. Chciałam tylko odrabiać grzecznie prace domowe, zgarniać same dobre oceny, żeby pułkownik Stillwater był zadowolony, i spierdolić jak najdalej stąd tuż po otrzymaniu świadectwa ukończenia szkoły. Carina cmoknęła ze zdegustowaniem.

– Luzuj, Dee. Może zejdziesz trochę z tonu, co? Elodie tylko... – nie zdołała dokończyć.

Twarz Damiany wykrzywiła się w obrzydzeniu.

– Elodie! Co to w ogóle za zjebane imię? Brzmi jak francuska kurwa.

– Ha! *La petite pute française* – ożywił się Pax ze swojego miejsca pod oknem. – Przyjmujesz euro, Stillwater? Czy dopiero za studolarówkę weźmiesz parówkę? Kursy walut nie mają się ostatnio zbyt dobrze.

– Hej, hej, hej. Starczy – przerwał im spokojnie Fitzpatrick, unosząc dłoń. Nie brzmiał ani na zszokowanego, ani na jakkolwiek przejętego słowami Damiany, czy nawet obrzydliwymi komentarzami Paxa. Mimo to w reakcji na jego leniwe polecenie w sali zapadła cisza. Pax mrugnął do mnie znacząco, po czym zagryzł końcówkę języka. Pewnie w myślach wybierał już spomiędzy serii sprośnych scenariuszy.

– Przykro mi, Dee, ale jeśli używasz tego typu wyrażeń w wiadomościach, to rzeczywiście posługujesz się „textspeak” – przyznał Fitzpatrick. – A jeśli...

– W życiu bym nie napisała do takiego zбочeńca! – wykrzyknęła.

– Robi to. – Wren krzywo się uśmiechnął i przymknął oczy. – Zazwyczaj po północy. I tak, „dtf”³ to też element „textspeak”.

Damiana wystrzeliła ze swojego miejsca. Wycelowwała palcem we Wrena, który przez zamknięte powieki nie mógł zobaczyć jej gniewu.

– Wrenie Jacobi, jesteś zwykłym dupkiem. W życiu nie poszłabym z tobą do łóżka, a już na pewno bym cię o to nie prosiła.

– Rozumiemy, a teraz siadaj. Wren, skończ pieprzyć, bo wylądujesz na dywaniku u Harcourt. Dobrze wiecie, że uwielbiam żywiołowe dyskusje, ale zeszliliśmy z tematu. Jak myślicie, co nasz staruszek Szekspir powiedziałby na te wszystkie nowe słowa, które dzisiaj tworzymy, żeby się porozumiewać?

I tak debata toczyła się dalej. Za każdym razem, gdy ktoś próbował ponownie skierować rozmowę w stronę seksu, Fitzpatrick przywoływał go do porządku. Siedziałam cicho, niezdolna do odwrócenia wzroku od Wrena. Gdy tylko na chwilę zapomniałam o tym, by na niego nie patrzeć, oczy same go odnajdywały, co w ogóle mi się nie podobało. Był jak rozgrywająca się na czyichś oczach tragedia, na którą nie można było przestać patrzeć – i to nie byle jaka. Minimum piętnastopojazdowy karambol z ofiarami śmiertelnymi. Jechałam wprost w niego, nie mogąc się zatrzymać. Co gorsza, nie miałam zapiętych pasów, a ten skurwysyn przeciął mi przewody hamulcowe. Już w tamtym momencie wiedziałam, że nie była to zwykła metafora.

Wren Jacobi był brutalny, wredny i zepsuty do szpiku kości. A ja nie potrafiłam przed nim uciec. Istniało realne ryzyko, że gdyby przyłożył mi kielich do ust, spragniona wypiłabym truciznę do ostatniej kropli. Jakbym umierała, a on był moim jedynym ratunkiem.

Wszystko, co mogłabym teraz zrobić, to zamknąć oczy z nadzieją, że koniec będzie szybki.

Piskliwy dźwięk dzwonka zagłuszył Pres – rudowłosą dziewczynę, którą poznałam wcześniej – i uczniowie zaczęli powoli opuszczać salę, narzekając głośno z powodu zadania domowego, które nauczyciel miał nam przesłać mailowo popołudniu.

Już na korytarzu, Carina westchnęła z ulgą.

– Boże, tak się cieszę, że to koniec.

Byłam prawie pewna, że nie chodziło jej o angielski, tylko o przebywanie w obecności Wrena i jego paczki.

U dołu stromych, krętych schodów szybko mnie przytuliła.

– Tutaj musimy się rozstać. Mam teraz hiszpański, sala od biologii jest u góry. Nie martw się, wszyscy powinni być mili.

Mniej więcej w połowie schodów usłyszałam sygnał przychodzącej wiadomości. Podekscytowana, wyciągnęłam komórkę z tylnej kieszeni spodni. Przez te cholerne strefy czasowe czułam się, jakbym czekała na ten moment już przez tydzień. Dziwne, że dopiero teraz ktokolwiek się odezwał. Spodziewałam się jakiegoś znaku życia już wcześniej, od Leviego albo reszty, ale przynajmniej...

Och.

Chwila.

Wiadomość nie była od jednego z moich przyjaciół z Tel Awiwu. Wysłano ją z nieznanego, amerykańskiego numeru. Jego początek – 929 – też nic mi nie mówił.

SMS był krótki i treściwy:

Chociaż spróbuj udawać, Stillwater. Z desperacją nie jest ci do twarzy.

WREN

Martwa matka.

Jedynaczka.

Malutka jak porcelanowa laleczka.

Piękne blond włosy.

Wiecznie skrzywione usta, które chętnie zobaczyłbym zaciśnięte wokół mojego kutasa.

Choć nie wiedziałem zbyt wiele o Elodie Stillwater, zaintrygowała mnie. Wzbudziła we mnie tak dobrze znaną, starą iskrę – była jak prawie zapomniana myśl, która teraz nie dawała mi spokoju. Zawsze obecna, zawsze gdzieś w podświadomości.

Prawda była taka, że ta plugawa, chora żądza towarzyszyła mi na długo, zanim ją poznałem. Podczas ostatniej wizyty w gabinecie Harcourt na stole leżała teczka z dokumentami, otwarta i błagająca o to, by ją przejrzeć. Od razu rzuciło mi się w oczy załączone do niej zdjęcie. Zawsze lubiłem ładne rzeczy. Na jej widok puls mi przyspieszył. To świadczyło o tym, że wzbudziła moje żywe zainteresowanie.

Miała na sobie biały strój marynarski, który był, jak się później dowiedziałem, wyjątkowo złośliwym wyborem mundurka szkolnego. Twarz na zdjęciu rozjaśniał szczery uśmiech. Śmiała się z kogoś lub czegoś stojącego za aparatem. Oczy wypełniała energia. Była taka niewinna. Taka nieskażona. O to właśnie chodziło. Ubrana na biało, z długimi blond włosami sięgającymi za łopatki, stanowiła chodzący obraz czystości. Od razu zapragnąłem ją skalać.

Zabrałem sobie to zdjęcie, a potem wyparłem się tego, gdy Harcourt mnie o nie zapytała. Dwa tygodnie, poprzedzające przybycie Elodie Stillwater, spędziłem na wpatrywaniu się w nie i masturbowaniu. Za każdym razem, gdy już miałem dojść, przestawałem. Czerpałem przyjemność z gniewu, jaki z czasem zaczął mnie rozsadzać na widok tej ślicznej twarzyczki.

Odkąd byłem małym dzieckiem, uwielbiałem wyrabianie w sobie odruchów bezwarunkowych. Wystawiałem się na ekspozycję jakiegoś bodźca, a następnie szkoliłem własne emocje tak, by móc osiągnąć oczekiwany rezultat. Nie znałem niczego lepszego od uczucia kontroli – i nad umysłem, i nad ciałem.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem jej uśmiech, postanowiłem, że ją znienawidzę.

Dlaczego?

A dlaczego, kurwa, nie.

Ot, dla zabawy.

By wypełnić czymś czas.

Przeciętność to cecha ludzi o słabej psychice. Zrobiłem wszystko, co możliwe, by upewnić się, że nic we mnie nie było średnie, nedorobione, zrobione na odwal. Łącznie z emocjami. Od pewnego czasu potrzebowałem naprawdę wiele, by cokolwiek poczuć. Mroczna obsesja? Zdrowa porcja zaintrygowania doprawiona szczyptą nienawiści? O tak, to mogło być to, czego potrzebowałem, by się otrząsnąć z tej nudnej, banalnej egzystencji.

Dlatego to ja czekałem na jej przyjazd. Zgłosiłem się na ochotnika, co samo w sobie powinno zaniepokoić władze Wolf Hall, z racji że w całym swoim pieprzonym życiu nigdy się do niczego dobrowolnie nie zgłosiłem. Ale musiałem przetestować swoją teorię. Musiałem sprawdzić, czy dni spędzone na torturowaniu się nie poszły na marne, a był na to tylko jeden sposób: spotkanie tej dziewczyny. Nawet jeśli oznaczało to, że spędzę dwie i pół godziny na

jebanym zimnie, wypalając ostatnią paczkę papierosów.

W końcu ją zobaczyłem. Wysiadła z limuzyny, gniewnie ciągnąc za szelki od plecaka. Moje ciało od razu wiedziało, co robić. Kutas zareagował wzorcowo. Nabrzmiął krwią i w ciągu kilku sekund był dumnie wyprężony, twardy jak stal. Jednocześnie myśli opanowała mi przemożna potrzeba zobaczenia jej łez, tak intensywna i gwałtowna, że z trudem oddychałem.

Zerznij.

Zrań.

Pociesz.

Zniszcz.

Tak perfekcyjnie balansowałem na tej cienkiej linii, że miałem wrażenie, jakbym właśnie się obudził w jebany świąteczny poranek. Nie ma to jak mała wewnętrzna walka na poprawę humoru. Po dwóch tygodniach czekania, przeszukiwania mediów społecznościowych i klikania w każde jej zdjęcie na Facebooku – *kto normalny w tych czasach nie miał prywatnego profilu?* – czułem, że dobrze znałem naszą nową uczennicę.

Była pełna sprzeczności.

I podobało mi się to.

Poprosiłem znajomego z Tel Awiwu, by trochę powęszył w jej historii rodzinnej. Trwało to o wiele dłużej, niż się spodziewałem, ale dzięki temu miałem przygotowanych przynajmniej piętnaście sposobów na uprzykrzenie życia Elodie. Potem z każdego z nich zrezygnowałem. Stałem przed jedyną okazją na to, by uwarunkować kogoś innego – by ją złamać i poddać swojej woli. Musiałem być ostrożny. Jeśli sprawiłbym, żeby od samego początku błagała o moją aprobatę, cała zabawa skończyłaby się zbyt szybko. Znudziłbym się. Nie miałem ochoty na szukanie nowych form rozrywki, którymi mógłbym zająć sobie czas do ukończenia szkoły. Z kolei, jeśli dałbym jej wolną rękę, mogłaby mi się wymknąć. Musiał istnieć jakiś złoty środek, a ja musiałem go znaleźć.

Ahoj, przygodo.

– W ogóle to złamałeś zasady – stwierdził Pax, odgryzając spory kawałek kanapki.

Ten człowiek kojarzył mi się ze skończonym barbarzyńcą. Żadnych jebanych manier. Tymczasem latem bawił się w modeling dla Calvina Kleina. Spacerował sobie po wybiegu w obcisłej bieliźnie. Poza fryzurą – wyglądał schludnie. Był dobrze zbudowany, przez co przypominał pieprzonego bohatera z amerykańskich filmów militarnych. Elegancki agent, eleganccy przyjaciele, eleganccy fani, marzący tylko o tym, by się nim stać. Całe to „ą-ę” towarzystwo nie miało pojęcia, kim Pax tak naprawdę był. A był bezwzględny, prostym stworzeniem, które lubiło niszczyć rzeczy, najchętniej rozrywając je własnymi zębami.

– Technicznie jest moja – kontynuował z buzią pełną jedzenia. – Ty miałeś Damianę, a Dash – Carinę. Teraz moja kolej.

Warknąłem i zacząłem pisać jeszcze szybciej. Wyrzucałem z siebie tysiąc słów na minutę, zdeterminowany, by skończyć powtórne pisanie durnego eseju o durnej wiktoriańskiej moralności przed rozpoczęciem dzisiejszej porcji zabawy.

– To nie wyścigi – burknąłem. – Przymknij się i przestań narzekać. Jesteś pierdolonym dorosłym mężczyzną. Chcesz dziewczynę, to ją sobie weź. W moich planach to niczego nie zmienia.

Czy obchodziło mnie, że Pax zrobił sobie z Elodie nowy cel? *Oczy-kurwa-wiście*. Był przystojny. W końcu pracował jako model Calvina Kleina. Przerznął już sporą część dziewczyn z Wolf Hall, a do tego jakiś milion poza murami naszego żalosego, niesamowicie nudnego, ekosystemiku. Potrafił być naprawdę czarujący, jeśli tylko miał na to ochotę. Widziałem już dziesiątki inteligentnych kobiet, które polecały na to gównu. Elodie mogła być jedną z nich.

Jakkolwiek chujowo to nie zabrzmi... zobaczyłem ją pierwszy.

Zrobiłem dogłębny *research*. Przeczytałem o tej dziewczynie, co tylko się dało. Powtarzałem jej pełne imię w głowie – Elodie Francine Jemimah Stillwater – dopóki nie stało się dla mnie mantrą. Teraz czułem, jakby należała do mnie, a nigdy nie potrafiłem się dzielić swoimi rzeczami.

Mieliśmy zasady nie bez powodu. Nasza posiadłość – Riot House – z pewnością upadłaby bez jakiegoś rodzaju systemu. Może i była nas tylko trójka, ale z taką kombinacją charakterów prędzej czy później skończylibyśmy martwi. Potrzebowaliśmy od czasu do czasu zaznaczyć granicę, której nie wolno nam było przekroczyć – nawet jeśli przypominała rysowaną na piasku linię.

Pax odchrząknął, zgniótł papier z Subwaya i rzucił nim do kosza stojącego po drugiej stronie pokoju. Nie powinien tu w ogóle wchodzić, gdy pracowałem, ale próby utrzymania go z daleka zupełnie miały się z celem. Z czasem człowiek się uczył, że łatwiej było nie stawiać mu oporu. Milczał przez dłuższą chwilę, co oznaczało, że poważnie się nad czymś zastanawiał. Zanim się odezwał, zdołałem napisać kolejne trzysta słów.

– A co powiesz na... wymianę?

Natychmiast przestałem stukać w klawiaturę i odwróciłem się w stronę Paxa. Jego wyraz twarzy był niepokojący.

– Rozwiń – rozkazałem, mrużąc oczy. Bywał podstępny. Nie tak jak ja, ale należało mieć się na baczności.

Wydał dolną wargę, wpatrując się w sufit. Zachowywał się zbyt nonszalancko, musiał chcieć czegoś dużego. Większego od Elodie. Wciąż jednak planował udawać, że proponował sprawiedliwą wymianę. O cokolwiek chodziło.

– Łódka – rzucił beztrzesko. – Ty jesteś tutaj, a ona na Korsyce, kompletnie samotna. Pożycz mi ją na przerwę międzysemestralną, a nawet nie tknę tej dziewczyny.

Ha. Mówił o Contessie, jakby była jebanym żaglowcem, a nie długim na trzysta metrów luksusowym jachtem z siedmioma sypialniami. Chłuba ojca. Zostawiona z Paxem bez nadzoru prawdopodobnie skończyłaby na dnie Morza Śródziemnego. W następstwie czego ojciec by mnie podpalił, oskubał, a na koniec wydziedziczył.

– Na tydzień – targowałem się.

Pax się spiął, a po jego rozluźnionej pozie nie było już nawet śladu.

Czas na negocjacje.

– Gościu, dwa tygodnie. Cała przerwa. Nie będę leciał na drugi pieprzony koniec świata dla marnego tygodnia.

– Dziesięć dni. To moja ostateczna oferta.

– No to nici z umowy. Będziesz musiał się wycofać.

Zmusiłby mnie do zrobienia tego, gdyby tylko chciał. Wystarczyłoby, żeby zaangażował Dasha i w dwójkę zagłosowałiby, że mam trzymać się z daleka od Elodie aż do jebanego końca świata. Takie zasady. Staraliśmy się unikać tego typu rozwiązań, bo na ogół kończyły się mniejszymi bądź większymi obrażeniami, ale nie byłoby to niespotykane. Elodie musiała naprawdę spodobać się Paxowi, co tylko bardziej mnie na nią nakręciło.

Ale przecież ona już była moja. To, że rościł sobie do niej jakiegokolwiek prawo, burzyło mi krew w żyłach.

– Dziesięć dni, Pax. Polecisz sobie później odwiedzić mamę w Pradze.

– A na chuja miałbym chcieć to zrobić? – Wyglądał na szczerze przerażonego.

– Dobra. Niech ci będzie. Łódź jest twoja przez dwa tygodnie czerwca. Ale jeśli się dowiem, że znowu robięś koktajle Mołotowa, zwołam kurewską żandarmerię.

Dupek jedynie szerzej się uśmiechnął. *Boże, co ja wyprawiam?* Już teraz czułem w kościach, że cała ta sprawa skończy się absolutną katastrofą.

– Nie ciesz się tak. Nawet stąd widzę, jak się śmiejesz w środku tego pustego łba – burknąłem, odwracając się z powrotem do biurka. Wiedziałem, że już nic nie napiszę. Czułem ulgę z powodu wyjaśnienia się stanu własności Elodie Stillwater, ale samo zaistnienie takiej sytuacji pozostawiło mnie z niesmakiem, którego nie potrafiłem się pozbyć.

Tydzień po kradzieży zdjęcia zrobiłem kopię reszty dokumentów, z wszystkimi jej osobistymi informacjami. Zamierzałem zadzwonić, zanim jeszcze w ogóle przyjechała, żeby móc ją usłyszeć i przestać sam siebie doprowadzać do szału zastanawianiem się nad brzmieniem jej głosu. Wtedy udało mi się opanować – ale po angielskim musiałem do niej napisać. Chciałem ją zdenerwować i z oddali obserwować reakcję, której finalnie praktycznie nie było. Na początku wyglądała na zdezorientowaną; pewnie dlatego, że nie знаła mojego numeru. A potem jej twarz całkowicie zubożyła.

Żadnego strachu, złości, irytacji, niczego. Jediną emocją, jaką udało mi się wypatrzyć z mojej pozycji pod ścianą, był krótki przeblask rozbawienia. Potem schowała telefon i pobiegła w stronę sali od biologii, nawet się za siebie nie obejrzała.

– Właściwie to dlaczego tak ci zależy na tej dziewczynie? – zapytał Pax, standardowo robiąc masę hałasu. Jednym pstryknięciem otworzył puszkę pringlesów, której wieczko poszybowało na drugą stronę pomieszczenia. Wsadził rękę do środka, wyciągnął rząd chipsów i napchał ich sobie do ust.

Wystukałem kolejne zdanie, wpatrzony w ekran laptopa.

– Nie zależy mi na niej. Nic dla mnie nie znaczy.

– Gówny prawda, Jacobi. Po Marze dziewczyny w ogóle cię nie interesowały i dobrze o tym wiesz.

BUM!

Chyba właśnie rozwalilem laptopa.

Nie powinienem był zamykać go tak energicznie, ale Pax też nie powinien wypowiadać tego imienia w mojej obecności. Był tego w pełni, kurwa, świadomy. Zamknąłem oczy i wciągnąłem drżący oddech. W żyłach furia zmała moją krew.

– Cieszę się, że udało nam się dogadać co do Contessy – wycedziłem. – A teraz spierdalaj. Mówię serio. Muszę skończyć ten esej, a do tego potrzebuję jasnej głowy, w czym mi nie pomagasz takimi komentarzami, okej?

Czekałem, aż zaprotestuje. Jak przystało na dzieciaka wychowującego się w domu pełnym prawników, kłócenie się było jego drugą naturą. Mimo to ugryzł się w język.

– Jasne, stary. Luz. Skoczę po parę piwek, chcesz coś?

Zaciskałem szczęki tak mocno, że aż zaskrzypiały, gdy spróbowałem je otworzyć.

– Pół litra whisky.

– Ho, ho, i to tak w środku tygodnia? Takiego cię lubię. – Po tych słowach sobie poszedł, nucąc pod nosem jakąś durną piosenkę, a ja znieruchomiałem, oczami wyobraźni widząc przed sobą Elodie Stillwater.

Dlaczego mi tak na niej zależało?

Bo była niewinna, a ja nie.

Bo była zdrowa, a ja nie.

Bo była nieskażona, a ja nie.

A przede wszystkim dlatego, że będzie wyglądała tak cholernie pięknie, gdy już doprowadzę ją do płaczu.

ELODIE

– Powinnyśmy poznać się już wczoraj, panno Stillwater, ale z doświadczenia wiem, że dobrze jest dać uczniom dzień czy dwa na zadomowienie się. Byłam przekonana, że Carina sprawdzi się w roli przewodniczki. To dobra dziewczyna. Na pewno może też być wspaniałą przyjaciółką, jeśli takiej szukasz. Najmocniej przepraszam, że dostałaś pokój aż na czwartym piętrze, ale na niższych poziomach nie było nic wolnego. Proszę przekaż to ojcu. Pan pułkownik Stillwater bardzo jasno wyraził swoje oczekiwania związane z tym, że chce, abyś zamieszkała na drugim piętrze, ale naprawdę nic nie mogliśmy zrobić. Może w następnym semestrze...

– Pani dyrektor – przerwałam – to żaden problem, naprawdę. Mogę zostać na czwartym piętrze, nie mam nic przeciwko.

W porządku, wspinanie się na samą górę nie należało do najprzyjemniejszych, podobnie jak przenikliwe zimno czy przebywanie w bliskim sąsiedztwie Damiany, ale w praktyce nieszczęśliwie mnie obchodziło, gdzie miałam spać w tym zapomnianym przez Boga i ludzi miejscu. *Jeden piernik.*

Dyrektorka Harcourt skinęła głową, nieznacznie wiercąc się na krześle. Miała imponujący gabinet – dokładnie tak samo stary i pełny przeciągów, jak cała reszta Wolf Hall, a jednak był też przy tym jasny oraz przestronny. Dzięki temu człowiek nie czuł się w nim aż tak przytłoczony. Kobieta wyglądała na mniej więcej pięćdziesięciolatkę z odrobiną siwych włosów, zwiniętych wraz z resztą w ciasnego, ciemnego koka. Nie potrafiła skupić na niczym wzroku. Jej spojrzenie ślizgało się po całym pomieszczeniu – od książek, przez dyplomy na ścianach, aż po więdnący na biurku skrzydłokwiat, ale ani razu nie zatrzymało się na mnie.

– Miałam przyjemność poznać twojego ojca. Dość onieśmielający z niego człowiek – przyznała na wydechu.

Onieśmielający? Gdyby tylko wiedziała... Bawiłam się jabłkiem, które trzymałam w ręku. Zdrewniały ogonek urwał się i upadł na podłogę.

– Tak. Jest powszechnie szanowany.

Mogłabym powiedzieć o wiele, wiele więcej. O nocach, które spędziłam skulona pod kołdrą. O tym, jak się bałam, że w każdej chwili mógł wtargnąć do środka. Może wtedy by zrozumiała, jak nieistotne było dla mnie, na którym piętrze Wolf Hall znajdował się mój pokój. Byle tylko był tak daleko od niego, jak to fizycznie możliwe.

– Dobrze – podsumowała niezręcznie, po czym otworzyła górną szufladę biurka. Wyciągnęła kartkę papieru, którą następnie położyła przed sobą i przesunęła w moją stronę. – Bardzo mi przykro, ale takie mamy tutaj procedury, dlatego dla formalności muszę odczytać ci parę kluczowych zasad z porozumienia spisane między uczniami a nauczycielami. Są bowiem rzeczy, których w Wolf Hall absolutnie nie tolerujemy. Należy do nich posiadanie bądź użytkowanie narkotyków, a także jakakolwiek forma... – chrząknięcie – ...spółkowania. Kontakty seksualne są zakazane. Piętra podzielono ze względu na płeć. Chłopcy i dziewczęta nie mogą się odwiedzać w pokojach. Żadnego niestosownego dotykania się czy... czy... Cóż. Tutaj jest wszystko napisane, sama możesz sobie przeczytać. W weekendy opuszczanie akademii jest dozwolone, ale drzwi zamykamy równo o dziewiątej. Od poniedziałku do piątku wyjście poza teren Wolf Hall nie będzie możliwe. Jeśli ktokolwiek to zrobi bez uzyskania wcześniej pisemnej zgody ode mnie lub innego członka ciała pedagogicznego, będzie musiał ponieść tego

konsekwencje. Na liście są też inne podpunkty, z którymi zapoznaj się w wolnym czasie. Rozumiem, że żadna z tych rzeczy nie będzie problemem?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziałam szybko.

Jezu, za kogo ta kobieta mnie miała? Z kim ja się tu niby miałam spoufalać? Nigdy wcześniej nawet nie byłam w New Hampshire. To miejsce równie dobrze mogłoby być dla mnie siódmym kręgiem piekła. Tak czy owak nie było z niego ucieczki.

– Wspaniale. A teraz, jeśli pozwolisz, czeka na mnie trochę papierkowej roboty. O ile dobrze pamiętam, powinnaś się już zbierać na lekcję francuskiego. Jestem pewna, że ci się spodoba, w końcu to twój pierwszy język.

– Tak naprawdę nigdy nie uczyłam się fra...

– Wyśmienicie – przerwała mi. – Zmykaj już. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zgłoś się do sekretariatu. Z chęcią ci pomogą. Miłego dnia, Elodie.

Tak szybko wyprosiła mnie z gabinetu, że ledwie zdążyłam zabrać swoje rzeczy, nim zatrzasnęły się za mną drzwi.

Wzięłam głęboki oddech, zarzucając na ramię plecak. Nie miałam pojęcia ani gdzie odbywał się francuski, ani nawet w którym kierunku powinnam iść, a że Carina, która poszła już na swoje lekcje, wczorajszego ranka wyrzuciła moją mapę, czułam się mocno zagubiona. *Bez przewodnika jestem komple...*

Nagle zauważyłam ciemną sylwetkę, czającą się u początku korytarza prowadzącego do gabinetu dyrektorki. Oblał mnie zimny pot.

Cholera.

Część mnie, która wierzyła w naukę, wiedziała, że ten stary, krzywy i nieustannie skrzypiący budynek wcale nie był nawiedzony, ale ta tajemnicza postać zdecydowanie mogłaby robić za ducha, a właśnie zmierzała w moim kierunku.

Może się myliłam, ale miałam niemal całkowitą pewność, że żadna z taktyk, których nauczył mnie ojciec, nie działała na zjawiska paranormalne. Rozkazałam swojemu sercu, by się uspokoiło. Przełknęłam gulę w gardle, zrobiłam krok do przodu i... moim oczom ukazał się Wren Jacobi, który właśnie wkroczył w snop migającego, słabego żółtego światła, rzucanego przez kinkiet znajdujący się na ścianie.

Nie wiedziałam, czy powinnam odczuć ulgę, czy raczej bać się jeszcze bardziej.

Jego blada skóra tak wyraziście kontrastowała z czarnymi ubraniami, że wyglądał jak żywy negatyw zdjęcia. Po wczorajszym angielskim już go nie widziałam, więc przekonałam samą siebie, że dzisiaj też tak będzie. Jak widać, było to głupie i naiwne. Stał przede mną – ekscytujący, a przy tym bardziej przerażający niż jakakolwiek zjawia.

Korytarz był szeroki, ale nie na tyle, bym mogła przemknąć obok, nie zauważając go. Schyliłam głowę, żeby go szybko wyminąć, gdy...

– Stillwater. – Moje nazwisko odbiło się echem po korytarzu, dzwoniąc mi w uszach. Głos chłopaka był zimny i twardy. – Wysłali mnie, żebym cię odprowadził do klasy. Chodź.

A, no to... zaje-kurwa-biście.

Brzmiał na wkurzonego, że przydzielono mu takie zadanie. Podeszłam do niego wolnym krokiem, próbując odwlec w czasie moment, w którym muszę stanąć z nim twarzą w twarz w ograniczonej przestrzeni, gdzie nie moglibyśmy już unikać swojego wzroku. Mimo moich starań, stało się to o wiele za szybko i nie czułam się na to gotowa.

Boże, jego oczy były takie zielone... Nigdy wcześniej takich nie widziałam. Patrzył na mnie z góry w milczeniu. Nawet nie mrugnął. Jedyne wargę drżała mu, jakby powstrzymywał się przed skrzywieniem w obrzydzeniu. Dłonią przecesał gęste fale włosów. Nozdrza zadrgały, gdy wypuścił nimi oddech.

– Postaraj się zapamiętać drogę – rzucił szorstko. – Drugi raz ci jej nie pokażę.
Nie chciałam nawet, by pokazywał mi ją pierwszy raz.

Odwrocił się do mnie plecami, po czym ruszył żwawo w stronę wschodniego skrzydła akademii. Na jeden jego krok przypadały trzy moje. Szedł przede mną, zaciskając i rozluźniając masywne pięści. Emanował napięciem.

Wszystkie zajęcia odbywały się za solidnymi dębowymi drzwiami, skutecznie blokującymi dźwięki. Na korytarzu panowała kompletna cisza przerywana naszymi krokami. Przeklełam w duchu sama siebie, odrywając wzrok od tyłka chłopaka. Staralam się wierzyć w to, że wcale go nie pochłaniałam wzrokiem i wcale nie przyglądałam się jego jeansom, które opadły tylko odrobinę za nisko, odsłaniając czarny pasek od bokserek. Wcale. Oczywiście, że nie.

Ogarnęła mnie fala gorąca i niewytłumaczalnego wstydu. Gdybym przyjrzała się tym uczuciom bliżej, odkryłabym, że istnieje wytłumaczenie dla tego stanu rzeczy. Miało bardzo dużo wspólnego z tym, jak wyglądały usta Wrena, gdy w czasie wczorajszych zajęć Fitzpatricka wypowiedziały słowo „rznąć”.

Na samo wspomnienie czułam przyjemne dreszcze. Potrząsnęłam głową, by pozbyć się tych myśli. Szybko zastępowały je jednak nowe – karmione widokiem Jacobiego. Było coś perwersyjnie fascynującego w krótkich, czarnych włoskach z tyłu jego szyi, odcinających się od reszty fryzury wyraźną linią. Wpatrywałam mu się w tył głowy, jakbym mogła w ten sposób przedrzeć się przez skórę i czaszkę, a następnie dostać do środka mózgu. Z każdą chwilą ręce coraz bardziej mi wilgotniały. Prawie podskoczyłam, gdy chłopak nagle zwrócił głowę w lewo i nieznacznie się pochylił. Zanim cokolwiek powiedział, przez sekundę pokazał mi swój profil.

– Więc przyłączasz się do Cariny.

– Przyłączam się?

Kącik ust drgnął mu ku górze, ale nie w uśmiechu. To było coś innego.

– Wybrałaś ją na koleżankę – sprostował.

– A. Tak, na to wychodzi.

– Interesujący wybór.

To był jeden z tych komentarzy, proszących się o pytania: „Ale co masz na myśli? Carina jest jakąś socjopatką? Powinnam trzymać się od niej z daleka?”. Coś w tym stylu. Na nieszczęście Wrena, spędziłam cholernie dużo czasu na analizowaniu ludzi i ich intencji – jeśli więc myślał, że tak łatwo mną manipulować, to się grubo mylił. Chciał mi coś powiedzieć o mojej nowej koleżance Carinie? Śmiało, droga wolna. Będzie musiał jednak sam się na to zdobyć, bez mojej pomocy.

Tak więc milczałam.

Wren Jacobi też już nic nie powiedział.

Szliśmy dalej wzdłuż korytarza, Wren prowadził, a ja podążałam za nim. Był nadmiernie wyprostowany, w ten charakterystyczny, zbyt pewny siebie sposób, w jaki chodzą wszystkie bogate dzieciaki. Skręcił w lewo, znowu w lewo, potem w prawo i nagle nie miałam już żadnego pojęcia, gdzie jestem.

To by było na tyle, jeśli chodzi o zapamiętanie drogi.

Chłopak nagle gwałtownie się zatrzymał i odwrócił, przez co prawie w niego wpadłam. Cudem wyhamowałam. Dzieliły nas jedynie jakieś trzy centymetry odległości. Zadarłam głowę do góry, podbródkiem praktycznie wskazując sufit. Dopiero wtedy byłam w stanie spojrzeć mu w oczy.

– Co ci powiedziała o Riot House? – zażądał.

– W sensie?

– Carina na pewno już ci o nas mówiła. Chcę wiedzieć co.

Chryste. Rzucał rozkazami w tak kategoryczny sposób, jakby nikt nigdy nie odmówił mu udzielenia pożądanej informacji ani nie powiedział, żeby się pierdolił. Zupełnie jakby nie przyjmował do wiadomości istnienia alternatywnej rzeczywistości, w której każda napotkana osoba nie podporządkowywała się automatycznie jego woli. *Te oczy*. Najjaśniejszy istniejący jadeit nakrapiany drobinkami bursztynu i złota. Były tak niespotykane, że niemal wyrzuciłam z siebie odpowiedzi na pytania, których nawet mi nie zadał.

Gorzka czekolada.

The Beatles.

Rok 1984 Orwella.

Na szczęście wciąż twardo stapałam po ziemi, a moja podejrzliwa natura szybko podsunęła mi własne pytania: „Dlaczego chciał to wiedzieć? Czy Carina została zobowiązana do milczenia na temat Riot House? Czyżby dom Wrena był jakimś tematem tabu?”

Może udzielanie na ten temat informacji niesło za sobą groźbę... *Kurwa*. Nawet nie chciałam myśleć o tym, jaki rodzaj kary Jacobi wymierzyłby osobie na tyle głupiej, by mu się przeciwstawić. Na pewno nie byłoby to nic miłego.

Wróciłam pamięcią do słów, które Carina wydukała na temat tego miejsca, i uznałam, że podzielenie się nimi było nieszkodliwe. Nie żeby zasługiwał na wyjaśnienia.

– Powiedziała, że tak się nazywa miejsce, w którym mieszkasz ty, Pax i Dash. Tyle.

Zmrużył oczy. Chyba mi nie wierzył.

– A co z tym, co tam robimy? Słyszałaś o naszych zasadach?

– Nic nie wiem o żadnych zasadach. Typie! To, co robisz za zamkniętymi drzwiami własnego domu, w ogóle mnie nie interesuje. To nie moja sprawa.

Wypuścił powietrze nosem, wyraźnie niezadowolony. Chyba powiedziałam coś nie tak.

– Okej, typiario. W takim razie powiedz jej, że ma tak pozostać. Jeśli dowiemy się, że rozpowiada ludziom jakieś chore gówno, to...

– Tutaj jesteście! Panie Jacobi, co pan wyprawia? Prosto do gabinetu, a potem prosto do sali. Taka była umowa, czyż nie? – Za Wrenem pojawiła się wysoka kobieta o piskliwym głosie. Miała kręcone blond włosy i jasnoniebieskie oczy. W ręce trzymała otwarty podręcznik. Nasze spojrzenia się spotkały, a ona się uśmiechnęła.

Mięśnie żuchwy chłopaka drgnęły w irytacji.

– Właśnie mieliśmy wejść – burknął.

Trącił mnie czubkiem brązowych, skórzanych butów, zachęcając w ten sposób do pójścia przed nim w stronę blondynki, której twarz całkowicie już pojaśniała.

– Pierwszy raz mam Francuzkę za uczennicę, Elodie. Nazywam się Madame Fournier. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wreszcie usłyszę na lekcji kogoś mówiącego płynnie.

– Ona w ogóle nie zna francuskiego – wtrącił Wren, przeciskając się obok kobiety.

– Okazuje się, że nasza mała francuska kurewka wcale nie jest taka francuska.

– Panie Jacobi! – oburzyła się Madame Fournier. – Proszę natychmiast przeprosić pannę Stillwater, i to już!

Chłopak zatrzymał się tuż przy nauczycielce – na tyle długo, by pochylić się do jej twarzy i spojrzeć na nią przez niesamowicie długie rzęsy z wyrazem niemej pogardy.

– A jakie mam inne opcje? Bo na chwilę obecną wyczerpałem swój limit przeprosin.

– *Aller en enfer*⁴ – fuknęła, cała czerwona.

Uśmiechnął się.

– Przekonaj staruszka, żeby trochę wyluzował, a od razu się tam udam. W międzyczasie będę w tylnym rzędzie sali, jak w każdy wtorek, aż do jebanego końca świata. – Wyprostował się. W tamtym momencie przypominał ogromnego potwora odzianego w czarną bluzkę i podły

uśmieszek. Obrzucił mnie znudzonym spojrzeniem. – Rusz się. Obok mnie jest wolne miejsce.

Chwycił mnie za nadgarstek.

Czułam się, jakby zaserwowano mi elektrowstrząsy, kumulujące się w klatce piersiowej. W mojej głowie rozległo się gwałtowne dzwonięcie, głośniejsze niż fale wzburzonego morza, uderzające o brzeg.

Trzyma mnie za nadgarstek.

– Potrafię iść sama – poinformowałam go spokojnym głosem. – Nie ma potrzeby, żebyś mnie gdziekolwiek prowadził.

Jeśli w ciągu pięciu sekund nadal będzie mnie dotykał, sama się wyrwę. Kopnę go w jaja. Wylamię mu pierdolony palec.

Pięć...

Cztery...

Trzy...

Wren puścił mój nadgarstek z irytującym uśmieszkiem na twarzy.

– Nie wiem, co mnie naszło. Do zobaczenia w środku.

I poszedł, zostawiając mnie samą z wciąż poruszoną Madame Fournier, która mamrotała coś bezustannie o manierach i o tym, że „chłopcy to chłopcy”. W jej oczach widziałam nerwowość, a gdy zamknęła podręcznik i wetknęła go sobie pod pachę, nie była w stanie ukryć drżenia dłoni.

Wewnątrz klasy ze ścian zwisały ogromne flagi Francji. Obok czarnej tablicy znajdował się typowy, obowiązkowy element takiej sali, a więc oprawione zdjęcie wieży Eiffla – zaraz obok Luwru i portretu Édith Piaf. Rozejrzałam się pobieżnie po sali, po czym doszłam do wniosku, że nauczycielka francuskiego musiała znajdować się bardzo nisko w hierarchii Wolf Hall. Podczas gdy doktor Fitzpatrick otrzymał ogromne, jasne biuro z wystarczającą ilością przestrzeni na minibibliotekę i na otwarty kominek, jej sala była rozmiarów przydomowej komórki. Posiadała dwa okna, zero charakteru i zamykane biurka, które wyglądały, jakby pochodziły z lat trzydziestych.

Do tego... Aha. No to, kurwa, super.

Faktycznie było tylko jedno wolne miejsce. Tak się składało, że obok siedział dobrze mi już znany, ponury, czarnowłosy dupek, którego uchwyt wciąż czułam wokół nadgarstka. Nie zacisnął palców. Nie pociągnął mnie za sobą. Po prostu mnie dotknął, a ja czułam, jakby mnie naznaczył, jakbym już zawsze miała nosić na sobie jego ślad.

Sylwetkę miał zbyt komicznie dużą i niezgrabną, by zmieścić się w ławce. Siedział bokiem, oparty o tył krzesła, z nogami wyciągniętymi aż na przejście. Skierowałam się w jego stronę. Zielone oczy rozbłysły ciekawością z domieszką awersji.

Nie wypowiedział ani słowa, co było o wiele gorsze od otwartej wrogości. Zawiesiłam plecak na swoim krześle i wyciągnęłam zeszyt, usiłując opanować kłębiący się w brzuchu strach. Reszta uczniów uczyła się francuskiego całymi latami, a ja od śmierci matki nie usłyszałam nawet jednego słowa w tym języku, a gdy żyła, nic nie rozumiałam.

– Moi drodzy – Madame Fournier zwróciła na siebie naszą uwagę – przypomnijcie mi, gdzie to skończyliśmy? Simone, może mogłabyś kontynuować...

Nauczycielka wskazała na siedzącą w pierwszym rzędzie dziewczynę. Miała czytać dalej albo odmienić jakiś czasownik, albo zrobić jeszcze coś innego. Nie mogłam się skupić. Do moich nozdrzy nagle wdarł się natrętny, gryzący, nieznośny smród. O dziwo zaatakował jednocześnie i nos, i kubki smakowe.

O Boże. Co za obrzydlistwo.

Co to, kurwa, było?

Ja pierdolę, wydawało mi się, że mogę nawet poczuć smak na podstawie tego odoru. Stęchły, zgniły i jakby rybny? Cuchnęło tak bardzo, że musiałam walczyć sama ze sobą, żeby nie wychylić się za ławkę i nie zwymiotować.

Jakim cudem nikt inny nie zareagował na ten odór? Szybko rozejrzałam się po siedzących najbliżej uczniach. Żaden z nich nie zwracał uwagi na Madame Fournier. Pełni napięcia wpatrywali się niewidzącym wzrokiem w podłogę, dłonie albo leżące przed nimi arkusze z zadaniami. Dziewczyna na lewo wyglądała, jakby miała zaraz wybuchnąć. Jej policzki i czubki uszu przybrały kolor płomiennej czerwieni.

Wtedy uderzyła mnie kolejna fala rybnego aromatu i...

Na litość boską.

Przecież to dochodziło ze środka mojego biurka.

Nagle wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsca. No jasne. Ktoś musiał tam włożyć coś obrzydliwego i śmierdzącego, żeby zagrać mi na nerwach – a ja dokładnie wiedziałam, kto był za to odpowiedzialny. Oczywiście, że to sprawka Wrena Jacobiego. Wiedział, że będę tu siedziała. Nie zdziwiłabym się, gdyby zmusił kogoś, kto zazwyczaj zajmował to miejsce, do jego opuszczenia – tylko po to, by mieć dobry widok na moment podniesienia przeze mnie drewnianej pokrywy i odkrycia, cóż to za gówno wrzucił do środka.

Co za... pierdolony... dupek.

I co ja miałam teraz zrobić? Siedzieć w ciszy, znosząc ten fetor? Zezłościć się? Rozplakać?

Wątpiłam, by zależało mu na czymś konkretnym, chodziło bardziej o to, żebym zrobiła cokolwiek. Chciał reakcji. Najlepiej gwałtownej, jeśli dobrze zrozumiałam.

Pieprzyć go. Nic ode mnie nie dostanie.

Oparłam się o biurko. Przez resztę zajęć oddychałam przez usta i słuchałam nauczycielki. Pisałam w nieludzkim tempie, próbując zanotować wszystkie ćwiczenia, jakie musiałam nadrobić, a także wszystkie rozdziały, które musiałam przeczytać, jeśli chciałam mieć jakąkolwiek nadzieję na dogonienie reszty uczniów, którzy i tak byli już na wysokim poziomie.

Pułkownik Stillwater dobrze wiedział, że nie mówiłam po francusku. Matka zawsze chciała mnie tego nauczyć. Gdy byłam mała, próbowała nawet mówić do mnie w tym języku w domu, podobnie zresztą było z angielskim – ale ojciec za samo sugerowanie takiego pomysłu prał ją do utraty przytomności. Teraz oczekiwał, że rozpocznę naukę od zera i będę zgarniać same najwyższe oceny. W przeciwnym razie miały mnie czekać okropne konsekwencje. Tylko ta myśl zdołała mnie na chwilę rozproszyć. Mimo atakującego wszystkie zmysły smrodu, udało mi się skupić na lekcji.

Przez cały ten czas Wren Jacobi dosłownie kipiał ze złości.

Czułam jego niezadowolenie tak namacalnie, jakby przybrało formę dłoni trzymającej mnie za tył karku i dociskającej do ziemi, dopóki nie upadłabym na kolana. Nie podobało mu się, że zignorowałam jego uroczy prezent. W ogóle. Chciał, żebym otworzyła biurko i wzdrygnęła się w przerażeniu. Chciał, żebym zrobiła scenę.

Minuty ciągnęły się jak krew z nosa. Z zewnątrz sprawiałam wrażenie pełnej koncentracji, jakby wszystkim, co się dla mnie w tamtej chwili liczyło, była Madame Fournier i to skomplikowane, dezorientujące gówno, które zapisywała na tablicy. Ale wewnątrz? Wszystko się we mnie kotłowało. Byłam tak zła, że wręcz wibrowałam z gniewu. Za każdym razem, gdy Wren się poruszył, fizycznie zmuszałam się, żeby nie odskoczyć.

Nie bałam się go.

A może powinnam?

Najpierw miałam jednak zamiar poważnie się zastanowić i przyjrzeć temu, czy naprawdę

był moim wrogiem. Dopiero później zaczęłabym go tak traktować. Gdy w końcu zadzwonił dzwonek, mimo oddychania przez usta, żółć już podchodziła mi do gardła. Carina obiecała, że w czasie przerw będzie na mnie czekała przy głównym wejściu, dlatego chwyciłam za rozłożone przede mną kartki, długopisy i zeszyt, zarzuciłam plecak na ramię i ruszyłam w stronę drzwi, nie oglądając się za siebie. Gdy przekraczałam próg sali, czułam, jak Wren Jacobi wciąż wrzał w ostatnim rzędzie. Miałam wrażenie, że serce bije mi w gardle, wystukując pieśń wojenną.

W CIEMNOŚCIACH...

– Taka śliczna dziewczynka. Taka kochana. Tak cholernie rozpieszczona. Wydaje ci się, że nie można cię tknąć, co? Myślisz, że jesteś ponad karą? Ty mała kurewko. Nikt ci nie powiedział, że każda mała kurewka zostanie w końcu ukarana? Przecież na własne oczy widziałas, że tak właśnie jest. Śmiało, płacz dalej. Dobrze wiesz, że robię się od tego jeszcze twardszy.

Wstrętne, okropne, pełne nienawiści słowa przedzierały się przez małe otwory w stalowej skrzyni, przyprowadzając mnie o dreszcze.

Czułam od niego alkohol.

Słyszałam szaleństwo w głosie.

Te niewielkie szczeliny umożliwiały mi nie tylko oddychanie, ale i podglądanie tego, co akurat robił i jak się dotykał.

Poczułam też zapach spermy, gdy w końcu doszedł, obryzgując nią moje małe więzienie.

WREN

– Człowieku, konsekwencje są konieczne. Przecież muszą znać swoje miejsce.

Dashiell zaciągnął się fajką, którą właśnie mu podałem. Zacisnął usta, zatrzymując dym w płucach, i zmarszczył brwi spoglądając na nagą laskę wijącą się na ekranie komputera. Inni faceci pewnie woleliby odbywać swoje prywatne sesje na sex-kamerkach na osobności, ale Dash nie miał oporów przed cieszeniem się z opłaconych przez siebie usług w towarzystwie innych. Dash generalnie nie miewał żadnych zahamowań.

Miał za to erekcję, w czym tak naprawdę nie było niczego nadzwyczajnego. Stawał mu za każdym razem, gdy palił. To jakaś pojebana sprawa z przewodami w mózgu. Otworzony laptop z dotykającą się dziewczyną nie miał z tym nic wspólnego.

Wypuścił powietrze. Z ust wydobył się ledwie zauważalny kłęb dymu – resztę przyswoiły płuca. W eleganckich chinosach i szarym sweterku wyglądał, jakby się szykował na wyjście do kościoła. Przekrwione oczy należały do kogoś, kto właśnie wyszedł z piekła.

– Carina mnie chyba nie lubi. – Wskazał na mnie drugą stroną fajki. – Nie wiem, czy zauważyłeś, ale gdy tylko wchodzę do danego pomieszczenia, ona od razu je opuszcza. Gdybym był podejrzliwy, uznałbym, że czymś ją zasmuciłem.

Co za chory drań. Oczywiście, że ją zasmucił i dobrze o tym wiedział. Gra na emocjach była tak mocno wpisana w jego istnienie, że czasami zdarzało mu się zapominać, że w domu nie musiał robić takich rzeczy. Zabrałem mu fajkę, ze złością napełniając ją ziołem. Przyłożyłem do niej zapalniczkę i mocno się zaciągnąłem. Zbyt szybko. Wrzący, zbity i silnie działający dym przedarł się w dół gardła.

Czułem, że muszę odkaszląć, ale powstrzymałem się. Zmusiłem się do przeczekania tej desperackiej potrzeby z kwaśnym uśmiechem przyklejonym do twarzy. W końcu wypuściłem powietrze, bo piekły mnie oczy.

– Powinieneś trzymać się od niej z daleka – poradziłem. – Carina ma temperament. Jeśli nie będziesz uważał, następnym razem odetnie ci jaja.

– Ojeeej. Czyżbyś martwił się o moje jaja, Jacobi? – Dash zmierzwił mi włosy, kompletnie rujnując fryzurę: zaplanowany chaos zaczesany za jedno ucho. Paxowi uchodziły na sucho niektóre rzeczy (takie jak jedzenie na moim łóżku i brudzenie wszystkiego wokół), ale gdyby spróbował dotknąć moich włosów już by nie żył. Mieliśmy bardzo jasno określoną dynamikę. Nie lubiłem, gdy linie się zacierały. Wtedy wszystko się gmatwało.

– Twoje jaja mnie nie obchodzą, dupku. Prędzej czy później same zgniją i odpadną. Bardziej chodzi mi o to, żeby się nie wychylać. Chyba nie chcemy, żeby Harcourt znowu nasłała na nas swoje „minionki”?

Dashiell rzucił się na kanapę, bezwiednie chwytając za końcówkę swojego kutasa i ściskając ją przez spodnie. Ponownie zmarszczył brwi, patrząc na dziewczynę z ekranu, która właśnie robiła sobie palcówkę z nadzieją na uzyskanie jakiegokolwiek reakcji. Wykrzywił się zirytowany, po czym jednym ruchem zamknął laptopa i odsunął go od siebie. Przy okazji prawie zwalił stojącego na stoliku sztucznego kwiatka, którego kupił w zeszłym tygodniu, żeby „ożywić trochę to miejsce”.

– Dobra. I tak jestem już znudzony kobietami – ogłosił. – Pieprzyłeś kiedyś faceta?

To nie była jego sprawa. Z drugiej strony nie miałem powodu, by cokolwiek ukrywać.

Odkąd skończyłem dziewięć lat, każdy mój ruch był precyzyjnie wykalkulowany. Planowanie wszystkiego było wyczerpujące, ale przynajmniej niewielu rzeczy w życiu żałowałem. Jak mógłbym czegoś żałować, jeśli przed podjęciem działania robiłem listę wszelkich możliwych konsekwencji i uznałem ją za akceptowalną?

– Nie ma takiej rzeczy, której nie zrobiłbym choć raz, lordzie Lovett – przyznałem obojętnym tonem. – Nie przekonasz się, dopóki nie spróbujesz.

Jeśli zapytałby, czy podobało mi się ruchanie w dupę, ten jeden raz byłem gotowy złamać swoją zasadę nieokłamywania przyjaciół. Albo przynajmniej odrobinę ją nagiąć. Ale pytanie nie padło. Kiwnął tylko głową, a kąciki ust powędrowały mu do dołu. Wyglądał na zaskoczonego, gdy usadowił się wygodniej wśród poduszek.

– Może spróbuję – stwierdził. – Zawsze to jakieś urozmaicenie. Matka dostałaby ataku serca, gdybym przyprowadził na święta chłopaka. – Roześmiał się maniakalnie. Jabłko Adama podskakiwało mu w górę i w dół, gdy zamknął oczy, zarzuciwszy rękę na twarz. – Nie bierz tego osobiście, ale na pieprzenie ciebie akurat nie mam ochoty, Jacobi. Straszny z ciebie ponurak. Mógłbyś mnie ugryźć.

Parsknąłem krótkim śmiechem.

– A żebyś wiedział.

– W czasie rżnięcia pewnie też się wyżywasz, co? – Dash podniósł rękę, otworzył jedno oko i zerknął na mnie przez powstałą szczelinę. – Jeny, to musi być przerażające, gdy tak wisisz nad człowiekiem, zionąc siarką i jebanym ogniem piekielnym. To jak patrzeć śmierci prosto w oczy. Wiadomo, że zaraz zostaniesz wyniszczony od środka.

– Tak się składa, że jestem niezwykle delikatnym kochankiem.

Wstrząsnął nim tak histeryczny atak śmiechu, że prawie się udławił.

– Gównu prawda. Nie masz pojęcia, czym jest delikatność. Jebnąłby cię ktoś tym pojęciem w pysk, wybijając wszystkie zęby, a ty wciąż byś nie ogarnął tematu.

– I o takiej delikatności właśnie mówię.

Wyszczrzył dwa rzędy bardzo prostych i bardzo białych zębów. Gdyby lordowi Lovettowi seniorowi oraz jego czcigodnej małżonce pani Lovett jakkolwiek zależało na swoim synu, oszczędziliby mu tortury aparatu i pozwolili, by jego zęby pozostały odrobinę zakrzywione. Tymczasem z tak perłowym uśmiechem był po prostu idealny. Jego twarz była klasycznie przystojna; jednocześnie jednak stała się zupełnie nieinteresująca.

– Oczywiście, Księżę Ciemności. Czyli tak to będzie wyglądało z twoją małą Francuzką? Dotyk, który siniaczy? Pocałunki, które ranią?

Pocałunki, które ranią?

Prawie upuściłem fajkę, której właśnie miałem użyć, ale udało mi się zacisnąć na niej palce, zanim runęła na szklany stolik. Obraz, który wsadził mi do głowy Dash, sprawił, że praktycznie zacząłem dyszeć z podniecenia. Usta mnie paliły, podniebienie zaczęło łaskotać. Nie lubiłem smaku krwi, ale sama myśl o ugryzieniu Elodie na tyle mocno, by przerwać skórę...

Kurwa.

– Nie, ona mnie w ogóle w ten sposób nie interesuje – wyparłem się.

Brzmiałem w chuj przekonująco. Tylko dlaczego czułem się, jakbym właśnie wrzucił sobie do gardła garść ekstazy i wibrował w oczekiwaniu, aż zacznie działać? To wszystko nie miało żadnego pieprzonego sensu.

Dash swoim zwyczajem chrząknął pod nosem, co było jasnym znakiem, że dobrze mnie zna i nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Na twoim miejscu uważałbym na nią, bo jej staruszek jest na samej górze w hierarchii ludzi wpływowych – ostrzegł, odwdzięczając mi się odwróceniem dopiero co udzielonej mu

radę. – Wiesz, co się stanie, gdy twój ojciec się dowie, że zszargałeś reputację córeczki jednego z jego cennych znajomych. Będziesz musiał za to zapłacić.

Z racji, że każdą rzecz miałem dokładnie zaplanowaną, o tym też już oczywiście pomyślałem. Dokładnie zbadałem osobę Coloneła Jasona Andrew Stillwatera i rozeznałem się w temacie. Na moje szczęście, stary Stillwater nie należał do szczególnie lubianych ludzi. Mój własny ojciec, gdy mimochodem wspomniałem jego imię w czasie zesłotygodniowego telefonu, nazwał go zadufanym w sobie, apodyktycznym pojebańcem. A przecież mój ojciec lubił każdego – poza mną, oczywiście.

– Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej główki, Lovett. Wszystko jest pod kontrolą. Wiem, kiedy się zatrzymać. Zabawię się i przestanę. I tak mam w planach college, więc muszę oszczędzać energię. Prawdziwe przygody zaczną się w przyszłym roku.

– Wren... Bądź realistą – zganił mnie Dash. – Wpadłeś po uszy. To, jak się przy niej zachowujesz, jest klasyczną oznaką, że Jacobi właśnie znalazł sobie nowy przedmiot obsesji. I dobrze wiem, że doprowadza cię do szału, że nie otworzyła tego biurka.

Chciałbym, żeby nie miał racji. Nie powinienem być tak zdenerwowany tym, że Elodie nie odkryła rozszarpanych żabich nóżek, które tam włożyłem.

To była zagrywka godna przedszkolaka, ale zeszłej nocy wystarczyło mi jedno spojrzenie na nią, by wiedzieć, że ją po tym zemdli. Gdyby nie rozgryzła mnie wcześniej i rzeczywiście otworzyła to biurko, postradałaby zmysły. Niestety odebrała mi możliwość podziwiania jej reakcji, co rzeczywiście niesamowicie mnie wkurwiało.

– Nie martw się, mam plan – uciałem.

– Ja pierdołę, to nie brzmi dobrze – jęknął. Dzięki jego akcentowi przekleństwa zawsze brzmiały zabawniej. – Chyba nie zamierzasz włamać jej się do pokoju, prawda? Bo ostatnim razem, gdy coś takiego odwaliłeś...

Podpaliłem zioło, zaciągnąłem się słodkim, zbitym kłębem dymu i dmuchnąłem nim prosto w Dasha, który od razu się wyprostował, w gotowości do przejścia fajki. Wyciągnął rękę, domagając się swojej kolejki. Typ nie miał wstydu. Gdyby było inaczej, zrobiłby cokolwiek, żeby ukryć swoją erekcję. I nie miałem tu na myśli normalnego namiociku. Nie, ten jebany namiot pomieściłby ósemkę roślących facetów. Nawet nie chciałem sobie wyobrazić towarzyszącego mu bólu jąder.

– Nie zmieniaj tematu – zganił raz jeszcze, po czym głęboko się zaciągnął. – Co jak co, ale pamięć krótkotrwała to ja mam perfekcyjną. Pamiętam, co się działo, gdy ostatnim razem włamałeś się lasce do pokoju. I ty to chcesz powtórzyć w tym pokoju? Całkiem cię pojechało. Jeśli chcesz ją przeruchać, po prostu to zrób, wyrzuć to z siebie i zapomnij. Najlepiej jak najszybciej. Cokolwiek więcej... – Gałki oczne wyruciły mu się do wewnątrz czaszki, a już po chwili były całkowicie skryte pod powiekami. – Cokolwiek więcej skończy się dla ciebie źle, przyjacielu... Dobrze o tym wiesz.

ELODIE

Siostrę Elizabeth Mary Whitlock powieszono, bo podejrzewali ją o czary. Miało to miejsce w 1794 roku, w plebanii przyległego do Wolf Hall małego, gotyckiego kościółka. Dowiedziałam się o tym w środę po lekcjach, podczas zwiedzania z Cariną starego, rozpadającego się budynku. Przeczesywałyśmy sterty pokruszonych kawałków porozbijanych okien. Nieprzejrzyste odłamki przypominały oszlifowane przez fale szkło morskie. Carina znalazła wśród nich stary różaniec. Był piękny. Składał się z koralików wyglądających jak labradoryt przeplatany litym srebrem. Na końcu zwisał duży, delikatny pozłacany krzyżyk. Nie zatrzymałyśmy go. Za bardzo się bałyśmy, że mógł należeć do Elizabeth Mary Whitlock. Skończył pogrzebany na przepelnionym cmentarzu z tyłu kościoła, tuż obok nagrobka tak starego, że wyryte na płycie słowa były niemożliwe do odczytania.

W czwartek Carina pokazała mi ciemne, ciasne przejście, które było ukryte w schowku na miotły na końcu naszego korytarza. Zachęciła mnie do wejścia do środka.

Na początku byłam przerażona. Nie przepadałam za ciasnymi przestrzeniami. Przez ostatnie trzy lata robiłam wszystko, co tylko mogłam, by zapanować nad swoim lękiem. Zamykałam się w szafach, a potem w jeszcze węższych miejscach, w których ledwie mogłam się poruszyć. Uczylałam się, jak w nich oddychać, jak przetrwać ogarniający mnie strach. Na chwilę obecną potrafiłam funkcjonować z uporczywą klaustrofobią, ale perspektywa wejścia w tak ciemną wąską dziurę wciąż budziła we mnie niepokój.

Poza paniką, byłam też zwyczajnie podejrzliwa. Carina, z tym swoim sympatycznym uśmiechem i towarzyskim usposobieniem, traktowała mnie, jakbyśmy się przyjaźniły od lat. Część mnie – ta, która w przeszłości niejednokrotnie padła ofiarą upokorzenia czy przemocy ze strony innych uczennic – była przekonana, że właśnie mnie w coś wrabiano.

Mimo to postanowiłam wejść do środka. Ignorując gorączkowe bicie własnego serca i wstrzymując oddech, by nie nawdychać się kurzu, czołgałam się do przodu, dopóki nie wylądowałam w ogromnym pomieszczeniu. Był to strych z rzędem małych, brudnych okienek, które wychodziły na ogród oraz podjazd przed akademią.

Carina wydała z siebie okrzyk radości. Z zachwytem śledziła każdy mój ruch, gdy przeszukiwałam opuszczone, zagracone pomieszczenie. Nie mogłam się nadziwić skarbom znajduwanym w skrzyniach i gnijących kartonowych pudłach.

W piątek wszystkie dziewczyny z czwartego piętra – rudowłosa Pres, Rashida, Chloe, Loren, a nawet Damiana – zgromadziły się w pokoju Cariny, który był przynajmniej dwukrotnie większy od mojego. Rozsiadłyśmy się na pufach, jaśkach i poduszkach, żeby obejrzeć wspólnie *To właśnie miłość*. Wszystkich rozbawiło, że nigdy nie widziałam tego filmu. Zjadłyśmy popcorn na spółę. Opowiedziałyśmy sobie o swoich krajach, wspomnieniach z dzieciństwa i o tak różnym, a jednocześnie tak podobnym do siebie sposobie wychowania. Wszystko wydawało się takie nowe, a zarazem dokładnie takie same.

Gdy dowiedziałam się, że czekał mnie powrót do Stanów, byłam wściekła, ale i podekscytowana, bo wiedziałam, że wyjazd gdziekolwiek, byle jak najdalej od niego, jest dla mnie wybawieniem.

Teraz byłam tutaj i miałam nowych znajomych, przez co czułam się, jakbym naprawdę mogła być szczęśliwa. Zajęcia były w porządku i nawet Damiana trochę się do mnie przekonała.

Jedynym potencjalnym problemem mogli być chłopcy z Riot House, ale od wtorku żaden z nich nawet nie spojrzął w moją stronę.

Mój pokój przypominał kostnicę, bo był zimny i pełny przeciągów. Światło mrugało za każdym razem, gdy je włączałam. Łóżko było nierówne i cholernie niewygodne. Ale z pułkownikiem Stillwaterem po drugiej stronie świata? Chryste, ostatnio spałam tak dobrze... Cóż. Nigdy.

Pomijając Wrena, jak na pierwszy tydzień w nowej szkole ten był sukcesem.

Sobotni poranek rozpoczął się rozdzierającym uszy hukiem. Drzwi mojego pokoju otworzyły się gwałtownie, a ja z gulą w gardle zerwałam się na równe nogi. Automatycznie przyjąłem pozycję obronną – na co stojąca w progu Carina, ubrana w jasnopomarańczowy kombinezon, tylko uniosła brew.

– Wow, wow, wow, ale z ciebie Jackie Chan. O chuj z tym chodzi? Zamierzasz kopniakiem pozbawić mnie głowy czy co?

Odetchnęłam, szybko się wyprostowałam, a potem nerwowo zaśmiałam.

– No wiesz, ojciec wojskowy i te sprawy. Musztrował mnie mocniej niż swoich szeregowych. – Nie skłamałam. Powiedziałam prawdę. Po prostu nie cała. Carina była wspaniała oraz serdeczna, ale nie znałam jej na tyle dobrze, by móc jej o wszystkim opowiedzieć. Jeszcze nie. A może nigdy?

– Dosłownie każdego dnia dziękuję Bogu, że moi rodzice są po prostu leniwi i dlatego tu jestem. – Carina wzdrygnęła się, po czym poklepała mnie po ramieniu ze współczuciem. – Nie zostałam stworzona do tego, by chwilę po przebudzeniu wyskakiwać z łóżka w gotowości do walki. Zadziwiasz mnie.

Spałam w zbyt dużej koszulce piłkarskiej Realu Madryt. Teraz, nieswoja, pociągnęłam ją w dół tak, by na pewno zakrywała mi górę ud. Carina chyba kupiła tę wersję wydarzeń, a przynajmniej nie podejrzewała, że była tylko półprawdą. Zerknęłam na stojący na szafce nocnej stary zegar cyfrowy i jęknęłam.

– Boże, Carina, co ty wyprawiasz? Przecież jeszcze nawet nie ma siódmej!

– Zawsze wstajemy o tej porze.

– W trakcie tygodnia! Jest sobota! To już nie można sobie pospać? Trochę odpocząć, zrelaksować się? Budzenie człowieka przed ósmą rano w weekend powinno być karalne.

W odpowiedzi usłyszałam tylko śmiech.

– Jeśli nie jesteśmy na nogach przed siódmą trzydzieści w soboty, Harcourt angażuje nas w pomaganie przy śniadaniu. Utknęłabyś tam przynajmniej do południa, myjąc garnki i patelnie. A jeśli w niedzielę nie wyniesiesz się z budynku do ósmej, pan Clarence zmusi cię do uczestnictwa w swoim „ponadwyznaniowym nabożeństwie dziękczynnym”. A to, moja droga, jest gorsze od śmierci.

Cholera. Czekają mnie jeszcze dużo nauki w temacie sposobu funkcjonowania Wolf Hall. Prace społeczne brzmiały jak tortury. A „ponadwyznaniowe nabożeństwo dziękczynne”? *W życiu.*

– Czyli ile mi zostało? – zapytałam w drodze do szafy.

– Dwadzieścia pięć minut – poinformowała Carina, sprawdzając godzinę na komórce. – Przynic, makijaż i włosy. Przekroczymy czas o choćby sekundę i skończymy załadowując tace z owsianką jak jacyś skazańcy w mesie⁵, a ja nie włożyłam tego kombinezonu w autoironicznym geście. Ruchy, ruchy, ruchy!

Od pięciu dni mój świat ograniczał się do Wolf Hall. Zajęcia, ludzie, sam budynek... Mój

mózg musiał przyswoić tak ogromne ilości nowych informacji, że nie miałam czasu na choćby jedną myśl związaną z rzeczywistością istniejącą poza granicami nieskazitelnie przystrzyżonego trawnika akademii. Teraz, siedząc na miejscu pasażera sportowego auta Cariny, sfatygowanego ale klasycznego, mknąc wzdłuż wijących się dróg, z wiatrem we włosach – poczułam wolność. Wydawało mi się, że wszystko było możliwe.

New Hampshire w jesiennej wersji było zachwycające. Kalejdoskop barw: karminowej, ciemnej pomarańczy, rudobrunatnej, umbry, karmazynowej. Zimowe drzewa, wciąż uparcie trzymające się swojego listowia, zlewały się w niewyraźne plamy. Carina jechała serpentynami w dół góry z taką wprawą i z tak zawrotną szybkością, jakby w poprzednim życiu była kierowcą rajdowym. Już po chwili byliśmy w Mountain Lakes. Było tam mnóstwo małych, uroczych sklepików, budynki liceum, boisko do piłki nożnej – i to by było na tyle. Dodatkowo odkryłam, że miasteczko otaczały, zgodnie z nazwą, dwa obszerne i piękne jeziora, które aktualnie połyskiwały zachwycająco w słońcu.

Carina podjechała pod restauracyjkę o nazwie Screamin' Beans i zaciągnęła ręczny, nim auto zdążyło się zatrzymać. Odkąd zdałam prawo jazdy w Izraelu, nie miałam zbyt wielu okazji, by usiąść za kółkiem, więc pewnie nie powinnam się wypowiadać, ale ta dziewczyna w roli kierowcy odrobinę mnie przerażała.

– Wysiadamy – zarządziła. – Mają tu najlepsze śniadania, ale wcześniej przestają je wydawać, żeby nie musieć się użerać z dzieciakami z Wolf Hall.

– Ale... przecież my też nimi jesteśmy? – zawołałam za nią.

– My się nie liczymy! Chodź! – odkrzyknęła już w drodze do wejścia.

Wybrała stolik z narożnikiem, tuż przy szafie grającej w stylu vintage, a potem wygodnie się rozsiała. Usiadłam naprzeciwko, zastanawiając się nad tym, ile dokładnie musiała spożyć kawy, zanim otworzyła kopniakiem drzwi do mojego pokoju. To nienormalne mieć tyle energii o tak skandalicznej porze, nawet jeśli rzeczywiście pogoda była ładna.

– No proszę, a kogo my tu mamy? Panienska Carina Mendoza we własnej osobie. Już myślałam, że ci się umarło na tej górze, dziewczyno. Gdzieś ty była? W zeszły weekend całe ciasto cytrynowe nam się popsulo. Tylko dla ciebie je robimy. – Kelnerka uśmiechnęła się szeroko do mojej nowej koleżanki, swobodnie opierając się o narożnik. Obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem i klepnęła Carinę notatnikiem w głowę. – A kto to taki?

– Jazzy, to jest Elodie. Elodie, to jest Jazzy – przedstawiła nas sobie. – Pracuje w Screamin' Beans od dwudziestu pięciu lat.

– Dwudziestu! Od dwudziestu lat, dziewczyno! Nie postarzaj mnie! – Na niby obrażona włożyła notatnik do przedniej kieszeni fartucha. – Rozumiem, że nie macie dzisiaj ochoty na ciasto cytrynowe. Ani na kawę.

– O Jezu, Jazzy, co to za różnica, pięć lat w jedną czy w drugą stronę. – Carina złapała ją za rękę. – Dobrze wiesz, że będziesz wyglądała na gorącą osiemnastkę aż do dnia swojej śmierci. Nie odbieraj nam kawy, proszęęę!

– Dobra, dobra – skapitulowała roześmiana Jazzy, przewracając oczami. – Jakże bym mogła pozwolić, by takie biedne, niedożywione dziecko jak ty błagało o kawę. Zaraz wrócę. Ty też chcesz trochę kawy, dzieciaku? – zwróciła się do mnie.

– Poproszę herbatę. Jeśli macie. I trochę zimnego mleka?

Ta nietypowa prośba raczej nie pomogła mi zyskać w oczach Jazzy. Czarną kawę z ekspresu jeszcze by zrozumiała, ale herbata z mlekiem? Pewnie miała mnie za typowego bachora z wyższych sfer. Mimo to zapisała zamówienie i ruszyła w stronę kuchni.

– Większość jeździ do Frankonii w poszukiwaniu Starbucksa. Nie wiedzą, że mają tutaj taką dobrą kawę – poinformowała Carina.

– Rozumiem, że nie zdradziłaś sekretu?

– No ba, że nie! – Usta wygięły się w uśmiešku, brwi poruszyły dwukrotnie. – To moja tajemna miejscówka. Przyprawiam tutaj tylko najbardziej zaufanych ludzi.

– Dobrze wiedzieć, że do nich należę.

Już, już miała mi odpowiedzieć – widziałam, jak oczy zabłyśły celną ripostą – gdy nagle cała wesołość z niej uleciała. Dostrzegła coś nad moim ramieniem i całkowicie zmieniła postawę. Nad drzwiami rozbrzmiał dzwonek; znak, że właśnie pojawił się nowy klient. Carina skuliła się w sobie. Po entuzjazmie nie było śladu.

– Zazwyczaj trafnie oceniam, kto zasługuje na wstęp do Screamin' Beans, ale czasami nawet mi zdarzy się pomyłka.

Za plecami usłyszałam męski głos z silnym angielskim akcentem. Prosił o stolik dla trzech osób. W tym momencie zacisnęły mi się wnętrzności. Kto by pomyślał, że można tak szybko przejść ze stanu pełnego relaksu do niekomfortowego zmrożenia. Musiałyśmy stanowić niezły widok, gdy jednocześnie osunęłyśmy się na swoich siedzeniach.

– Może weźmiemy jedzenie na wynos? – zasugerowałam. – Znajdziemy jakieś inne fajne miejsce albo po prostu zjemy nad jeziorem?

Ewakuowanie się z knajpki tylko dlatego, że wszedł do niej Dashiell – najprawdopodobniej w towarzystwie Paxa i Wrena – było absolutnie gówniane, ale nie byłyśmy teraz w Wolf Hall. Nie chciałam, by zrujnowali nam weekend.

– Widział nas. – Carina potrząsnęła głową. – Jeśli teraz wyjdziemy, będzie to słabo wyglądało. Po prostu wyluzujmy i starajmy się miło spędzić czas. Przepraszam, nie chciałam tak zareagować, po prostu... Dashiell wie dokładnie, co zrobić, żeby zająć mi za skórę.

Mogła nie chcieć o tym rozmawiać, ale ciekawość nie dawała mi spokoju. Musiałam zapytać. Musiałam wiedzieć.

– Czyli... coś się między wami wydarzyło, tak? Coś... romantycznego?

– Ha! – Potrząsnęła ponownie głową, unosząc wzrok ku sufitowi. – „Romantycznego”? Pewnie można by to tak nazwać. Był czarujący i uprzejmy. Prawdziwy gentleman. Traktował mnie z szacunkiem. Zapraszał na randki. Takie naprawdę eleganckie. Sprawił, że czułam się wyjątkowa. Tak wyjątkowa, że myślałam, że byłam pierwszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek się zainteresował w ten sposób. Jeszcze ten cholerny akcent. Wpadłam po uszy, Elle. Zawsze uważałam, że jestem na tyle mądra, by nie dać sobie złamać serca jakiemuś dupkowi z tanimi tekstami. Powinnam to przewidzieć. Powinnam zobaczyć, kim był, z odległości jebanego kilometra, ale byłam zupełnie zaślepią. – Wciągnęła drżący oddech i kontynuowała opowieść. – Czekałam z seksem na tego jedyne. Nie pozwoliłam nawet na to, by ktokolwiek dotknął palcem mojego jebanego kolana. Byłam dziewicą. Taką przez duże „d”. Żadnego doświadczenia. I nagle wkracza lord Dashiell Lovett czwarty, ze swoim pieprzonym tytułem, dumą i manierami, spogląda mi głęboko w oczy, wyznaje miłość, a ja... – Z obrzydzeniem wyrzuciła ręce w powietrze. Gdy je upuściła, uderzyła kłykciami o stół, wyłabiając w drewnie wyraźne ślady. – Tak po prostu rozłożyłam przed nim nogi, jakby to nic nie znaczyło. Dwa dni później poprosił mnie, żebym przed obiadem spotkała się z nim w obserwatorium. Więc poszłam, cała w skowronkach. Nie mogłam się doczekać, aż go zobaczę i pocałuję, aż mu powiem, że totalnie się w nim zakochałam... i zastałam go z klęczącą przed nim Amalie Gibbons, ssącą jego kutasa.

Po policzku spłynęła jej pojedyncza łza. Serce zacisnęło mi się ze współczucia. Chwycałam jej dłoń, kręcąc głową. Nawet nie wiedziałam, co powiedzieć.

– A wiesz, co było najgorsze? – Zachichotała drżąc, ocierając niesforne łzy. – Najgorsze było to, że w ogóle go to nie obeszło. Nie był zażenowany. Nie próbował jej odepchnąć, ani podciągnąć spodni, ani za mną pobiec. Zobaczył mnie stojącą w drzwiach, zranioną, z bólem

w oczach... i się roześmiał. Powiedział... – Odchrząknęła, marszcząc brwi. – Powiedział: „Wygląda na to, że źle rozpisałem sobie grafik. Mogłabyś przyjść za godzinę? Powinienem się zregenerować do tego czasu”.

– O kurwa. Co za dupek.

Nie mogłam w to uwierzyć. Za kogo on się miał?

Za gościa z kasą, tytułem, akcentem i imieniem typu „Dashiell”?

Łatwo było oceniać po faktach, ale ja rozumiałam Carinę. Była mądrą dziewczyną, co w żaden sposób nie zmieniało faktu, że tego gatunku faceci potrafili być prawdziwymi mistrzami manipulacji. Byli w tym niesamowicie uzdolnieni i mieli mnóstwo doświadczenia w dostawaniu dokładnie tego, czego chcieli. W trakcie wszystko na pewno wydawało się takie prawdziwe...

Nie potrafiłam zliczyć, ilu takich Dashiellów już spotkałam w życiu. Nie nabrałam się na ich sztuczki tylko dlatego, że ojciec by mnie za to zamordował – i to kilkakrotnie. Pozwalał mi na zadawanie się z Levim wyłącznie ze względu na jego orientację. Niezmiennie zadziwiało mnie, że nienawidził tak wielu ludzi z tak głupich i bezsensownych powodów, a nigdy nie miał problemu z tym, że przyjaźnił się z gejem.

– Żałuję, że mnie tu wtedy nie było – powiedziałam. – Skopałabym mu dupę.

– Wciąż możesz to zrobić – zażartowała. Uśmiechnęła się krzywo mimo wciąż spływających łez. – Dobra z ciebie przyjaciółka. Może gdybyś rzeczywiście tu była, udałoby ci się mnie powstrzymać przed wyjściem na taką idiotkę.

– Nie mów tak o sobie. Nie wyszłaś na idiotkę, okej? – zaprotestowałam stanowczo. – Zaufałaś komuś, kto cię oszukał i złamał ci serce. To źle świadczy tylko o nim, nie o tobie. W końcu karma do niego wróci i skończy bezpłodny w ramach kary.

– Jezu, oby nie.

Noż kurwa, o co chodziło z tymi chłopakami i ich ciągłym zakradaniem się? Powinnam była zwrócić większą uwagę na to, gdzie dokładnie znajdował się Dashiell, zwłaszcza że o nim rozmawialiśmy, ale spieprzyłam sprawę. Wielce z siebie zadowolony, opierał się o blat. Był ubrany, jakby właśnie wybierał się na mecz polo. Włożył do ust wykałaczkę i skakał między nami wzrokiem. Finalnie skupił go na Carinie, pełny sprzecznych emocji. Przez chwilę wyglądał na skruszonego, ale potem w niebieskich oczach błysnął okrutny zachwyty, a ja zapragnęłam się na niego rzucić i kopnąć go prosto w kolano.

– Mógłbyś się, z łaski swojej, odpiardolić? – wysyczałam. – To prywatna rozmowa. Nie jesteś tu mile widziany.

Dashiell rozejrzał się teatralnie wokół, z wysoko uniesionymi brwiami.

– Wybacz, *mon amour*, ale ja tylko stoję tu sobie i zajmuję się własnymi sprawami. Czy to moja wina, że mówicie na tyle głośno, by obudzić zmarłego i jeszcze przyprawić go o erekcję? Usłyszałem coś o Amalie Gibbons kłęczącej z czymś kutasem w buzi i straciłem resztki dobrego wychowania. A potem – zaśmiał się, unosząc palec – a potem przypomniałem sobie, że to przede mną kłęczała Amalie Gibbons, z moim kutasem w buzi, przez co wszystko się pokomplikowało. A było naprawdę fajnie, dziewczęta. Naprawdę fajnie. Przykro mi jednak, że już nie chcesz się ze mną bawić, Carrie. Chyba powinienem był wtedy przeprosić. Lepiej późno niż wcale, prawda?

O kur-wa. Co za bezczelność.

Jazzy przyniosła nasze napoje w najgorszym możliwym momencie. Nucąc pod nosem i bujając się na boki, postawiła przed Cariną kawę, a następnie zaczęła układać przede mną rzeczy potrzebne do przygotowania herbaty. Jej uśmiech zniknął, gdy zauważyła, że dziewczyna płakała, a jej policzki wciąż były mokre.

– A co tu się na Boga... – Spojrzała na mnie, jakbym była odpowiedzialna za stan, w jakim znalazła się jej przyjaciółka, po czym dostrzegła Dashiella sterczącego przy blacie i jej

twarz w momencie pociemniała. – O nie. Nie, nie, nie. Nie wiem kim jesteś, ani jak masz na imię, chłopcze, ale lepiej zejdz mi z oczu, bo pożałujesz, że się urodziłeś.

– Ależ proszę pani, ja jestem nihilistą – niemal wymruczał Dashiell. – Nieszczególnie mnie obchodzi, czy będę żyć, czy też umrę. Nie sądzę też, żebym był w stanie się zdobyć na ilość energii potrzebną do żałowania swoich narodzin. Niemniej szanuję tę porywającą przemowę. W międzyczasie poproszę o białe cappuccino.

Jazzy w odpowiedzi tylko zamrugła.

– Chłopcze, chyba upadłeś na łeb jako dziecko. Nic ode mnie nie dostaniesz. Wypad stąd albo wzywam gliny.

Podziwiałam nieustępliwość Jazzy. Była kelnerką w małym miasteczku, prawdopodobnie ledwie wiążącą koniec z końcem na minimalnej krajowej. Wiedziała, że Dashiell był uczniem Wolf Hall. Musiała zdawać sobie sprawę z tego, że jeden telefon do ojca wystarczyłby mu, żeby wykupić, a następnie zamknąć Screamin' Beans, i to zanim zdołałaby wycelować kopniaka w krocze tego rozpuszczonego smarkacza. Mimo to postąpiła w zgodzie ze sobą i nie pozwoliła się zastraszyć. Naprawdę odważna kobieta.

Uśmiechnął się. Było w tym coś niepokojącego. Coś, co budziło we mnie potrzebę znalezienia kryjówki.

– Przypomina mi pani moją babcię. Nie przepadałem za nią. Mówiła za dużo. – Przejechał językiem po zębach, po czym odepchnął się od blatu. – Posłucham pani prośby i się ulotnię. Przyjaciele mogą jednak zamówić mi coś na wynos. Byłbym wdzięczny za ograniczenie ilości śliny do minimum. Ładnie proszę.

Odszedł, nawet nie zerknąwszy w stronę Cariny.

– Co za mały gnojek – denerwowała się Jazzy. – Ten to dupy spranej nie miał nigdy. Ale bym go przełożyła przez kolano. Wyklepałabym mu ze łba ten niewyparzony jęzor.

– Nie ma co, Jazz – stwierdziła pośępnie dziewczyna. – Pewnie by mu się spodobało.

Godzinę później, gdy już podłubałyśmy w swoich posiłkach i opróżniłyśmy kubki, żadna z nas nie była w nastroju na dalsze wspólne spędzanie czasu. W czasie powrotu do akademii Carina nagle zatrzymała się na środku drogi, kilka kilometrów przed długim, wijącym się podjazdem prowadzącym do Wolf Hall. Nie wyłączyła silnika. W ciszy wpatrywała się przed siebie.

– Carina? Co się stało?

Zamrugła, jakby wychodząc z transu.

– Na prawo. Za drzewami. Jeśli się wpatrzysz, to go zobaczysz.

– Co zobaczę? – Zmrużyłam oczy, próbując coś dostrzec przez grube listowie.

– Dom – odpowiedziała. – Riot House. To tam mieszkają. Cała trójka, razem. Ich mała forteca. Oni kontra reszta świata.

Wymagało to ode mnie trochę wysiłku i ustawienia głowy pod odpowiednim kątem, ale... Tak. Zarys budynku. Składał się z drewna, betonu i szkła, które na tle lasu połączyły się w formie tak perfekcyjnego kamuflażu, że dom był praktycznie niemożliwy do zauważenia, jeśli się nie wiedziało, że tam jest.

– Jeśli kiedykolwiek utkniesz na tej drodze, zdana sama na siebie, nie idź do ich drzwi w poszukiwaniu pomocy, Elodie – wyszeptała Carina. – Cokolwiek by się nie działo, bez względu na okoliczności, niech twoja stopa nigdy nie przekroczy progu Riot House. Nie wyjdiesz z niego taka sama.

Choć w tamtej knajpce nawet nie widziałam Wrena, czułam jego obecność. Carina wrzuciła bieg i docisnęła gazu, a mnie opanowało to samo mrowiące wrażenie. Jakby mnie obserwował. Prędkość, z jaką oddalała się od Riot House, nie miała żadnego znaczenia.

Wiedziałałam, że nie byłam w stanie uciec przed tym miejscem...
...ani przed nim.

WREN

Wtedy, w kawiarni, nie spuszczałem wzroku z tyłu jej głowy. Opierałem się o nasz stolik, przyciskając do opuszka kciuka tępą stronę noża do masła i zastanawiałem się, co się w środku tej ślicznej główki mogło, do cholery, dziać?

Nigdy wcześniej nie interesowało mnie, co jakaś dziewczyna sobie myślała czy czuła, a teraz nie mogłem się powstrzymać przed próbą złożenia w całość zagadki, jaką była Elodie Stillwater. Obsesyjnie interesowały mnie jej myśli: Czy tęskniła za swoim starym życiem? Przyjaciółmi? Brakowało jej słońca, wysokich temperatur, oceanu i piasku? Czy zabiłaby za możliwość powrotu do Izraela, swojego ojca i życia, do którego przywykła?

Stałem się parodią samego siebie. Szedłem na zajęcia tą samą drogą, co zawsze, usiłując utrzymać pozory wyuczonego znudzenia i obojętności, podczas gdy w rzeczywistości byłem pełnym przeciwieństwem tych rzeczy. Po raz pierwszy od naprawdę bardzo dawna moje uszy były czujne, umysł zaangażowany, a każda część mojego istnienia zwrócona w stronę dziewczyny, której w ogóle nie znałem.

Chciałem wiedzieć wszystko na jej temat. Pragnąłem osiąść tę wiedzę, tak samo jak pragnąłem osiąść ją. Byłem zdeterminowany, by uczynić Elodie moją. Moim zwierzątkiem. Sama myśl o czymś tak trudnym do osiągnięcia sprawiała, że twardniałem.

– Dobra, usiądźcie. Oczy na mnie, przyjaciele. Muszę być pewny, że każdy z was mnie teraz słucha. Łącznie z tobą, Jacobi. Halo, ściągaj to. Czemu właściwie nosisz okulary przeciwsłoneczne wewnątrz budynku?

Fitz miał dzisiaj na sobie sztruksową marynarkę w kolorze obrzydliwie jasnej zieleni. Ubierał się tak tylko w okresach zaczytywania się w Byronie albo Rilkiem. Czuł się wtedy jednym z romantyków. *Biedaczek*. Nie przeszedł wystarczająco dużo w życiu, by móc stać się dobrym poetą. W zwolnionym tempie zsunąłem swoje wayfarersy⁶ na tyle, by móc znad nich świdrować go wzrokiem. W tym czasie położył na podłodze torbę. Nie musiałem mu się z niczego tłumaczyć, a już na pewno nie planowałem się przyznawać, że założyłem te okulary tylko po to, by móc zza nich spokojnie obserwować pewną urodziwą uczennicę, która siedziała po drugiej stronie sali.

– Znasz mnie, Fitz – burknąłem. – Zawsze masz moją pełną uwagę.

– Ta. – Koniec, żadnej riposty. Tylko się wykrzywił. Musiał być przed pierwszą kawą. Ledwie to pomyślałem, a nasz znamienity przywódca już otwierał torbę i wyciągał z niej termos, z którego następnie ściągnął mały, biały kubeczek, otworzył blokadę, a potem napełnił całe pomieszczenie gorzkim, ale aromatycznym, zapachem Arabiki. Potem zmienił temat: – I znowu nadszedł ten czas w roku. Sezon burzowy. To ważna informacja, bo od zakończenia ostatniej zimy doszło nam paru uczniów, którzy nic nie wiedzą o tutejszej pogodzie. Zresztą, nawet jeśli jesteście tu dłużej, wciąż będę wdzięczny za te parę sekund waszego czasu. Potraktujcie to jak powtórkę...

Po drugiej stronie sali, pod banalnym i pozbawionym jakiegokolwiek klasy wydrukiem *Pocałunku* Gustava Klimta, stała żółta, wytarta sofa. Siedząca na niej Carina trąciła Elodie łokciem, po czym szepnęła jej coś do ucha. W mojej głowie to ja się do niej pochylałem. To mój nos był tak blisko jej włosów, że mogłem poczuć ich zapach i zapisać go sobie w pamięci. Zastanawiałem się, jak ta jedwabiście gładka skóra wyglądała z bliska. Uważnie przyglądałem

się jej na ekranach czy wydrukach zdjęć, ale nie miałem jeszcze okazji przyjrzeć się tej podniecającej teksturze na żywo, z bliska. A chciałem. Jeszcze bardziej pragnąłem mieć ją pod sobą. W myślach widziałem już, jak wówczas Elodie mnie odpycha. Dowiedziałbym się wtedy, w jaki sposób wykrzywia w grymasie bezsilności twarz. Zobaczyłbym, jak wygląda jej strach. Co ważniejsze, mógłbym odkryć, czy do twarzy jej było z kłamstwem – tym, które wyrzucały z siebie wszystkie dziewczyny w takich sytuacjach, gdy panika mieszała się w nich z pożądaniem i próbowały jakoś ogarnąć rozumem własną zdradziecką naturę.

– Na wypadek, gdybyście nie sprawdzali pogody przez ostatnią dobę, informuję, że cały stan czeka potężna burza – mówił Fitz. – Tego typu zjawiska potrafią być dość przerażające. Uderzenia piorunów, nagłe powodzie i tak dalej. Na nasze szczęście znajdujemy się na samym szczycie góry, więc nie grozi nam zatopienie. Wolf Hall jest odporne praktycznie na wszystko. Zbudowano je tak, by wytrzymało każdą pogodę. Wiatr bywa tu jednak zdradziecki. Gdy tylko rozpocznie się burza, będziemy musieli przestrzegać ścisłych zasad. Żadnego zapuszczania się poza tereny akademii. Właściwie to nie będzie żadnego opuszczania budynku, kropka. W skrajnych sytuacjach zdarzało się, że dyrektor Harcourt podejmowała decyzję o przeniesieniu się do piwnicy, tak na wszelki wypadek. Mało prawdopodobne, żebyśmy musieli się ewakuować, ale każdy uczeń musi znać protokół postępowania...

Fitz rozvodził się na temat busów, które w przypadku stanu zagrożenia sprowadziłyby nas z góry. Wyliczył wyjścia ewakuacyjne i punkty pierwszej pomocy.

Bla, bla, kurwa, bla. Wyłączyłem się, kompletnie znudzony. Słuchałem tego po raz tysięczny – ale Elodie, nie. Słuchała nieruchomo, skupiona na każdym słowie Fitz'a. Niemal widziałem, jak robiła mentalne notatki, usiłując zapamiętać wszelkie niezbędne informacje na wypadek, gdyby Wolf Hall miała spotkać katastrofa. Dziwna, zupełnie obca część mnie zapragnęła ją pocieszyć, zapewnić, że nie było powodu do zmartwień. Pozostała część mnie – ta, z którą bardzo dobrze się znałem, rozkoszowała się widokiem zalęknionej i zatroskanej dziewczyny.

Podobały mi się jej ubrania. Koszulka z napisem „uśmiechnij się, jeśli jesteś martwy w środku” była tak samo banalna, jak wiszący nad nią obraz Klimta, ale przy okazji zdradzała, w jaki sposób jej właścicielka postrzegała siebie. Wytarte jeansy były tak obcisłe, jakby ktoś namalował je na ciele. Dłonie świerzbiły mnie na myśl o wrażeniach, jakie dałby mi dotyk jej ciała, skrytego pod miękkim, znoszonym materiałem. Zabrudzone trampki wyglądały jakby naprawdę się w nich żyło. Świadczyły o setkach przebytych kilometrów. Co prawda wołałem Martensy, które zwykle nosiła, ale podobało mi się, jak małe i delikatne wydawały się jej stopy w tych butach. Moja mała Elodie miała stópki pieprzonej gejszy.

– Wiem, że te wszystkie ostrzeżenia brzmią dość przerażająco, ale nie ma się czego bać. Uczę tu już dziesiąty rok. Najgorsze, co widziałem, to kilka powalonych drzew. Życie jak zawsze. Róbcie, co do was należy. Przestrzegajcie reguł, a wszystko będzie dobrze.

Słowa Fitz'a nie uspokoiły Elodie. Nasze spojrzenia się spotkały, a panika, jaką dostrzegłem w jej oczach, przyspieszyła mi puls. Zmarszczyła brwi. Na jej czole uformowały się wyraźne bruzdy. Z opóźnieniem przypomniałem sobie, że siedzące na moim nosie ray-bany były zbyt nisko, by móc skryć moje zainteresowanie.

Odwróć wzrok, Jacobi.

Odwróć. Wzrok.

Powinienem, ale tego nie zrobiłem. Wpadłem w jej sidła. Czuję się spętany samym faktem posiadania na sobie wzroku tej dziewczyny. Przebiegły uśmiezek błagał o pozwolenie na zagoszczenie na mojej twarzy. Poddałem mu się. Elodie podskoczyła spłoszona, jakby właśnie wylano jej na głowę wiadro lodowatej wody. Pierwsza odwróciła wzrok. Satysfakcja, którą

poczułem, miała posmak zwycięstwa.

– Panno Stillwater, czy wszystko w porządku? Naprawdę nie ma powodu do strachu – zapewnił Fitz. – Obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Jeśli się czymś martwisz, moje drzwi stoją przed tobą otworem. Spędzam tu większość czasu. Poza dzieleniem się geniuszem Byrona... – *Och, Fitz. Jak ja cię dobrze znam.* – ...moja praca polega na dbaniu o wasze bezpieczeństwo, dzieciaki.

Ręka Damiany wystrzeliła w powietrze.

– Czy wszyscy możemy liczyć, że będzie pan naszym księciem na białym koniu, doktorze Fitzpatrick? Czy tylko Elodie należy się specjalne traktowanie?

– Jestem tu dla was wszystkich, Dami. – Grymas Fitz'a wyglądał, jakby ktoś właśnie podsunął mu pod nos skarpetkę Paxa, do której ten regularnie się spuszczał. – I wszyscy dobrze o tym wiecie. Poza tym uważaj, bo złość piękności szkodzi.

– Mojej piękności nic nie zaszkodzi, doktoru – prychnęła. – To pan tu faworyzuje nową ze względu na te jej niewinne oczka i ładne cycki. I to jest dopiero brzydkie, jeśli chce pan znać moje zdanie.

– Nie pytałem o nie. Nikt nie pytał. Jak zawsze dziękuję ci jednak za twój jakże wartościowy wkład, Damiano. Jeśli więc ktokolwiek – podkreślił to słowo – poczuje się zagrożony w ciągu następnym czterdziestu ośmiu godzin, moje drzwi stoją dla niego otworem, bez względu na... – Nie słuchałem dalej.

Dashiell nawet nie spojrząłby w stronę dziewczyny bez miseczki w rozmiarze DD. Pax... Cholera wie, co temu typowi się podobało. Nigdy nie mogłem dopatrzeć się jakiegokolwiek schematu w jego wyborach. Choć brzmiało to jak ściema, o wiele bardziej interesował go charakter. Szukał w kobietach określonych wad i słabości, na ogół powiązanych z problemami w relacji z ojcem. A ja? Ja wołałem mniejsze biusty. Wszystko, co nie mieściło się w dłoni, było zbędne. Nie potrzebowałem jednak dwulicowych komentarzy Dami, by zwrócić uwagę na klatkę piersiową Elodie; spędzałem wystarczająco dużo czasu na myśleniu o niej. Ale skoro temat powrócił, pozwoliłem sobie na zerknięcie w te okolice jej ciała.

Koszulka była o dwa rozmiary za duża i skutecznie skrywała jej sylwetkę, mimo to wciąż widziałem zarys piersi. Osobiście uważałem to za o wiele bardziej ekscytujące niż mało subtelny, ogromny dekolt Damiany. Wyglądał groteskowo.

Fitz kontynuował swoją przemowę o bezpieczeństwie i używaniu zdrowego rozsądku. Spędziłem bardzo miłe trzydzieści sekund na wyobrażaniu sobie, jak ślicznie wyglądałyby usta Elodie, rozwarte i wilgotne, gdybym wślizgnął rękę pod jej koszulkę, pociągnął w dół jedną z miseczek stanika i zaczął się brutalnie zabawiać sutkiem.

Gdy otrząsnąłem się ze swoich perwersyjnych snów na jawie, Kylie Sharp właśnie czytała na głos fragment jakiejś książki. Nikt jej nie słuchał. Damiana żuła gumę. Dashiell wpatrywał się w Carinę. Pax spał i nawet się z tym nie krył. Miał głowę zadartą do tyłu, założone ręce i wyciągnięte przed siebie nogi. Fitz przyglądał się czubkom swoich butów, po czym... *Chwila, chwila, chwila. Co, do kurwy?* Ukradkiem zerknął na Elodie. Czekałem, aż odwróci wzrok, ale zwlekał odrobinę zbyt długo. Drgnął mu mięsień szczęki. Dopiero wtedy wrócił spojrzeniem do butów.

Co to, do chuja, było, Fitz? Chyba cię pojebało, gościu.

Jakbym przyzwał go myślami, nagle poderwał głowę. Gdy spotkał moje oczy, przez ułamek sekundy się zawahał. Zdawał sobie sprawę z tego, co widziałem, ale nie wyglądał na zmartwionego. Znał mnie i dobrze wiedział, że nie lubiłem, gdy inni mężczyźni przyglądali się mojej własności. Sam fakt posiadania czegoś – nawet, jeśli rzecz posiadana nie była świadoma bycia posiadaną – dawał mi prawo własności. Byłem gotowy bronić tego, co moje.

Skurwysyn miał czelność się do mnie uśmiechnąć.

Uśmiechnąć.

Co za gnojek.

W momencie, gdy Kylie czytała mroczne słowa poety, rozległ się głośny grzmot. Dziewczyna czytała dalej:

– „Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny.

Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,

A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,

Zbłąkawszy się, olsnąwszy, uciekły i znikły

Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata

Wisiąca ślepa pośród zaćmionego świata.”⁷

Kolejny grzmot. Zapowiedź tego, co dopiero miało nadejść. Zły omen. Czulem, jak wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz oczekiwania. Gdy odwróciłem wzrok od naszego biednego nauczyciela, ewidentnie cierpiącego na urojenia, tym razem to Elodie Stillwater wpatrywała się we mnie.

Przez następne pół godziny wielokrotnie przyłapywałem ją na patrzeniu w moją stronę. Zerkąła spod ciemnych rzęs, a za każdym razem, gdy nasze spojrzenia się spotykały, moje wrażenia były silniejsze. Musiała też to czuć. To było dziwne, uwierające połączenie, które sprawiało, że na samą myśl o jego zerwaniu zaczynałem się pocić. Czy też czuła się tak spanikowana, niespokojna i podniecona na dźwięk mojego głosu?

Gdy tylko zadzwonił dzwonek, już jej nie było. Schyliła głowę, zarzuciła plecak na ramię i z turkusową teczką przyciśniętą do piersi pomknęła przed siebie, zanim Carina choćby zdążyła się podnieść.

Szczerze mówiąc, do tej pory nie zwracałem na nią uwagi. Nawet nie spojrzałem w jej kierunku. Carina była dobrowolnie narzuconą karą Dashiella, nie moją. Teraz wyglądała, jakby walczyła sama ze sobą i jednocześnie usiłowała nie zwymiotować, gdy tak lawirowała pomiędzy chaotycznie rozszanymi meblami Fitza, powoli zmierzając w moją stronę.

Zajebicie.

Już wiedziałem, co miało się zaraz wydarzyć.

Ach, Carina. Carina, Carina, Carina. Malutka, urocza Carina. Nadopiekuńcza matka czwartego piętka. Nie miałem pojęcia, kiedy konkretnie Harcourt pasowała ją na obrońcę wszystkich nowych uczennic, ale musiała naprawdę wziąć to sobie do serca, skoro była gotowa stawić mi czoła.

Odchrząknęła, tym samym ogłaszając swoje przybycie. Oczywiście było to zbędne, ale w celu utrzymania pozorów wpatrywałem się w telefon.

– Carina.

– Mógłbyś chociaż na chwilę odłożyć telefon. – Jej głos zabrzmiał zimniej niż zwyczajowy ton mojej macochy, którego używała, gdy zwracała się do ojca.

Uśmiechnąłem się szelmowsko i dałem jej to, czego chciała: podniosłem wzrok, by spojrzeć jej prosto w oczy. Wielu ludzi próbowało zwrócić na siebie moją uwagę, a gdy już ją dostawali, natychmiast chcieli ją oddać z powrotem. Carina nie stanowiła wyjątku i wzdrygnęła się pod ciężarem mojego spojrzenia. Mimo to była silniejsza od innych. Utrzymała kontakt wzrokowy.

– Chcę ci powiedzieć tylko jedno słowo, Jacobi: nie.

Ho, ho, ho. Zaczyna się interesująco.

– Nie... bądź tak zabójczo przystojny? Nie przewyższaj inteligencją wszystkich wokół? Nie przyprawiaj mnie o motyle w brzuchu samym spojrzeniem w moją stronę?

Zacisnęła zęby. Nozdrza rozszerzyły się jej w gniewie.

– Można o tobie wiele powiedzieć, Wren, ale subtelny to ty nigdy nie byłeś. Dobrze wiesz, o czym mówię. Widziałam, jak na nią patrzysz. Po prostu nie rób tego. – Odwróciła się na pięcie i pomknęła do wyjścia, zanim zdołałem się porządnie zabawić.

Z Carrie zawsze tak było. Nie miałem pojęcia, co Dashiell w niej widział.

– Wyglądało na ostrą wymianę zdań.

W sali zostałem już tylko ja i Fitz. Choć Dashiell i Pax trzymali moją stronę, nie potrafili znieść tego człowieka. Z jakiegoś powodu ulatniali się tak szybko, jak tylko mogli, bez uszczerbku dla swoich ocen. Spiorunowałem nauczyciela wzrokiem, podnosząc się.

– Wkurwiłeś mnie dzisiaj, staruszk.

Fitz opierał się biodrem o stojące obok biurko. Z założonymi rękoma i krzywym uśmiechem wyglądał jakby to on był tutaj wkurwiony.

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnął ciężko. – Jasno wyraziłeś swoje zamiary. Powiedziałem ci, że to zły pomysł. Po tym, co stało się z Marą, naprawdę... – Nie skończył.

Chwyciłem go za twarz jedną ręką, wbijając mu palce w policzki. Zarost ukłuł mnie w dłoń, a wraz z nim wspomnienia, o których wolałbym zapomnieć.

– Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś mógł łaskawie nigdy więcej nie wspominać jej imienia – wycedziłem. – Ta sytuacja jest zupełnie inna i ty akurat powinieneś o tym dobrze wiedzieć. Prawda?

Zmroziło mnie, gdy gałki oczne Fitz'a wywróciły się do wnętrza czaszki. Wyglądał jakby utknął gdzieś pomiędzy furją a ekstazą.

– P-prawda. Tak. Masz rację.

– Elodie należy do mnie. Reszta chłopaków już o tym wie. Z tobą nie muszę niczego uzgadniać. Będziesz się od niej trzymał z daleka.

Kiwając głową, sięgnął do mojego nadgarstka i powoli odsunął go sobie od twarzy.

– Będę się od niej trzymał z daleka – powtórzył, po czym ciężko przełknął.

Gdy opuszczałem salę, pierwsza fala deszczu właśnie zaczynała bić o szyby.

ELODIE

+972 3 556 3409: Nie wierzę, że cię nie ma. Wszyscy jesteśmy w szoku i kompletnie zdruzgotani. Nigdy cię nie zapomnimy, Elle. Będziemy tęsknić. Kocham cię, buziaki.

– Levi

Uśmiechnęłam się na widok wiadomości na WhatsAppie. W końcu się odezwał! Ojciec tuż przed wysłaniem mnie na lotnisko wymienił mi telefon na taki, który był obsługiwany przez dostawcę ze Stanów, przez co straciłam wszystkie numery. Jak na ironię, Levi należał do ludzi z gatunku: „technologia jest czystym złem, nigdy nie założę sobie social mediów”, przez co musiałam czekać, aż to on wykona pierwszy krok. Jednak ta wiadomość była co najmniej dziwna.

Ja: Wow. Brzmisz, jakbym umarła. Przecież nie poleciałam na Marsa. Może uda nam się spotkać w święta, jeśli mama cię nie wywiezie do Szwajcarii czy coś. Co u was? Czy profesor

Marshall zgłosił się już na odwyk?

Nasz nauczyciel chemii ciągle wymykał się na tyły sali, by pociągnąć łyka z piersiówki. Krążyły plotki, że używał też różnych substancji z laboratorium, żeby stworzyć własne...

Nagle moja komórka zaczęła wibrować. Głośny dzwonek rozniósł się echem po schodach, którymi właśnie wspinałam się w stronę swojego pokoju. Wzdrygnęłam się i szybko go wyciszyłam, po czym zaczęłam się rozglądać wokół siebie. Komórki były zabronione w częściach wspólnych. Na szczęście znajdowałam się już na drugim piętrze i jedynymi osobami w moim najbliższym otoczeniu byli inni uczniowie, dlatego odebrałam:

– No cześć! Nie spodziewałam się, że tak od razu zadzwonisz. Już prawie jestem w pokoju. Daj mi tylko chwilę na...

– ...Elodie?

W jego głosie było coś, co sprawiło, że stanęłam w miejscu. Brzmiał jakby... Nawet nie wiedziałam, jak to ująć. Coś się nie zgadzało.

– Lee? Co jest? Wszystko w porządku? Co się stało?

– Ty... żyjesz? – wyszeptał.

Przyjaźniliśmy się od dwóch lat. Może dla niektórych to krótko, ale my wykorzystaliśmy do cna te siedemset trzydzieści kilka dni. Znałam go jak nikt inny, a on znał mnie. Każdy mój mroczny, durny, żenujący, najmniejszy sekret. Jako Szwed dumnie reprezentował swój naród. Był wręcz stoicko spokojny, poważny, twardo stąpający po ziemi. Nigdy nie pozwolił, by cokolwiek wyprowadziło go z równowagi. Swoje emocje zachowywał dla siebie. Ale te słowa... Wypowiedział je przez ściśnięte od łez gardło. Mój przyjaciel właśnie płakał.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że żyję. Jestem w New Hampshire.

Odpowiedziało mi siąknięcie nosem i dziwny, zdławiony dźwięk.

– P-przepraszam, potrzebuję... – Przestał mówić i nabrał powietrza. Sprawiał wrażenie, jakby próbował nad sobą zapanować. – Twój ojciec powiedział dyrekcji, że miałaś wypadek,

Elodie. Cała szkoła od tygodnia jest w żałobie.

Dotarłam na czwarte piętro. Całe szczęście, że schody były już za mną, bo najprawdopodobniej bym z nich spadła. Oparłam się ręką o ścianę, by nie stracić równowagi. Zaczęło mi ciemnieć w oczach.

– Słucham?

Odkasznął. Mogłam go sobie wyobrazić, jak siedział na krawędzi łóżka w swoim pokoju w szkole św. Marii Magdaleny, jeszcze w piżamie. Jego piękne brązowe oczy byłyby zupełnie nieobecne, skupione na przetwarzaniu nowych informacji.

Żyłam.

Zmartwychwstałam i rozmawiałam z nim przez telefon.

Trudno było poukładać to sobie w głowie.

– Czuję się zupełnie zagubiona, Lee, i ty chyba też – wydusiłam. – Ale czy mógłbyś rozwinąć tę część o moim ojcu, który powiedział dyrekcji, że jestem martwa? Bo zaraz mi mózg eksploduje.

– Pojawił się w poniedziałek w szkole z pełną obstawą. Na początku myśleliśmy, że szkoła jest w jakimś niebezpieczeństwie. Potem Ayala zobaczyła go na korytarzu, jak rozmawiał z dyrektorem Rogersem, który wyglądał na zszokowanego i chciał położyć dłoń na ramieniu twojego ojca, ale ten się cofnął, powiedział coś jeszcze, po czym odmaszerował w stronę auta i zniknął. Potem odbyły się godziny wychowawcze. Powiedziano nam, że w weekend miał miejsce wypadek lotniczy. Że zginęłaś.

– Co? – *O czym on, do cholery, mówił? Po co mój własny ojciec miałby rozpowiadać tak podle i rażące kłamstwa?* – Nie zrobił tego. Nie mógł. Ja...

To znaczy fakt jest taki, że mogłam sobie wyobrazić, że to robi. W końcu w swojej najmilszej wersji był wstrętnym potworem, którego obchodził tylko on sam i jego kariera. Ale dlaczego miałby kłamać na temat mojej śmierci? Przecież wystarczyło poinformować władze św. Marii Magdaleny o tym, że się przeniosłam. Takie rzeczy ciągle się działy. W tego typu szkołach uczniowie nieustannie pojawiali się i znikali.

– Tak mi przykro. Ja wiem, wiem, to jedno wielkie wariactwo. Ale nic mi nie jest, Lee. Naprawdę. Obiecuję ci, że u mnie wszystko w porządku. Właściwie to nigdy nie było lepiej. Na pewno masz do mnie wiele pytań, ale teraz muszę już iść. Muszę zadzwonić do ojca i dowiedzieć się, o co tu, do kurwy, chodzi, zanim dostanę załamania nerwowego.

– Uch... okej – wydukał, śmiejąc się drżąco. – Rozumiem. Ale zadzwoń, okej? Jeśli tego nie zrobisz, wmówię sobie, że to wszystko mi się tylko przyśniło i nadal nie żyjesz.

– Nie martw się, oddzwonię na sto procent. Daję ci słowo.

Rozłączyłam się, dosłownie buzując od poplątanych emocji. Przez lata ojciec zranił mnie na wiele okropnych sposobów. Miał na koncie najbardziej obrzydliwe występki, jakie można sobie było wyobrazić. Mimo to nigdy nie mówił ludziom, że umarłam.

Ja pierdolę. Co z nim było nie tak? Czułam się kompletnie odrętwiała i oszołomiona, gdy wybierałam jedyny numer, jaki znajdował się na liście kontaktów mojego nowego telefonu: numer osobistego asystenta pułkownika Stillwatera.

Osiem sygnałów. Dziewięć. Dziesięć. Gdy byłam pewna, że zaraz zostanę połączona z pocztą głosową, oficer Emmanuel odebrał.

– Biuro pułkownika Stillwatera. W czym mogę pomóc?

– Carl, to ja, Elodie.

Carl pracował dla mojego ojca dopiero od pół roku, co oznaczało, że póki co wytrzymał w tej roli o trzy miesiące dłużej, niż jakkolwiek wcześniejszy asystent. Szczęściarze na ogół w miarę szybko zostawali przydzieleni na inne stanowiska. Ci, którzy nie mieli żadnych

znajomości, musieli miesiąc za miesiącem znosić wybuchowe, graniczące z przemocowymi, zachowania pułkownika Stillwatera, dopóki ten całkiem nie stracił cierpliwości i nie zdegradował ich do poziomu czyszciciela latryn.

– Elodie? Dobrze cię słyszeć. Jak ci się podobają Stany? Cieszysz się, że jesteś znowu w rodzinnych stronach?

Lubiłam Carla i wydawało mi się, że on mnie też. Za każdym razem, gdy musiał przekazać niezbyt przyjazną wiadomość od ojca, był przy tym stosownie przeprasający. Czasami czułam się, jakbyśmy byli współpiskowcami, którzy sobie wzajemnie współczuli, bo wiedzieli, co druga osoba musiała znosić każdego dnia.

– Carl, właśnie rozmawiałam z jednym z przyjaciół ze szkoły św. Marii Magdaleny.

– Och. O rety... – Radosny ton od razu przygasł. – Cóż. Wyobrażam sobie, że musisz być teraz zdenerwowana.

– Jestem przede wszystkim zdezorientowana, ale coś czuję, że już niedługo będę też zdenerwowana. – Mijająca mnie grupka dziewczyn wyglądała na wyraźnie zatroskaną. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, jak musiałam wyglądać: cała blada, przytulająca się do ściany, z twarzą wykrzywioną pod wpływem napięcia. Odpowiedziałam im sztucznym uśmiechem, chcąc w ten sposób zakomunikować, że wszystko było w porządku, choć nie mogłam się bardziej minąć z prawdą. – Dlaczego on to zrobił, Carl? Dlaczego mój przyjaciel właśnie zadzwonił do mnie, cały we łzach, zupełnie zrozpaczony, bo myślał, że nie żyję?

– Uch. W-wątpię, że spodoba ci się wyjaśnienie.

– Wyduś to z siebie, Carl!

– Twój ojciec chciał, żebym przyjrzał się regulaminowi szkoły św. Marii Magdaleny. Okazało się, że otrzymanie częściowego zwrotu czesnego za w połowie odbyty semestr było możliwe wyłącznie w sytuacji... śmierci ucznia. Więc...

O. Mój. Boże. Ja w to, kurwa, nie wierzę.

– Więc powiedział im, że umarłam, żeby odzyskać częściowy zwrot opłat za resztę semestru? I ile to wyniosło? Cztery tysiące dolarów?

– Nie do końca. Uch... Dwa tysiące osiemset – niechętnie podał dokładną liczbę.

– Ma miliony w banku. MILIONY! – wykrzyczałam.

– Wiem...

– Pozwolił, by moi przyjaciele myśleli, że umarłam, dla marnych dwóch tysięcy z kawałkiem? – upewniłam się, wciąż nie mogąc w to uwierzyć.

– Próbowałam mu wytłumaczyć, jak będziesz się z tym czuła. Zasugerowałam poinformowanie cię o całej sprawie, żebyś mogła uprzedzić przyjaciół, ale...

– Ale miał w dupie, że zrani to mnie albo moich przyjaciół i powiedział ci, żebyś stulił pysk, tak?

– Coś w tym stylu.

– Jezu Chryste.

– Bardzo mi przykro, Elodie. Powiniennem być cię uprzedzić.

Na drżących nogach ruszyłam w stronę drzwi z numerem 416. Musiałam dostać się do swojego pokoju. Czułam, że w każdej chwili mogłam osunąć się na ziemię.

– To nic. To nie twoja wina. Nic z tego nie jest twoją winą. To mój ojciec nie powinien być takim nieprawdopodobnym dupkiem.

Carl zachichotał nerwowo. To nie on wypowiedział te słowa, ale wszelkie połączenia były na ogół nagrywane. Jeśli szefostwo by się dowiedziało, że był chociażby świadkiem obrażenia pułkownika Stillwatera, mógł skończyć w poważnych tarapatkach.

– Dać mu znać, że dzwoniłaś? Mógłbym spróbować go przekonać, żeby sam się odezwał

i wytłumaczył swoje postępowanie.

Stałam już przy drzwiach. Nacisnęłam klamkę, otwierając je.

– Boże, nie! Nie, to naprawdę nie będzie konieczne. Już wszystko wiem. Poza tym, co dobrego mogłoby wynikać z rozmowy... – Zamarłam w bezruchu, a moje uszy nagle wypełniło piskliwe dzwonienie – ...z nim? – Ledwie zdołałam dokończyć swoją myśl.

Pokój... *O, kurwa*. Pokój był doszczętnie zdewastowany.

Wszędzie znajdowały się ubrania. Książki, które przywiozłam ze sobą z Tel Awiwu, leżały rozrzucone na podłodze. Strony zostały powyrywane i zmięte w kulki. Każda szuflada została wyciągnięta, a jej zawartość wysypana. Zdjęcia były podarte na kawałki. Laptop leżał pod oknem z rozbitym ekranem, co kilka sekund mrugając kolorami. No i pióra... Wszędzie były pióra. Ich gruba warstwa pokrywała każdą powierzchnię, niczym świeży, puchowy śnieg. Perski dywan, moje buty, zdarty z łóżka koc.

Obie poduszki rozerwano. Z szeroko otwartą buzią podeszłam do łóżka. W głowie kotłowało mi się zbyt wiele myśli, by móc połączyć jakiegokolwiek kropki w rozsądną całość. Z materaca zdarto prześcieradło, a z jego środka sterczał... ogromny nóż myśliwski. Pochyliłam się, by lepiej mu się przyjrzeć. Solidna rękojeść połyskiwała groźnie.

Ktokolwiek to zrobił, nie dźgnął tylko raz. Materiał był pełen kilkucentymetrowych nacięć, a także dłuższych, poszarpanych, przez które wystawało wypełnienie i przebijające się przez nie sprężyny. Nagle zaczęły do mnie docierać słowa:

– ...że rzeczywiście mógł to załatwić w bardziej... empatyczny sposób. Oczywiście trudno mi teraz powiedzieć cokolwiek więcej, ale...

Cholera. Carl nadal coś mówił po drugiej stronie słuchawki.

– Uch. Carl, przepraszam, ale coś właśnie... Muszę iść. Muszę iść na zajęcia. Dziękuję za wyjaśnienie. Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś nie mówił ojcu, że dzwoniłam.

– Oczywiście. Dla ciebie wszystko, panienko E.

– Dzięki. – Rozłączyłam się. Chwilę po tym telefon wyleciał mi z rąk.

Co tu się... do kurwy nędzy... wydarzyło? Kto... kto to zrobił? I po co?

– O ja pierdołę!

W drzwiach stała Carina. Szczeka jej opadła na widok tego chaosu. W przerażeniu błędziła wzrokiem po doszczętnie zniszczonych przedmiotach, podczas gdy moje spojrzenie skoncentrowało się na chińskim ptaszku z porcelany. To był prezent od mamy na moje dziesiąte urodziny. Był rozbity na malutkie kawałeczki, które leżały na dywanie, wdeptane w jego strukturę. Z ust wyrwał mi się pełen bólu szloch.

– Co tu się stało? – wyszeptwała Carina, omijając pustą szufladę.

Otoczyła mnie ramionami, a ja, zeszywniała i niezdolna do normalnego oddychania, z opóźnieniem odkryłam, że po twarzy ściekały mi strumienie łez.

– Nie wiem. – Wypowiedziane przeze mnie słowa przypominały żaloszny jęk wymieszany ze szlochem. Był pełnym żaloby dźwiękiem, który mnie samą zszokował. Nie chodziło o ubrania, książki czy łóżko. Chodziło o tego ptaszka. Figurkę od mojej mamy. Mamy, która nie żyła, której już nie było, od której już nigdy nie miałam dostać żadnego prezentu. Ta pamiątka była wszystkim, co mi po niej zostało, a teraz nawet tego już nie miałam.

– Kurwa. Chodź. Chodź ze mną. – Carina wyprowadziła mnie na korytarz, po drodze mijając Presley i inne dziewczyny, które przyszły na piątkowe wspólne oglądanie filmu.

Unikałam kontaktu wzrokowego. Nie mogłabym teraz znieść ich współczucia. Nie chciałam przyznać sama przed sobą, że to się naprawdę działo.

Carina zostawiła mnie w swoim pokoju, nakazując wcześniej, żebym nie otwierała nikomu drzwi. Nie było jej przez długi czas, a ja wpatrywałam się w przestrzeń, rozmyślając

o porcelanowym ptaszku...

O różowym lakierze na paznokciach mamy, gdy mi go dawała.

O małym uszczerbku na jego pomarańczowym dzióbku, po którym lubiłam jeździć opuszkami palca, gdy przytulałam figurkę do klatki piersiowej.

O białym tułowi, który na grzbiecie przechodził w niebieski, a na końcówkach skrzydeł w ciemny, głęboki granat.

O piosence, jaką zawsze śpiewała mama, gdy trzymała ptaszka wysoko w powietrzu, udając, że potrafił latać i szybował nad moją głową.

Minęła cała wieczność. Dyrektorka przysłała się ze mną zobaczyć. Powiedziała, że wyciągnęli dla mnie materac ze schowka, mówiąc: „Właściwie to masz szczęście. Jest nowiutki, jeszcze w plastiku!”. Większość bałaganu została posprzątana, a pani dyrektor poinformowała mnie, że już jest bezpiecznie i mogę wrócić do swojego pokoju, co zabrzmiało po prostu komicznie i idiotycznie zrazem. Oczywiście, że nie było bezpiecznie – ktoś zadźgał mi łóżko. Mimo to poszłam za nią. Nogi automatycznie robiły to, co do nich należało. Już po chwili stałam z powrotem pod numerem 416.

Carina przytuliła mnie z nerwowym uśmiechem. Ubrania poskładano i włożono do szafy oraz szuflad. Meble w jednym kawałku wróciły na swoje miejsca. Łóżko zaścielono. Pościel zakrywała nowość materaca. Dwie mięciutkie poduszki opierały się o zagłówek. Całość wyglądała normalnie, choć było trochę bardziej pusto.

– Książek nie udało się uratować – powiedziała cicho Carina. – Ale zapisaliśmy tytuły. Dyrektor Harcourt mówiła, że je dla ciebie kupi.

Oczy same skakały po pomieszczeniu, desperacko poszukując.

– A mały chiński ptaszek?

– Obawiam się, że Gustav zdążył go wciągnąć odkurzaczem, zanim w ogóle się zorientował, że cokolwiek było na dywanie. – Z progu dobiegł do nas głos dyrektorki. Ton miała szorstki. Najwidoczniej już jej się przejadł ten temat. Na pewno miała lepsze rzeczy do roboty o dwudziestą w burzową noc, niż pocieszenie nastolatki, rozpaczającej nad rozbitą ozdóbką. – Jeśli wiesz, gdzie go kupiono, z chęcią sprawimy ci nowego, Elodie. Laptopa też niedługo dostaniesz. Po prostu zrób listę wszystkiego, czego potrzebujesz, a my się tym zajmiemy.

Odwróciła się i ruszyła wzdłuż korytarza. Szpilki stukały gniewnie o twarde drewno. Zostałyśmy z Cariną same w pokoju. Śmierdział chemikaliami, plastikiem i nowiutkim materacem.

– Chcesz, żebym z tobą została? – Dziewczyna założyła mi kosmyk włosów za ucho.

– To żaden problem. Możemy coś obejrzeć na moim laptopie. Wsunąć trochę czekolady? Mam ukryty zapas w pokoju.

– Jeśli to nie problem, wolałabym zostać teraz sama – odpowiedziałam ociężale, potrząsając głową. – Po prostu... Muszę sobie to wszystko poukładać.

Carina wyglądała na nieprzekonaną, ale zaakceptowała tę decyzję ze współczującym uśmiechem. Przytuliła mnie na pożegnanie.

– Dobrze. Jestem po drugiej stronie korytarza, gdybyś mnie potrzebowała, okej? Wyślij SMS-a, jeśli zmienisz zdanie.

Gdy tylko wyszła, widoczny z okna skrawek nieba przeciął piorun. Zalał ogród i drzewa strumieniem jasnego światła, które rzuciło długie, groźne cienie wzdłuż trawników. Już po chwili z powrotem zapadła ciemność, pokrywając świat czernią. Deszcz uderzał o szyby. Choć błysk trwał zaledwie parę sekund, to zdążyłam zobaczyć postać stojącą w cieniu, u samego wejścia do labiryntu.

ELODIE

Nikt nawet nie zająknął się na temat noża wbitego w materac.

Dziwne.

Byłam pewna, że o tym w pierwszej kolejności będzie chciała porozmawiać ze mną dyrektorka. Liczyłam na gorące zapewnienia z jej strony, że jestem tu bezpieczna i nikt nie pozwoli, aby stała mi się tutaj jakakolwiek krzywda. Tymczasem Harcourt wydawała się bardziej pochłonięta odkupowaniem zniszczonych rzeczy, niż zajęciem się sednem sprawy.

Nikt, zupełnie nikt, nie miał żadnego pomysłu na to, kto mógł zrobić coś takiego i co chciał poprzez to osiągnąć.

Ale szkolenie wojskowe, które właściwie w całości wypełniło moje dzieciństwo, nie było tylko fizyczne. Moja psychika również została odpowiednio wytrenowana. Od najmłodszych lat uczono mnie rozumienia i analizowania różnych sytuacji. Wiedziałam, jak odczytywać emocje czy myśli osób obecnych w danym pomieszczeniu, a następnie rozkładać je na czynniki pierwsze bez zadania choćby jednego pytania. Pułkownik Stillwater wyszkolił mnie w wysuwaniu wniosków, dotyczących cudzych intencji, na podstawie samych czynów. Już pięć sekund po wejściu do kompletnie zdewastowanego pokoju miałam w zanadru cały szereg tez, opartych na solidnych podstawach.

Ktokolwiek to zrobił, nie chciał mnie nastraszyć.

A przynajmniej nie było to jego głównym celem.

Wyrwane z książek strony nie stanowiły przypadkowego działania, podobnie jak wyciągnięte i opróżnione szuflady. Osoba, która włamała się do mojego pokoju, wyraźnie czegoś szukała. Czegoś skrytego pod obwolutą książki albo przyklejonego do dna szuflady. A poduszki i materac? Chodziło dokładnie o to samo. Kimkolwiek był włamywacz, szukał czegoś, czego najprawdopodobniej nie znalazł.

Bardzo możliwe, że nóż nie był groźbą. Że coś przeszkodziło temu komuś – może ja, może ktoś inny – i uciekł, zostawiając białe w łóżko ostrze zupełnie przypadkowo.

Nie miałam powodu, by podejrzewać Wrena, ale każda komórka mojego ciała krzyczała, że on za tym stał. Byłam tego pewna. Sposób, w jaki przypatrywał mi się w czasie angielskiego... Wyglądał, jakby planował coś strasznego, a i tak nie potrafiłam przestać na niego patrzeć. Godzina, którą spędziłam uwięziona w pokoju doktora Fitzpatricka, była dla mnie jednym wielkim źródłem zażenowania. Powinnam mieć więcej samokontroli. Powinnam być w stanie się od niego odgrodzić. Nigdy nie miałam problemów z ignorowaniem typów z tak chujowym sposobem bycia, ale ten chłopak... Ten chłopak był po prostu inny.

Podejrzewałam, że był o wiele bardziej skomplikowany, niż byłabym w stanie sobie wyobrazić. A to włamanie? Zniszczenie wszystkich moich rzeczy? Łącznie z jedyną, która miała dla mnie istotne znaczenie? To było tak zimne i wykalkulowane... Obawiałam się, że zainteresowanie takiej osoby jak Wren Jacobi nie było czymś, z czym człowiek mógł sobie poradzić w pojedynkę.

Zbyt wzburzona, by zasnąć, chodziłam w kółko przy oknie, analizując całą sytuację. Czego on, do cholery, ode mnie chciał? I czego tu szukał? Tak mało o nim wiedziałam, że znalezienie odpowiedzi na te pytania wydawało się niemożliwe.

Co więc zamierzałam z nim zrobić? Z tą niepokojącą fascynacją, która zaciskała się

wokół moich wnętrzności, nawet gdy przywoływałam w myślach jego imię? Jak miałam przetrwać te kilka miesięcy w Wolf Hall bez stania się ofiarą jakiegoś okropnego, mrocznego występu? Czułam, jakby właśnie coś takiego miało się zaraz wydarzyć. Miałam same złe przeczucia, które niczym chmury burzowe kłębiące się na niebie, wypełniały mnie strachem.

Patrząc przez pryzmat tego, jak reagowała Carina, gdy tylko znalazłyśmy się w pobliżu Wrena, Dashiella lub Paxa, moje obawy były zupełnie uzasadnione. Dashiell potraktował ją okropnie i złamał serce, ale instynkt podpowiadał mi, że nie o wszystkim mi powiedziała. Miała własne sekrety, za co nie mogłam jej winić. Przyjaźniłyśmy się dopiero od ponad tygodnia. Nie mogłam oczekiwać, że mi zaufa i zacznie się zwierzać, skoro żadna z nas jeszcze do końca nie poznała tej drugiej.

Ostrzegła mnie, żebym nie zbliżała się ani do chłopaków, ani do ich cennego Riot House. Ale, kurwa, jeśli było coś, co pomogłoby mi ustrzec się przed poważnym zranieniem, to jednak byłaby to przydatna informacja.

Tymczasem najlepszym, co mogłam zrobić, było trzymanie się od nich z daleka. Unikanie kontaktu za wszelką cenę. I załatwienie sobie pieprzonego zamka do drzwi, mimo że zgodnie z zasadami Wolf Hall były one zakazane. Mówiło o tym rozporządzenie antypożarowe, BHP czy coś w tym stylu. Po tym, co się stało, niech ktokolwiek choć spróbowałby zaprotestować przeciwko tak podstawowej próbie ochrony.

Okolo północy burza rozhulała się na dobre. Wiatr świszczął przez szczeliny w oknach, a deszcz uderzał o przymocowany nad nimi okap. Miałam wrażenie, jakby stara jednostka ojca odbywała nade mną trening musztry. Na zewnątrz było tak ciemno, że z trudnością dostrzegałam wiszące nad labiryntem konary olbrzymich dębów, jęczące i uginające się pod atakami żywiołu.

Mieszkałam w wielu miejscach, gdzie panowała odmienna pogoda i dominował odmienny krajobraz. Mama domagała się kiedyś, żebym została z nią przez rok w Chicago, ale poza tym żyłam głównie w ciepłym klimacie. Pustynie i plaże, głównie ze względu na antypatię ojca do zimna, nie były mi obce. To, że wysłał mnie w tego typu miejsce, wyraźnie świadczyło o tym, że nie zamierzał mnie nigdy odwiedzić. Nie miałam jednak nic przeciwko temu.

Taki klimat był dla mnie czymś całkowicie nienaturalnym. Nigdy nie doświadczyłam niczego zbliżonego do tego, co właśnie się działo za oknem. Odkąd byłam dzieckiem, nienawidziłam burzy. Po tym, co się wydarzyło w moim pokoju, skala mojego przerażenia przeszła na zupełnie nowy poziom.

Chryste.

Gdy na ekranie komórki wyświetliła się godzina druga piętnaście, burza osiągnęła punkt kulminacyjny. Pod wpływem wichury gdzieś w budynku otworzyły się drewniane okiennice, które co kilka sekund uderzały z głośnym hukiem o szyby. Próbowałam zasnąć, co jednak okazało się niemożliwe w tych okolicznościach. Zdenerwowana, odrzuciłam pościel i wstałam z łóżka. Cała zadrżałam, gdy zimno przedarło się do mojego ciała przez cienki materiał piżamy. Stałam przed oknem, wykrzywiając się na widok ściany deszczu uniemożliwiającej dostrzeżenie czegokolwiek. Tak jakby miało to cokolwiek, kurwa, zmienić...

Nagle zobaczyłam światło.

Nie było to oświetlenie uliczne, ani lampka włączona w czyimś pokoju. Przypominało bardziej latarkę. Wąski snop jasnego światła wystrzelił w górę z samego środka labiryntu.

Mrugnęłam i już go nie było.

Twoja wyobraźnia płata ci figle, Stillwater. Nikogo tam nie ma o drugiej nad ranem, w ulewie i zimnie. Bez, kurwa, szans. Nikt normalny by...

Biały strumień ponownie przedarł się przez ciemność, po czym zniżył, padając prosto w moje okno. Gdy intensywna wiązka światła uderzyła mnie w twarz, przez chwilę zupełnie

mnie oślepiła. Zasłoniłam oczy i zrobiłam krok do tyłu. Światło znowu zamigotało, tym razem chwijając się z lewej na prawo, omiotło sobą cały labirynt.

Co, do kurwy?

Zmrużyłam oczy, próbując cokolwiek dostrzec, ale przez deszcz i zachmurzenie nie potrafiłam tego zrobić. Jedyne, co widziałam, to niewyraźne zarysy świata poza oknem.

– O cokolwiek chodzi, to nie jest moja sprawa – powiedziałam na głos, zgadzając się z każdym swoim słowem. Jeśli ktoś był na tyle głupi, by być teraz na zewnątrz, musiał mieć ku temu dobry powód. Pewnie jeden z nauczycieli zajmował się jakimiś uszkodzeniami spowodowanymi przez pogodę. Łatał dziury, czy coś.

Ładuj zadek z powrotem do łóżka, Elodie, i to w tej chwili. Zasuń te cholerne zasłony i idź już wreszcie, do kurwy nędzy, spać. Teraz.

Czasami nie słuchałam własnych rad. Robiłam kompletne głupstwa, mimo postanawiania czegoś zupełnie innego. Nigdy jednak nie lekceważyłam wewnętrznego głosu rozsądku, gdy posługiwałam się w swojej wyobraźni gniewnym głosem ojca. To była niezła sztuczka. Zasunęłam zasłony i wróciłam pod kołdrę, zdeterminowana, by zasnąć na przynajmniej kilka godzin, zanim Carina zacznie rano pukać do moich drzwi.

Mogę to zrobić. Mogę wyłączyć mózg i oddać się znużeniu.

Zamknęłam oczy.

Burza szalała w tle. Oddychałam przeponą, wydymając brzuch i czując, jak tlen wypełniał mnie dosłownie po brzegi. Nabieranie powietrza w ten sposób było świetną taktyką uspokajającą w przypadku ataków paniki, które nadal mi się zdarzały, a do tego pomagało zasnąć. Zaledwie kilka minut wystarczyło, by całe napięcie ze mnie spływało. Było coś hipnotyzującego w tak dużej ilości powietrza naprzemiennie napełniającego i opuszczającego ciało. Praktycznie nie zdarzało się, by ta sztuczka nie działała. Aż do teraz.

Oczyściłam umysł...

Zrobiłam wdech...

Następnie wydech...

Zatrzymanie.

Wdech...

Wydech...

Zatrzymanie.

Powtarzałam te czynności w kółko, ale myśli wciąż kotłowały mi się w głowie. *Ja pierdole.* W końcu otworzyłam oczy i westchnęłam ciężko. Na drewnianych drzwiach po drugiej stronie pokoju widniał zakrzywiony prostokąt światła.

Cholera. Musiałam niedokładnie zasunąć zasłony. Warknęłam, po czym podniosłam się i spuściłam stopy na podłogę, gdy nagle prostokąt zniknął.

Aha.

Okeeeej.

Zanim zdążyłam się na nowo ułożyć, znowu go zobaczyłam.

Pojawiał się i znikał w krótkim odstępie czasu, jakby jego źródło właśnie się psuło. Na początku wyglądało to dość chaotycznie, ale im dłużej się wpatrywałam, tym pewniejsza się stawałam, że w częstotliwości migania nie było absolutnie nic przypadkowego.

To jebany kod Morse'a.

Ten sam zapętłony fragment kodu. Poczekalam, aż cykl zatrzyma się na chwilę, co oznaczało koniec wiadomości. Gdy rozpoczął się na nowo, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by nadać za błyskami.

Kropka, kreska, kreska, kropka. Czyli „p”.

Umknął mi ciąg dalszy. Ktokolwiek stał teraz w deszczu, wysyłając komuś w budynku potajemne wiadomości, robił to zdecydowanie za szybko.

Poczekalam, aż wiadomość zacznie się od nowa.

„P”, a potem kropka, kreska, kreska. Czyli „w”. Kreska, kropka, kreska, kropka – „c”.

PWC?

Każdy, kto posiadał choć jedną szarą komórkę i miał wojskowego za ojca, wiedział, co oznaczał ten skrót: *Proceed with Caution* – „zachowaj ostrożność”.

Robiło się interesująco. Schadzka kochanków? Zaproszenie? A może ostrzeżenie? W łóżku było ciepło i na pewno bardziej sucho, niż poza budynkiem. Każdej innej nocy byłabym zbyt zaintrygowana, by się powstrzymać. Po prostu musiałabym wymknąć się na zewnątrz i zobaczyć na własne oczy, cóż to za sprośne spotkania miały miejsce w środku labiryntu. Dzisiaj jednak instynkt samozachowawczy podpowiadał mi, że byłam bezpieczniejsza tu, gdzie siedziałam, z dala od wichury, latających w powietrzu odłamków bliżej niezidentyfikowanych rzeczy oraz lodowatego deszczu i hipotermii.

Już miałam wrócić do swojej techniki oddychania, powieki powoli opadały... gdy nagle rozpoczęła się nowa seria impulsów, z zupełnie inną wiadomością:

J...E...S...T...E...Ś

T...C...H...Ó...R...Z...E...M

S...T...I...L...L...W...A...T...E...R

?

Tym razem światło zgasło na dobre.

Co, do kurwy? Wskoczyłam z łóżka. Lało teraz tak intensywnie, że woda spływała po szybach dosłownie strumieniami. Nie mogłam już nawet dostrzec labiryntu. Wszystko, co widziałam, to rzucona rękawica. Wyzwanie kogoś, kto stał tam w ciemności i czekał. Na mnie.

– Neeee – jęknęłam. – Chyba sobie jaja robicie.

Dzięki zarządzanej przez pułkownika Stillwatera pośpiesznej ewakuacji z Tel Awiwu, nie miałam nawet czasu, by kupić nowe ubrania, zanim wepchnięto mnie do taksówki. Nie zabrałam ze sobą żadnej kurtki. A przynajmniej takiej, która w jakikolwiek sposób ochroniłaby mnie przed szalejącą na zewnątrz wichurą. Gdy przekroczyłam próg drzwi wejściowych, oplotłam się rękami, przyciskając do ciała zdecydowanie zbyt cienką bomberkę. Przynajmniej moje stopy powinny pozostać suche w martensach. Szokująco zimny deszcz uderzył mnie w twarz. Klnąc pod nosem, schyliłam głowę, a potem ruszyłam do przodu, prosto w samo serce zawieruchy.

Wiatr zerwał mi kaptur i rozwiął włosy. Nie musiałam się zbyt długo martwić o to, że będą mi wpadać w oczy, bo zanim dotarłam do rogu budynku, były już przemoczone i całkowicie przyklejone do czaszki.

– Co mi odbiło – wysyczałam.

Mimo to biegłam dalej wzdłuż granicy szkoły. Robiłam, co mogłam, by się nie przewrócić, gdy tak ślizgałam się w pełnym błota bagnie, w miejscu którego jeszcze nie tak dawno znajdowała się granica różanego ogrodu. Każdą sekundę odczuwałam jak minutę. Odległość między ścianą „nory” doktora Fitzpatricka, a wejściem do labiryntu dziwnie się wydłużała, wzrastając z każdym moim krokiem. Miałam wrażenie, że traciłam rozum.

To nie był dobry pomysł.

To w ogóle nie był dobry pomysł.

Nikt nie miał pojęcia, gdzie zniknęłam. Ot, odszyfrowałam wiadomość, którą ktoś w środku nocy zamigał mi na ścianie kodem Morse’a, i jak na uparte go osła przystało

postanowiłam udowodnić, że nie byłam tchórzem, zamiast zostać tam, gdzie było bezpiecznie i ciepło. Kto odpierdalał takie rzeczy?

Durne dziewczynki w horrorach. Poinformował mnie o tym głos ojca. *Te idiotki, które prędzej czy później kończą martwe, z częściami ciała rozrzuconymi po trawniku.*

– Nie pytałam o twoje zdanie, Tatusiu – warknęłam przez zaciśnięte zęby, gdy lodowato zimny podmuch wiatru obrzucił mnie kropelkami deszczu prosto w twarz.

U wejścia do labiryntu pozwoliłam sobie na myśl o zawróceniu. Dałam sobie całą sekundę na wycofanie się. Na powrót do względnego bezpieczeństwa swojego pokoju. Potem przypominałam sobie sterczący z materaca nóż i prychnęłam pod nosem. Ten pokój nie był bezpieczny, a ja i tak byłam już przemoczona do suchej nitki. Łydki pokrywało mi błoto. Poza tym ktoś tam na mnie czekał, najprawdopodobniej osoba odpowiedzialna za zniszczenie wszystkich moich rzeczy, a ja chciałam stawić jej czoła. Chciałam stawić czoła Wrenowi, bo byłam pewna, że to on stał za tą wiadomością.

Jeśli bym się z nim skonfrontowała, to cała sprawa mogłaby zostać stłumiona w zarodku. Uporałabym się z tym bezpośrednio – a czy nie tego właśnie nauczył mnie ojciec? *Nigdy nie uciekaj przed swoim wrogiem, Elodie. Nie odwracaj się do niego plecami. Jakakolwiek oznaka słabości będzie twoim końcem. Najwybitniejsi generałowie historii zawsze odpowiadali siłą na siłę.*

Byłam świadoma, jak nierozważnie się zachowywałam. Mogłam chociaż zostawić notatkę z prośbą, by wyryto mi na nagrobku coś treściwego i dosadnie wyrażającego moją dezaprobatę, na przykład: „Żyła lekkomyślnie, więc tak też umarła. Boże, daj jej mądrość, by w przyszłym życiu dokonywała lepszych wyborów”.

Widok labiryntu zawsze przyprawiał mnie o dreszcze. Nie lubiłam na niego patrzeć, w czym nie pomagało rozstawienie okien w moim pokoju, a mimo to zmusiłam się, by zapamiętać drogę do środka. Dwa razy w lewo i raz w prawo. Potem prosto, znowu w lewo, dwa razy w prawo. Zakręt. W lewo, a potem ostatni raz w prawo. Zęby gwałtownie szczękały mi z zimna, gdy usiłowałam poruszać się zgodnie z zapisaną w pamięci trasą. Ściany żywopłotu były wysokie, a przez to złowieszcze i przytłaczające. Miałam wrażenie, jakby z wewnątrz wyciągały się ku mnie ręce. Chwytały mnie, ciągnęły za ubrania, próbowały wciągnąć do środka. W rzeczywistości były to jedynie wystające gałązki, o które zahaczałam kurtką, a także, sięgającymi kolan, bawełnianymi spodniami od piżamy. Mimo to nie potrafiłam pozbyć się rosnącej we mnie paniki. Bałam się, że nie wyjdę stąd cało.

Już po chwili tak się zamotałam, że nie miałam pojęcia, w którą stronę powinnam się kierować. Czułam rozczarowanie ojca, emanujące od niego aż z Bliskiego Wschodu. On by się nie zgubił w tym koszmarnym miejscu. Przedarłby się przez te ściany niczym jebany buldożer, uzbrojony i gotowy stawić czoła czekającemu na niego w centrum niebezpieczeństwu, czymkolwiek by ono nie było.

Nie byłam szczególnie zmartwiona perspektywą zgubienia się. Wiedziałam, że jeśli tylko będę skręcała za każdym razem w tę samą stronę, w końcu dojdę do środka labiryntu. Tak więc robiłam, cały czas idąc w lewo. Pod podeszwami butów zgrzytał żwir, a ja pracowałam nad uspokojeniem się.

Panika wykończy cię szybciej niż cokolwiek innego.

Tak zawsze mówił mój instruktor surfingu, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Południowej Afryce. Powtarzałam te słowa niczym mantrę, wbijając je sobie do mózgu, zmuszając się do uwierzenia w ich prawdziwość. Musiałam zachować spokój.

– Kurwa!

Niemal wyskoczyłam z butów, gdy tuż nad moją głową rozległ się donośny grzmot. Jego

siła wibrowała w każdej komórce mojego organizmu, kumulując się w klatce piersiowej. Piorun przedarł niebo na pół – to była gigantyczna struga wspaniałego, przesywającego światła. Usilnie próbowałam nie wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby uderzyła we mnie i wykorzystała moje durne siedemnastoletnie ciało jako przewód łączący je z ziemią. Wystarczyła mi świadomość, że byłoby to cholernie bolesne.

Szłam dalej ze schyloną głową, z barkiem niezmiennie wystawionym na wiatr, co nie powinno być możliwe, skoro co kilka sekund zmieniałam kierunek. Wyglądało na to, że szalejąca wichura zgubiła się razem ze mną w tej, doprowadzającej do szału, sieci ścieżek. Wiatr wirował i pisał wokół mnie. Bez względu na to, jak bardzo przyspieszałam kroku, nie mogłam go wyprzedzić.

Gdy już miałam się poddać i poszukać schronienia, kolejna ręka sięgnęła w moją stronę. Tym razem poczułam palce zamykające się na przedramieniu.

I krzyknęłam.

Jezu, co to był krzyk.

Nie znosiłam tego, że zareagowałam tak dramatycznie, ale w tamtym momencie odczucia były tak realne, że w nie uwierzyłam. Wiedziałam, z zatrważającą pewnością, że jakaś nieznana zjawia właśnie wyłoniła się z samego serca burzy i chwyciła mnie za rękę, by zaciągnąć w ogień piekielne. A ja się do piekła nie nadawałam. Należałam do dziewczyn, które lubiły watę cukrową i drapanie po plecach. Wieczne potępienie nie brzmiało zbyt...

– Jezu, Stillwater, przestań wrzeszczeć. Umarłych pobudzisz.

Zaskoczona, zamknęłam usta. Zęby spotkały się ze sobą tak mocno, że aż skrzypnęły. *A więc żadna zjawia.* Dobrze znałam tego demona, z jego kruczoczarnymi włosami i szokująco zielonymi oczami. Nawet w deszczu i ciemnościach oczy Wrena Jacobiego wyglądały na zdecydowanie zbyt intensywne. Uśmiechnął się półgębkiem. Włosy przybrały formę mokrego, artystycznego nieładu. Wilgotne fale zakręcały się wokół uszu, a po przystojnej twarzy spływały strumienie wody. Cudem powstrzymałam się przed wydaniem z siebie kolejnego, mrożącego krew w żyłach, krzyku.

Babcia ze strony mamy lubiła mi opowiadać historie o diable. Jej zdaniem był najpiękniejszym ze wszystkich aniołów. Bóg obdarzył go obliczem, które wydobywało westchnięcie z kobiecych piersi, a męskie napełniało zazdrością. Gdy widziałam ją po raz ostatni, w niewinnym wieku ośmiu lat, ostrzegła: „Elodie, drogie dziecko. Uważaj na przystojnych. Zwiodą cię swoją urodą, ale to tylko złudzenie. Ich oczy będą ci spoglądać w duszę, a usta odbiorą ci dech, ale pod całą tą przyjemną dla oka zewnętrznością skrywa się nikczemność zesłana przez samego świętego Mikołaja z Miry. Wszyscy przystojni mężczyźni zostali naznaczeni przez Złego”.

Wtedy wzięłam to za bajdurzenie, tracącej zmysły staruszki, ale teraz, patrząc na Wrena, który stał w deszczu, jakby właśnie wybrał się na spacer pięknego letniego dnia, zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie miała racji.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – Wyrwałam mu się. – To dla ciebie zabawa? Ludzie potrafią umrzeć w taką pogodę.

Parsknął pod nosem, jakbym właśnie powiedziała coś zabawnego.

– Masz skłonności do hiperboli, co, Stillwater? Jesteś na zewnątrz od pięciu minut. Nie złapiesz hipotermii od odrobiny wiatru i deszczu. No chyba, że jesteś słabego zdrowia?

Słabego zdrowia. Ja mu, kurwa, dam słabe zdrowie. Zaraz mu przywalę.

Podniósł na mnie brew. Prawy kącik ust wygiął mu się do góry, gdy teatralnie wyciągnął w moją stronę rękę, wnętrzem dłoni ku górze.

– Znam drogę – poinformował tajemniczo.

– Drogę dokąd? – Spiorunowałam wzrokiem wyciągniętą ku mnie rękę, jakby była pokryta jakimiś zabójczymi bakteriami.

– Do ciepła. Do schronienia. No, chyba że wolisz tu spędzić pół godziny, kręcąc się w kółko w błocie, zanim znajdziesz wyjście. Jak wolisz. Równouprawienie kobiet i tak dalej. Dla mnie bez różnicy. – Przekrzywił głowę. Druga brew dołączyła do pierwszej, wysoko uniesiona. Moje zdradzieckie serce zadrżało. *Ja pierdolę.* Jeszcze niczego tak w życiu nie pragnęłam, jak uderzyć go prosto w gardło.

– Nie potrzebuję twojej ręki. Potrafię iść sama – rzuciłam.

Kolejny, całkowicie ogłuszający grzmot. Po twarzy Wrena rozlała się ulga. Mogłam zobaczyć ją wyraźnie, okonturowaną cieniem, skapaną w błyskającym świetle podążającej śladem grzmotu błyskawicy. Ta chwila była tak surrealistyczna, że nie potrafiłam ogarnąć umysłem absurdu sytuacji. Chłopak opuścił rękę.

– W takim razie oczy szeroko otwarte! Będziesz musiała widzieć, gdzie idziesz! – krzyknął, żeby być słyszalnym przy odgłosach szalejącej burzy. Obserwowałam jego pracujące mięśnie szyi, zastanawiając się, czy pobiegłby za mną, gdybym zaczęła uciekać.

Nie. On by nie pobiegł.

To ja bym biegła. Biegła, zataczając się oraz potykając. Pewnie nawet bym się wywracała, podczas gdy on spokojnie by za mną szedł, nietknięty przez żywioły. Schwyciłby mnie, nie włożywszy w to choćby krztyny pieprzonego wysiłku, bo taką właśnie był osobą.

Odwrócił się. Czarna koszulka przylegała mu do pleców jak druga skóra. Zaczął iść, po czym skręcił w lewo, w głąb labiryntu.

Nie miałam innego wyboru. Poszłam za nim.

Pięć gwałtownych zakrętów później znaleźliśmy się u celu naszej wędrówki. Wśród krzewów róż, których brzoskwiniowo-czerwone płatki leżały rozsiane wokół, stała altana ogrodowa. Znajdowała się na podwyższonej platformie, tuż pod masywnymi konarami dębów, robiących za strażników labiryntu.

Nie zauważyłam tej konstrukcji z okna pokoju. Wszystko, co mogłam dostrzec z tamtego punktu, to wysokie ściany żywopłotu. A jednak ona tutaj stała. Mała ale solidna, zbudowana z drewna i szkła, pomalowana na biało-niebiesko. Absolutnie przeurocza. Ze środka dochodziła ciepła, pomarańczowa łuna, obiecująca światło i ochronę przed zimnem.

Wren wspiął się schodami prowadzącymi do osłoniętego wejścia. Zatrzymał się przed drzwiami, trzymając bladą dłoń na mosiężnej gałce.

– To miejsce jest objęte zakazem wstępu – poinformował. – Nie powinno nas tu być.

– No co ty. – Ręką wskazałam niebo. – Nie powinno nas być w ogóle na zewnątrz.

Znowu parsknął tym swoim śmiechem, jakbym właśnie dostarczała mu rozrywki. Jakby wszystko, co robiłam, było dla niego urocze i głupiutkie.

– Założyłem, że nie masz nic przeciwko złamaniu paru reguł, Stillwater. Jeśli jednak tak nie jest, mogę zaprowadzić cię do akademii. Daj mi tylko chwilę na zabranie rzeczy.

Było zbyt głośno, by mógł usłyszeć warczenie pod nosem. Ufałam jednak, że grymasem dostatecznie wyraziłam swoje zirytowanie.

– Otwieraj te cholerne drzwi, Jacobi. Robię się sina z zimna.

Wyglądał na zadowolonego, choć mogłam się mylić. Z nim nigdy nie wiadomo. Równie dobrze mógł wyglądać, jakby właśnie chciał mnie zamordować. Trudno stwierdzić. Przekręcił gałkę i pchnął drzwi, po czym zrobił krok do tyłu, by po chwili wyciągnąć przed siebie rękę, dając mi znak, bym weszła pierwsza.

Zerknęłam na niego podejrzliwie i prześlizgnęłam się obok.

Wdzięczna, że nie czułam już na sobie smagania deszczu, oparłam się o ścianę i westchnęłam z ulgą. Powiedzieć, że wewnątrz altanki było zaskakujące, to jak nic nie powiedzieć. Oczekiwałam kilku łuszczących się drewnianych ławek i pustych puszek turlających się po betonie. Nie mogłam się bardziej pomylić. Wystrój – bo to miejsce autentycznie miało swój wystrój – był zachwycający. Na brzegach pomieszczenia połyskiwał wypolerowany parkiet, w przeważającej większości skryty pod miękkim, grubym dywanem o kremowym odcieniu. Po jego drugiej stronie znajdował się niezapalony otwarty kominek, a przed nim sofa oraz dwa wygodne fotele. Przy łukowatej ścianie naprzeciw drzwi niska biblioteczka ugięła się pod ciężarem niezliczonych tomisk o skórzanych grzbietach i połączanych krawędziach. Wszędzie były rośliny doniczkowe: pnącza, paprocie, ficusy. Rozpychały się w walce o przestrzeń i światło, stojąc przy oknach, które z zewnątrz pokrywała patyna, ale w środku były czyste.

– Co to za miejsce? – wyszeptalam. Spodziewałam się czegoś zapomnianego i zapuszczonego, a nie tajemnej kryjówki lub czyjś ukochanego sanktuarium.

Wren ściągnął zabłocone buty, które zostawił potem przy drzwiach. Nie miał skarpetek, co z jakiegoś powodu przyprawiło mnie o dreszcze. Widok jego nagich stóp, gdy szedł dywanem w stronę kominka, był dla mnie dziwnie niekomfortowy – jednocześnie nie miałam jednak na tyle przyzwoitości, by odwrócić wzrok. Schylił się i chwycił kawałek drewna ze stojącego obok kosza wiklinowego. Przyglądał mu się, obracając go w dłoniach.

– To miejsce zbudowano z myślą o pracownikach, ale przejęliśmy je, gdy tylko się tu pojawiliśmy. Jedynie Fitz wie o tym, że tutaj przychodzimy, ale przymyka na to oko.

Nic w tym miejscu nie sprawiało wrażenia, jakby mogło należeć do tego chłopaka. Było zbyt... zbyt dorosłe i proste, a przy tym zbyt... Nawet nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć. Nigdy, nawet przez sekundę, nie zastanawiałam się nad tym, jak mogła wyglądać jego przestrzeń prywatna. Co innego wiedzieć, że miał gdzieś swój pokój, a co innego wyobrazić sobie, jak on wyglądał. Więcej sensu miałoby, gdyby nocą wypełzał z jakiejś trumny. Albo gdyby materializował się z tumanu czarnego dymu.

Rzucił drewno na palenisko. Widziałam, jak drżały mu kąciki ust, jak ten jego zgubny uśmiezek usiłował przejąć kontrolę nad twarzą. Z nieznanym mi powodów tym razem postanowił nad nim zapanować.

– Rozgość się, Stillwater. Zdejmij kurtkę. Na kanapie jest koc, możesz się nim owinąć, dopóki rzeczy ci nie wyschną.

Nawet nie drgnęłam, przytulając się w dalszym ciągu do ściany.

– Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłeś, Wren? – zapytał zimnym tonem.

Dołożył drewna. Kucnął, by poukładać poszczególne pieńki w satysfakcjonujący go sposób. Wyrwał kilka stron starej gazety, robiąc z nich kulki, które następnie powtykał w luki swojego stosu. Nie odezwał się ani słowem.

– Wren. Mówię poważnie. Ta wiadomość. Po co ją do mnie wysłałeś? Dlaczego mnie tutaj, do cholery, przyprowadziłeś?

– Gdy byłem dzieckiem, ojciec wysyłał mi wiadomości w kodzie Morse'a. Uderzał palcami o stół w czasie śniadania albo stukał długopisem o, cóż, cokolwiek... To był nasz mały sekret. Macocha tego nie znosiła.

– Dzięki za rozczulającą historyjkę. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

Musiała być jakaś trzecia nad ranem. Może i byłam młoda, ale wciąż potrzebowałam dużo snu, który lubiłam. Tymczasem Wren bez powodu pozbawiał mnie prawa do odpoczynku.

Spojrzał na mnie przez ramię z rozchyłonymi ustami i dziwnym wyrazem oczu. Krótka chwila kontaktu wzrokowego wystarczyła, by wzbudzić we mnie potrzebę skrycia się za

pieprzoną biblioteczką. Odwrócił się, odpalił zapałkę i zaczął przykładać ją do papieru, dopóki każda ze zgniecionych kulek nie zapłonęła.

– Twój ojciec też nauczył cię kodu Morse’a, prawda?

– Tak. – Nie chciałam udzielać mu ani tej, ani żadnej innej informacji na swój temat, ale pytanie było proste. Nie miałam powodu, by nie odpowiadać.

– Ale dla niego to nie była zabawa, prawda? Tylko kara.

Panika gwałtownie eksplodowała mi w klatce piersiowej. Rozeszła się falami po reszcie ciała, napełniając żyły adrenaliną, zawłaszczając każdą komórkę niczym błyskawica niebo. Nie wiedział niczego, ani o moim ojcu, ani o mojej przeszłości. Nie mógł. Cokolwiek myślał, że wiedział, nie było zgodne z prawdą. Więc dlaczego miałam wrażenie, jakby właśnie otworzył mnie na oścież i zaczął grzebać w najmroczniejszych sekretach? Nagle poczułam się brudna.

– To nie ma znaczenia – odparłam krótko.

– Nasi ojcowie nas tworzą – odpowiedział, prostując się. Podpalony stos drewna gwałtownie obudził się do życia, wznosząc się za jego plecami. Wyglądało to, jakby same odmęty piekielne przybyły na jego wezwanie. – Dużo czytałem o twoim staruszku. Czego jeszcze cię nauczył? Boks tajski?

– Nie.

– Ach, no tak. Izrael. Czyli pewnie była to krav maga.

Nie podobało mi się, że potrafił tak dużo wydedukować. To nie było sprawiedliwe. Miał w zanadru informacje, których ja na jego temat nie posiadałam. Były rzeczy... rzeczy, których nie mógł wiedzieć. Rzeczy, które pogrzebałam tak dobrze i tak głęboko, że nawet on nie byłby w stanie ich odkopać.

– Nie widzę związku z tematem – ucięłam.

Wydął dolną wargę.

– Praktykujesz jeszcze? Też kiedyś trenowałem. Moglibyśmy się zmierzyć.

– Nie.

– Nie, już nie praktykujesz, czy nie, nie chcesz się ze mną zmierzyć?

– Nie, nie praktykuję tutaj. Po co miałabym to robić, skoro nie muszę? I czy moglibyśmy przestać rozmawiać o moim ojcu? To są moje prywatne sprawy.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – odparł, niewzruszonym zimnym tonem.

Wren, niczym pantera, zbliżył się do mnie powolnym i pełnym gracji krokiem.

Pasma włosów zwisały mu wzdłuż twarzy, tworząc ociekającą wodą zasłonę, która skrywała oczy, ale i tak czułam intensywność jego spojrzenia. Wypalało mi skórę. Oblizwał usta, a następnie podniósł rękę. Wzdrygnęłam się.

Zastygł niecałe trzy centymetry przed moją twarzą. Miał dłonie pianisty. Jego palce były długie i zręczne. Ich widok mnie pochłonął. Sama myśl o tym, co mógłby nimi zrobić, gdybym mu na to pozwoliła. Paznokcie miał pokryte tym samym odpryskującym czarnym lakierem, kiedy spotkałam go po raz pierwszy.

– Płochliwa z ciebie istotka – wymruczał.

– Wybacz, że jestem ostrożna, ale nic o tobie nie wiem. Nie przyjaźnimy się – odbiłam piłeczkę. Nie znosiłam tego, że na dźwięk jego głosu miałam gęsią skórę. – Nie przywykłam do ludzi, którzy myślą, że mogą mnie dotykać bez mojej zgody.

– W takim razie poczekam na zaproszenie. – Opuścił dłoń. Twarz wykrzywił mu ten cholerny, leniwy uśmieszek. – Masz płatek róży we włosach. Chciałem go z nich wyciągnąć.

Odruchowo przeczesalam włosy i rzeczywiście znalazłam w nich płatek. Wren zassał delikatnie swoją dolną wargę. Oczy miał pełne emocji, których nie potrafiłam nazwać. Było w nich coś niebezpiecznego. Ostrego. Tego typu spojrzenie mogłoby przeciąć skórę, jeśli tylko

właściwie by go użyto. Cofnął się o kilka kroków i wzruszył ramionami. Chwycił za brzeg czarnej bluzki.

– Jeśli chcesz stać tu w zupełnie przemoczonych ubraniach, droga wolna, Stillwater. Ale ja nie zamierzam dobrowolnie się na to skazywać.

Zanim zorientowałam się, co planował zrobić, ściągnął przesiąknięty materiał przez głowę i odwrócił się ode mnie, idąc w stronę kominka. Powiesił koszulkę na gzymsie. Wpatrywałam się w jego plecy – nagi bezmiar mięśni i nieskazitelnej skóry, przyprawiający moje gardło o pulsowanie. Ta koszulka, ta sama koszulka, którą nosił dzień w dzień od dnia mojego przyjazdu, skrywała pod sobą całą rzeszę grzechów: silne ramiona, szerokie barki i klatę, na której widok zapłakałby sam Michał Anioł. Miał boskie ciało.

Zwrócił się przodem do mnie i po prostu tam stał, pozwalając mi na to, bym go oglądała. Powinnam wykazać się choć odrobiną szacunku do samej siebie i odwrócić wzrok, ale nie mogłam. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Kogoś tak zbudowanego, jakby był wyrzeźbiony w marmurze. Ten widok zapierał mi dech swoją perfekcją. Powstrzymałam się przed liczeniem mięśni, z których składał się jego „kaloryfer”. Wystarczyło, że tam był, w dodatku tak wyraźnie zarysowany. Od czubka głowy po nisko opuszczone jeansy, Wren Jacobi był jednocześnie uosobieniem najśłodszych, niebiańskich snów i najbardziej pokręconych, przerażających koszmarów.

Zielone oczy paliły do żywego. Były gorączkowe i żarliwe. Świdrował mnie nimi i patroszył, ze świadcząca o dużym doświadczeniu z dziewczynami swobodą. Ile ich już tu przyprowadził? Ile uczennic Wolf Hall zostało zaciągniętych w to miejsce w środku nocy, a następnie zupełnie ogłupionych widokiem tej wspaniałej nagiej skóry? Lista strat w ludziach musiała być długa.

– Myślałam, że nie wolno ci zdejmować koszulki – wymamrotałam, w końcu odwracając wzrok.

– Och, mogę ją ściągać, kiedy tylko mi się podoba – zapewnił. – Po prostu nie wolno mi było włożyć niczego innego. Ale teraz jest już po północy, mamy pierwszego lutego. Jestem zwolniony ze swojej kary.

– Czyli od jutra chodzisz tylko w jaskrawoczerwonym, co?

Zaśmiał się cicho.

– Nie przepadam za kolorami. Czarny bardziej do mnie pasuje.

– Mhm, tak, zgadzam się. Czarny jak twoje serce? Jak twoja dusza?

– Auć. – Przyłożył dłoń do klatki. – To bolało. Proszę zaprotokołować, że to naprawdę bolało. – Rozsiadł się na kanapie, wyciągając przed siebie nogi. Ciepła łuna rzucona przez tłący się ogień oświetlała całą jego sylwetkę, od twarzy po klatkę piersiową i dobrze zbudowany brzuch. Wyglądał frustrująco dobrze. – Mogę coś włożyć, jeśli czujesz się niekomfortowo.

To wszystko było tak bezsensowne i nieodpowiedzialne, że nagle zapałam gniewem do siebie samej. Bawił się mną, a ja mu na to pozwalałam. Pozwalałam, by mną manipulował, by pociągał za dokładnie te sznurki, które sobie upatrzył. Wiedział, że był przystojny i wiedział, jak to wpływało na osoby przeciwnej płci. Tuląc się do ściany, potykając o własne słowa, syciłam jego potrzebę uwagi.

– Wiesz, co sprawia, że czuję się niekomfortowo? – warknęłam, zmierzając w jego stronę.

– Gdy wchodzę do swojego pokoju i okazuje się, że ze środka materaca sterczy nóż myśliwski, a wszystkie moje rzeczy leżą na podłodze, rozszarpane na kawałki. Wtedy właśnie czuję się rzeczywiście i wykurwiście niekomfortowo.

– Nóż myśliwski? – Spojrzał na mnie z kanapy z subtelną, ale przekonującą zmarszczką między ściągniętymi brwiami.

– Nawet, kurwa, nie próbuj, Jacobi – zdenerwowałam się jeszcze bardziej. – Dobrze wiesz, o czym mówię. Włamałeś mi się do pokoju, rozpieprzyłeś wszystko i zadzgałeś mi materac. Jeśli próbowałeś wzbudzić we mnie bojaźń bożą, to ci się nie udało, okej? Po prostu... trzymaj się z daleka od mojego pokoju.

Brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej.

– Ktoś włamał ci się do pokoju – powtórzył moje słowa w formie stwierdzenia. Miał kamienną twarz. Jego głos był zupełnie pozbawiony emocji. – Nie mam z tym nic wspólnego. To nie w moim stylu. Włamania są takie... barbarzyńskie.

– Przestań pieprzyć. Wiem, że to ty. Komu innemu by się chciało?

– A dlaczego mi miałyby się chcieć? – Kącik ust drgnął ku górze.

– Szukałeś czegoś. I chciałeś mnie nastraszyć – kontynuowałam swoje zarzuty, usilnie starając się samej nie zacząć ich kwestionować. Gdy patrzyłam w te jasnozielone oczy, nie potrafiłam dostrzec w nich choć śladu kłamstwa. Był niesamowitym aktorem, musiałam mu to przyznać.

– Najlepsi rzeźnicy nie straszą zwierząt przed zabraniem ich na ubój, Elodie. Stres negatywnie wpływa na smak mięsa – wyjaśnił spokojnie.

– Co to ma, do cholery, znaczyć?

Westchnął i skierował wzrok w stronę ognia.

– Po co miałbym cię straszyć, Malutka Eli? Co mógłbym w ten sposób zyskać?

Wiele razy zadawałam sobie te pytania. Było mnóstwo powodów i każdy z nich wzięłam pod uwagę. Teraz, gdy sam o nie zapytał, wszystkie nagle wydały się całkowicie idiotyczne. Nie potrzebował strachu, by zdobyć kobiety; pewnie dobrowolnie ścigały się o to, która pierwsza zdoła wskoczyć mu do łóżka.

Nie istniało dobre wytłumaczenie, dla którego Wren miałby zniszczyć mi pokój.

– Nie martw się, Malutka Eli. Obiecuję, że nigdy nie wszedłem do twojego pokoju bez twojej zgody – zapewnił, bawiąc się szwem jednej z leżących na kanapie poduszek.

Czy mu uwierzyłam? W życiu. Spieranie się nie miało jednak większego sensu.

– Nieważne. Byłoby super, gdybyś w końcu wydusił z siebie, co ja tu w ogóle robię. Chciałabym wrócić do łóżka i...

– Odpowiem na twoje pytanie, jeśli usiądziesz – przerwał mi. – Czuję się, jakbym był na jebanym przesłuchaniu, gdy tak nade mną stoisz w tej gigantycznej kurtce.

Chciałam stąd iść, ale pogoda w żadnym stopniu się nie poprawiła przez ostatnie pięć minut. Szanse, że byłabym w stanie sama znaleźć wyjście z labiryntu, też były dość nikłe. Pewnie znowu bym się zgubiła, a Wren na pewno nie będzie chciał mi pomóc, dopóki mu nie ustąpię.

Szybki cios prosty w gardło.

Kopniak z kolana w jądra.

Uderzenie łokciem w splot słoneczny.

Uzbrojona w kilka taktyk samoobrony obeszałam mały stolik i niechętnie usiadłam w fotelu. Przynajmniej byłam blisko kominka. Ciepło wspaniale buchało z ogniska.

Usatysfakcjonowany, zaczesał mokre włosy do tyłu, odsłaniając twarz.

– Chciałem, żebyś tu przyszała, bo jesteś inteligentna – oznajmił. – Jesteś też bystra, więc na pewno zauważyłaś, że zwracam na ciebie uwagę. Wiesz, że jestem zainteresowany.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że bycie przedmiotem twojego zainteresowania nie jest niczym dobrym? – Zmrużyłam oczy.

Wyglądał na speszonego.

– Okej, mam trochę na sumieniu. Carina pewnie ci już wszystko opowiedziała.

– Trochę mi opowiadała, ale nie wszystko. Głównie mówiła o tym, że chciałeś przelecieć

przed świętami połowę populacji Wolf Hall, ale jednak ci się nie udało. Jakiś zakład, tak? Między tobą i twoimi ziomeczkami z Riot House? A może powiesz mi, że to zmyśliła?

Dłonie Wrena zastygły. Frędzel poduszki utknął między długimi palcami. Spojrzał na mnie, pozostając zupełnie nieruchomym. Jacobi nawet nie mrugał.

– Tak, to był zakład – potwierdził. – Miałem przespać się z dziesiątką dziewczyn między Halloween a Bożym Narodzeniem. Nie zrobiłem tego. W ten sposób skończyłem nosząc te same rzeczy przez miesiąc.

No proszę. Nie przypuszczałam, że się przyzna.

– Co się stało? – dociekałam. – Dziewczyny zaczęły ze sobą rozmawiać i porównywać notatki? Zawaliłeś na ostatniej prostej, mając już dziewiątkę na koncie? – W mojej głowie brzmiało to zimno i obojętnie, ale wypowiedziane na głos, już tylko zgorzkniale i śmiesznie.

– Nie marnujmy czasu. – Pochylił się do przodu, opierając przedramiona na udach. – Docinki nas nigdzie nie doprowadzą. Nie podoba ci się, że nie czekałem z seksem do ślubu, czy o co chodzi?

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? – Policzki nabiegły mi krwią. – Twoje życie seksualne nie ma ze mną żadnego związku. Nie jest moją sprawą.

– A jednak, wnosząc po pełnym osądu tonie głosu, masz z tym problem.

– Serio, mam to gdzieś. Jeśli tylko te dziewczyny wyrażają na to zgodę, to...

– Nie jestem gwałcicielem, Elodie – przerwał. – Nigdy nie zrobiłem niczego bez wyraźnej zgody drugiej strony. Zazwyczaj obdarzam dziewczyny swoimi względami dopiero wtedy, gdy błagają mnie o nie na kolanach.

– I na pewno cię to jara, co? Błaganie musi nieźle łechtać ego.

– Błaganie nie pozostawia pola do interpretacji. – Oparł brodę na dłoni. Przez cały czas wpatrywał się we mnie z pełną uwagą. – Nie lubię nieudomówień. Wolę czarno-białe sytuacje. Jednoznaczne. A ty?

– Tak, lubię jednoznaczne sytuacje. Dlatego już teraz daję ci znać, że nigdy nie zniżę się do klęknienia przed tobą. Jesteś potworem, który traktuje kobiety jak gówno i...

– Nie wiesz, jak traktuję kobiety – ponownie mi przerwał, po czym skierował przeciwko mnie moje własne słowa. – Nic o mnie nie wiesz, pamiętasz?

Co za dupek. Miał odpowiedź na wszystko.

– Jednak stwarzasz pozory osoby, która – również użyłam jego wcześniejszego zwrotu – przeżuwa je na śniadanie, a potem wypluwa, jakby były towarem jednorazowego użytku. Pewnie nieźle cię wkurwiło, że przegrałeś tamten zakład, co? Musiało zboleć, że nie udało ci się przekonać dziesięciu biedaczek, żeby się z tobą przespały.

Serce waliło mi w piersi, a on po prostu tam siedział, z głową wspartą na dłoni. Światło kominka nieustannie igrało z jego rysami. Skąpana w ciepłym blasku sylwetka była elegancka, męska i kompletnie niewzruszona, gdy tak wysłuchiwał mojej tyrady. Gdy w końcu się odezwał, wyglądał na zamyślonego.

– Wydaje ci się, że mnie rozgryzaś, co? A może jednak chcesz poznać prawdę? – zaczął.

– Bo prawda jest taka, że nawet nie musiałem się starać, by wygrać ten zakład. Po tym, jak Pax powiedział o nim Damianie, do końca dnia wiedziała już cała szkoła. Dziewczyny ustawiały się w kolejce, by móc mi wskoczyć na kutasa. Mógłbym przelecieć ich trzy razy więcej w ciągu zaledwie doby. Jednak nawet ja nie mam wystarczającej kondycji.

– O wow, no proszę. Brawo. Czyli wygrałeś zakład i bez powodu przyjąłeś karę?

– Nie wygrałem zakładu. Nie przespałem się z żadną z tych dziewczyn. One chciały tylko móc powiedzieć, że zaliczyły jednego z chłopaków z Riot House. Nie kręci mnie tego typu gówno. Dziewczyna musi sobie na mnie zasłużyć, a nie myśleć, że wyświadcza mi przysługę.

– Ho, ho, ho. Uważaj, bo twoje ego zaraz wyjebie skalę.

– To nie ego. To fakt.

– Czyli jednak grzeczny z ciebie chłopczyk. Mały, święty prawiczek. Po co mnie tu przyprowadziłeś? Żeby mi o tym powiedzieć? – Co za absurd. Jeśli serio próbował mnie przekonać, że miał jakieś wartości i nigdy nie spał z nikim z Wolf Hall, to właśnie sam się ujawnił: był bezwstydnym kłamcą.

– Trudno byłoby znaleźć tutaj kogoś, kto byłby dalej od bycia prawiczkiem – stwierdził. Zęby błysnęły mu w wilczym uśmiechu, a palce stóp poruszyły się w ciepłe ognia. – Skalano mnie lata temu.

Dobór słownictwa prawie przypawił mnie o wybuch śmiechu. „Skalano go”! Jakby kiedykolwiek był niewinny. Jakby dopiero cudza ręka go takim uczyniła. Dałabym sobie głowę uciąć, że już chwilę po opuszczeniu łona matki był kompletnie zdeprawowany.

– I tak, masz rację. Trudno byłoby tutaj znaleźć też kogoś, kto byłby dalej od bycia dobrym. Widzę to w twojej twarzy, znasz prawdę – kontynuował. – Nie chcesz wiedzieć, co przegrałem przez niewzięcie udziału w zakładzie Dashiella i Paxa?

– Nie. Mam to gdzieś. Cała ta sprawa jest do bólu przewidywalna. Grupa znudzonych, nadzianych dzieciaczków robi sobie zakłady, mając w dupie, jak to wpływa na resztę świata. Naprawdę cię nie obchodzą inni ludzie? Nie czujesz się źle z tym, że ich ranisz?

Nie potrzebował się długo zastanawiać nad odpowiedzią.

– Obchodzi mnie Pax. Obchodzi mnie Dashiell. Ale nie w tradycyjny dla licealistów sposób. Nie są moimi kumplami czy ziomeczkami. Są tlenem. Światłem. Ciepłem. Schronieniem. Domem. Bezpieczeństwem. Wszystkim, co znam. A inni, przechadzający się korytarzami tej zasranej nory? Pytasz, czy ci ludzie mnie obchodzą? Nie, Stillwater. Nie zależy mi na żadnym z nich i nie boję się tego przyznać.

Mimo że siedziałam tuż przy kominku, było mi zimno. Jakbym miała w brzuchu bryłę lodu, która w ogóle się nie topiła. Byłam absolutnie wycieńczona. Nie powinnam opuszczać swojego pokoju. Jak ostatnia idiotka przyszedłam tu na przekór wichurze i burzy, tylko po to, by tu teraz siedzieć i tego wysłuchiwać. To on zniszczył mi pokój i nawet w najmniejszym stopniu nie wstydział się tego, kim był. Chyba naiwnie liczyłam na to, że odkryję w nim jakieś cechy, które mogłyby wytłumaczyć jego zachowanie lub odkupić jego winy – ale tutaj nie było nic do ratowania. Wren był jałową ziemią, a ja nie miałam zamiaru dłużej na niej zostawać. I tak nie znalazłabym tu nic, czym mogłabym się pożywić.

Chryste, i teraz jeszcze musiałam wracać w taką pogodę do akademii. *Co za gówno.* Podniosłam się z kanapy, drżąc na samą myśl o lodowato zimnym deszczu, który już za chwilę miał ponownie smagać mi twarz.

– Wracam do pokoju. Tylko tracę tu czas. Ja...

– Z jakiegoś powodu zależy mi jednak na tobie – przerwał raz jeszcze, zaciskając szczęki. Nie patrzył na mnie. Wzrok miał wbity w dywan leżący przed kominkiem. Po wyrazie twarzy widziałam, że przyznanie tego dużo go kosztowało. Cokolwiek właśnie czuł, nie podobało mu się to. – Nie mogę się pozbyć tej... fascynacji... tobą, Stillwater. Co z każdą chwilą staje się coraz bardziej niedogodne.

Wywróciłam oczami. Cudem zwalczyłam dramatyczne westchnienie.

– O co tym razem chodzi, hm? Kolejny zakład? Chcesz uratować twarz po swojej ostatniej żenującej porażce i uznałeś, że będę łatwym celem, tak? – wyparowałam. – Muszę cię zmartwić, Wrenie Jacobi. Nie jestem twoją zabawką. Nie stworzono mnie dla twojej rozrywki. Prędzej umrę, niż pozwolę ci zrobić sobie worek treningowy z mojego serca. Więc zapomnij o tym. Zapomnij o mnie.

Wren powoli podniósł się z kanapy, a ja poczułam falę paniki. Jego oczy buzowały elektrycznością, a dolna warga ponownie wylądowała między zębami. Moja wielka przemowa miała skutek dokładnie odwrotny od zamierzonego. Ruszył do przodu niczym skradający się do ofiary dziki kot. Jego mięśnie poruszały się pod skórą w zupełnie zapierający dech w piersiach sposób, a ja prawie potknęłam się o własne nogi, bo w pośpiechu chciałam się od niego odsunąć. Jacobi wyglądał zupełnie tak, jakby chciał mnie pożreć.

– Obawiam się, że mój mózg nie działa w taki sposób. Nie mogę tak po prostu „zapomnieć” – stwierdził. – Jeśli czegoś chcę, nie mogę tak po prostu ruszyć dalej i udać, że ta rzecz nie istnieje.

Przez cały czas się cofałam. Gdy tył moich nóg dotknął fotela, na którym przed chwilą siedziałam, serce zacisnęło mi się w piersi. Musiałam wdrapać się na ten pieprzony mebel, jeśli chciałam zachować między nami bezpieczną odległość. Nie byłoby w tym choć krztyny gracji, ale zrobiłabym to bez zastanowienia, jeśli tylko udałoby mi się dzięki temu przed nim uciec.

Wren miał inny pomysł. Zrobił ostatni krok. Stał tak blisko mnie, że czułam jego ciepły oddech na policzku. Widziałam otaczające rozszerzoną źrenicę cętki złota i bursztynu. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam oddychać. Czułam, że jedno mrugnięcie wystarczyłoby mu, by się na mnie rzucić i rozerwać na strzępy. Ujął kosmyk mokrych, poplątanych, blond włosów, okręcając go sobie wokół palców.

– Nie jesteś zakładem, Elodie. Musiałem się z nimi o ciebie targować. Złamałem własne zasady, by zdobyć prawo własności nad tobą i wiele mnie to kosztowało.

Gdzieś pod spodem paraliżującej paniki budziła się we mnie furia. *Za kogo on się, do kurwy nędzy, uważał? Co za zadufany w sobie, arogancki dupek.*

– Nie można się targować o człowieka. Nie należę do żadnego z was – wysyczałam. – Nie będziecie się o mnie kłócić jak o kawałek jebanego mięsa.

Czułam się tak, jakby serce waliło mi w przynajmniej trzydziestu różnych punktach ciała. Pulsowały skronie, uszy, czubki palców. Usta...

Wzrok Wrena nagle zatrzymał się na moich ustach. Przestał oddychać. Wyglądał jak napięta struna albo gotowy do skoku drapieжник, zawieszony w oczekiwaniu. Ja... Jezu Chryste, musiałam się stąd wydostać, zanim...

Wren pociągnął za trzymany w palcach kosmyk włosów. Z na wpół przymkniętymi powiekami pochylił się jeszcze bardziej, przekrzywiając głowę i przyglądając mi się. Straciłam równowagę. Okropny, pełen nieważkości moment, w czasie którego zdążyłam tylko zarejestrować, że właśnie miałam upaść. Ledwie minął, a ja już siedziałam w fotelu. Pod wpływem siły zderzenia z oparciem wyleciało ze mnie całe powietrze. Wren pochylał się dalej. Jedną rękę położył na poręczy fotela, drugą na oparciu, tuż nad moją głową. Byłam uwięziona, a on był wszystkim, co mogłam poczuć. Mroczny, ciężki i piękny zapach od razu uderzył mi do głowy. Przypominał kwitnące nocą kwiaty, zimowe spacerzy z mamą, ocean i zakład stolarski wujka Remiego.

Kurwa. Przy następnej styczności z nim nie miałam już przypomnieć sobie żadnej z tych rzeczy. Woń była na tyle silna, by przepisać wszystkie moje wspomnienia tej chwili. Następnym razem, gdy ją poczuję, będę w stanie wspomnieć tylko moment, w którym byłam uwięziona w fotelu i czułam tak gwałtowne bicie serca, jakby miało wylecieć mi z piersi. Do tego miałam dziwne przeświadczenie, że właśnie umierałam w najrozkoszniejszy możliwy sposób.

– Odsuń się ode mnie, Wren – wyszeptalam.

– Chciałbym, Stillwater. – Uśmiechnął się smutno. – Ale nie to jest nam pisane.

Byłam napięta i gotowa do akcji. Ten dupek zamierzał mnie pocałować. Nie bałam się. Cała się trzęsłam, nie mogłam zebrać myśli, a jednak nie bałam się.

– Cofnij się, Wren.

Jego usta były rozwarłe. Źrenice tak rozszerzone, że niemal całkowicie pochłonęły tęczę. Moje dłonie paliły, palce swędziały. Nie ufałam sobie na tyle, by się poruszyć. Część mnie chciała pozbawić go tego intensywnego, odurzającego, pełnego pożądania spojrzenia jednym konkretnym plaskaczem prosto w tę idiotycznie przystojną buźkę. Druga część chciała złapać go za włosy i przyciągnąć do siebie.

Pragnęłam jednocześnie tego pocałunku i jego cierpienia za naruszenie mojej przestrzeni osobistej. Byłam w rozterce. Nie wiedziałam, co zrobić. Walczyłam sama ze sobą. Nie wiedziałam już, w jaki sposób bym zareagowała, jeśli posunąłby się dalej.

– Ale ci wali serce, Stillwater – wyszeptał. – Widzę twój puls w zagłębieniu szyi. Chcesz mnie.

– Chcę, żebyś dał mi spokój. Chcę, żebyś trzymał się z dala od mojego pokoju – powtarzałam uparcie.

– Elodie – szepnął z naciskiem.

– Wiem, że kłamiesz. – Głos drżał mi z emocji.

Powoli, jakby nigdzie mu się nie spieszyło, potrząsnął głową. Z wpadających mu do oczu włosów spadła kropelka wody, lądując prosto na moich ustach.

– Nie okłamałem cię i nigdy cię nie okłamię. Powiem ci wszystko. Zdradzę ci wszystkie swoje najokropniejsze, najbrudniejsze sekrety, mimo że cię przeraża. Nie zatrzymam się już, Malutka Eli. Ty... – urwał i pochylił głowę, a ja zamarłam pod nim.

Powietrze buzowało między nami, wypełnione tak intensywnym napięciem, że aż szczypało mnie w skórę. Milimetr po milimetrze przybliżał się coraz bardziej. Wysunął końcówkę języka i zlizął kropkę z moich warg. Zamknęłam oczy. Płuca walczyły o oddech.

Kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa.

– Będziesz moja, Elodie Stillwater – szeptał tuż przy moich ustach. – Sprawienie, że się we mnie zakochasz, będzie najgorszym z moich grzechów.

WREN

CZTERY DNI PÓŹNIEJ

Odprowadziłem ją tamtej nocy do domu.

Wbrew sobie samemu. Wbrew wszelkim swoim instynktom. Odprowadziłem ją do domu i nie tknąłem choćby palcem. Do tej pory jedyną częścią mojego ciała, jaka weszła w jakikolwiek kontakt z Elodie, był czubek języka. Dzięki temu błogiemu momentowi, w czasie którego odważyłem się polizać jej rozkoszne usteczka, udało mi się jakoś przetrwać te kilka wysoce frustrujących, długich nocy.

Od tamtego dnia nawet na mnie nie spojrzała. Mijałem ją na korytarzu. Obserwowałem podczas zajęć. Siedziałem w tym samym pomieszczeniu, co ona, nękany jej namacalnym gniewem, a każda sekunda była dla mnie rajem. Nie odstępowała Cariny na krok. Wiedziałem, że starała się w ten sposób upewnić, że nie wylądujemy w żadnym pomieszczeniu sami. Ta nasza mała gierka doprowadzała mnie do szaleństwa. Mogłem już dawno wciągnąć ją do jakiegoś schowka. Zatargać do szatni, zastąpić drogę w stołówce albo po prostu pójść za nią do damskiej ubikacji – doszedłem jednak do wniosku, że ta rzecz między nami była zupełnie upajającym oczekiwaniem, przez które nie mogłem spać. Pochłaniało mnie o wiele bardziej, niż próby przyspieszenia akcji. Czułem podniecenie połączone z ciekawością.

W końcu do mnie przyjdzie. Nie będzie w stanie się oprzeć.

Uważałem to za kwestię czasu, a miałem przecież mnóstwo rzeczy, którymi mogłem zająć myśli, czekając, aż jej własna płatanina uczuć ją pokona...

Damiana: Wren, kiedy przestaniesz się wygłupiać? pasujemy do sb. Jesteśmy tacy sami. Czemu uganiaasz się za jakąś sztywną cnotką, skoro wiesz już, jak dobrze smakuje?

Damiana smakowała przede wszystkim jak desperacja. Pokrywała język i pozostawiała po sobie dziwny oleisty posmak, którego nie potrafiły wymazać nawet trzy dni płukania płynem Listerine. Po tym, jak zgłupiałem na tyle, by ją przelecieć, rozważyłem zanurzenie kutasa w alkoholu, by jakoś go odkazić. Uznałem jednak, że wystarczająco dużo wycierpiał, więc zamiast tego potraktowałem go gorącym prysznicem. Mistrz rzemiosła powinien lepiej dbać o swoje narzędzia.

Zanim wpuściłem Dami do domu tamtej nocy, a potem przerznąłem ją na stole pokerowym Paxa, zrobiłem dokładny rachunek zysków i strat. W tamtym momencie jej chcica wydawała mi się czymś możliwym do opanowania, ale dokonałem tego osądu po butelce wódki i dwóch tabletkach. Nie wiedziałem też wtedy nawet, że Elodie Stillwater istniała. Z perspektywy czasu schadzka z największą żmiją Wolf Hall nie była moim najlepszym pomysłem. Dwadzieścia jeden minut nagiej skóry i jęczenia rodem z porno, które zaoferowała w zamian za możliwość skakania na moim kutasie, zwyczajnie nie było tego warte.

Ja: Odpuść. Są błędy, których się nie powtarza.

Damiana: BŁĘDY??? Nie nazywałeś tego tak, gdy polykałam twoją spermę, ty skurwysynie!

Warknąłem pod nosem, po czym wsadziłem telefon głęboko do kieszeni. Nie zamierzałem poświęcać tej wariacie choćby jednej myśli więcej. Nie powinienem w ogóle jej odpisywać, ale łudziłem się, że istniała szansa na rozstanie z klasą. Niestety, dziewczyny takie jak Damiana, nigdy się nie poddawały. Naciskały i naciskały, dopóki nie ogołociły się z resztek godności – a nawet wtedy nie potrafiły zostawić jebanego tematu w spokoju.

Dom otaczały moczary. Cały tydzień padało. Bezustanna ulewa, która zatrzymała się tylko na tyle długo, by Dashiell zdążył namówić mnie na wyścig po górze Castor (który wygrałem). Tego dnia po raz pierwszy obudziliśmy się pod bezchmurnym niebem. Blady, niemal biały poranek napełnił mnie niewytłumaczalną irytacją. Podobały mi się te zbite, gniewne chmury i nabrzmiała rozgorączkowaniem, niepokojąca energia wisząca nad Wolf Hall. Atmosfera nasilała drażniące napięcie, budujące się między mną a Elodie. Towarzyszące mu odczucia przypominały moment tuż przed orgazmem, gdy ze wstrzymanym oddechem poddawałeś się wzrastającej przyjemności, unosieś na jej fali, czekając, aż osiągnie swój szczyt. Dzisiejszy poranek, słoneczny i orzeźwiający, był jak nagłe uspokojenie wzburzonego morza. Zostałem na brzegu sam, nieusatysfakcjonowany i spragniony.

Używanie metafor związanych z seksem nie było zbyt mądrym pomysłem. Wystarczyło, że pomyślałem to słowo, a mój umysł wypełniał się szczegółowymi obrazami Elodie – nagiej i rozwartej. Nie pozwoliłem sobie na wyobrażanie, jakby to było ją pieprzyć. Nie mogłem. W swoich marzeniach zatrzymywałem się na chwili, gdy unosiłem się nad nią z kutasem w dłoni, pocierając czubek o jej śliczną, różową cipeczkę... I tyle. Pusty ekran.

Nie była dziewicą. Czuję, że już się wcześniej różnęła, ale nie robiło to żadnej różnicy w mojej głowie. Dla mnie była nieskazitelnie czysta, a mój fiut powinien trzymać się z dala od jej nieskalanego łona.

Pax wystawił głowę przez okno i gwizdnął na nas. Jego auto – Dodge Charger – zatrzymało się tuż przed domem, ryjąc w błocie. Chłopak żuł wykałaczkę, przerzucając ją z jednej strony ust do drugiej. Lewo, prawo, lewo, prawo, lewo, prawo.

– Wisisz mi mycie, stary – poskarżył się. – To cudencko było zupełnie czyste, gdy wyciągnąłem je z garażu, a teraz spójrz na nie. Całe brudne.

– Gdybyś dbał o własny wygląd tak bardzo, jak dbasz o ten samochód, ludzie nie braliby cię za bezdomnego – odpowiedział Dashiell śpiwnym głosem.

– Pierdol się, lordzie Lovett.

Na ogół, gdy ludzie używali pełnego tytułu naszego przyjaciela, towarzyszyła temu pewna powaga i szacunek. Gdy Pax to robił, brzmiał, jakby dławił się własnymi wymiocinami. Dashiell był jednak odporny na jego humorki. Z gracją wślizgnął się do środka, by wsunąć się na miejsce pasażera. Manewrował ciałem niczym jebany tancerz.

Każdy z nas był boleśnie świadomy faktu, że tak naprawdę w ogóle nie powinniśmy się ze sobą dogadywać. Pax jest najbardziej drażliwym, kapryśnym i permanentnie wkurwionym kolesiem, jakiego spotkałem. Miał pretensje do całego świata, co było tak oczywiste, że aż smutne. Dashiell za to był rozpuszczony do szpiku kości, a przy tym tak naćpany Diazepamem i Xanaxem, że większość czasu spędzał na chmurze rauszu, oglądając świat przez różowe okulary. Można było odnieść wrażenie, że w ogóle nie funkcjonował w tej samej rzeczywistości, co reszta z nas.

No i ja. Samotnik duszący wszystko w sobie. Milczek, który ma ochotę wyjść z własnej skóry, gdy tylko z jakiegoś powodu musi wypowiedzieć publicznie więcej niż trzy zdania. Ten typ, który nienawidzi prawie wszystkich, a sama myśl o spędzaniu czasu w grupie znajomych, napawa go odrazą.

Pax i Dashiell znaleźli jednak sposób na wdarcie mi się pod skórę. Ich obecność stała się czymś normalnym i naturalnym. Zawsze kręcili się gdzieś obok, przekomarzając, obrzucając obelgami, robiąc awantury i zmuszając mnie do robienia za mediatora w ich durnych, ale pełnych uczucia sprzeczkach. Na tym etapie byłoby dziwnie, gdyby nagle ich zabrakło. Nie miałby mnie kto irytować.

Pax zarechotał jak obłąkana hiena, a potem przycisnął gaz, pędząc w stronę akademii. Normalnie pokonalibyśmy ten dystans biegiem, i nawet byśmy się przy tym nie spocili, ale dzisiaj był piątek. Ledwie zadzwoni ostatni dzwonek, a nasza trójka już będzie sunąć w dół góry. Mieliśmy wrócić dopiero w poniedziałek rano.

– Ile tam będzie w ogóle ludzi? – burknął Pax.

– Pięćset z kawałkiem. Sama śmietanka towarzyska Wschodniego Wybrzeża – wymruczał Dashiell. – Ojciec nie postawił stopy na amerykańskiej ziemi od trzech lat. Nawet najbardziej wydelikaczone arystokratyczne snoby, od dziedziców po dorobkiewiczów, wypełzną ze swoich nor, żeby oddać cześć staruszkowi.

Wewnętrznie jęknąłem. Pięćset ludzi poupychanych w sali balowej, czekających na swoją kolej, by móc uklęknąć i wylizać buty mężczyźnie, którego większość z nich nawet nie znała. Brzmiało jak pierdolone tortury. Nie można oczywiście zapomnieć, że *dress code* tego typu wydarzenia wymagał bardzo eleganckiego stroju. Wprost nie mogłem się doczekać dzisiejszej kolacji charytatywnej. Bardziej ucieszyłbym się chyba tylko na kanałowe leczenie zęba, naturalnie – bez znieczulenia.

– Coś cicho tam z tyłu – rzucił Dash, zerkając przez ramię. Leżałem rozłożony na tylnym siedzeniu dodga. – Kurwa, Jacobi. Czy ty nie potrafisz siedzieć jak człowiek? – Jedna z brwi w kolorze blond wygięła się w jebany znak zapytania. – Chyba nigdy nie widziałem, żebyś korzystał z jakiegokolwiek siedzenia w sposób zgodny z przeznaczeniem. Rozumiesz, że powinieneś się zgiąć w połowie i pozostać pod kątem prostym, tak? Twoja postawa woła o pomstę do nieba.

– Moja postawa jest bezpośrednio połączona z poziomem zainteresowania otoczeniem – mruknąłem.

– Auć. – Pax pociągnął nosem, udając zranienie. – Wybacz, że tak cię nudzimy, Wasza Wysokość.

Dashiell przekrzywił lusterko wsteczne i poprawił sobie w nim krawat. Nie był to obowiązkowy element ubioru w Wolf Hall; Dash nosił go dobrowolnie, co z mojej perspektywy było absolutnie chore.

– Jest rozdrażniony przez nową dziewczynę – skomentował. Nasze oczy spotkały się w lusterku. – Tym razem daje sobie czas.

– Nie daję sobie czasu. Przygotowuję grunt. To co innego.

Zignorował mnie.

– Jak długo mu zajęło uwiedzenie Eriki Judge? – zapytał Paxa.

– Dwie godziny i dokładnie trzydzieści osiem minut. Licząc od momentu zauważenia Eriki i postanowienia, że ją chciał, poprzez odbębnienie pogawędki zapoznawczej i przeruchanie jej w sali od plastyki, aż po jej rodziców robiących w tył zwrot na skrzyżowaniu, by zgarnąć ją z powrotem. Dwie godziny i pierdolone trzydzieści osiem minut! – zapiał Pax. – Jebana legenda. Śliczniutka Elodie chodzi do naszej szkoły już całe dwa tygodnie, a ten typ ledwie na nią spojrzął. Ogromna strata, tyle ci powiem. Jeśli zmieniłeś zdanie co do naszej umowy, to wciąż możemy się zamienić, wiesz? Korsyka jest jednym z moich ulubionych miejsc na tym świecie, ale ta dziewczyna wygląda, jakby miała jedną z tych perfekcyjnych, malutkich, ciasnych cipeczek, których nie powstydziałaby się gwiazda porno. Chętnie bym otworzył tego małża, by

zanurkować w poszukiwaniu perły.

Podniósł dwa palce rozłożone w kształcie litery „v” i zaczął machać między nimi jęzorem, wydając przy tym kompletnie groteskowe dźwięki siorbania. Szlag mnie trafił. Kopnąłem tył zagłówek na tyle mocno, że głowa mu odskoczyła od cielej skóry oparcia.

– Hej! Co do kurwy, gościu!? – Spiorunował mnie wzrokiem. – Jeśli ci nie staje, to mam w chuj tabletek, które ci z tym pomogą. Ale zrób tak jeszcze raz, a możesz stąd wypierdalać i resztę trasy odbyć pieszo.

– Dobra – syknąłem.

– „Dobra, chcę te tabsy”?

– Dobra, zjedź na bok. Wysiadam.

– Nie zachowuj się jak obrażona suczka, Jacobi. Jesteśmy prawie pod bramą.

– Zatrzymaj samochód albo przekonasz się, że kopnięcie w zagłówek to dopiero początek – wymruczałem zupełnie beznamiętnym, spokojnym głosem o perfekcyjnie pokojowym nastawieniu.

– Jezu Chryste – jęknął Dash. – Wypuść go, zanim wybuchnie jak jebana Etna. Swoją drogą, nie musisz się tak rzucać, wiesz? – dodał, odwracając się w moją stronę. – Lubisz tę dziewczynę. Czaję. Z jakiegoś powodu postanowiłeś, że jest twoją Morticią, Gomezie Addamsie. Ale nie ma potrzeby, by tymczasowa obsesja stała się powodem konfliktu między naszą trójką, prawda?

Pax gwałtownie wcisnął hamulec. Spod kół prysnął żwir. Otworzyłem drzwi i wyszedłem na zimno.

– W czasie swojej pielgrzymki do szkoły zastanów się, co tak naprawdę się dla ciebie liczy. Dobrze, przyjacielu? – Dashiell błysnął swoim firmowym, ujmującym uśmiechem. – Do zobaczenia za trzy minuty.

Charger rzucił się do przodu i już po chwili sunął podjazdem w stronę okazałego budynku akademii. Otoczył mnie zbity kłęb spalin, ograniczając widoczność.

Wolałbym, żeby znowu się rozpadało.

Wolałbym, żeby ten dzień już się skończył, łącznie z durnymi charytatywnymi podrygami ojca Dashiella.

Wolałbym, żeby moi pieprzeni przyjaciele nie mieli racji.

Całą uwagę poświęciłem Elodie, której urok z każdym jebanym dniem jedynie wzrastał. W innych okolicznościach już dawno okręciłbym sobie dziewczynę wokół palca i przeruchał ją tak, że nie byłaby w stanie chodzić, ale tym razem nie chodziło o seks. Okej, może inaczej – nie chodziło tylko o seks. Chodziło o tę cichą pewność siebie, którą emanowała. O to, w jaki sposób została wychowana, o rzeczy, przez które przeszła, o to, jak widziała świat. Pragnąłem wiedzieć, co działo się w środku jej głowy.

Chciałem tego, czego chciałby każdy facet na moim miejscu: jej całkowitego i bezwarunkowego oddania.

Pax i Dashiell czekali na mnie na marmurowych schodach prowadzących do wejścia. Byli praktycznie tego samego wzrostu, budowę też mieli zbliżoną, jednak na tym kończyły się łączące ich podobieństwa. Gdyby nie ja, ta dwójka mężczyzn, stojąca ramię w ramię przed lakierowanymi czarnymi drzwiami, najprawdopodobniej pogardzałaby sobą z intensywnością zwyczajowo zarezerwowaną dla członków odmiennych religii.

– Czy spacerek poprawił humor naszej księżniczce? – rzucił Pax.

Oczy wciąż pałały mu gniewem spowodowanym incydentem z zagłówkiem. Wybaczyłyby mi dopiero po usłyszeniu przeprosin, a nawet wtedy mogłyby nie udzielić rozgrzeszenia; to autko było jego chlubą.

Miałem to w dupie. Byłem dzisiaj zbyt zdołowany i żadna jebana część mnie nie zamierzała z tym walczyć. Jeśli Pax chciał ode mnie jakichkolwiek oznak skruchy, musiał poczekać do jutra.

Piątki były dziwne. Plany lekcji w ogóle się nam nie nakładały. Cała trójka spędzała ten dzień rozsiana po różnych skrzydłach budynku, co wyglądało na zamierzone działanie. Harcourt upewniła się, że ekipa Riot House nie znajdowała na tyle blisko siebie, by móc wyskoczyć z czymś zakłócającym spokój na weekend, ani zaangażować w to innych uczniów. Normalnie byłoby to irytujące, ale dzisiaj cieszyłem się, że do końca dnia nie będę musiał oglądać tych mord.

Potrzebowałem...

Nawet nie wiedziałem, czego właściwie, do cholery, potrzebowałem.

– Będę gotowy o szóstej – poinformowałem, klepnąwszy ich w plecy. – Do zobaczenia w domu.

Szarpnąłem za masywne drzwi i wszedłem do środka, zostawiając przyjaciół za sobą. Pax nie potrafił jednak pozwolić mi odejść bez ostatniego słowa.

– Zachowujesz się, jakby była garnkiem złota, czekającym na ciebie na końcu tęczy, stary. Sam się ośmieszasz. To zwykła dziewczyna. Zwykła, pierdolona dziewczyna!

W CIEMNOŚCIACH...

Przestałam pić.

Wetknął rurkę przez otwór, podjudzając mnie, próbując skusić do upicia płynu, ale ja już podjęłam decyzję.

– Uparta, durna suka. Pij, do cholery. PIJ TĘ PIERDOLONĄ WODĘ!

Ludzki organizm był w stanie przetrwać całe tygodnie bez jedzenia, jeśli tylko dostarczało mu się wody.

Ale gdyby tak przestać pić...

...może koniec przyszedłby szybciej?

xxxxxx

ELODIE

Powstanie z martwych miało swoje plusy.

Najważniejszy z nich był taki, że znowu miałam kontakt z przyjaciółmi.

Zbiegałam schodami z nosem w telefonie, usiłując przeczytać ostatnią wiadomość od Ayali i nie zostać przy tym przyłapaną przez żadnego z nauczycieli. Policzki bolały mnie od uśmiechania. Nie mogłam odwrócić wzroku od pełnej cierpienia twarzy Petera Horovitza – koleś autentycznie włożył garnitur na poświęcone mojej pamięci spotkanie zorganizowane w szkole św. Marii Magdaleny. Zaabsorbowana tym faktem, nie zauważyłam czarnej plamy, również zbiegającej w dół schodów, tylko z lewej strony.

Mój Boże. Peter, Peter, Peter. Przykro mi, ale zasłużyłeś. Trzeba było mnie zaprosić na bal zimowy, a nie... O, kurwa!

Siła uderzenia pozbawiła mnie powietrza. Poleciałam w bok. Łudząc się, że uda mi się złapać telefon, wyciągnęłam rękę w jego kierunku. Niestety moje palce zacisnęły się w powietrzu. Było za późno. Urządzenie wzbilo się w powietrze, po czym spadało, jakby w zwolnionym tempie, aż... uderzyło o wypolerowany marmur z rozdzierającym serce trzaskiem.

Moje biodro wydało pewnie bardzo podobny dźwięk, gdy wylądowałam na podłodze, ale ono akurat w ogóle mnie nie obchodziło. *Mój telefon!* Jezu, jeśli się zepsuł, to byłam w totalnej dupie.

– Jestem pod wrażeniem, Malutka Eli – stwierdził zimny głos z góry. Podniosłam wzrok i zobaczyłam stojącego nade mną Wrena. Nie uśmiechał się. W ogóle. Nie dopatrzyłam się nawet zadowolonego z siebie, aroganckiego uśmieszku pt. „sprawię, że się we mnie zakochasz”. Nic z tych rzeczy. Dzisiaj jego twarz wyglądała na wykutą z granitu. Bardzo, bardzo gniewnego granitu. Oczy miał tak zimne i zdystansowane, że przeszedł mnie zupełnie fizyczny dreszcz. – Białe-różowe kropeczki. Kto by pomyślał, że nosisz bawełniane figi. – Czarna brew poszybowała do góry, a wzrok w dół mojego ciała, do...

– O Boże! – krzyknęłam.

Moja spódniczka! Kompletnie zażenowana pociągnęłam w dół materiał w szkocką kratę, tak, by przykrywał tyłek, którym jeszcze przed chwilą świeciłam. Oczywiście. Oczywiście, że akurat dzisiaj musiałam włożyć swoje najbrzydsze majtki. Oczywiście, że akurat dzisiaj musiałam trafić na Wrena i mignąć mu babcinymi gaciami.

Po prostu... świetnie. Zaje-kurwa-biście.

Górna warga chłopaka wykrzywiła się nieznacznie. Wyglądał na obrzydzonego, gdy nade mną przechodził. Wciąż leżąc na podłodze, zaliczyłam spotkanie bliskiego stopnia z podeszwą jego butów, które przez moment znalazły się kilka centymetrów od mojej twarzy. Zamknęłam oczy. Wstyd zjadał mnie od środka.

– Wygląda na to, że twój telefon umarł – burknął. – Szkoda. Najbliższy zakład naprawy jest jakieś osiemdziesiąt kilometrów stąd. Trzeba było patrzeć, gdzie idziesz.

Ugryzłam się w policzek tak mocno, że poczułam krew. Podparłam się na łokciu, dopiero teraz rejestrując tępy ból w boku. Sięgnęłam po iPhone'a. Chciałam go uchronić przed dalszym uszkodzeniem, ale przeszkodziła mi w tym stopa Wrena. Chłopak kopnął urządzenie poza moje pole zasięgu. Zatrzymało się dopiero u podstawy kolumny, z której uśmiechało się do mnie

szyderczo miedziane popiersie jakiegoś łysiejącego dżentelmena rodem z epoki wiktoriańskiej.

– Jezu, Jacobi. Brawo. Nie sądziłam, że to w ogóle możliwe, żebyś stał się jeszcze większym dupkiem, a jednak cały czas mnie zaskakujesz.

Na ratunek przybyła Carina, ubrana w żółto-niebieski strój sportowy Wolf Hall, z włosami splecionymi w ciasne warkocze. W pierwszej kolejności podniosła telefon; prawdopodobnie na wypadek, gdyby Wren zechciał na niego stanąć i zetrzeć ekran na wiór. Następnie podeszła do mnie, by pomóc mi wstać.

Kuuuuuurwa. Już po moim telefonie. Ekran nie był tylko pęknięty. On zgasł całkowicie i żaden jego element się nie podświetlał. *Typowe. Ledwie zdążyłam odzyskać kontakt z Levim i Ayalą – bum!* Na dodatek mój laptop wciąż nie nadawał się do użytku, a Harcourt zwlekała z jego wymienieniem. Tak więc moje jedyne urządzenie, które pozwalało mi na kontakt ze światem zewnętrznym, właśnie zmarło śmiercią tragiczną.

– Cholera – szepnęła Carina, patrząc na niesprawujące już żadnej funkcji połączenie szkła i metalu. Teraz mogło co najwyżej robić za przycisk do papieru. – Kurczę, tego się już chyba nie da uratować.

– Musi się dać. Ojciec nie pozwoli mi kupić nowego telefonu. Nie ma szans. Dopiero co dał mi ten. On... – urwałam.

Co za durne dziewczę.

Sierota obrzygana.

Trzpiotka.

Bezmyślna.

Wzdrygałam się pod wpływem każdego słowa, kuląc i wewnętrznie przygotowując na uderzenie, które nie nadeszło. Gdy otworzyłam oczy, coś pękło w zimnej masce Wrena. Przez powstałą szczelinę udało mi się dostrzec zupełnie nową emocję, która wyglądała jak... troska? *Ha. Niemożliwe.* Musiałam się uderzyć w głowę.

– Zawiozłabym cię jutro do zakładu, Elle, ale obiecałam, że pomogę przy organizacji przyjęcia w mieście. Przyszły weekend będzie okej?

– Elle? To w ogóle do ciebie nie pasuje – oburzył się Wren.

– Zajmij się sobą, Jacobi. No dalej, spierdalaj. Zanim powiem Harcourt, co zrobiłeś.

– Co ja zrobiłem? – Uniósł kruczoczarne brwi. – To ona we mnie weszła. Ja zajmowałem się sobą, idąc na zajęcia.

– Po prostu zejdź mi z oczu – warknęła Carina.

Chciałam spojrzeć w dół, na swój telefon. Nakazałam głowie i mięśniom posłuszeństwo, ale całkowicie zignorowały polecenie. Zamiast tego wpatrywałam się w chłopaka. Wzruszył ramionami. Spojrzenie zielonych oczu paliło mi skórę, pozostawiając na niej swoje znamię. Powoli wycofywał się wzdłuż korytarza, nie spuszczając jednak ze mnie wzroku. Carina poczekała, aż oddalił się na tyle, by nie móc nas dosłyszeć.

– Arogancki duppek – denerwowała się. – Po prostu nienawidzę tego człowieka. Już wolalabym się zarazić opryszczką, niż spędzić tutaj choć minutę dłużej z tym idiotą przechadzającym się korytarzami, jakby całe to jebane miejsce należało do niego.

Parsknęłam niezbyt przekonującym śmiechem. Zacisnęłam palce na zepsutym telefonie. Seria małych odłamków szkła upadła na podłogę, a ja skrzywiłam się żałośnie.

– Opryszczką? Wow. Naprawdę musisz go nienawidzić.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. Chwyciła mnie za rękaw swetra i pociągnęła do sali chemicznej. Rozbrzmiał dzwonek.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo, Stillwater. Nie masz pieprzonego pojęcia.

– Yyy... Cześć. Yyy...

Podniosłam wzrok znad makaronu z pesto i warzywami. Byłam w niezbyt przyjaznym nastroju i na taką też musiałam wyglądać. Kręciłam widelcem z taką siłą, jakby był śmiercionośną bronią, a ja zamierzałam wbić go w szyję niczego niespodziewającego się przechodnia. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, stojący po drugiej stronie stołu blady chłopak z szarymi oczami zupełnie struchlał. Cisza rozciągała się, kolejne sekundy mijały, a on bladł coraz bardziej. Biedny. Gdybym nie była w tak chujowym humorze, może nawet byłoby mi go szkoda. Ale że byłam, miałam jego niezręczność głęboko w poważaniu. Sam to sobie zrobił. Emanowałam piekielnie negatywną energią, a on i tak postanowił do mnie podejść, by zawracać mi dupę. Jeśli moje spojrzenie przyprawi go o poparzenia drugiego stopnia, to sam będzie sobie winien.

– J-a... j-jestem... Tom. Tom Petrov. Tak się nazywam. I-i-i... – Wydał policzki. Zamrugał gwałtownie, po czym potrząsnął głową. Zauważyłam, że miał rozciętą wargę. Rana wyglądała na świeżą. Otrząsnął się i postanowił zacząć od nowa. Zrobił krok do przodu, a następnie wyciągnął rękę. – Jestem Tom. Miło cię... uch... w końcu poznać. Przyszedłem się przedstawić i zaferować swoje usługi.

Uwolniłam go od swojego spojrzenia, nadziewając kawałek niedogotowanej marchewki na widelec, a następnie gwałtownie ją z niego zdzierając za pomocą przednich zębów. Tom aż podskoczył, gdy się w nią wgrzyłam z głośnym chrupnięciem.

– Mam słaby dzień, Tom. Obawiam się, że nie jestem w nastroju na skorzystanie z usług, które tak uprzejmie mi oferujesz.

– Och, naprawdę? – Zaczął bezmyślnie bawić się dłońmi, skubiąc skórki wokół paznokci.
– Bo słyszałem, jak Carina mówiła, że zepsuł ci się telefon i będziesz musiała poczekać aż do następnego tygodnia, zanim będziesz mogła go naprawić, a ja... cóż... ja naprawiam telefony w wolnym czasie, więc...

Widelec wypadł mi z dłoni, uderzając z głośnym brzękiem o tackę.

– Naprawiasz telefony – powtórzyłam. – Naprawiasz telefony? – Skinął głową.

– Głównie ekrany. Ale czasem muszę najpierw pobrać dane. Co potrafi być kłopotliwe. Czy ty... uch. Wpadł ci do wody?

– Nie, nie. Tylko uderzył mocno o podłogę. Nie chce się nawet włączyć.

Ponownie skinął głową.

– Jest nowy? – dopytał. – Jeśli jest nowy, a ja wymienię ekran, stracisz gwarancję.

– Jest nowy dla mnie, ale nie nowy-nowy.

Za każdym razem, gdy musiał wymienić mi telefon, ojciec zachowywał się, jakby co najmniej oddawał mi jedną z nerek. Po drobnych uszkodzeniach widziałam jednak, że każdy z nich musiał mieć przynajmniej jednego właściciela przede mną. Zazwyczaj jego asystenta. Pułkownik Stillwater nie lubił wydawać pieniędzy na coś, co mógł dostać za darmo.

– To i tak minęła już gwarancja. Nie masz nic do stracenia. Zerknę na niego.

Stołówka była bardziej pusta, niż zwykle. Z powodu ulewy musieliśmy kisić się w środku przez cały tydzień, dlatego gdy w końcu deszcz ustał, ludzie mimo zimna jedli na zewnątrz. Było wspaniale. Cisza i brak trzydziestu gapiących się na mnie ludzi, o których nic nie wiedziałam. Ale najlepsze w jedzeniu tutaj było zdecydowanie to, że Wren i jego świta byli po prostu zbyt ważni, by spożywać posiłki razem z pospólstwem. Ani razu nie widziałam, by ktokolwiek z nich zbeczczył swoją obecnością miejsca przeznaczone do wspólnego użytku, co oznaczało, że byłam tutaj bezpieczna. Nie musiałam się martwić uszczypliwymi komentarzami, spojrzeniami z ukosa, ani twarzą tak piękną i pełną gniewu jednocześnie, że miałam ochotę zapłakać na sam

jej widok.

Wrena pewnie tylko podjarałby mój konflikt wewnętrzny. Zatarłby swoje psychotyczne ręce z uciechy, gdyby wiedział, jak bardzo zdradzał mnie przez niego mój własny umysł. Każdego pieprzonego dnia poświęcałam mu wiele myśli.

Ale...

Jeżu, właśnie spędziłam przynajmniej dwadzieścia sekund, rozmyślając o tym dupku, podczas gdy człowiek, z którym rozmawiałam, stał przede mną i czekał, aż odniosę się jakkolwiek do jego słów. Co ze mną było nie tak?

Zwróciłam pełną uwagę na Toma. Zmierzyłam go wzrokiem.

– Co ci się stało wargę, Tom?

– Yyy? – Wybałuszył oczy.

– Twoja dolna warga. – Wskazałam na nią widelcem. – Jest rozcięta.

Dotknął palcami wargi, jakby nie był świadomy jej stanu.

– Och. Och! Leżałem sobie dzisiaj rano w łóżku, oglądałem coś w telefonie i upuściłem go sobie na twarz. Uderzył mnie prosto wargę. Ale pech, nie? Zdarzyło ci się to kiedyś? Boli w chuj.

Odchrząknęłam i raz jeszcze mu się przyjrzałam.

– Dlaczego jesteś dla mnie miły? Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy.

Przestąpił ze stopy na stopę, po czym odkaslnął.

– Cóż. Muszę cię rozczarować, ale nie jest to z mojej strony bezinteresowne. Płacą mi za to. Jestem tu na stypendium, więc...

Chryste Panie. Ale ze mnie sucz. Łatwo było zapomnieć, że nie każdy uczeń tego typu szkoły był nadziany. Niektórzy mogli sobie na nią pozwolić wyłącznie dzięki stypendiom. Niektórzy nawet mieli prace i musieli spędzać w niej całe weekendy, żeby być w stanie się utrzymać. Czułam się jak skończony dupek. Tak po prostu zapomniałam o całej grupie ludzi, których ojcowie nie skitrali milionów, więc musieli wziąć sprawy we własne ręce.

Wyprostowałam się, odsuwając jedzenie.

– Ile?

– Stówka za ekran. Razem z częściami. Jeśli to jeden z nowszych modeli, powinienem mieć, co potrzeba. Jeśli nie, będę musiał zamówić online, co zajmie jakiś tydzień.

– To model z zeszłego roku.

– Okej, więc powinienem wszystko mieć.

– A jeśli telefon jest całkiem zepsuty i będzie konieczne odzyskiwanie danych?

– Dodatkowe trzydzieści. To nie jest jakieś mega trudne. Mogę ci nawet pokazać, jak to się robi, jeśli chcesz zaoszczędzić. Większość uczniów jest leniwa, więc wolą zlecić to mi.

Ilość danych na moim telefonie była minimalna. Żadnych zdjęć. Żadnych długich rozmów, do których miałabym sentyment. Pułkownik Stillwater dał mi go zupełnie czystego, więc nieszczęśliwie się przejmowałam tą kwestią. Ale zapadnięcie się pod ziemię chwilę po tym, jak moi przyjaciele odkryli, że jednak nie byłam martwa? Tak, tym się zdecydowanie przejmowałam.

– Jak szybko mógłbyś go naprawić?

Aż się poderwał. Wyglądał na zaskoczonego, że brałam pod uwagę zatrudnienie go.

– Och. Och. Cóż. Zazwyczaj koło trzech dni? Ale że jesteś nową klientką, mógłbym się pospieszyć.

– Okej.

– Okej?

– Tak. Nie uda mi się dostać do Albany w ten weekend. Wolalabym nie musieć czekać do

następnego. Także... Okej. Umowa stoi. Weź go.

Pogrzebałam chwilę w plecaku, znalazłam zepsuty telefon i wręczyłam go Tomowi. Przełknął, pełen ulgi. Cholera, typ musiał naprawdę potrzebować teraz kasy.

– Okej. Okej. Dzięki. – Schował telefon do kieszeni, powoli się wycofując. – Jeśli uda mi się załatwić to wcześniej, dam znać.

WREN

Oddychanie. Mruganie. Przełykanie.

Niektóre umiejętności były wrodzone. Przyszliśmy z nimi na ten świat. Bez nich umarlibyśmy już w momencie wydostania się z łona matki – krzyczący, podatni na zranienie i pokryci krwią. Osobiście czułem, jakby moją wrodzoną umiejętnością było wiązanie krawata węzłem windsorskim. Gdy człowiek rodził się w takiej rodzinie jak moja, z takim ojcem jak mój, tego typu talenty były niezbędne. Jeśli oczywiście chciało się przetrwać.

Przełożyłem dłuższą część czarnego jedwabiu nad krótszą, a następnie pod nią. Do tyłu, wokół, i przez uformowaną w ten sposób pętlę. Węzeł w górę. Na koniec umiejętnie poprawiłem całość, dopóki krawat nie ułożył się perfekcyjnie u podstawy gardła. Kto w ogóle potrzebował lustra do tego typu gówna?

– Znowu cię wezmą za kelnera – skomentował Dashiell, otwierając przede mną drzwi do sali balowej.

– Zawsze tak jest.

– Biała koszula. To wszystko, czego byś potrzebował, żeby się jakoś odróżnić. Biały jest totalnie akceptowalny, Wren. Nie spowodowałby żadnego uszczerbku na tej całej twojej stylówie na bad boya, obiecuję.

Podążyłem za nim w głąb tłumu – zwyczajowo kipiącego z gniewu, ale utrzymującego teraz pozory uprzejmości. Wygładziłem kołnierzyk jednym zręcznym ruchem nadgarstka.

– Jest dobrze tak, jak jest.

Nie było dobrze. To zaledwie drugi zestaw ubrań, jaki miałem szansę włożyć, odkąd skończyła się moja kara. O wiele bardziej wolałbym teraz być w swoich podartych jeansach i ulubionym znoszonym swetrze. Ten smoking był narzędziem tortur.

Garnitur Dashiella, o klasycznym kroju, był perfekcyjnie dopasowany. Pax miał na sobie z kolei garnitur Toma Forda, który kosztował jakieś dwadzieścia tysi. Obaj wyglądali na tak zadowolonych ze swoich luksusowych ubrań, że aż miałem im to za złe. Sam potrafiłem się czuć jak ryba w wodzie – czy raczej jak świnia w gównie – w najbardziej niezręcznych, okropnych i posranych sytuacjach, ale z duszeniem się w odświętnych strojach nigdy sobie nie radziłem. Gdyby ojciec mnie teraz zobaczył, dostałby ataku śmiechu.

– Wątpię, by któraś z tych pań chciała się zabawić – zaobserwował Pax. Tak naprawdę była to forma dochodzenia, a nie rzeczywista obserwacja. Ton sugerował, że chłopak był otwarty na wszelkie sprostowania poczynionego założenia.

– Pax. – Dashiell, który znał te zagrywki na wylot, zgarnął kieliszek szampana ze srebrnej tacy, niesionej wysoko w powietrzu przez kelnera z pełną skupienia miną. – Jeśli choć spojrzysz w kierunku którejkolwiek z kobiet obecnych na tej sali, własnoręcznie cię wykastruję i nakarmię twoimi jądrami psy myśliwskie ojca.

– W Ameryce ludzie nie mają psów myśliwskich, Lovett – burknął w odpowiedzi, również sięgając po kieliszek.

– Mają. – Dashiell stuknął się szkłem z Paxem. – Niemniej z największą przyjemnością polecałbym z twoimi jądrami w słoiku nawet do Blighty, przyjacielu.

Patrząc z boku, Dash nie sprawiał wrażenia człowieka, który lubił sobie brudzić ręce. Było w nim coś łagodnego, co sprawiało, że w przypadku bójki ludzie obstawiali przeciwko

niemu. Pozory potrafiły jednak mylić, a gdy chodziło o Dashiella, myliły i to bardzo. Był zaciekle. Fakt uzyskania dobrego wychowania czy edukacji nie przeszkadzał mu w przywaleniu komuś. Na własne oczy widziałem, jak wetknął jakiemuś typowi palec do nosa i rozerwał mu nozdrze. Nie patyczkował się.

Pax mruknął coś niezrozumiale pod nosem i jednym łykiem opróżnił kieliszek. Nie wątpił w realność groźby. Tej nocy miał trzymać się z daleka od obecnych na wydarzeniu kobiet, co nie znaczyło jednak, że nie mógł przy okazji okazywać swojego niepocieszenia.

– I nie pij za dużo – dodał Dash, rozglądając się po sali.

Sprawa miała wrażenie wyluzowanego i opanowanego, ale znałem go na tyle dobrze, by wiedzieć, że w środku znajdował się już na skraju wytrzymałości. Pozornie od niechcienia przyglądał się żyrandolom, antycznym meblom i pięknym ludziom przybranym w swoje regalia. W rzeczywistości lord Dashiell Lovett czwarty szukał wzrokiem swojego ojca. W pewnym sensie całe życie go szukał. To znaczy, jego aprobaty.

– Przypomnij mi, czemu my właściwie bierzemy udział w tym cyrku? – wywarczał Pax. Oczy miał dzisiaj w odcieniu stalowej szarości. Kolor wzburzonego Morza Północnego.

– Ponieważ jesteście mi to winni – odparł radośnie Dash. – I dlatego, że was o to poprosiłem, a wy jesteście dobrymi przyjaciółmi, którzy nigdy nie wystawiliby swojego brata.

Ble. Robienie rzeczy, których nie chciałem robić, tylko po to, by kogoś uszczęśliwić, nie leżało w mojej naturze.

– Muszę wysłać wiadomość. Zaraz wrócę – mruknąłem.

– Tylko nie odchodź za daleko, Jacobi. Potrzebuję cię tu za dziesięć minut.

– Będę za pięć. – Ukłoniłem się teatralnie ze sztucznym uśmiechem.

Na zewnątrz powitało mnie orzeźwiające nocne powietrze. W uszach wciąż dźwięczały mi odgłosy rozmów ze środka sali. Powoli przyzwyczajałem się do ogłuszającej ciszy. Posiadłość przy rezydencji miała jakieś sto akrów, co może i nie było nie wiadomo jak wielką połością ziemi – nawet Wolf Hall zajmowało trzy razy tyle miejsca – jednak stojąc tu, miałem wrażenie, jakby zbity las ciągnął się w nieskończoność, a zgromadzeni na kolacji goście byli jedynymi żywymi istotami w promieniu setek kilometrów. Jak na zawołanie rozległo się huczenie sowy – upiorne i przeszywające. Widocznie oburzyła się tym, że o niej zapomniałem.

W nastroju godnym grabarza wyciągnąłem, a następnie włączyłem telefon, czekając, aż ekran się podświetli. Mógłbym zacząć o niego stukać w bezsensownej próbie przyspieszenia całego procesu, ale byłoby to idiotyczne. Upór ludzkiej niecierpliwości nie był w stanie pospieszyć technologii. Zamiast tego wpatrywałem się więc w telefon, zgrzytałem zębami i czekałem, aż przed moimi oczami pojawi się logo Apple, a potem ekran startu.

No. W końcu.

Działąłem szybko, chcąc zdążyć przed lawiną różnego typu powiadomień. Otworzyłem nową wiadomość i szybko wystukałem dwa słowa.

Ja: Masz go?

Uprzejmości nie były tu konieczne. Nawet gdyby były, odbiorca wiadomości nie mógł na nie liczyć z mojej strony. Położyłem telefon na płaskiej powierzchni poręczy, która otaczała balkon, po czym odwróciłem się w stronę budynku. Pustym wzrokiem obserwowałem ludzi bawiących się za szybami. Nie rozumiałem, z czego tak się cieszyli.

Kobieta w złotej błyszczącej sukience miała tak duży dług na karcie kredytowej, że lada chwila miała stracić swój dom.

Typ stojący z podwójną whisky w ręce – mimo że było dopiero wpół do ósmej i nie zdążyliśmy zasiąść do czterodaniowej kolacji – dopiero co otrzymał diagnozę raka prostaty.

Siedząca przy barze gruchająca parka, ostentacyjnie okazująca sobie uczucia w czasie rozmowy z podstarzałym mężczyzną w smokingu, właśnie wypełniła papiery rozwodowe.

Facet przy pianinie fantazjował o dotykaniu dwunastoletniej córki z poprzedniego małżeństwa swojej żony.

Barman, przyrządzający drinki z niezmiennie profesjonalnym i uprzejmym uśmiechem, od miesięcy zastanawiał się nad samobójstwem.

Wrrrrrrrrrrrr.

Obrzuciłem gniewnym spojrzeniem bandę kłamliwych, obłudnych degeneratów, gardząc tym, kim byli, i tym, co sobą reprezentowali. Mogłem się mylić, w końcu tak naprawdę nic o nich nie wiedziałem, ale znałem ten gatunek ludzi. Byli specjalistami w dziedzinie fałszerstw – istnymi mistrzami rzemiosła. Błyszcząca fasada, za którą kryli się przed światem, była cienka jak opłatek. Przy bliższej inspekcji rozpadała się w rękach niczym rozmokły papier.

Obrzydony, spojrzałem na telefon.

+1 (819) 3328 6582: Tak.

Ja: Działa?

+1 (819) 3328 6582: Tak. Co mam z nim zrobić?

Ja: Zostaw go tam, gdzie ustaliliśmy.

– Proszę, proszę, proszę. Kogo moje oczy widzą? Czy to możliwe? Czyżby Wren Jacobi we własnej osobie?

Kurwa mać.

Wypuściłem powietrze nosem, wyłączyłem telefon i schowałem go do kieszeni. Dopiero wtedy się odwróciłem. Dziewczyna, która pojawiła się w drzwiach, w rzeczywistości nie była już dziewczyną. Idąca w moją stronę istota kręciła sugestywnie biodrami, a jej przerysowane krągłości krzyczały: „kobieta”. Kruczoczarne długie fale zostały upięte w stylu gwiazdek Hollywood z lat czterdziestych. Karmazynowa szminka idealnie do niej pasowała. Wyglądała jak błądy wampir o porcelanowej skórze, który zaledwie chwilę wcześniej wpijał się w czyjaś żyłę szyjną.

Była perfekcyjna pod każdym względem. Nienawidziłem jej pod każdym względem.

Wstrętne stworzenie.

– Mercy. Gdybym wiedział, że tu będziesz, podpaliłbym budynek i uciekł do Europy.

– Czarujący jak zawsze – wymruczała, podchodząc w stronę balustrady. Z mojej prawej strony było prawie pięć metrów miejsca, ale ta suka oczywiście musiała stanąć tak blisko mnie, jak tylko było to fizycznie możliwe. Sam zapach jej perfum przyprawił mnie o nudności, choć był subtelny. – Widziałam twojego przyjaciela-analfabetę. Tego, który wygląda jak morderca. Spędziłam całe trzy sekundy na analizowaniu, gdzież mogłeś się podziać, zanim znalazłam odpowiedź.

– Ta. Jak ty mnie dobrze znasz. A teraz wybac, ale muszę wracać do środka.

– Masz papierosa? – zapytała. W ogóle mnie nie słuchała albo raczej postanowiła mnie nie słyszeć.

Zatrzymałem się i wzniosłem oczy ku rozgwieżdżonemu niebu, żałując momentu, w którym zgodziłem się przyjść na tę pierdoloną imprezę. W normalnych warunkach złapałbym ją za gardło i przydusił do ściany budynku, a następnie poinformował, żeby się pierdoliła. W obecnej sytuacji konsekwencje byłyby fatalne. Mercy była prawdziwą królową teatru. To

nagradzana aktorka, która umiejętnością płaczu na zawołanie zapewniła sobie przynajmniej trzy całkiem spore role mówione na Broadwayu. Gdybym tknął ją na uroczystości dobroczynnej lorda Lovetta, organizowanej z myślą o przemocy domowej doświadczanej przez kobiety, dałbym jej okazję do zagrania roli życia. Jeden wodospad łez i trochę rozmazanej maskary później, pakowano by mnie do radiowozu w kajdankach.

Nie, dziękuję.

Niechętnie podsunąłem jej trzymaną w kieszeni paczkę. Poddałem się. Miałem tu być tak długo, dopóki sama nie stwierdziła, że ze mną skończyła.

Z rozmyślnym uśmiechem umieściła papierosa między ustami. Za pomocą małej srebrnej zapalniczki, którą zawsze ze sobą nosiła, podpałała końcówkę. Zbity kłęb dymu wytoczył się jej nozdrzami, po czym rozmył w chłodnym lutowym powietrzu.

– Nie zjechałeś na święta. Pojechałam aż na Upper East Side tylko po to, żeby odkryć, że włączyłeś się gdzieś po Czechach beze mnie.

– Cóż, tylko tam byłem bezpieczny. Wiem, jak bardzo nienawidzisz Pragi. – Usta wykrzywiły mi się ku górze w lodowatym grymasie. – Przykro mi, że fatygowałaś się po nic. Wciąż czujesz się jak biedaczka, gdy musisz gdzieś sama jechać, prawda?

Zielone oczy zaświeciły wściekłym błyskiem.

– Mogliśmy pojechać gdzieś razem, wiesz. Noworoczne fajerwerki nad Zatoką Sydney były po prostu epickie. W zeszłym roku mówiłeś, że chciałbyś się tam wybrać.

Ha. W zeszłym roku... Wiele rzeczy się zmieniło przez ostatnie dwanaście miesięcy.

– Jestem pewien, że bawiłaś się świetnie sama, Mercy. Daj już sobie spokój z tym papierosem. Zaraz się poparzysz, a na mnie czas.

– I po co się tak ciągle rzucasz, Wren. Czy to takie złe, że chcę spędzić z tobą parę minut? Taka jestem okropna? – Uśmiech dziewczyny nabrał wymuszonego charakteru. – Przez to całe krzywienie przedwcześnie pojawia ci się zmarszczki. I co wtedy?

– Wtedy będę szkaradny, a ludzie w końcu zobaczą moją prawdziwą twarz – sarknąłem. Każde słowo ociekało ironią.

Zdenerwowany, ruszyłem w stronę drzwi. Myślałem, że dam radę poprzebywać chwilę w jej obecności, ale się myliłem. Serio zapytała, czy była taka okropna? *Oczykurwawicie*. Nie powinno jej tu w ogóle być. Niemożliwe, żeby ojciec Dasha wysłał jej zaproszenie, co oznaczało...

Nie.

No chyba sobie ze mnie jaja robicie.

Zamorduję skurwysyna.

– Nie możesz ciągle uciekać – zawołała za mną Mercy. – Zawsze cię znajdę, Wren. Zawsze. A już niedługo będziemy spędzać wspólnie mnóstwo czasu.

Prawie się zawahałem. Prawie zapytałem, co to miało, do kurwy nędzy, znaczyć – ale nie mogłem dać jej tej satysfakcji. Znałem ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że za pomocą tej starannie zaplanowanej, a niby to rzuconej od niechcenia uwagi, przekazała dokładnie to, co chciała przekazać: wracała do Wolf Hall.

Gdy znalazłem Dashiella, rozmawiał z jakimś łysiejącym gościem obok przelewającego się bufetu. Zgodnie z manierami powinienem był poczekać, aż skończy, ale byłem zbyt wkurwiony, żeby trzymać się etykiety społecznej.

– Mercy? Zaprosiłeś Mercy?

Dashiell zastygł z rozdziawioną buzią. Zamknął ją i znowu otworzył, próbując znaleźć właściwe słowa.

– Proszę wybaczyć. Widzę, że żona mnie woła – stwierdził łysiejący mężczyzna i szybko

się ewakuował.

Dash wyglądał, jakby najchętniej zrobił to samo.

– Słuchaj, po prostu ta cała sprawa z nową... zupełnie cię zaślepiła, Jacobi. A gdy Mercy jest w pobliżu, od razu wracasz na właściwe tory. Więc pomyślałem sobie... – dukał.

– Wiem, co sobie pomyślałeś. „Hmmm. Wiem, co zrobię. Sprowadzę toksyczną sukę, która zrujnowała życie Wrena. Na pewno wszystko naprawi”.

– Kurwa mać. Ty szepczesz. Nie lubię, gdy szepczesz. To oznacza, że za chwilę zaczniesz rozpieierać rzeczy. Możemy... Czy możemy porozmawiać o tym później? Proszę? Unikaj jej, jeśli musisz, ale może potem nasza czwórka mogłaby uciąć sobie pogawędkę i...

– Dobrowolne zezwolenie tej dziewczynie na przebywanie w odległości mniejszej niż trzysta kilometrów od nas jest skończoną głupotą i dobrze o tym wiesz. O niczym z nią nie będę rozmawiał.

Jakby przyzwany samą obietnicą kłótni, Pax nagle pojawił się obok nas z serwetką pełną grillowanych krewetek. Wyglądał absolutnie szatańsko.

– Nie zgadniecie, na kogo właśnie wpadłem.

– Już ją widziałem – warknąłem.

Pax wrzucił sobie krewetkę do ust, razem z ogonkiem.

– Ale się wyrobiła ta Mercy. Hotowa z niej.

Musiał się mścić za poranny incydent z zagłówkiem. Nie było innej opcji.

– Uważaj na słowa – wysyczałem.

– O co ci chodzi? Mam oczy i komentuję. Co się rzucasz?

Rozbawiony, przeżuwał z otwartą buzią, uważnie mnie obserwując. Chyba czekał, aż mu przywalę. Pomiędzy jego jawną próbą wyprowadzenia mnie z równowagi i absolutnie bezmyślnym sposobem Dasha na uspokojenie sytuacji, która mu się nie podobała, miałem ochotę ukręcić im te jebane łby.

– Pierdolę to. Zmywam się.

– Nie możesz sobie pójść, przyjechaliśmy jednym autem – zaobserwował Dash, wielce z siebie zadowolony.

Oczywiście, że to zaplanował. Dobrze wiedział, że nie pojedę własnym samochodem, jeśli Pax wyciągnie Chargeera. Problem Dasha polegał na tym, że nie radził sobie zbyt dobrze w rozwiązywaniu trudnych sytuacji. Poklepałem się po kieszeniach, żeby mieć pewność, że telefon był w jednej z nich. Czuję, jak w żyłach buzuje mi krew. To była czysta furia.

– Nie martw się, wezmę Ubera.

– Na litość boską, Jacobi! Nie bądź taki melodramatyczny. Zostań! Napij się! Wyluzuj trochę! – Nie rozumiałem, po co w ogóle próbował mnie zatrzymać. Znał mnie i wiedział, że jeśli podjąłem jakąś decyzję, nic nie mogło tego zmienić. Przepychałem się przez tłum, zmierzając w stronę wyjścia, a on dalej za mną wołał. – Jacobi! Przecież bliźniacy powinni się dogadywać!

ELODIE

– No dajesz, dziewczyno. Wiem, że chcesz.

Nie chciałam. W ogóle tego nie chciałam, ale Carina patrzyła na mnie z taką prośbą w oczach, że odmówienie jej stawało się coraz trudniejsze.

– Przepraszam, po prostu jestem taka zmęczona – wymigiwałam się. – Poza tym, impreza? Serio? Nie będę tam znała nikogo poza tobą.

– I mną – wtrąciła śpiewnie Pres, przebiegając obok moich drzwi. W rękach niosła jaskraworóżową sukienkę, która miała okropnie kontrastować z jej kasztanowymi włosami.

– Widzisz. – Carina założyła ręce, jakby już wygrała. – Rashida też będzie.

– Rashida powiedziała do mnie może trzy słowa, odkąd przyjechałam. – Zanurzyłam się głębiej w pościeli, podciągając koc aż po brodę. – A tu jest tak miło i ciepło. Poza tym jestem już w piżamie.

– Nie kłam, Stillwater. Jesteś w pełni ubrana pod tym kocem.

– Ech. Po prostu nie mam ochoty spędzić kilku godzin na jakiejś imprezie, wyszydzana przez chłopaków z Riot House, okej? – przyznałam w końcu.

– Ha! Oni nie chodzą na imprezy w mieście. Są zbyt pretensjonalni i nadęci, by bawić się z dziećmiakami z Mountain Lakes. Poza tym słyszałam, jak Pax mówił Damianie, że cała ich trójka wybiera się na weekend do Bostonu. Ojciec Dasha organizuje jakieś dobroczynne wydarzenie. Także ta wymówka jest nieaktualna.

Skrzywiłam się i wydełam dolną wargę.

– Słuchaj. Ja i spotkania towarzyskie to nie jest dobry pomysł. Nie potrafię rozmawiać z ludźmi. Tylko ci narobię wstydu, a ty już nie będziesz chciała się ze mną przyjaźnić.

– Gówno prawda. Kisimy się tu przez cały tydzień, a ty chcesz spędzić weekend w ten sam sposób? Sorry, ale nie ma mowy. Wstawaj. Czas się zabawić.

Już w tym momencie wiedziałam, że nie uda mi się z tego wywinąć. Tak naprawdę miała dużo racji. Barykadowanie się w pokoju przez weekend, gdy w tygodniu nie pozwalano nam opuszczać terenu uczelni, nie miało najmniejszego sensu. Zalatywało jakimś barbarzyńskim samobiczowaniem, na które – jak podejrzewałam – jednak nie zasługiwałam.

– Kto to w ogóle organizuje?

– Huraaaa! – Carina zaczęła podskakiwać i klaskać.

– Neeee, ja się jeszcze na nic nie zgodziłam! Najpierw mi powiedz, kto to organizuje!

– A co za różnica? – Dziewczyna zarzuciła jeansową kurtkę na jedno ramię. Z maniakalnym uśmiechem przybrała dramatyczną pozę. – Będzie alkohol. Będą chłopcy. Będzie muzyka. Dajesz, Elle. Wkładaj najkrótszą spódniczkę, jaką masz, i LECIMY!

Posiadłość – wymuskane dzieło architektury usytuowane na skraju klifu z widokiem na największe tutejsze jezioro – była na tyle duża, by pomieścić w sobie całą drużynę piłkarską. Organizujący imprezę chłopak, Oscar, był synem byłego gracza Narodowej Ligi Futbolowej, więc wszystko się zgadzało.

Przez całą drogę próbowałyśmy dojść do tego, czyj to był właściwie znajomy i czy w ogóle ktokolwiek nas tam zaprosił. Pod koniec było mi już wszystko jedno. Potrzebowałam

piwa.

Gdy przeszliśmy przez drzwi wejściowe, impreza rozkręcała się na dobre. Ludzie tańczyli i wydawali radosne okrzyki w rytm głośnych, gorączkowych basów, dudniących przez profesjonalne głośniki. Opróżniano kieliszek za kieliszkiem. Grano w dwa osobne, piwne ping pongi. Na dodatek dom był pełen uczniów, których znałam, co pomogło mi się zrelaksować. Połowa Wolf Hall się tu bawiła. Z większością z nich nigdy nie zamieniłam nawet słowa, ale kojarzyłam ich, a skoro im wolno było tu być, to mi również.

– Musimy podskoczyć do kibelka – zdecydowała Carina, ciągnąc mnie za sobą poprzez tłum tańczących ciał. Przepraszałam każdego, w kogo weszłam, ale w reakcji spotykały mnie jedynie przyjazne uśmiechy. Nikt nie miał nic przeciwko delikatnemu poturbowaniu. Gdy Carina w końcu dotarła do ubikacji, wepchnęła mnie do środka i zatrzasnęła za nami drzwi. Oparła się o nie z ekscytacją na twarzy. Dłonie płasko przylegały do drewna. – Okej. Wiem, że nic nie wspominałam. Ale jest taki koleś...

– Oczywiście, że jest. – Podciągnęłam się, żeby usiąść na marmurowej ladzie przy umywalkach. Zaczęłam poprawiać rajstopy, uważając na to, żeby nie zahaczyć paznokciami o cienki, połyskujący materiał. – Kim on jest? Jak ma na imię? Chodzi do akademii?

– To student pierwszego roku Uniwersytetu w Albany. Ma na imię Andre i jest piękny. Przyjaźni się ze starszym bratem Oscara i obiecał, że tu dzisiaj będzie.

– I rozumiem, że go lubimy?

– Bardzo. – Carina entuzjastycznie pokiwała głową. – Jest mądry. Miły. Zabawny. Pyta o pozwolenie, zanim mnie pocałuje, co w sumie jest trochę dziwne, ale lepsze od napastliwości. Poza tym wygląda jak młody Andy Samberg.

– Andy Samberg?

– Mam bardzo specyficzny gust, moja droga – poinformowała. – Jeszcze do tego nie doszłaś na podstawie mojego stylu ubioru?

Cóż. Miała na sobie fioletowe sztruksowe ogrodniczki pełne naszytych łąt w kształcie czterolistnych koniczynek. Nadruk z przodu podkoszulka, który miała pod spodem, przedstawiał absolutnie obłąkanie wyglądającego kota.

– Okej. Czaję – odpowiedziałam ze śmiechem. – Ale jedyny facet, o którym wiedziałam, że ci się podobał, to... No, wiesz o kim mówię. I wygląda jak grecki posąg. Nie ma w nim nic ekscentrycznego czy dziwaczego. Jest jak... lody waniliowe. Ale takie w chuj luksusowe, dekadencjonalne, z eko-sreko-bio wanilii. Najdroższe, jakie można kupić.

Parsknęła śmiechem, przeglądając się w lustrze. Odkręciła kran, zwilżyła palce, a następnie przyglądała nimi włosy. Dzisiaj postawiła na naturę: były piękne i sprężyste.

– I o to chodzi, nie? Każdy lubi wanilię. Możesz przepadać za smakiem pistacjowym albo nawet lukrecją, albo... nie wiem – zaśmiała się – choćby jebanym wasabi. Ale jeśli ktoś ci zaproponuje genialną wanilię, nie będziesz w stanie się oprzeć. Lody waniliowe wyglądają świetnie, smakują świetnie i wydaje ci się, że wiesz, na co się piszesz. A potem się dowiadujesz, że mleko było zepsute, a ty się strułaś i... – Potrząsnęła głową. – Nie wiem. W moim przypadku lody waniliowe okazały się obrzydliwe.

– Jak myślisz, jakim rodzajem lodów jest Andre? – zapytałam, gdy smarowała usta pomadką. Nie spuszczałam z niej wzroku.

– Łatwizna. Jest kolendrowo-limonkową kanapką lodową. – Wyszczrzyła zęby w uśmiešku, przygryzając język. – Trochę niekonwencjonalną. Trochę szurniętą. Trochę dziwną. Ale wszystkie te części jakoś się ze sobą łączą i... działają. Lubię to w nim.

Miło się na nią patrzyło, gdy była taka podekscytowana z powodu chłopaka. Po zesłotygodniowym potoku łez w knajpcie, myślałam, że minie jeszcze sporo czasu, zanim

znajdzie kogoś wartego jej zachwytu. Tymczasem, proszę – Wpadła po uszy.

– Jak myślisz, jakim rodzajem lodów jest Wren? – zapytała, trzepocząc rzęsami.

– To dziwne pytanie. Dlaczego miałabym się nad tym zastanawiać?

– No nie wiem, sama mi powiedz... – Jej ton wydawał się lekki i niezobowiązujący, ale widziałam jej twarz w lustrze. Widziałam troskę, którą próbowała ukryć. – Często na niego patrzysz. On często patrzy na ciebie. Jeszcze to całe negatywne napięcie unoszące się w powietrzu. Uznałam, że coś musi być na rzeczy...

– Wren Jacobi nie jest lodami. Jest grudką stęchłego sera pokrytą trutką na szczury. Nie mam najmniejszego zamiaru sprawdzać, jak smakuje.

Z jej ust wydobył się pogodny chichot. Zakręciła pomadkę i wrzuciła do torebki.

– W porządku. Wierzę ci, stara. Powinnaś jednak wiedzieć, że na twoim miejscu... całe miliony dziewczyn nie miałyby nic przeciwko.

Oscar wyglądał na futbolistę. Miał jakiś metr dziewięćdziesiąt, był barczysty, a gdy tylko się poruszył, cała impreza poruszała się razem z nim. Ludzi ciągnęło do niego, jakby zostali uwięzieni w jego orbicie. Ciepły, głośny śmiech chłopaka dało się słyszeć nad brzmieniem muzyki, którą co chwilę zmieniał, niezdolny do zdecydowania się na jedną piosenkę.

Przedstawiono nas sobie cztery razy. Nie udało mu się mnie zapamiętać, ale nie potrafiłam się o to gniewać. Ze zbyt wielkim entuzjazmem uczył się mojego imienia za każdym razem od nowa. Jego przytulenia sprawiały wrażenie szczerych.

Pomiędzy wpadaniem na Oscara, Carina podawała mi piwo za piwem, jakby zaraz miał się skończyć zapas alkoholu. Nie był to mój pierwszy raz. Próbowałam każdego możliwego drinka, ale od ostatniej okazji minęło już trochę czasu. Przy trzecim piwie czułam się wstawiona, a po piątym pijana.

Okolo jedenastej w nocy Carina nagle poróżowiała i wskazała na chłopaka po drugiej stronie salonu, który rzeczywiście wyglądał jak młody Andy Samberg. Gdy tylko ją zobaczył, twarz rozjaśnił mu uśmiech. I to by było na tyle. Od tego momentu Andre był wszystkim, co interesowało moją przyjaciółkę. Nie mogłam jej winić za to, że chciała spędzać czas ze swoją nową kolendrowo-limonkową kanapką lodową. Jak już człowiek znajdzie swój ulubiony smak, musi się nim cieszyć, póki może.

Poza tym Presley dotrzymywała mi towarzystwa.

– Ludzie nie doceniają skinów – stwierdziła, kołysząc się na krześle. Była, delikatnie mówiąc, pod wpływem, ale wciąż składała sensowne zdania. Chyba. A może osiągnęliśmy już tę perfekcyjną równowagę, w której ona była tak wstawiona, że sama nie wiedziała, co mówiła, a ja byłam tak wstawiona, że jej bełkot brzmiał dla mnie jak prawdziwe słowa? – Myślą, że jest głupi, bo jest modelem, ale ja w zeszłym roku musiałam z nim pracować nad po-proek-projektem z chemii i był serio mądry. Serio, serio, serio mądry.

– Serio, serio, serio mądry? – Podałam jej piwo, którym się dzieliłyśmy.

– Tak! – wykrzyknęła z chichotem. – Serio, serio, serio... serio, serio... – Zapomniała, co zamierzała powiedzieć. – W każdym razie. Ma na imię Pax. A „pax”, po łacinie, znaczy „pokój”. Wiedziałaś o tym?

– Tak.

– Oooh, proszę. Jaka mądrała. Mądrała Elodie. Lubię twoje imię. Co oznacza?

Dostałam czkawki. Próbowałam skupić się na ślicznej, pokrytej piegami twarzyczce Presley, ale obecnie aż trzy jej wersje wirowały mi przed oczami. Nie byłam pewna, do której powinnam się zwracać.

– „Obce bogactwa” – powiedziałam do środkowej z nich. – Po francusku. Tak miała na drugie imię moja mama.

– Serrrrrio, śliczne – wymamrotała niewyraźnie Pres. – Serio, serio, serio, serio... – Zdała sobie sprawę z tego, co robiła, i wybuchła śmiechem. – Boże, przynajmniej cię nie nazwali po jakimś grubasie w peruce, który... który umarł na jebanym sraczu, jed... no... cześ... nie... – *trzeba przyznać, walczyła dzielnie z tym słowem* – ...jedząc hamburgera i robiąc ogromne kupsko.

– Chyba nigdy tego nie udowodniono – wydusiłam, bardzo starając się nie roześmiać. Jak miałam zachować powagę, gdy wymyślała takie rzeczy?

– Boże, ale się najebałam – biadolila. Gdy spróbowała podnieść się z krzesła, cała się zachwiała. – Chyba muszę zaliczyć jakiś marszobiegię po okolicy, żeby wytrzeźwieć. A właśnie, oglądałaś kiedyś chód sportowy? Jezu, ale to śmiesznie wygląda. O. O! Hej! Hej, Tom! Elle, zobacz, jest tutaj Tom z akademii. Nie widzi nas. Chodź, przestraszymy go.

– Pres, wolałabym tutaj... zostać...

Ale było już za późno. Dziewczyna pociągnęła mnie do pionu. Zanim zdążyłam się zorientować, co się działo, już byliśmy po drugiej stronie salonu Oscara. Stałyśmy za Tomem, który, bardzo ożywiony, opowiadał znajomym jakąś historię.

– A on oparł się przedramieniem o moją szyję i wyglądał, jakby miał zamiar mnie zajebać, a ja w ogóle nie mogłem oddychać, nie? I mu mówię: „Dobra! Dobra! Zrobię to, kurwa. Po prostu ze mnie zejdz, człowieku!”

– Typ nie ma żadnych zahamowań – skomentował wysoki chłopak w okularach. – Słyszałem, że w czasie zeszłorocznej przerwy wakacyjnej dźgnął nauczyciela.

– Nie bądź głupi – odparła jedyna dziewczyna, jaka była obecna w grupce Toma. Końcówki jasnych blond włosów miała zafarbowane na fioletowo. Przewróciła oczami. – Gdyby jeden z nauczycieli został dźgnięty, to chyba byśmy o tym wiedzieli, nie uważacie? Poza tym niby czemu mieliby mu pozwolić na dalszą naukę w akademii po czymś takim? Clay, serio, powinieneś zacząć używać mózgu, zanim cokolwiek powiesz. Znasz zasady. Najpierw weryfikujemy fakty, a potem ogłaszamy je wszem i wobec.

– Luzuj, Jem. Jezu. Mówi tylko, co słyszał – mruknął jakiś niski koleś, zajęty rozrywaniem palcami kawałka brownie. Odchylił głowę i wpakował sobie do ust trochę lepkiego, czekoladowego ciasta.

– Ugch! W ogóle mnie nie słuchacie! – Zirytowany Tom wyrzucił ręce w powietrze. – Jebany Jacobi groził mi śmiercią. A jeśli nie oddam tej dziewczynie telefonu do końca jutrzejszego dnia, na pewno się połapie, że coś jest nie tak. A potem zgłosi mnie do Harcourt. Wywalą mnie, dziadek mnie zabije i finalnie w każdym z tych scenariuszy skończę martwy, więc byłbym naprawdę, kurwa, wdzięczny za odrobinę pomocy. Proszę. Serio, odchodzę już od zmysłów i...

– Hej, Tom? – przerwał mu jedzący brownie dzieciak.

– No co, Elliot? NO CO?

– A jak ta dziewczyna wygląda? Ta od telefonu?

– No nie wiem. Niezła z niej laska. Niska. Drobna. Blond włosy. Śliczne oczy. Jakie to ma, kurwa, znaczenie?

Elliot uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– Takie, że jestem prawie pewny, że właśnie za tobą stoi. I wygląda na wkurwioną.

Tom odwrócił się w takim tempie, jakby ktoś go właśnie dźgnął kijem w tyłek.

– O, cholera. Elodie! Uch... Tak. Elodie. Co u ciebie? Czy... yyy... – Nerwowo pocierał dłonią tył szyi. – Czy dobrze się bawisz?

Dobrze się bawiłam, ale to już było przeszłością.

Teraz byłam wcieleniem furii.

Byłam wypalającym się słońcem, które już za chwilę miało wybuchnąć i zamienić się w pierdoloną supernową.

Byłam więcej niż zła. Byłam wściekła.

Wewnętrznie wyliczałam wszystkie sposoby na zamordowanie Toma tak, by nigdy nie znaleziono jego wychudzonego, martwego zadka.

– Wyjaśnij – warknęłam krótko.

– Uch. Uch. Cóż. Nie wiem, co słyszałaś, ale...

– Wiesz co? – przerwałam. – Nie wysilaj się. Po prostu mi powiedz, czego on chce od mojego telefonu. Może wtedy nie ukręcę ci tego żalostnego łba.

Jego źrenice gwałtownie się rozszerzyły – typowa reakcja na stres. Niektórzy faceci nie chcieli uwierzyć, że dziewczyna tak mała, w dodatku blondynka, mogłaby uciec się do przemocy. Ale Tom mi wierzył. Dostrzegł chęć mordy w moich oczach i wiedział, że nawet pijana byłabym w stanie obedrzeć go ze skóry.

– On... znaczy... nie wiem. Zgaduję... Uch. Nie mam pojęcia, po co mu ten telefon. Powiedział, żebym naprawił go tak szybko, jak to możliwe i mu go przyniósł. Miałem go zostawić na biurku w jego pokoju, a potem stamtąd wypierdalać. To wszystko. Tyle wiem. – Chwycił białą serwetkę, w której Elliot trzymał swoje brownie, a następnie zaczął nią wymachiwać w powietrzu. – Przepraszam, okej? Przepraszam! Zobacz, poddaję się! Nie jestem przyzwyczajony do takich sytuacji. Ludzie tacy jak ty... tacy jak on... zazwyczaj mnie ignorują. Nie istnieję dla was i chcę do tego wrócić. Chcę wrócić do bycia niewidzialnym. Rzeczywistość ssie.

Dopiero po dłuższej chwili rzuciła mi się ponownie w oczy rozerwana warga. Mówił tak energicznie, że rana otworzyła się na nowo, a strużka krwi zaczęła spływać wzdłuż brody. Wren mu to zrobił. Stojąca obok Presley odkaslnęła niezręcznie.

– Może chodźmy znaleźć Carinę. Nie chcę się mieszać w sprawę Riot House. To brzmi jak temat dla was.

Zbliżyłam się do Toma, który od razu zbladł. Było mi go szkoda i pogardzałam nim w równym stopniu.

– Co to ma znaczyć? „Ludzie tacy jak ty”?

– No wiesz – zaczął cicho. – Popularne dzieciaki. Członkowie społecznej elity. Jesteś... jesteś jak oni.

Furia, która dopiero co objęła mi się o wnętrzości w formie małej, zbitej kuli białej energii, teraz skumulowała się w piersi i wybuchła, rozrywając na chwilę mi mózg na drobne kawałeczki. Zastygłam. Zakłopotana Jem wycofała się z grupy. Oddaliła się chyłkiem ze wzrokiem wbitym w podłogę. Elliot i Clay wyglądali na zbyt osłupiałych, by się poruszyć.

– Nie jestem taka jak oni – wysyczałam. – W ogóle taka nie jestem. Jak możesz mówić coś takiego? Nie znasz mnie.

Tom upuścił serwetkę, wiedząc, że nie uniknie już swojego losu. Miał świadomość, że powiedział nie to, co trzeba. Byłam dosłownie mikrosekundę od rzucenia się na niego, gdy nagle pojawiła się Carina, cała w warkoczach i fiolecie.

– Siemanko! Co tam? Jem powiedziała, że szykuje się jakaś bitka.

Nawet nie miałam siły na nią spojrzeć.

– Powiedz jej, co zrobiłeś, Tom.

Zamrugnął.

– Przecież nie miałem wyboru – wyjącał.

Po przyjaznym tonie Cariny nie było śladu.
– Tomie Petrovie. Mów, co zrobiłeś.

ELODIE

– Tak dla twojej wiadomości, cały ten pomysł jest zjebany. Wiesz o tym, prawda? – upewniała się Carina.

Burknęłam jej w odpowiedzi coś pod nosem, chowając brodę w kołnierzu kurtki. W samochodzie było lodowato, a temperatura nastroju mojej koleżanki wcale nie polepszała sytuacji. Złościła się, że musiała zostawić swojego sobowtóra Samberga, ale sama tego chciała.

– Mówiłam, żebyś została – przypomniałam. – Mogłam zamówić Ubera.

– Żaden kierowca Ubera by na to nie poszedł – psioczyła dalej. – Zbyt wiele rozwydrzonych dzieciaków z Wolf Hall zrzygało się już na tylnych siedzeniach. Wszyscy jesteśmy na czarnej liście.

– Co za gówno.

– Więc nie, nie mogłaś zamówić Ubera. Tylko ja mogłam cię tu zawieźć i powtarzam ci raz jeszcze: to pierdolone wariactwo.

– Sama mówiłaś, że spędzają tę noc w Bostonie. Wrócą najwcześniej jutro. Nie rozumiem, w czym problem? Nigdy się nie dowiedzą, że tu byliśmy.

– Oczywiście, że się dowiedzą! Wren się domyśli, gdy tylko zobaczy, że telefonu nie ma w jego pokoju. I co wtedy?

– No tak. I co wtedy? Nie bardzo może to zgłosić jako kradzież, prawda? Wszedł w posiadanie mojej własności poprzez napaść, w dodatku w nieznanym mi, ale na pewno ohydny, celu. Już widzę, jak komuś powie, że wtargnęłam na jego prywatny teren, żeby odzyskać coś, co należy do mnie.

– Chryste – wycedziła przez zaciśnięte zęby. – Nawet nie wiesz, w co się pakujesz, dziewczyno. W co mnie pakujesz! Jesteś pijana. Może poczekamy do rana, przemyślimy całą sprawę i znajdziemy jakiś lepszy sposób...

– W tej chwili jestem już stuprocentowo trzeźwa, a ty dobrze o tym wiesz – przerwałam.

– Słuchaj, naprawdę cię rozumiem. Na twoim miejscu też nie chciałabym brać w tym udziału. Może po prostu mnie wysadzisz przed domem, a potem wrócisz na imprezę, co? Wrócę sama.

– Ponad trzy kilometry? Pieszko, w środku nocy? Po ciemku i w zimnie? Wzdłuż krętej, wąskiej drogi? – wyliczała. – Zaraz sprzątnęłoby cię jakieś auto. Nawet by cię nie zauważyli, dopóki nie byłoby za późno. Za jaką przyjaciółkę ty mnie w ogóle masz, co?

Nie miałam na to odpowiedzi. Niby co mogłam powiedzieć? Nieszczególnie uśmiechało mi się wdrapywanie z powrotem do Wolf Hall, poza tym rzeczywiście byłaby chujową przyjaciółką, gdyby mnie zostawiła samą na skraju górskiej drogi; nie dało się tego inaczej ująć w słowa. Cieszyłam się, że posiadała w pełni funkcjonujące sumienie. W żaden sposób nie zmieniało to jednak faktu, że nie chciałam stawiać jej w takiej sytuacji.

Siedziałyśmy w ciszy. Przednie światła mijających nas samochodów rozdzierały ciemności niczym świetlne miecze, oświetlając przy tym około pięć metrów asfaltu.

– Co za ścierwo – odezwała się po chwili Carina. – Wren zawsze przyprawiał mnie o dreszcze, ale nie miałam go za aż takiego creepa. Pewnie zamierzał ci zainstalować jakieś apki szpiegowskie. Podśluchiwałyby twoje rozmowy, czytał wszystkie wiadomości. Miałby nawet dostęp do kamerki... O Boże, dopiero teraz o tym pomyślałam.

– Mmm – mruknęłam niezobowiązująco pod nosem. Sama pomyślałam o tym już dawno

temu. Miałam spore doświadczenie z klonowaniem telefonów i każdym możliwym rodzajem oprogramowania śledzącego. Mój stary telefon widział już wszystko, a obecny również nie mógł się skarżyć w tej kwestii, o czym jednak Carina nie miała prawa wiedzieć. Zainstalowano w nim pełno aplikacji, których głównym celem było stworzenie złudzenia, że nie byłam obserwowana. Już ojciec o to zadbał. Po tej gonitwie myśli powiedziałam tylko: – Wejdziemy tam, zabierzemy telefon i nie będziemy miały powodu do zmartwień.

– Powinnaś zadzwonić na policję, Elle. Mówię serio. Cała ta sprawa jest podejrzana.

– Najpierw się dowiedzmy, o co tu w ogóle chodzi – zbywałam ją dalej, z czego musiała zdawać sobie sprawę.

Ale dla mnie angażowanie policji nie było dobrym pomysłem. Przed wszystkim władze musiałyby zgłosić to ojcu, a ja nie chciałam ryzykować. Jeszcze wskoczyłby do samolotu, żeby osobiście się dowiedzieć, co tu się działo. Wolałabym być ciągnięta po rozżarzone węgiel, niż musieć się z nim spotkać.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe, gdy Carina wyłączyła światła i wjechała na leśną drogę prowadzącą do Riot House. Po sposobie, w jaki ścisnęła kierownicę, wiedziałam, że zjadały ją nerwy. Nie potrafiłam jednak rozgryźć tego, czy bała się, że ktoś nas przyłapie, czy przerażało ją samo przebywanie w tym miejscu? Jakkolwiek brzmiała odpowiedź, z każdą chwilą czułam się coraz gorzej z tym, że to przeze mnie musiała się z tym mierzyć.

We wszechotaczającej ciemności nie widziałam niczego poza drzewami. W końcu skręciłyśmy i nagle przed naszymi oczami ukazał się trzypiętrowy budynek, tak wielki i onieśmielający, że chyba tylko dzięki jakiejś magii, nie było go widać z ulicy. Przez panujące wokół ciemności, trudno było stwierdzić, jak stary jest to dom. Ogromne okna, będące w zasadzie wielkimi szybami, które od podłogi do sufitu zajmowały niemalże całą ścianę, sprawiały nowoczesne wrażenie, ale reszta zewnętrznego wykończenia wręcz przeciwne.

– Niedobrze mi od samego patrzenia na ten dom – wyszeptała Carina. – Nie wydaje ci się, jakby wyszedł z twoich najgorszych koszmarów?

Przyjrzałam mu się bliżej. Okryty zasłoną czerni, z każdym oknem wychodzącym na ciemność, wyglądał na kompletnie opuszczony.

– Nie – odpowiedziałam. – Nie wiem o koszmarów.

– Zazdroszczę. Musi być miło. – Wypuściła długi oddech przez ściągnięte usta. Przekręciła kluczyk, wyłączając silnik. – To czego się boisz? Potworów? Demonów? Zombie?

– Nie. – Z silnym postanowieniem wpatrywałam się w budynek. – Boję się prawdziwego życia. Boję się ludzi, którym powinno najbardziej na mnie zależeć.

Nie zapytała, gdzie się nauczyłam otwierać zamki. Cały czas mnie pospieszała i zerkała przez ramię w głąb lasu, jakby spodziewała się, że Dashiell zaraz wyłoni się z niego z siekierą w ręce, gotowy poćwiartować nas na kawałki. Nikt jednak nie przyszedł, a ja otworzyłam drzwi do Riot House w rekordowym czasie.

Weszłam do środka, psychicznie przygotowana na lawinę pustych puszek po piwie i gnijących pudełek po jedzeniu na wynos... ale wewnątrz było bardzo schludne. Nie, wróć. Było piękne.

Carina włączyła latarkę w telefonie, rozpędzając ciemności, a ja zachwycałam się okazałym wejściem, w którym się znalazłam. Przed mną stały ogromne, wspaniałe schody, rozwidlające się na dwie części. Lewa prowadziła do zachodniego skrzydła budynku, prawa do wschodniego. Parter był pełen wiszących na ścianach ogromnych obrazów sztuki współczesnej. Prace nie wydawały się traktować o coś konkretnym, ale im dłużej się w nie wpatrywałam,

tym większa napełniała mnie pewność – a wraz z nią niepokój – że wszystkie przedstawiały szalejące burze, przywołane do życia za pomocą zawijasów czerni, niebieskiego, białego i szarego. Sprawiały gniewne wrażenie.

– Te obrazy namalował Wren – mruknęła Carina. – Może i jest największym dupkiem, jakiego widziała ta ziemia, ale potrafi malować.

Zdziwiłam się, ale postanowiłam odłożyć rozmyślanie o tym na później.

W budynku unosił się specyficzny zapach, który przyprawiał mnie o zawroty głowy. Nie miał nic wspólnego ze spoconymi skarpetkami i odorem niemytych nastolatków, jakiego się tu spodziewałam. Powietrze było przesiąknięte subtelnymi nutami bergamotki, czarnego pieprzu i drzewa różanego.

Przestrzeń przystrojono różnego rodzaju ozdóbkami i pamiątkami. Umieszczono je z pomysłem oraz dbałością na stołach i kredensach, które wyglądały na niebotycznie drogie. Stały też na biblioteczce, która biegła wzdłuż tylnej ściany od drzwi – w nieznaną.

Podniosłam wzrok, nabierając gwałtownie powietrza.

– O kurwa.

Carina mruknięciem zgodziła się z moją niesubtelną aprobatą i również zadarła głowę. Schody wiły się w górę wokół swojego rodzaju wewnętrznego dziedzińca. Z miejsca, w którym stałyśmy, byliśmy w stanie dostrzec ostatnie piętro, a nawet wyżej – rozpościerający się nad naszymi głowami dach z ogromnym oknem. Zobaczyłam przez nie rozgwieżdżone niebo, a widok ten zaparł mi dech w piersiach. Połacie skrzących się punkcików światła, płonących gdzieś w zaświatach, składały się na dach, pod którym sypiał Wren Jacobi. I była to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie dane mi było zobaczyć.

– No chodź. – Dziewczyna chwyciła mnie za rękę, a następnie pociągnęła w stronę schodów. – Nie mamy czasu na podziwianie architektury. Musimy znaleźć ten telefon i wrócić do akademii. Mam złe przeczucia.

– Powiedz mi, gdzie jest jego pokój. Sama tam pójde.

Potrząsnęła głową.

– Pójdziemy razem. Łatwo się tu zgubić.

– Wszystko będzie dobrze. – Z pokrzepiającym uśmiechem ścisnęłam jej dłoń. – Zostań tutaj i czuwaj. Jeśli zobaczysz światła na drodze, krzyknij, a od razu stąd spierdalamy. Jedna z nas musi być na czatach.

W jej oczach dostrzegłam niepewność i ulgę. Była wdzięczna za wymówkę, by móc pozostać na dole, w bezpiecznej odległości od wyjścia.

– Okej. Pospiesz się. Najwyższe piętro. Na szczycie schodów skręć w prawo. Pokój Wrena będzie na wprost. Drzwi z przybitym czarnym piórem. Nigdy tam nie byłam. Nie wiem, gdzie stoi biurko, ale...

– Ćśśś – przerwałam. – To nic, wszystko w porządku. Przecież to zwykłe biurko, a nie jakaś ukryta kłapa w podłodze czy coś. Daj mi minutę i się zmywamy.

Delikatnie drżąc, skinęła głową. Chryste, wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać. Nie wiedziałam, czego tak się bała, ale jej emocje były zaraźliwe. Serce gwałtownie waliło mi w piersi, gdy dobiegłam do pierwszego piętra, a na trzecim piętrze płuca paliły mnie jak wściekle. Natomiast na czwartej kondygnacji słyszałam już tylko puls w uszach.

Choć walczyłam o każdy oddech, nie chciałam marnować czasu. Od razu ruszyłam do drzwi na prawo. Na widok eleganckiego piórka zaczęła zżerać mnie ciekawość. Było przybite do drewna, dokładnie tak, jak opisała to Carina.

Okej.

Czy drzwi będą zamknięte?

Część mnie była przekonana, że tak. Jacobi należał do stworzeń bardzo ceniących sobie prywatność, więc z całą pewnością przykładął dużą wagę do chronienia swojej przestrzeni.

Z drugiej strony był też arogancki. Czy Pax lub Dash ośmieliliby się wkroczyć do jego sanktuarium bez wyraźnej zgody? Mało prawdopodobne. A czy Wren spodziewał się, że jakiś intruz miałby czelność włamać mu się do domu, a następnie wtargnąć do jego sypialni? Nie w tym życiu, nie w tej rzeczywistości. Tutaj każdy, z kim kiedykolwiek wszedł w kontakt, drżał przed nim ze strachu. I uczniowie, i nauczyciele.

Położyłam dłoń na mosiężnej gałce, a wtedy poczułam nagły przypływ dziwnej energii. Ile razy dłoń Wrena dotykała tej wypolerowanej, chłodnej powierzchni? Tysiąc? Pewnie więcej. Setki tysięcy razy. Dotykał jej częściej, niż jakiegokolwiek innej rzeczy w domu. Sama świadomość tego faktu sprawiła, że czułam, jak dostaję wypieków na twarzy. Miałam wrażenie, jakbyśmy stali tutaj razem, dotykając tego samego metalu. Zupełnie jakbyśmy trzymali się za ręce i...

Dobry Boże, Elodie. Co jest z tobą, kurwa, nie tak?

Otworzyłam gwałtownie drzwi. Nie zastanawiałam się dłużej nad tym, czy będą zamknięte. Wiedziałam, że nie.

I rzeczywiście – nie były.

Oto stałam w sypialni Wrena Jacobiego.

Gdybym miała więcej odwagi, włączyłabym światło, by porządnie się rozejrzeć, ale byłam o wiele bardziej rozedrgana, niż się spodziewałam. Przez wychodzące na północ duże okna wykuszowe i tak wpadała wystarczająca ilość blasku księżyca, a ja nie chciałam przez przypadek zwrócić uwagi jakiegoś przechodnia na swoją obecność w domu.

Pomieszczenie było olbrzymie, przynajmniej dwa razy większe od mojego zakwaterowania na czwartym piętrze akademii. Większość przestrzeni zajmowało masywne łóżko. Zza góry poduszek, o zadziwiająco szczegółowych zdobieniach, wystawał solidny drewniany zagłówek. Wszechogarniająca ciemność gasiła kolory, tłumiąc ich rzeczywiste barwy. Pościel mogła być szara, ale mogła też być niebieska. Coś we mnie zerwało się gwałtownie na widok złożonych w wojskowy sposób rogów. Wren musiał ułożyć je dzisiaj rano, tuż po przebudzeniu.

Ściany pokrywały półki wyłożone książkami. Było ich mnóstwo. Stare i nowe: brudne, rozpadające się, ale były też te lśniące, jeszcze nawet nie otwarte. Wypełniono nimi każdą lukę. Jedne leżały płasko, a inne opierały się o siebie. Wetknięto je wszędzie tam, gdzie tylko mogły się zmieścić.

Co my tu jeszcze mamy? Zobaczmy...

Żadnych dumnie wyeksponowanych w ramach zdjęć. Generalnie żadnych zdjęć, obrazków, niczego. Po lewej stronie łóżka stała komoda, o którą opierało się wysokie, pokryte patyną lustro w pozłacanej antycznej ramie. Poza tym zero dekoracji.

Hmm. I brak telewizora.

Na grubym dywanie leżał stos kartek, tuż przed niedawno używanym kominkiem, z jeszcze otwartymi drzwiczkami. Zmięte kulki papieru wały się po podłodze. Papier był generalnie wszędzie, w takiej czy innej formie. Stare bilety wetknięte w deski przy oknie. Oparta o drzwi szafa sterta starych plakatów z pozaginanymi krawędziami, zwiniętych w rulony przytrzymywane gumkami recepturkami. Kupki listów zbierających kurz na starodawnym sekretarzyku.

Spojrzałam w górę i oddech ponownie uwiązał mi w gardle. *O ja pierdole.* Miejsce było pełne niespodzianek, zwłaszcza jeśli poświęciło się chwilę na przyjrzenie sufitowi, który w żadnym razie nie był zwyczajnym sufitem. Składał się z samego metalu. Babcia miała kiedyś

cynowe kasetony w swoim saloniku, wytłoczone jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku, ale wyglądały zupełnie inaczej.

Te były miedziane i wypolerowane, połyskiwały nawet w półmroku. Rozległa powierzchnia wyszlifowanej miedzi unosiła się po środku. Utworzony w ten sposób punkt centralny zdecydowanie przykuwał wzrok.

Było to zdumiewające, piękne i kompletnie niepraktyczne. Nie mogłam sobie wyobrazić Wrena zlecającego wykonanie czegoś takiego, ani sprzecającego się z chłopakami o to, kto zajmie ten konkretny pokój.

Przy zapalanej lampie podłogowej całość musiała wyglądać niesamowicie. Wren każdej nocy kładł się do łóżka z tym widokiem nad głową. Mógł obserwować, jak światło igrało z piękną strukturą metalu – i pewnie w ogóle tego nie doceniał. Ta wspaniałość tylko się marnowała, mając tak żalosego dupka za właściciela.

Pokój miał jakby... morski charakter. Jakbym znajdowała się pod pokładem starego trójmasztownca, w kajucie kapitana. Nie miałam powodu do takich skojarzeń, w pomieszczeniu nie było w końcu żadnych marynistycznych akcentów czy tematycznych ozdóbek. Mimo to nie mogłam się pozbyć tego wrażenia. Chaos w przedziwny sposób łączył się tutaj z pedantycznym wręcz porządkiem. Ot, sypialnia prawdziwego ekscentryka.

– Elle! Pośpiesz się, do cholery! Zaraz się tu zapocę! – Głos Cariny dobiegł do mnie z parteru, krystalicznie czysty i na tyle głośny, by mnie ocucić.

Ma rację, Stillwater. Nie przysłaś tutaj podziwiać jego wnętrzarski dryg. Ruchy!

Posłuchałam się szepczącego mi do ucha, pełnego dezaprobaty głosu. Ruszyłam do biurka. Jeszcze przed chwilą biłam się z myślami. Wierzyłam (...a może miałam nadzieję? Boże, byłam żalosena), że Tom mnie z jakiegoś powodu okłamał, i że mojego telefonu wcale tu nie będzie. Po tych mrzonkach nie został nawet ślad, gdy dostrzegłam znajome złote etui leżące na otwartej książce, w samym centrum biurka Wrena.

Odwróciłam telefon i moim oczom ukazał się całkowicie naprawiony ekran. Tom musiał działać naprawdę szybko. Że też tak po prostu mu zaufałam, gdy powiedział, że może mu to zająć całe trzy dni. *Co za dupek.*

Palcem przytrzymałam odpowiedni przycisk. Ekran się podświetlił, wraz z całą listą połączeń i wiadomości od Eden, Ayali i Leviego, które mnie ominęły. Choć byłam ciekawa ich treści, powstrzymałam się przed odblokowaniem telefonu. Nie było na to czasu.

– Elodie! Ja nie żartuję! Chodźmy stąd!

Włożyłam telefon do kieszeni kurtki. Wewnętrznie obmyślałam już cały szereg sposobów, na jakie mogłabym skrzywdzić Wrena Jacobiego w ramach kary za pogwałcenie mojej prywatności. Nagle moje oczy padły na bardzo konkretne zdanie w leżącej przede mną otwartej książce. Zmroziło mnie w miejscu.

„...tu otwarłem drzwi; lecz w drzwiach

Mrok stał tylko, mrok i strach...”⁸.

Znałam to.

Tylko za nic nie mogłam sobie przypomnieć, skąd...

Skrzypięcie przerwało ciszę. Poczulałam za plecami czyjąś ciężką obecność. Dostałam gęsiej skórki. Każdy, nawet najmniejszy włoszek na rękach i tyle szyi stanął mi dęba, pobudzony do życia wkroczeniem do pokoju drugiej osoby.

Kurrrrrrrrwa maaaaaać.

– „Całą trwożną mocą wzroku wpatrywałem się w głęb mroku,

Jakbym stanął nad otchłanią...”

Dobiegł mnie cichy szep. Głos brzmiał jak jedwab, miód i chropowata strona tępego

ostrza jednocześnie. Wbijał się we mnie z czułą słodkością, która napełniała mnie strachem.

– „...nie widzianą w ludzkich snach;

Ale ciemność trwała niema, świadcząc, że za drzwiami nie ma

Żywej duszy; tylko trzema sylabami poprzez gmach

Szept «Lenora!»...”

Powoli się wyprostowałam, robiąc krok do tyłu.

– Poe – poinformował mnie głos. – Trochę jest go ostatnio dużo w przestrzeni publicznej przez to, że zainteresowali się nim hipsterzy, ale zawsze lubiłem *Kruka*.

Odwróciłam się i oto, u podnóża łóżka, stał Wren. Dotąd widziałam go tylko w czarnej koszulce i jeansach, w ogóle nie byłam więc przygotowana na garnitur z krawatem. Krój marynarki był świetny. Spodnie perfekcyjnie dopasowane. Zwał z nóg, ale to nie przez ubrania nie byłam w stanie sklecić choć jednego słowa. Chodziło o... niego. Jako całość. O te czarne włosy i o to, jak się zakręcały przy uszach. O kształt ust. O kącik ust, który wyginał się do góry w tym jego leniwym, rozbawionym uśmiešku. O subtelny ślad zarostu. O kalkulujące oczy, przewiercające mnie na wylot nawet z drugiej strony pokoju.

Chryste. Nienawidziłam tego, że tak uwielbiałam na niego patrzeć.

Włożył ręce do kieszeni spodni, pozbawiony wszelkich trosk.

– Masz swojego ulubieńca, Stillwater? – wymruczał.

– Co? – Głos załamał mi się nawet na tej jednej sylabie.

– Poetę – uzupełnił z delikatnym uśmiechem. Rozejrzał się po pokoju, jakby dopiero teraz się zorientował, że po coś tu przyszedł, tylko za nic nie mógł sobie przypomnieć, po co konkretnie. Podszedł do biblioteczki. Palce przebiegły po grzbietach książek. – Dobrzy poeci piszą własną krew. Wkładają w wiersze cały swój ból. Potrafią uchwycić samotność i bezsens ludzkiej egzystencji, przelewając je na papier w sposób, który sprawia, że czujesz, jakby ktoś właśnie poderżnął ci gardło. To takie pierwotne i instynktowne. Każda zagubiona dusza ma swojego ulubionego poetę.

Co się właśnie, kurwa, dzieje? Dlaczego pierdoli o poezji zamiast robić przesłuchanie w sprawie mojej obecności w jego domu? Musiałam się stąd wydostać. Natychmiast.

– A kto mówi, że jestem zagubioną duszą?

– Swój pozna swego, Elodie. – Zerknął na mnie kątem oka. – Ty i ja... mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Nie, nie mamy – zaprzeczyłam odrobinę bardziej żarliwie, niż zamierzałam. – W ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. Ja nigdy bym kogoś nie zraniła, tylko po to, żeby się zgodził ukraść dla mnie czyjś telefon.

Wren zastukał palcami o półkę, idąc wolno z jednego jej końca do drugiego. Oczy miał wyraźnie rozbawione. Spomiędzy rozwartych ust błysnęły zęby.

– Jestem pewien, że jest mnóstwo rzeczy, do których byś się zniżyła, gdybyś tylko chciała czegoś wystarczająco mocno.

– Jesteś chory, Jacobi. Gdzie... O Boże. Gdzie jest Carina, do cholery? – Nie słyszałam jej panikowania. Nie krzyknęła, żeby zasygnalizować, że ktoś się zbliżał. Była cicho. – Lepiej, żebyś nic jej, kurwa, nie zrobił, Wren – warknęłam, rzucając się do drzwi.

Nie próbował mnie powstrzymać. Zaśmiał się pod nosem, wyciągnął jedną z książek i z cichą czcią przejechał dłonią po jej okładce.

– Nawet jej nie dotknąłem, spokojnie. Może i czasem stosuję przemoc wobec nieposłusznych kujonów... ale nigdy nie krzywdzę dziewczyn. – Przejechał językiem po zębach. Wzrok miał wbity w trzymaną przez siebie książkę. Ze swojej pozycji przy drzwiach widziałam, jak wpadający przez okna blask księżyca oświetla mu twarz, podkreślając kolor długich rzęs,

przywodzący na myśl obsydian. Wyraźnie kontrastował z surową bladością skóry. – Jest na dole, czeka przy drzwiach wejściowych. Wszedłem od tyłu.

Zgromiłam go spojrzeniem, doszukując się kłamstwa. Wzruszył ramionami.

– Wystaw głowę przez poręcz i sama zobacz. Znajdziesz ją dokładnie tam, gdzie ją zostawiłaś. Całą i zdrową, a także będącą naprawdę chujową w staniu na czatach.

Nie potrafiłam uwierzyć mu na słowo. Wycofałam się z pokoju. Ciało buzowało adrenaliną, stawiając opór wewnętrznemu głosowi, który krzyczał, żebym uciekała. Przechyliłam się przez balustradę, by spojrzeć w dół. Carina stała przy otworzonych drzwiach. Nerwowo przeskakiwała z nogi na nogę i wpatrywała się w ciemność w poszukiwaniu człowieka, który już wkradł się do środka.

– Możesz jej powiedzieć, żeby wróciła do akademii. Jeśli chcesz – mruknął Wren.

Kartkował książkę. Oczy szybko skanowały strony. Jak mógł tam tak po prostu stać? Tak nonszalancko? Jak mógł nie okazać choć krzty skruchy z powodu tego, co zrobił? Wszedł w posiadanie mojej prywatnej własności, planował nie wiadomo co z nią zrobić, a teraz sobie po prostu stał, spokojny jak gdyby nigdy nic, a do tego sugerował, żebym odesłała swoją przyjaciółkę i tu z nim została? Ten gość całkiem oszalał.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – wyszczałam. – Równie dobrze możesz obedrzeć mnie żywcem ze skóry, a potem zrobić sobie z mojej głowy pieprzoną czapkę, gdy tylko zostawi mnie z tobą samą.

– Ha! – Wren odchylił głowę do tyłu i prychnął śmiechem.

Rozległ się jeden krótki dźwięk zamykania książki. Ściągną i mięśnie szyi pracowały, gdy przełknął.

– Elodie! Czy to ty? – krzyknęła Carina. – Słyszałaś to?

Nasze spojrzenia się spotkały. Czekałam, aż powie, żebym się nie odzywała, ale on tylko ponownie wzruszył ramionami. Najwidoczniej nie obchodziło go, czy jego obecność miała wyjść na jaw. Ta cicha pewność siebie doprowadzała mnie do szału.

– Wezwie gliny, wiesz. Jeśli tylko zrobisz coś dziwnego – ostrzegłam.

– No ja myślę – zgodził się.

– I nie rusza cię to?

– Nie. Nie mam powodu do zmartwień. Nic ci nie zrobię, Elodie.

Uśmiech tylko się rozszerzył, zawłaszczając sobie więcej miejsca na podstępnie przystojnej twarzy. Jakie to by było satysfakcjonujące, móc jednym konkretnym uderzeniem z listka pozbawić ją tej cholerniej arogancji... Samo wyobrażenie sobie tego sprawiało, że prawa dłoń zaczęła mnie mrowić.

– Elodie! Co, do kurwy!? – Carina przypomniała mi wrzaskiem o swoim istnieniu.

– Idę! – zawołałam w odpowiedzi. – Chwila!

Wren wyciągnął książkę w moją stronę. Uniósł jedną brew, rzucając mi jawne wyzwanie. Sprawdzał, czy ośmielę się podejść na tyle blisko, by ją odebrać.

– *Studium w szkarłacie*. Arthur Conan Doyle. Oczywiście nie jest to poezja, ale myślę, że ci się spodoba – powiedział.

– Nie przyszłam tu rozmawiać o książkach. Przyszłam po swój telefon. Po co go w ogóle chciałeś, do cholery? Co zamierzałeś z nim zrobić?

Zmarszczył brwi. Autentycznie zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Czy jakiegokolwiek wyjaśnienie byłoby wystarczające? – dywagował na głos. – Jeśli przedstawię ci swoje motywacje, jeśli powiem ci prawdę... Czy to mnie usprawiedliwi?

– Absolutnie nie.

– W takim razie, skoro nie robi ci to różnicy, nie będę się wysilał.

Zamorduję go. Będę go dusić tak długo, aż umrze przynajmniej trzy razy.

– Co jest z tobą nie tak?! Po prostu mi powiedz, co zamierzałeś zrobić!

Sapnął zniecierpliwiony – *On był sfrustrowany? On? To ja tu miałam powody do frustracji!* – podszedł do mnie, trzymając w dłoni książkę. Zdrętwiałam. Byłam w stanie tylko obserwować, jak się przybliżał. Dopiero gdy stanął kilka centymetrów ode mnie, zdałam sobie sprawę z tego, jak blisko pozwoliłam mu podejść. I że w każdej chwili mógł mnie zdzielić tą książką w głowę.

– Powinnam uciec – wyszeptałam. *Na głos? Słodki Jezu, powiedziałam to na głos. Dobra, cofam tamto, Wren. To nie z tobą jest coś nie tak, tylko ze mną.*

– Tak, pewnie powinnaś. Ale to nic, wszystko w porządku. Nie jestem psychopatą. Wiesz, jak pięknie wyglądasz, gdy panikujesz? – zapytał. – Policzki ci różowieją, oczy napełniają się życiem. Cieszę się, że nie uciekłaś. – Dodał to ostatnie zdanie jakby na poczekaniu, w ostatniej chwili. Jakby sam dopiero zdał sobie z tego sprawę. – To znaczy, że się mnie nie boisz. Wiedziałem o tym, ale miło mieć pewność. Co do telefonu, to chyba oczywiste? Chciałem pozbyć się oprogramowania twojego ojca, żeby móc do ciebie pisać, nie będąc jednocześnie szpiegowanym przez jednego z najagresywniejszych wojskowych, jakich widziały Stany Zjednoczone.

– Ha! Chryste, jaja sobie ze mnie robisz? I ja mam w to uwierzyć?

– Nie oczekuję, że w cokolwiek uwierzysz.

– To czemu próbujesz się wybielić?

– Nie próbuję. Czy przejrzałbym twoje zdjęcia? Wiadomości? Spis połączeń? – Zaśmiał się gorzko. – Jasne. Nie ma we mnie nic dobrego, Elodie. Wiem od wielu godnych zaufania źródeł, że stanowią beznadziejny przypadek. Ale chcesz poznać moją jedną jedyną, chlubną, zasługującą na odkupienie cechę?

– Nieszczególnie.

– Nigdy nie kłamię – zadeklarował z powagą i szczerością, w którą trudno było nie uwierzyć. Jakby stwierdzał fakt absolutny. Coś, za co mógłby poręczyć własną głowę. Uwierzyłam mu. – Nigdy nie kłamię, więc gdy coś ci mówię, Malutka Eli, możesz być pewna, że to prawda.

Co za wyniosły, przemądrzały gnojek. Nienawidziłam go.

– W porządku. W takim razie zacznijmy od początku. Powiedz mi, że nie włamałeś się do mojego pokoju i nie zniszczyłeś wszystkich moich rzeczy. Zobaczmy, czy ci się...

– Nie zrobiłem tego – przerwał. Przez cały czas patrzył mi prosto w oczy. Ściągnięte łopatki, wyciągnięty dumnie podbródek. Trzy krótkie słowa pełne tej samej szczeroci, której przed chwilą przyznałam prawo bytu. – Mógłbym to zrobić, ale nie miałem powodu.

Gardło mnie paliło. Oczy znikąd napełniły się łzami.

– Porcelanowy ptaszek od mojej mamy został roztrzaskany na kawałki, Wren. Może... może nie włamałeś się osobiście, może ktoś inny zrobił to za ciebie i myślisz, że w ten sposób upiecze ci się to „półkłamstwo”. Ktokolwiek to zrobił, zniszczył jedyną rzecz, jaka mi została po mamie, rozumiesz? Jedyną rzecz, jaka była dla mnie cenna. To mi złamało serce. Widok tej figurki, w kawałkach. I nigdy ci tego nie wybaczę.

Mówiłam przez gardło ściśnięte od wstrzymywanych łez. Odkąd Harcourt poinformowała mnie, że ptaszek mamy został wciągnięty przez odkurzacz, spychałam te myśli na bok, wypierałam je – jednak teraz fala emocji kompletnie mnie zalała. Czułam się, jakbym próbowała oddychać z połamanymi zębami. Ramiona Wrena opadły. Schylił głowę. Oczy spuścił na dłonie. Wyraz twarzy miał napięty i trudny do odczytania.

– Bardzo mi przykro, że straciłaś coś tak dla siebie cennego. Rozumiem, jak się czujesz,

ale nie miałem z tym nic wspólnego. Przysięgam na swoje szerniałe serce.

– Elodie! O Boże, Elodie! On jest chyba w domu! Ruchy, ruchy, ruchy! – Stukot stóp rozniósł się po schodach. Carina nagle pojawiła się u ich szczytu, kurczowo ściskając poręcz. Dyszała schyłona. W końcu podniosła na mnie szeroko otwarte oczy. – Słyszałam jakiś głos. Nic nie zauważyłam, ale chyba... O MÓJ BOŻE! KURWA MAC! – Nagle wyskoczyła w powietrze. Oczy prawie wyskoczyły jej z czaszki, gdy spojrzała w prawo i dostrzegła stojącego tam Wrena.

– Cześć, Carrie – przywitał się płynnie. – Tak, jestem w domu.

Dziewczyna od razu się wyprostowała, usiłując zapanować nad swoim szokiem.

– Powinieneś się wstydzić – stwierdziła. Dłonią przyglądziła przód fioletowych ogrodniczek. – Powiedziałam ci, żebyś trzymał się od niej z dala, a ty ukradłeś jej telefon? Jesteś zdrowo pojebany.

– Jezu, przestań. Mam dość pisków na dzisiaj, dzięki. – Założył ręce i oparł się o ścianę obok drzwi do sypialni. – Za mną długa podróż. Musiałem iść tu pieszo, bo kierowca Ubera nie chciał jechać pod górę. A potem wracam do domu i znajduję w środku dwie złodziejki, skradające się w ciemnościach.

Carina złapała mnie za rękę.

– Masz to, po co tu przyszliśmy? – zapytała.

– Tak – odpowiedziałam krótko.

– No to zmywamy się stąd.

– Elodie, zaczekaj. – Wren odepchnął się od ściany. Wyciągnął w moją stronę książkę o kasztanowej okładce. Była oprawiona w skórę, z pozłocanymi brzegami. – Proszę, weź ją. Chcę, żebyś ją miała.

– Nie rób tego – ostrzegła przyjaciółka. – Pamiętasz Persefonę? Przyjęła owoc granatu od Hadesa i skazała się na resztę życia w jebanych zaświatach.

– Doceniam porównanie – Wren uśmiechnął się szelmowsko – ale trochę dramatyzujesz. To tylko książka, nie ma w tym nic magicznego. Albo raczej... jest magiczna w dokładnie ten sam sposób, w jaki wszystkie książki są magiczne. Na pewno nie skaże jej jednak na piekło.

– Elodie... – Carina ciągnęła mnie za rękę, chcąc wyjść na zewnątrz.

Tylko skończona idiotka z brakiem jakiegokolwiek instynktu samozachowawczego przyjęłaby prezent od Wrena Jacobiego. Wiedziałam o tym. Więc dlaczego wyciągnęłam dłoń i wzięłam od niego tę książkę? Dlaczego nie mogłam przerwać kontaktu wzrokowego, gdy Carina prowadziła mnie w dół schodów?

ELODIE

Minał tydzień. Potem następy. Chodziłam na zajęcia. Czytałam książkę od Wrena. Pod pościelą, z latarką, jakby ktoś zaraz miał wtargnąć do pokoju i przyłapać mnie na robieniu czegoś niewłaściwego. Gdy skończyłam, przeczytałam ją raz jeszcze. Spędzałam też czas z Cariną i Pres.

Lokatorzy Riot House nie zwracali na mnie żadnej uwagi. Inaczej: Pax i Dash dalej żyli, jakbym nie istniała, a Wren celowo mnie ignorował, gdy tylko nadarzyła się ku temu okazja. Na lekcji francuskiego jakimś cudem zwolniło się miejsce w pierwszym rzędzie. Doktor Fitzpatrick nie zmuszał mnie już do uczestnictwa w żadnych żenujących zabawach w czasie angielskiego. Wren nadal leżał rozwalony na kanapie, ze swoim zwyczajowym poziomem znużenia na twarzy, ale wszelkie ironiczne komentarze zachowywał dla siebie.

Gdybym nie znała go lepiej, uznałabym, że starał się dobrze zachowywać.

Wszystko się zmieniło w czwartek popołudniu, gdy do nory doktora Fitzpatricka wkroczyła wysoka, smukła dziewczyna o gęstych czarnych włosach. Pax przeklął tak głośno i niespodziewanie, że Angelica, nieśmiała uczennica z warkoczami, złamała w połowie trzymaną plastikową linijkę.

– Co, do kurwy? – jęknęła siedząca obok mnie Carina – To musi być jakiś chory żart.

– Witam, Fitz – ogłosiła dumnie nowoprzybyła brunetka.

Dygnęła przed nauczycielem, którego szczęka obecnie znajdowała się na podłodze.

– Mercy? Czym sobie zasłużyliśmy na taką wspaniałą niespodziankę? – Jego usta wykrzywiły się w uprzejmym uśmiechu, ale oczy krzyczały: „Dobry Boże, tylko nie to!”. – Nie miałem pojęcia, że wpadniesz dzisiaj w odwiedziny. Bo rozumiem, że dlatego pofatygowałaś się tu z tak daleka? Żeby zobaczyć, jak sobie radzi twój brat?

– No co ty, głuptasie. – Pacnęła go lekko w ramię w ostentacyjnie flirciarski sposób. – Znowu się tu przeniosłam! Szwajcaria była piękna, ale trochę za zimna. O tej porze roku klimat New Hampshire w porównaniu z tym krajem jest wręcz tropikalny.

Patrzyłam na tę nową, ale starą uczennicę i nie mogłam pozbyć się wrażenia, że każda osoba obecna na sali odchyłała się od niej. Też to robiłam, a nawet nie wiedziałam dlaczego.

– Yyy... Co się dzieje? – wyszeptalam ukradkiem.

– To Mercy – wyjaśniła Carina, wywracając oczami. – Uczyła się tu do zeszłego czerwca. Postanowiła wyjechać do Europy, bo Ameryka była dla niej zbyt „nieokrzesa”. Nikomu nie było przykro. Najmniej Wrenowi.

– Wrenowi? Dlaczego? Czy on... czy oni...?

– Fuuuuj, nie! – Kopnęła mnie prosto w kostkę, co zabolalo jak cholera. – Opanuj się. To jego siostra.

Jego siostra? Co? Jakoś nikt wcześniej nawet nie zająknął się o istnieniu drugiej osoby noszącej nazwisko „Jacobi” i dzielącej z Wrenem te same diaboliczne geny.

– Są bliźniakami – dodała.

Ho, ho, ho. Coraz lepiej.

– Wren jest o osiem godzin starszy od Mercy. Rodzice zamierzali nazwać ją Helena, ale zmienili zdanie, gdy pani Jacobi zaczęła krzyczeć: „*Mercy!*”, w czasie porodu, błagając tym samym o litość – kontynuowała opowieść. – Potem rozchorowała się tak bardzo, że musiała

wyjechać na pół roku, by dojść do zdrowia. Ich ojciec zatrudnił nianię, która miała się nimi zajmować. Gdy mieli po trzy lata, pani Jacobi umarła. Podobno nigdy nie odzyskała sił po porodzie i z dnia na dzień zniknęła, aż nic z niej nie zostało. Z tego co mówią, była okropną matką.

Od dawna miałam głowę pełną pytań na temat Wrena. Wiedziałam o nim tak mało, ale nie chciałam zamęczać tym Cariny. Zwłaszcza po incydencie z telefonem. Wypatroszyłyby mnie za bycie taką idiotką. Mimo to z jakiegoś powodu czułam, że tę rzecz akurat powinnam wiedzieć. Powinnam wiedzieć, że gdzieś po świecie chodziła inna jego część.

Mercy odwróciła się w stronę klasy z szerokim uśmiechem. Oparłam się o kanapę, zszokowana uderzającym podobieństwem. Jej rysy były bardziej dystyngowane i subtelne, ale kształt twarzy mieli ten sam. Ten sam podbródek. Te same oczy, choć zieleń tych należących do Mercy nawet nie zbliżała się do intensywności koloru tęczówek Wrena. Dostrzegła go i pomachała. Wren, siedzący tam, gdzie zawsze, patrzył na wskroś niej, jakby wcale tam nie stała.

– Tak jak mówiłam, kiedyś byli blisko, ale już nie są – dokończyła szeptem Carina.

– W porządku, w takim razie wybierz sobie miejsce, panno Jacobi – powiedział doktor Fitzpatrick z napiętym uśmiechem.

Mercy nonszalancko podeszła do skórzanej kanapy, po czym usadowiła się u stóp brata. Palnęła go w buty, dając w ten sposób znak, że ma jej zrobić więcej miejsca. Na twarzy Wrena malowało się czyste obrzydzenie. Wstał i, milczący jak grób, ruszył do wyjścia. Po raz pierwszy od dwóch tygodni nasze oczy się spotkały – tuż przed tym, jak zniknął za drzwiami.

– Wren! Wren, te zajęcia są obowiązkowe! – krzyknął za nim nauczyciel.

Niepotrzebnie strzępił sobie język. Już go nie było.

Gdy następnego wieczoru wróciłam do pokoju po kolacji, otworzyłam drzwi, a coś wzbilo się nagle w powietrze, wirując przed moją twarzą. Wrzasnęłam w dość żalonym pokazie paniki. Założyłam, że miałam do czynienia z nietoperzem, ale szybko zdałam sobie sprawę z pomyłki. Do moich stóp powoli opadło gęste, eleganckie piórko.

Było w kolorze głębokiej czerni, ale gdy je podniosłam i przybliżyłam do twarzy, by móc lepiej mu się przyjrzeć, od powierzchni odbiło się światło, ujawniając metaliczne, niebiesko-zielone tony. Było przepiękne. Odchodzące od grubej stosiny promienie nie miały żadnych wad, układając się idealnie po każdej z jej stron.

Pióra generalnie były niezwykle. Tak powszechne i pospolite, że często nawet ich nie zauważaliśmy, gdy wystawały z poduszek, falowały w delikatnym powiewie wiatru czy kręciły się po powierzchni leniwie płynącej rzeki, złapane w jej wir. Tymczasem to prawdziwe dzieła sztuki, perfekcyjnie skonstruowane. A to piórko, które ktoś musiał wsunąć pod drzwiami, było absolutnie przepiękne.

Stanowiło też wiadomość. Niektórzy faceci podrzucali dziewczynom karteczki. Inni po prostu wysyłali SMS-a i mieli całą sprawę z głowy. Chłopak, który był odpowiedzialny za moje znalezisko, należał do fanów bardziej subtelnych form komunikacji. Zaczęło się od kodu Morse'a w czasie burzy, ale najwidoczniej i to było już dla niego zbyt oczywiste.

Co chciał w ten sposób przekazać? Jedyne, co mi przychodziło do głowy, to: „Pamiętasz o mnie jeszcze? Istnieję”. Wszystko, co wiedziałam, to że Wren był na czwartym piętrze zarezerwowanego dla dziewczyn skrzydła. I stał przed moimi drzwiami.

– Hej, jesteś już gotowa? – Carina pojawiła się nagle na korytarzu.

Stała na korytarzu z zawadiackim uśmieszkiem na twarzy. Sprawy między nią

a sobowtórem Andego Samberga nabierały tempa. Miałyśmy spotkać się z nim przed kinem The Vista, żeby obejrzeć razem film. Jakies science fiction o robotach przejmujących kontrolę nad światem. Powoli schowałam piórko za plecami.

– Wiesz co, chyba zaczyna mi się migrena. Nie wiem, czy siedzenie przed wielkim, jasno oświetlonym ekranem to teraz dobry pomysł.

– O nie! – Wydeła dolną wargę. Mimo to oczy jej lśniły.

Umówiliśmy się na oglądanie tego filmu jeszcze zanim Andre zaprosił ją na randkę, więc z zażenowaniem zapytała, czy mógłby zabrać się z nami. Nie miałam nic przeciwko zmianie planów, ale dziewczyna nawet nie chciała słyszeć o tym, żebym została w akademii, a ja nie chciałam wyjść na durną kwokę i tak po prostu odmówić wyjścia z nimi. Ta wymówka była najlepszym możliwym rozwiązaniem. Nikt normalny nie chciałby robić za piąte koło u wozu w pieprzonym kinie. Poza tym Carina wyglądała na sekretnie zadowoloną. Na jej miejscu czułabym się tak samo.

– Na pewno nie mówisz tak tylko po to, żebym mogła zostać sama z tym typem?

„Z tym typem”. Powiedziała to z takim uczuciem, z tak beztróskim błyskiem w oku. Usiłowała ukryć podekscytowanie, ale nieszczęśliwie jej się udało.

– Na pewno. Gdy mam migrenę, zwijam się w kulkę pod kołdrą i śpię. Tylko ten sposób na mnie działa. Jeśli spróbuję gdzieś wyjść, pewnie wszystko zarzygam. Ale zjrzyj do mnie, jak wrócisz, okej? Chcę o wszystkim usłyszeć.

– A co, jeśli nie wrócę? – Zagryzła łobuzersko dolną wargę.

– Carina! Zamierzasz się z nim przespać?

Pisnęła jak pięciolatka, robiąc unik, gdy spróbowałam pacnąć ją w ramię.

– Nie wiem! Może? Na wszelki wypadek postarałam się o zgodę na nocowanie poza akademią. Czy to znaczy, że się nie szanuję?

– Nie! Oczywiście, że nie – zaprotestowałam gwałtownie. – Jeśli jest w porządku, traktuje cię tak, jak powinien, a ty czujesz się gotowa na taki krok, to czemu, do cholery, nie?

Wyszczrzyła się od ucha do ucha, wyraźnie spokojniejsza.

– Jest naprawdę słodki. Muszę wszystko inicjować, bo taki z niego gentleman. Szczerze to wołałabym, żeby po prostu przyparł mnie do ściany i przerznął.

– Carina!

Wybuchła śmiechem. Jej wyraz twarzy nagle drastycznie się zmienił, gdy jej wzrok padł na trzymane w mojej dłoni piórko...

Achhh, kurwa.

Zapomniałam o moim „liściku” od Wrena. W czasie rozmowy z roztargnieniem obracałam je między palcami, przyciskając końcówkę dudki do opuszki kciuka.

– Ale ładne – skomentowała, biorąc je ode mnie. Podniosła piórko tak, by padało na nie światło. – Wow, naprawdę piękne. Skąd je masz?

– A wiesz, leżało na trawniku – skłamałam.

I było to... takie łatwe. Nie lubiłam kłamać, ale powiedzenie jej prawdy nie wchodziło w grę. Zupełnie by jej odbiło, gdyby się dowiedziała, że Wren tutaj był. Odwołałaby randkę i spędziła resztę nocy, usiłując mnie przekonać do zgłoszenia Wrena za zakradnięcie się na piętro dziewczyn. I choć to wtargnięcie było najmniejszym z jego przewinień, Carina uchwyciłaby się go całą sobą, gdyby tylko było szansą na wydalenie go z akademii.

– Nigdy takiego nie widziałam. Jest idealne – stwierdziła, oddając je.

– Tak. Jest idealne – potwierdziłam.

– Powinnaś je zatrzymać. Wykorzystać do czegoś ślicznego. Wiem, jak zrobić z niego spinkę do włosów, mogę ci potem pokazać.

– Jasne, byłoby fajnie.

Zaklasnęła, po czym nabrała powietrza.

– Okej. Idę. Życz mi powodzenia! Może będę miała dla ciebie ciekawe historie.

Poczekalam, aż zniknie za zakrętem, po czym wyciągnęłam telefon i napisałam wiadomość.

Ja: Jest piękne, ale go nie zatrzymam.

Trzy kropki niemal od razu zatańczyły na ekranie.

Wren: Kłamczucha.

Ja: Musisz przestać.

Wren: Po co piszesz coś, czego tak naprawdę nie chcesz?

Ja: O czym tym, do cholery, mówisz?

Wren: Mówisz, że muszę przestać. Ale nie chcesz, żebym przestał. Wręcz przeciwnie.

Ten gnojek sprawiał, że miałam ochotę zacząć wrzeszczeć.

Ja: Nie wiesz tego. Nie masz pojęcia, co się dzieje w mojej głowie.

Wren: Wiem, że jest piątek wieczór, a ty nigdzie się nie wybierasz.

Ja: Nieprawda. Wychodzę z Cariną.

Wren: To ciekawe. Dopiero co ją widziałem za kierownicą jej gównianego autka. Nie siedziałaś obok.

Ja: Stalker!

Wren: Po prostu jestem spostrzegawczy, Malutka Eli. Nie możesz mnie za to pozwać. Zostałaś, bo chcesz się ze mną zobaczyć.

Ja: Ale jesteś zadufany w sobie.

Wren: Szczerłość potrafi wyglądać jak arogancja dla niewprawnego oka.

Ja: Boże, po prostu przestań!

Wren: Spotkaj się ze mną.

Ja: NIE.

Wren: Daj mi godzinę. Jeśli nie przyjdiesz, sam cię odwiedzę. Wtedy zobaczysz, jakim stalkerem potrafię być.

Ja: JESTEŚ CHORY! Nie waż się wchodzić do mojego pokoju.

Krew dosłownie wrzała mi w żyłach. Ten koleś nie miał żadnych skrupułów.

Wren: Może to zrobię, a może nie. Lepiej nie ryzykować.

Ja: Naprawdę myślisz, że moja stopa znowu przestąpi próg tego domu? Gdzie wasza trójka będzie mogła zrobić ze mną, co wam się żywnie zamarzy?

Tym razem trzy kropki pojawiły się dopiero po minucie. Stałam przy oknie, obserwowałam zakradający się w stronę akademii zmierzch i kwestionowałam własną poczytalność. Dlaczego tak bardzo chciałam, żeby odpisał? Jak mogłam być tak głupia?

Wren: Pax i Dashiell nigdy by cię nie tknęli. Wiedzą, czym by się to skończyło. Ale jak wolisz. Jeśli nie chcesz tu przyjść, ja przyjdę do ciebie. Spotkaj się ze mną na strychu, punkt 20:00.

Strych? Wiedział o tym miejscu? Chryste, czy już w żadnej części Wolf Hall nie mogłam czuć się bezpiecznie?

Ja: NIE, WREN.

Nie odpowiedział.

Ja: Nie zamierzam się z tobą spotkać, Jacobi. Nie chcę umrzeć.

Wpatrywałam się w leżący w dłoni telefon, dopóki nie zgasł ekran.

ELODIE

– Powiedziałam mu, że go nie kocham, ale on po prostu nie potrafi się odczepić. Nie wiem już, co robić. Chodzi za mną jak jakieś zagubione szczenię, które właśnie kopnęłam. Gdyby nie te wyrzuty sumienia, byłabym na niego wkurwiona. A teraz nawet Levi się za nim wstawia. Przestań się śmiać, Elodie! To nie jest zabawne!

Jezu, jak ja tęskniłam za głosem Ayali. Miała piękny, silny akcent. Jej rodzice pochodzili z Dubaju, ale wychowała się w Hiszpanii. Gdy chodziła do przedszkola, mówiła po hiszpańsku i po arabsku, a gdy skończyła osiem lat, znała też francuski oraz niemiecki.

– Biedny David – jęknęłam. – Od tak dawna ma obsesję na twoim punkcie. Musiał się czuć, jakby wygrał w totka, gdy zgodziłaś się pójść z nim na randkę. A potem tak po prostu zmiażdżyłaś wszystkie jego marzenia obcasem swoich szpilek. Jakie to... jakie to smutne, Ayala – drażniłam się. – Może powinnaś dać mu szansę?

– Boże, nawet nie zaczynaj. Jesteście moimi przyjaciółmi. Moimi! – podkreśliła. – Powinniście być po mojej stronie!

Leżałam na łóżku i wpatrywałam się w sufit. Bardzo się starałam nie myśleć o tym, co znajdowało się piętro wyżej. Strych nie był położony bezpośrednio nad moim pokojem. Przez ostatnie osiemdziesiąt minut udało mi się wydedukować, że musiał przebiegać nad schodami prowadzącymi na czwarte piętro, ale nie byłam w stu procentach pewna. Niezależnie od tego, gdzie rzeczywiście się znajdował pod względem geografii, architektury czy czegokolwiek innego, czułam się, jakby wisiał tuż nad moją głową. Jakby Wren już tam był i czekał na mnie w ciemnościach. *Jak na cierpliwego drapieżnika przystało.*

– Jestem po twojej stronie – zapewniłam. – Po prostu on jest taki uroczy.

– A kiedy ostatnio zmiękły ci kolana przez „uroczego” chłopaka, hm? – odcięła się Ayala. – Znam cię, Elodie. W sprawach damsko-męskich jesteśmy wiernymi kopiami. Może i wydaje nam się, że chcemy kogoś miłego, kto będzie o nas dbał, ale gdy tylko staje się to rzeczywistością, uciekamy gdzie pieprz rośnie. Obie jesteśmy tak samo popieprzone. Lubimy, gdy nasi chłopcy są zadziorni i niepokorni. Bez tego po prostu nie ma chemii.

Cała się zarumieniłam.

– Ja nie lubię bad boyów, Al. Wcale. Dlaczego miałabym to sobie robić?

W słuchawce rozbrzmiał wyjątkowo głośny śmiech.

– Chyba sobie żartujesz? A co z Michaeliem? Typem, z którym straciłaś dziewictwo? Czcił cię niczym boginię, a ty z nim zerwałaś bo, cytuję, „gdy się klóciliśmy, nie potrafił walczyć o swoje”.

– To dobry powód – zaprotestowałam. – Kto normalny się nie broni, gdy jego dziewczynie kompletnie odbija?

– Więc ci odbijało?

– Tak! Non stop! A Michael po prostu tam siedział i wszystko przyjmował na siebie. Czyli był jeszcze bardziej stuknięty ode mnie! Nie zamierzam się umawiać z takimi psychopatami! – Okej, sama słyszałam, jak to brzmiało, ale nie zamierzałam się wycofywać. To, że chciałam partnera z własnym zdaniem, nie oznaczało jeszcze, że leciałam na pieprzonych bad boyów. Ayala całkowicie się myliła.

– W porządku – ustąpiła ze śmiechem. – I tak muszę się zmywać. Jest czwarta trzydzieści

nad ranem, a ja muszę jeszcze wypić jakieś trzy litry wody, żeby nie skończyć z kacem. Strasznie za tobą tęsknimy, wiesz? Tak się cieszę, że żyjesz.

– Dzięki. Też się cieszę, że żyjesz.

– Wiesz, o co mi chodzi. Twój tata jest takim dupkiem, Elodie. Poważnie. Gdybym się nie bała karmy, życzyłabym mu czegoś naprawdę okropnego. Jak, nie wiem, dwóch złamanych nóg. Albo żeby w czasie szkolenia padł ofiarą jakiegoś strasznego wypadku, w konsekwencji którego bomba rozerwałaby mu jaja.

– Wolalabym nie rozmawiać o genitaliach swojego ojca, ale tak, złamane nogi brzmią dobrze. Będę mu tego życzyć za nas dwie i wezmę na siebie całą złą karmę, co ty na to?

– Super. Śpij dobrze. Odwiedź nas niedługo.

– To wy tu przyjedźcie!

Nie było mowy, żeby pułkownik Stillwater pozwolił mi w najbliższej przyszłości na wakacje w Izraelu. Co innego, gdybym mogła sprawić, żeby się o niczym nie dowiedział – ale to było niemożliwe. Już w momencie wyjazdu z Mountain Lakes została by o wszystkim zawiadomiony. A potem by mnie zabił.

– Okej, okej – zgodziła się. Nawet przez telefon słyszałam jej szeroki, zaraźliwy uśmiech.
– Jak coś to dzwoń, Elodie.

– Wiem.

Po drugiej stronie zapadła martwa cisza. Leżałam jeszcze przez minutę. Wpatrywałam się przed siebie, czując ucisk słuchawek w uszach. Nie byłam gotowa, by je wyciągnąć i przyznać, że połączenie już się zakończyło. Od dłuższego czasu było ciemno. Lampka przy łóżku rzucała na sufit rozmytą aureolę pomarańczowego światła, pokrzywioną i rozciągniętą na nierównej powierzchni.

Nie sprawdzę, która godzina.

Nie sprawdzę, która godzina.

Nie zrobię tego.

Gdzieś na piętrze z trzaskiem zamknęły się drzwi. Piskliwe kobiece głosy rozniosły się po korytarzu. Część z moich koleżanek właśnie gdzieś razem wychodziła. Zamknęłam oczy. Wierciłam się na materacu, który wciąż był zbyt nowy w dotyku, zbyt twardy.

Tylko rzuć okiem.

Co za różnica?

Sama świadomość, która jest godzina, nie spowoduje jeszcze końca świata, głupia dziewczyno.

Otwórz te jebane oczy, na litość boską!

Ustałam, choć wcale nie chciałam. Zegar w prawym górnym rogu ekranu komórki wskazywał 19:49. Jedenaście minut do ósmej. Wren pewnie właśnie szedł podjazdem do akademii, gdy tak sobie tutaj sama leżałam, jak jakaś beznadziejna durna frajerka bez przyjaciół. Wstałam. Udawałam sama przed sobą, że zrobiłam to tylko po to, żeby się przeciągnąć. Sama widziałam idiotyzm tej sytuacji, więc zbesztalam się w środku najsurowszym głosem ojca. Dobrze wiedziałam, że tak naprawdę wstałam po to, by móc wyrzeć przez okno. Przekonywanie samej siebie, że było inaczej, zupełnie mijało się z celem.

Gdy zdałam sobie sprawę, że z mojego pokoju nie było widoku na podjazd, ogarnęła mnie frustracja. Jedyne, co mogłam dostrzec, to labirynt i spory obszar trawnika, rozciągający się od wschodniego skrzydła domu. Oznaczało to, że nie byłam w stanie zobaczyć, czy Wren był już w drodze, czy też nie.

Nie przyjdzie. Testuje cię. Chce sprawdzić, czy skoczysz w ogień, jeśli ci rozkaże. Nie pójdziesz na ten strych, Elodie Stillwater.

Dlaczego w kółko to sobie powtarzałam? Przecież wiedziałam, że tam nie pójdę. Miałam jeszcze trochę szacunku do siebie.

Zegar wskazał 19:53.

Gdybym miała laptopa, mogłabym teraz oglądać powtórki *The Office*. Mogłam też po prostu odrobić zadanie domowe. Albo spędzić pięć godzin, wsiąkając w najgłębsze zakamarki YouTube'a, oglądając filmiki o schroniskowych pieskach, które znalazły swoje wymarzone domy, edity z Adamem Driverem albo z Timothée Chalamelem i tysiąc pięćset zwiastunów filmów, których miałam nigdy nie obejrzeć.

Rzuciłam się z powrotem na łóżko, zamknęłam oczy i ułożyłam dłonie na brzuchu.

– Co za żenada – jęknęłam.

Wrrrrrrrrrrrr. Wrrrrrrrrrrrr. Wrrrrrrrrrrrr.

Silne wibracje rozeszły się wzdłuż żeber. Tak się przestraszyłam, że prawie upuściłam trzymany w rękach telefon. W uszach zadudnił puls. Szybko sprawdziłam, kto napisał.

WREN: Nie zawieźdź mnie.

I tyle. Tyle wystarczyło. Nagle ogarnął mnie szal. Za kogo on się, do kurwy nędzy, miał? „Nie zawieźdź mnie”? Poważnie? Nie był moim ojcem. Właściwie to nikim dla mnie nie był. Nic mu nie byłam winna, a już na pewno nie musiałam się zamartwiać uszczęśliwianiem go. *Niech mnie pocałuje w dupę.*

Wyskoczyłam z łóżka. Złapałam zwisającą z drzwi bluzę z kapturem i ze złością włożyłam ręce w rękawy, po czym wyleciałam z pokoju, by pobiec wzdłuż korytarza, w stronę schowka przy łazienkach. Przez cały czas mamrotałam pod nosem jak skończona wariatka. Miałam głęboko w poważaniu, czy ktoś usłyszy barwną wiązanekę niezwykle kreatywnych wulgaryzmów, które nieustannie opuszczały moje usta.

W środku śmierdziało wybielaczem i stęchlizną. Oddychając przez usta, przewróciłam do góry nogami metalowe wiadro od mopa. Stałam na nim, żeby mieć jakiegokolwiek szansę na sięgnięcie do tajemnego przejścia. Że też musiałam być taka niska. Bez Cariny, która mnie ostatnio podsadziła, dopiero po trzech nieudanych próbach udało mi się skoczyć na tyle wysoko, by być w stanie się podciągnąć. W pośpiechu, by jak najszybciej wypełznąć na powierzchnię, otarłam kłykcie i zadrapałam plecy. Nie miało to oczywiście nic wspólnego z moją klaustrofobią. Skąd. Tym razem chodziło wyłącznie o podnoszącą mi ciśnienie furję.

Gdy w końcu znalazłam się po drugiej stronie, sapałam, wypluwałam pył i klęłam jak szewc. Z głuchym odgłosem wylądowałam tyłkiem na deskach podłogowych strychu. *Wejście pełne gracji.*

– Wow. Zupełnie jakbym właśnie był świadkiem chwili, gdy w pełni rozwinięty i w pełni ubrany człowiek wypełza z kanału rodnego.

Głos, który doszedł do mnie z drugiego końca pomieszczenia, nie brzmiał, jakby jego właściciel był pod wrażeniem cudu narodzin. Raczej jakby go obrzydzał. Usiadłam prosto, wymachując rękawami bluzy i wzbijając tuman kurzu, przez który się rozkaszałam.

– Pierdol... się... Jacobi... – wydusiłam z trudem.

Nagle przed moją twarzą zmaterializowała się szklanka z wodą. Szklanka. Prawdziwa szklanka. Kryształowa, z wrytym ślicznym kwiatkiem. Jakim cudem znalazł tutaj coś takiego? Zaskoczona podniosłam wzrok. Byłam gotowa go poinformować, że nie zamierzałam pić z naczynia, które przeleżało ostatnie trzy dekady w skrzyni – ale wtedy dostrzegłam na podłodze masę bardzo nowych i bardzo luksusowo wyglądających koców i koszyk, i wino, i jakieś setki świeczek rozmieszczonych na każdej możliwej powierzchni. Ich płomienie igrały wesoło, pracując pilnie, by rozproszyć ciemność. Słowa uwięzły mi w gardle.

– Co to... do cholery... – wydukałam.

W końcu spojrzałam na Wrena i zamilkłam na dobre. Dobry Boże, wyglądał niesamowicie. Perfekcyjnie zaaranżowany chaos na głowie, a do tego wpadające do oczu kosmyki włosów. Czarna koszula zapinana na guziki. Jeden u samej góry, rozpięty. Podwinęte rękawy, dzięki którym mogłam zobaczyć umięśnione przedramiona. Spłowiałe, postrzępione u dołu jeansy o zapachu proszku do prania. Wiedziałam, bo stał tak blisko mnie, że jego kolano miałam tuż przed twarzą. Nie żebym wahała mu kolano. To byłoby dziwne.

Wren spoglądał w dół, prosto na mnie. Usta wykrzywiły mu się w uśmiešku. Po całej klatce piersiowej rozszedł mi się nieznośny ból, aż po gardło. Nie mogłam, kurwa, oddychać.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – dokończył za mnie zdanie. – Tak właśnie wygląda piątkowa randka na strychu. Nie patrz tak na mnie. Nie przyniosłem ze sobą broni.

– Żałuję, że ja też – warknęłam. – Zupełnie cię pojebało. Wiesz o tym, prawda? To spotkanie nie jest randką.

Odwrócił się do mnie plecami, podniósł szklankę do ust i opróżnił zawartość. Zmusiłam oczy, by skupiły się na podłodze, zupełnie zażenowana tym, że wcale nie chciałam przestać na niego patrzeć. Podeszedł do przygotowanej przez siebie aranżacji i usadowił się wśród koców. Spojrzał w moją stronę, bawiąc się szklanką.

– To jak ty byś je nazwała? – zapytał. – Może... negocjacje wojenne? Chcesz wszcząć ze mną wojnę, Malutka Eli?

– Chcę tylko, żebyś zostawił mnie w spokoju. Czy to tak dużo?

Wypuścił powietrze nosem. Wzrokiem lustrował zagracone otoczenie.

– Tak naprawdę tego nie chcesz – stwierdził. Tak po prostu. Nagi, niemożliwy do zaprzeczenia fakt. – Całymi dniami rozmyślasz o moich ustach na swoich. Niemal widzę przemykające ci przed oczami sceny. Bardzo zajmujące. Wyobrażasz sobie, jakby to było, utknąć ze mną w ciemnym pomieszczeniu. Mój oddech okalający twoje ucho. Mój pot na twoim języku. Mój kutas ocierający się o twoją cipkę. Ledwie udaje ci się usiedzieć w miejscu. Czasami zatracasz się do tego stopnia, że puszczasz wodze fantazji i zastanawiasz się, jakby to było naprawdę poczuć mnie w sobie. Siedzisz tak nieruchomo, śliczna Elodie. Tak nieruchomo. Nawet mięsień ci nie drgnie. Patrzysz prosto przed siebie, czasem wręcz wstrzymujesz oddech. Ale ja widzę te ciasno zaciśnięte piąstki. Serce bije ci tak szybko, że mogę dostrzec jego uderzenia w zagłębieniu szyi. To drżenie powiek. Ta pełna wstydu czerwień, która napełnia ci policzki, gdy w twojej główce właśnie oboje doszliśmy. – Podniósł butelkę z winem, wyciągnął korek, a następnie przyłożył ją sobie do ust. – Nigdy nie widziałem czegoś równie rozpraszającego, podniecającego i rozdrażniającego jednocześnie. A sporo już w życiu widziałem. – Zaczął pić. Tak samo łączywie, jak przed chwilą wodę.

Tym razem zmusiłam się do utrzymania kontaktu wzrokowego. Przełknął raz, dwa, trzy razy. Gdy postawił butelkę na podłodze, podniosłam się i powoli do niego podeszłam.

– Wiesz co? – zapytałam szeptem.

– Co? – wyszeptał w odpowiedzi.

– Chciałabym móc rozbić tę butelkę na twojej pierdolonej głowie, Jacobi.

– Co cię powstrzymuje? – odparował. Zbyt szybko. Musiał wiedzieć również o tym, że to sobie wyobrażałam.

– To, że nie jestem wariatką. Nie atakuję ludzi tylko dlatego, że tego chcę. Nie jestem niewolnikiem swoich impulsów.

– Szkoda. – Odchylił głowę i spojrzał na mnie z dołu z tą swoją leniwą pewnością siebie. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę się rozplakać. – Gdybyś była, moglibyśmy darować sobie to całe gówno i po prostu się przetrząnąć.

Uniosłam wargę w odrazie.

– Tylko o to ci chodzi? Chcesz mnie przetrząść? Gdybym ci uległa, wtedy znudziłbyś się w końcu i przeszedł do nowej ofiary?

– Nie – powiedział. Nie było w tym ani zaskoczenia, ani potępienia. – Nigdy z tobą nie skończę. A ty nigdy mi się nie oddasz tylko po to, żebym zostawił cię w spokoju, aniołku.

– Nie nazywaj mnie tak. Nie jestem aniołkiem.

– I to lubię w tobie najbardziej – zaśmiał się. – Kiedy ostatnio szczepiłaś się na tęzec?

– Co?

Wskazał na mnie butelką wina. Konkretnie na moje stopy.

– Zapomniałaś butów, Stillwater. Naprawdę się starałem, ale nadal nie jest tu czysto. Poza tym dłoń ci krwawi.

Spojrzałam w dół, zszokowana widokiem własnych nagich stóp. Serio zapomniałam i o butach, i o skarpetkach? Samo przedzieranie się przez to przejście mogło mnie zupełnie poharatać. Ja pierdolę, co ja sobie myślałam?

Że chcesz udusić tego zadufanego w sobie dupka, który właśnie siedzi przed tobą na stercie koców. To sobie myślałaś.

Chryste. Byłam w takim pośpiechu, chcąc tu przyjść i ustawić go do pionu, że całkowicie straciłam głowę. Kłykcie zapulsowały od bólu, gdy zacisnęłam dłoń w pięść, żeby ocenić poniesione szkody. Mogło być gorzej. Rozcięcie nie było zbyt głębokie, ale zdecydowanie krwawiło. Naciągnęłam rękaw bluzy, przykrywając nim ranę.

– To nic – mruknęłam. – Zaraz przestanie.

Strofował mnie wzrokiem.

– Siadaj, Elodie.

– Nie mam zamiaru – fuknęłam. – Przyszłam tu tylko po to, żeby zapytać, za kogo ty się, do kurwy nędzy, masz.

– Gdy ci odpowiem, wpełzniesz znowu do tej dziury i wrócisz na dół?

– Tak. Dokładnie.

– Dokładnie. Okej. Więc mam się za jedyne go faceta w tej dziurze, który cię zainteresował. Mam się za jedyne go faceta, o którym nie możesz przestać myśleć. Mam się też za jedyne go faceta, który kiedykolwiek sprawił, że serce biło ci tak mocno. Mylę się?

– Tak. – Zmrużyłam oczy.

Raz jeszcze wskazał na mnie butelką.

– Jesteś kompletnie niezdolna do mówienia prawdy. To dość smutne.

– Mówię prawdę.

– W porządku. Więc zaprzecz moim słowom. Udowodnij, że się mylę. Powiedz, że o mnie nie myślisz. Że nie nachodzę cię dniami i nocami, tak jak ty mnie. Widzisz, ja nie mam żadnego problemu ze szczerością. Już dawno pogodziłem się z tym, że prawda zawsze wyjdzie na jaw, a kłamstwo jedynie upokarza kłamiącego. Otaczasz mnie z każdej strony i nienawidzę tego. Gdy się budzę, jesteś w mojej głowie. Gdy chodzę po tym godnym pożałowania miejscu, jesteś w mojej głowie. Gdy kładę się spać, wciąż jesteś w mojej jebanej głowie, nie dając mi spokoju. Więc, śmiało. Kłam dalej, Malutka Eli. Nie krępuj się. Tylko pozwól, że najpierw się nawalę.

Nie spodziewałam się takiego wyznania. Miałam go za zbyt dumnego i aroganckiego, by kiedykolwiek był w stanie przyznać na głos, że miał jakkolwiek słabość. Nie mieściło mi się w głowie, że to ja nią byłam.

Wren wziął kolejnego łyka, po czym rozłożył szeroko ręce, jakby zachęcał mnie do kontynuowania przedstawienia. Był taki pewny siebie. Pewny tego, że mnie znał, że wiedział

dokładnie, co i kiedy zamierzałam powiedzieć. *No to się, kurwa, zdziwi.*

– W porządku. Masz rację. Czuję się, jakbyś mnie przejrzał na wylot. Jakbym nie miała w środku już nic więcej. To chciałeś usłyszeć? Pozwoliłam, by coś zepsutego weszło mi do głowy, a teraz nie mogę się tego pozbyć. Gnije we mnie i z każdym dniem przybliża do szaleństwa. Gratulacje, kurwa. Każdego jebanego dnia przeciwstawiam się zdrowemu rozsądkowi. Każdego jebanego dnia podejmuję głupie decyzje. Wiem, że są głupie, ale nie mogę nic z tym zrobić! To wszystko jest popierdolone!

Gdybym wciąż mieszkała w Tel Awiwie, nic z tego by się nie wydarzyło. Sama obecność pułkownika Stillwatera stłamsiłaby to gównu w zarodku. Nie byłabym na tyle słaba, by pozwolić sobie na tego typu myśli, a Wren... Cóż. Wren najprawdopodobniej już by nie żył. Ojciec zorientowałby się, co planował, i koleś w tajemniczy sposób skończyłby poćwiartowany na kawałki, które następnie by rozrzucono wzdłuż autostrady, zapakowane w czarne worki na śmieci.

Zabębnił palcami o szkło butelki, a potem zmienił pozycję. Teraz leżał na boku w gąszczu koców. Koszula podjechała mu do góry, odsłaniając kilka centymetrów nagiego brzucha, a mnie zakłuło w piersi. Byłam najgorszym rodzajem nałogowca. Zdawałam sobie sprawę z tego, jak źle na mnie działał, a mimo to nie mogłam powstrzymać swoich pragnień. W tamtej altance, w czasie burzy, zakosztowałam go po raz pierwszy. Od tamtej pory nie opuszczało mnie wspomnienie jego klatki piersiowej. Chciałam, żeby ta koszula zniknęła. Chciałam, żeby ta pierdolona koszula zniknęła i nienawidziłam się za to. Gdzie się podziała samokontrola, której nauczył mnie ojciec? Co się stało z moim zdrowym rozsądkiem?

Jak zadowolony kocur wygrzewający się w promieniach słonecznych, Wren przymknął oczy i położył dłoń na środku brzucha.

– I co, bolało? – wyszeptał. – Usiądź, E. Masz do mnie dużo pytań.

– Nie mam do ciebie żadnych pytań. Ja... – *Słodki, kurwa, Jezu. Dlaczego tak trudno było mi z nim rozmawiać szczerze?* Miałam do niego milion pytań, a w dodatku dosłownie umierałam z ciekawości, chcąc poznać odpowiedzi na każde z nich. Wiedziałam jednak, że gdy usiądę na tym kocu, zaproszę do swojego życia problemy, których nie potrzebowałam. – Nawet jeśli mam jakieś pytania, są nieistotne. Cokolwiek na nie odpowiesz, niczego to nie zmieni.

Ogarniała mnie bezsilność. Sytuacja była beznadziejna. Zrobiłabym wszystko, żeby się z niej wydostać, a jednocześnie zrobiłabym wszystko, by w niej się znaleźć.

Był typowym czarnym charakterem. Niczym prawdziwy potwór wylaniał się z ciemności tylko po to, by ranić wszystkich wkoło. Nie mogło z tego wyjść nic dobrego, a mimo to próba walki z moją słabością do Wrena Jacobiego, wydawała się daremna i bezsensowna. Miałam wrażenie, jakbym utraciła wolną wolę. Stałam się więźniem, a ten chłopak nie należał do łaskawych strażników. Planował trzymać mnie w zamknięciu, dopóki mu się nie znudzę, a im dłużej go znałam, tym pewniejsza się stawałam, że niektóre obsesje nigdy go nie opuszczały.

– Co ci szkodzi? – kontynuował przekonywanie. – Ty coś powiesz. Ja coś powiem. Ot, zwykła rozmowa, Elodie. Nic ci się od niej nie stanie.

Zamiast serca miałam kanciasty kamień. Kategorycznie odmawiał bicia, gdy stanęłam na grubym tkanym materiale, a następnie usiadłam. Wren uśmiechnął się sam do siebie, a mnie od razu szlag trafił.

– Nie wiem, czemu się tak szczerzysz. Jeszcze nic nie wygrałeś. Nie spiesz się za bardzo z przypisywaniem sobie punktów, Jacobi.

Moja irytacja odniosła przeciwny skutek: uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie liczę punktów. A jedyną rzeczą, której wygraniem jestem zainteresowany...

– Boże, nie mów tego – przerwałam. – Tylko bardziej cię znienawidzę.

Otworzył oczy, patrząc na mnie z ukosa z delikatnie rozwartymi ustami. Uniósł brwi i już wiedziałam, że planował dokończyć swoje idiotyczne zdanie.

– ...jest twoje zaufanie.

– Gdy miałam sześć lat, nie spałam po nocach, oczekując przybycia Piotrusia Pana. Każdej nocy czekałam, aż wleci przez okno, by zabrać mnie daleko stamtąd. Chciałam dostać skrzydła i piękną sukienkę, żeby móc uciec z nim do Nibylandii. I zgadnij, co się stało? Nic. Dorosłam i zrozumiałam, że czekanie na rzeczy, które nigdy się nie wydarzą, było idiotyczne. Powinieneś zrobić to samo. – Mój głos ociekał ironią do tego stopnia, że sam akt mówienia był dla mnie niekomfortowy. Nigdy z nikim nie rozmawiałam w ten sposób. Nie wiedziałam, jak się z tym czułam.

Wren przewrócił się na bok i podparł głowę na rękę. Miał zmarszczone brwi.

– Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, dlaczego żywisz do mnie tyle urazy, Stillwater? W sensie, zadałaś sobie kiedyś takie pytanie?

– Wiem, dlaczego. Bo jesteś aroganckim szmaciarzem bez sumienia, który zupełnie bezrefleksyjnie terroryzuje mieszkańców akademii.

– Masz jakiś dowód? – zapytał spokojnie. – Widziałaś, że tak jest?

– Czy ty jesteś poważny? Czy ty słyszysz, co mówisz?

Skinął głową.

– Cóż, zastanówmy się. Wrzuciłeś mi do biurka kupę gnijącego mięsa. A przynajmniej śmierdziało jak gnijące mięso, czymkolwiek to było. Zagroziłeś Tomowi, gdy nie chciał mnie zrobić w oddanie ci telefonu. Włamałeś mi się do pokoju...

– Wiesz, że tego nie zrobiłem – przerwał.

– Wiem, że to zrobiłeś – klóciłam się.

Wzruszył ramieniem. Z ust wydobył mu się cichy, gorzki śmiech.

– I co jeszcze wiesz?

– Wiem... wiem, że... że...

Kurwa mać.

– Wiesz, że Carina mnie nie lubi. Jest twoim głównym źródłem informacji na mój temat, prawda? Jest tak zraniona po tym, co zrobił Dashiell, że traktuje naszą trójkę jak jeden twór, który sprawiedliwie obdarza nienawiścią. Coś jeszcze?

– To, że nie byłam świadkiem twoich chujowych działań, nie oznacza jeszcze, że nie jesteś chujem – nie dawałam za wygraną.

– Okej, więc włożyłem do twojego biurka parę żabich nóg. Przynaję, nie było to zbyt miłe. Przepraszam. Przepraszam też, że groziłem Tomowi. Nie zawsze radzę sobie z ludźmi.

– No co ty. To niedomówienie jebanego stulecia.

Przyspilił mnie bardzo poważnym, bardzo zielonym spojrzeniem.

– Skończyłaś?

Ugryzłam się w język i odpowiedziałam równie sympatycznym spojrzeniem.

– Przepraszam, że nie jestem idealny – kontynuował. – Mam pełną świadomość swoich wad. Mogę nad niektórymi popracować, jeśli cię to uszczęśliwi.

Nie mogłam się powstrzymać i parsknęłam śmiechem.

– Bo moje szczęście cokolwiek dla ciebie znaczy.

Wren powoli się podniósł. Siedzieliśmy teraz twarzą w twarz. Emanowała od niego przerażająco intensywna energia.

– Bardzo zależy mi na twoim szczęściu. Bardziej, niż powinno. Co więcej, zależy mi na tym, by być osobiście odpowiedzialnym za twoje szczęście, a wierz mi, to... – potrząsnął głową – ...to jest dla mnie naprawdę dezorientujące odkrycie.

Wyglądał na tak zdumionego obrotem spraw, że mu uwierzyłam.

– To musi być dziwne. Liczyć się z drugim człowiekiem, gdy dotąd nie obchodził cię nikt poza tobą – ciągnęłam dalej swoje ironiczne docinki.

Zęby błysnęły mu w szybkim grymasie. Wyglądał, jakby go coś zabolalo.

– I znowu te założenia. A może zrobimy tak: zawieszysz wyrok na trzy noce. Będziesz tu przychodzić, by się ze mną spotykać. Będziemy rozmawiać, a ty postarasz się naprawdę słyszeć to, co do ciebie mówię. A potem... potem zdecydujesz, czy rzeczywiście jestem antychrystem. Przysięgam na honor mojej rodziny, że wtedy zostawię cię w spokoju. Jeśli tylko będziesz tego chciała.

– Trzy noce? Jeśli potrzebujesz aż trzech nocy, żeby mnie przekonać, że nie jesteś złym człowiekiem, to nie jestem pewna, czy...

– Przestań być taka trudna i po prostu się zgódź – przerwał z jękiem. – Dzisiaj, jutro, a potem w niedzielę. Tyle. Trzy noce. Będę grzeczny.

– I wtedy zobaczę, że nie jesteś potworem i się w tobie zakocham?

– Może – przytaknął. – A może zobaczysz, że naprawdę jestem potworem? I może i tak się we mnie zakochasz?

W CIEMNOŚCIACH...

Kopałam i krzyczałam.

Już dawno temu nauczyłam się, że kopanie i krzyczenie w niczym nie pomagało, ale nie miałam wyboru.

Byłam obłąkanym, uwięzionym zwierzęciem wyjąłym za wolnością.

Wolnością, która miała nigdy nie nadejść.

*– Proszę! Proszę, obiecuję... Obiecuję, że nikomu nie powiem. Nie pisnę ani słówka, przysięgam. Przysięgam, przysięgam, przysięgam. Nikomu nie powiem, co zrobiłeś. PROSZĘ!
WYPUŚĆ MNIE!*

WREN

Zgodziła się na moją propozycję, ale wyglądała przy tym, jakby perspektywa spędzenia ze mną trzech nocy była dla niej tak traumatyczna, że myślała już o mentalnym przygotowaniu do terapii, która miałaby trwać co najmniej dekadę. Kto wie, może był to prawdopodobny scenariusz. Na wypadek gdyby miał się urzeczywistnić, znałem fajnego gościa w Albany z rozsądnymi cenami i byłem gotowy podzielić się tym kontaktem. Tymczasem jednak zamierzałem cieszyć się z godzin, które mi z nią zostały. Siedziała po turecku, przykrywając kocem gołe stopy – musiało jej być bardzo zimno – i patrząc na mnie tak, jakby właśnie mierzyła się z najtrudniejszym doświadczeniem swojego życia.

– Pytaj śmiało – zachęciłem, po czym wróciłem do pozycji na plecach.

Sprawa miała wrażenie beztrudnego, choć zdecydowanie się tak nie czułem. Właściwie to towarzyszyły mi wprost przeciwne emocje. Dużo ryzykowałem. Chciałem być z nią brutalnie szczery. Po to, by móc powiedzieć, że przedstawiłem jej całą prawdę, niczego nie pomijając – co samo w sobie było niebezpieczne. Mogła przecież stwierdzić, że ją obrzydzam i nie chce mieć ze mną do czynienia. W takim wypadku byłbym zmuszony uszanować naszą umowę i zostawić ją w spokoju. Dobrze wiedziałem, jak źle wpłynęłoby na mnie trzymanie się od niej z daleka. Wyniszczyłoby mnie to od środka, ale obietnica była obietnicą. Nie rzucałem słów na wiatr.

– Skąd jesteś? – zapytała możliwie najbardziej beznamiętnym głosem.

Starła się pokazać, jak bardzo ta cała sprawa ją zużyła, i wychodziło jej to zajebiście.

– Urodziłem się w Anglii. Konkretnie w Surrey. Matka była Angielką, ojciec Amerykaninem. Moi krewni mieszkali w Nowym Jorku od czasu jego powstania. Początkowo nazwisko „Jacobi” kojarzyło się wyłącznie z dużą kasą. Byli bankierami i inwestorami. Dziadek postanowił jednak wstąpić do armii, a ojciec zrobił to samo. Oboje pięli się po szczeblach swoich wojskowych karier. Jestem dla nich źródłem nieustannego rozczarowania.

– Bo nie planujesz pójść w ich ślady?

– Skąd. Mógłbym tak zrobić, ale to niczego by nie zmieniło. Widzisz, nie reprezentuję swojego nazwiska tak, jak tego ode mnie oczekiwano. Jestem „nieposłuszny”. – Zaśmiałem się, wypowiadając ostatnie słowo. W głowie rozbrzmiały mi jednocześnie, przepełnione irytacją, głosy ojca i dziadka. – Zawsze sprawdzałem, na ile mogłem sobie pozwolić. Powoli przesuwałem granicę, którą wytyczono, by mnie kontrolować. Nie mogłem się powstrzymać.

– Jeśli nasi ojcowie są choć trochę podobni, nie mogło się to dobrze skończyć.

Potrząsnąłem smutno głową.

– Nieszczęśliwie – przyznałem. – Czyli mówisz, że buntowałaś się przeciwko wszechmocnemu pułkownikowi Stillwaterowi?

– Nie – odpowiedziała sztywno. – Wcześniej zdecydowałam, że nie lubię bólu.

Poczułem ścisk w żołądku, który nie miał szybko minąć.

– Zrobił ci krzywdę?

– Och, proszę cię, nie udawaj zdziwienia – sarknęła zgorzkniale. – Jakby twój ci nic nie robił. To wszystko, na co stać takich mężczyzn. Po prostu dokonaliśmy różnych wyborów. Ty się broniłeś. Ja nie.

Nie wiedziałem, czy jej gniew był spowodowany wyborem tematu rozmowy, czy tym, że zmusiłem ją do siedzenia tutaj ze mną. Tak naprawdę powód nie miał znaczenia. Nie podobał mi

się twardy ton jej głosu. Brzmiała, jakby cierpiała.

– Nie – zaprzeczyłem. – Też nie lubię bólu, Malutka Eli, ale nie mogłem pozwolić, by tego używał do kontrolowania mnie. Nigdy nie powinnaś dawać nikomu nad sobą tego rodzaju władzy. Nieważne, jak bardzo boli.

Wydała z siebie zdławiony, pełen nieszczęścia dźwięk.

– Nie znasz mojego ojca. Nie masz pojęcia, na co go stać.

To też mi się nie podobało. W ogóle. Drzemiąca we mnie bestia obnażyła kły, pomiędzy których wydobyło się niskie, ostrzegawcze warknięcie. Wpadała w szal na samą myśl, że dorosły mężczyzna mógłby zranić własną córkę. Domagała się szczegółowych informacji, by móc wymierzyć karę wprost proporcjonalną dla okropności wyrządzonej szkody. Na zewnątrz moja twarz przypominała jednak wyćwiczoną maskę bez wyrazu. Walczyłem sam ze sobą, by zachować spokój.

– Niedługo skończysz osiemnaście lat. Będziesz wolna.

– To nie takie proste i dobrze o tym wiesz. Mój ojciec nie jest typem człowieka, który tak po prostu pozwoliłby mi odejść tylko dlatego, że stałam się dorosłą. I z trzydziestką na karku będzie kontrolował każdą jebaną sferę mojego życia. – Nie brzmiała na zdenerwowaną, tylko zrezygnowaną, co było o wiele gorsze od zwykłego smutku. Klócenie się z nią nie miało nas jednak do niczego doprowadzić, więc porzuciłem temat. Na tym etapie nasza relacja była na to jeszcze zbyt niepewna. Nasi chujowi ojcowie i tak się nigdzie nie wybierali, co właściwie stanowiło sedno problemu.

– Co jeszcze chciałabyś wiedzieć? – zapytałem.

– Gdzie chodziłaś wcześniej do szkoły?

– Wolf Hall. Zawsze Wolf Hall.

Wyglądała na zaskoczoną. Odkąd wypełzła z tamtej dziury, niczym jakiś dopiero co narodzony beznogi jelonek, jej oczy skrzyły się irytacją. Teraz na chwilę przygasła.

– Naprawdę? Nigdy nie byłaś w innym liceum? – niedowierzała. – Większość rodziców przerzucała swoje dzieci z jednego miejsca na drugie tak długo, aż same już nie wiedziały, skąd właściwie były.

Słodki, kurwa, Jezu. Była po prostu zbyt piękna. Czuję się, jakbym patrzył prosto w pierdolone słońce. Jedna sekunda za długo i moje oczy były gotowe, by wybuchnąć. Ani Pax, ani Dashiell nie nazwaliby jej najładniejszą dziewczyną, jaka przestąpiła próg Wolf Hall. Dla mnie jednak, Elodie Stillwater była najbardziej urzekającą osobą, jaką dane mi było zobaczyć. Ta jej krnąbrna, nadaśana minka. Zawsze splecione, niesforne, błagające o szczotkę, włosy. Jasne, szeroko otwarte oczy, które zupełnie zbijają człowieka z pantałyku. Chryste, jej dłonie były tak cholernie malutkie, że miałem ochotę się popłakać.

Cała była malutka. Jej talia, smukłe ramiona, nawet stopy. *Ja pierdolę.* Wyglądała jakby była wyrzeźbioną miniaturką, którą ktoś własnoręcznie pomalował, z niezwykłą dbałością o detale. Sprawiała wrażenie, jakby potrzebowała, by przechowywać ją jako swój największy skarb. Czy to nie złośliwość losu? Wszystko w tej dziewczynie było jedną wielką mistyfikacją. Tak, była drobna, ale potrafiła się bronić. Stworzono ją z hartowanej stali, a nie podatnego na stłuczenia szkła. Nie potrzebowała, by ktokolwiek ją chronił. Niedocenienie jej było godnym pożałowania błędem. Takim, po którym trudno się było pozbierać.

– Ojciec uważał, że posiadanie stałej rutyny było ważniejsze od jego obecności. Matka zmarła, gdy miałem trzy lata, a macocha miała alergię na małe dzieci, więc wszystkim to wyszło na dobre. Skończyłem cztery lata i wysłali mnie do szkoły z internatem. W ciągu ostatnich trzynastu lat kupili trzy nowe domy. Jeśli akurat łaskawie zaproszono mnie na święta, zawsze umieszczano mnie w pokoju gościnnym.

– Nigdy nie miałaś własnego pokoju? – Jakby wbrew sobie, Malutka Eli wyglądała na autentycznie zainteresowaną tym, co mówiłem. A potem otworzyła usta i słowa, które z nich wyszły, całkowicie zaprzeczyły trosce, którą jeszcze przed chwilą zdawała się okazywać. – W chuj zimne z ich strony. Już wiem, po kim to masz.

Zacisnąłem usta w trochę wymuszonym uśmiechu. *Niby się nie myli, a jednak wciąż to robi.*

– Nie mam powodu, by utrzymywać ciepłe stosunki z kimkolwiek poza chłopakami z Riot House. Po co miałbym się wysilać i szczerzyć do każdego, gdy wiem, że połowa z tych idiotów ma jedną szarą komórkę?

– O tym właśnie mówię. – Sięgnęła po butelkę z winem. Gdy się roześmiałem, rozszerzyła niewinnie oczy. – No co? Chyba nie oczekujesz, że przejdę przez to trzeźwa. Nie, dzięki. – Nalała sobie sporą ilość do jednej ze szklanek, które tu przyniosłem, po czym pchnęła mi butelkę w pierś, pod pozorem zwrócenia jej.

Zadziorna.

– Co za spirala nieszczęścia – westchnęła teatralnie. – Chwytasz się statusu wyrzutka, jakby miało cię to ochronić przed realiami tego życia, a prawda jest taka, że w efekcie jedynie coraz bardziej się od wszystkich izolujesz. Niezbyt mądry mechanizm obronny. Do tego przejrzałam go na wylot. Przecież tak to się właśnie u ciebie zaczęło: chciałeś zbudować wokół siebie na tyle wysoki mur, by nikt nie był w stanie się na niego wspiąć. Teraz twoje serce zamarzło do tego stopnia, że widać na nim jebaną oparzeliną mrozową.

– Moje serce nie jest połędwicą wołową.

– Nieistotne. Mówię tylko, że jest niezdatne do użytku. Gdy słyszę, jak niby jesteś w stanie przejąć się drugim człowiekiem, to mam ochotę się roześmiać. Tylko marnujemy czas.

– Marnowanie twojego czasu jest ostatnim, czego chcę, Malutka Eli.

Boże. Ta dziewczyna właśnie mówiła mi, że jestem beznadziejny, a ja potrafiłem myśleć tylko o tym, jak bardzo chciałem ją pocałować. *Jak to możliwe?* I nie, nie chodziło o to, że inne laski zazwyczaj wręcz przepychały się, by móc stanąć jak najbliżej mnie, a ona zachowywała się dokładnie odwrotnie. *Okej, to też było atrakcyjne, ale to pragnienie... ta potrzeba... Kurwa, to było coś o wiele większego.* Elodie oceniła moją wartość i skrzywiła się na efekt tych wyliczeń. Nigdy nie obchodziły mnie opinie innych ludzi, a teraz to, że ta dziewczyna myślała o mnie źle, liczyło się bardziej, niż byłem w stanie przyznać. Jej upór, siła i pewność siebie były uzależniające. Wiedziała dokładnie, kim była i jakie wartości sobą reprezentowała. Miałem ochotę nią oddychać, by wchłonąć jej pierdoloną esencję.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała, po czym odwróciła głowę.

Rzucane przez świece światło odbijało się od jej włosów, tworząc wokół głowy coś na kształt złotej aureoli.

– Jak? – wyszeptalem.

To już była czysta bezczelność z mojej strony. Doskonale wiedziałem, w jaki sposób na nią patrzyłem, i nie planowałem tego zmieniać. Chciałem ją pożreć. Posiąść. Przywiązać do siebie na każdy możliwy sposób. Jeśli potrafiła wyczytać mi to z oczu, w porządku. Nie wstydziałem się swoich uczuć, a już na pewno nie zamierzałem ich przed nią ukrywać.

– Po prostu... się zachowuj – ostrzegła. – Obiecałeś.

– Dobrze. Będzie tak, jak sobie tego życzysz. Zadaj następne pytanie.

Czekałem z zapartym tchem na jej kolejne słowa. Między łopatkami narastało mi napięcie. Cała ta wymiana była ekscytująca. Sama świadomość, że rzeczy, o które mnie pytała, reprezentowały momenty z przeszłości, które spędziła zastanawiając się nad nimi. Nade mną.

Pociągnęła trzy duże łyki wina.

– Okej. Dlaczego Dashiell tak okrutnie potraktował Carinę? Czy to był jakiś zakład?
– Dashiell lubi niszczyć zabawki, które stały się dla niego zbyt ważne.
– Czyli co, upokorzył ją i sprawił jej ból, bo lubił ją za bardzo? – Zmarszczyła nos w odrazie. – Serio? Tak go usprawiedliwiasz?

– Nie usprawiedliwiam go. To nie jest żadna wymówka. Przedstawiam ci fakty – odpowiedziałem spokojnie. – Dash źle reaguje na sytuacje, w których czuje, że jego siła maleje, a sympatia do Cariny to właśnie z nim zrobiła. Dostrzegł w tej słabości niebezpieczeństwo, więc wydarł ją z korzeniami i zdusił w zarodku, nim zdążyła go zranić.

Strych ogarnęła cisza. Zakurzona przestrzeń zdawała się oddychać wokół nas, gdy Elodie przyglądała się mojej twarzy. Jej oczy wędrowały po brwi i zjechały po linii nosa. Jasnoniebieskie spojrzenie zawisło na chwilę na ustach, po czym poderwało się gwałtownie w górę, spotykając się z zielenią. Wyglądała, jakby dusiła się w niej jakaś myśl, jakby słowa same cisnęły jej się na usta.

– Wiem, co chcesz wiedzieć – wyszeptałem.

– O, naprawdę? No to śmiało. Oświeć mnie swoją odpowiedzią, skoro nagle jesteś taki wszechwładny i wszechwiedzący.

Oddech uwiązał mi w gardle. *Co za dziwne uczucie. Coś, czego nie doświadczyłem od bardzo, bardzo dawna.*

– Chcesz wiedzieć, czy działał w ten sam sposób. Czy zrobię z tobą to samo, jeśli mnie do siebie dopuścisz. Ale nie możesz mnie o to zapytać, bo w ten sposób przyznałabyś, że o tym myślisz. O dopuszczeniu mnie do siebie. A przecież jesteś tą wizją przerażona.

– Jezu, Wren, naprawdę...

Nie. Nie mogłem jej pozwolić na wyparcie się tego. Przecież to było takie oczywiste. Miałem dość czekania na właściwy moment. Miałem dość czekania, aż sama się siebie zrzeknie. Dla mnie. Szybkim, godnym drapieznika ruchem podniosłem się na kolana, pochyliłem nad kocem i ująłem jej twarz w obie dłonie. Nie pocałowałem jej. Jeszcze nie. Nie wiedziałem jak, ale udało mi się powstrzymać.

– Moje zabawki nigdy się dla mnie nie liczyły, Malutka Eli – wyszeptałem. – Nie wyrzucam ich ze strachu przed tym, co mogą mi zrobić, albo dlatego, że się nimi znudziłem. Pozbywam się ich, bo nie są w stanie sprostać moim oczekiwaniom. Ale ty... – Jej powieki zdrząły. – Ty nie jesteś zabawką. Nie mam wobec ciebie żadnych oczekiwań. Jak mógłbym, skoro bez przerwy robisz coś niespodziewanego i kompletnie zbijasz mnie z jebanego tropu. Jeśli tylko mi pozwolisz...

W jej oczach błysnęła panika. Znowu wpatrywała mi się w usta. Przerażenie wylewało się z niej falami.

– Wren...

– Jeśli tylko mi pozwolisz – powtórzyłem, kontynuując swoją myśl – to też cię zaskoczę. Sama zobaczysz.

Zamknęła oczy. Po policzku spłynęła jedna łza. Zupełnie znikąd. Jakby... rozpadała mi się w rękach.

– Proszę, proszę, proszę – zaczęła szeptać.

Zmrożony do szpiku kości, upuściłem dłonie. Po ustach rozlewał mi się nieprzyjemny, cierpki posmak. Nie chciałem jej przestraszyć. Nie chciałem jej złamać. Chciałem tylko... *Kurwa mać.* Odsunąłem się, gotowy zrobić coś wielkiego, coś, czego nie robiłem od lat – przeprosić – gdy nagle gwałtownie potrząsnęła głową i napała do przodu, rzucając się na moją klatkę piersiową.

– Proszę – powtórzyła.

Tym razem brzmiała, jakby błagała mnie, żebym coś zrobił, a nie jak najszybciej przestał ją dotykać. Zobaczyłem desperację na jej twarzy i krew uderzyła mi do głowy. W uszach rozszalał się puls, a obraz jakby się rozmazał.

– Okej. W porządku. Hej, już dobrze.

I nagle była w moich ramionach. Przycisnąłem ją do siebie tak mocno, że sam nie mogłem oddychać. Nasze usta się spotkały, a pocałunek w ogóle nie wyglądał tak, jak powinien. Zaplanowałem go z tą samą skrupulatnością, z jaką podchodziłem do wszystkich swoich działań. Miałem się z nią drażnić. Usta unoszące się tuż nad jej, ale niewystarczająco blisko. Język jeżdżący po jej opuchniętej dolnej wardze. Moje dłonie w jej włosach. Ona, oddychająca coraz szybciej, dopóki rozgrzanie nie sięgnęłoby zenitu. Wtedy miała nie móc już dłużej wytrzymać. Miała nie być w stanie ścierpieć istnienia jakiegokolwiek przestrzeni między nami. Rzeczywistość okazała się inna. Tu nie było miejsca na cierpliwość. Żadne z nas się nie droczyło. Pocałunek był jednym wielkim wybuchem pragnienia, pożądania i dziwnej paniki, która wznieciła się w nas, szerząc w zastraszającym tempie. Jak łatwo mogłoby się to skończyć katastrofą. Jak szybko mógłbym się zatracić. Jak mało wysiłku wymagałoby ode mnie zniszczenie jej.

Czułem to w niej. Czuła to we mnie.

Jeszcze zanim cokolwiek na dobre się zaczęło, my już baliśmy się końca. Teraz było za późno. Nie potrafiliśmy tego powstrzymać. Za bardzo się rozpędziliśmy, a żadne z nas nie wiedziało, gdzie były hamulce.

Serce Elodie biło jak oszalałe. Czułem jej puls przy własnej klatce piersiowej. Była tak żywa, pełna energii i po prostu, kurwa, prawdziwa, że w ogóle nie mogłem uwierzyć, że to się naprawdę działo. Odpowiedziała na mój pocałunek. Jej palce wpiły się w moje włosy, a ja czułem, jakby wszystkie naczynia krwionośne gwałtownie mi się rozszerzyły. Jakby ból nie istniał. Wszystko, czego potrzebowałem, to mała podpałka – i wybuchnąłbym jak bomba wodorowa. Oderwała się ode mnie na zaledwie sekundę, tylko po to, by dostarczyć płucom tak desperacko im potrzebnego oddechu, a cały mój świat rozpadł się na kawałki.

To ja miałem kierować tym przedstawieniem. Każdy element był dokładnie zaplanowany, ustawiony w odpowiednim porządku, i na absolutnie żadnym etapie nie miałem być stroną tracącą resztki pierdolonych zmysłów.

Kiedy ostatnio czułem coś takiego?

Czy kiedykolwiek czułem coś takiego?

Elodie zakwiliła delikatnie, po raz kolejny łącząc nasze usta. Palcami wciąż trzymała się kurczowo moich włosów. Wszystko zwolniło.

Smakowała jak słońce i miód.

Pachniała jak ostatni raz, gdy czułem się szczęśliwy.

Trzymałem ją w ramionach, czując przy tym, że jej drobna postać była najważniejszą i najcenniejszą rzeczą, jaką dane mi było obejmować.

Rozłączyłem nasze usta, a potem schyliłem głowę, całując ją wzdłuż szyi, wtulając się w zagłębienie przy obojczyku. Zaczęła trząść się tak gwałtownie, że musiałem przycisnąć czoło do jej policzka, by powstrzymać się przed posunięciem się dalej.

– Wren. Wren. O Boże... – dyszała moje imię, pełna uniesienia, wciąż wyginająca plecy, przyciskająca się do mnie w sposób, przez który trudno mi było rozsądnie myśleć. – Co my robimy? Co się dzieje? – jęczała.

– Nie wiem. Myślałem, że wiem, ale...

Potrząsnąłem głową. Położyłem dłonie na jej biodrach, tak delikatnie, że ledwie czułem materiał jej jeansów. Odsunąłem się, tworząc między nami trochę dystansu.

Wpatrywaliśmy się w siebie w ciszy. Żadne z nas nie poruszyło się choćby o milimetr. Usiłowaliśmy zrozumieć, co się właśnie, do kurwy nędzy, działo.

Coś kolosalnego.

Coś między nami przeskoczyło.

Coś, co nie miało absolutnie żadnego pieprzonego sensu.

Jeden moment.

Jak to możliwe, że tak wiele się zmieniło w tak krótkim czasie?

Przełknęła.

– Ja... uch... muszę iść.

Zerwała się na równe nogi, pełna energii i zakłopotania. Zaczęła się obracać w kółko. Przytrzymała włosy, by nie wpadały jej w oczy, a potem gorączkowo rozglądała się wokół, szukając... szukając...

– Gdzie są te cholerne buty?!

– Nie wzięłaś ich ze sobą – przypomniałem spokojnie, choć w ogóle nie byłem spokojny. Czuję się... oderwany. Jakbym dryfował w próżni. Jakby nic już nie miało sensu.

– Kurwa! – Elodie obróciła się raz jeszcze wokół własnej osi, szukając butów, których tu nie było, a potem gwałtownie zwróciła się w moją stronę, pełna gniewu. – Nie powinieś tego robić – wyszczała.

– Niczego nie zrobiłem. To ty mnie pocałowałaś.

– Dobra, nieważne. Nie ma sensu szukać winnych. To wciąż twoja wina!

– Dopiero co powiedziałaś, że nie ma sensu szukać winnych.

– Jak możesz tu tak po prostu siedzieć?! – wykrzyczała. – Jak możesz tak... nie wiem!

Nie reagować!

Zachowywała się śmiesznie, ale nie byłem na tyle głupi, by jej o tym powiedzieć. Zresztą nie byłbym w stanie wypowiedzieć jakichkolwiek słów. Warknęła niczym dziki kot i rzuciła się do przejścia, które miało wyprowadzić ją na dedykowaną dziewczynom część czwartego piętra. Patrzyłem, jak znikwała w ciemnościach, wiedząc, że powinienem ją poinformować o istnieniu malutkich drzwiczek, które otwierały się na skrzydło chłopaków, ale moje gardło było zbyt ściśnięte, by mogły precyzyjnie przejść przez nie jakiegokolwiek słowa. Siedziałem na kocu, zupełnie nieruchomy. Wpatrywałem się w niedopitą szklankę z winem, którą zostawiła. Minęła godzina, potem kolejna. Świecek powoli gasły, jedna po drugiej.

Gdy w końcu się podniosłem, byłem zmarznięty i zeszywniały.

Droga powrotna do Riot House była, delikatnie mówiąc, pełna konsternacji.

Musiałem ją przelecieć. Tak brzmiała główna myśl, która towarzyszyła mi od tygodni.

Chciałem ją zniszczyć, ale wtedy, na strychu, gdy klęczeliśmy razem w ciemnościach, zobaczyłem wszystko w zupełnie nowym świetle. Doszedłem do brutalnego i doszczętnie przerażającego odkrycia, które wywróciło moje życie do góry nogami.

To nie ja zniszczę Elodie.

To ona zniszczy mnie.

Do czasu dotarcia do pokoju ta wiedza całkowicie się we mnie utwierdziła. Wtedy zauważyłem czekającą na brzegu łóżka szarą kopertę. W środku był raport policyjny. Przeczytałem go i coś we mnie bezpowrotnie pękło. Żył nabrzmiały mi nieznanym rodzajem furii.

ELODIE

– Gdzie ty, do cholery, spałeś zeszłej nocy?

– Co? – Otworzyłam oczy. Niebo było stalowoszare, gniewne i jakby nadąsane. Przepelniały je deszczowe chmury. Sekundę później na jego tle pojawiła się Carina, a po chwili jej głowa, odwrócona do góry nogami, zmateriałizowała się tuż nad moją. Włosy miała związane w puszystego kucyka. Grymas niezadowolenia zajmował większość twarzy. Moją pierwszą myślą było, że musiała się dowiedzieć o tym, co zaszło w nocy, i przyszła zabrać mnie do psychiatryka. – O czym ty mówisz?

– Zajrzałam do ciebie w pół do siódmej – odpowiedziała. – Łóżko wyglądało, jakby nikt w nim nie spał.

To tylko jedna z wielu rzeczy, których ludzie bez wojskowych rodziców mieli nigdy nie zrozumieć.

– Wstałam wcześniej, żeby pobiegać. A jak już wstanę, od razu muszę posłać łóżko – wyjaśniłam. – To dla mnie fizycznie niemożliwe, żeby tego nie zrobić.

Carina udała, że wymiotuje. Przeszła nade mną, po czym usiadła obok.

– Brzmi, jakbyś przed przeprowadzką do Stanów żyła w dyktaturze – stwierdziła. *Gdyby tylko, kurwa, wiedziała...* – No i to całe bieganie. Okropieństwo. Czy ty prawie umarłaś? Dlatego udajesz rozgwiadę, leżąc na mokrej trawie?

Nie mogłam jej powiedzieć, że celowo doprowadziłam się do tego stanu. Zamiast tego kiwnęłam głową, wydając z siebie bardzo głośny i bardzo żałosny jęk.

Biegłam tak długo, aż wydawało mi się, że naprawdę zaraz umrę, a potem padłam na trawnik, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu – wszystko dlatego, że próbowałam uciec przed pewnym bardzo konkretnym wspomnieniem. Wspomnieniem tego, jak usiłowałam wdrapać się na kutasa samego Wrena-pierdolonego-Jacobiego.

– Aktywność fizyczna serio szkodzi. Odradzam w przyszłości.

– Właściwie to jestem przyzwyczajona do codziennych intensywnych ćwiczeń. Tylko to sprawia, że czuję się jak człowiek. – Zaciśnęłam pięść na trawie, a następnie wyrwałam ją tuż u podstawy. Pozwoliłam, by pojedyncze źdźbła przeleciały mi przez palce, upadając na ziemię.

– Widocznie tym razem nie zadziałało – zaobserwowała Carina. – Nie ma potrzeby wyzywać się na trawie. Co się dzieje?

– Nic, nic. Wszystko w porządku! – powiedziałam zdecydowanie zbyt szybko i ze zbyt dużą dozą entuzjazmu. Dziewczyna spojrzała na mnie, jakby mi odbiło.

– Okej. Udam, że wcale się właśnie w chuj dziwnie nie zachowujesz. Zaczekam, aż mnie zapytasz, jak było wczoraj.

– Wczoraj?

– Z Andrem! Cholera, Elle. Przecież powiedziałam ci, że mogę nie wrócić na noc, a teraz spotykamy się o ósmej rano na trawniku. Mam na sobie wczorajsze ubrania i twarz w rozmazanej maskarce, a ty nie potrafisz połączyć kropek? Wyduś to z siebie i powiedz mi, co się dzieje. Kolejna sprzeczka z Wrenem?

Zaczerwieniłam się po same uszy. Tak gwałtownie potrząsnęłam głową, że niemal czułam, jak mózg obija mi się o czaszkę.

– Nie! Kto w ogóle powiedział cokolwiek o Wrenie? Skąd ten pomysł? Nie widziałam go,

odkąd wczoraj wymaszerował z zajęć Fitza. Druga piętnaście? Tak, wydaje mi się, że to było koło drugiej piętnaście popołudniu – wyrzuciłam z siebie na jednym wydechu.

– Okeeeej... – Zmarszczyła brwi. – Podejrzenie szczegółowe informacje.

– To jak było wczoraj? – zapytałam, chcąc jak najszybciej zmienić temat. – Jak film?

– Pieprzyć film. Zobaczyłam czołówkę i tyle. Zapytaj, o czym był, a nie będę w stanie ci odpowiedzieć. Jak tylko zgasły światła, to od razu się na siebie rzuciliśmy. Było tak intensywnie! – trąkotała. – Czy miałaś kiedyś taki pocałunek, że wszystko wokół dosłownie przestało istnieć? Jakbyście byli w innej czasoprzestrzeni? Jakbyście się dosłownie zlewali w jedno, i fizycznie, i psychicznie, i nie wiedziałaś ani kim byłaś, ani na jakiej jebanej planecie się w ogóle znajdujecie?

Dłonie Wrena obejmujące moją twarz.

Jego usta, żarliwe i nieustępliwe.

Gorący oddech prześlizgujący się po mojej szyi.

Zęby skubiące skórę.

Ręce przyciskające mnie do klatki piersiowej.

Strych, który kołysał się i pływał wokół nas, rozpadając się na milion kawałków...

Potrząsnęłam głową. Zamrugałam, całkowicie odurzona.

– Nie. Nigdy. Nie przypominam sobie.

– Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale było, kurwa, magicznie. Serio. Gdy film się skończył, poszliśmy do niego i... Cóż. W ogóle nie spałam. Jestem wykończona. Wszystko mnie boli. Nawet gdy po prostu stoję, czuję, jak skrzypią mi biodra – opowiadała z przejęciem. – Mówię ci, ten facet dokładnie wie, gdzie się znajduje punkt G. Nie musiałam mu nawet rozrysowywać mapki.

– Rozumiem, że Dash potrzebował pokierowania?

Przymknęłam oczy. Choć słońce skrywało się za chmurami, niebo było cholernie jasne. Nie byłabym tak przez nie oślepią, gdybym po prostu usiadła, ale za bardzo się nad sobą użalałam, by zdobyć się na motywację potrzebną do podniesienia swoich zwłok.

– Nie – przyznała gorzko. – On też się świetnie orientował. Ale nie rozmawiamy teraz o nim. Nigdy więcej nie będziemy o nim rozmawiać. Jeśli o mnie chodzi, typ jest martwy. Po prostu nikt nie poszedł na jego pogrzeb.

Z trudem zwalczyłam uśmiech.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Następnie Carina szczegółowo opisała wydarzenia ubiegłej nocy. Odmalowała żywy obraz domu, który Andre dzielił z trzema kolegami z college'u. Jego sypialnia była czysta i zadbana, a półki pełne nagród za zawody piłkarskie i konkursy naukowe, co naturalnie stanowiło dowód, że nie wszyscy sportowcy byli idiotami. Następnie, nie szczędząc mi żadnych detali, przeszła do relacji z tego, jak trzy razy doprowadził ją do orgazmu, zanim sam doszedł. Jak się dowiedziałam, czyniło go to najwyższej klasy gentlemanem.

Przez cały ten czas leżałam na trawie, pokryta wyschniętym i wręcz swędzącym potem. Staralam się nie myśleć o swojej zakazanej randce na strychu, ale myśli o Wrenie atakowały mnie z każdej strony. Stanowił przypadłość, przed którą nie potrafiłam uciec, nieważne jak bardzo się starałam. Wyraz tych zielonych, intensywnych oczu, gdy odsunął się i tym samym zakończył pocałunek... *Kurwa*. Wydawały się szczere. Nie odniosłam wrażenia, jakby cokolwiek udawał. Był tak samo skołowany i oszołomiony jak ja. Choć trudno było w to uwierzyć, wszystko we mnie krzyczało, że to prawdziwe.

– Elodie? Słuchasz mnie w ogóle? I dlaczego tak trzymasz palce przy ustach?

Cholera. Nagle poczułam się, jakby moje palce miały na sobie ślady przypalenia.

Opuściłam dłoń, pełna wyrzutów sumienia. Nie słuchałam. Odtwarzałam w pamięci nasz pocałunek. Wspominałam uczucie jego ust na swoich. Wszystko, co jeszcze do tamtej chwili było dla mnie ważne, nagle straciło jakiegokolwiek znaczenie.

– Musisz się wydostać z tego przeklętego miejsca – zawyrokowała Carina. – Idziemy dzisiaj w nocy do salonu gier.

– Nie mogę. – Słowa opuściły moje usta zanim zdołałam je powstrzymać. – Muszę... uch. Mam coś do zrobienia.

Wczoraj spędziłam przynajmniej godzinę, wyklinając sama siebie za swoją głupotę, zanim w końcu udało mi się zapaść w niespokojny sen. Obiecałam sobie, że nie pójdę dzisiaj w nocy na strych, ale obawiałam się, że po raz kolejny się okłamywałam. Stawało się to uciążliwym nawykiem. Chciałam tam wrócić. Wbrew wszelkim swoim instynktom, chciałam tam wrócić i dotrzymać umowy. Wiedziałam, że jeśli się teraz wycofam, Wren by mi tego nigdy nie darował. Ciepło zebrało mi się u dołu brzucha. Sama możliwość kolejnego pocałunku...

Kurwa mać. Co jest ze mną nie tak?

– No proszę, jaka tajemnicza – zdziwiła się Carina. – A ja myślałam, że nie masz w Wolf Hall innej „psiapsi”. Szukasz sobie nowych znajomych za moimi plecami, Stillwater?

Zaśmiałam się niezręcznie.

– Skąd! No co ty.

– W porządku. – Nie wyglądała ani na zadowoloną, ani na przekonaną. Wiedziałam jednak, że tylko się droczyła. – O ile nie zamierzasz zastąpić mnie Damianą, chyba jakoś się pogodzę z tymi twoimi sekretami.

– Oj, przestań. To nie są żadne sekrety. Po prostu umówiłam się na kamerkach z przyjaciółmi z Tel Awiwu. – Znowu kłamstwa. To wszystko, co potrafiłam: łącać prosto w oczy. Byłam najgorszą, najobłudniejszą kretynką, jaką ten świat widział. – Poza tym muszę trochę popracować, jeśli nie chcę spędzić całej niedzieli nad zadaniami domowymi.

– Fakt, w tym tygodniu już przesadzili – zgodziła się. – To może masz ochotę spędzić parę godzin w bibliotece dzisiaj popołudniu? Możemy się podzielić notatkami na angielski.

Ufff, więc nie zamierzała naciskać na wyjście wieczorem. Rozluźniłam się, usiłując zignorować wyrzuty sumienia.

– Jasne. Byłoby super.

Biorąc pod uwagę moją obsesję na punkcie książek, aż dziwne, że tak mało czasu spędziłam dotąd w tutejszej bibliotece. Miałam okazję trochę się rozejrzeć, gdy Carina oprowadzała mnie po szkole pierwszego dnia tutaj, ale od tamtego czasu wróciłam tu tylko raz, by wyrobić sobie kartę biblioteczną. Popołudniowe światło wpadało przez rząd dużych okien biegnących wzdłuż masywnej przestrzeni. Carina prowadziła mnie przez pełne książek regały, a następnie pomiędzy kolumnami stołów z klasycznymi lampami bankierskimi i stertami makulatury. W końcu dotarliśmy do biurk ustawionych tuż przy oknach wychodzących na strome wzgórze. Prowadziło do dużego, nieskazitelnie przystrzyżonego boiska ze słupkami w rogach.

– Nie wiedziałam, że Wolf Hall tak stawia na piłkę nożną – mruknęłam.

Położyłam torbę na blacie, rozsunęłam ją i zaczęłam szukać w środku zeszytu.

– Bo nie stawia. – Carina wzruszyła ramionami. – Boisko do piłki nożnej, koszykówki, korty tenisowe... To wszystko tylko na pokaz, żeby zachęcić rodziców, dla których sport był ważny. Tak naprawdę Wolf Hall interesuje wyłącznie nauka.

Rzeczywiście, odkąd się tu przeniosłam, nie miałam ani jednej lekcji wychowania

fizycznego. Dopiero w tej chwili zdałam sobie z tego sprawę. *Dziwne.*

– Ale chyba macie tu jakieś ćwiczenia?

– Taa, poczekaj do wiosny. Jesteśmy pieprzonymi biegaczami przełajowymi. – Skrzywiła się. – Pani Braithwaite twierdzi, że to dobrze działa na wytrzymałość, hart ducha i samodyscyplinę.

Biegi przełajowe. Hmm.

– No to nieźle – burknęłam pod nosem.

– A co to za podejście, panno masochistko? Dopiero co dobrowolnie przebiegłaś jakieś dziesięć kilometrów z samego rana. Poradzisz sobie.

Wiedziałam, że sobie poradzę. Pułkownik Stillwater wydierał się na mnie, jakbym należała do jednego z jego plutonów, dopóki nie byłam w stanie z łatwością przekroczyć dwudziestu kilometrów. Była jednak zasadnicza różnica między bieganiem, bo miało się na to ochotę albo z powodu potrzeby oczyszczenia umysłu, a bieganiem z braku innej opcji. Ale robienie tego w grupie przepychających się ludzi, rywalizujących o jak najlepszy czas? Nie, dziękuję. To już jest totalnie poza moją strefą komfortu.

– Ale to dopiero za jakiś miesiąc. Kupa czasu, jeśli serio byś chciała do tego potrenować. W międzyczasie trzeba się uporać z tym pierdolonym zadaniem i zgarnąć piąteczki. Mama mi obiecała, że jeśli dalej będę miała takie dobre oceny, to pojadę w te wakacje do Hiszpanii, a w Granadzie ma być taki mega festiwal tango. Hej! – wykrzyknęła nagle. – Powinnaś pojechać ze mną! O. Mój. Boże. Wyobraź sobie dwa tygodnie wspólnego podróżowania po Europie! Ale byłoby super!

Entuzjazm Cariny był zaraźliwy. Nawet nie zauważyłam, kiedy zaczęłam przytakiwać, dając się ponieść roztaczanej przez dziewczynę wizji. Mimo to wiedziałam, że nie ma szans na coś takiego. Ojciec nigdy by się nie zgodził na mój wakacyjny wyjazd z koleżanką. Będzie oczekiwać, że zostanę w akademii albo wrócę do Tel Awiwu. Byłam rozdarta między tymi opcjami. Tęskniłam za przyjaciółmi i desperacko chciałam ich zobaczyć – ale czy byłam gotowa wrócić do tego domu? Spędzić w nim całe dwa tygodnie z tym człowiekiem? Nie wiedziałam, czy udałoby mi się to przeżyć.

Uczyłyśmy się w komfortowym milczeniu. Kartkowałyśmy podręczniki i pomocnicze materiały, pracując ramię w ramię. Udzielał mi się spokój biblioteki. Miejsce było pełne światła i ciszy. Za każdym razem, gdy wyglądałam przez okno, widziałam ciągnące się w nieskończoność drzewa. Uwielbiałam to.

Około południa mój telefon nagle się obudził. Był wyciszony, ale wibracje i tak zwróciły uwagę Cariny. Spojrzała w moją stronę z pytającą uniesioną brwią.

– Nie sprawdzisz kto to? – szepnęła.

Zacisnęłam usta i wyciągnęłam komórkę. Bałam się tego, co miałam w niej znaleźć. I słusznie. Oto na ekranie migąło imię Wrena. Puls od razu mi przyspieszył.

– Później przeczytam – stwierdziłam, obracając telefon szkłem do dołu.

– Nie wygłupiaj się, jesteśmy daleko od recepcji. Nikt cię tu nie zobaczy. Nie jesteśmy jakimiś więźniami, możesz używać telefonu.

Gdybym się upierała, byłoby to dziwne. Tak przynajmniej mi się wydawało. Nie wiedziałam już, jak nie zachowywać się podejrzanie. Podawałam w wątpliwość każdą najmniejszą rzecz, jaką chciałam powiedzieć czy zrobić. Odwróciłam ponownie telefon. Wpisałam hasło, a wiadomości od razu wyświetliły się na ekranie. SMS od Jacobiego widniał na samej górze, czekając, aż go odczytam. Nacisnęłam jego imię drżącym palcem. Oczami szybko przebiegłam po krótkiej wiadomości.

Wren: Gdzie jesteś?

Dwa słowa. Jezu. W sensie, nie wiem czego się spodziewałam, ale na pewno nie tak lakonicznej wiadomości. Jakimś cudem zawarł w niej całą swoją arogancję i, delikatnie mówiąc, zrobił kiepskie wrażenie. *Pfff, czyżbyś rościł sobie prawo do posiadania stałej wiedzy na temat mojego położenia? Nie wydaje mi się, typie.*

Ja: Nie twoja sprawa.

– Wszystko okej? – zapytała Carina z końcówką ołówka w ustach. – Wyglądasz, jakbyś miała ochotę rzucić jednym z tych krzeseł w okno.

Była zbyt spostrzegawcza. Albo... to ja byłam okropna w ukrywaniu emocji. Pewnie powinnam nad tym popracować. Uśmiechnęłam się przepaszająco i ciężko westchnęłam.

– Tak. Po prostu... ojciec. Trudno go zadowolić. Rzadko kiedy się zgadzamy. – Wszystko, co powiedziałam, było prawdą. Może tylko słowa „trudno go zadowolić” w kontekście pułkownika Stillwata były niedomówieniem stulecia. No i nigdy się nie zgadzaliśmy. Wciąż jednak kłamałam, udając, że to od niego dostałam wiadomość. Wren Jacobi zamieniał mnie w kłamczuchę i w ogóle mi się to nie podobało.

Wren: Jesteś na terenie akademii czy poza nim?

Ja: Powtarzam. To nie twoja sprawa.

Wren: Równie dobrze możesz mi po prostu powiedzieć. I tak cię znajdę.

Wysłałam mu kciuka w górę – najbardziej pasywnie agresywną emotkę, jaka istniała.

Ja: Powodzenia.

Odłożyłam telefon do kieszeni, z trudem powstrzymując warknięcie. Carina przyglądała mi się ze współczuciem. Końcówką ołówka stuknęła o leżącą przed nią otwartą książkę.

– Straszna ze mnie farciarza, że dogaduję się ze swoimi starszami – przyznała. – Czasami mam wrażenie, że każdy inny uczeń w tej szkole ma socjopatów za rodziców. Jaki twój ojciec ma problem?

– Słucham?

– No wiesz. Dlaczego jest takim dupkiem? Dlaczego traktuje cię jak śmiecia?

Bo przypominam mu moją zmarłą matkę. Bo widziałam, do czego jest zdolny, i wiem, że cała ta jego praca, świętsza od papieża, powierzchowność jest zwykłą fasadą. Bo mogłam przewrócić jego życie do góry nogami za pomocą jednego telefonu.

– Bo jest moim ojcem. Taki już jest – odpowiedziałam cicho.

Wydawała się nad tym zastanawiać. Po chwili odsunęła się od biurka i wstała.

– Lubisz kurczaka?

– Każdy lubi kurczaka.

– Okej. Skoczę do stołówki po jedzenie. Przemycę je tutaj, nawet nie zauważą.

Nie miałam pojęcia, jak czujni byli tutejsi bibliotekarze, ale Carina znała tutejsze realia lepiej ode mnie, więc postanowiłam jej zaufać. Zaoferowałam, że się dołączę, ale rozkazała mi zostać i pilnować naszych miejsc. Wróciłam do pracy, szukając informacji i cytatów, które mogłyby nam się przydać do eseju. Mijały minuty, a ja niecierpliwiłam się coraz bardziej. Nie mogłam się skoncentrować. Próba skupienia się na czymkolwiek graniczyła z cudem...

– „Jak wilk na stado — na nas przypadł syn Assura,
Na jego hufach lśniły złoto i purpura...”²

Z tyłu karku stanęły mi wszystkie włoski. Adrenalina rozlała się po ciele, które nagle zaczęło buzować życiem. Wytężyłam całą swą uwagę.

– „A ostrza dzid błyszczały jako w falach zorze,

Gdy w noc brzeg Galilei kąpie sine morze”

Powoli zamknęłam oczy.

– Czy naprawdę nie masz nic ciekawszego do roboty, niż recytowanie mi ponurej poezji?

– zapytałam obojętnie.

Dzielnie utrzymywałam spokój, mimo że właściciel tajemniczego głosu właśnie za mną stanął. Czulałam go. Miałam wrażenie, że za moimi plecami rozszalał się pożar.

– Nie nazwałbym jej ponurą.

Prawie wyskoczyłam z własnej skóry, gdy coś mnie dotknęło. Konkretnie moje włosy. Kątem oka widziałam jego dłoń, gdy owijał sobie ich kosmyk wokół palca wskazującego. Na paznokciach wciąż miał odrobinę czarnego lakieru. Opuszkami kciuka przejechał delikatnie po blond końcówkach.

Zupełnie znieruchomiałam, walcząc o to, by zachować równomierny oddech. Obliziałam usta – zupełnie zaschło mi w buzi – i zabrałam głos.

„Bo anioł śmierci skrzydła na wichrze rozplątał,

Tchnął w oblicze najeźdźcy — i najeźdźca zginął;

Zagaśł wzrok wojowników, stężały powieki,

Serca raz jeszcze drgnąwszy, ucichły na wieki...”

Zawinięty wokół palca kosmyk poluzował się i opadł. Wren okrążył biurko. Teraz nie stał już za moimi plecami, ale tuż obok mnie. Nie obchodziło go, kto mógł nas zobaczyć.

– Czyli jednak masz ulubieńca – zadumał się, spoglądając na mnie z ciekawością.

Próbowałam na niego nie patrzeć, ale to było jak niezdrapywanie strupka albo niedotykanie językiem chwiejącego się zęba: niemożliwe.

– Tak naprawdę, to nie. Musiałam nauczyć się tego wiersza na pamięć w zeszłym semestrze – przyznałam. – Chyba jeszcze nie wymazałam go z pamięci. Wiersze Byrona zawsze były dla mnie zbyt kwieciste. Nie podobają mi się takie oczywiste rymy.

Zagryzł dolną wargę. Oczy rozbłysły mu rozbawieniem, którego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Usiadł naprzeciwko mnie i oparł się o wypolerowane drewno.

– Lubisz poezję. – powiedział. Wyglądał, jakby to odkrycie było najwspanialszą rzeczą, jaka mu się przydarzyła w życiu.

– To miejsce jest zajęte, wiesz? – zauważyłam niezbyt wesołym tonem. – Carina może wrócić w każdej chwili. Jeśli zobaczy cię tutaj, rozmawiającego ze mną, to...

– Cały świat eksploduje od wewnątrz i przemieni się w pył – przerwał. – Morza wyschną, na Ziemię runą meteoryty, a życie, jakie znamy, przestanie istnieć.

– ...to od razu doda dwa do dwóch, czymkolwiek to jest – dokończyłam. – A wtedy...

– „Czymkolwiek to jest?” – powtórzył zdezorientowany.

– O kurczę, no tak. Zapomniałam – przejęłam się teatralnie. – No przecież, mówi o tym trzecia zasada *Poradnika skończonego dupka*. To ten moment, gdy udajesz, że nic się między nami nie wydarzyło zeszłej nocy, tak?

Wren zdusił uśmiešek. Oparł brodę na dłoni i zasłonił nią usta. Jego włosy wyglądały dzisiaj na szczególnie zbuntowane i rozczochrane, przez co miałam jeszcze większą, niż zwykle, ochotę przeczesać je palcami. Miał na sobie cienki czarny sweter z małą dziurką na końcu rękawa. Nie mogłam przestać się w nią wpatrywać, oczekując, że potwierdzi moje podejrzenia, co do bycia pierdolonym dupkiem.

– To ten moment, gdy znowu mnie osądzasz i narzucasz swoje założenia? – odciął się.

Boże, byłam zbyt zmęczona na te gierki. Zeszłej nocy praktycznie nie zmrzyłam oka, a po tym porannym biegu, w czasie którego doprowadziłam się na skraj wytrzymałości, zanim słońce zdołało na dobre zagościć na niebie, jechałam na oparach. Przewróciłam oczami i osunęłam się na krześle.

– W czym mogę ci pomóc, Wren?

Podstępne, zdradzieckie serce zaczęło bić gwałtownie, niemal tłukąc o żebra, gdy chłopak przestał się uśmiechać i przewiercił mnie na wylot tymi swoimi zielonymi oczami. Normalnie ludzie nie patrzyli na innych tak, jak ten chłopak patrzył na mnie. Wyglądał, jakby szukał czegoś w mojej twarzy i nie miał najmniejszego zamiaru mrugnąć lub odwrócić wzroku, dopóki tej rzeczy nie znajdzie. Bycie obiektem tego typu szczegółowych analiz było ekstremalnie niekomfortowe.

– Możesz zacząć od powiedzenia, co miałaś na myśli, mówiąc: „czymkolwiek to jest”.

– Ja pierdolę. Nie wiem! Nic nie miałam na myśli. Tak sobie powiedziałam. Nie martw się, nie oczekuję, że uznasz mnie teraz za swoją dziewczynę.

Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. W bibliotece, w której należało zachowywać ciszę, on odchylił tę swoją piękną pierdoloną głowę i wybuchnął śmiechem. Po pomieszczeniu rozniosło się echem pełne dezaprobaty: „ćśśśśś!”. Od razu poczerwieniałam. Już wcześniej cała ta sytuacja mi się nie podobała, mimo że tylko kilku z uczących się przy biurkach uczniów zauważyło pojawienie się Wrena. Teraz wszyscy wiedzieli, że tu był, a do tego słyszeli, że powiedziałam coś na tyle idiotycznego, że nawet on nie mógł zachować powagi.

– Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, Elodie, ale ja – podkreślił – wiem dokładnie, czym „to” jest. – Śmiech zamarł mu na ustach. – Jeśli kiedykolwiek się zbierzesz na odwagę, żeby też się tego dowiedzieć, wystarczy zapytać. Wiesz, że będę niezmiennie szczery.

– Oczywiście. Zawsze mogę liczyć na twoją szczerłość.

Ciekawe, z jaką karą wiązałoby się uderzenie drugiego ucznia? Gdybyśmy byli teraz w sali od plastyki, norze Fitza albo w stołówce, może nawet bym zaryzykowała. Ale nie tutaj. Nie chciałam stracić swojej karty bibliotecznej.

Usta chłopaka wygięły się ku górze, co mogło się stać źródłem mojej zguby. Patrzenie na ten szelmowski uśmiech fizycznie mnie dręczyło. Wszystko, o czym byłam w stanie myśleć, to wczorajsza noc. Temperatura jego skóry, gdy całował mnie na tamtym kocu. We włosach skumulował mu się zapach sosny, słonego powietrza i na wpół zapomnianych plaż. Gdy schylił głowę, by przycisnąć te okrutne usta do mojej szyi, ja...

– Czy to ten moment, gdy mówisz mi, jak bardzo nie możesz się doczekać dzisiejszego spotkania? – wyrwał mnie z fantazji pytaniem, które z marszu zignorowałam.

– Serio chcesz ryzykować tym, że Carina zobaczy nas razem?

Patrzył na mnie, jakbym mówiła w innym języku, albo nawet kilku naraz, i nic, co wychodziło z mojej buzi, nie miało dla niego najmniejszego sensu.

– Wybacz, Malutka Eli – zaczął łagodnie. – Nie wiem, czym sprawiłem, że uznałaś, że jakkolwiek obchodzi mnie opinia Cariny Mendozy, ale pozwól, że to sprostuję. Mam gdzieś, czy Carina wróci tu i zastanie mnie siedzącego na swoim krześle. Mam gdzieś, czy wie, że cię pragnę. Mam gdzieś, czy wie, że zeszłej nocy miałem język w twoim gardle, albo że dzięki tobie mój kutas był twardszy niż przez ostatnie dwa lata.

Wow.

Spuściłam wzrok na swoje dłonie. Policzki dosłownie mnie paliły.

– Och, Elodie – wyszeptał bez tchu. – Nie lubisz o tym słuchać? Że mi przez ciebie stanął? A może... lubisz to aż za bardzo?

– Na miłość boską, mógłbyś nie mówić takich rzeczy publicznie? Proszę?

Pogardzałam sobą za to, że się rumieniłam. Wpatrywał się we mnie z szeroko otwartymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami. Wydawał się zafascynowany moją reakcją na to bezceremonialne wyznanie. Byłoby o wiele lepiej, gdybym zachowała spokój i nie zareagowała w ogóle. Z jakiegoś powodu bardzo zależało mi na tym, by nie miał mnie za jakąś jękającą się, głupiutką, niedoświadczoną dziewczynkę. Nie powinno mi na tym zależeć, ale zależało. *Kurwa.*

Wyciągnął w moją stronę odwróconą ku górze dłoń, z palcami lekko podkurczonymi w stronę sufitu. Oczy miał intensywne, pełne emocji.

– Wiesz, że za tobą szaleję, prawda, Malutka Eli? Wiesz, że moje własne jebane ciało już do mnie nie należy? Pragnę cię. I mam w chuju, kto się o tym dowie.

Spojrzał w dół na swoją dłoń, która leżała między nami na wypolerowanej powierzchni stołu. To musiał być test. Czekał, aż ją pochwyć. Nie wiedziałam, jaki był cel tego wszystkiego, ale wyglądało na pułapkę. Jeśli położę swoją dłoń w jego, narażę się na niebezpieczeństwo. Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Śledziłam linie dłoni, żałując, że nie mogłam wyciągnąć ręki i prześledzić ich opuszkami swoich palców, czując ciepło i szorstkość skóry...

– Wiem, o czym myślisz – wyszeptał.

Byłam odrętwiała. Zupełnie, kurwa, odrętwiała. Nie czułam niczego poza własnym paraliżującym strachem. Nie dało się go zignorować.

– Wiesz?

– Tak. I obiecuje ci, że się mylisz. – Głos Wrena, cichy jak spadający zimą śnieg, przypominał miękkością jedwab. – To nie zakład między mną a chłopakami. Nie postawiłem nic na to, czy uda mi się sprawić, byś przejęła się moim istnieniem. Nie usiłuję cię zmusić do czucia czegoś, czego czuć nie powinnaś. To nie jest dla mnie zabawa...

– Ale na początku tak było, prawda? – zapytałam, kontynuując naszą szeptaną rozmowę.

– Gdy tu przyjechałam, obrałeś mnie sobie za nowy cel. Chciałeś mnie zranić i planowałeś uśmiechać się w trakcie. Widziałam to w twoich oczach.

– A teraz co widzisz? – Ledwie usłyszałam te słowa, bo były tak ciche.

Kurwa. Błagam, nie podnoś wzroku, Elodie. Nie. Podnoś. Wzroku.

Oddech uwiązał mi w gardle. Musiał tak trwać od dłuższego czasu, bo płuca powoli zaczynały mnie palić. Nie mogłam się powstrzymać. Podniosłam wzrok. Spojrzałam mu prosto w oczy i poczułam się, jakby postrzelono mnie w samo serce. Chłód zaczął rozlewać się po ciele, promieniując od splotu słonecznego. Jego oczy były zupełnie przejrzyste. Nie widziałam w nich choć krztyny kłamstwa. Zamiast tego były pełne dumy, ogromu ego i nikłej, ledwie zauważalnej, dozy nadziei.

Nie mogłam już dłużej znieść budującego się między nami napięcia. Wbiłam wzrok w okno. Jacobi zacisnął dłoń w pięść, a następnie wycofał ją ze stołu.

– Czy to ten moment, gdy sobie idziesz? – zapytałam smutno.

– Tak. To ten moment, gdy sobie idę. – Wstał i przeczesał włosy obiema dłońmi. Wyraz czystej frustracji. – Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że zostawiłem coś pod twoimi drzwiami, Malutka Eli. Przeszła mi przez głowę myśl o wejściu do środka i położeniu tego przy łóżku, ale oboje wiemy, co uważasz na temat ludzi włamujących ci się do pokoju, prawda? – Pytanie zawisło w powietrzu. Poszedł, zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć.

Kurwa mać.

Niewidzialna dłoń zaciskała mi się wokół gardła, wyduszając ze mnie resztki życia, gdy tak siedziałam na swoim miejscu w oczekiwaniu na Carinę i nasz lunch. Po chwili pojawiła się z paroma kanapkami, dwoma jabłkami oraz olbrzymią paczką Doritos. Pozwoliłam, by mogła się wygadać. Przeżuwałam i połykałam jedzenie, które przyniosła, ale byłam tam tylko fizycznie. Czekałam na moment, by stamtąd zwiać. Okazja w końcu się nadarzyła, gdy telefon dziewczyny

zaczął wibrować. Podniosła go, po czym od razu wyszczerzyła zęby w głupkowskim uśmiechu. Dzwonił Andre.

Rzuciłam jakąś wymówkę i zostawiłam ją rozmawiającą ze swoim chłopakiem.

Na czwartym piętrze, przed drzwiami o numerze 416, znalazłam czekające na mnie małe turkusowe pudełko z jasnozieloną kokardką. Trzęsącymi się rękami podniosłam je z podłogi i biegiem weszłam do środka. Aż skręcało mnie z ciekawości, co jest w środku.

Prezent?

Położyłam pudełeczko na łóżku i spiorunowałam je wzrokiem. Stałam tak, wpatrując się w nie z dłońmi opartymi na biodrach.

Nie powinien mi nic dawać.

W końcu się odważyłam. Delikatnie rozwiązałam wstążkę, a potem podniosłam wieczko.

– O mój Boże!

Zakryłam usta, tłamsząc okrzyk. Oczy zapiekły mnie od łez, gdy zrobiłam krok do przodu i pochyliłam się nad prezentem, by móc się lepiej przyjrzeć malutkiemu przedmiotowi ułożonemu wśród liliowej bibułki. Miał biały tułów, a na grzbiecie jego biel przechodziła w niebieski, zaś on stopniowo zamieniał się w ciemny głęboki granat na końcówkach skrzydeł...

To mój ptaszek. Ptaszek od mojej mamy. Ten, którego rozbito na milion kawałków... a on jakimś cudem poskładał je w całość.

WREN

Zmiana paradygmatu.

Tak, z filozoficznego punktu widzenia, można nazwać tego typu przemianę.

Bo to nie tak, że po prostu zmieniłem zdanie. Zmieniło się stanowisko mojego serca. A według mnie to jest miejsce, w którym skrywają się kluczowe dla jego tożsamości elementy. Tam człowiek przechowuje swój cel istnienia czy cechy składające się na osobowość. Nadzieje, marzenia, koszmary...

Elodie Stillwater wkroczyła do mojego życia z nożem w ręce. Wycięła mi serce i wymieniła na nowe, a ja straciłem orientację w terenie. Nie wiedziałem ani kim byłem, ani co powinienem robić. Miałem w sobie jeden wielki bałagan.

Najbardziej chciałem, żeby to się po prostu już skończyło.

Tymczasem odnosiłem wrażenie, że koniec mógł nigdy nie nadejść, a ja wylądowałem w sytuacji, w której czułem się zobligowany do podjęcia bardzo drastycznych działań.

Ta pierdolona szara koperta. Próbowałem zapomnieć, co przeczytałem, ale gdy tylko zamykałem oczy, widziałem te słowa pod powiekami, jątrzące się jaśniej od słońca. Przez to wszystko byłem w podłym nastroju.

Przedzierałem się przez krzewy róż, tak mocno zaciskając szczęki, że do czasu dotarcia do altanki po moich zębach mógł zostać już tylko pył. Labirynt pełnił rolę zarówno więzienia, jak i sanktuarium. Poruszałem się wrytą w pamięci trasą. Przez cały czas mamrotałem pod nosem wulgaryzmy, na których dźwięk ojciec pobladłby ze złości. Gdy w końcu stanąłem przed małym, skrytym pod dębami budynkiem, Pax i Dash już tam na mnie czekali. Pierwszy z nich, rozwalony na schodach prowadzących do drzwi wejściowych, rzucił na mnie okiem i od razu zaczął imitować wyjącego wilka.

– Dobry Boże, Jacobi. Wyglądasz na jeszcze bardziej wkurzonego niż zwykle. Rozumiem, że spotkanie z twoją małą, francuską kurewką nie poszło za dobrze.

Z mordem w oczach odwróciłem się w stronę Dasha. Opierał się leniwie o ścianę i wrywał płatki z nierozwiniętego pąka róży.

– No co? – zapytał niewinnie. – Przecież musiałem mu coś powiedzieć. Chciał wiedzieć, dlaczego nas wczoraj wystawiłeś. Mieliśmy plany. Cały miesiąc wyczekiwał tej studenckiej imprezy w Albany.

– Mogliście pojechać beze mnie – warknąłem. – Nie miałbym nic przeciwko.

Dash wydał dolną wargę.

– Wiem, stary, ale z jakiegoś chorego powodu lubimy twoje towarzystwo i bez ciebie nie byłoby tak samo. Kto inny zrujnowałby wszystkim zabawę? Tymczasem już drugi raz w przeciągu doby wystawiasz nas po to, by zobaczyć się z tą samą dziewczyną. Zaczyna nam się wydawać, że możesz mieć małe problemy z priorytetami. Czy naprawdę muszę ci przypominać, że to my staliśmy za tobą murem przez ostatnie cztery lata? Mieszkamy razem i wpakowaliśmy się wspólnie w całą masę gówna. – Wyrzucił ręce w powietrze. – Tyle razem ćpaliśmy, i w tak różnych krajach, że mam pieczątki w paszporcie, których w ogóle nie pamiętam. Rękę dałbym sobie uciąć, że nigdy nie byłem w Brazylii. Ale, wracając. Chodzi o to, że musisz trochę przyhamować. Chociaż na trochę, okej?

– Ta. W ten weekend potrzebujemy naszego starego, dobrego, okropnego Wrena

z powrotem – dodał Pax.

Zmrużyłem podejrzliwie oczy. Miałem złe przeczucie.

– Po co? Co się dzieje w ten weekend?

Pax podniósł się i otrzepał jeansy. Zeskoczył ze schodów, twardo lądując na ziemi. Zarzucił mi ramię na szyję.

– W ten weekend... – zawiesił głos dla bardziej dramatycznego efektu – ...są twoje urodziny, ty skurczybyku! Serio myślałeś, że zapomnimy? Organizujemy imprezkę *last minute* pod hasłem: „Osiemnastka Jacobiego” i nic, co powiesz czy zrobisz, nie jest w stanie tego zmienić.

Chryste. Naprawdę miałem nadzieję, że zapomnieli. Szanse na to były całkiem duże – nie byli zbyt dobrzy w pamiętaniu ważnych dat – ale potem pojawiła się Mercy, a Mercy nigdy nikomu nie pozwoliła zapomnieć o swoich urodzinach. Na moje nieszczęście mieliśmy je tego samego dnia.

– Nie organizujemy żadnej imprezy.

– Jasne, że, kurwa, organizujemy. – Pax kiwał głową, jakby był na speedzie.

– Nie organizujemy żadnej imprezy – powtórzyłem.

– Koleś. Organizujemy. – Dash założył ręce.

– Nie – uciałem. – Potrzebuję waszej pomocy z czymś innym w ten weekend. Z czymś, co nie może zaczekać. Kupiłem już bilety.

Wyglądali na zaintrygowanych.

– Jakie bilety? – zapytał podejrzliwie Pax.

– Lotnicze. Musimy wyjechać z kraju na kilka dni. I nie możecie nikomu powiedzieć, gdzie lecimy, bo cały plan się posypie.

Teraz miałem ich pełną uwagę. Uwielbiali takie szemrane wypadki i to nawet bardziej, niż imprezy w Riot House.

– Jak długo nas się będzie? – dopytywał Dash, niby to nonszalancko. Udawał, że przygląda się wystającej z rękawa nitce.

– Trzy dni. Ruszamy dzisiaj w nocy.

– Wow. Ktoś tu jest bardzo pewny siebie, hm? A co, jeśli nie mamy ochoty brać udziału w tej twojej „delegacji”? Co, jeśli nie chcemy opuścić dwóch dni szkoły?

– Oznaczałoby to, że straciłem trzydzieści tysięcy dolarów. A wy jesteście największymi dziwakami świata. Kto normalny nie chce opuścić dwóch dni szkoły?

– Nie daliśmy znać Harcourt – zauważył Pax.

Wyciągnął papierosa z pogniecionej paczki i podpalił go.

– Dzisiaj rano złożyłem papiery w waszym imieniu.

– Dupek – jęknął Dash. – Wszystko zaplanowałeś, co?

– No dalej, Lovett. Chyba nie chcesz zrujnować mi urodzin?

– To cios poniżej kurewskiego pasa.

– Przynajmniej wygląda na to, że lecimy pierwszą klasą – wtrącił Pax.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Wszystko, co najlepsze dla moich chłopaków.

– Boże, nie znoszę, jak tak robi. Jesteś w chuj przerażający, gdy się uśmiechasz.

Wbrew wypowiedzanym słowom, ramiona Dasha opadły w rezygnacji. Leciał razem ze mną. A jeśli Dash w to wchodził, to Pax też. *O wilku mowa.*

– Dobra. Wybierzemy się, gdzie zechcesz, o nic nie pytając. – Przejechał dłonią po ostrzyżonej głowie. – Ale gdy tylko wrócimy, organizujemy imprezę, Wren. Coś czuję, że będziesz naszym dłużnikiem po tej akcji. Lepiej, żebyś załatwił jebane striptizerki.

Cosgrove był brzydkim budynkiem leżącym na obrzeżach Mountain Lakes. Pełnił funkcję baru, którym zarządzał niski, łysiejący facet. Wołano na niego Patterson. Na jego nieszczęście wyglądał jak Danny De Vito. Miał około sześćdziesięciu lat i skłonność do przynajmniej trzykrotnego opróżniania szklanki, zanim w końcu odłożył ją do szafki. Nie przepadał za mną. Przede wszystkim dlatego, że jako nieletni nie powinienem pić w jego barze, ale głównie chodziło o to, że byłem jego szefem.

Gdy tylko zobaczył, że przekraczam próg pustego lokalu, zaczął siarczyście przeklinać. Paciorkowate, niemal czarne oczka utkwił w ladzie. Starannie mnie ignorował.

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnąłem, zajmując stołek tuż przed nim. – Udawanie, że nie istnieję, nie sprawi, że zniknę. Tylko mnie zezłości. Jeszcze bardziej. A jestem pewien, że żaden z nas nie ma dzisiaj na to ochoty.

– Nie powinienes się aby czaić na tyłach? – narzekał Patterson. – Szeryf King lubi tu przesiadywać w sobotnie popołudnia.

– Nieprawda.

– Ale może się pojawić. Chyba nie chcesz ryzykować zamknięciem takiego miejsca?

Roześmiałem się. Z teatralnym rozmachem wskazałem ręką rząd pustych miejsc.

– Cholera, Pat. Że niby nie opłaca mi się narażać na szwank naszych wspaniałych obrotów, tak? Słuchaj, to miejsce mogłoby się dzisiaj zamknąć, a mi to nie zrobi żadnej różnicy. Nie przynosiło żadnego zysku ani zanim je kupiłem, ani teraz. Powinienes mi dziękować, że cokolwiek zarabiasz. Gdyby nie to, że od czasu do czasu mam ochotę się napić poza domem, już dawno bym cię zwolnił.

Skrzywił się. Otworzył kasę i zaczął liczyć pieniądze, przebierając wśród pomiętych banknotów i monet, które pewnie leżały tu od bardzo dawna.

– Potrzebuję większego zapasu gotówki – poinformował.

Zmrużyłem oczy. Położyłem dłonie płasko na blacie. Drewno było popękane, a lakier starł się już lata temu. Być może powinienem coś zrobić z tym lokalem. Był w opłakanym stanie, ale prawda była taka, że Cosgrove to melina. Popękane ściany i ryzyko wbicia sobie drzazgi przy zamawianiu drinka... to wszystko stanowiło część uroku tego miejsca.

– Ale rozumiesz, w jaki sposób działają pieniądze w kasie, tak? Masz z nich wydawać resztę klientom, a nie sięgać do nich za każdym razem, gdy potrzebujesz kupić paczkę papierosów.

Spiorunował mnie wzrokiem. Mountain Lakes nie należało do tętniących życiem miasteczek. Wcześniej była tutaj osada drwali, ale później otaczające lasy przekształcono w parki narodowe. Obecnie jedynym funkcjonującym na tych terenach przemysłem była celulozownia, znajdująca się jakieś pięć kilometrów poza obrzeżami miasta. No i Wolf Hall, oczywiście. Ludzie, którzy nie pracowali przy zakładzie przemysłowym, zajmowali się ogrodami, gotowali w kuchniach czy czyścili korytarze akademii. Inni łapali dorywcze fuchy albo zatrudniali się w sklepach wzdłuż głównej ulicy. Cholernie łatwo byłoby zastąpić Pattersona. W ciągu pół godziny mógłbym mieć tu kogoś innego, kto byłby wdzięczny za tę robotę. Ten stary maruda dobrze o tym wiedział. Gdy decydowałem się na zakup tego baru, to aura ruiny i wrażenie, jakby całe miejsce miało się zaraz zawalić, było tym, co ostatecznie mnie przekonało. Gderliwość Pattersona była nieodłączną częścią tożsamości tego budynku.

– Czterdzieści dolarów powinno wystarczyć – stwierdził bez emocji.

Wyciągnąłem stówkę z kieszeni i rzuciłem w jego stronę.

– Whisky raz. Masz na to trzydzieści sekund, dupku, i przysięgam na Boga, że jeśli

jeszcze raz spróbujesz mi nalać te szczyzny, to zakończę twój żaloszny żywot.

Schowwał banknot do kieszeni, zamiast do kasy. Nawet tego nie skomentowałem. Na tym etapie jego jawna wrogość już tylko mnie bawiła. Stał na drewnianej skrzynce, którą trzymał pod ladą, i sięgnął po butelkę z najwyższej półki. Johnnie Walker Blue. Zamiast nalać mi kieliszek, postawił przed sobą szklankę z grubego szkła, którą następnie napełnił po brzegi rdzawozłotą cieczą. Całą procedurę wykonał z popisowym sarkastycznym uśmiechem na ustach. Należał do niewielkiej znanej mi grupki ludzi, którym udało się opanować tę sztukę.

Podniosłem szkło do ust, przyglądając się wartej sto dwadzieścia dolarów whisky, którą tak bezceremonialnie je napełnił. Obdarowałem go swoim najjadowitszym uśmiechem.

– Ależ z ciebie skurwysyn, Pat.

Whisky paliła przyjemnie przełyk. Mężnie opróżniłem resztę w dwóch łykach, po czym z mocą odłożyłem szklankę na drewniany blat.

– Czyżby jakieś problemy na górze? – zapytał mój osobisty barman, bez choćby śladu autentycznego zainteresowania. – Pasztet strasburski się skończył? A może z kranów przestał płynąć szampan?

– Pierdol się.

– Nawet sobie nie wyobrażam, jak ciężko wam jest, moje biedne dzieciaki. Musicie codziennie sami myć zęby i sami wycierać dupy z gówna. Co za tortury. Powinni zatrudnić dodatkowych chłopów do zaspokajania bardziej intymnych potrzeb naszego księciunia.

– Jeśli nie przystopujesz z tymi uszczypliwościami, znowu cię zamknę w piwnicy z piwem – ostrzegłem.

To go uciszyło. Wiedział, że byłem do tego zdolny; w końcu skończył tam już wcześniej. Byłem prawie pewien, że Patterson też lubił te nasze słowne (a niekiedy fizyczne) przepychanki. Nie przepadał jednak za tym, gdy kopniakiem sprowadzałem jego pulchny zad w dół schodów, prosto do piwnicy, gdzie następnie spędzał całe popołudnie. Obnażył zęby.

– A gdzie twoi kumple? Panicz z Anglii i ten ćpun.

– Ha! Dlaczego myślisz, że Pax jest ćpunem?

– Wygląda jak tamten koleś z filmu o szwedzkich narkomanach.

– Nie można oskarżać kogoś o bycie ćpunem tylko dlatego, że jest ostrzyżony na języka i trochę przypomina młodego Ewana McGregora.

Burknął coś pod nosem, widocznie mając inne zdanie na ten temat.

– Chcesz jeszcze? – Rzucił we mnie butelką.

– Jest środek dnia, człowieku. Wbrew temu, co możesz o mnie sądzić, nie jestem skończonym degeneratem. – Dobrze sobie. Kłamstwo było tak jawne, że nawet na mojej twarzy pojawił się uśmieszek. Patterson złapał się za brzuch i otwarcie ryczał ze śmiechu. *Rzeczy, jakie zrobiłem na jego oczach... Stany, w jakich mnie widział... Jezu.* Pochyliłem się do przodu. Krawędź lady wbijała mi się w żebra. – Mam pytanie, Pat. Jesteś żonaty, prawda?

Gdyby miał jakiegokolwiek brwi, byłyby teraz gdzieś w okolicach zakoli.

– Noooo?

– Ta duża kobieta z wąsem? Ta, która czyści toalety? To twoja żona?

Oczy miał tak głęboko osadzone w czaszce, że praktycznie znikły, gdy obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

– Chcesz wpierdol, chłopcze?

– Nie, nie! Bez urazy.

– Ach, jak bez urazy, no to nie ma problemu! Nic się nie stało!

Gościu był pierdolonym mistrzem ironii.

– Po prostu... Chciałem zapytać, jak długo już jesteście małżeństwem z uroczą panią

Patterson – przeformułowałem wcześniejsze słowa.

– Siedemnaście lat.

– O kurwa. Jak... jak to zrobiłeś?

– Jak co zrobiłem?

– Przede wszystkim, jak ją w ogóle przekonałeś, że nie jesteś jakimś pomiotem szatana, bez serca i jakiegokolwiek moralności?

Patterson kiwał się do przodu i do tyłu, chichocząc wesoło pod nosem. Tym razem nie wydawał się ze mnie szydzić. Wyglądał na szczerze rozbawionego.

– O, Panie. Wren, ty to jak coś powiesz...

– Pytam serio.

– Wiem. O Boże. – W końcu się opanował i położył swoje mięsiste łapska na barze, jakby przygotowywał się do przekazania mi niesamowicie tajemnej wiedzy. – Kluczem do przekonania kobiety, że nie jesteś jakimś pomiotem szatana, bez serca czy jakiegokolwiek moralności, Wren... jest niebycie nim.

Okej, sam się wystawiłem. Mimo to poczułem rodzący się we mnie gniew. Zgodnie ze swoją naturą powinienem go teraz ukarać za tę bezczelność – ale w tym samym momencie jakiś głosik z tyłu głowy zapytał mnie słodko, co bym zrobił, gdyby Elodie tu teraz była. Nie wiedziałem już, co ze sobą począć.

– Przyjąłem – wydusiłem przez zaciśnięte zęby.

– Kto by pomyślał! – zapał Patterson. – Nadęte dzieciaki z Wolf Hall. Przychodzicie tu i cuchniecie uprzywilejowaniem. Bawicie się w uczestniczenie w społeczeństwie jak zwyczajni ludzie, ale tak naprawdę jesteście jak te wymyślne drogie autka, którymi wszyscy jeżdżicie: zbyt nisko ziemi, z miejscem na tylko jedną osobę. Trafiacie na dziurę w drodze albo natykacie się na konieczność przewiezienia jakiegoś ciężaru i nagle rozkraczacie się na środku jezdni. Najmniejsza rzecz was przerasta.

– Rozkracza to ci się metafora, Pat.

– Nieistotne. Niech Bóg ma w opiece tę dziewczynę, kimkolwiek jest. Jeśli ktoś taki, jak ty, się nią zainteresował, to będzie potrzebowała takiej ochrony. Ale całe to miłosne gówno jest w gruncie rzeczy proste. Nie bądź egoistą. Nie bądź dupkiem. Stawiaj jej potrzeby przed swoimi. Chryste, co ja, do kurwy nędzy... – Potrząsnął głową. – Po co ja w ogóle strzępię język?

Wyszedłem z Cosgrove jeszcze bardziej zdezorientowany. Instrukcje wydawały się proste. Wiedziałem, że Patterson mówił prawdę. Żeby zyskać zaufanie Elodie, musiałem dokonać kilku zmian. Za nic w świecie nie mogłem jednak wymyślić, w jaki sposób miałbym zmienić swoje genetyczne predyspozycje...

COOOO, DO KURWY?

Stałem jak wryty. Wiatr targał mi ubraniami, a ja prawie nie zauważałem zimna. Niemożliwe, żebym dobrze widział. Niemożliwe...

Po drugiej stronie ulicy, na pustym parkingu ogrodzonym wysoką siatką, znajdowała się dwójka ludzi. Stali blisko siebie i rozmawiali z ożywieniem. Wysoki mężczyzna gestykułował, żeby lepiej wyrazić swoje myśli. Dziewczyna – o wiele niższa, ubrana jakby właśnie miała zacząć się jej zmiana w klubie ze striptizem, z taflą czarnych włosów spływających po plecach – zaśmiała się i pacnęła go żartobliwie w pierś.

Nawet nie zauważyłem, kiedy moje nogi obudziły się do życia. Choć z tej strony nie było wejścia na parking, nie powstrzymało mnie to. Wystarczył moment i już byłem w połowie siatki, a sekundę później ją przeskoczyłem. Wylądowałem twardo na ziemi. Siłę uderzenia poczułem w kostkach, kolanach, biodrach, plecach, a nawet w zębach, które tak mocno o siebie stuknęły, że prawie odgryzłem sobie jebany język.

Zauważyli mnie.

Ale było już za późno.

Pięść weszła w kontakt ze szczęką Fitz. Rozległ się satysfakcjonujący chrzęst. Mężczyzna padł na ziemię jak worek ziemniaków. Czy raczej worek z gównem.

– Co, do kurwy!?! – Piskliwy krzyk mojej siostry był głośny i przeszywający. Złapałem ją za rękę i odciągnąłem do tyłu. – Puszczaj mnie, Wren. Chryste, co jest z tobą nie tak? Ty pierdolony psychopato!

Leżący przed nami Fitz dotknął palcami swojej twarzy. Roześmiał się maniakalnie, gdy zauważył, że są czerwone. Krew pokryła mu zęby i spływała w dół brody.

– Ciebie też miło widzieć, Jacobi – przywitał się.

– Jesteś nieśmiertelny, doktorku? – Złapałem go za przód podkoszulka. – Czyżbyś odkrył sekret wiecznego życia?

Uniósł na mnie drwiącą brew. W jego oczach nawet nie mignął strach. Nie było w nich choćby krztyny troski o własny los. Spojrzał w dół. Wzrok zatrzymał się na moich ustach, a ja po prostu, kurwa, wiedziałem, że właśnie mu stanął.

– Nie – odpowiedział.

– A może jesteś niezniszczalny, a twoich kości nie da się złamać? Pewnie rany od razu się na tobie goją, uniemożliwiając wykrwawienie się?

– Nie, Wren. Dobrze wiesz, że tak nie jest – wypowiedział to zdanie z dbałością o każde słowo, mrużąc niczym kot.

Pełen złości, pchnąłem go na tyle mocno, że głową uderzył o beton.

– Więc przestań robić rzeczy, przez które w końcu skończysz martwy, skurwysynie.

– Co ty odpierdalasz? – Mercy stała teraz przede mną, z dłońmi na mojej klatce piersiowej. Napierała na mnie, zmuszając, bym choć trochę odsunął się od nauczyciela angielskiego. – Jesteśmy w miejscu publicznym, Wren. Oszalałeś? Nie możesz tak po prostu uderzyć nauczyciela przy innych ludziach.

Schyliłem głowę, gwałtownie wchodząc w jej przestrzeń osobistą. Byliśmy teraz twarzą w twarz. Moja stanowiła swoją najgroźniejszą wersję.

– Będę go uderzał, gdzie mi się podoba. Wsiadaj do auta, Mercy.

– Nigdzie z tobą nie...

– WSIADAJ DO JEBANEGO AUTA! – przerwałem.

Wibrowałem z emocji. Przepelniała mnie pulsująca, oślepiająca, dosłownie wylewająca się falami, czysta furia. Czuję, jak z każdym nierównym oddechem pochłania kolejne części mnie. Twarz Mercy zamieniła się w pustą maskę. Zamrugła, odwróciła się i ruszyła przez parking do czerwonego Volkswagena Beetle. Zeszłoroczny prezent od ojca.

– Nie widzę nic złego w rozmawianiu z uczniami poza murami szkoły – stwierdził beztrąsko Fitz, podpierając się na jednej ręce. – Co mam robić, ignorować was?

Ho, ho, ho. Dobry Boże, jaki ten skurwysyn miał tupet. Powoli przykucnąłem obok. Oparłem przedramiona na udach i wpatrywałem się w niego z niekrytą pogardą.

– Nie będziesz patrzył na nic, co należy do mnie. Nie będziesz dotykał niczego, co należy do mnie. Poza lekcjami, nie będziesz się odzywał do nikogo jakkolwiek ze mną powiązanego – instruowałem go spokojnie. – Zrozumiano?

Z gorącym spojrzeniem zassał dolną wargę. Nozdrza mu falowały.

– To nie musi tak wyglądać, wiesz? Mogłoby być tak, jak dawniej.

Kurwa, on mnie po prostu nie słuchał. Zamknąłem oczy i potrząsałem głową. Nie mogłem uwierzyć w czelność tego dupka.

– Dotrzymaj danego słowa, Wes. Albo twoje życie stanie się bardzo nieprzyjemne.

Wsiadłem do durnego, dziewczęcego autka Mercy i przywaliłem w deskę rozdzielczą. Plastik pękł od siły uderzenia.

– Wren! Ty gnojku! Co robisz?! – Od razu mnie uderzyła, celując w ramię. Zawsze bardziej ją interesowało bycie chudą niż wysportowaną, więc nie miała zbyt wiele siły. Nie miał po tym zostać nawet ślad. Wydeła dolną wargę. – To, że zniszczyłeś już wszystkie swoje rzeczy, nie znaczy, że możesz teraz rozwalać moje.

Miałem wrażenie, jakbym właśnie przebiegł maraton. Nie mogłem złapać oddechu.

– Dorośnij, Mercy.

– A co, jak doniesie na ciebie Harcourt? – wyszczała. Piorunowała mnie wzrokiem. – Myślisz, że tak po prostu zachowa dla siebie, że znokautowałeś go w środku miasta? Upokorzyłeś go!

Tak, upokorzyłem go. Mimo to z moimi działaniami na tamtym parkingu nie będą się wiązać żadne konsekwencje. Mercy o tym wiedziała. Ja o tym wiedziałem. A już na pewno wiedział o tym Wesley Fitzpatrick.

Nie piśnie nawet słówka.

Jego problem od zawsze polegał na tym, że chciał, żebym go skrzywdził. Chciał zostać przeze mnie upokorzonym.

Bardziej pragnął tylko tego, żebym go przerznął.

Gdy dotarliśmy do drogi prowadzącej do Riot House, zatrzymałem się na poboczu i wysiadłem z auta. Mercy zamieniła się ze mną miejscami.

– Jesteś stuknięty! – krzyknęła i pomknęła w stronę akademii.

Jeśli oczekiwała, że jej słowa będą dla mnie jakimś odkryciem, to się grubo przeliczyła. To, co zamierzałem zrobić, było wystarczającym dowodem na prawdziwość tych oskarżeń. Wyciągnąłem telefon i napisałem krótką wiadomość, po czym wszedłem do domu, by wrzucić trochę ubrań do torby.

Ja: Znikam na trzy dni. Odezwę się, jak wrócę.

ELODIE

Oczywiście na figurce były widoczne rysy. W kilku miejscach skrzydła straciły też swój kolor: kawałki, których nie udało się odnaleźć, zastąpiono gładką, białą ceramiką. Ptaszek od mamy zasadniczo jednak odzyskał swój dawny kształt, a ze wszystkich osób, które mogły to dla mnie zrobić, właśnie Wren poskładał go w całość.

Dla mnie.

Miałam wiele pytań. Gdzie znalazł te wszystkie kawałki? Jak je zdobył? Harcourt twierdziła, że je wyrzucono. Czy otworzył odkurzacz, żeby je z niego wyciągnąć? I jakim cudem je posklejał? Musiało mu to zająć długie godziny, a nawet dni. Nie mogłam sobie w ogóle wyobrazić, ile czasu i cierpliwości było do tego potrzebne. Nie sądziłam, że Wren byłby do tego zdolny.

Już po chwili zrodziła się we mnie wątpliwość. Jej ziarnko zakorzeniło się w umyśle niczym chwast przedzierający się przez szczeliny chodnika. Wren nie złożył tego ptaszka. To po prostu niemożliwe. Nie istniała rzeczywistość, w której osoba taka jak on poświęciłaby tyle czasu na coś, co wymagało takiego wysiłku. Co oznaczało, że kogoś zmusił, przekupił lub zaszantażował, żeby zrobił to za niego, a potem podrzucił mi to turkusowe pudełko pod drzwi, wielce z siebie zadowolony, czując się jak bohater, bo zwrócił mi mój skarb. Tylko takie wyjaśnienie miało jakikolwiek sens.

Wystarczyły mi trzy sekundy, by z wdzięczności i zdumienia przejść do rozczarowania.

O szóstej wieczorem dostałam wiadomość od Wrena, w której poinformował, że nie będzie go trzy dni. Na widok lakonicznego „odezwę się, gdy wrócę” dosłownie trafił mnie szlag. Byłam tak nedorzecznie zła, że zamknęłam się w pokoju i nie wyszłam z niego aż do niedzielnego popołudnia. A co ze strychem? Co z trzema dniami na poznanie go? Takiego właśnie zachowania oczekiwałam od samego początku, więc dlaczego to aż tak bolało?

Odpuściłam sobie obiad. Gdy Carina przyszła zapytać, czy chcę z nią zjeść w stołówce, powiedziałam, że nie jestem głodna. Spędziłam cały ten czas w pokoju. Chodziłam nerwowo, wydeptując ścieżkę w podłodze. Krążyłam niczym lew w klatce, nie spuszczać wzroku z małego porcelanowego ptaszka, jakby był leżącym na materacu granatem, który w każdej chwili mógł wybuchnąć.

Jak mógł zrobić coś takiego, a potem się zmyć? To nie ma żadnego sensu.

Z trudem przebrnęłam przez poniedziałek i wtorek. Wszystko mnie irytowało: kolejka w stołówce, uszczypliwe komentarze Damiany w czasie angielskiego, brak śmietanki do kawy, zadania domowe, których nagromadziło się na tyle dużo, że musiałam spędzić nad nimi całą wtorkową noc. Carina zauważyła, że byłam w gównianym nastroju, ale usprawiedliwiłam się napięciem przedmiesiączkowym, co przyjęła ze zrozumieniem. W środku wrzałam jak jakiś jebany garnek, którego zapomniano ściągnąć z gazu. Nie powinno mnie obchodzić, że zniknął bez żadnego wyjaśnienia. Nie powinno mnie obchodzić, że w weekend Mercy obchodziła swoje urodziny, co oznaczało, że obchodził je też Wren. Zakładałam więc, że Jacobi pewnie świętował gdzieś ze swoimi przyjaciółmi. To wszystko niestety bardzo mnie obchodziło. Boże, kiedy ja się stałam tak kruchą i żalną frajerką?

Gdy w środę Wren nadal nie pokazał się na zajęciach, miałam dość. Cała sprawa irytowała mnie do tego stopnia, że zdecydowałam się podjąć jakieś kroki. Jeśli nie dla własnego

spokoju, to dla biednej Cariny.

Pod powierzchnią całego gniewu skrywał się szokujący mnie samą strach, że zraniłam Wrena, gdy nie chwyciłam jego dłoni w bibliotece. Mógł się wkurzyć, że pełna wdzięczności nie padłam od razu na kolana, gdy zdradził, że mu na mnie zależy. Na pewno tego właśnie oczekiwał. Jeśli się dąsał z powodu mojego domniemanego odrzucenia, proszę bardzo. Przynajmniej zostawi mnie w spokoju i nie będę już musiała się nim przejmować.

Ta myśl powinna mnie uszczęśliwić. Przecież ostatnie tygodnie spędziłam na frustrowaniu się właśnie z jego powodu. Jeśli się wycofa, będę mogła porządnie zadomowić się w Wolf Hall, bez lęku przed dalszymi komplikacjami.

Ale...

Uggh. Czy zawsze musiało być jakieś pieprzone „ale”? Dlaczego nie mogłam wykonać tańca zwycięstwa i ruszyć dalej ze swoim nowym życiem, tak jak zrobiłby każdy normalny człowiek na moim miejscu?

Siedziałam w ciemnościach swojego pokoju, zadręczając się. Zjadłam połowę tabliczki czekolady, ale cukier smakował kwaśno, a słodycz w brzuchu tylko przyprawiła mnie o mdłości. Robiłam wszystko, by odwrócić swoją uwagę od tego, że Wren wciąż do mnie nie napisał. Marnowałam czas, grając w Animal Crossing na swojej konsoli Nintendo Switch, a potem pisałam z Levim na WhatsAppie, ale wciąż nie mogłam się pozbyć przykrego uczucia zdołowania.

Wybiła godzina dziesiąta i powiedziałam sobie, że czas na sen, ale... *Kurwa, co jest ze mną nie tak?* Dlaczego nie mogłam po prostu zapomnieć o tym wszystkim? Tak byłoby lepiej!

Powinłam do niego napisać.

Powinłam zapytać, w co on, do kurwy nędzy, znowu pogrywał, wysyłając mi tak sprzeczne sygnały. Co chciał osiągnąć? Tak się nakręciłam, że do czasu, aż wyciągnęłam z szafy swoje Martensy, gniewnie wsuwając je na stopy, czułam się, jakbym w każdej chwili mogła wybuchnąć.

SMS nie był wystarczający.

Potrzebowałam wyjaśnień. Musiałam stanąć z nim twarzą w twarz, żeby się dowiedzieć, czy zmusił kogoś do naprawienia dla mnie mojej pamiętki. I, choć nie chciałam tego przyznać, musiałam się też dowiedzieć, czy rzeczywiście go zraniłam wtedy w bibliotece.

Ale z ciebie idiotka, Elodie. Ten typ nie jest wart twojej energii. Poważnie, zdejmuj te buty, połóż się do łóżka, przeczytaj jakąś dobrą książkę i zapomnij o Wrenie Jacobim. To zwykły psychol, który manipuluje wszystkimi wokół.

Zamiast tego wzięłam do ręki książkę, którą mi pożyczył – *Studium w szkarłacie* Arthura Conana Doyle’a – i spakowałam ją do torby.

Jesteś ponad to. Ponad nim. Nie potrzebujesz go.

O, i to była dobra gadka motywacyjna. Powtarzałam ją w głowie jak mantrę, skradając się na palcach wzdłuż korytarza. Rozbrzmiewała w tle, gdy schodziłam schodami. Leciąca na playbacku, gdy wymknęłam się z akademii, a potem zaczęłam biec w dół góry.

W Tel Awiwie nie miałam samochodu. Nie potrzebowałam go. Tutaj, w New Hampshire, byłby mi on jednak na rękę, zwłaszcza że mieszkalam na kompletnym odludziu. Carina zaoferowała, że mogę pożyczyć jej Firebirda, kiedy tylko będę miała taką potrzebę, ale tej nocy nie bardzo mogłam ją poprosić o klucze. Chciałaby wiedzieć, gdzie się wybierałam, a odpowiedź zgodna z prawdą nie wchodziła w grę: „Ach, no wiesz, tak sobie pomyślałam, że zajrzę do Riot House. Po godzinach. Sama. Żeby przedyskutować zupełnie beznadziejną, dziwaczną relację

z chłopakiem, w sprawie którego tak bardzo mnie ostrzegałaś”.

Ta. Bez szans.

Tak więc biegłam w dół wzgórza i niemal wyskakiwałam ze skóry z każdym słyszonym dźwiękiem. Tylko czekałam, aż coś paskudnego z ostrymi kłami wyskoczy na mnie z lasu. Odkąd wymknęłam się z akademii, nie widziałam ani jednego auta. Przez brak oświetlenia byłam zdana wyłącznie na małą latarkę w telefonie. Biegłam więc pełną zakrętów drogą w niemal kompletnych ciemnościach.

Wiedziałam, że ten pomysł jest chory, jeszcze zanim opuściłam Wolf Hall, ale dopiero teraz uderzała mnie właściwa skala niebezpieczeństwa tego przedsięwzięcia. Jeśli cokolwiek miało mi się stać, równie dobrze mogłam tu umrzeć i zakończyć na miejscu całą tę farsę. W przeciwnym razie to Carina miała mnie zamordować, a ja już wolałam zostać zjedzona przez niedźwiedzia albo zakopana przez chłopaków w jakimś płytkim grobie, niż musieć widzieć rozczarowanie w oczach przyjaciółki – chwilę przed tym, jak sama by mnie uśmierciła.

W końcu dotarłam do wąskiej żwirowej ścieżki, która odłączała się od głównej drogi i prowadziła do domu Wrena. W sercu poczułam nagłą panikę. Nie widziałam żadnych świateł. A skoro żadne z pomieszczeń nie było oświetlone... to dom był pusty. Czyli przebyłam całą tę drogę po nic, a Wren... Wren nadal nie wrócił ze swojego imprezowego weekendu. Bawił się w najlepsze, w ogóle o mnie nie myśląc.

No to zajebicie.

Och.

Wow.

Poczułam się, jakby wylano mi na głowę kubek zimnej wody. Uświadomiłam sobie, w jaki sposób się zachowywałam: jak ostatnia idiotka zapuściłam się sama w ciemną noc, wkurzona z powodu jakiegoś chłopaka, który nie mógł się zdecydować, czego właściwie ode mnie chciał. To nie byłam ja! Zwykle miałam więcej zdrowego rozsądku i szacunku do siebie samej.

Zacisnęłam pięści. Patrzyłam intensywnie na Riot House, wiedząc, że już podjęłam decyzję. *Wracam do akademii. Nie będę się tak ośmieszać.*

Zanim jednak zdążyłam zawrócić, w jednym z okien pojawiło się światło. Rzuciło ciepły blask, rozpraszając otaczające ciemności. Dom nagle nabrał kształtu, oddzielając się od smoliście czarnego lasu, a mój puls zwolnił. *Czyli jednak są w domu.* Część mnie poczuła ulgę, a reszta czuła frustrację, że w ogóle pozwoliłam sobie aż tak się tym przejmować...

Nagle ktoś przycisnął mi stalowy pręt do szyi, odcinając dostęp tlenu.

– Tylko krzyknij, a już nie żyjesz – ostrzegło mnie groźne warknięcie.

Co... co do kurwy?

Przez sekundę cała byłam wypełniona strachem. Mózg po prostu mi się wyłączył. Nie mogłam oddychać, ruszyć się, myśleć... Pręt przyciskał się coraz mocniej.

– Mała donosicielka – wysyczał głos. – Skradasz się w ciemnościach i śledzisz ludzi. Nieladnie, *petite pute française*. Bardzo nieładnie.

Blokada w mojej głowie nagle puściła. *Mała francuska kurewka.* Tak właśnie nazwał mnie Pax podczas pierwszych zajęć w akademii. Nie miałam żadnych wątpliwości co do tego, że to on dusił mnie od tyłu, a wraz z tą wiedzą cały strach ze mnie uleciał. Nie był potworem ani jakimś nadnaturalnym stworzeniem, które wyłoniło się z lasu w poszukiwaniu swojej ofiary. Był zwykłym chłopakiem z paskudnym sposobem bycia, a mnie przeszkolono do radzenia sobie z takimi typami.

Uderzyłam go łokciem prosto w żebra. Był wyższy ode mnie, przez co musiał się zgiąć w połowie, żeby w ogóle mnie złapać, co oznaczało, że miałam duży zakres ruchu. Pax,

zaskoczony, wypuścił z siebie całe powietrze, kompletnie pozbawiony tchu. Wykorzystałam tę chwilę na swoją korzyść. Obróciłam się w jego uścisku i uderzyłam go pięścią prosto w jabłko Adama. Od razu mnie puścił.

– Co za... suka! – zawył. – Wracaj tu. Wracaj tu, kurwa, i to już!

Zamrugnął zszokowany, gdy od razu go posłuchałam. *Oczywiście, że do ciebie wrócę, ty skurwysynie. Szykuj się.* Obnażył zęby. Ze złością w oczach rzucił się, by mnie ponownie złapać. Chwyciłam go za nadgarstek. Wykręciłam mu rękę, przyciskając do łokcia swoją dłoń i zmuszając kończynę do zgięcia w złą stronę. Pax zareagował w ten sam sposób, co wszyscy duzi chłopcy, którym właśnie łamano rękę: padł na kolana, krzycząc z bólu.

Od tego momentu było już z górki. Wypuściłam rękę, ale jeszcze z nim nie skończyłam. Podeszwa moich Martensów wylądowała dokładnie między łopatkami chłopaka; włożyłam w ten kopniak całą swoją siłę. Runął na twarz prosto w ściółkę, wściekle przy tym klnąc. Od razu znalazłam się na jego plecach. Wiedziałam, że będzie próbował się pode mną odwrócić. Uniosłam wysoko pięść, gotowa złamać mu ten pierdolony nos i zakończyć na dobre jego karierę modela, gdy...

– To nie będzie konieczne – poinformował mnie czyjś uprzejmy głos.

Dłoń zacisnęła się wokół mojego nadgarstka na tyle mocno, żeby nie była w stanie go wyrwać. Pax złożył się jak scyzoryk i zrzucił mnie z pleców. Wylądowałam na ziemi. To Dash stał nade mną, a jego twarz była zupełnie pozbawiona emocji. Nie potrafiłam z niej nic wyczytać. Jedynym źródłem światła była luna rozchodząca się od Riot House. W tym oświetleniu wyglądał jak rzeźba pozostawiona na pastwę żywiołów.

– Mała... wariatka... – wydyszał Pax, odwracając się do mnie.

Już miał rzucić się w moją stronę, gdy z cienia wyłoniła się trzecia postać. Wren, niczym błądy upiór, stanął nade mną z rękami w kieszeniach. Ciemne włosy zakrywały mu połowę twarzy. Na ustach miał krzywy, drapieżny uśmiezek.

– Chłopcy, czas wyciągnąć naszą najlepszą porcelanę – wymruczał. – Wygląda na to, że mamy niespodziewanego gościa.

ELODIE

Kawa była gorzka i ciepła. Rozlała się przyjemnie po moim ciele, przyprawiając o błogi dreszcz. Dash siedział na samym brzegu skórzanej kanapy. Przyglądał mi się z taką fascynacją, jakby właśnie wybudził się z trwającej trzy tysiące lat śpiączki i nie mógł ogarnąć konceptu kawy. Albo kubków. Albo sof. Albo dziewczyn znających krav magę.

– To było naprawdę imponujące – powiedział z opartą na dłoni brodą.

– To było głupie – warknął Pax, masując sobie gardło. – Wiedziała, że się tylko wygłupiałem. Chciała się popisać.

Siedział na podłodze, oparty o ścianę przy kominku. Piorunował mnie wzrokiem, masując swoją „obitą” tchawicę. *Ledwie go, kurwa, tknęłam.*

Wren nie mówił zbyt wiele. Stał w drzwiach prowadzących do kuchni i w napięciu obserwował swoich przyjaciół. Raz czy dwa przebiegł po mnie wzrokiem, ale główną uwagę skupiał na Dashiellu i Paxie. Jakby na coś czekał. Miał na sobie czarną bluzę z kapturem i luźne dresy. Wyglądał nieprzyzwoicie dobrze. Temu skurwysynowi nawet w worku na śmieci byłoby do twarzy. Oderwałam od niego oczy. Dash marszczył na mnie brwi.

– Co cię sprowadza, kochana? – zapytał uprzejmie. – Uwielbiamy przyjmować gości, ale nie bardzo mieliśmy czas posprzątać. Jest po północy, a my dopiero co wróciliśmy z długiej podróży. Mieliśmy właśnie zacząć planować imprezę.

Dom był nieskazitelnie czysty. Gruby kremowy dywan, na którym rozpląszczył się irytujący zadek Paxa, wyglądał na świeżo odkurzony. Na szklanym stoliku nie widniał nawet jeden odcisk palca. Mosiężny panel nad kominkiem był tak wypolerowany, że można było się w nim przejrzeć. Ponure obrazy na ścianach – czarne, niebieskie i białe znaki emocji na płótnie – całkowicie zapierały dech w piersiach, gdy były właściwie oświetlone. Na ich ramach nie mogłam się dopatrzeć choć krztyny kurzu. Magazyny i książki ustawiono na kredensie w tak równych rzędkach, że nie wystawał z nich choć jeden zagięty róg. Całość wyglądała jak pieprzone lobby hotelowe.

Wren kaszlnął w złożoną w pięść dłoń, pewnie chcąc w ten sposób ukryć parsknięcie śmiechu. W kąciach oczu widziałam jednak zmarszczki zdradzające rozbawienie. Kiedyś nie sądziłam, że był zdolny do uśmiechu, tymczasem działa się to całkiem często. Wystarczyło tylko zwracać uwagę na szczegóły i...

Nagle moją uwagę zwróciło coś zupełnie innego. Jego kłykcie były poobijane. Na jednym z nich widniała nawet otwarta, świeża rana. Nie wyglądały w ten sposób tamtej nocy na strychu, ani w bibliotece. Zauważyłabym. Musiał coś uderzyć, od czasu gdy widziałam go w sobotę, i wszystko wskazywało na to, że zrobił to mocno. Jakby poczuł na sobie mój wzrok, rozluźnił pięść, rozprostował palce i schował dłoń do kieszeni dresów, z oczami skupionymi na swoich butach.

– Wybaczcie, że przeszkodziłam wam w planowaniu imprezy – przeprosiłam żartobliwie. – Chciałam tylko... zwrócić Wrenowi książkę, którą mi pożyczył.

Wyciągnęłam z torby *Studium w szkarłacie*. Trzymałam ją z zakłopotaniem w powietrzu, jakby fizyczne pokazanie im książki miało uczynić moją wymówkę mniej kiepską.

Wren spojrział na mnie spod ciemnych brwi. W końcu ofiarował mi całą swoją uwagę. Wyglądał, jakby go coś bolało. Usta mu drżały, kącik wykrzywił się w górę.

– Achhhh. Sherlock Holmes. No tak. Zastanawiałem się, gdzie się podziała.

– Boże, jesteś żaloszny – roześmiał się Pax. Ściągnął skarpetkę z prawej stopy, zwinął ją w kulkę i rzucił nią w twarz Wrena. – Dziewczyna w środku nocy zbiegła w podskokach z jebanego wzgórza, zupełnie sama, a ty sobie tu stoisz i pieprzysz rzeczy typu: „Ooooch, Sherlock Holmes! Moja ulubiona książka!”. Typie, więcej wiary w nasze zdolności umysłowe. Przyszła tu na ruchanie, Jacobi.

Dash parsknął śmiechem przez nos, ale szybko odzyskał nad sobą panowanie. Wpatrywał się w sufit, starannie unikając mojego spojrzenia. Jediną osobą, która na mnie patrzyła, był Wren. Musiał zauważyć czerwień moich policzków. Nic dziwnego, tego typu zażenowanie można by dostrzec nawet z innej planety. Schyliłam głowę, a następnie nią poruszyłam, strzelając kręgami szyjnymi. Wypuściłam oddech. *No i co z tego, że tak myśleli? Co to kogokolwiek obchodzi?* Byli dwójką wstrętnych hien. Nie miałam najmniejszego zamiaru pozwolić, by mnie zawstydzili swoimi głupimi komentarzami czy dzieciennymi żartami.

Powoli się podniosłam. Ręce miałam wciąż zajęte książką i kubkiem z kawą.

– Myślcie sobie, co chcecie. Idę do twojego pokoju, Wren. Dam ci chwilę na dokończenie twoich imprezowych obowiązków. Bez pośpiechu.

Cała trójka wgapiła się we mnie bez słowa, gdy przeszłam przez salon i zaczęłam powolną wspinaczkę po schodach. Serce waliło mi jak oszalałe, puls dzwonił w uszach, ale nie zatrzymałam się. Ze stabilnie trzymanym w dłoni kubkiem stawiałam krok za krokiem, a byłam przy tym zupełnie spokojna i opanowana. Przynajmniej dopóki nie dotarłam do drugiego piętra, gdzie nie mogli mnie już zobaczyć. Dłoń zaczęła mi drżeć tak gwałtownie, że rozbijała kawę, która finalnie wylądowała na wypolerowanej podłodze. Na szczęście nie trafiłam w szary, pluszowy chodniczek, ale jednak narobiłam bałaganu.

– Kurwa, kurwa, kurwa!

Szybko zdjęłam bluzę i rzuciłam ją na podłogę, po czym nadepnęłam na nią, by zetrzeć stopą kałużę. Cała się trzęsłam. *Co ja właśnie, do cholery, zrobiłam? Przed Dashielle i Paxem? I Wrenem? Co, do kurwy? „Idę do twojego pokoju”? „IDĘ DO TWOJEGO POKOJU”???* *O mój Boże. Przecież ja go ledwie znam. Słodki Jezu, dlaczego nie mogłam po prostu wysłać mu jakiegoś gównianego SMS-a, w którym opierdolilibym go za olanie mnie?*

Jeden Bóg wie, w jaki sposób udało mi się pokonać kolejne piętra. Gdy otworzyłam drzwi do pokoju Wrena, nogi z trudem utrzymywały mnie w pionie. Szybko zamknęłam je za sobą. *No to super. Wręcz nie mogło pójść lepiej.* Powinnam to lepiej zaplanować. Gdyby mnie nie przyłapali na kręceniu się wokół domu, przypominając psychopatkę, co właściwie zamierzałam zrobić? Podejść do drzwi i zapukać? W środku nocy? Czy tak by zrobił zdrowy psychicznie człowiek?

Rzuciłam książkę na łóżko, a potem postawiłam niedopity kubek kawy na półce przy drzwiach. Nie potrzebowałam już rekwizytu, który miał uwiarygodnić normalność mojej wizyty. Zdecydowanie nie potrzebowałam też kawy, bo byłam wystarczająco roztrzęsiona. Oparłam się o ścianę i zamknęłam na chwilę oczy.

Oddychaj, Elodie.

Po prostu oddychaj.

Wdech i wydech, wdech i wydech.

Wszystko jest okej. Da się naprawić.

Nie było okej, a oddychanie tylko pogarszało sprawę. Sypialnia pachniała Wrenem. Słone morskie powietrze, świeże trociny, subtelna nutka cytrusów... Dopiero co uspokajające się serce nagle rozszalało się na dobre. Puls dudnił w uszach, grożąc ogłuszeniem.

Uspokój się, Elodie.

Uspokój się.

Dalej, nazwij pięć rzeczy, które możesz teraz zobaczyć. No dalej. Pięć rzeczy, które możesz zobaczyć. Dasz radę. Po prostu się, kurwa, uspokój.

Pierwszą rzeczą, na którą padły moje oczy, był zniszczony zeszyt. Leżał na łóżku Wrena. Nawet stojąc pod drzwiami, mogłam dostrzec papier w linie pokryty nieczytelnym pismem, sporządzonym czarnym atramentem. Wyglądał na pamiętnik...

Drugą rzeczą było płótno, ustawione na sztaludze w rogu pokoju, tuż przy oknach rozciągających się od podłogi do sufitu. Pod sztalugą rozłożono poplamione farbą prześcieradło. Na biurku obok stał pojemnik pełen pędzli. Włosie wystawało ze szklanego słoika, drewniane końcówki miały na sobie ślady różnych kolorów. A samo płótno... Podeszłam do niego. Serce w końcu trochę spowolniło, gdy próbowałam ogarnąć umysłem to, co właśnie widziałam.

Czerń, granat, szarości i biel. Przypomniła mi się pierwsza myśl, jaką miałam na widok powieszonych na parterze obrazów, gdy włamałam się tu z Cariną. Wszystkie wyglądały jak rozszalałe, gniewne burze. Nie miały konkretnego tematu, jednego punktu skupienia, ale nawet w ciemnościach dało się odczuć emanujący od nich niepokój. Ten obraz był zupełnie inny. Przedstawiał konkretną postać... i byłam nią ja.

Tułów wraz z ramionami odmalowano za pomocą energicznych, zamaszystych ruchów szerokim pędzlem. Detale szyi czy twarzy były delikatniejsze, wykonane z większą starannością. Połowa obrazu wyglądała, jakby składała się z samych gniewnych, szybkich i pełnych urazy pociągnięć, podczas gdy reszta sprawiała wrażenie, jakby włożono w nią ogrom uwagi i wysiłku, tak, by oddać każdy najmniejszy detal.

Nie uśmiechałam się. Siedziałam na kanapie, której kwiecisty wzór rozmazano, by nie odciągał uwagi od głównego obiektu. Beładna mieszanina barw i kształtów nad moją głową zdradzała miejsce akcji: siedziałam pod *Pocałunkiem* Gustava Klimta, w norze doktora Fitzpatricka. Patrzyłam w bok. Linia szczęki ostro się odcinała, jakbym zaciskała w złości zęby. W oczach miałam obojętny, a jednocześnie agresywny błysk, dzięki któremu cała tak właśnie wyglądałam. Zajadle, intensywnie.

– Podobałaś mi się taka zezłoszczona. Na początku. – Wren stał w drzwiach z założonymi na piersi rękoma. Obserwował mnie z jednym z tych nieczytelnych dla mnie i zagadkowych wyrazów twarzy. – Teraz nie jestem już pewien. Lubię, gdy się uśmiechasz, ale trudno cię namalować w ten sposób.

– Czemu? – Szept przypominał pojedyncze tchnienie powietrza.

– Bo nigdy nie uśmiechasz się do mnie, Malutka Eli. Mogę uchwycić momenty, gdy wyglądasz na zdenerwowaną, bo są mi znane. Zdążyłem zasłużyć sobie na twoją złość i nienawiść. Ale gdy śmiejesz się z Cariną albo uśmiechasz do kogoś na korytarzu, nawet jeśli nie znasz tej jebanej osoby... – Potrząsnął głową. – Te momenty do mnie nie należą. Nie są moje. Nie mam prawa ich sobie zawłaszczać.

– Nawet nie wiedziałam, że malujesz – wyszeptałam.

Uniósł na mnie brew i przekrzywił głowę.

– Nie wiedziałaś?

– Ugch. Okej, wiedziałam. Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Po prostu...

– Po prostu nie wiesz, co robić. Nie wiesz, co czuć. Boisz się prawdy i tego, co mogłaby oznaczać. Wszystko wywróciło się do góry nogami...

Brzmiało to tak zagmatwanie. Zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Tak. Dokładnie tak – zgodziłam się.

Wszedł do pokoju. Jego kroki były na tyle powolne, by dać mi czas na reakcję i ewentualną ucieczkę. Pozostałam na swoim miejscu. Nie śmiałam nawet oddychać, gdy się do

mnie zbliżał. Zatrzymał się na tyle blisko, że nasze ramiona się o siebie otarły. Staliśmy teraz razem przed obrazem. Przenikliwe, zielone oczy oceniały swoje dzieło z pozycji zimnego oderwania.

– Nie lubię malować ludzi – przyznał cicho. – Nieważne, jak dobrze udaje mi się uchwycić podobieństwo, zawsze kończę przelewając na nich własne emocje. Zawsze wyglądają na zezłoszczonych i gotowych do walki.

Potarł palcem głębokie zmarszczenie między brwiami, jakby mógł w ten sposób usunąć napięcie, które stworzył na mojej twarzy.

– Nie powinnaś tu przychodzić, wiesz? – dodał sztywno. – To nie jest bezpieczne miejsce dla kogoś takiego jak ty.

– Kogoś takiego jak ja? Nie jestem jakąś słabą, żalowaną, bezbronną dziewczynką, która nie potrafi o siebie zadbać. Przetyk Paxa miał już szansę się o tym przekonać. Poza tym to twój dom. Co wy tu niby, do cholery, robicie? Powinam się o siebie martwić?

– Tak! – Brzmiał na sfrustrowanego i tak też wyglądał. Przeczesał dłonią włosy, odwrócił się od obrazu, a następnie zrobił krok w stronę łóżka. – Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć, Elodie. To wszystko... jest kurewsko skomplikowane. Nie powinienem cię tak nagabywać, ale jestem dupkiem, okej? Nie jestem znany z robienia tego, co najlepsze dla innych.

Przygryzłam wargę, spięłam wszystkie mięśnie i zebrałam resztki pozostałej mi odwagi, by zadać pytanie, z którym tu przyszedłam.

– Zniknąłeś. Zniknąłeś na trzy dni bez żadnego wyjaśnienia. Powiesz mi, gdzie byłeś?

Powoli pokręcił głową, wpatrując się w swoje dłonie.

– Nie. To niezbyt dobry pomysł.

Wow. Naprawdę nie zamierzał mi powiedzieć?

– Czy ty... byłeś z innymi dziewczynami? Dlatego mi nie powiesz?

– A byłabyś zazdrosna, gdyby tak było? – Mały uśmiezek wygiął mu usta.

Nie mogłam znieść ani tego, że naprawdę o to zapytałam, ani samozadowolenia na jego twarzy. Właśnie obnażyłam miękką, podatną na zranienie część siebie. Odsloniłam przed nim szyję. Nie potrzebował wiele, by rozerwać mi gardło.

– Po prostu odpowiedz, Wren.

Nadal pełny satysfakcji, zassał dolną wargę i potrząsnął głową.

– Nie, Malutka Eli. Żadnych dziewczyn.

Choć ulga była ostatnią rzeczą, jaką powinnam teraz czuć, wypełniła mnie po brzegi.

– Okej. Czyli co, skończyłeś ze mną? Bo zazwyczaj faceci nie rozplývają się w powietrzu chwilę po tym, jak zmusili cię do obiecania, że spędzisz z nimi czas.

Zamarł. Nie spojrzał na mnie. Uniósł tylko nieznacznie głowę, zwracając ją w moją stronę. Oczy miał na wpół przymknięte, a twarz pełną wewnętrznego rozdarcia.

– Tego chciałaś, prawda? Przez cały ten czas. Chciałaś, żebym zostawił cię w spokoju.

Tak. Niby tak. Przedarłam się przez bagna frustracji i złości, usiłując się od niego zdystansować. A gdy w końcu byliśmy w tym miejscu, gdy w końcu pozwalał mi odejść... Udałam, że to jakieś nowe odkrycie, że uderzyło mnie znikąd, ale prawda była inna. Pragnęłam go, odkąd zobaczyłam go po raz pierwszy, czekającego na mnie wtedy pod akademią, palącego w cieniu papierosa. Nawet z tym paskudnym sposobem bycia, ciętym językiem i podejrzaną historią – chciałam go. A pocałunek z piątkowej nocy sprawił, że rozpadłam się w sposób, który jednocześnie mnie zachwycał i przerażał.

– Komu zapłaciłeś za znalezienie ptaszka? – zażądałam.

– Co?

– Ptaszek mojej mamy. Zostawiłeś mi go pod drzwiami. Komu zapłaciłeś, żeby

przeszukał obrzydlistwa z worka od odkurzacza i pozbierał wszystkie kawałki?

Wren cofnął głowę ze zdziwienia. Brwi uniosły się wysoko na czole.

– Komu zapłaciłem?

– Tak.

– Nikomu, a znalezienie tych kawałków było o wiele trudniejsze. Woźny opróżnił worek do kontenera przy kuchni. Poza nim był pusty, ale wciąż nie należało to do zbyt przyjemnych czynności.

Czy mu wierzyłam, że nie tylko nikogo nie zmusił do brudnej roboty, ale sam zdobył się na coś tak niesamowicie odrzucającego, i to dla mnie? Trudno mi było sobie wyobrazić, jak wskakiwał do kontenera tylko po to, by móc pogrzebać w brudzie i gnoju w poszukiwaniu czegoś ważnego dla drugiej istoty ludzkiej. Udało mi się dojść do momentu, w którym stał tuż obok. W mojej głowie oparł się o śmietnik, zapalił papierosa i z aroganckim, zadowolonym z siebie uśmiechem uprzejmie poprosił, żebym się pierdoliła.

– Zamierzałaś mnie ochrzcić za zmuszenie kogoś do złożenia dla ciebie tego ptaszka. Mam rację, prawda? Tylko po to tu przyszłaś? – zapytał.

Usiadł na skraju łóżka, czekając na moją odpowiedź. Nie wiedziałam, czy byłam w stanie mu jej udzielić. Teraz, gdy tu byłam, a on zachowywał się tak dziwnie, odsłaniał się tak jawnie... Nie wiedziałam już, co myśleć.

– Tak – przyznałam niechętnie. – Założyłam, że odbyłeś przyjacielską rozmowę z Tomem albo którymś z jego kolegów i zasugerowałaś, żeby wykonali dla ciebie małą przysługę, bo w przeciwnym razie skończą z podbitym okiem.

Coś smętnego i przejmująco nieszczęśliwego rozlało mu się po twarzy. Obserwował swoje dłonie, skubiąc resztki czarnego lakieru.

– Mógłbym zrobić coś takiego. W innej sytuacji. Ale nie, gdy chodziło o rzecz, którą chciałem dać tobie, Malutka Eli. Wyglądałaś na załamana tą stratą i... Nie wiem – zaciął się. – Chciałem to naprawić. Chciałem być tym, który to naprawi, a nie zrobić kogoś innego w załatwienie tego. Więc po tamtej burzy poszedłem do woźnego. Od tamtego czasu każdej nocy spędzałem kilka godzin lepiać sobie palce klejem, usiłując poskładać to w całość. Musiałem użyć gliny, by wypełnić miejsca po częściach, których nie udało się znaleźć. I tyle, koniec historii. Naprawiłem to i zwróciłem ci. Nie ma potrzeby robić z tego czegoś wielkiego.

Nigdy jeszcze nie widziałam go tak nieswojego. Wyglądał, jakby właśnie gryzły go tysiące mrówek, a ktoś jednocześnie wtykał mu bambusowe paliki pod paznokcie.

– Nie rozumiem cię – stwierdziłam. – Dlaczego jesteś tak spięty tym, że ktoś odkrył, że zrobiłeś dla niego coś miłego?

– Bo nie jestem miły – wydusił przez zaciśnięte zęby. – Nie robię miłych rzeczy. Nie wiem jak... być miłym.

To nie był Wren Jacobi, którego znałam. Tamten Wren był pewny siebie. Ten Wren był tak zestresowany, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć. Usiadłam obok niego, w ogóle nie biorąc pod uwagę konsekwencji tego, jak jego bliskość wpłynie na moją zdolność oddychania albo jak ciepło jego nogi, dotykającej mojej, przyprawi mnie o zawroty głowy.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – przypomniał.

Niezdecydowanie pochwyciło mnie za język. Rzeczywiście unikałam odpowiedzi, ale zwyczajnie nie wiedziałam, jak powinna brzmieć. Carina poradziłaby mi, żebym uciekała gdzie pieprz rośnie i dziękowała losowi, że udało mi się wyjść z tego bez szwanku. Z drugiej strony Wren miał rację. Odkąd pojawiłam się w Wolf Hall, nie widziałam, żeby zrobił cokolwiek niewybaczalnego. Nie miałam powodu by myśleć, że mógł mnie zranić.

– Chciałaś, żebym ci zaufała – zaczęłam szeptem, bojąc się tych słów nawet wtedy, gdy

już je wypowiadałam – a ja się bałam. Wiem, że chęć bycia z tobą, w jakikolwiek sposób, jest prawdopodobnie najgłupszą rzeczą, jaką mogę zrobić. Ale chcę tego, Wren. Chcę ciebie i... odpowiedź brzmi: nie. Nie chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju. Czuję, że tu może być...

– ...coś więcej – uzupełnił. – O wiele więcej. Między nami.

– Tak.

Te części mnie, które stykały się z jego ciałem – kolano, udo, biodro, ramię – sprawiały wrażenie, jakby weszły w kontakt z cysterną wrzątku, której temperatura nieustannie wzrastała, na tyle powoli, że nawet tego nie zauważyłam, dopóki mnie nie poparzyła. Chciałam się odsunąć, ale wtedy chłopak odwrócił głowę i spojrzał na mnie kątem oka. Przygwoździł mnie tym spojrzeniem. Byłam niezdolna do jakiegokolwiek ruchu.

– Nie mogę obiecać, że cię nie zranię, Malutka Eli. Ale mogę przysiąc, że jeśli nawet się tak stanie, to na pewno nie celowo. I że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie doszło. – Przełknął z trudem. Grdyka mu podskoczyła. – Myślisz, że to wystarczy?

Powietrze było tak przeładowane napięciem, że miałam wrażenie, jakby z każdym oddechem w moje płuca wdzierał się syrop. Cały się spiął, z nieznacznie uniesionymi barkami oczekując mojej odpowiedzi. W pełni świadoma tego, jak wielką głupotę właśnie popełniałam, powoli skinęłam głową.

Zielone oczy nagle się ożywiły.

– Dzięki, kurwa, Bogu.

Zwrócił się w moją stronę, ujął mi twarz w dłonie i złączył nasze usta w pocałunku, zanim zdołałam jakkolwiek zareagować. Ogarnęło mnie ciepło. Wystartowało od stóp, aż po czubek głowy, wypalając od środka. Świat utracił stabilność. Łóżko się przechyliło, a podłoga razem z nim. Mój mózg wyrócił się do góry nogami... i nagle poruszałam się tak, by znaleźć się jak najbliżej niego, wdrapywałam mu się na kolana jak jakieś dzikie zwierzę, którego jedynym celem było owinięcie się wokół jego ciała.

Nie było konieczności wzbudzania płomienia namiętności czy powolnego podsycania atmosfery. Po ostatnich tygodniach tańczenia wokół siebie żadne z nas nie potrzebowało gry wstępnej. Językiem wdarł mi się między usta, plątając go z moim. Smakował mnie, lizał, eksplorował z gorączkowym nagleniem, w obliczu którego mogłam tylko dyszeć i skomleć jak jakiś pieprzony, spragniony uczucia pies. Dłonie Wrena spoczęły na moim krzyżu, przyciągając mnie do siebie. Wygięłam się i przywarłam do niego piersiami. Chciałam być jak najbliżej. Jęknął, oddychając ciężko prosto w moje usta. Te dźwięki... To, jak odchodził od zmysłów... Czulałam się, jakby fajerwerki wybuchły mi pod powiekami.

To się dzieje.

Czy to się naprawdę dzieje?

– Elodie – wydyszał. Wplotłam mu palce we włosy i rozkoszowałam się ich gęstością. Brałam oddech za oddechem, usiłując zapanować nad tym dziwnym, wymykającym się wszelkiej kontroli uczuciem, które szalało wewnątrz mojej klatki piersiowej niczym jebany huragan.

– Elodie – powtórzył. Odsunął się odrobinę. Pociągnął mnie za włosy na tyle mocno, żeby zmusić mnie do spojrzenia na siebie. – To ten moment, gdy muszę ci powiedzieć, że powinniśmy przestać, jeśli... jeśli ty... jeśli nie...

– Przymknij się i pieprz mnie, Wren.

Oczy rozbliły mu tak żywą, intensywną zielenią, że skradły mi dech.

– Jak sobie życzysz. – Jednym sprawnym ruchem zamienił nas pozycjami. Leżałam na łóżku, a on klęczał nade mną z uśmiechem godnym demona. Wzrokiem jeździł po moim ciele, bez choćby cienia wstydu. – Jakkolwiek sprośne myśli miałaś na mój temat, Stillwater, ja miałem dziesięć razy gorsze. Nie masz pojęcia, ile razy leżałem na tym łóżku, z kutasem w dłoni,

i dotykałem się z tobą przed oczami. Ile razy prawie odgryzłem sobie język, tęskniąc za tobą, gdy doszedłem na własny brzuch. Zawsze byłem zdeprawowanym gnojkiem, Elodie Stillwater, ale myśl o tobie doprowadziła mnie na skraj szaleństwa.

O... mój... Boże...

Samo wyobrażenie, sama wizja tego chłopaka, leżącego na łóżku z zamkniętymi oczami, dotykającego się, głaszczącego swojego penisa i wyobrażającego sobie mnie, gdy oddawał się wzrastającej przyjemności...

To było za dużo. Po prostu, kurwa, za dużo. Pragnienie skumulowało mi się między nogami, było tak nagłace i gorączkowe, że musiałam zacisnąć uda, by powstrzymać biodra przed niekontrolowanymi ruchami. Wren karmił się tym widokiem. Moje przeszkłone, pełne głodu oczy wydawały się tylko go nakręcać.

– Pokrywałem tobą płótna, Malutka Eli, ale to nigdy nie było wystarczające. Wszystko, czego chciałem... – Chwycił spód mojej koszulki, zaciskając pięść na cienkim materiale. – Wszystko, czego tak desperacko pragnąłem... – Rozerwał materiał na pół, odsłaniając brzuch i klatkę piersiową. – ...to pokryć całe twoje ciało spermą.

Nie wstydził się. Położył dłonie na skrytych pod czarną koronką piersiach. Przez zaciśnięte zęby wydobyło się zwierzęce, zaborcze warknięcie, na dźwięk którego plecy wygięły mi się w łuk. Pochylił się nade mną. Oddychał przez nos, całował i lizał wzdłuż mojej szyi, a potem w dół, aż znalazł się bezpośrednio nad moimi piersiami. Ile razy wpatrywałam się w te piękne, okrutne usta, zastanawiając się nad tym, do czego są zdolne? Wyobrażanie sobie, ile mogły dać przyjemności, wydawało się zbyt niebezpieczne.

A jednak oto byłam tu, na jego łóżku, zupełnie przed nim rozłożona, i na własnej skórze przekonywałam się, jak brzmiały odpowiedzi na te pytania...

Potańczył szczęką o moje piersi, a następnie zamknął usta na cienkim, przezroczystym materiale, pochwyił sutek między zębami i...

– Kurwa! Wren!

Ból rozpalił mi ciało, a był wspaniały i oślepiający. Szelmowski, absolutnie grzeszny uśmiech rozlał mu się po twarzy. Ze skrupulatną powolnością przejechał dłonią w górę mojej sylwetki, począwszy od biodra, przez brzuch, żebra, ramię, szyję – na której zatrzymał się przez chwilę, delikatnie ściskając – i dalej w górę, dopóki jego dłoń nie spoczęła na mojej buzi, lekka jak piórko.

– Wierz mi, Malutka Eli, nie chcesz, żeby to usłyszeli.

Mówił o Paxie i Dashu. Jego dupkowaci współlokatorzy pewnie czyhali gdzieś na korytarzu, klepali się po plecach, zachowując się jak skończone złamasy liczące na to, że uda im się cokolwiek usłyszeć. Mina Wrena nabrała ostrzegawczego wyrazu.

– Sponiewieram cię, Elodie. Zaprę ci dech w piersiach. Sprawię, że dojdiesz tak mocno, że przez tydzień nie będziesz w stanie prosto chodzić – wymruczał. – Ale nie wolno ci, pod żadnym pozorem, wydać z siebie żadnego dźwięku. Rozumiesz? Jeśli cię usłyszą...

Nie dokończył zdania, ale widziałam, że był poważny. Śmiertelnie.

Schylił się, a potem pocałował mnie gwałtownie, napierając na mnie językiem, zębami i czystą, niepohamowaną żądzą. Byłam kompletnie oszołomiona.

– Dasz radę? – zapytał. Zębami skubał moją dolną wargę. – Będziesz dla mnie cicho? Zrobisz, o co cię poproszę i kiedy cię poproszę, bez krzyczenia na cały dom?

Skinęłam głową. Własnoręcznie bym się zakneblowała, jeśli tylko dzięki temu nie przestałby mnie całować, a jego oczy kontynuowałyby pożeranie mnie, jakbym była najrozkoszniejszą rzeczą, jaką miały okazję oglądać. Dłonie miał zrogowaciałe i cudownie szorstkie. Jechał nimi w dół mojego ciała, a mnie przeszedł dreszcz. Byłam zupełnie zdana na

jego łaskę. Zahaczył palcami o szlufki od jeansów, wymownie za nie ciągnąc.

– Podnieś tyłek – rozkazał.

Posłuchałam się bez chwili zastanowienia. Położyłam stopy na łóżku i uniosłam biodra. Szybkimi, zręcznym palcami rozpiął mi spodnie, a następnie rozpiął zamek i chwycił za materiał, zdzierając go z moich nóg. Nie spuszczał głodnego wzroku z nagiej skóry, gdy ześlizgnął się z materaca i zdjął bluzę w ten typowy dla mężczyzn, leniwy sposób. Sięgnął ręką do tyłu, by jednym płynnym ruchem ściągnąć ubranie przez głowę, razem z podkoszulkiem. Obie rzeczy upadły na podłogę.

Stał w samych dresach. Kciuki wsunął pod ściągacz i uśmiechnął się do mnie w tak charakterystyczny dla niego, a zgubny dla mnie, sposób. Widziałam wyzwanie w jego oczach. Było zuchwałe i bezwstydne. Poznałam od razu, że pod spodniami był zupełnie nagi.

– Może masz ochotę wrócić na dół, żeby napić się jeszcze kawy? – zapytał uprzejmie.

Otwierał przede mną metaforyczną furtkę. Dawał opcję wycofania się z sytuacji, dopóki sprawy nie zaszły za daleko.

– Doceniam ofertę – odparłam bez tchu – ale eksploduję, jeśli zaraz tu nie wrócisz i się mną nie zajmiesz.

Jego uśmiech stracił wesołość. Też to czuł. Ta dziwna elektryczność między nami musiała zżerać go żywcem w ten sam sposób, w jaki zżerała mnie. Ściągnął spodnie i, tak jak się spodziewałam, kutas wyskoczył spod grubego materiału, stercząc dumnie. Minął moment. Wbiłam sobie paznokcie w wewnętrzną część dłoni, bliska przecięcia skóry. Wren stał bez ruchu. Pozwalał mi na przyjrzenie się.

Był cholernie twardy i duży. Nie oczekiwałam niczego innego; Wren codziennie nosił się w sposób, który nie budził żadnych wątpliwości, co do rozmiaru zawartości jego spodni. Wprost emanował pewnością siebie. Mimo to nie sądziłam, że był aż tak duży. Ciężka główka podskoczyła w górę i w dół, a ja czułam się, jakbym zanurzała się coraz głębiej w łóżku, jakbym zniknęła wewnątrz materaca, połykana przez koc i masę poduszek.

Zrobił krok w moją stronę, obejmując się dłonią.

– Jesteś pewna, co do tej kawy?

Błysnął zębami w uśmiechu, w reakcji na który gałki oczne prawie wywróciły mi się do środka czaszki. *Słodki Jezu, jest przepiękny.* W altance, podczas tamtej burzy, miałam okazję ukradkiem na niego zerknąć, ale nie pozwoliłam sobie na tak otwarte upajanie się jego widokiem, jak robiłam to teraz. Mięśnie miał wręcz absurdalnie zarysowane. Brzuch odcinał się dumnie od równie dobrze zbudowanej klatki piersiowej. I jeszcze te dwie, wyraźnie zdefiniowane linie, układające się w literkę „v” prowadzącą wzrok między nogi, prosto do twardej jak stal erekcji... Nie mogłam odwrócić oczu. Zamiast tego spojrzałam więc w dół, na jego jądra. Wren podążył za moim spojrzeniem i objął się niżej. Wstrząsnął nim lekki dreszcz, gdy wydałam z siebie absolutnie żenujący jęk.

– Czyli naprawdę po to tu przyszłaś, Malutka Eli? – drażnił się. – Wiedziałaś, że to się stanie? Myślałaś o moim kutasie przez całą drogę tutaj?

Przełknęłam. Desperacko próbowałam objąć umysłem to, co się właśnie we mnie działo. Jeszcze nigdy nie czułam się tak rozdarta. Zbyt wiele myśli, potrzeb i pragnień kłębiło się w środku. Spierały się ze sobą, przekrzykiwały, błagały o to, bym zwróciła na nie uwagę. Moje emocje przypominały jeden z obrazów Wrena – chaos barw, światła i ciemności. Beładny, zamazany, a przy tym zupełnie surrealistyczny.

Czy to się naprawdę dzieje? Naprawdę tu jestem? A może tylko przeżywam jakiś gorączkowy, niesamowity koszmar, z którego zaraz się obudzę, dysząca i pokryta potem?

– Nie – wyszeptalam. – Nie pozwoliłam sobie na myślenie o... tym.

Tak było. Już wyobrażanie sobie tego wydawało się zbyt niebezpieczne. Gdyby choć przeszła mi przez głowę myśl, że coś takiego mogło się wydarzyć, biegłabym z powrotem w stronę akademii, jakby gonił mnie sam diabeł.

Mądre dziewczynki nie zadawały się z diabłami.

Trzymały się z daleka od tarapatów.

Kiedyś wydawało mi się, że wiedziałam dokładnie, kim byłam: kimś, kto stając twarzą w twarz z pokusą, podejmował właściwą decyzję. Dopiero teraz zdawałam sobie sprawę z tego, że dotąd nigdy nie znalazłam się w takiej sytuacji. Gdy byłam w Tel Awiwie, rezygnowanie z imprez, alkoholu i przystojnych chłopców przychodziło mi łatwo. Powodem tego był mój ojciec. Perspektywa intensywnej sesji obmacywania z chłopakiem, który mi się podobał, bladła w zestawieniu z bezmiarem gówna, w jakim bym wylądowała, gdyby pułkownik Stillwater się o tym dowiedział. *Ale Wren... Kurwa.* Nigdy niczego nie pragnęłam tak bardzo. Nieważne, jak nierozsądne to było, zaryzykowałabym wszystko, by go mieć.

Drugą dłonią złapał się za kutasa, ściskając się teraz z dwóch stron. Z zamglonymi, rozproszonymi oczami podszedł do łóżka.

– Z racji, że jasno wyraziłaś swoją niechęć do błagania, potrzebuję, żebyś mi powiedziała wprost, czego oczekujesz od tej sytuacji.

Czułam się, jakby serce właśnie rzuciło mi się z klifu, zabierając ze sobą żołądek.

– Prawdopodobnie więcej, niż możesz mi dać – przyznałam nieśmiało.

– Nie mówisz o moim ciele. – Wydawał się zaintrygowany. – Mówisz o czymś innym.

Nerwy wisiały mi na włosku, który powoli zaczynał puszczać. Wszystko mnie bolało. Każda część mnie tęskniła za nim i płonęła dla niego. Nie wiedziałam już, czego chciałam.

– Nie wiesz, o co prosisz. – Jego mroczny głos niósł ze sobą obietnicę nieznanych mi jeszcze pokładów bólu. – Jest ściśle określona ilość mnie, jaką druga osoba jest w stanie znieść, zanim zacznie ją to boleć, Malutka Eli. I nie, nie mówię o swoim kutasie. – Krzywy uśmiezek nabrał bezwzględного charakteru. – Moje serce jest jak granat. Byłoby bezpieczniej dla wszystkich, gdyby pozostało tam, gdzie się obecnie znajduje. Zamknięte w klatce. Wyciągnięcie go z niej jest równoznaczne z wyjęciem zawleczonego.

– Co się wtedy stanie? – Cała drżałam.

Chłopak dotarł do krawędzi łóżka. Wpuścił z dłoni penisa i oplótł nimi moje kostki.

– Nie wiem. Nikt nigdy nie próbował.

Pociągnął mnie do siebie za nogi, uznając za swoją.

WREN

Świąteczny poranek.

Niewinny, sześciolatek Wren Jacobi usiadł obok swojej siostry bliźniaczki i niecierpliwie oczekiwał chwili otwierania prezentów. W wieku siedmiu, ośmiu, dziewięciu, a potem dziesięciu lat, robił dokładnie to samo. Serce biło mu w piersi, niezdolne do powstrzymania ekscytacji na myśl o tym, jakie wspaniałości miał znaleźć wśród stosów kolorowo zapakowanych prezentów obwiązanych wstążkami.

Wszystkie te świąteczne poranki razem wzięte nawet nie zbliżały się do poziomu euforii, jaką czułem teraz, ciągnąc Elodie wzdłuż materaca, prosto w swoje ręce. Nie byłem już naiwnym chłopczykiem, którego wizja klocków Lego napełniała dziecinną ekscytacją. Obecnie o wiele bardziej interesowało mnie rozpakowywanie rzeczy, niż ich składanie, a Elodie zapowiadała się na najcenniejszy prezent ze wszystkich.

Ta część mnie, która zabrała tamto zdjęcie z biurka dyrektorki – ta sama, która rozkoszowała się perspektywą złamania tej dziewczynie serca i doprowadzenia jej do łez – dała o sobie znać, wypuszczając z siebie całą masę wstrętnych rozkazów. Erekcja nabrzmiała jeszcze bardziej, krew zawrzała w żyłach niczym niemożliwa do zatrzymania, śmiertelna fala pływowa... ale zdusiłem ją w zarodku, nie dając dostępu do swojej głowy. Wren sprzed trzech tygodni już dawno wymyśliłby okrutnie zimne słowa, którymi obdarowałby Elodie tuż po nasyceniu się nią. Teraz szamotałem się sam ze sobą, ze światem obróconym do góry nogami. Nie wiedziałem, co zamierzałem, do kurwy nędzy, zrobić, gdy to się już skończy.

Ale nie zniszczę jej. Sprawię, że rozpadnie się na kawałki w moich ramionach. Będę patrzył, jak pęka, gdy dochodzi. A potem... Kto, do cholery, wie, co będzie potem. Nie ja.

Rzęsy zatrzepotały jej niczym pierdolone skrzydła motyla, gdy spojrzała na mnie z dołu. Oczy, w kolorze zimnego błękitu, były pełne pożądania i paniki. Język wyłonił się spomiędzy ust, by je zwilżyć, na czego widok z trudem powstrzymałem warknięcie.

– Odpowiedz mi, E. Czego chcesz? Jak daleko ma to zajść?

Pani Hopkins, nasza biedna nauczycielka od statystyki, miała pecha w dniu, w którym uczniowie Wolf Hall mieli otrzymać pogadankę na temat znaczenia werbalnej, entuzjastycznej zgody w kontekście kontaktów seksualnych i to ją wyznaczono do tego zadania. Byłaby teraz ze mnie cholernie dumna. Jak to szło... „Chłopcy, wiem, że jesteście jeszcze zbyt młodzi na myślenie o seksie (dobre sobie), ale pamiętajcie, żeby każdorazowo upewnić się, że druga strona ma ochotę na wasze zaloty. Jeśli nie usłyszycie od niej wyraźnego tak, najlepiej założyć, że odpowiedź brzmi nie”. Jej duma byłaby jednak chybiona. Nie pytałem Elodie o zgodę. Wyraziła ją już w momencie, gdy ogłosiła, że idzie do mojego jebanego pokoju, w dodatku przy Paxie i Dashu. Nie o to chodziło. Chciałem po prostu wiedzieć, na co mogę sobie pozwolić z moją Malutką Eli.

Wiła się przede mną. Piersi unosiły się i opadały gwałtownie. Palce stóp podkurczały się przy moim brzuchu. Boże, chciałem ją ugryźć. Chciałem ją, kurwa, pożreć. Chciałem owinąć sobie te piękne blond włoski wokół pięści i wepchnąć jej kutasa do gardła tak głęboko, jak była w stanie go wziąć. Powieki jej zadrzały, jakby była w stanie zajrzeć do mojego rozpustnego umysłu, a to, co w nim dostrzegła, doprowadzało ją do szaleństwa.

– Wiesz, czego chcę – szepnęła.

Achhhh. Biedna, Malutka Eli. Będę musiał jej pomóc rozwiązać ten języczek. Miałem w zanadru parę sztuczek, dzięki którym powinno się to udać. Ale wszystko w swoim czasie. Wciąż trzymałem w dłoniach jej kostki. Teraz rozłożyłem całe nogi tak, by jej stopy znajdowały się po obydwu stronach moich ud. Naprężony we mnie przewód – który uchodził za cierpliwość – napiął się jeszcze mocniej. Groził przerwaniem, gdy moim oczom ukazał się wilgotny skrawek jedwabiu. Już teraz była na tyle mokra, by przesiąknąć przez majtki.

– Och, E...

Policzki jej poróżwiały. Usiłowała zamknąć nogi. Szarpnąłem brutalnie za trzymane kostki i powoli pokręciłem głową.

– Przestań. Nie przysłaś tu po to, żeby się przede mną, kurwa, ukrywać. I dobrze o tym wiesz. Nie chcesz, żebym skosztował twojej cipki? – Nie patyczkowałem się. Od razu wyłożyłem kawę na ławę. Jej policzki rozpalily się jeszcze bardziej, a pokręcona, nickszerna część mnie zapięła z zachwyty na ten widok.

– Chcę – przyznała cicho.

– Dobrze. Chcesz, żebym pieprzył cię palcami?

– Tak.

– Chcesz, żebym cię tym przerznął? – Chwyciłem w dłoń penisa.

Przeszedł ją dreszcz. Pod dłońmi poczułem pokrywającą jej nogi gęsią skórę. Rozprzestrzeniła się na płaski, wysportowany brzuch, który ukrywała pod tymi durnymi, masywnymi podkoszulkami. Obserwowałem ją w fascynacji. Skinęła głową.

– Tak.

– Chcesz, żebym w tobie doszedł? – kontynuowałem. – Chcesz czuć, jak mój kutas będzie twardniał, im bliżej dojścia będę?

– Tak.

Gdy już przyznała, że mnie chciała, słowa zaczęły przychodzić jej jakby łatwiej. Biedna dziewczyna. Pewnie myślała, że to najgorsze wyznanie, do jakiego zostanie zmuszona – a ja się dopiero rozkręcałem.

– Zdejmij stanik – rozkazałem. – Majtki też. Połóż je na szafce nocnej.

Zawahała się. Nabrała powietrza przez nos.

– Teraz, Elodie.

W jej oczach rozgorzał ogień. Duch buntu powoli przedzierał się przez warstwę stresu. Podniosła się do pozycji siedzącej i sięgnęła do tyłu, by rozpiąć stanik. Na jej twarzy malowała się wiadomość do mnie, której nie dało się omylnie zinterpretować: „Uważaj, Jacobi. Odezwiij się tak do mnie raz jeszcze, a odgryzę ci tego fiuta”.

Prawdopodobnie nawet bym jej na to pozwolił. Bo przecież to oznaczało, że wcześniej włożyłaby go w te śliczne usteczka, oczywiście.

Nie spuszczała ze mnie wzroku. Zdjęła ramiączka, a materiał opadł bezwładnie. Jej cycki były po prostu, kurwa, perfekcyjne. Wiedziałem, że takie będą. Nie za duże, nie za małe. Idealne. Mlecznie biała skóra nie posiadała żadnych wad. Sutki miały najjaśniejszy możliwy odcień różu. Były tak blade i piękne, że nie mogłem się powstrzymać przed jęknieniem. Usta napełniły się śliną na samą myśl o ich ssaniu. Dłonie nie mogły się doczekać, by móc ją dotknąć. Elodie się uśmiechnęła. Zakołysała biodrami, gdy zsunęła z nich bieliznę, a następnie przeciągnęła ją w dół ud.

Skończyła mi się cierpliwość.

Chwyciłem za czarny, przezroczysty materiał, jedną dłonią zrywając go z jej ciała. Obnażyłem zęby w czymś na podobieństwo uśmiechu i podałem jej majtki.

– Na szafkę nocną – powtórzyłem. – A potem połóż się dla mnie na plecach, Malutka Eli.

Muszę ci się dokładnie przyjrzeć.

Położyła stanik i majtki tam, gdzie prosiłem, a następnie zastosowała się do dalszej części polecenia, kładąc się na łóżku. Dłonie spoczęły wzdłuż ciała, ale palcami wstrząsały drobne konwulsje. Z trudem powstrzymywała potrzebę zakrycia się.

W bezlitośnie powolnym tempie wpełz na łóżko. Rozłożyłem jej ponownie nogi. Tym razem tak, by między nimi klęknąć. Zamknęła oczy. Wiedziała, co miało teraz nastąpić.

– Otwórz je – rozkazałem. – Całkowicie. Chcę cię całą zobaczyć. Łechtaczkę, cipkę, odbył. Wszystko. Szerzej, Elodie – warknąłem, gdy zmieniła pozycję o zaledwie kilka centymetrów. – Szerzej.

Nogi jej drżały, gdy dała mi to, czego chciałem. Ugryzłem się w policzek. Wpatrywałem się w nią i jednocześnie traciłem resztki opanowania. Wzrokiem lustrowałem każdy detal jej najskrytszych, najświętszych części. Łechtaczka przypominała perłę – nabrzmiała, błyszcząca i mokra. Skóra była śliska, ciemniejsza tuż przy wejściu, a wszędzie indziej blada jak sutki. Wcześniej szczególnie interesował mnie seks analny, ale to, jak bardzo potrzebowałem zbadać dziurkę Elodie, balansowało na granicy legalności. Czułem się jak przestępca. Była taka dobra, taka czysta... Możliwość oglądania zakazanej części jej anielskiego ciała przyprawiła mnie o erekcję życia. Miałem wrażenie, że gdyby choć dmuchnęła w moim kierunku, od razu bym doszedł.

Nie pierdoliłem się w tańcu.

Nie powstrzymywałem w żaden sposób.

Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem jej tak, jakby już do mnie należała. Jakby zawsze była moja. Ciepło otoczyło czubki moich palców, oblepiając pożądaniem. Nie mogłem odwrócić wzroku. Zesztywniała. Palcami wbiła się w prześcieradło, zaciskając pięści na materiale. Gdy spojrziałem na jej twarz, miała mocno zaciśnięte oczy.

– Oddychaj – przypomniałem. – No chyba, że lubisz się stymulować poprzez ograniczanie dopływu tlenu do mózgu. W takim razie kontynuuj.

Wzięła głęboki wdech. Skóra napięła się na żebrach, piersi zafalowały, sutki sterczały. Stanowiła druzgocąco piękny widok. Gdy wypuściła powietrze, wepchnąłem w nią palce. W cipkę i w odbył jednocześnie. Otworzyła szeroko oczy.

– Kurwa mać – wyszczała.

Bóg jeden wie, jak to zrobiła, ale jeszcze mocniej zacisnęła mięśnie nóg. Włożyłem w nią palce głębiej. Nacisk wokół nich wzrastał, gdy walczyła, by zaadaptować się do nowych wrażeń. *Boże, jest zbyt dobrze...*

– Wiedziałem, że cię wcześniej rżnięto – wywarczałem – ale widzę, że masz przede mną tajemnice, Malutka Eli. W twoim tyłku jeszcze nikt nie był, prawda?

Wypuściła długi, uspokajający oddech. Skinęła leżącą na poduszkach głową.

– Achhh... tak – wyszeptwała.

– Pozwolisz mi na to? – wymruczałem.

Dyszała, łapiąc krótkie, płytkie oddechy.

– Tak – zgodziła się od razu. – Ja... ja... O Boże.

Zbyt usatysfakcjonowany, by myśleć trzeźwo, wyciągnąłem z niej dłoń. Zapadła się w materacu. *Czeka mnie mnóstwo zabawy z tą dziewczyną.* Jeśli moje przypuszczenia były słuszne, to będzie najlepsze, co mnie do tej pory spotkało. Zanim zdążyła otworzyć oczy, położyłem się na łóżku, nie zwracając uwagi na narzekania rozgoryczonego brakiem uwagi penisa. Zanurkowałem między jej nogami, zanurzając się w ciepłe cipki.

– Kurwa! O... O Booo... WREN!

Za pomocą przednich zębów ukąsiłem ją mocno we wnętrze uda.

– Nie – zgańnię, jakby była niegrzecznie zachowującym się dzieckiem. – Co ci mówiłem? Pax i Dash nie mogą nic usłyszeć.

Nie byłem nawet w stanie wytłumaczyć, jak żalonym mieli uczynić jej życie moi współlokatorzy, gdyby tylko się o tym dowiedzieli. Nabijaliby się z niej i docinali publicznie, przy wszystkich uczniach akademii. Nie mogłem na to pozwolić.

Spojrzała w dół swojego ciała, po czym gorączkowo pokiwała głową.

– Dobrze. Dobrze.

Gdy upewniłem się, że nad sobą panowała, z dolną wargą uwieczoną szczelnie między zębami... przystąpiłem do pracy.

Dobra minetka nie była zaledwie wyrobioną umiejętnością. To zesłany od samego Boga talent. Słyszałem z zaufanych źródeł, że nie wszyscy mężczyźni zostali nim obdarzeni. Ja tymczasem potrafiłem doprowadzić dziewczynę do krzyku i drgawek w przeciągu niecałej minuty, używając do tego zaledwie czubka języka. Potrafiłem sprawić, by wyrzekła się Boga i ogłosiła mnie swoją nową religią w czasie, w którym większość typów szukała jeszcze lechtaczki. Mimo wszystko była to jednak cholernie intymna czynność. Rzadko kiedy lubiłem dziewczynę na tyle, by chcieć się w to bawić. Tej nocy było inaczej.

Gdybym mógł spędzić resztę życia z twarzą zanurzoną w słodkiej, idealnej cipeczce Elodie Stillwater, zszedłbym z tego świata jako szczęśliwy człowiek. Zacisnęła pięści na moich włosach, udami ścisnęła mi głowę, a ja... w ogóle się nie spieszyłem. Jej gorączkowy, przerywany oddech zbliżał się niebezpiecznie do hiperwentylacji. Lizałem, ssałem, całowałem. Wprowadzałem język głęboko w wilgotną szparkę, rżnąc ją nim. Trzy razy rzucała się w moim uścisku, błagając szeptem, bym pozwolił jej dojść, zanim uległem i doprowadziłem ją do orgazmu, zasysając jej słodycz oraz spijając soki.

Była, kurwa, niezemska. Niesamowita. Absolutnie hipnotyzująca. Wiła się pode mną, dygotała wstrząsana drgawkami przyjemności, a we mnie coś przeskoczyło, gwałtownie się zatrzymało. Jakby zegar, który przez ostatnie trzy lata leniwie wybijał kolejne sekundy, nagle... zamilkł.

Cisza była ogłuszająca.

Usiadłem na piętach i oblizałem usta. Rozkoszowałem się smakiem. Opanowanie, którym dotąd się wykazywałem, w końcu uległo wyczerpaniu.

– Na brzuch – rozkazałem.

Elodie spojrzała na mnie spomiędzy na wpół przymkniętych powiek. Usta miała czerwone i opuchnięte. Cała jaśniała. Miałem ochotę zapłakać w obliczu jej jebanego piękna.

A przynajmniej dopóki nie zauważyłem zranienia na jej twarzy. Podniosła się na kolana i odwróciła tyłem do mnie, a następnie położyła tułów na łóżku.

– Twarz w dół, tyłek w górę, nie? – rzuciła szorstko.

Złapałem ją za biodra, by przyciągnąć do siebie tak, że musiała ponownie podnieść się na kolana. Chciałem móc widzieć ją całą: obie, idealnie ciasne dziurki. Ustawiłem się za nią. Wziąłem kutasa w dłoń, pełen ulgi. Już za chwilę miałem być w niej po same jądra. Przejechałem główką między jej nogami, w górę i w dół, rozprowadzając w ten sposób śluz i sprawiając, że drgała.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział, jak czarująca jesteś, Malutka Eli? Czy ktoś cię kiedyś czcił tak, jak na to zasługujesz? – zapytałem szeptem.

Potrząsnęła głową, po czym podskoczyła, gdy przejechałem palcami po jej wilgoci. *Och, E. Pokażę ci, co to znaczy być wielbioną. Pokażę ci, jakie to miłe uczucie, być ubóstwianą przez kogoś takiego jak ja.* Cała drżała, napierała na mnie biodrami i ocierała się o mojego kutasa, zanim postanowiłem przestać się z nią drażnić i wtargnąłem do środka.

– Słodki... kurwa... Jezu!

Żadnego oporu. Mimo to była tak ciasna, że nie potrzebowałbym wiele, by zostać przekonany do jej dziewictwa. Ramiona jej zeszywniały, a z ust wydobył się okrzyk. Zamarliśmy na dłuższą chwilę, jakbyśmy próbowali poukładać sobie w głowie to, co się właśnie działo. Byłem w niej. Byłem, kurwa, w niej – i było mi tak dobrze.

– Wren... – wydyszała.

Palcami ponownie wpiła się w prześcieradło, a we mnie wszystko się zmieniło. Między jednym a drugim uderzeniem serca.

Co ja, do kurwy nędzy, robiłem?

Co ja jej robiłem?

Coś paskudnego i fizycznie niewygodnego dało o sobie znać. Dziwne, nieznane mi uczucie, przez które odsunąłem się z tak mocno zaciśniętymi zębami, że jeden z nich trzasnął. Kutas podskoczył, błyszcząc od naszej żądy. Błagał, bym włożył go z powrotem... ale nie mogłem. *Nie w ten sposób.*

Elodie spojrzała na mnie przez ramię. Między jej brwiami uformowały się dwie pionowe linie. W oczach miała troskę.

– Co... Czy zrobiłam coś... – zaczęła.

– Boże, nie – przerwałem warknięciem.

Jednym płynnym ruchem rzuciłem się w jej stronę. Otoczyłem ramieniem talię i podniosłem ją znad materaca. W przeciągu sekundy siedziałem już na skraju łóżka i obracałem ją przodem do siebie. Siedziała na moich kolanach. Nie stawiała oporu, gdy chwyciłem jej nogi, otaczając się nimi.

Nasze twarze dzieliło kilka centymetrów. Cofnąłem biodra, a następnie skierowałem ku górze, nadziewając ją na siebie. Głowa opadła jej do tyłu, a oczy nabrały nieobecnego wyrazu. Po raz kolejny zeszywniała w moich ramionach. Opuścił ją tylko stłumiony syk.

– Kurwa! O mój... Ja pierdołę. Wren.

Podzielałem jej odczucia. Wejście w nią od tyłu było przerażająco przyjemne, ale teraz, gdy byliśmy twarzą w twarz, gdy przywierała do mnie, jakbym był jedyną rzeczą utrzymującą ją na powierzchni morza szaleństwa... Nawet nie wiedziałem, jak to opisać.

Wstrzymałem oddech. Nie chciałem poruszać się zbyt szybko. Położyłem jedną dłoń na jej plecach, przyciskając Eli do siebie, a drugą ująłem jej szyję, kierując głowę tak, by nasze usta mogły się spotkać...

Sapnęła. Słodki język nieśmiało wślizgnął mi się do ust. Zazwyczaj to ja przejmowałem kontrolę, ale kurwa... Nawet nie drgnąłem, gdy mnie całowała, smakowała i odkrywała, z ciekawością i determinacją, przez które serce waliło mi jak oszalałe.

Poruszyła biodrami. Uniosła się w górę, po czym opadła w dół. Pod powiekami wybuchły mi pierdolone fajerwerki.

Fajerwerki.

Najprawdziwsze w świecie, autentyczne fajerwerki.

Nachyliłem się do niej i w końcu pozwoliłem sobie na odwzajemnienie pocałunku. Odnosiłem wrażenie, jakby ktoś postanowił zorganizować obchody Dnia Niepodległości w środku mojej pierdolonej głowy. Jej oddech tańczył mi po twarzy, cycki przyciskały się do klatki, a ja straciłem jakiejkolwiek nadzieje na zachowanie kontroli. To wszystko było po prostu... zbyt dobre. Zbyt obce. Zbyt nowe, dziwne, intensywne. I jeszcze całe to chore połączenie, które czułem... Nie wiedziałem już nawet, co zrobić z własnymi rękami. Więc się poddałem. Przestałem próbować nad sobą panować. *Niech się dzieje.*

Poruszaliśmy się jak jedno. Ocieraliśmy o siebie, bezmyślnie pożeraliśmy własne ciała.

Nie miałem pojęcia, czy nadal była cicho. Nie miałem pojęcia, czy sam byłem cicho. Jedyną rzeczą, jaka miała teraz znaczenie, była ona, owinięta wokół mnie. Jej usta na moich ustach. Jej oddech i mój oddech. Moje dłonie na jej skórze, jej na mojej. Jej paznokcie zostawiające ślady na moich plecach... Ona, ja, ona, ja. I ta desperacka, niema prośba w niebieskich oczach, gdy plecy wygięły się w łuk, głowa opadła, a nią wstrząsnął gwałtowny dreszcz przyjemności.

Dotąd jakoś dawałem radę i spychałem potrzebę dościa na drugi plan. Ale gdy zobaczyłem, jak sama oddała się orgazmowi, ze stojącymi sutkami, z oczami wywracającymi się do środka czaszki... *Nie miałem pierdolonego wyboru.*

Doszedłem razem z nią. Zacisnąłem zęby i przycisnąłem czoło do jej obojczyka. W uszach mi dzwoniło, a w głowie wirowało. Nie wiedziałem, gdzie znajdowała się ziemia, a gdzie wciąż kręcące się wokół nas niebo.

I nastał koniec. Po długiej, oszałamiającej chwili, w czasie której mój świat został wywrócony do góry nogami – wszystko się skończyło. Elodie opadła na mnie bezwładnie. Czoło miała pokryte cienką warstwą potu, włosy zmierzwione, a w mojej klatce piersiowej coś gwałtownie i boleśnie się zacisnęło.

Ta piękna dziewczyna z pieprzykiem na podbródku, z włosami w kolorze promieni słonecznych, z walecznym, jak u lwicy, sercem... ostrożnie podniosła dłoń, a potem zaczesła mi włosy do tyłu, tak by odsłonić twarz. Przypatrywała mi się z osłupieniem.

– To było... – zaczęła i urwała, szukając właściwych słów.

– Intensywne?

Nie mogłem się ruszyć. Jeśli bym to zrobił, ta dziwna bańka, w której tkwiliśmy uwięzieni, prysnęłaby – i musielibyśmy się wyplątać ze swoich ramion. A ja tego nie chciałem. Jeszcze nie.

Oczy jej lśniły, gdy skinęła głową.

– Tak. Intensywne. Dlaczego ty... – znowu urwała. Palcami przebiegła mi po piersi. Obserwowała własną dłoń, złotą i piękną na tle znacznie bledszej skóry. Jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę mnie dotykała. Dokładnie tak samo, jak ja nie mogłem w to uwierzyć. – Dlaczego zmieniłeś pozycję?

Zaśmiałem się cicho i uniosłem brew.

– A dlaczego pytasz? Nie podobało ci się?

Też się zaśmiała, po czym schyliła głowę, by ukryć się za włosami.

– Nie. Było w pełni zadowolająco.

– Zadowolająco? – Odchyliłem się gwałtownie, niby zszokowany.

Pisnęła, gdy zanurkowałem w zagłębieniu jej gardła i wgryzłem się w nie, przypominając, że nadal byłem groźny. Zapomniała o swoim pytaniu, co przyjąłem z ulgą.

Obiecałem jej, jeszcze w altance, że zawsze będę z nią szczery. Po prostu nie wiedziałem, jak ubrać to w słowa. Jak jej powiedzieć, że chciałem patrzeć jej w twarz, gdy w niej byłem. Że chciałem móc ją pocałować. Że chciałem ją trzymać. Widzieć ją.

Nie wiedziałem nawet, jak przyznać to przed sobą samym.

ELODIE

Posiadanie sekretu to coś strasznego i wspaniałego jednocześnie. Jest jak świeczka, której płomień drga wewnątrz klatki piersiowej, ogrzewając od środka. W efekcie człowiek uśmiechał się głupkowato w zagięciu łokcia, tak, by materiał koszulki skrywał twarz, i odliczał godziny do momentu ponownego spotkania z obiektem swojego zadurzenia. Czasami jednak sekret potrafił skutkować okropnymi wyrzutami sumienia.

– Tak się cieszę, że się tu przeniosłaś. Serio, wcześniej było po prostu beznadziejnie, a dzięki Dashowi wszystko wskazywało na to, że ostatni rok w Wolf Hall będzie taki sam. Teraz nawet te dupki z Riot House nie zniszczą mi ostatnich miesięcy liceum. Babcia zawsze mówiła, że dobry przyjaciel potrafił wszystko naprawić. Boże, masz takie piękne włosy. – Palce Cariny pracowały zaciekle. Siedziałam na podłodze, między jej nogami. Ani drgnęłam, gdy czyniła cuda, zaplatając moje niesforne pasma w skomplikowany warkocz. – Myślałaś kiedyś o powrocie do swojego koloru?

Nie miała pojęcia, w jakie poczucie winy właśnie mnie wprowadziła. Nie byłam dobrą przyjaciółką. Byłam paskudna. Niczego nie potrafiłam naprawić. Zaplatam się w relację z gościem, którego nienawidziła, i który na dodatek przyjaźnił się ze skurwysynem odpowiedzialnym za złamanie jej serca – a ja nie widziałam żadnego wyjścia z tej sytuacji. Choć było to egoistyczne... *Boże, nie wierzę, że naprawdę się do tego przyznam...* nie chciałam wyjścia z tej sytuacji. Chciałam, by trwała, mimo że wiedziałam, jak bardzo by ją to zraniło i zdenerwowało jednocześnie, gdyby się o wszystkim dowiedziała. *Co ze mnie za przyjaciółka?*

A teraz pytała mnie o powrót do naturalnego koloru?

Czułam, jak wbity w moje serce nóż obracał się wokół własnej osi. Trudno mi było oddychać. Zaczęłam bawić się skórkami wokół paznokci, nagle niezwykle zainteresowana deskami podłogowymi.

– Uch... Właściwie to tak. Miałam taki zamiar, ale...

– Ale nie lubisz być brunetką?

– Nie, chodzi o moją mamę. Mamy taki sam kolor włosów. Tatę bardzo to denerwowało, gdy umarła. Musiał patrzeć na mnie każdego dnia i przypominać sobie o tym, jak jesteśmy podobne. Byłyśmy podobne – poprawiłam się. – Wpadłby w furję, gdybym znowu została brunetką.

– Wow. – Carina aż przerwała zaplatanie. Pochyliła się nad moim ramieniem, by móc mi spojrzeć prosto w twarz. Wyglądała na pełną niedowierzania. – Twój ojciec jest jakieś dziewięć tysięcy kilometrów stąd, Elle, a ty już prawie skończyłaś osiemnaście lat. Możesz robić, co ci się podoba. Poza tym... z jakiej, kurwa, racji miałabyś farbować włosy tylko dlatego, że on tak chce? Wydaje mi się, że to skończony dupek. Wybacz, jeśli cię uraziłam, ale mówię, co widzę. Nie słyszałam o tym człowieku niczego dobrego.

To ten moment, w którym powinnam stanąć w obronie pułkownika Stillwatera. Tak zachowałoby się każde inne dziecko, którego ojca właśnie skrytykowano. Problem w tym, że nie miałam żadnych kontrargumentów. Jak smutne to było? Każde jasne, szczęśliwe wspomnienie ze swojego dzieciństwa zawdzięczałam mamie. Jej krzywemu, ciepłemu uśmiechowi, zabawnym głosom, których używała w czasie naszych małych herbacianych przyjęć z pluszowymi konikami, mocnym przytuleniom na dobranoc, przez które czułam się, jakby zaraz miały mi

pęknać płuca... Była światełkiem w tunelu. Jedynym jasnym punktem pośród niezwykle mrocznej burzy.

– Mm, zawsze był swoim jedynym panem i władcą – przyznałam. – Liczy się tylko ze zdaniem wujka Sama. Nie jest przyzwyczajony do tego, że ludzie podważają jego zdanie, a co dopiero nie słuchają wprost wydanych rozkazów.

– Rozkazał ci nie farbować włosów?

– Jasno i wyraźnie.

– Okej. Koniec z tym – zdenerwowała się na dobre. – Pojadę do drogerii, kupię opakowanie farby i zostawię je pod twoimi drzwiami. Jeśli masz jakieś obiekcje, przemów teraz lub zamilknij na wie...

– Ooooch, imprezka z farbowaniem. Brzmi super.

Obie z Cariną podniosłyśmy wzrok w tym samym czasie. Dłuższą chwilę zajęło nam ogarnięcie, że Mercy Jacobi właśnie opierała się o klamkę do moich drzwi. Przyglądała się swoim perfekcyjnym paznokciom. Tak bardzo przypominała Wrena, że od razu poczułam ucisk w brzuchu.

– Czego chcesz, Merce? – zapytała Carina. Nie brzmiała na zaskoczoną obecnością dziewczyny. Na szczęśliwą też nie.

– Ciebie też miło widzieć, Carrie. Ze wszystkich ludzi z Wolf Hall, to zobaczenia z tobą nie mogłam się doczekać najbardziej. – Zimny, wyrachowany uśmiech, który rozlał jej się po twarzy, był zupełnie nieprzekonujący. Działał mi na nerwy. – Pamiętasz, jak dużo czasu tu kiedyś spędzałyśmy?

Weszła do pokoju, swobodnie rozglądając się wokół. Udawała zainteresowanie drobiazgami, którymi przystroiłam wnętrze, ale nudziła ją każda rzecz, której dotknęła. Nic nie było tutaj wystarczająco drogie, rzadkie lub cenne, by być w stanie przykuć jej uwagę. Nie wiedziałam tego na pewno, ale po samym sposobie, w jaki dziewczyna marszczyła nos na trzymaną w dłoni pozytywkę, nie trudno było zgadnąć, jakim typem osoby była.

– Teraz to pokój Elodie – poinformowała ją Carina. – Powinnaś poczekać na pozwolenie, a nie się wpraszać, jakby to miejsce należało do ciebie.

Mercy przyłożyła dłoń do piersi. Jej usta wykrzywiły się w udawanym przerażeniu.

– Cholera, masz rację. – Zielone oczy, nawet w połowie nie tak zachwycające jak Wrena, pomknęły w stronę miejsca, w którym siedziałam na podłodze. – Elodie, prawda? Wybacz, że przerwałam ci babskie pogaduchy z naszą uroczą Cariną. Przechodziłam obok, zobaczyłam was i nagle wróciły do mnie wszystkie wspaniałe chwile, które spędzałyśmy tutaj przed moim wyjazdem z Wolf Hall. Tylko ja, ty, Pres i Mara. Prawda, Carrie?

Oczy Cariny pociemniały. Cały jej nastrój nagle się pogorszył. Wyraz twarzy przypominał wzburzone morze.

– Nie masz nic lepszego do roboty? Słyszałam, że w Riot House ma być kolejna impreza. Może zajmiesz się wkurzaniem swojego brata, co? Jestem pewna, że gdy cię nie było, upichciłaś całą masę szatańskich atrakcji dla mieszkańców Wolf Hall.

– Kiedyś nie była taka nudna, wiesz? – Mercy skrzywiła się i wzruszyła ramieniem w moją stronę. Następnie zwróciła się do Cariny. – Dobrze wiesz, że Wren wciąż jest na mnie zły za to, co stało się z Marą. Nie zaproszono mnie na tę imprezę, więc tym razem nie będę brała udziału w przygotowaniach. Mimo to i tak tam pójdę. Dash ma do mnie słabość, nawet jeśli Wren się bawi w fochy. A co z tobą, Carrie, czy Dash do ciebie też ma nadal słabość? Coś czuję, że tak.

Wyszczrzyła zęby w uśmiechu, który nieprzyjemnie kontrastował z jej śliczną twarzą. Carina piorunowała ją wzrokiem, gdy ta podeszła do największego z okien i wyrzała przez nie

na labirynt.

– Mam w dupie Dasha – warknęła. – Może iść do diabła.

– Na pewno by się tam zadomowił – przyznała Mercy w zamyśleniu. – Czyli rozumiem, że nie wybierasz się na imprezę?

– Oczywiście, że nie.

– A ty, malutka, śliczna Elodie? – Dziewczyna odwróciła się gwałtownie od okna. – Słyszałam, że wpadłaś w oko mojemu bratu. Przyjdiesz na imprezę?

Kurwa. I co ja miałam na to odpowiedzieć? Gdy byłam ostatnio w Riot House, Pax i Dash wspominali, że planowali imprezę, ale nie otrzymałam zaproszenia. Wren nie poruszył w ogóle tego tematu. Nie miałam pojęcia, czy po tym wszystkim oczekiwać...

– Nie bądź głupia – Carina przerwała moje myśli. – Twój brat jest jakiś niedorobiony, Mercy. Niezrównoważony psychicznie. Elodie w życiu by się do niego nie zbliżyła i na imprezę też się nie wybiera. Możesz już iść? Chcemy wykorzystać do końca niedzielę, a ty nam to psujesz swoimi komentarzami.

Mercy stała nieruchomo, nie spuszczać ze mnie wzroku. Oczy miała pełne rozbawienia, a krzywy uśmiezek powoli uniośł kąciki jej ust. Wyglądała, jakby miała jakąś tajemnicę. Albo raczej jakby znała czyjaś tajemnicę i smakowała ją na języku. Jeśli dogadywała się z Dashem, to mógł jej napomknąć o mojej wczorajszej wizycie w Riot House. Może zdradził, że zniknęłam w pokoju Wrena i wyszłam z niego dopiero o trzeciej nad ranem. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki uniosła na mnie brew, jednocześnie bawiąc się końcówkami swoich włosów – wiedziała. Wiedziała i czerpała przyjemność z uzyskanej nade mną przewagi.

Przeżalenie stanęło mi gulą w gardle. Musiałam zmienić temat. Natychmiast.

– Kim jest Mara?

Zaskoczenie Mercy nie wyglądało na prawdziwe, ale starała się.

– Nie wiesz, kim jest Mara Bancroft?

– Nie zapytałabym, gdybym wiedziała.

– To kiedyś był jej pokój. – Dziewczyna obrzuciła Carinę zaciekawionym spojrzeniem. – Zanim zaginęła. Ona i mój brat... byli bardzo blisko.

Carina wstała.

– Mercy, proszę cię.

– Była przepiękna, prawda, Carrie? – kontynuowała, całkowicie ją ignorując. – Te długie czarne włosy. Te ogromne jasnoniebieskie oczy. Byłam bardzo zdziwiona, gdy się dowiedziałam, że Wren się tobą zainteresował, wiesz? Zupełnie jej nie przypominasz.

Patrzyła na mnie tak, jakbym była jakąś gorszą, podrabianą wersją tej całej Mary Bancroft. Jakby nie miała bladego pojęcia, co jej brat we mnie widział. Bardziej zainteresował mnie jednak inny strzępek informacji, którym się podzieliła.

– Zaginęła?

– Mmm. – Mercy zawijała sobie wokół palca kosmyk włosów. – W czerwcu, zeszłego roku, tuż po ostatniej imprezie organizowanej przez mojego brata. Podejrzana sprawa. Coś ją zdenerwowało, wyszła w połowie gry w piwnego ping ponga, weszła do lasu i... puf. Zniknęła. Policja podejrzewała przestępstwo. Szukali jej przez wiele dni, prawda, Carrie?

– Co chcesz w ten sposób osiągnąć? – syknęła Carina. – To już przeszłość. Było, minęło. Mary nie ma. Obiecaliśmy sobie, że o tym zapomnimy.

Kurwa. Gdy pierwszy raz pojawiłam się w Wolf Hall, Pres rzuciła jakiś dziwny komentarz na temat dziewczyn znikających z akademii. Carina od razu ją uciszyła. Powiedziała jej, by pozwoliła mi się zadomowić, zanim zaczniesz „wygrzebywać ten cały gnój”. Wydało mi się to dziwne, ale później zupełnie o tym zapomniałam. A teraz się dowiadywałam, że dziewczyna,

która kiedyś spała w tym pokoju, w moim pokoju, zaginęła?

– Mara uwielbiała ten pokój – ciągnęła dalej. – Miała tu mnóstwo skrytek.

To... bardzo dziwne, że mówi teraz coś takiego.

Carina cała zeszywniała. Nienawiść dosłownie od niej emanowała.

– Dość.

– Na przykład to okno wykuszowe. – Mercy przejechała dłońmi po białym parapecie. – Mara siadywała tu każdej nocy i pisała w pamiętniku. Potrafiła bazgrać całymi godzinami, powierzając papierowi swoje najskrytsze, najbardziej prywatne przemyślenia. A gdy już skończyła, chowała zeszyt w, jak sądziła, najbezpieczniejszym możliwym miejscu.

Dłoń dziewczyny dotarła do krawędzi parapetu. Sięgnęła pod niego i nagle po pomieszczeniu rozniosło się głośne trzaśnięcie. Chwyciła pomalowaną deskę... a potem tak po prostu ją podniosła, odrywając od ściany.

Co... do...?

– Jezu Chryste. – Carina wyrzuciła z siebie całą wiązkę przekleństw. – Chyba sobie, kurwa, żartujesz. Policja przeszukała ten pokój wzdłuż i wszerz, a nic nie znaleźli. Cały ten czas wiedziałaś, gdzie chowała swój pamiętnik, i nic nie powiedziałaś?

– No chyba nie uważasz, że powinnam go tak po prostu oddać? – Roześmiała się. Było w tym dźwięku coś srebrzystego, zimnego, okrutnego. Rozbolały mnie skronie. – Akurat ty powinnaś się cieszyć, że zachowałam to dla siebie. Mara w ogóle się nie hamowała, gdy trzymała długopis w dłoni. Na pewno napisała masę rzeczy na twój temat, które uniosłyby niejedną brew, gdyby tylko ten pamiętnik trafił w niewłaściwe ręce.

Podniosłam się, pełna niepokoju, po czym ruszyłam w stronę okna. Carina złapała mnie za rękę, próbując zatrzymać.

– Elle, proszę cię, to nie jest tego warte. Nie kupuj tych bzdur.

Strząsnęłam jej rękę. Nie słuchałam. Musiałam to zobaczyć.

Wychodziło na to, że nie tylko ja miałam tutaj swoje tajemnice. Wszyscy uczniowie i nauczyciele akademii utrzymywali coś przede mną w sekrecie. To pierwszy raz, gdy usłyszałam cokolwiek o tej dziewczynie. Musiałam dowiedzieć się więcej.

Przy oknie było wgłębienie, pierwotnie zakrywane przez parapet – i to dość duże. Można by się nawet w nim schować, gdyby komuś bardzo na tym zależało. W środku znajdowało się czarne lakierowane pudełko z namalowanymi na górze kwiatami wiśni, zmięty sweter, różowo-szara pasiasta teczka i mała, gruba książka, oprawiona w skórę, ze złotymi inicjałami wytłoczonymi na okładce: M.B.

– O, no proszę. Właśnie rozwiązałam zagadkę. Może zacznę pracować jako prywatny detektyw, gdy wydam się z tej dziury. – Mercy wyglądała na niezwykle z siebie zadowoloną, gdy z głośnym hukiem upuściła parapet na podłogę. – Ojejku, a któraż to już godzina! Jednak rzeczywiście mam coś lepszego do roboty. Wybaczcie, dziewczęta, ale czeka mnie gorąca randka na mieście. Baw się dobrze, przeglądając ten pamiętnik, Elle. Myślę, że będzie to dla ciebie pasjonująca lektura.

Siostra Wrena, kręcąc biodrami, opuściła pokój. Zostawiła otwarte drzwi, ale Carina od razu rzuciła się z łóżka i pobiegła przez pokój, by je za nią zamknąć. Z trzaskiem. Jeszcze nigdy nie widziałam, by tak szybko się poruszała.

– Nic nie musisz czytać.

Wow. Gdy się do mnie odwróciła, ledwie ją rozpoznałam. Była zupełnie blada. Jej twarz całkowicie straciła kolor. Wydawała się dziesięć lat starsza, a do tego była niesamowicie wystraszona. Widziałam jak przepełniała ją panika.

Sięgnęłam do skrytki Mary, by wyciągnąć pamiętnik. Był zimny i ciężki, grubszy od

Biblii. Strony w większości były zapisane i pomięte, z zagiętymi rogami.

– O co w tym wszystkim chodzi, Carina?

Musiałam zapytać. Nie podobało mi się to, jak szorstko i lakonicznie zabrzmiały moje słowa, ale ewidentnie działało się coś, o czym nie chciała, żebym wiedziała. Przeszła przez pokój, a potem wyciągnęła dłoń.

– Daj mi go, Elle. Mówię poważnie. To nie jest coś, w co chcesz się mieszać. Możesz... możesz mi po prostu uwierzyć na słowo, proszę? Czy nie opiekowałam się tobą, odkąd się tu pojawiłaś?

Czułam się, jakbym trzymała w ręce granat, a nie pamiętnik. Jeśli tylko bym go otworzyła, wszystko co wiedziałam o tym miejscu – albo raczej myślałam, że wiedziałam – wybuchłoby razem z nim. Czy tego chciałam? Żeby wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej? Całe moje życie to seria problematycznych sytuacji. Relacja z Wrenem sama w sobie była tak pogmatwana, że nie miałam pierdolonego pojęcia, co tu się właściwie działo. Mimo to tajemnica roztaczana wokół poprzedniej lokatorki tego pokoju była podejrzana. Brak wiedzy, co się stało z tą dziewczyną i kto brał w tym udział, wydawał mi się niebezpieczny. Dodatkowo poziom paniki Cariny po prostu mnie przerażał. Sprawiała wrażenie winnej – tylko czego? – a ja nie wiedziałam już, co powinnam zrobić.

– Elodie, proszę. Nic dobrego nie wyniknie z przeczytania tego pamiętnika, obiecuję. Powinniśmy oddać go policji. Niech oni się tym zajmą. – Zacisnęła zęby. Cała się spięła. Stała tak prosto, jakby miała zaraz zasalutować przed najwyższej rangi generałem. – Minął już prawie rok. Rodzice Mary cały ten czas okropnie martwili się o swoją córkę. Policja będzie wiedzieć, co zrobić z nowym dowodem w sprawie. Oddanie go im jest jedynym właściwym posunięciem.

– Wiesz, co się z nią stało? Dlatego nie chcesz, żebym to przeczytała?

Zamrugnęła gwałtownie.

– Nie! Uwierz, gdybym tylko wiedziała, gdzie jest, od razu bym powiedziała. Po prostu staram się utrzymać cię z dala od sytuacji, która jest zdrowo porąbana i mogłaby cię narazić na niebezpieczeństwo. Nie możesz mnie za to winić.

– Niebezpieczeństwo? Dlaczego miałyby mnie to narazić na niebezpieczeństwo?

Jej źrenice były prawie dwukrotnie większe niż normalnie. Widziałam, jak się rozszerzały, z odległości prawie dwóch jebanych metrów.

– Uggh, Elle. Po prostu oddaj mi ten pamiętnik. Przysięgam na Boga, że będziesz szczęśliwsza, nie wiedząc, co w nim jest.

Co, do kurwy? Miałam go tak po prostu oddać? A może trzymać wysoko nad głową i próbować z nim uciec? Carina była wyższa ode mnie o prawie pół metra, więc nie bardzo mogło to zadziałać, a nieoddanie jej tego zeszytu spowodowałoby konflikt między nami. Mogłam stracić jedyną prawdziwą przyjaciółkę, jaką miałam w Wolf Hall, z powodu podejrzeń, że wydarzyło się tu coś złego. *Czy warto?* Może mój niepokój był uzasadniony, ale skoro policja już zajmowała się tą sprawą...

Niechętnie wyciągnęłam pamiętnik w jej stronę. Nie chciałam stracić Cariny. Może i duch tej całej Mary przechadzał się po korytarzach i skrywał w zakamarkach mojej sypialni, ale Carina mogła mieć rację. Może ta sytuacja w ogóle mnie nie dotyczyła. Może powinnam zostawić ją w spokoju.

Odetchnęła z ulgą, gdy jej dłoń zacisnęła się na pamiętniku, a ja go puściłam. Mimo to widziałam wyrzuty sumienia w jej oczach. Teraz, gdy osiągnęła to, czego chciała, czuła się źle z wymuszeniem tego na mnie.

– Dziękuję, Elle. Naprawdę. Mówię serio. Jestem wdzięczna, że mi ufasz. Wiem... wiem, jak to musi wyglądać...

– Wiesz? – Mój głos był ostry jak brzytwa. – Naprawdę?

Westchnęła. Przytulała pamiętnik mocno do piersi, jakbym w każdej chwili mogła go jej wyrwać i wybiec z pokoju.

– Mara miała problemy, Elle. Super się z nią bawiło i trudno było jej nie kochać, ale miała uczulenie na prawdę. Po prostu nie chciała jej słyszeć. Od czasu do czasu granica między rzeczywistością a fantazją trochę jej się zacierała. Jestem pewna, że w tym pamiętniku jest mnóstwo rzeczy, które tylko sobie wyobrażała. Mrzonki, które mogłyby wyrządzić wiele krzywdy, gdyby tylko wpadły w niewłaściwe ręce. – Sapnęła, pełna rozdrażnienia. – Możemy o tym po prostu zapomnieć? Chcę, by wszystko było znowu normalne.

To ostatnie zdanie wydawało się mieć drugie dno. Podejrzewałam, że nie chodziło jej o popołudniowe chillowanie, które sobie zaplanowałyśmy. Mówiła o życiu w Wolf Hall i o tym, że nic nie mogło wrócić do normalności, dopóki ludzie wspominali tajemnicze zniknięcie Mary. Nabrałam powietrze nosem, usiłując pozbyć się nagromadzonego napięcia.

– Okej. W porządku. Nie będę już wracać do tego tematu – uległam. – Ale musisz mi najpierw odpowiedzieć na jedno pytanie.

Choć przygryzła nerwowo wargę, skinęła głową.

– Co chcesz wiedzieć?

– Czy Wren albo którykolwiek z chłopaków z Riot House miał coś wspólnego z zaginięciem Mary?

Zesztywniała, po czym pokręciła głową.

– Nie. Chciałabym móc ich obwinić, ale przez całą noc byli w środku domu. Cała trójka. Sama ich widziałam. Dashiell... – skrzywiła się – ...Dashiell był ze mną. Wszyscy byliśmy w kuchni, zajęci gramami alkoholowymi. Tak się najebaliśmy, że nikt nie wyszedł z imprezy aż do rana. Wrenowi odciął się film i spał przy kominku. Pax całą nocą robił drinki. Cokolwiek stało się z Marą... nie miało z nimi nic wspólnego.

Rozebrałam to sobie w głowie na czynniki pierwsze. Pozwoliłam, by się zakorzeniło. *Wren nie był zamieszany w tajemnicze zniknięcie tej dziewczyny. Był niewinny, bez względu na to, jakie hipotetyczne przestępstwo miało miejsce tamtej nocy.*

– Okej. W porządku. W takim razie to by było na tyle.

– Super. Jesteś najlepsza, Elle. – Uśmiech Cariny był pełny ulgi. – Mówił ci to ktoś?

– Dzień w dzień.

Odpowiedziałam jej słabym grymasem. Nieważne, jak bardzo się starałam, wiedziałam, że uśmiech nie sięgnął mi oczu. Obserwowałam, jak odłożyła pamiętnik do plecaka pełnego kosmetyków i akcesoriów, które zabrała ze sobą do mojego pokoju. Gdy książka została ukryta, od razu go zasunęła.

– Skończyłam z tym warkoczem – oznajmiła. – Chcesz, żebym zrobiła ci też paznokcie? Mam lampę do żeli. Będzie pełna profeska.

Brzmiała sztywno. Bardzo się starała wymazać to, co właśnie zaszło, ale pozbycie się tej niezręczności musiało zająć więcej czasu. Zabiegi kosmetyczne to za mało. Gdyby należała do moich przyjaciół z Tel Awiwu, już dawno zażądałabym od niej pieprzonych wyjaśnień. W tym przypadku tego typu naciskanie nie było jednak stosowne. Lepiej było o wszystkim zapomnieć. O pamiętniku i o oczywistej próbie zamieszania w wykonaniu Mercy. O Marze i o ciemnej chmurze, która wisiała nad akademią, a której istnienie dopiero teraz zauważyłam.

Przyłożyłam deskę do ściany, naprawiając parapet, i podkreśliłam moc swojego uśmiechu tak, by tym razem wyglądał przekonująco.

– Jasne. Ale tylko, jeśli obiecasz, że nie pomalujesz ich na neonowo-żółty kolor.

W CIEMNOŚCI...

Byłam bezimienna.

Zaginiona.

Zapomniana.

Płuca miałam najeżone powietrzem, które odczuwałam jak odłamki szkła.

Gardło bolało od krzyczenia.

Gdy słomka ponownie pojawiła się w otworze, nie miałam wyboru – napiłam się.

Tylko przedłużałam swoje tortury, połykając ciepłą, brudną wodę, która płynęła przez plastikową rurkę prosto do moich ust. Nie byłam tak silna, jak mi się wydawało.

Jeśli miałam tu umrzeć, to dlatego, że nie mogłam się stąd wydostać, a nikomu nie przyszło na myśl, by mnie poszukać.

Ale paradoksalnie byłam zbyt słaba, by się poddać. Jeszcze nie.

WREN

– Mam to w dupie, gnojku. Kupiłem melonik i zamierzam go założyć. Koniec tematu.

Pax wypił resztki piwa, po czym, po drodze do śmietnika, rzucił butelkę w taki sposób, by okręcała się wokół własnej osi, rozpryskując wszędzie bursztynową ciecz. Dashiell zganił go niewerbalnie Rodzinnym Grymasem Dezaprobaty Lovettów, co Pax naturalnie zignorował, a następnie wyszczerzył się wielce z siebie zadowolony, gdy butelka z głośnym hukiem trafiła do celu: prosto w kubek po drugiej stronie kuchni.

– Alex z *Mechanicznej pomarańczy* ma włosy, wiesz? W ogóle nie będziesz go przypominał – burknął Dash, po czym przechylił własną butelkę.

Siedziałem na stołku przy stole barowym, cichy i posępny. Piorunowałem ich na zmianę wzrokiem, by nie mieli najmniejszych wątpliwości, co do tego, jak źle się bawiłem.

– Człowiecze małej wyobraźni! Skoro zdobyłem melonik, to perukę też zdobędę.

– „Człowiecze małej wiary”, ty bezbożniku. Mówię tylko, że bale przebierańców są zarezerwowane dla dzieci i na czas Halloween. W żadnym innym terminie ludzie na granicy dorosłości nie powinni dobrowolnie się w to bawić.

– Nie bądź dupkiem. Dziewczyny zawsze wciskają się w najbardziej dziwkarskie stroje, gdy idą na takie imprezy. Nie masz ochoty popatrzeć na trochę cycków i tyłeczka? Ile już minęło od twojego ostatniego loda? Jakies pięć lat?

– Ale zabawne. – Dash uśmiechnęła się kwaśno. – Wren, nie możemy się zgodzić. Masz decydujący głos, przyjacielu. Co powiesz? Impreza dla dorosłych, której uczestnicy mogą włożyć swoje normalne ubrania, jak przystało na dużych chłopców i duże dziewczynki, czy może infantylna zabawa kostiumowa?

Podniosłem wzrok znad laptopa, czekając, aż zobaczy, jak zirytowany byłem całą tą sytuacją, ale on po prostu stał i czekał na moją opinię. Zbyt dobrze znałem tego skurwysyna. Nie zamierzał odpuścić, dopóki nie wydam oficjalnego orzeczenia.

– Nie obchodzi mnie ta pierdolona impreza, chłopcy. Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle byśmy jej nie organizowali. Załóż melonik i jebane tutu, Pax. Ty możesz włożyć krawat i trzyczęściowy garnitur, jeśli tylko masz na to ochotę, Dash. A ja będę w tym, co mam dzisiaj na sobie, najebię się do nieprzytomności, czekając, aż całe to gówno się skończy, a potem każdy z nas wróci do swojego życia.

Pax mrużył stopniowo oczy – jeszcze trochę i jeszcze... Gdy w końcu się odezwał, nie byłem pewien, czy w ogóle jeszcze mnie widział.

– Jesteś mistrzem polowania, Jacobi, więc na twoim miejscu bym nie przesadzał z alkoholem – poradził.

Noż kurwa jęgo mać. Wiedziałem. Po prostu, kurwa, wiedziałem.

– Nie jestem mistrzem polowania. Byłem nim ostatnio. Kolej na was.

Dashiell i Pax jednocześnie potrząsnęli głowami. Nie zgadzali się i sprzeczali na temat każdej, nawet najmniejszej rzeczy, a teraz nagle uważali dokładnie tak samo. Typowe.

– Ostatnim razem sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem, więc podjęliśmy taką decyzję. Musisz wrócić do gry. Jesteś ostatnio kompletnie zdezorientowany, a my mamy już dość życia z impostorem.

– Z impostorem – prychnąłem. – Aha.

– Tak. – Dash wrzucił sobie do buzi kilka prażonych orzeszków. – Nie jesteś sobą, a my postanowiliśmy, że chcemy starego ciebie z powrotem. Dlatego będziesz mistrzem, a my będziemy napawać się chorą, popierdoloną zabawą, jaką dla nas przygotujesz, a potem wszystko wróci do normy. Brzmi dobrze?

Nie, nie brzmiało dobrze. Nic z tego nie brzmiało dobrze. Od mistrza polowania oczekiwano określonych rzeczy. Kiedyś rozkoszowałem się tymi tajemnymi wspaniałościami, ale wszystko się zmieniło. Musiałem brać pod uwagę Elodie. Po zeszłej nocy nie mogłem pozbyć się z głowy jej obrazu – nagiej i pięknej, siedzącej na mnie okrakiem, dyszącej mi do ucha. Mogłem umrzeć we własnym łóżku, stary i samotny, ze wszystkimi wspomnieniami wymazanymi przez upływ czasu, ale ta jedna chwila będzie nadal przed moimi oczami w chwili śmierci.

Elodie była moja, a ja nie zamierzałem pozwolić jej, kurwa, odejść. Nie mogłem więc być mistrzem polowania i jednocześnie ją zatrzymać. To było niemożliwe.

– Zrób, co do ciebie należy – mruknął Pax, otwierając kolejne piwo. Jednym pstryknięciem posłał nakrętkę na drugą stronę salonu. – Tak ma być, czy ci się to podoba, czy nie. Musisz się ogarnąć, Wren. Dash i ja nigdy się nie stawialiśmy, gdy załatwiałeś nam jakąś robotę. A już na pewno nie protestowaliśmy, gdy zapakowałeś nas do samolotu w zeszły weekend. A to była naprawdę chora akcja.

Miał rację. Zdarzało mi się wpakowywać ich w kompromitujące sytuacje, tylko dlatego, że miałem taki kaprys. Patrzenie, jak się miotali w absurdalnych okolicznościach, które stworzyłem, było dla mnie najlepszym rodzajem rozrywki. Moja ostatnia prośba mogła się skończyć tragicznie dla całej naszej trójki, gdyby cokolwiek poszło nie tak. Dlatego nie mogłem się teraz wycofać. Jeśli bym im odmówił, spowodowałoby to rozłam w naszym domu, i to taki, jakiego jeszcze nie doświadczyliśmy. Napełniłem usta piwem, by się powstrzymać przed zbluzganiem tych skurwysynów.

– W międzyczasie – dodał Dash, świdrując mnie surowym wzrokiem. Wyglądał jak mój pierdolony ojciec. – Mercy pytała, czy mogłaby się tu wprowadzić.

IPA wylądowała rozbryzgana na kuchennym blacie.

– Coś ty właśnie powiedział?

– Niepotrzebnie się unosisz – skomentował spokojnie. – Poinformowałem ją, że to zależy od ciebie i twoje zdanie będzie tutaj kluczowe. Powiedziała, że nigdy się nie zgodzisz, a ja nie zaprzeczyłem. Wtedy nazwała mnie i Paxa małymi pizdeczkami, które boją ci się postawić, po czym zarysowała chargera.

– Nawet ja go nigdy nie zarysowałem – wywarczał mrocznie Pax. – Ani razu. A jestem chujowy w dbaniu o rzeczy. Ucieszy cię wiadomość, że twoja siostra jest oficjalnie na mojej czarnej liście.

Nie podobało mi się, że Mercy rozmawiała z nimi za moimi plecami. Tej dziewczynie się wydawało, że potrafiła czynić pierdolone cuda. Przynajmniej jeden z nich zaczynał patrzeć na sprawę z mojej perspektywy. Niestety nie mogłem tego powiedzieć o Dashu.

– Osobiście uważam, że byłaby wspaniałym nabytkiem dla naszego domu, ale zdaję sobie sprawę z tego, jak mało liczy się ostatnio moje zdanie – ogłosił kąśliwie. – Jesteś farciarzem, że w ogóle masz siostrę, wiesz, Jacobi? Niektórzy z nas musieli dorastać sami w wielkim, przewiewnym domu...

– O Jezu, nie popłacz się – przerwałem. – Widziałem to rozłożyste zamczysko, które nazywasz domem, i jest cholernie piękne. Urodziłeś się w czepku, a dorastałeś w jebanych luksusach. Posiadanie siostry jest jak wyjątkowo irytujący przypadek hemoroidów, które nie chcą się od ciebie odczepić.

– Trochę jesteś za młody na hemoroidy, nie uważasz?

Wywróciłem oczami.

– Zgadzam się z nim – mruknął Pax. – Nienawidzę obydwu swoich sióstr. I brata. To są dopiero małe pizdeczki. Poza tym cała dynamika domu by się zaburzyła, gdyby wprowadziła się tu dziewczyna. Mercy rozkwitła dość spektakularnie, odkąd wyjechała stąd w zeszłym roku. Jest teraz najseksowniejszą kurewką w akademii, ale jest też zdrowo popierdolona. Nie mam czasu, by instalować sobie osiem zamków w drzwiach, a ta wariatka mogłaby... EJ! Co ty, do cholery, robisz? Zabieraj łapy, Jacobi, albo ci je odgryzę.

Trzymałem go za kołnierz koszulki. Byłem gotowy mu przypierdolić. Udało nam się jednak przetrwać całe cztery miesiące bez bójki, więc tylko potrząsnąłem nim na tyle mocno, by zadzwoniły mu zęby.

– Jest zdrowo popierdolona. Jest jebaną zmorą mojego życia. Ale to wciąż moja siostra, do cholery. Powiedz coś takiego raz jeszcze, a stracisz zęby, rozumiesz?

Odepchnął mnie z płonącymi policzkami i pełnymi furii oczami. Widziałem, że miał ochotę potraktować mi szczękę prawym sierpowym. *Oj, bardzo tego chciał. Pamiętał jednak o Korsyce i Contessie.*

– Dobra, dobra, przyjąłem – wysyczał. – Jezu. Wszystko bierzesz do siebie.

– To może podjadę do Waszyngtonu, żeby zrobić palcówkę twojej matce, co? Ciekawe, czy tego też nie weźmiesz do siebie?

– Wystarczy. Boże, nie wiem, jakim cudem nie przyprawiliście mnie jeszcze o załamanie nerwowe. Może trochę ochłóńmy i odzyskajmy panowanie nad sobą, co panowie? Pax nie powie już nic dziwnego na temat twojej siostry, a ona się tu nie wprowadza. Za to ty, będziesz mistrzem polowania – podsumował nasze ustalenia. – Choćby się waliło i paliło, w dniu imprezy będziesz miał zaplanowane coś absolutnie szatańskiego i perfekcyjnego, Wrenie Jacobi. Po prostu to wiem... – Przerwał na chwilę. Jego twarz nabrała szorstkiego, osądzającego wyrazu. Spojrzał na mnie znacząco. – Do tej pory nas nie zawiodłeś.

ELODIE

Poniedziałkowe poranki w szkole św. Marii Magdaleny były o wiele łatwiejsze niż tutaj. Weekendy w Tel Awiwie spędzałam sama. Grafik ojca był tak skonstruowany, że zawsze w soboty i niedziele był w delegacji, więc mogłam robić, co chciałam. Chodziłam zatem na zakupy z Ayalą i Levim lub do kina. Odrabiałam zadania domowe, w przerwach krzątając się swobodnie po domu.

Za to w tygodniu pułkownik Stillwater był bardziej obecny, więc lekcje były w zasadzie moim błogosławieństwem. Przechadzanie się korytarzami międzynarodowej szkoły chroniło mnie przed jego gniewem. Przeciagałam czas spędzany poza domem, jak tylko mogłam. Zapisalam się na całą masę dodatkowych zajęć. Robiłam wszystko, byle uniknąć powrotu do miejsca, w którym na mnie czekał – on i jego niekończąca się złość. Ojciec zwykle szukał tylko pretekstu, którym mogło się stać jakiegokolwiek moje słowo czy zachowanie, aby móc dać jej upust.

W Wolf Hall nie miałam żadnej ucieczki przed nauką. Zawsze byłam w odległości trzech pięter od sali lekcyjnych, co samo w sobie było przygnębiające, a na początku tygodnia odczuwało się to jeszcze bardziej. Tak naprawdę nigdy nie opuszczałam tego miejsca, więc też nie czułam, żebym kiedykolwiek miała przerwę.

Dzisiaj znowu było pochmurnie. Deszcz uderzał o okna, gdy szłam w dół schodów, przerażona perspektywą lekcji angielskiego. Gdy dotarłam do korytarza, był już pełen. Uczniowie głośno ze sobą rozmawiali i żartowali, idąc w stronę klas, na swoje pierwsze zajęcia. Powinnam czuć się źle, bo w końcu zaraz miałam zobaczyć Wrena – ale nasza relacja nie była słodkim licealnym romansiem, którym mogłabym się ekscytować. Stanowiła sekret. Co prawda chłopak nie powiedział, żebym zachowała dla siebie to, co się między nami wydarzyło, ale nie musiał. Mieliśmy niepisaną umowę. Oboje wiedzieliśmy, że nie wynikłoby z tego nic dobrego, gdyby ktokolwiek się dowiedział, że zdarliśmy z siebie ubrania i pieprzyliśmy się bez opamiętania w jego pokoju.

Na widok Dashiella w gardle stanęła mi gęsia skóra. Wszedł przez główne wejście do akademii, potrząsając głową jak mokry pies i posyłając wszędzie wokół kropelki wody. Pax pojawił się tuż za nim. Na twarzy miał szeroki uśmiech. Śmiał się w głos z jakiegoś prywatnego żartu.

Na końcu wszedł Wren.

Zaparło mi dech.

Przekroczył próg szkoły odziany od stóp do głów w czerń. Materiał na ramionach pociemniał mu od deszczu. Na głowie miał kaptur. Jego oczy wyraźnie czegoś szukały. Szukały i szukały, i...

Zauważył mnie, stojącą u dołu schodów, a światło nagle jakby przygasło. Zeszłam z ostatniego schodka i przywarłam plecami do ściany. Chłopcy z Riot House przedzierali się przez tłum, zajęci kontynuowaniem swojej rozmowy, czegokolwiek dotyczyła. A przynajmniej dwóch z nich. Wren znieruchomiał po drugiej stronie korytarza, w linii prostej ode mnie. Patrzyliśmy na siebie w napięciu. Potok mijających nas, zaaferowanych własnymi sprawami osób, co chwilę ograniczał widoczność. Mimo to nie spuszczaaliśmy z siebie wzroku.

Jakim cudem nikt na to nie zareagował? Jak to możliwe, że inni nie czuli tej elektryczności w powietrzu? Jak mogli być na tyle ślepi, głusi i głupi, by nie zauważyć

wzrastającego między nami ciśnienia? Piekielnie surrealistyczna chwila.

– Zapomniałaś, w którą stronę masz iść?

Spojrzałam w górę, a wtedy moim oczom ukazała się Carina. Miała na sobie nieskazitelnie białą koszulkę i spódniczkę w szkocką kratę, która była tak krótka, że powinno się zakazać jej noszenia. Do piersi przyciskała torbę z zeszytami.

– Słucham?

– Czemu tak tu stoisz? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha – zaśmiała się.

– Och. Tak sobie. Wybacz.

– Myślałam, że zajmiesz nam miejsce. Chodź. Jeśli się nie pospieszymy, to ktoś usiądzie na naszej sofie.

Gdy spojrzałam znów w stronę Wrena, już go nie było.

Weszliśmy do pomieszczenia, a doktor Fitzpatrick stał już na swoim miejscu.

– Ruchy, ruchy, dziewczyny. Wiecie, jaka jest kara za spóźnienie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Jaka jest kara za spóźnienie? – syknęłam do Cariny.

– Nie chcesz wiedzieć. – Chwyciła mnie za ramię, a potem pociągnęła do sofy.

Po tym, jak usiadliśmy, wyciągnęłam zeszyt z plecaka i zaczęłam nerwowo obracać długopis w palcach. Rozglądałam się po sali. Spojrzałam na każdego obecnego ucznia, zanim pozwoliłam sobie, niezwykle subtelnie, zerknąć na skórzaną kanapę po drugiej stronie.

Wren siedział na swoim miejscu... ale dzisiaj nie leżał na plecach i nie wpatrywał się gniewnie w sufit. Siedział jak normalny człowiek. Oczy miał wbite w dłonie, włosy opadały mu na twarz, a między ciemnymi brwiami widniała mała zmarszczka. Dashiell i Pax siedzieli na podłodze pod oknem, ale się nie przekomarzali. Wydawało mi się, że ukradkiem obserwowali Wrena i coś do siebie szeptali. Dash musiał poczuć na sobie mój wzrok. Nagle poderwał głowę i spojrzał prosto na mnie.

Nie. Nie na mnie. Na Carinę.

– Co za dupek – gderiała. – Jak chorym pojebańcem trzeba być, żeby narobić komuś nadziei, rozdziewiczyć tę osobę, upokorzyć ją w najgorszy możliwy sposób, a potem wpatrywać się w nią przy każdej nadarzającej się okazji? No serio, co on w ogóle próbuje osiągnąć w ten sposób?

Nie próbował niczego osiągnąć. Przeżywał coś na nowo. Odtwarzał wspomnienia w głowie, smakując każdą ich sekundę. Wyobrażał sobie, jak rozbierał Carinę, a potem rznął ją bez opamiętania. Wiedziała, bo znałam to spojrzenie. Od sobotniej nocy ten sam nieobecny, zamroczony wyraz pojawił się na mojej twarzy przynajmniej dziesięć razy.

Nie napisałam do niego, a on nie napisał do mnie.

Co to znaczyło? Czy oboje czekaliśmy, aż druga strona odezwie się pierwsza? Czy byliśmy zbyt uparci, głupi i dumni, by się normalnie komunikować? A może źle to wszystko rozumiałam? Może teraz, gdy już mnie miał, był w pełni usatysfakcjonowany? Może po tym, jak dałam mu to, czego chciał, nie mogłam już liczyć na nic więcej?

– Chciałabym się tam przejść i mu przywalić z liścia – kontynuowała Carina, zupełnie nieświadoma wzrastającej we mnie paniki. – Pewnie mu się wydaje, że mnie na to nie stać. Kiedyś ćwiczyłam kickboxing, wiesz? Mogłabym go uderzyć tak mocno, że zostałby ślad.

Nie chciałam być „tą dziewczyną” – tą, która świrowała na punkcie chłopaka i podawała w wątpliwość każdy swój ruch, analizowała wszystko do utraty zmysłów. Podjęłam decyzję. *Nie stanę się taka.*

– Pewnie żałuje dnia, w którym z tobą zadarł. Nie przejmuj się tym. Już nie patrzy.

– Klaso. Bardzo mi przykro. Wiem, że cały semestr obawialiście się tego momentu, ale

niestety, znowu nadszedł ten czas...

Wśród uczniów rozeszły się chóralne jęki, a doktor Fitzpatrick parsknął śmiechem. Pochyliłam się do przodu i zmrużyłam oczy na przystojnego nauczyciela. Usiłowałam lepiej mu się przyjrzeć. Coś się nie zgadzało. Coś jakby...

– Carina?

– Mmm?

– Czy doktor Fitzpatrick ma rozciętą wargę? – zapytałam szeptem. – Kurwa. On chyba ma na twarzy makijaż.

Przyjaciółka pochyliła się i też zmrużyła oczy, po czym zachichotała cicho.

– Wow. Tak. Coś fantastycznego. Ma ogromny siniak na szczęce. Kto by pomyślał? Nie brałam go za awanturnika.

A ja tak. Pasowało mi to do niego. Miał w sobie jakąś ukrytą, sekretną gwałtowność, która od czasu do czasu dawała o sobie znać.

Przez to, że rozmawiałam, nie usłyszałam, co mówił i nie miałam pojęcia, dlaczego reszta klasy narzekała głośno i rzucała w nauczyciela zmiętymi kulkami papieru. Podniósł ręce w próbie ochrony przed niegroźnymi pociskami. Śmiał się na całego, podczas gdy każdy inny nauczyciel na jego miejscu dostałby właśnie szewskiej pasji.

– Dobra, dobra. Wystarczy, dziękuję. Taki mamy program nauczania, nic nie poradzę. Musicie wykonywać projekty grupowe, żeby nauczyć się pracy zespołowej. Jak inaczej dowiecie się, co robić, gdy już opuścicie naszą szacowną placówkę edukacyjną i rozpoczniecie swoje wspaniałe kariery w fast foodzie, co? – Wokół rozbrzmiały gwizdy. Widocznie to, że doktor Fitzpatrick w ogóle w nas nie wierzył, bardziej ich bawiło, niż niepokoiło. – Dobra, wiecie, co teraz. Połączycie się spokojnie w pary, jak przystało na dorosłych, czy znowu mam losować imiona z czapki?

I nastał chaos. Ludzie biegali po pomieszczeniu, szukali przyjaciół, sprzeczekali się jak jakieś koguty o to, kto będzie z kim pracował. Nawet nie drgnęłam. Ja i Carina miałyśmy być partnerkami, czegokolwiek by ten paskudny projekt nie dotyczył.

Chyba że...

– Ja chcę Carinę Mendozę, Fitz.

Dziewczyna gwałtownie się wyprostowała, a oczy prawie wyszły jej z orbit. Co się właśnie, do cholery, działo? Przy oknie stał Dashiell Lovett i wskazywał palcem na moją przyjaciółkę. Minę miał obojętną, przekonaną o prawie do specjalnego traktowania.

– Carina chyba już ma partnerkę – zauważył Fitz.

– Jaki sens ma pracowanie z przyjaciółmi? W niczym to nie pomoże. Jak mamy się czegokolwiek nauczyć, jeśli będziemy spędzać czas z tymi samymi ludźmi, co zawsze?

Fitz przyglądał się przez dłuższą chwilę Dashowi. Zmarszczył brwi. Nagle zaklaskał.

– Masz absolutną rację! Zmiana planów. Każdy musi się sparować z kimś, kogo nie lubi. Nie wiem, jak to rozegracie. Starajcie się brać pod uwagę cudze uczucia. – Machnął na nas ręką i schylił się, by podnieść z podłogi swoją torbę. – Macie dwie minuty.

Zapadła cisza.

Było zajębiście niezręcznie.

Ludzie zaczęli niechętnie zmieniać położenie. Człapali między meblami niczym smutne zombie. Zapadały pierwsze niekomfortowe decyzje.

Powtarzam: zajębiście niezręcznie.

– No dalej, wstawaj, Elodie. Muszę usiąść obok mojej partnerki.

O ja pierdole, jakim cudem się tak szybko przemieścił? Dash miał na sobie koszulę i krawat, a jego włoskie skórzane buty wyglądały, jakby dzisiaj rano specjalnie je wypastował.

Siedząca obok mnie Carina całkowicie zeszywniała.

– Pożałujesz tego – warknęła.

– Wątpię – mruknął, po czym uniósł na mnie brew i wskazał kciukiem za siebie. – Będziesz się stawiać, by czynić całą sprawę dodatkowo niezręczną, czy pójdiesz grzecznie usiąść obok Wrena? Wszyscy wiemy, jak bardzo go nienawidzisz.

Zabiję skurwysyna. Posłałam Carinie przepaszające spojrzenie, a potem powoli się podniosłam. Serce waliło mi jak szalone, gdy chwyciłam plecak i ruszyłam na drugą stronę nory doktora Fitzpatricka. Wren nie spuszczał ze mnie przeszywających, ale spokojnych oczu. Byłam w odległości czterech kroków od sofy, gdy nagle tuż przede mną pojawiła się Mercy – jakby dosłownie zmaterializowała się z jebanych najgłębszych kręgów piekielnych – i rzuciła się na miejsce obok swojego brata.

– Jeszcze się nie zdecydowałam, czy się tobą brzydzę, Elodie, ale obawiam się, że w tej sprawie nie masz szans. Wren nikogo nie nienawidzi tak bardzo, jak mnie.

Złapała go pod ramię i uśmiechnęła się tak niewinnie, że od nadmiaru słodczy rozboleły mnie zęby. Furia dosłownie emanowała od Wrena, ale nie zdążył zaprotestować. Nim się zorientowałam, co się właściwie działo, spojrzałam w górę, gdzie spotkałam wzrok Paxa, który był pełen pogardy dla mnie.

– Gratuluję, Francuzeczko. Wygląda na to, że teraz ja ci sprawię trochę bólu.

WREN

– Całkowicie cię pojebało. Wiesz o tym, prawda?

Większość dzieciaków fascynowało to, że byliśmy bliźniakami. „Jakież to niespotykane”, zachwycali się ich rodzice. „I są tacy do siebie podobni! To zwykle nie takie oczywiste, gdy trafia się chłopiec i dziewczynka, a oni są jak dwie krople wody”. Mercy stanowiła mój żeński odpowiednik, co na ogół było dość niepokojące, a zwykle po prostu mnie wkurwiało. Nikt nie powinien mieć możliwości patrzenia na drugą osobę z pełną świadomością, że tak właśnie by wyglądał, gdyby urodził się innej płci. To po prostu złe.

– Nie martw się, starszy braciszku. Też mi się nie uśmiecha praca z tobą. – Oparła podbródek na moim barku i zatrzepotała rękami. – Ale już najwyższy czas, żebyśmy się pozbyli tej wrogości, nie uważasz? To zaczyna być nudne. Rodzice podejrzewają, że musiało się między nami wydarzyć coś okropnego. Chyba byśmy nie chcieli, żeby ojciec osobiście zajął się śledztwem, prawda? Dopiero co przeszedł na emeryturę. Ma mnóstwo czasu. Może i nie widzi tego, co się dzieje tuż pod jego nosem, ale jak się zaangażuje, to jest całkiem dobry w rozwiązywaniu zagadek. Chyba mam to po nim.

– Tak, oboje wiemy, jak świetna jesteś we wtykaniu nosa w nie swoje sprawy, prawda – zgodziłem się.

Uniosła głowę tak, jakby właśnie usłyszała najlepszy jebany komplement.

Fitz przeszedł się po pomieszczeniu, rozdając zadania, co oznaczało, że wszyscy robiliśmy inne prezentacje. Wyraźnie się wzdrygnął, gdy stanął tuż przed nami i podał Mercy kartkę papieru. Wyrwała mu ją z dłoni z zębami odsłoniętymi w tak przerażającym uśmiechu, że mięśnie szyi zaczęły mu nagle intensywnie pracować. Szybko wrócił na swoje miejsce.

– Niepotrzebnie go uderzyłeś – stwierdziła. – Nic złego nie robił.

Nie słuchałem jej. Byłem zbyt zajęty zerkaniami na Paxa. Usiłowałem go zmusić do przyzwoitego zachowania za pomocą samego wzroku. Elodie siedziała plecami do mnie, więc nie widziałem jej twarzy, ale nie mogła być zadowolona z tej sytuacji. Pax nie stanowił dobrych wieści nawet dla tych z nas, którzy twierdzili, że go lubili.

– A więc, starszy braciszku, może wprowadzisz mnie w to, co się tu działo pod moją nieobecność? Jakież nowości, którymi chciałbyś się ze mną podzielić?

– Już nie serwują spaghetti w środy – warknąłem.

– O, wow. Ty to zawsze znasz najlepsze plotecki – sarknęła milutko. – Powinam od razu przyjść do ciebie, a nie do Damiany.

Zaniechałem prób wywiercenia Paxowi dziury w głowie i zamiast tego spiorunowałem wzrokiem siedzącą obok dziewczynę. Wcześniej dostrzegłem jednak kwaśny, zadowolony z siebie uśmiezek Damiany.

– To chodząca trucizna. – Nie miałem o niej nic więcej do powiedzenia.

– To po co ją przeruchałeś? – zapytała, wachlując się kartką z zadaniem.

– Chryste, Mercy. Nie powinnaś teraz odgrywać roli w jakiejś sztuce czy coś w tym stylu? Może w Nowym Jorku? Gdzieś bardzo daleko stąd?

– Michael próbował ze mnie zrobić dublerkę. Dublerkę! Nie jestem dublerką, Wren. Główna rola kobieca albo nic. Damiana twierdzi, że straciła zainteresowanie, gdy pojawiła się nowa dziewczyna. Z pewnością się myli. Jest taka... – zmarszczyła nos – ...przeciętna.

– Trzymaj się z daleka od Elodie, Mercy. Przynajmniej pół metra dystansu.

– Bo co?

– Bo zrobię ci z życia piekło. Nie tylko ty lubisz cudze sekrety.

– Ho, ho, ho! Nie sądziłam, że to możliwe, ale... O. Mój. Boże. Ty ją lubisz, prawda? –

Odwróciła się w moją stronę i podwinęła pod siebie nogę, jakby właśnie się usadowiała na sesyjce babskich pogaduszek. – Wrenie Jacobi, kto by pomyślał. Po tych wszystkich latach patrzenia, jak naskakujesz na ludzi, założyłam, że coś jest w tobie po prostu zepsute. A tu proszę, szok życia. Ja pierdolę!

Zabrałem jej kartkę z dłoni i zacząłem czytać zapisane na niej informacje. Starannie ignorowałem pełen samozadowolenia uśmiech, który właśnie rozdzierał jej twarz.

– Musimy napisać esej o jakimś niedocenianym bohaterze literackim i zaprezentować go przed klasą – streściłem. – Możesz wybrać.

– Naprawdę? – Jak na aktorkę udawanie zaskoczenia wychodziło jej chujowo. – Zazwyczaj jesteś bardzo opiekuńczy wobec swoich bohaterów literackich. Niedocenianych czy jakichkolwiek innych.

Boże, to będzie totalna katastrofa. Entuzjastycznie strzeliłem knykciami, co ją w końcu przytknęło. Na całe pięć sekund.

– Słuchaj, myślę, że to naprawdę super, że ktoś ci się podoba – kontynuowała temat. – Wiem, że mi nie wierzysz, ale zależy mi na tobie, Wren. A skoro padło akurat na tę dziwną szarą myszkę, to czemu nie. Powodzenia.

Sztuczka. Zwykła, nędzna sztuczka, na którą nie miałem zamiaru dać się nabrać. Nie byłem na tyle głupi. Obnażyłem zęby i upuściłem kartkę na kolana.

– Wybierz temat, a potem przestań się do mnie, kurwa, odzywać, bo przysięgam na Boga, że marny będzie twój koniec – ostrzegłem.

Wybrała Sydneya Cartona. Ze wszystkich istniejących w książkach postaci wybrała akurat Sydneya Cartona z *Opowieści o dwóch miastach*, z pewnością tylko po to, by mnie zirytować. Sydney to mój człowiek. Był pieprzonym wrakiem, najgorszym i najlepszym jednocześnie. Utożsamiałem się z nim na tak wielu poziomach, że to przestawało być śmieszne. Gdyby była kimkolwiek innym, zdziwiłbym się, że zdecydowała się na ten temat, ale że była, kim była, w ogóle mnie nie zaskoczyła. W końcu byliśmy bliźniakami. Nasze popierdolone mózgi działały do tego stopnia podobnie, że pogardzałem nią prawie tak bardzo, jak samym sobą.

Zadzwoił dzwonek, sygnalizując koniec lekcji. Od razu wyciągnąłem i włączyłem telefon. Napisałem szybką wiadomość, zanim rzuciłem się w stronę drzwi.

Ja: Pora lunchu. Znajdź mnie. Będę z poetami.

ELODIE

Nigdy nikomu źle nie życzyłam.

Okej, życzyłam źle jednej osobie, ale mój ojciec się nie liczył. Był kupą gówna, która zasługiwała na każdą okropną myśl, jaką kiedykolwiek miałam na jego temat. Poza pułkownikiem Stillwaterem, zawsze dawałam jednak ludziom kredyt zaufania. Lubiłam postępować właściwie. Być sprawiedliwa. Ale to na nic – Pax Davis był skurwysynem najwyższego rzędu i miałam nadzieję, że pewnego dnia spadnie z bardzo wysokiego klifu. Mogłam się ewentualnie zgodzić na to, by przeżył upadek. Kilka tygodni wicia się z bólu, w gipsie, na brudnym szpitalnym łóżku... tak, to brzmiało jak odpowiednia kara dla takiego gnojka.

Osiem. Tyle razy nazwał mnie kurewką w ciągu czterdziestu minut, które musieliśmy spędzić na siedzeniu obok siebie i planowaniu, jak wykonamy nasze zadanie. Jego treść brzmiała: „Przeczytajcie książkę z ważną, poruszającą fabułą i przedstawcie ją klasie”. Nie byłam pewna, czy Pax w ogóle potrafił czytać. Nie wyglądał na zainteresowanego wręczoną przez doktora Fitzpatricka kartką. Z drugiej strony spędził ostatnie dziesięć minut zajęć z nosem w telefonie, wystukując wiadomość za wiadomością do Bóg-jeden-wie-kogo, więc musiał posiadać choć szczytkową znajomość języka angielskiego.

Gdy się rozstawaliśmy, warknął coś gardłowego i szorstkiego, w języku który brzmiał na niemiecki, po czym uprzejmie mnie poinformował, że mam przeczytać książkę, a potem napisać prezentację sama. Na pożegnanie wystawił środkowy palec i wyszedł bez słowa z sali.

Nie miałam okazji porozmawiać z Cariną o tym, jak jej poszło z Dashielle, ale wnosząc po wyrazie twarzy, z jakim pobiegła na kolejną lekcję, poszło dokładnie tak, jak można się było tego spodziewać: okropnie.

Miała spotkanie ze szkolnym pedagogiem w czasie lunchu, dzięki czemu nie czułam się źle z tym, że nie próbowałam jej znaleźć. Szybkim krokiem przemierzyłam akademię. Pod drzwiami biblioteki głowa parowała mi od skotłowanych w niej myśli.

Nie była to szczególnie przyjazna wiadomość, ale Wren nie lubił strzępić języka. Nie oczekiwałam niczego kwiecistego czy romantycznego. Właściwie to byłam zdziwiona, że napisał cokolwiek.

Znalazłam go tam, gdzie mówił, że będzie. W sekcji poświęconej poezji, wśród nazwisk takich jak Rilke, Hugo, Keats czy Wordsworth. Pochylał głowę nad tomikiem wierszy, a niesforne włosy jak zawsze zakrywały część jego twarzy. Stał tuż przy ogromnych oknach, przez co wpadające promienie słoneczne oświetlały tylko kontury sylwetki. Ze swojego miejsca mogłam jednak przyjrzeć się jego profilowi. Mocnej szczęce, prostemu nosowi, grzesznie pełnym ustom, które poruszały się, gdy wypowiadał cicho czytane słowa...

Nie był tym, za kogo się podawał. Niezupełnie. Tak, czasami trudno było do niego dotrzeć i tak, potrafił się zachowywać w sposób arktycznie oziębły, ale miał też głębszą warstwę, której nie pokazywał ludziom. Czułam, że mi też jeszcze do końca nie pokazał tej części siebie. Po prostu się wymknęła, zupełnie o to nieproszona, przez przypadek. Różnica polegała na tym, że nie próbował na nowo wepchnąć jej do klatki. Pozwolił, by pozostała na zewnątrz, żebym mogła się jej przyjrzeć i zdecydować, co o niej sądzę.

Usta kontynuowały swoją pracę, gdy czytał dalej, tym razem na głos:

„My tęsknimy czule
Za tym, czego nie ma.
Śmiech się miesza z bólem,
Co serce oniemia,
Najśladźszych zaś pieśni – najsmutniejszy temat”¹⁰

Ach. Czyli wiedział, że tu byłam. Super. Zebrałam się do kupy, zaserwowałam swojego sercu szybką pogadankę motywacyjną, by wiedziało, jak się zachowywać, po czym weszłam między regały i dołączyłam do chłopaka.

– Znowu Byron?

Potrząsnął głową.

– Shelley – wyjaśnił. – Też był z niego niezły skurwysyn, wiesz? Pijak i kobieciarz. Zostawił żonę i zrobił innej dziecko.

– Mary Shelley. Czytałam o tym.

Wren delikatnie zamknął książkę. Patrzył na mnie kątem tych swoich zielonych oczu. Poza tym się nie poruszył.

– Jak wszyscy wielcy artyści, był zdrowo popierdolony.

– Ten wiersz nie brzmi na popierdolony, tylko smutny.

Uśmiechnął się i spojrział na trzymany tomik.

– Nazywa się *Do skowronka*. To jeden z jego najśłynniejszych utworów.

– O czym jest? – zapytałam.

– O przeszłości i przyszłości. O strachu przed śmiercią. O złudzeniach i ignorancji.

O tym, że nawet najpiękniejsze historie miłosne są splamione smutkiem. I o tym, że człowiek nigdy nie będzie tak wolny, jak ptak.

– Piękne.

– To prawda – zgodził się. Odłożył książkę na półkę i odwrócił się twarzą do mnie. Zlustrował mnie tak intensywnym wzrokiem, że dostałam gęsiej skórki. – Co zrobił?

– Kto?

– Pax. Co zrobił? – zażądał. – Wiem, że coś zrobił.

– Och. Uch... – zdziwiłam się. – Był po prostu sobą. Uroczym, typowym sobą. Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

– Nie wiesz, czy nic się nie stało. Dowiesz się dopiero, gdy będziesz leżeć na podłodze w kałuży własnej krwi. Tak działa Pax.

Uśmiechnęłam się na tę śmiertelną powagę.

– Mówisz, że spróbuje mnie wypatroszyć? Bo nie bardzo mi się to podoba.

Wren sięgnął po moją dłoń, szybko się obrócił i pociągnął za sobą. Zupełnie jak wtedy, gdy wpadliśmy na Madame Fournier przed moją pierwszą lekcją francuskiego, miałam wrażenie, jakby od jego dotyku rozszedł mi się po ręce prąd elektryczny. Choć szok wcale się nie zmniejszył, tym razem było inaczej. Nie chwycił mnie szorstko za nadgarstek. Wziął w dłoń moją dłoń i splótł nasze palce.

Byłam zbyt oszołomiona, by cokolwiek powiedzieć. Odciągnął mnie od okien, przez które widać było pochmurne niebo. Biegł przed siebie, dopóki nie dotarł do tylnego rogu biblioteki. Zatrzymał się przed prostymi, niewinnie wyglądającymi drewnianymi drzwiami, które w ogóle nie rzucały się w oczy. Przeszłabym obok nich, nawet ich nie zauważając. Chłopak puścił moją rękę i wyciągnął z kieszeni pęk kluczy. Palce przebiegły sprawnie po ich różnych kształtach. Nacinane, uniwersalne, nawiercane... Szybko znalazł ten, którego szukał.

Już po chwili zamek został otwarty, a moja dłoń ponownie znalazła się w dłoni Wrena, bym mogła iść za nim do środka. Drzwi zamknęły się z cichym kliknięciem. Otoczyła nas

perfekcyjna, aksamitna ciemność. Słyszałam, jak oddychał, powoli i spokojnie. Każda komórka mojego ciała gwałtownie budziła się do życia.

– Pewnie nie ma tu światła? – zapytałam cicho. Szeptanie wydawało się jedyną stosowną opcją w obliczu tak ogłuszającej, ciężkiej ciszy.

– O co chodzi? Boisz się być ze mną w ciemnym pokoju, Malutka Eli?

Głos miał szorstki i pieszczący jednocześnie, o delikatnie żartobliwym zabarwieniu. Mogłam sobie wyobrazić, jak uniósł kącik ust. Jak patrzył na mnie z wyzwaniem w oczach. Palce u stóp same podkurczyły mi się w butach.

– Skąd. Jest mi tu dobrze. Z tobą. W ciemności.

Mówiłam prawdę. Było w tym coś wyzwalającego. Nie stresowałam się tym, w jaki sposób na mnie patrzył, ani nie musiałam się wstydzić tego, że się rumieniłam. Mogłam po prostu... być.

– W takim razie... – Dłoń Wrena dotknęła mojego brzucha, a ja aż podskoczyłam. – Spokojnie, Malutka Eli. Próbuję tylko znaleźć twoją drugą rękę.

Podawałam mu ją i przełknęłam ciężko, gdy pokierował moje dłonie tak, by spoczywały na solidnie zbudowanych mięśniach jego klatki piersiowej. Przez miękki materiał bawełnianej bluzy mogłam poczuć, jak biło mu serce. Wobec odebranego zmysłu wzroku stabilne *bum, bum, bum* pod palcami było wszystkim, co się dla mnie liczyło. Uziemiało mnie. Dzięki temu poczułam się spokojna i... bezpieczna? *Wow. A to nowość. Jak to w ogóle możliwe, że czuję się przy nim bezpieczna?*

Wren zrobił krok do przodu. Po odgłosach butów wnosiłam, że staliśmy na płytkach. Ciepły oddech poruszył mi włosy, omiótł policzek.

– Pomyślałem, że tak będzie ci łatwiej – powiedział cicho. – Mi także.

– Łatwiej?

– Szczerowość jest mniej trudna, gdy nie trzeba się martwić o cudze reakcje, prawda? Możesz powiedzieć mi prawdę, a ja mogę odwdziżyć się tym samym. Będzie mniej przerażająco niż w świetle dziennym.

O cholera. Co chciał mi powiedzieć? Zamknęłam oczy – zupełnie zbędna czynność, której jedyną funkcją w tej sytuacji było sprawienie, że poczułam się odrobinę lepiej.

– Okeeej. Brzmi poważnie. Powinnam się bać?

Zaśmiał się krótko.

– Możliwe.

– Dobra, zrywaj ten plaster, Jacobi. Miejmy to z głowy.

Jeszcze więcej śmiechu.

– Ach, jaka chętna, by wejść prosto w ogień. To zdecydowanie jedna z rzeczy, które lubię w tobie najbardziej.

– Jedna z rzeczy? Więc lubisz we mnie coś jeszcze?

To całe rozmawianie w ciemnościach już działało. W życiu bym tego nie powiedziała przy zapalonym świetle. Nie byłam aż tak odważna, a już na pewno nie przy tego typu niebezpiecznych stworzeniach, zdolnych do wyrządzenia nienaprawialnych szkód.

Przestałam się poruszać, gdy poczułam na policzku lekki jak piórko dotyk ust Wrena. Nie ogolił się tego ranka. Zarost połaskotał mnie w skórę, a mną wstrząsnął dreszcz. Wrażenia były tak mocne, że z trudem oddychałam.

– Tak – wyszeptał. – Całe mnóstwo. Zrobię ci listę.

O kurwa. Robiło się interesująco. Na początku się martwiłam, że zaciągnął mnie do tego... czymkolwiek było to pomieszczenie... tylko po to, by mi powiedzieć, że nie chciał mieć ze mną więcej nic wspólnego. Teraz już się o to nie bałam. Położył mi dłonie na biodrach, po

czym przesunął je na plecy i przyciągnął mnie do siebie. Nasze ciała stykały się ze sobą, a moje dłonie wciąż spoczywały na jego klatce piersiowej.

– Najpierw musisz powiedzieć mi prawdę – kontynuował temat. – Czy Pax zrobił coś, co się zasmuciło? Może ci groził?

– Kilka razy zainsynuował, że przyjmuję pieniądze w zamian za seks, ale to tyle.

Wydał z siebie niezbyt zadowolone chrząknięcie.

– Zadbam o to, by więcej tego nie robił.

– Nie martw się, o gorsze rzeczy mnie oskarżano. Mam grubą skórę.

– Nie, nie masz. Twoja skóra jest jak jebany jedwab – jęknął nisko, przejeżdżając nosem wzdłuż linii mojej szczęki. Brał głębokie wdechy, jakby usiłował napełnić płuca moją esencją.

– Nie musisz przejmować się Paxem, zajmę się nim. Druga rzecz, o którą chciałem zapytać, to... czy jesteś już gotowa?

– Gotowa na co?

– Na wyłożenie kart na stół. Na przyznanie, że mnie chcesz. Całego. Cały czas. Żeby nie było już żadnych niedomówień, co do tego, czym „to” jest.

Serce zacisnęło mi się gwałtownie.

– Od razu przechodzisz do rzeczy, co?

– Mówiłem ci, że lubię czarno-białe sytuacje. Jednoznaczne. Bez pola do interpretacji – przypomniał. – Twierdziłaś, że też tak masz.

– Bo to prawda.

– Więc powiedz mi, czym „to” według ciebie jest.

– Ja... – *Ja pierdolę.* Cała ta sytuacja byłaby o wiele mniej żenująca, gdyby zadeklarował się pierwszy. *Ale jeśli mu nie odpowiem, uzna mnie za tchórza.* I będzie miał rację. Spędziłam zbyt wiele lat, przekonując sama siebie o swojej sile, żeby teraz tak się na sobie zawieść. – Chcę cię. Chcę cię całego, na wyłączność. I... – *Dobry Boże, przyznanie tego sprawi, że poczuję się jak jakaś głupiutka, naiwna dziewczynka, ale proszę bardzo.* – ...i chcę być twoją dziewczyną.

Cisza.

Ogłuszająca cisza.

Samozadowolenie wręcz od niego emanowało. Przycisnął mnie do siebie i poczułam twardość między naszymi ciałami. Po tym, jak pulsowała, zdawała się domagać uwagi.

– Wiesz, z czym wiąże się bycie moją dziewczyną, Malutka Eli? – wywarczał.

Uch... słowa. Potrzebowałam słów. Gdzie się podziała moja zdolność do formułowania sensownych zdań? Wyglądało na to, że w tym samym miejscu, w którym położyłam tę od logicznego myślenia.

– Pewnie... jesteś bardzo zaborczy – wydusiłam.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo. Co jeszcze?

– Pewnie lubisz być w posiadaniu całej władzy w związku.

– Lubię mieć kontrolę – przyznał – ale mogę się nią czasami podzielić.

– Pewnie lubisz się też kłócić?

– Nie ma nic złego w zdrowym niezgadaniu się ze sobą. Ani w zwróceniu komuś uwagi, jeśli gównianie się zachowuje.

– I pewnie też chcesz, by wszystko było po twojemu – dodałam.

– Stać mnie na kompromis.

– Okej...

– Kontynuuj.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Kolejne muśnięcie warg, tym razem na moich ustach. Dotyk był tak krótki i droczący, że

wydałam z siebie desperackie skomlenie, gdy tylko się odsunął.

– W takim razie pozwól, że uzupełnię – wymruczał. – Jestem arogancki. Lubię seks. Potrafię być bardzo intensywny. Mam zero-jedynkowe myślenie: wszystko albo nic. Taki już jestem, nie robię rzeczy na pół gwizdka. Będą dni, gdy będziesz mnie nienawidzić bardziej niż kochać. Ale będziesz mnie kochać, Elodie. Już za późno, by się wycofać. Pokocham cię, a ty pokochasz mnie, i żadne z nas nie zawróci z tej drogi. Dlatego zapytam jeszcze raz. Czy teraz już wiesz, z czym to się wiąże? Czy wciąż tego chcesz, mimo że nie zawsze będzie idealnie? Mimo że czasami może być naprawdę trudno?

Miałam wrażenie, jakby język przywarł mi do podniebienia. Nie mogłam się odezwać. Był taki nieokrzesany, żarliwy i władczy we wszystkim, co mówił czy robił. Obraz naszej wspólnej przyszłości, który właśnie odmalował mi przed oczami, był przerażający, zdumiewający i niesamowicie ekscytujący zarazem. Wiedziałam, że powinnam być mniej pewna odpowiedzi, której chciałam mu udzielić. Ale byłam pewna. Pieprzyć to. Być może była to najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, ale wypowiedziałam te słowa.

– Tak, Wren. Wciąż tego chcę.

Dłonie zacisnęły się w pięści na materiale mojej koszulki. Nagle popchnął mnie do tyłu i podniósł do góry, bym już po chwili miała za plecami ścianę. Warknął jak jakieś wygłodniałe wilczysko i przywarł do mnie ustami. Wtedy mój mózg oficjalnie się wyłączył. Językiem rozwarł mi wargi, po czym splątał go z moim. Z trudem pamiętałam o oddychaniu. Był wszędzie. Jego zapach otaczał mnie z każdej strony. Cytrusy, świeże morskie powietrze i drzewo cedrowe. Byłam tak odurzona, że nawet nie zarejestrowałam, co robiłam, dopóki nie syknął mi do ucha.

– Ostrożnie, E. Prawie dotarłaś do kości.

Kurwa. Okazało się, że w międzyczasie objęłam go rękami i wbijałam paznokcie w plecy przez cienki materiał bluzy.

– Cholera, przepraszam.

– Nie przepraszaj. Lubię to. Ale, jeśli chcesz mnie naznaczyć jako swoją własność, przynajmniej zdejmij ze mnie najpierw ubrania.

Zalała mnie fala gorąca. Rozeszła się od klatki piersiowej, przez brzuch, prosto między nogi. Zachowywałam się jak zwierzę, obłąkane i dzikie, gdy zaczęłam gorączkowo szarpać go za bluzę. Ściągnęłam ją z niego w rekordowym czasie.

Rozbieraliśmy się w ciemnościach, zupełnie rozgorączkowani i zdesperowani. Oddychaliśmy tym samym powietrzem i jęczyliśmy sobie w usta swoje imiona. Całowaliśmy się, dotykaliśmy, ugniataliśmy skórę.

Nie wiedziałam, gdzie byłam – także dosłownie – ale miałam to głęboko w poważaniu. Wszystko, co się dla mnie liczyło, to władcze dłonie Wrena na moim ciele oraz pełne naglącej potrzeby napięcie w jego głosie, gdy wydał mi rozkaz:

– Na kolana, Malutka Eli. Chcę się dowiedzieć, jak to jest być w tej idealnej buźce.

Może i uprawiałam wcześniej seks, ale tego nigdy nie robiłam. Nie miałam jednak zwyczaju wycofywać się w obliczu nowych wyzwań. Zwłaszcza takich, w których chciałam brać udział. Uklękłam przed nim, w pełni świadoma że właśnie oddawałam mu całą kontrolę, ale z jakiegoś powodu nie czułam strachu. Zanurzył mi dłonie we włosach i delikatnie objął głowę. Poczulałam, jak czubek kutasa przycisnął się do moich ust, a potem rozwarł je i wtargnął do środka.

– Kurwa... mać! – wysyczał. – Elodie... ja pierdolę... to jest...

Nie miałam jebanego pojęcia, czy przerwał dlatego, że było mu tak dobrze, czy może dlatego, że już na wstępie całkowicie spieprzyłam sprawę. Jeździłam językiem po erekcji, którą wsunął mi do ust. Cieszyłam się jej jedwabną, ale twardą strukturą, aż chłopak zaczął się trząść.

Filmiki, które oglądałam na YouTube w zeszłym roku – *Jak zrobić swojemu facetowi dobrego loda?, Co musisz wiedzieć przed zrobieniem laski? i Jak sprawić, by doszedł w trzydziści sekund* – chyba właśnie wydawały swoje owoce. Cały zadrżał, gdy zwiększyłam nacisk i nieśmiało zassałam. Wypuścił z ust wiązaną przekleństw.

– Jezu. Boże... kurwa mać, Malutka Eli. To... to jest niesamowite. Ja pierdołę.

Powiedzieć, że byłam z siebie dumna, to jak nic nie powiedzieć. Wren Jacobi, postrach akademii Wolf Hall, zmora życia niezliczonych kobiet, mroczny zwiastun kłopotów i cierpienia... był całkowicie zdany na moją łaskę. Trzymałam go w garści. Gdy posłuchałam się jego pełnego uniesienia rozkazu, myślałam, że to ja oddawałam kontrolę, co nie było nawet w połowie prawdą. Teraz ja tu rządziłam. Jednym ruchem języka mogłam sprawić, by padł na kolana.

Był tak cholernie twardy. Z każdą sekundą coraz bardziej. Zaciśnął ręce na moich włosach, trzymając mnie przy sobie w żelaznym uchwycie. Mimo to wiedziałam, że gdybym w którymkolwiek momencie zechciała się wycofać, wciąż mogłam to zrobić.

– Elodie. Boże, Elodie... – dyszał.

Tym razem bez „Malutkiej Eli”. Nie zastanawiałam się jakoś szczególnie nad ksywką, którą mi nadał, ale podobało mi się brzmienie mojego pełnego imienia w jego ustach. Wymawiał je jak słowa modlitwy. Jakby mnie czcił, tak jak ja właśnie czciłam jego. W głowie mi zaszumiło. Właśnie znalazłam swój rytm i odkrywałam nowe sposoby, na jakie mogłam za pomocą języka przyprawić go o drżenie, gdy nagle się odsunął. Kutas wyskoczył mi z ust z mokrym dźwiękiem.

– Ja pierdołę, E. To za dużo. Za dobre – wysapał. – Połóż się na plecach. Kurwa, muszę cię znowu spróbować. Ciągłe myślę o tej ślicznej, małej cipeczce.

Złożyłam ciche podziękowanie wszechświatowi, Bogu i wszystkiemu, co święte, za to, że było ciemno. Serce oszalało na dobre, gdy ułożyłam się na zimnej, twardej podłodze. Wren wbił mi palce w uda, rozwierając je, a następnie bez żadnego wstępu zanurzył między nimi głowę. Wpił się we mnie jak demon. Miał o wiele więcej doświadczenia ode mnie, co dobitnie udowodnił zeszłej nocy, gdy samymi ustami sprawił, że doszłam. Teraz przejechał po mnie językiem, a ja byłam zupełnie nieprzygotowana na to, jak przyjemne będzie to uczucie. Napięłam się i wypuściłam powietrze między zębami. Usiłowałam się oswoić z intensywnymi sensacjami, które zaczynały się we mnie budować.

– Bozeeeeeee – wyjęczał. – Jesteś tak kurewsko słodka. Nie mogę się powstrzymać.

Ponownie włożył we mnie język, ale tym razem na tym nie poprzestał. Zanurzył we mnie całą twarz, nos, wszystko, ocierając się o moją wilgoć z takim głodem, że krew uderzyła mi do policzków. Byłam kompletnie zawstydzona, mokra i tak podniecona, że nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wydawał z siebie dźwięki rozkoszy, uczując na mojej cipce jak jakieś zwierzę, a ja objęłam go udami, przyciskając do siebie jeszcze mocniej.

Dołożył palce, powoli wkładał je i wyciągał, nie przestając lizać, a w moim brzuchu zrodziło się oszalamiające, wszechogarniające łaskotanie. Byłam zupełnie przebudźcowana. Za dużo się działo, za dużo emocji, pożądania, uczuć. Z opóźnieniem zauważyłam, że po skroniach spływały mi łzy. Dyszałam desperacko, co wydawało się go tylko nakręcać. Pieprzył mnie dwoma palcami. Rozciągał, badał, pocierał punkt, który był tak głęboko, że nawet nie wiedziałam o jego istnieniu. Cała wibrowałam, trzęsłam się, ręce i nogi mrowiły mnie aż do bólu i czułam, że zaraz...

– Kurwa. Wytrzymaj, Malutka Eli. Muszę poczuć, jak dochodzisz wokół mnie.

Odsunął się, a ja zaskomlałam, zostawiona sama sobie tak blisko szczytu. Trwało to tylko sekundę. Wren ułożył się między moimi nogami i wszedł we mnie jednym, płynnym,

zapierającym dech w piersiach, ruchem. W uszach słyszałam śpiew zbudzonej do życia krwi. Czulałam się, jakbym spadała na samo dno szaleństwa, a wokół mnie szumiał wiatr.

– Wren! Kurwa, ja chyba... ja zaraz...

Nawet teraz – z nim na mnie, wbijającym się we mnie raz po razie, zaciskającym zęby na moim obojczyku, napełniającym mi głowę niewidzialnymi fajerwerkami – nie potrafiłam się zmusić do przyznania na głos, że właśnie zbliżałam się do orgazmu. Ale on to wyczuł. Tak brutalnie zaatakował mi usta, że prawdopodobnie doszłabym i od samego pocałunku.

– Grzeczna dziewczynka. Grzeczna dziewczynka – szeptał zachrypniętym głosem. – Pozwól, by to się stało. Nie walcz z tym, kurwa.

To wszystko, co potrzebowałam usłyszeć. Puściłam smycz, na której sama siebie trzymałam. Świat rozpadł mi się na drobne kawałki, a z nim dusza. Oddech opuścił płuca, a szczątki myśli głowę.

– WREN! – krzyknęłam jego imię. Nie byłam w stanie się powstrzymać.

Objął mnie mocno i przycisnął do siebie. Nasze miednice wciąż się pocierały, kutas wypełniał mnie tak głęboko, jak tylko było to możliwe. Doszłam. Cała drżałam, przed oczami błyskały mi światła, a on warczał w zagłębienie mojej szyi.

– Spokojnie – wyszeptał. – Spokojnie. Wszystko dobrze. *Ćśśś*, grzeczna dziewczynka. Trzymaj się mocno, jeszcze z tobą nie skończyłem.

Chwilowo zwolnił. Na tyle długo, by móc obsypać delikatnymi pocałunkami moje skronie i czoło, by móc zebrać z niego włosy, odgarnąć je do tyłu, odsłonić twarz, przejechać opuszkami po policzkach, wargach.

– Te cholerne usta, Elodie – wyjęczał. – Rzeczy, jakie chcę zrobić z tą buzią...

Wsunął palce do środka i nacisnął na język. Z gardła wydobył mu się niski pomruk. Wibrował mi w uszach.

– Pewnego dnia, Elodie. Boże, nie mogę się, kurwa, doczekać...

Zwiększył tempo. Wwiercał się we mnie biodrami, jedna dłoń ścisnęła pierś, obracała w palcach sutek i uszczypnęła tak mocno, że ponownie krzyknęłam. Całkowicie do niego przywarłam, uzależniona od czucia pod palcami naprężających się i poruszających rytmicznie mięśni. W tej chwili nic go nie mogło powstrzymać. Był jak pierdolony żywioł, silniejszy i bardziej przerażający od grzmotów i piorunów, które rozrywały niebo tamtej nocy, gdy wyszłam mu na spotkanie w altance.

Zaciekły i władczy, kąsał moje wargi.

Szorstkie dłonie brały, co chciały od mojego ciała, przyciskając mnie coraz bardziej.

Jego zapach, ciepło, ciężar, odgłosy które wydawał, zbliżając się do orgazmu...

Nie byłam w stanie się nim nasycić.

Mogłam tylko przytulić go jeszcze mocniej, a potem dać się ponieść tej burzy.

Doszliśmy razem. Z zaciśniętymi palcami, wgrzyzionymi w skórę zębami, splecionymi ciałami i gorączkowym sapaniem. Nigdy nie przeżyłam czegoś tak wspaniałego. Krew powoli wracała do swojego normalnego rytmu, mięśnie rozluźniały się jeden po drugim, a Wren opadł na mnie. Spędziliśmy chwilę, po prostu łapiąc oddech. Wtedy zrobił coś niespodziewanego.

Złączył nasze usta i pocałował mnie z najwyższą dbałością. Bez języka, bez pośpiechu. Tylko on i ja. Dzieliliśmy ze sobą ten czuły moment. *Świat się, kurwa, zatrzymał.*

Miałam w głowie tak wiele założeń na jego temat, że... że kompletnie nie wiedziałam, co zrobić z tą nową informacją.

W życiu bym nie pomyślała, że Wren Jacobi potrafił być delikatny.

ELODIE

Na początku czas w nowym miejscu ciągnie się w nieskończoność. Każdy szczegół otoczenia jest interesujący albo irytujący, albo piękny, albo niezrozumiały – przez co wymaga pełnej uwagi. Po jakimś czasie nowych rzeczy jest coraz mniej, wszystko staje się znajome. W Wolf Hall stało się dokładnie to samo, co w każdym innym miejscu, w którym żyłam. W pewnym momencie wiedziałam już, czego się spodziewać za zakrętem. Znałam kształt drzew za moim oknem, a nawet tych przy granicy terenu akademii, gdzie zaczynał się ciągnący aż po horyzont las. Rozpoznawałam specyficzny zapach wosku pszczelego, którego nasza siedemdziesięcioletnia sprzątaczką Jana używała do polerowania podłóg w każdą środę. Przywykłam do głosów roznoszących się echem po wysokich ścianach korytarzy i sal wraz z dźwiękiem dzwonka. Znajdowałam spokój we wpadającym przez okna biblioteki świetle o cieplej barwie miodu czy znajomej powierzchni drewnianej ławki w klasie od francuskiego.

Minęły dwa tygodnie, a ja stopniowo zaczynałam się tutaj czuć jak w domu. Gdy tylko mieliśmy ku temu okazję, spotykaliśmy się z Wrenem na strychu lub w dogodnie wytłumionym pokoju do odczytywania mikrofisz¹¹ – jak się okazało, to on właśnie znajdował się za tajemnymi drzwiami w bibliotece. Raz czy dwa spotkaliśmy się nawet w moim pokoju, gdy byłam pewna, że akurat tego dnia Carina nie miała zamiaru do niego wtargnąć bez zapowiedzi.

Wren wciąż był sobą, ale każdego dnia dowiadywałam się o nim więcej i więcej. Otwierały się przede mną tajemne drzwi, odsłaniające informacje, których nikt inny o nim nie wiedział, a które ja składałam pieczołowicie, mając je za coś cenniejszego niż jakiegokolwiek złoto czy diamenty.

Nienawidził tego, jaką teksturę zyskiwało masło orzechowe w buzi.

Zapach oceanu przypominał mu, jak stracił przedniego zęba w wieku ośmiu lat.

Uważał, że słowo *sesquipedalian* było absolutnie najlepszym słowem istniejącym w języku angielskim, co było ironiczne, bo oznaczało „pełen trudnych słów”, a taki właśnie był.

Skrycie kochał psy, ale w życiu nie przyznałby się do kochania czegokolwiek bez wyraźnej potrzeby.

Ptaki go intrygowały.

Dzięki żeglowaniu, pływaniu i czytaniu czuł, że żył.

Rozmawialiśmy godzinami. Naprawdę go teraz znałam, a jednocześnie czułam, że dotarłam do zaledwie pierwszego rozdziału *Rzeczy na temat Wrena*.

Wymienialiśmy się tajemnicami, pocałunkami i oddechem. Ukrywaliśmy się przed światem, dbając o to, by nikt nie wiedział, kiedy byliśmy razem. Nie miałam nic przeciwko temu. Lubiłam adrenalinę, którą czułam w momentach, gdy prawie nas przyłapywano. Na tym etapie było to już dla nas normalne.

Nadszedł ostatni weekend lutego, a pogoda nagle się poprawiła. Niebo się rozjaśniło, deszcz przestał padać, a temperatura podniosła się nawet do około 15°C. Od tak dawna nie widziałam słońca, że ta zmiana w pogodzie, nawet jeśli chwilowa, podniosła mnie na duchu. Byłam w tak dobrym nastroju, że Carina podejrzewała mnie o zażywanie narkotyków.

– Jeśli bierzesz, to oczywiście cię nie osądzam. Po prostu chyba nigdy nie widziałam cię tak... podskakującej.

Stałyśmy na trawniku przed akademią. W momencie, w którym to powiedziała,

przestałam podskakiwać i wystawiłam język w jej stronę.

– Zdążyłam zapomnieć, że witamina D jest taka super. Nie czujesz, jak rozpiera cię energia? Że nie ma takiej rzeczy, której nie mogłabyś stawić czoła?

– Nie. Muszę lecieć dzisiaj popołudniu do Nowego Jorku z powodu dwóch plomb. Nie czuję, żeby rozpierała mnie energia – burknęła sucho. – Moja matka jest tak cholernie dziwna. Dobrze wie, że są tutaj dobrzy dentyści, ale nie. Muszę koniecznie iść do jej dentysty.

– No tak, ale przynajmniej Andre z tobą leci. Pójdziecie na romantyczną kolację i na musical *Hamilton*, bo sam załatwił ci bilety! Odbętnisz dentystę i będziesz się świetnie bawić!

Chrząknęła, wyraźnie nieprzekonana.

– Nienawidzę dentystów. Nie mogę znieść tego zapachu ani dźwięków borowania. W tym zawodzie uchodzi ludziom na sucho mnóstwo chorego gówna, wiesz? To, ile kobiet doświadczyło seksualnych nadużyć w czasie wizyty... – Wydęła policzki w złości. – Statystyki są straszne. Jeśli kiedykolwiek będziesz musiała być całkowicie znieczulona do zabiegu, zabierz ze sobą kogoś, kto będzie ci towarzyszył w gabinecie. W przeciwnym razie nigdy się nie dowiesz, kto cię dotykał.

– Co za miła myśl na dobry początek soboty! – skomentowałam z szerokim uśmiechem. – Będzie dobrze. Wejdiesz, wyjdiesz, a potem będziesz miała przed sobą już tylko cudowny czas z Andrem.

– Mmm. – Uśmiechnęła się, ale wciąż nie wyglądała na przekonaną. – A ty co będziesz dzisiaj robić? Przepraszam, że znowu cię wystawiam.

– Planuję pochłonąć to maleństwo. – Pokazałam jej trzymaną w dłoni książkę. – Wczoraj w nocy Harcourt przyniosła mi nowego laptopa i masę innych rzeczy. Jeśli się znudzę, mogę nadrobić Netflixowe zaległości.

– Okej. W następnym weekend porobimy coś fajnego, obiecuję.

Gdy czarny Ford F150 Andrego podjechał pod akademię, wydała z siebie taki jęk, jakby miał ją zaraz odwieźć co najmniej w czeluści piekielne, a nie na romantyczny wypad. Machałam za odjeżdżającym samochodem i uśmiechałam się aż do bólu policzków. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, rzuciłam się do biegu, gotowa na własne weekendowe atrakcje.

Auto stało zaparkowane na wąskiej żwirowej ścieżce skrytej na poboczu. Czarne, eleganckie i lśniące: Ford Mustang Fastback z 1966. Wyglądał na nowiuteńki, a miał przecież ponad czterdzieści lat. Wren opierał się o drzwi ze schyloną głową. Włosy skrywały mu twarz. Wyblakły szary podkoszulek opinał mu ramiona i plecy, a jeansy zwisały luźno z bioder. Zamiast wysłużonych glanów włożył czarne trampki za kostkę. Usłyszał chrzęszczący pod moimi stopami żwir i twarz powoli rozjaśnił mu uśmiech.

– Już myślałem, że mnie wystawiłaś.

Wciąż na mnie nie spojrzał. Często tak robił. Czekał do ostatniej chwili, w której stałam tuż przed nim, zanim uniósł głowę i złapał kontakt wzrokowy. Tym razem było dokładnie tak samo. Spojrzał na mnie spod tych ekspresyjnych, czarnych brwi, a mi palce u stóp same podkurczyły się w butach.

– Skąd wiedziałeś, że to ja?

– Masz metr sześćdziesiąt, Malutka Eli – poinformował z uśmiechem. – Robisz bardzo małe kroki.

– Niezbyt miłe.

– Prawdziwe – zaprotestował. Palce zahaczył o szlufki moich spodni i przyciągnął do siebie. Złączył nasze usta, a ptaki przestały ćwierkać wśród drzew. Powietrze się zatrzymało.

Słońce świeciło odrobinę mocniej. Gdy się odchylił, wsunął mi dłonie pod koszulkę, rysując na skórze małe kółka samymi czubkami palców. – Spóźniłaś się. Nie lubię czekać.

Zmrużyłam na niego oczy. Uśmiechnął się i zwilżył dolną wargę językiem. Często odbywaliśmy takie milczące wymiany. Ja ganiłam go bez słów, a on odwodził się pełnymi rozbawienia pół-przeprosinami.

– Nie jesteś moim panem – przypomniałam.

– Nie?

Schylił się po kolejny pocałunek, ale odsunęłam się poza jego zasięg.

– Zdecydowanie nie.

W oczach zapłonął mu ogień.

– Gdy mówię ci, żebyś coś zrobiła, nie robisz tego? – zastanawiał się na głos. – Gdy o coś cię proszę, czy tego nie dostaję?

– Tylko dlatego, że łaskawie raczej chcesz robić czy dawać ci to, czego chcesz, Jacobi. Ale przyjdzie dzień, gdy przestanę być tak uczynna.

– Zatem będę żył w strachu przed tym dniem – wymruczał, skradając się do mnie.

Pisnęłam i pobiegłam za samochód, ale nie miałam żadnych szans. Miał rację, miałam metr sześćdziesiąt, a moje nogi były o wiele krótsze od jego. Z łatwością mnie złapał, objął wokół talii, a potem uniósł w powietrze.

– Do auta – warknął mi do ucha. – Mamy plany.

Trzymał mnie przy sobie jedną ręką, a drugą otworzył drzwi pasażera i zapakował mnie do środka. Wylądowałam na skórzanym siedzeniu z cichym *pufff*. Zamknął drzwi, zanim zdążyłam spróbować kolejnej ucieczki. Dwie sekundy później wsuwał się na miejsce kierowcy i przekręcał kluczyk w stacyjce.

Wren za kierownicą stanowił cholernie spektakularny widok. Nigdy wcześniej nie widziałam, jak prowadził; zawsze to Pax woził ich do akademii, gdy pogoda była na tyle brzydka, by spacer nie był wskazany. Patrzenie na niego teraz, na te pewne siebie ruchy, na to z jakim spokojem pobudził mustanga do życia i wcisnął gaz... w pewien dziwny sposób było to podniecające. Ostatnio kręciły mnie najdziwniejsze rzeczy. To, jak przygotowywał swoją kawę, jak podnosił wieczko od kubka termicznego, zlizywał z niego piankę, posypywał odrobiną cukru sam wierzch latte, a następnie zakręcał całość. To, jak oczy szybko przebiegały mu wzdłuż linijek, a palce pewnie przewracały strony, gdy czytał coś, co szczególnie go interesowało. To, jak w zamyśleniu nieświadomie zasysał dolną wargę. *Kurwa*. To, jak wyglądał w swoich ubraniach, widok jego nagich stóp, a także sposób, w jaki wibrowałam z satysfakcji, gdy udało mi się wydobyć z niego wybuch śmiechu.

Wszystkie te rzeczy sprawiały, że miałam ochotę zdrzeć z niego wszystkie warstwy i nadzieć się na jego kutasa.

– Masz wszystko? – zapytał, zerknąwszy na mnie. Wjeżdżał na główną drogę.

– Tak. – Poklepałam dłonią torbę, którą ze sobą zabrałam, i uniosłam brwi. – Ale dlaczego kazałeś mi zabrać strój kąpielowy, to nie mam pojęcia. Może i wyszło słońce, ale nie ma mowy, żebyś namówił mnie na wejście do jeziora. Woda jest lodowata.

– Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej główki. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Nie pozwolę ci zamarznąć na śmierć, Elodie Stillwater.

Zjechaliśmy z góry w rekordowym czasie. Jeździł nawet szybciej od Cariny, ale nie czułam tego samego ścisku w żołądku na każdym zakręcie. Wren prowadził jak zawodowiec. Zwalniał przed zakrętami i przyspieszał tuż po z taką kontrolą, że musiałam zacisnąć kolana, by powstrzymać ból między udami. *Boże, jestem żalosna*. Wjechaliśmy do miasta. Jacobi poruszał się po dzielnicy mieszkaniowej, z dala od głównych dróg. Konsekwentnie kierował nas w stronę

obranego sobie celu.

– Naprawdę mi nie powiesz, gdzie jedziemy? – zapytałam.

Potrząsnęła energicznie głową, walcząc z uśmiechem.

– W życiu. Już prawie jesteśmy na pierwszym przystanku.

Zaledwie kilka minut później wjechaliśmy na parking przed będącym w opłakanym stanie budynkiem. Wyglądał jak jakiś rozwalający się *saloon* rodem z westernu. Wzdłuż elewacji, która przetrwała już niejedno, rozpościerał się nabazgrany niegdyś białą, a teraz szarą farbą, napis: Cosgrove. Wren zaparkował obok starego Buicka i zgasił silnik. Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Dłuższą chwilę zajęło mi rozpoznanie, że był zestresowany. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie.

– Uch... – zaczął i urwał, jakby nie wiedział jeszcze, co chciał powiedzieć.

– Uch?

– To moje – uzupełnił.

– Ten bar? – Wskazałam kciukiem za siebie, przez tylną szybę.

– Tak. Ten bar.

– W jakim sensie „to twoje”? – zdziwiłam się.

– Kupiłem go. W zeszłym roku.

– Jakim cudem? Przecież byłeś niepełnoletni?

– Znam takiego gościa. Edwarda – zaczął swoje wyjaśnienia. – Załatwia dla mnie sprawy.

Podpisuje papierki, których ja nie mogę. A przynajmniej tak było do tej pory, ale mam już osiemnaście lat, więc...

Potrząsnęła głową. Zamrugnęła. *Co?*

– Czym zapłaciłeś?

Zaśmiał się gorzko. Przeczesał dłonią włosy, a następnie przejechał nią po twarzy.

– Ugchhhhhhh. Częścią stypendium. – Nie wyglądał na zbyt zadowolonego, gdy to mówił. Właściwie to wydawał się sfrustrowany i kurewsko przygnębiony. – Moi dziadkowie byli bardzo bogaci, Elodie. Przeznaczili dla mnie i Mercy coroczne kieszonkowe, które miało nam wystarczyć na przeżycie. Pierwszego stycznia każdego roku na moim koncie bankowym ląduje nieprzyzwoita ilość pieniędzy. Każdego roku robię, co tylko mogę, by pozbyć się jej jeszcze przed wiosną.

O cholera. Domyślałam się, że jego rodzina miała pieniądze – w końcu nasi ojcowie znajdowali się na tym samym szczeblu wojskowym. Przez myśl mi jednak nie przeszło, że miał własne.

– I udaje ci się? Wydajesz wszystko przed kwietniem? – dopytywałam.

– Jeszcze nigdy mi się nie udało. – Uśmiechnął się słabo. – Na tym etapie chyba musiałbym wykupić jakieś małe państwko z ogromnym długiem międzynarodowym, żeby wyczyścić sobie konto.

O kurwa.

– Mam domy w Europie i Australii – kontynuował. – Mam więcej akcji i udziałów, niż możesz sobie wyobrazić. Gdy inwestowanie pieniędzy stało się dla mnie zbyt obciążające, zacząłem je po prostu marnować. Jakieś śmieszne wakacje, łódki, narkotyki... mnóstwo narkotyków. A potem tym też się znudziłem, więc zacząłem wykupywać upadające biznesy, które nigdy nie przyniosłyby żadnego dochodu. Rozsiadałem się wygodnie, czekając, aż wszystko pójdzie z ogniem, gdy ojciec się o tym dowie. Cosgrove ma licencję, więc był to dodatkowy plus. Mogłem się upijać, kiedy tylko miałem na to ochotę.

– No tak. Ma to sens.

Zaśmiałam się nerwowo. Żyłam tak ostrożnie. Nieustannie obserwowałam swoje konto.

Sprawdzałam, ile tym razem mi przelał. Lubił mi w ten sposób przypominać, że do niego należałam i był w tym skuteczny. Wystarczyło, żebym mu czymś podpadła i musiałam klepać biedę, dopóki nie uznał, że odkupiłam swoje winy. Wren nigdy nie musiał martwić się o pieniądze. Pochylił się do przodu i oparł brodę na dłoniach. Patrzył przez przednią szybę na pustą drogę ciągnącą się wzdłuż drugiej strony parkingu.

– Chętnie bym to wszystko oddał – przyznał pośpiesznie – ale ojciec od razu by się o tym dowiedział i przesłał jeszcze więcej. Dla ludzi o naszym nazwisku pieniądze były niewyczerpanym źródłem wytryskującym ze studni, która miała nigdy nie wyschnąć. Mercy to uwielbia, a ja nawet nie potrafię wyrazić, jak bardzo tego nienawidzę. To niewdzięczne z mojej strony, prawda? Tylu ludzi z trudem wiąże koniec z końcem, a ja narzekam, bo mam za dużo pierdolonej kasy. Boże, sam siebie przygotowuję o mdłości. Chodźmy. – Wyskoczył z auta. Zanim zorientowałam się, że go nie było, już otwierał przede mną drzwi.

W środku bar Cosgrove stanowił mieszaninę niepasujących do siebie rekwizytów. Wszędzie były dziwaczne, sprzeczne ze sobą przedmioty. Od wypchanych głów łosi po gobeliny rdzennych Amerykanów. Od czarno-białych fotografii pracowników budowlanych z lat dwudziestych ubiegłego wieku, siedzących na murach na wpół powstałych wieżowców, po brytyjską budkę telefoniczną, która stała w kącie, jakby w jakiś niewyjaśniony sposób spadła tu z nieba. Sam bar śmierdzał stęchłym piwem i trocinami, ale było w tym zapachu coś uspokajającego. Nawet lepka warstwa, która pokrywała krzesła, stoły, blat i w sumie każdą inną powierzchnię w tym budynku, nie była w stanie odebrać mu tego dziwnego, magicznego uroku. Zupełnie jakby to miejsce należało do innego świata.

Wren stał na środku cichego lokalu z dłońmi w kieszeniach. Rozglądał się, jakby nie wiedział, co zrobić ze swoją dziwną własnością.

– Mamy klientów – zauważył. – Zwykle się to nie zdarza.

Niski, przysadzisty mężczyzna przedarł się nagle przez drzwiczki wahadłowe, które najprawdopodobniej prowadziły na zaplecze. Gdy dostrzegł Wrena, twarz mu pociemniała.

– I znowu żadnego SMS-a – marudził, brzęcząc naczyniami za barem. – Chyba się umówiliśmy, że będziesz pisał, zanim się pojawisz. Nie możesz tak po prostu z dupy się pokazywać, ty mały szpiegu.

– Nie zgodziłem się na nic takiego – odpowiedział ze znużeniem chłopak. – To mój bar. Mogę przychodzić, kiedy mi się podoba. I nie śledzę cię, Patterson. Przyszliśmy na śniadanie. To wszystko.

– „My”? – Zmrużył na niego oczy.

Wren skinął głową w kierunku miejsca, w którym opierałam się o bar. Mężczyzna odetchnął z wyraźną ulgą.

– Przynajmniej nie przyprowadziłeś ze sobą tych zwierząt. Co za radość. – *Na bank chodzi o Dashiella i Paxa.* Przeszedł wzdłuż lady i zatrzymał się tuż przede mną. Zlustrował mnie wzrokiem od stóp do głów. – Masz wszystkie zęby?

– Tak, proszę pana. – Z trudem powstrzymałam zaskoczony chichot.

– W takim razie nie jesteś stąd – wydedukował. – Masz więcej pieniędzy niż rozumu i wydaje ci się, że wszystko ci się należy?

– Nie, proszę pana. – Potrząsnęłam poważnie głową.

– Więc z tej szkoły pewnie też nie jesteś. Nie wiem, skąd cię wytrzasnął, ślicznotko, ale jesteś dla niego za dobra. Moja rada? Uciekaj, póki jeszcze możesz.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Nie przyznałam, że tak naprawdę też chodziłam do Wolf Hall. Czuję, że byłby mną mniej oczarowany, gdybym sprostowała to założenie. Wren stanął za mną i warknął pod nosem.

– Rzeczywiście jest dla mnie za dobra, ale to nie twoja cholerna sprawa, staruszk.

Zamówiliśmy obrzydliwą ilość jedzenia i pochłonęliśmy ją na ławce na zewnątrz, z dala od ciekawskich spojrzeń czwórki klientów. Gdy skończyliśmy, Wren zaprowadził mnie z powrotem do samochodu i poinformował, że wyjeżdżamy z Mountain Lakes. Po raz pierwszy od przyjazdu do Wolf Hall opuściłam miasto i nawet nie oglądałam się za siebie.

WREN

Zanim poznałem Elodie, zachowywałem się zupełnie inaczej. Gdyby nie ona, pewnie zwymyślałbym teraz Pattersona za jego komentarze, a potem wyrzucił wszystkich klientów z baru. Nie byłem w stanie zliczyć, ile razy zapanowałem nad gniewem i powstrzymałem się przed wyżyciem na innych ludziach, odkąd Mała Eli została moją dziewczyną. Na tym etapie robiłem to już nawet wtedy, gdy nie było jej obok, bo dręczyły mnie wyrzuty sumienia, na które dotąd w ogóle nie zwracałem uwagi. Za każdym moim działaniem, myślą czy wypowiedzianym słowem, skrywało się natarczywe pytanie: co pomyślałaby sobie o mnie Elodie, gdyby mnie teraz widziała?

Ta cała zmiana nastawienia była dość uciążliwa. Nic z tego nie przychodziło mi naturalnie, przez co wszystko wymagało ciągłej pracy. Nowe ograniczenia, które sam na siebie nałożyłem, irytowały mnie jak nic innego.

Nie prosiła mnie, żebym się zmienił.

O nic mnie nie prosiła. Mimo to nękała mnie potrzeba uszcześliwienia jej i sprawienia, by była ze mnie dumna. Chciałem stać się lepszy. Chciałem, by moja zgniła, plugawa dusza stała się swoją najlepszą możliwą wersją. *Dla niej.*

Podróż była na tyle długa, że wymagała muzyki. Włączyłem radio, a Elodie od razu zmieniła stację ze zgrzytliwego metalcore, którego zwykle słuchałem, na coś bardziej popularnego i folkowego. Nie znosiłem hipsterów ani tego całego amerykańskiego gówna, w którym się zaszuchiwali, ale po raz pierwszy nie miałem ochoty przywalić pięścią w deskę rozdzielczą, gdy z głośników zaczęły rozchodzić się brzdąkania gitar i pretensjonalne, melodyjne teksty. Jej się to podobało, więc mnie także.

Starałem się nie zareagować, gdy zaczęła śpiewać. Miała słodki, jasny głos, który jednak każdorazowo rozbrzmiewał odrobinę za późno albo był odrobinę rozstrojony – a we mnie wszystko się wzburzyło. Nie obchodziło jej, czy fałszowała. Śpiewała dla przyjemności i śmiała się beztrudnie, gdy łapała mnie na zerkaniu w swoją stronę. Była wszystkim, co dobre i jasne w tym świecie, a przebywanie w jej obecności przypominało wyjście z więzienia po wielu latach spędzonych w ciemnościach. Zupełnie jakbym po raz pierwszy od dawna czuł promienie słoneczne na twarzy.

Byłem tak zniszczony i zepsuty, że wydawało mi się, że ostre, kanciaste odłamki, z których się składałem, już nigdy nie miały do siebie pasować. Nie ośmieliłem się choćby wziąć taką opcję pod uwagę. Tymczasem przez ostatnie tygodnie ta dziewczyna jakimś cudem składała mnie w całość, a nawet o tym nie wiedziała.

Dotarliśmy do posiadłości tuż po południu. Znajdowaliśmy się w odległości jakichś dwóch godzin od akademii, a równie dobrze moglibyśmy być po drugiej stronie świata. Dzień miał ogromny potencjał, wręcz rozsadały go możliwości. Elodie zmarszczyła brwi w konsternacji, gdy wjechaliśmy przez wysoką metalową bramę na długi, szeroki podjazd prowadzący do okazałego budynku.

– „Monmouth House”? – zapytała. – Tak było napisane na tablicy.

– Jakiej tablicy? – udałem, że nie wiedziałem, o czym mówiła.

– Tej, którą umieszczono na tym ogromnym znaku przed bramą. Wren, co my tutaj, do cholery, robimy? – zaczęła panikować. – Czy aresztują nas zaraz za wkroczenie na czyjaś

posiadłość? Nie mogę być notowana. Pułkownik Stillwater mnie zabije.

Czasami potrafiła być taka melodramatyczna. Zignorowałem falę stresu, która spłynęła na mnie na widok białego Mercedesa-Benz klasy G, który stał przed domem. Szybko zgaśnie w myślach.

Zachowuj spokój, stary.

Od kiedy przejmujesz się tym, co te skurwysyny sobie pomyślą?

Wciąż byłem jednak spięty i zaprzeczanie temu miało się z celem. Sytuacja była dla mnie zupełnie nowa. Poruszałem się nieprzetartymi ścieżkami i nie miałem pieprzonego pojęcia, jak się to miało potoczyć. Zaparkowałem obok samochodu terenowego. Wewnętrznie przygotowywałem się na przyszłe wydarzenia.

– Wren, poważnie. To wygląda na teren prywatny. Może... – Rozejrzała się wokół z troską w tych swoich pięknych, niebieskich oczach. – Może poszukamy hotelu czy coś? Nie wydaje mi się, żeby tutaj wynajmowali pokoje.

– Na pewno nie na godziny – zgodziłem się z uśmiechem.

Przekręciłem kluczyk. Silnik zgasł, a Calvin, jak na zawołanie, pojawił się w drzwiach wejściowych. Wyglądał, jak zawsze, bez zarzutu. *Armani*. Elodie osunęła się w siedzeniu, próbując stać się niewidzialną.

– Wren – syknęła.

Odsunąłem szybę i uśmiechnąłem się krótko do wysokiego, siwowłosego mężczyzny, który podszedł do auta.

– Panicz Wren! – Jego powitania zawsze były ciepłe, a uśmiech szczery.

– Cześć, Cal. – Oparłem się o drzwi i poszerzyłem swój uśmiech. – Co tam?

Znałem go odkąd skończyłem pięć lat. Był przy śmierci moich dziadków, rodziców matki. To on mnie pocieszał, gdy pierwszy raz zdarłem sobie kolana. To on podsuwał mi potajemnie zdobyte ciasteczka, gdy po obiedzie odsyłano mnie do pokoju bez deseru, jako karę za niedokończenie posiłku.

Dostrzegł siedzącą obok mnie Elodie i oczy mu rozblęły.

– Ach! Gość? Czyżby mnie oczy myliły?

– Dobra, dobra. Nie przesadzaj. Tak, przywiozłem ze sobą gościa. Calvin, to jest Elodie. Elodie, to jest Calvin. Nie rób z tego wielkiej sprawy. Gdzie są?

– Ojciec jeszcze nie przybył. Pani Jacobi jest w bibliotece ze swoim klubem książki.

Wzdrygnąłem się z zażenowania na dźwięk tego tytułu. Calvin od bardzo dawna stanowił integralną część tej rodziny, ale wciąż był pomocą domową. Nie mógł mówić o Patricii – suce, którą ojciec wziął sobie za żonę – po imieniu, więc używał tytułu, który kiedyś należał do mojej matki. Nienawidziłem tego.

– Nie mów jej, że jestem w domu, okej?

Skinął głową.

– Wjadę do garażu. – Podsumował Calvin, gotowy do tego, by przejąć auto.

– Dzięki, stary.

Odwróciłem się w stronę Elodie, żeby zapytać, czy zabrała już torbę, ale wyraz jej twarzy sprawił, że zastygłem. Była zupełnie oszołomiona.

– „W domu”? – wycedziła przez zęby. – Zabrałaś mnie do swojego domu?

O Boże. Wyglądała, jakby miała zaraz dostać ataku serca.

– To nic takiego, zwykły budynek. Pełny eleganckich pokoi.

– Wren. – Całkowicie zbladła. – Powiedziałaś, że bym zabrała ze sobą bikini i jakąś fajną, pierdoloną bieliznę. Nie wspominałaś nic o ładnych, przyzwoitych ubraniach, które byłyby odpowiednie na spotkanie z twoimi rodzicami.

Calvin obrzucił mnie wymownym spojrzeniem: „no to się doigrałeś”.

– Zostaw kluczyki. Dam wam chwilę na zabranie rzeczy – powiedział, po czym uśmiechnął się szeroko do mojej towarzyski. – Miło panienkę poznać, panienko Elodie.

– Ciebie również, Calvin – odpowiedziała bardzo piskliwym głosem.

Wyszedłem z Mustanga i obszedłem go dookoła, by otworzyć jej drzwi.

– Wsiadaj, Elodie.

Spojrzała na mnie złowrogo i założyła ręce.

– Zwariowałeś? Całkiem ci, do kurwy nędzy, odbiło?

– Lepiej nie przeklinaj tak dużo przy moim ojcu – ostrzegłem uprzejmie. – Jest republikaninem. I chrześcijaninem.

Odrzuciła głowę do tyłu, zamknęła oczy i skrzywiła się boleśnie.

– Wren! To nie... to nie jest...

– ...zbyt romantyczne? No wiem, ale chcę ci tutaj coś pokazać.

– Myślałam, że zawsze mówisz prawdę – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Uniosłem na nią brwi i wzruszyłem ramionami.

– A kiedy skłamałem?

– Gdy nie powiedziałaś, że się tu wybieramy!

Wybuchnąłem śmiechem, mimo że wiedziałem, że jeszcze bardziej ją to zirytuje.

– No przestań. Nie kłamałem, Malutka Eli, tylko przemilczałem pewne fakty. A teraz proszę wysiądź z auta, zanim sam cię z niego wyciągnę.

Wiedziała, że byłem w stanie to zrobić; w końcu sam ją tu zapakowałem. Jeśli tylko zaszłaby taka konieczność, z równą łatwością wytargałbym ją na zewnątrz, nawet wierzgającą i wydzierającą się w niebogłosey. Dramatycznie nadąsana wysiadła z samochodu, obrzucając mnie spojrzeniem, które każdego innego śmiertelnika ścięłoby z nóg. Ja byłem już jednak przyzwyczajony do jej scen. Zazwyczaj trwały około pięciu minut.

– To takie nie fair – jęknęła. – Powinno się ostrzegać ludzi przed czymś takim, żeby mogli się psychicznie przygotować do krępujących sytuacji. Naprawdę nie mam ze sobą nic do ubrania.

– Nic?

– No chyba że koronkowe stringi i szpilki to właściwy strój na kolację? – sarknęła.

– Nie narzekałbym. – Jezu, stawał mi na samą myśl o tym.

– Ty dupku! – zawodziła. – Pomóż mi! To będzie kompletna katastrofa!

Nie mogłem dłużej żartować. Oglądanie jej w tym stanie, tak przejętej, sprawiało, że coś we mnie napinało się do tego stopnia, że trudno mi było oddychać. Boże, byłem żaloszny. I mi się kiedyś wydawało, że chciałem zranić tę dziewczynę? *Karma to suka*. Teraz bycie świadkiem jej zatroskania sprawiało mi większy ból, niż mogłem znieść. Przyszpiliłem ją do samochodu, ująłem w dłoń jej twarzyczkę i zaczesalem włosy za uszy.

– Ćśśś, E. Wszystko dobrze. Nie zrobiłbym ci czegoś takiego. Zamówiłem z wyprzedzeniem parę rzeczy przez Internet – uspokoilem ją. – Wszystko, czego możesz potrzebować, czeka już na ciebie w środku.

Jej panika osłabła, gwałtownie przechodząc w irytację. Uderzyła mnie w ramię.

– To było okrutne, Wrenie Jacobi! Trzeba było od tego zacząć!

– Przepraszam! Prze... Jezu, przestań mnie uderzać! Przepraszam!

W końcu przestała na tyle długo, bym zdołał ją pocałować. Była taka malutka w moich ramionach. Przywarła do mnie i, marudząc jeszcze bez przekonania pod nosem, odwzajemniła pocałunek.

– Serio musimy wejść do środka, zanim zobaczy nas moja macocha. Nie żartuję.

Elodie dostrzegła ostrzeżenie w moich oczach i uległa.

– W porządku, prowadź. Rozumiem, że inni już cię tu odwiedzali i przeżyli, prawda? Mogłem się tylko roześmiać. Nie miała pojęcia, co ją czekało.

Monmouth House wybudowano w 1878 roku. Jego założycielem był bogaty naftowy magnat o imieniu Adar Jacobi: pierwszy i jedyny Żyd (przynajmniej zgodnie ze stanowiskiem Teksasu), któremu udało się odnaleźć znaczące złożę ropy, a potem uzyskać fortunę. Ożenił się z Angielką, Eleanor Fairfax Monmouth, po czym zbudował dla niej dom, a następnie nazwał go na jej cześć. Gdy Elodie po raz pierwszy wkroczyła do obszernego przedpokoju, mogłem zobaczyć to miejsce jej oczami. A przede wszystkim to, jak pretensjonalne wrażenie sprawiało.

Biały marmur, z płaczącymi się pod stopami liniami szarości i złota, być może najlepiej świadczył o ilości pieniędzy, jaką włożono w wybudowanie tej posiadłości. Wysokie sufity przystrojono bogato zdobionymi, błyszczącymi żyrandolami. Promienie słoneczne wpadały przez łukowate, sięgające prawie pięciu metrów, okna. Były widoczne u szczytu schodów i załamywały się na powierzchni lśniących kryształków, rzucając ślady tęczy na ściany. Gdzie się nie spojrzało, na człowieka spoglądali z dezaprobatą i osądem w oczach moi czarnowłosi przodkowie, utrwaleni na surowych olejnych portretach. Elodie przyglądała się wnętrzu, które przepelniał przepych. Cenne dywany wraz z okazałym wyposażeniem oglądała z takim zachwytem i przerażeniem jednocześnie, że zaczynałem się zastanawiać, czy przyprowadzenie jej tutaj nie było aby wielkim błędem.

Ja taki nie byłem. Bardzo dbałem o to, by odcinać się od tego typu obrzydliwych pokazów bogactwa. Nosilem ubrania, dopóki dosłownie się nie rozpadały, a potem i tak kontynuowałem używanie ich, ot, na złość. Odrzucałem wszelkie propozycje fryzur, dopóki sytuacja nie zmuszała mnie do wzięcia spraw (i nożyczek) we własne ręce. Wyćwiczony, chaotyczny sposób, w jaki strzygłem włosy, popychał ojca w stronę kieliszka.

Mercy – ze swoimi skandaliczne drogimi strojami i nieskazitelnie wypielęgowanym wszystkim – idealnie tu pasowała. Nawet ci o znikomej wyobraźni widzieli, że naprawdę, kurwa, nie można było powiedzieć tego samego o mnie. Czulem się tak zdystansowany od tego domu, że przestąpienie jego progu przypominało mi otwieranie dawno czytanej książki. Wszystko było znajome, jakby zapisane na kartkach historii naprawdę mi się przytrafiły; a jednocześnie były tak dalekie, że nie miałem żadnych wątpliwości, co do tego, że nie opowiadały o mnie.

To nie ja spadłem z tych schodów w wieku dziewięciu lat, prawie odgryzając sobie przy tym wargę. To jakiś inny dzieciak. A to miejsce? Wcale tutaj nie stałem z uchem przyciśniętym do ciężkich orzechowych drzwi od oficjalnej jadalni, podsłuchując, jak ojciec rznął jakąś dziewczynę, która pojawiła się znikąd i została na trzy tygodnie, gdy miałem dwanaście lat. To nieistotne, że nie pamiętałem, jak miała na imię. Ani że Patricia była jakieś trzy pokoje dalej, gdy on robił minetkę na okazałym antycznym stole bankietowym, który mógłby pomieścić dwadzieścia osób. Nie, to nie miało żadnego znaczenia. To nie było moje życie. Te rzeczy przydarzyły się w innej rzeczywistości, innemu Wrenowi. Przed Riot House, przed Wolf Hall. Przed Elodie.

Powstrzymałem się przed zdjęciem butów. Patricia dostaje szału, gdy widzi, jak chodzę po domu w obuwiu, w którym wcześniej chodziłem po dworze – co jest głównym powodem, dla którego postanowiłem go nie ściągać. Elodie taka nie była. Zdjęła swoje Martensy i nagle zmaterializowała się przed nami Mariposa. Zupełnie jakby samo zaistnienie w wejściu pary pozostawionych samych sobie butów tworzyło jakiś portal w czasoprzestrzeni, przez który teleportowała się do miejsca, w którym była akurat potrzebna, zanim kulturalne towarzystwo

zdążyłoby zauważyć podobnego typu skandal. Szczerze wierzyłem, że jeszcze długo po swojej śmierci moja opiekunka będzie powracała z zaświatów by upewnić się, czy aby na pewno zasady etykiety są nadal przestrzegane wewnątrz murów Monmouth House.

– Panicz Wren – powiedziała na mój widok, po czym znacząco spojrzała na moje stopy. W przeciwieństwie do Calvina, nie wyglądała na szczególnie uszczęśliwioną moimi odwiedzinami. Chowiała urazę jak nikt inny i wciąż była zła za ślimaki, które włożyłem do szuflady z jej bielizną w wieku siedmiu lat. Do czasu, aż przejdzie z tym i masą innych moich wybryków do porządku dziennego, oboje będziemy mieć za sobą już przynajmniej trzy życia. – Dopiero co wyczyszczono dywany – denerwowała się. Miała około osiemdziesięciu lat i była tak przygarbiona, że jej linia wzroku zawsze znajdowała się na poziomie stóp innych ludzi. Nic dziwnego, że tak dobrze jej szło kontrolowanie stanu ich obuwia.

– I jestem pewien, że w przyszłym miesiącu również je wyczyszczą, mimo że to kompletnie zbędne – odciąłem się uprzejmie. – Gdzie Pickaxe?

Wykrzywiła się kwaśno. Oczy miała ostre jak brzytwa.

– Zdechł.

– Jak to zdechł?

– Tak to. Znalazłam go, jak wymiotował krwią w oborze. Zjadł trutkę dla szczurów, zostawioną tam jeszcze w styczniu. Twój ojciec go zastrzelił. Ukrócił jego męki.

Odwróciłem wzrok i wbiłem go w okna u szczytu schodów. Próbowałem ogarnąć nawalnicę emocji, która właśnie się we mnie wzburzyła. Wszystko poruszało się tak szybko. Myśli zlały się w jedno. Nie mogłem zrozumieć tego, co właśnie usłyszałem.

Ciepła dłoń zacisnęła się wokół mojej.

– Pickaxe? – wyszeptała Elodie.

– Nieważne – odpowiedziałem po przełknięciu guli w gardle. – Chodźmy.

– Paniczu Wrenie, buty!

– Pierdol się.

– *Dios Mio*. – Przeżegnała się, gdy ją mijałem, jakbym był wcieleniem samego diabła.

Wspinałem się w górę schodów. Moje ruchy były drewniane, mechaniczne. Elodie szła za mną w ciszy, wciąż trzymając mnie za rękę, odmawiając puszczenia jej. Szliśmy wzdłuż korytarza. Minęliśmy należące do Mercy skrzydło, prowadzący do biblioteki zakręt, biuro ojca oraz osobne pokoje, w których spali z Patricią. Otworzyłem drzwi znajdujące się na samym końcu korytarza. Były umieszczone we wgłębieniu, swojego rodzaju małej alkwie prowadzącej do starych zakwaterowań służby. Schody w żaden sposób nie przypominały tych, którymi tu weszliśmy: były tak wąskie, że z trudem można było się w nich zmieścić. Do tego było tu na tyle ciemno, że niezaznajomione z nierównymi stopniami osoby musiały opierać się ręką o szorstki tynk, by uniknąć potknięcia na chwiejnych deskach.

– Jezu, gdzie ty mnie prowadzisz? – wymamrotała Elodie. Choć jej głos był cichy, zabrzmiał dziwnie szorstko i głośno, odbijając się od ścian wąskiej przestrzeni.

– Już niedaleko – poinformowałem. – Zaraz sama zobaczysz.

Przekręciłem gałkę u drzwi na szczycie schodów. Nie otworzyły się.

– Co do kurwy?

– Coś nie tak?

Ścisnąłem dłoń Elodie, po czym ją wypuściłem. Za pomocą obydwu rąk wymacałem ciężką, metalową kłódkę tuż nad gałką. Kłódkę, której tu wcześniej nie było.

– Co za skurwysyn – warknąłem.

– Wren, poważnie. Co się dzieje? – upomniała się. – Może o tym nie wspominałam, ale trochę mam klaustrofobię.

Achhhh, kurwa. Jak mogłem być tak głupi? Przecież wiedziałem to o niej. Może i nie podzieliła się ze mną tą informacją osobiście, ale miało to sens, biorąc pod uwagę rzeczy, które przeczytałem na jej temat. To nie był najlepszy wybór miejsca do spędzania czasu dla kogoś, kto bał się ciasnych przestrzeni. Ponuro pociągnąłem za kłódkę, żeby sprawdzić, jak była solidna. *Bardzo, kurwa, solidna.*

– Mój staruszek – westchnąłem – kazał Calvinowi założyć kłódkę na drzwiach. A ja nie mam tu na tyle miejsca, by móc je wywarzyć. Musimy zejść na dół, poszukam jakiegoś jebanego śrubokręta.

– Albo... – zacięła się; oddech miała trochę urywany – ...mogę użyć wytrychu.

Byłem tak zaskoczony, że aż przysłoniło to odczuwaną złość.

– Dasz radę to zrobić? W ciemnościach?

– W ciemnościach, pod wodą, z rękoma związanymi za plecami... – wyliczała. – Myślisz, że jak się wtedy dostałam do twojego pokoju, żeby odzyskać telefon?

– Założyłem, że weszłaś od tyłu. Zawsze zostawiamy otwarte drzwi od kuchni.

– Cholera. – Zaśmiała się nerwowo. – Dobrze byłoby to wtedy wiedzieć. Okej, mógłbyś... mnie przepuścić?

Przecisnęła się obok, tak by stanąć po drugiej stronie stopnia. Cyckami otarła się o moje plecy, na co zareagowałem natychmiastową erekcją. Pachniała jak wiosna, słońce i te małe białe kwiatki, które pokrywały ruiny starożytnego pałacu ojca, jaki stał we Francji.

Tak cholernie chciałem ją pocałować. Ciało pragnęło o wiele więcej, ale teraz nie mieliśmy na to czasu. Przycisnąłem się plecami do ściany, by dać jej więcej przestrzeni. Stała przede mną. Słyszałem, jak dłubała w zamku. Najpierw trochę grzechotania, potem cisza. Pochyliła się i skupiła na pracy. W międzyczasie oddech zupełnie jej się unormował. Choć spędziła na tym zaledwie kilka sekund, już po chwili usłyszałem metaliczny trzask, a następnie głuchy brzdęk, gdy kłódka upadła na pierwszy stopień.

Elodie otworzyła drzwi, a potem weszła do środka. Przed nami rozciągał się jasny korytarz. Jej policzki zapłonęły, gdy odwróciła się i zobaczyła wyraz mojej twarzy.

– Co? O co chodzi z tym spojrzeniem?

Byłem wstrząśnięty tym, że udało jej się otworzyć ten zamek. Po prostu, kurwa, wstrząśnięty. Dokładnie wiedziałem, dlaczego się tego nauczyła i dlaczego zawsze nosiła ze sobą potrzebne do tego narzędzia. Mimo to wciąż byłem pod cholernym wrażeniem.

– Jesteś pełna niespodzianek, Malutka Eli – odpowiedziałem z żartobliwym mrugnięciem. Wciąż nic mi nie powiedziała o swojej przeszłości w Tel Awiwie. Cierpliwie czekałem, aż się otworzy. Nie zamierzałem jej poganiać.

– Z YouTube'a można się nauczyć wszystkiego – wyjaśniła. – Obejrzałam przynajmniej tysiąc filmików, żeby się tego nauczyć w każdej możliwej sytuacji. – Ogarnął mnie przyprawiający o mdłości chłód. Szybko się z niego otrząsałem i zmusiłem do uśmiechu. Sprawnie zmieniła temat. – Ale po co twój ojciec zamknął te drzwi? Dziwna sprawa.

Rozejrzała się po korytarzu i zmarszczyła głęboko. Po północnej stronie znajdowały się małe okrągłe okienka, a po drugiej cztery pary drzwi.

– To było miejsce mojej matki – przyznałem. – Przychodziła tu malować i czytać. Czasami też tu sypiała. Zawłaszczyłem je sobie, ale ojcu się to nie podoba. Twierdzi, że zasmucam tym jego nową żonę, ale tak naprawdę Patty nie ma z tym problemu. Ojciec po prostu nie może znieść tego, że wolę spędzać czas tutaj z duchem swojej zmarłej matki, zamiast być z nimi na dole, w świecie żywych. Czasami grozi, że wszystko wyrzuci i zamuruje drzwi.

– Dlaczego tego nie zrobił?

– Bo wie, że wtedy spaliłbym cały ten jebany dom.

Skinęła głową, jakby zgadzając się, że rzeczywiście byłbym do tego zdolny. Cóż, to fakt.

– Będziemy mieć kłopoty za wejście tu? Będzie na nas zły?

– Zawsze jest zły, ale nie martw się. Nie będzie się na ciebie gniewał, bo jesteś gościem – uspokoiłem ją. – Gdy go poznasz, będzie uprzejmy, czarujący i wykazujący zainteresowanie twoją osobą. Będziesz się zastanawiać, jak to możliwe, że tak go nienawidzę. Staniesz po jego stronie i uznasz, że zachowuję się zwyczajnie niedorzecznie, gdy nie padnę na kolana i nie zacznę czcić stóp tego skurwysyna.

Zamruła na mnie powoli. Była tak kurewsko piękna, że od samego patrzenia na nią czułem się, jakby mnie uderzono prosto w brzuch. Ponownie potrząsnęła głową.

– Nie? Znam się na ojcach-socjopatach, Wren. Radzę sobie z jednym całe życie. Wiem, jak przekonujące pozory potrafią stworzyć dla reszty świata. Od razu przejrzę go na wylot. Nieistotne, ilu ludzi już oszukał. Chodź. – Uśmiechnęła się delikatnie. – Może mnie wprowadzisz? Opowiedz mi o swojej mamie. Chcę wszystko o niej wiedzieć.

Obrazy były spokojniejsze od moich. Czernie, szarości, biele i niebieski w jej wydaniu stawały się łagodne i subtelne. Każdy ruch naznaczono intencją. Elodie przechadzała się po studiu mojej matki i przyglądała się każdemu płótnu, odsuwając chroniące przed kurzem prześcieradła i pozwalając, by opadły na podłogę. Dociekliwe oczy badały każdy szczegół, każdy ruch pędzla. Opuszki palców zawisły tuż nad powierzchnią olejnej farby, jakby była w stanie sięgnąć do wnętrza tych obrazów, jakby wewnętrznie głaskała sam ich temat – z czcią, na której widok zacisnęło mi się serce.

Czułem się lepiej w pejzażach burzowych. Matka malowała ludzi. Uwielbiała utrwalać emocje i inteligencję cudzych oczu. Była w tym cholernie dobra.

– Była taka utalentowana – westchnęła Elodie. – A to, kto?

Wskazała na obraz przed sobą. Przedstawiał mężczyznę o oddanym wyrazie twarzy i pełnym ciekawości błysku w oczach. Tak mocno zaciskałem szczęki, że rozwarcie ich wymagało ode mnie realnego wysiłku.

– Mój ojciec. Kilka lat przed tym, jak odkryła, że zaszła w ciążę – objaśniłem. – Zdziwiałe, jak dwadzieścia lat potrafi zmienić człowieka.

Podeszła bliżej. Śledziła linie, za pomocą których matka uwięziła tego mężczyznę w swojej sztuce. Postąpiła z nim bardzo hojnie. Uczyniła go o wiele mniej surowym, niż był w rzeczywistości; nawet wtedy. Nigdy nie widziałem łagodności, jaką zawarła w jego twarzy. W oczach migotała miłość, której brakowało mi całe życie.

– Nigdy nie będę tak dobry.

– To nieprawda. – Elodie gwałtownie potrząsnęła głową. – Jesteś tak samo dobry, Wren. Po prostu inny. Używacie tych samych kolorów, ale wydźwięk jest odmienny.

Odchrząknąłem.

– Tak. Była optymistką. Ja nigdy nie potrafiłem tego w sobie znaleźć.

Gdy spojrzała na mnie przez ramię, niebieskie oczy były pełne wielu rzeczy: smutku, żalu, sympatii... i odrobiny współczucia, przez które miałem ochotę rozszarpać się na strzępy. Nagle w ogóle nie chciałem tu być. Zupełnie, jakby wyczuła moje wycofanie, odsunęła się od obrazów. Stała tuż przede mną i chwyciła mnie za dłonie.

– Pokażesz mi, gdzie śpisz? – To nie była wielka prośba, ale sama perspektywa pokazania jej swojego pokoju napełniała mnie tremą.

– Gdzie powinienem spać, czyli na dole? Czy pokój, który sobie tutaj zawłaszczyłem?

– Tutaj.

Serce podskakiwało zdradziecko, gdy prowadziłem ją wzdłuż korytarza. Pokój był dość skromny. Przez ostry kąt nachylenia dachu musiałem schylać głowę; w całym pomieszczeniu było tylko jedno miejsce, w którym mogłem się wyprostować, nie ryzykując tego wstrząśnieniem mózgu. Uśmiechnąłem się sam do siebie, gdy zdałem sobie sprawę, że Elodie nie miała tego typu problemów. Była na tyle niska, że mogła swobodnie przemieszczać się po całym pokoju, co też zrobiła, zaglądając w każdy zakamarek. Szafka z mocno sfatygowanymi wydaniem moich ulubionych książek; małe łóżko, co prawda większe od jednoosobowego, ale dalekie od ogromnego łoża małżeńskiego, które miałem w Riot House. Przerzucona przez oparcie krzesła bluza, której zapomniałem w czasie ostatniej wizyty; rozpościerające się nad krzesłem małe okienko; stare buty tenisowe; pęknięty kompas dziadka leżący na parapecie... I zeszyty, i przymocowane do ścian szkice, i świece, przylepione woskiem do zakurzonych desek podłogowych.

Studiowała każdy najmniejszy detal, jakby dopasowywała dotąd brakujące elementy układanki. Obserwowałem ją w ciszy. Klatka piersiowa dosłownie mnie piekła, a dłonie paliły z potrzeby dotknięcia jej. Powstrzymałem się jednak. Oparłem się o ścianę, by się rozkoszować nieznanymi i dość kłopotliwymi emocjami, które zakorzeniały się we mnie głębiej i głębiej, owijając się pnączami wokół samych kości.

Zawsze mi się wydawało, że jedynie na stronach książek mogłem znaleźć prawdziwe szczęście. Byłem o tym tak święcie przekonany, że spędziłem większość życia na ukrywaniu się w nich w poszukiwaniu czegoś, czego zawsze mi brakowało. Powiniennem wiedzieć, że znalezienie tego na kartkach papieru nie było możliwe. Nawet poeci – zwłaszcza poeci – powierzali swoje naiwne serca w ręce innych ludzi, co było zarówno ich zbawieniem, jak i ostateczną zgubą. Bez zaznania radości kochania drugiego człowieka nie byłoby w stanie pisać o upajającej euforii, która nawet moje serce przysparzała o szybsze bicie. Nie potrafiliby też ująć w słowa absolutnego spustoszenia i cierpienia, gdyby nie doświadczyli wcześniej tego rodzaju bólu, którego źródłem mogła być wyłącznie utracona miłość.

Gdy Elodie obróciła się wokół własnej osi, oddychając głęboko i raz jeszcze przypatrując się całości otoczenia, dotarło do mnie coś, czego do tej pory nie potrafiłem przyznać nawet przed samym sobą: byłem kurewsko przerażony.

Ta dziewczyna nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jaką władzę nade mną sprawowała. Nie miała bladego pojęcia, na co było mnie stać – na podpalenie jak wielkiej ilości światów mógłbym się zdobyć, byle tylko uczynić ją szczęśliwą.

– Nie robi takiego wrażenia jak pokój w Riot House – zauważyłem, gdy stanęła ze mną twarzą w twarz. Wzruszyła z uśmiechem ramionami.

– Ten też mi się podoba. Jest twój. Widać, że spędziłeś tu dużo czasu. Mogę sobie wyobrazić młodszą, mniej zblazowaną wersję ciebie, jak rysuje na łóżku albo siedzi na tym krześle, czytając *Wyspę skarbów*.

Zaśmiałem się szorstko i skinąłem głową, po czym wbiłem wzrok w buty. Obie te rzeczy robiłem więcej razy, niż byłem w stanie zliczyć.

– Jaki jest twój pokój na dole?

– Sterylny. Ponury. Pusty.

Przyjęła to do wiadomości bez dalszych pytań.

– W takim razie nie chcę tam spać. Chcę spać tutaj. Z wszystkimi wspomnieniami ciebie z czasów, gdy jeszcze cię nie znałam. Może tak być?

Chryste, jeszcze nie wiedziała, że dałbym jej wszystko, o co tylko by poprosiła? Wyrwałbym z piersi własne pokaleczone, szerniałe serce i położyłbym je u jej stóp, gdyby tylko sobie tego zażyczyła.

- Może tak być – zgodziłem się od razu.
- Twojego ojca nie zgorszy to, że będziemy spać w tym samym łóżku?
- Pewnie tak, ale może się pierdolić.

Do tej pory nawet się nad tym nie zastanawiałem. Sama myśl o dzieleniu z nią łóżka sprawiła, że krew uderzyła mi do głowy. Elodie, naga i wyczerpana, leżąca obok mnie, owinięta pościelą. Pograżająca się we śnie, w moich ramionach, nieświadoma tego, jakim człowiekiem tak naprawdę byłem i jak okropne rzeczy zrobiłem. Nie zasługiwałem na to. *Kurwa. Na nic z tego nie zasługiwałem.*

Głośne trzaśnięcie drzwiami, gwałtowniejsze od wystrzału, rozproszyło ciszę. Moja Mała Eli aż podskoczyła. Podeszedłem do okna. Na widok czarnego Range Rovera, stojącego na podjeździe, ogarnęła mnie irytacja. Nawet cztery piętra wyżej usłyszeliśmy pełne gniewu ujadanie ojca, który właśnie wchodził do domu.

- No i gdzie on jest? Gdzie, do kurwy nędzy, jest mój syn?

ELODIE

Donald Jacobi do zeszłego miesiąca był generałem w armii, ale tego typu mężczyźni tak naprawdę nigdy nie przechodzili na emeryturę. Nie w sposób, który robiłby jakąkolwiek różnicę. Był generałem, gdy odwiesił na wieszak swój mundur, i będzie nim do dnia swojej śmierci. Jego postać zdawała się zajmować sobą całą przestrzeń. Wren wprowadził mnie do ogromnego pomieszczenia z wysokim sufitem, które niegdyś było pewnie używane do oficjalnego przyjmowania gości. Najpierw zobaczyłam jego ojca od tyłu. Stał przed wyłaniającym się zza niego kominkiem, opierając się jedną dłonią o gzyms. Drugą wsparł na biodrze. Jego poza sprawiała dość przytłaczające wrażenie. Wren wyprostował się nieznacznie, ściągnął łopatki i odchrząknął, by dać znać o naszej obecności.

– Dobre wychowanie wymaga wcześniejszego poinformowania o zamiarze przyprowadzenia gości do domu – poinformował generał Jacobi, przeciągając samogłoski. Choć przybrał leniwy, żartobliwy ton, słyszałam rozbrzmiewającą w słowach naganę.

Odepchnął się z fanfarami od kominka i obrócił w naszą stronę. Wbił we mnie parę chłodnych, kalkulujących oczu. Miałam wrażenie, jakby ktoś wbijał mi sztylet między żebra.

Wren miał rację; w ogóle nie przypominał mężczyzny z obrazu. Twarz miał pokrytą liniami i szczelinami opowiadającymi historię pełną gniewu i nieszczęścia. Głębokie bruzdy wokół ust i w kącikach oczu świadczyły o dogłębnym smutku.

– Proszę o przedstawienie – zakomenderował.

– Elodie Stillwater. Uczymy się razem w akademii. Jej ojciec stacjonuje w Izraelu. – Wren podsumował moją osobę w tak skąpych słowach, jak tylko było to możliwe. – Elodie, oto mój ojciec, generał Donald Jacobi, emerytowany.

Ostatnią informację dodał najprawdopodobniej tylko po to, by go zdenerwować. Wszystko wskazywało na to, że mu się udało.

– Miło mi pana poznać, generale Jacobi – przywitałam się.

Skinął krótko głową.

– Wystarczy „Sir”. Odwzajemniam sentyment, młoda damo. Reputacja pułkownika Stillwatera dalece go wyprzedza. Nie wątpię, że ojciec ofiarował ci właściwe wychowanie. Byłby dumny z twoich manier.

Miałam w dupie, czy byłby ze mnie dumny. Biorąc jednak pod uwagę obsesję pułkownika na punkcie robienia dobrego wrażenia na swoich przełożonych, nawet gdy formalnie już nimi nie byli, dostałby ataku szału na wiadomość, że w jakikolwiek sposób przyniosłam sobie (a więc i jemu) wstyd podczas zapoznania z ojcem Wrena.

– Posterunek w Izraelu jest znakomity – kontynuował. – Słyszałem, że obecnie sprawy toczą się spokojnie, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się to zmieni.

Nigdy nie miałam nadziei na wybuch konfliktu – w jego czasie zawsze to ci niewinni i uciskani cierpieli najbardziej. Nie znaczyło to jednak, że nie marzyłam o jakimś nieszczęśliwym wypadku, który mógłby się przydarzyć ojcu poza jednostką. Coś niecodziennego, może jednostkowy atak... Cokolwiek, co mogłoby zaowocować przedwczesnym zgonem pułkownika Stillwatera. Jeśli za tego typu myśli miało mnie czekać piekło, byłam na to gotowa. Dołóżcie do pieca i szykujcie komitet powitalny, śmiało. O ile tylko oznaczało to, że nie musiałabym dłużej zginać karku przed paraliżującym autorytetem ojca, byłam gotowa zapłacić każdą cenę.

– Dziękuję, Sir. To bardzo uprzejme z pana strony.

– Niedawno dołączyłaś do akademii?

– Tak, Sir.

– Podoba ci się, póki co? Miło spędzasz czas z moim synem?

Policzki mi zapłonęły. Był w tym jakiś przekaz podprogowy. Obrzydliwa insynuacja, przez którą czułam się oskarżana.

– Tak, Sir. Akademia jest piękna, a program nauczania ambitny. I tak, posiadanie przyjaciół zdecydowanie pomaga.

– Przyjaciół?

Generał Jacobi spojrzał ostro na Wrena. Chłopak wytrzymał jego spojrzenie, choć widziałam, jak pracowały mu mięśnie szczęk.

– Nie – sprostował. – Jesteśmy razem. To moja dziewczyna.

Generał skinął krótko głową.

– Ach, rozumiem. Czyli się pieprzycie.

Wren nawet nie drgnął. Zmrużył odrobinę oczy, ale jedynie na moment. Miał pełną kontrolę nad wyrazem swojej twarzy.

– Tak, pieprzymy się – przyznał obojętnie.

Co innego, gdy czyis rodzice się domyślali, że prawdopodobnie uprawialiście seks, a co innego tak o tym otwarcie rozmawiać. I jeszcze w takich słowach? Czułam się, jakbym właśnie dostała z liścia. Czy od Wrena, czy od jego ojca – nieistotne. Szok był ten sam.

Generał Jacobi westchnął ciężko.

– Dobrze wiedzieć, że się tam zachowujesz, jak na gentlemana przystało, Wren. – powiedział z ironią. – Ta szkoła należy do najdroższych ośrodków akademickich w tym kraju. A ty się puszczasz na prawo i lewo? Hańbisz nazwisko, które od tylu pokoleń utrzymywało swój prestiż? – Potrząsnął głową. Rozczarowanie emanowało od niego falami. – Miałem szczerą nadzieję, że będziesz się odrobinę lepiej prowadził.

– Nie puszczam się. – W oczach Wrena zawrzał zimny płomień. – Sypiam z jedną osobą. W mojej opinii dbanie o nazwisko wychodzi mi lepiej niż tobie, ojcze. Biorąc pod uwagę twoje przeszłe grzeszki.

O mój Boże.

Skuliłam się w sobie. Nigdy bym nie... nie potrafiłabym mówić w ten sposób do swojego ojca. Nieważne, kto stałby obok. Wybiłyby mi tylne zęby i to tak, że wyszłyby ze mnie drugą stroną czaszki. Nie mogłam nawet o tym myśleć. Generał Jacobi otwarcie warknął. Kipiał ze złości. Skinął głową i przejechał językiem po zębach.

– W porządku, wystarczy – uciął. – Kolacja będzie o siódmej. Znikajcie do czasu dzwonka. Elodie, sprawdź może, czy w trakcie ocierania się o ciało tego chłopaka, uda ci się wetrzeć w niego trochę manier.

Co do... kurwy... nędzy...

Nie powiedział tego.

Wren po raz kolejny nie pokazał choć śladu emocji. Byłabym pod wrażeniem, gdybym sama się nie wkurwiła. Nigdy nie oczekiwałam, że przemieni się w rycerza na białym rumaku, gotowego przybiec mi na ratunek. Mimo wszystko miło by było, gdyby na jego twarzy pojawiła się przynajmniej krztyna irytacji. Tylko zamrugął.

– Jak na kogoś, kto przykłada tak wielką wagę do manier – zaczął – nigdy nie poznałem równie pozbawionego ich skurwysyna.

Generał Jacobi parsknął szorstkim, nieprzyjemnym śmiechem.

– Och, mój drogi chłopcze. Szanowałbym cię o wiele bardziej, gdybyś miał jaja

powiedzieć mi to prosto w twarz.

Nawet się nie zawahał. Podeszedł do swojego ojca i, *o mój Boże, nie mogę na to patrzeć...*

JA PIERDOŁĘ!

O kurwa!

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa!

Generał Jacobi był gotowy na wiązanekę niezbyt sympatycznych słów, ale nie na prawego sierpowego, jakim Wren poczęstował jego żuchwę. Patrzyłam przerażona, jak starszy mężczyzna zatoczył się prosto na półkę nad kominkiem, której usiłował się złapać. Nie udało mu się. Upadł do tyłu, prosto w palenisko. Nogi sterczały mu do góry. Nie dało się tego zrobić w mniej dystyngowany sposób. Cała twarz poczerwieniała mu ze złości.

– Wynocha! Wynocha z mojego domu! – wydusił.

Machał rękami i nogami, usiłując się podnieść. Potrzebował na to trzech prób. Gdy w końcu znalazł się w pionie, okazało się, że tył czarnych spodni całkowicie pokrywał popiół. Spróbował złapać Wrena za kołnierz koszulki, ale ten jedynie odepchnął jego dłoń i zaśmiał się zimno pod nosem.

– Tylko spróbuj – wysyczał. – No dalej. Zobacz, co się, kurwa, stanie.

Generał opuścił rękę, ale jeszcze z nim nie skończył. Był od tego daleki.

– Ty głupcze. W końcu dopiąłeś swego. Koncertowo spierdoliłeś sprawę. Koniec z twoją ekskluzywną szkółką. Basta. Idziesz prosto do wojska...

– Jaki mamy dzisiaj dzień? – przerwał mu Wren.

Jego ojciec odchylił głowę w zdumieniu.

– Co?

– Jaki mamy dzisiaj dzień? No dalej, przecież codziennie zaczytujesz się w prasie. Musisz wiedzieć, jaką mamy datę.

– Nie wydurniaj się – sapnął zirytowany. – Oczywiście, że wiem, jaką mamy datę. Dzisiaj jest siedemnasty marca.

– O, super – Wren uśmiechnął się. – A co się wydarzyło czwartego marca, ojczu?

– Nie wiem! Z pewnością mnóstwo rzeczy. Czwartego mar... – nagle urwał.

Jego twarz w momencie straciła wszelki wyraz.

– No, taaak, czwartego marca. Znowu zapomniałeś o urodzinach swoich dzieci, czyż nie, tato? Tylko tym razem zapomniałeś o tych osiemnastych. A to oznacza... – Wren postąpił krok do przodu, wchodząc w przestrzeń osobistą mężczyzny. Dźgał go palcem w pierś z każdym wypowiedzianym zdaniem. – Żadnych więcej zakazów. Żadnych więcej rozkazów. Żadnych gróźb. Żadnego majtania mi nad głową szkołą wojskową. Jestem dorosły. Osiągnąłem pełnoletniość. Nie będziesz już do mnie mówił, jakbym był jakimś gównem, które przylepiło ci się do podeszwy.

Generał Jacobi cały wrzał.

– W porządku. Więc zawieszam chesne. Nie zapłacę za nic więcej, chłopcze. A ten twój dom, w którym mieszkasz z kolegami...

– ...jest mój – dokończył za niego Wren. – Akt własności został spisany na moje imię. Zapłacę za własne pieprzone chesne. Pokryję własne wydatki. Nie możesz tknąć choćby centa z moich pieniędzy i dobrze o tym wiesz. – Wypuścił powietrze nosem. Nozdrza mu falowały. – Może sobie usiądziesz, staruszkę? Tylko się, kurwa, ośmieszasz.

Obrócił się, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, chwycił mnie za rękę i skierował się w stronę wyjścia.

Okej... Czyli jednak zirytował go tamten komentarz.

ELODIE

Uciekliśmy z Monmouth House z rękami pełnymi obrazów i rzeczy Wrena ze strychu. Zameldowaliśmy się w zajeździe Hubert Estates County Inn. Chłopak krążył po pokoju jak lew, był cichy i wściekły. Po czterech godzinach udało mu się w końcu uspokoić. Słońce zdążyło zajść, a mnie bolały szczęki od ich ciągłego zaciskania.

O siódmej rozdzwonił się jego telefon.

– Siostra – wycedził przez zęby. – Pewnie chce mnie opieprzyć za uderzenie tego skurwysyna. Zawsze przechodziła z tym gównem do porządku dziennego, jakby to było normalne. A nie jest. Nic z tego nie jest, kurwa, normalne.

– Wiem. To nie jest normalne. – Powiedziałałabym więcej, ale zbyt wiele myśli kotłowało mi się w głowie. Z trudem łączyłam kropki. Własne wspomnienia atakowały mnie z każdej strony. Czuję się uwięziona, otoczona murem paniki.

To nie byłeś ty, Elodie. To nie byłeś ty. Jesteś bezpieczna. Wszystko w porządku. On jest setki kilometrów stąd. Nie może cię skrzywdzić.

Wren nie miał pojęcia, w jak podobny sposób nas wychowano. Jediną różnicę stanowiło to, że był na tyle duży, żeby móc postawić się swojemu ojcu. Ja nigdy nie byłam w stanie skonfrontować się w ten sposób z pułkownikiem Stillwaterem, co tylko napełniało mnie poczuciem ogólnej beznadziei.

Pokój, który dostaliśmy, był piękny, ale żadne z nas nie miało głowy do podziwiania otoczenia. Zamknęliśmy się w swoich małych świątkach. Powrót do rzeczywistości miał nam zająć trochę czasu.

Dźwięk dzwonka Wrena ponownie przerwał ciszę.

– Myślałam, że zawsze jest wyłączony?

– Masz rację. Powinienem go po prostu, kurwa, wy... – Skrzywił się, gdy spojrział na ekran. – Kurwa. Teraz pisze do mnie wiadomości. Wygląda na to, że zaangażował Harcourt.

Wyłączył telefon.

– Nie powinieneś sprawdzić, czy dyrektorka nie chce z tobą porozmawiać?

– Lepiej dać im chwilę na ochłonięcie. Teraz każdy ma podniesione ciśnienie. Próbuje nad tym zapanować, ale... – Usiadł na łóżku obok mnie i splótł palce, wpatrując się pustym wzrokiem w swoje dłonie. – Przepraszam, Elodie. Powiedziałem ci, że będzie uprzejmy i czarujący, a w ogóle taki nie był. Ja... Nawet nie wiem, co powiedzieć. Widziałem, że miał zły humor, ale nie sądziłem, że tak się zachowa. Nigdy bym cię tam nie zabrał, gdyby choć przez myśl mi przeszło, że będzie się do ciebie odzywał w taki sposób.

– To nic, Wren. Serio. Parę nieprzyjemnych słów od twojego ojca nieszczególnie mnie rusza. Pax codziennie wyzywa mnie od dziwek. Nie przeszkadza mi to.

– Cóż. – Spojrzenie mu stwardniało. – Mi przeszkadza. I to, kurwa, bardzo.

Podniósł wzrok, ale nie patrzył na mnie. Skupił uwagę na oknie naprzeciwko łóżka, które wychodziło na hotelowy basen.

– Powiedz mi, co się dzieje – wyszeptał.

– Co się dzieje? – powtórzyłam, po czym wydełam policzki i nieznacznie się skuliłam. – No wiesz, właśnie widziałam, jak przywaliłeś swojemu ojcu. Nieciekawa sprawa.

– Nie. Jesteś czymś zaniepokojona. Nigdy nie widziałem cię tak roztrzęsionej. Czegoś się

boisz i, kurwa, mam nadzieję, że nie mnie, bo... – Zaśmiał się smutno. – Nie wiem, jak bym sobie z tym poradził.

– Nie! Boże, nie. Nie chodzi o ciebie, obiecuję – zaprotestowałam gwałtownie. – Po prostu ta cała sytuacja przypomniła mi o tym, jak wyglądała moja relacja z pułkownikiem Stillwaterem jeszcze w Tel Awiwie. Twój ojciec bardzo przypomina mojego. Chyba... chyba zwyczajnie przypomniło mi się parę trudnych rzeczy.

Skinął głową i zacisnął szczęki. Nagle wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego, niż przed minutą.

– Chcę z tobą o czymś porozmawiać, Malutka Eli – zaczął. – Wiem, że to niezbyt dobry moment, ale nie mogę już dłużej czekać. Myślałem, że dam radę utrzymać język za zębami i poczekać, aż sama z tym do mnie przyjdiesz, ale... – urwał i potrząsnął głową.

O Boże. Nie. Nie, nie, nie, nie, nie.

– Wren, ja nie...

– Zanim tu przyjechałaś, zrobiłem dogłębny *research* na twój temat – przerwał mi sztywno. – Sprawdziłem twoje media społecznościowe. Wygrzebałem arkusze ocen z poprzednich szkół. Wiem, że to popierdolone. Teraz, gdy wszystko się między nami zmieniło, czuję się jak jakiś jebany drapieżnik, gdy o tym myślę.

– To... nic nowego – zaczęłam niepewnie. – Mówiłeś już, że mnie sprawdziłeś. Dawno o tym zapomniałam. Nie musimy...

– Elodie. Przestań – przerwał mi.

– A ty mógłbyś przestać wpatrywać się w to okno? Zaczynasz mnie przerażać.

Schylił głowę i zamknął na chwilę oczy. Wziął głęboki wdech i na mnie spojrzał.

– Nie powiedziałem ci, że dostałem też oficjalne dokumenty z Tel Awiwu. Poprosiłem przyjaciela z Izraela, żeby to załatwił, a on przesłał mi kopertę. W środku był raport policyjny.

Całkowicie znieruchomiałam.

– Jaki raport policyjny?

Świat mi się załamał, rozpadając na drobne kawałki, gdy chłopak ponownie nabrał powietrza, po czym przemówił.

– Ten, który sporządzono w noc znalezienia ciała twojej matki.

ELODIE

TRZY LATA WCZEŚNIEJ

Metalowe krzesło zatrzeszczało pode mną. Głośny, nieprzyjemny dźwięk rozdarł napiętą ciszę małego, pozbawionego okien pomieszczenia. Mężczyzna po drugiej stronie chwiejącego się, zdartego stolika zaoferował spięty uśmiech, który nie sięgał jego oczu. Wyglądał, jakby mi współczuł, ale nie wiedział, co zrobić, żeby mnie pocieszyć. Pewnie nie miał dzieci ani żony. Na lewej dłoni nie widniała obrączka, co mogło oznaczać, że należał do tych policjantów, którzy poświęcili całe swoje życie pracy. Gdy wszystko, co robisz, to skupianie się na złych rzeczach, jakie ludzie wyrządzali sobie nawzajem, z czasem ograniczało to zdolność serca do czucia czegokolwiek więcej niż pogarda i nieufność.

– Już niedługo – powiedział z ciężkim akcentem.

Ktoś musiał go poinformować, że mówiłam tylko po angielsku. Skinęłam głową i spojrzałam w dół na swoje dłonie. Leżały na blacie stołu. Pozwolono mi je umyć po tym, jak zrobiono zdjęcia, a śledczy pobrali wymazy do badań, ale byłam zbyt odrętwiiała, by zrobić to dobrze. Pod paznokciami wciąż miałam krew, teraz już czarną – ciemne półkola zakrzepłych wspomnień surrealistycznej sceny, jaką zobaczyłam po powrocie ze szkoły.

Mijały sekundy.

Minuty.

Zegar na ścianie stukał w tle – tik, tak, tik, tak. Jego wskazówki dzieliły nieznośnie rozciągający się czas, który spędziłam przy tym stole, w śmierdzących ubraniach, czując na sobie pozbawiony emocji wzrok detektywa. W końcu drzwi się otworzyły i weszła piękna kobieta w spodniach z wysokim stanem i świeżo wyprasowanej, białej koszuli. Miała ze sobą stos papierów. Uśmiechnęła się do mnie jednym z tych łagodnych, ciepłych uśmiechów, które od razu uspokajały człowieka. Sprawiała wrażenie, jakby mogła być dobrą przyjaciółką.

– Witaj, Elodie. Jestem Aimée – przywitała się. – Miło mi cię poznać. Przykro mi, że dzieje się to w tak bolesnych okolicznościach.

Nie „Amy”, w zamerykanizowanej wersji. „Aimée” jak francuski czasownik „kochać”. Miała wspaniały akcent. Od razu było słychać, gdy ludzie dopiero zaznajamiali się z językiem angielskim. Nie używali skrótowców. „It is” zamiast „it’s”, „I am” zamiast „I’m”. Nie czuli się jeszcze na tyle komfortowo z tym językiem, by móc przestać o niego dbać.

Usiadła obok swojego kolegi z pracy, a mnie uderzył zapach wody jaśminowej. Przeglądała kartki, które ze sobą wzięła, a ja powoli kompletowałam zdobyte na jej temat informacje. Oczywiście była Francuzką. Koło trzydziestki. Bardzo o siebie dbała, ćwicząc każdego dnia za zamkniętymi drzwiami i nigdy o tym nie mówiąc – tak jak przystało na typową Francuzkę. Piła czarną kawę. Każdego ranka siedziała przy swoim biurku i zanurzała croissanta we wrzącym napoju. Kochała dzieci, ale nie miała wystarczająco dużo czasu, by mieć własne. Pewnego dnia miała zostać wspaniałą matką, o ile zatrzyma się na tyle długo, by kogoś znaleźć i się zakochać. Uwielbiała przebywać na zewnątrz. Chciałaby zamieszkać nad morzem. Pragnęła...

– Elodie? O, jesteś. Grzeczna dziewczynka. Wracaj do nas – przerwała mój potok myśli.

Ciepłe brązowe oczy były pełne emocji. – Wiem, że to trudne, ale potrzebuję, żebyś spróbowała się na chwilę skupić, w porządku?

Mechanicznie skinęłam głową.

– Pytałam, czy mogłabyś mi opowiedzieć, co się wydarzyło? Policjant, który cię znalazł, mówił, że trudno było cię zrozumieć, gdy... – urwała.

Nie mogła dokończyć zdania, więc zrobiłam to za nią. Słyszałam, jak głos mi skrzypiał i trzeszczał, gdy zmusiłam słowa do opuszczenia ust.

– Gdy otworzył skrzynię.

– Tak, Elodie. Gdy otworzył skrzynię.

– Nie pamiętam, co mu powiedziałam – przeprosiłam.

– Tak, to rozumiałe. – Wypowiadała się zdawkowo i sprawnie ukrywała swoje przerażenie. Pewnie dlatego wybrano ją do rozmowy ze mną. Poza tym, że była kobietą, miała przyjazne oczy i była tej samej narodowości, co moja matka. Musieli uznać, że to pomoże mi się otworzyć. – Jak myślisz, mogłabyś zacząć od początku?

Byłam taka zdezorientowana. Myśli kłębiły mi się w głowie, do tego stopnia poplątane, że przypominały motek włóczki. Grzebałam w mózgu w poszukiwaniu wspomnień. Czułam się, jakbym usiłowała odnaleźć końcówkę sznurka, ale on w ogóle się nie kończył...

– Ja nie... nie potrafię...

– W porządku. Nie przejmuj się – przerwała łagodnie.

Aimée dotknęła palcami wierzchu mojej dłoni. Tak bardzo mnie to spłoszyło, że gwałtownie odsunęłam się do tyłu, potrącając przy okazji szklankę z wodą, którą mi dano. Ciecz rozlała się po drewnianej powierzchni i skapywała mi na kolana, ale ja nawet nie drgnęłam. Nie próbowałam jej zetrzeć. Po prostu tam siedziałam i obserwowałam, jak to się działo.

– Merde! – syknęła kobieta.

Wybiegła z pomieszczenia, a po chwili wróciła z rolką papierowego ręcznika. Razem z siedzącym obok milczącym mężczyzną szybko uporali się z bałaganem i wysuszyli stół. Aimée podała mi pęk chusteczek, żebym mogła wysuszyć sobie jeansy, ale nie byłam w stanie się na to wysilić. Tylko trzymałam je w dłoniach, mnąc je, jeżdżąc palcami po strukturze taniego papieru. W kółko. W kółko. W kółko...

– Elodie? Słuchasz mnie?

Poderwałam głowę. Aimée siedziała z powrotem na swoim krześle. Bóg jeden wie, od jak dawna.

– Nie mogę sugerować, co ci się stało, na podstawie tego, co wiemy do tej pory, ale mogę odczytać to, co powiedziałaś tamtemu policjantowi. Może tak być? Wtedy nam powiesz, czy pamiętasz coś jeszcze albo może chciałabyś coś doprecyzować. Co ty na to? Nie martw się, tutaj nie ma ani dobrych, ani złych odpowiedzi. Jeśli pamiętasz coś inaczej, w porządku. Możesz nam opowiedzieć. Nie czekają cię za to żadne kłopoty.

Mrugnęłam, by dać jej znać, że zrozumiałam.

Strzeliła kręgamii szyjnymi, wzięła kilka wdechów i wydechów, jakby zbierała się wewnętrznie na spotkanie z tym, co mnie spotkało, po czym zaczęła czytać.

– „Wróciłam do domu o szóstej. Już tam był. Mój ojciec. Powinien być na ćwiczeniach, ale widocznie wrócił wcześniej. Od razu zauważyłam, że był pijany. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dziwnie się zachowywał. Zataczał się, wchodził w meble. Nie chciał się do mnie odezwać. Zaczęłam wołać mamę, żeby jej powiedzieć, że działo się z nim coś złego, ale nie odpowiadała. Poszłam jej poszukać. Lubiła pisać listy do babci w oszklonej werandzie na tyłach, więc najpierw tam poszłam. Leżała na płytkach, cała we krwi. Była na brzuchu, z podciągniętą w górę spódnica. Na początku nie rozumiałam, co się stało. Potem zobaczyłam krew na jej

bieliznie” – tu urwała i przełknęła ślinę. Po chwili zaczęła znowu czytać. – „Miała dziurę w głowie”. Jaką dziurę, Elodie? Od pocisku?

Spojrzała na mnie. Czułam, jak gula podchodzi mi do gardła. Byłam oderwana od siebie, poza ciałem, z daleka od tego miejsca i od całej tej sytuacji. Tylko w ten sposób byłam w stanie udzielić jej informacji, których potrzebowała. Brzmiałam jak robot.

– Nie, większa. W rozmiarze piłki golfowej – wyjaśniłam. – A jej czaszka jakby... ugięła się wokół tej dziury.

Kobieta stuknęła palcem o stół. Wybijała miarowy rytm. Przestała, gdy zauważyła, jak się wzdrzgam. Wróciła do odczytywania moich zeznań.

– „Krzyknęłam do taty, żeby wezwał karetkę, ale wiedziałam, że było już za późno. Miała sine usta. Mimo to sprawdziłam puls. Odwróciłam ją na plecy. Próbowałam udzielić pierwszej pomocy, ale już nie żyła”.

Pamiętałam mówienie tego wszystkiego. Pamiętałam też wyraz twarzy tamtego policjanta. Wyglądał na szokowanego tym, co słyszał. Nie pamiętałam jednak tego uczucia wzrastającej agonii, która zmierzała w moją stronę niczym nieunikniony koniec szekspirowskiej tragedii, odmawiając zwolnienia czy zmiany kursu. Wiedziałam, co miało teraz nadejść, i nie byłam w stanie tego powstrzymać. Chciałabym móc.

– „Wtedy do mnie podszedł i mnie złapał” – czytała dalej. – „Od tyłu. Był taki silny. Nie potrafiłam się wydostać. Nie sądziłam, że zamierzał mi zrobić coś złego. Przynajmniej na początku. Ale potem zaniósł mnie do skrzyni, w której przechowywał swoje mundury i sprzęt. Skuł mi ręce kajdankami, z tyłu pleców, wsadził mnie do środka. Kopałam i krzyczałam. Walczyłam, ale nie mogłam się wydostać. Minęło dużo czasu. Myślałam, że tam umrę. Potem wrócił i znowu wydawał się normalny, ale nie chciał mnie wypuścić. Nie chciał mnie wypuścić z tej skrzyni”.

Aimée przez dłuższy czas wpatrywała się pustym wzrokiem w trzymany raport.

– Chciałabyś coś dodać, Elodie? Może pamiętasz coś jeszcze?

– Tak. – Musiałam to powiedzieć teraz, póki nie byłam sobą. Nie mogłam tego zrobić przy policjancie, który mnie znalazł. Był zbyt młody. Zbyt przerażony. Zwymiotowałby na własne buty. W tym małym pokoiku czułam się bezpieczniej, a Aimée nie wyglądała, jakby miała słaby żołądek. – Coś się wydarzyło. Zanim... zamknął mnie w tamtej skrzyni.

– Tak? – Zmrużyła oczy.

– Zrobił mi to, co zrobił mamie. Siłą. Wszedł... we mnie. Między nogi. Przyciskał mi głowę do płytek i... i mnie skrzywdził. Krzyczałam. Próbowałam go powstrzymać, ale... Widziałam mamę. Wciąż miała otwarte oczy. Patrzyła prosto na mnie i...

To tyle. To wszystko, co mogłam jej dać. Nie rozpadłam się. Po prostu skończyła mi się energia. Nie byłam w stanie kontynuować. Kobieta wpatrywała się we mnie swoimi ciepłymi, brązowymi oczami. Pojedyncza łza zachwiała się jej na rzesach. To więcej, niż sama wypłakałam, odkąd wydostałam się z tamtego miejsca. Było coś niewłaściwego w tym, że pani detektyw była pierwszą osobą opłakującą ten koszmar. Ona też o tym wiedziała. Energicznie zamrugnęła, by przywołać się do porządku. Dzięki temu opanowała swój nieplanowy pokaz emocji.

– Musimy wrócić do szpitala. Wątpię, że przeprowadzili obdukcję po gwałcie.

Zalał mnie wstyd. Skuliłam się w sobie, nie chcąc myśleć o wciąż czekającym mnie upokorzeniu.

– Jeszcze tylko kilka pytań i cię stąd zabierzemy. Kiedy to się wydarzyło, Elodie?

– Wczoraj. W piątek. Po tym, jak wróciłam ze szkoły.

Kobieta pobladła. Kolor opuścił jej twarz, gdy spojrzała na trzymany raport. Nie

wyglądała, jakby cokolwiek widziała. Dłoń zaczęła jej drżeć. Szybko schowała ją pod blat.

– Czy domyślasz się, jaki dzień mamy dzisiaj, Elodie? – zapytała cicho.

Te ciągnące się w nieskończoność godziny w ciemności. Ja, skulona, stawy wrzeszczące w agonii, błagające, by je rozprostować, nos przyciśnięty do małych otworków... Miałam wrażenie, jakbym spędziła tam całą wieczność. Jakby w tym piekle mogło się zmieścić kilka żyć. Wiedziałam jednak, że mózg potrafił płać figle. Czasami godziny odczuwaliśmy jak dni, dni jak lata. Dotarłam na posterunek o trzeciej nad ranem, co oznaczało, że policjant musiał mnie uwolnić około północy. Umysł buntował mi się przed choćby najprostszymi działaniami matematycznymi, ale zmusiłam się do policzenia godzin na palcach.

– Jest sobota – zdecydowałam. – Wczesne godziny sobotniego poranka.

– Myślisz, że spędziłaś w tej skrzyni dziewięć godzin? – wyszeptła.

Skakałam wzrokiem między kobietą a siedzącym obok niej mężczyzną. Usiłowałam rozszyfrować ich miny.

– Tak? – odpowiedziałam niepewnie.

Po twarzy mężczyzny rozlało się absolutne przerażenie. Odchrząknął, ale brzmiał, jakby się dławił. Odsunął się od stołu i rzucił w stronę drzwi.

– Jezu Chryste. Nie mogę. Przepraszam. Muszę się przewietrzyć.

Drzwi cicho się za nim zamknęły.

Aimée wyprostowała się i potarła nerwowo gardło.

– Nie możemy kontynuować przesłuchania bez obecności drugiego detektywa, Elodie. Przykro mi. Ale... powinnaś wiedzieć, że... nie spędziłaś tam dziewięciu godzin. Dzisiaj jest wtorek, kochanie.

Zmarszczyłam brwi. To nie miało żadnego sensu.

– Wtorek?

Skinęła głową.

– Spędziłam... w tej skrzyni... pięć dni?

Odwróciła wzrok, po czym zakryła dłonią usta.

Pięć dni.

Pięć dni sikania i srania pod siebie.

Duszenia się własnym odorem oraz swędem rozkładu docierającym do mnie z drugiego końca pokoju, od ciała matki.

Ta cienka rurka wsuwana przez dziurkę, będąca jedynym źródłem wody.

Codziennie ukłucia światła przedzierające się przez powieki – i znowu ciemność. I tak w kółko. Czy to naprawdę stało się tak wiele razy? Tyle dni złało mi się w jeden? Jak mogłam... jak ktokolwiek mógł przeżyć coś takiego bez postradania zmysłów?

Z drugiej strony, czy ich właśnie nie postradałam?

Kobieta wyszła z pokoju, po czym wróciła z kurtką. Okryła mi nią ramiona.

– Chodź. Wiem, że to nie będzie łatwe, ale będę tam z tobą, okej? – pocieszyła mnie. – Nie zostawię cię, obiecuję.

Nawet nie udało nam się opuścić budynku, gdy pojawili się wojskowi policjanci. Nieznany mi mężczyzna zatrzymał nas w korytarzu, wpychając kobiecie do ręki kartkę papieru. Był w mundurze, w pełni uzbrojony, z trzema strzałkami na naramienniku.

– Dziewczyna idzie z nami – poinformował cierpko.

Aimée całkowicie struchlała. Z szeroko otwartymi oczami i otwartą buzią, przytuliła mnie sobie do boku, jakby mogła mnie w ten sposób ochronić przed tym, co miało się wydarzyć. Gwałtownie potrząsała głową.

– Ta dziewczyna doświadczyła tortur i napaści seksualnej, sierżancie. Nigdzie z panem

nie pójdzie. Zabieram ją do szpitala.

Zablokował jej wyjście z budynku.

– Obawiam się, że to możliwe, detektyw Berger. Ta młoda dama jest nieletnią obywatelką amerykańską. Była świadkiem wypadku, który miał miejsce w budynku zarządzanym przez rząd Stanów Zjednoczonych. Z technicznego punktu widzenia jest to więc nasza ziemia. Jurysdykcja izraelskiej policji tutaj nie sięga.

– „Wypadek”? Jej matka została zamordowana! A ten budynek nie jest częścią waszej bazy. Leży na izraelskiej ziemi! To, kto jest jego właścicielem, nie ma żadnego znaczenia.

– Proszę się skonsultować ze swoim szefem. My robimy rzeczy po swojemu, Berger, i mamy swoją policję. Zbadaliśmy sprawę i uznaliśmy śmierć pani Stillwater za wynik wypadku. Niefortunny upadek. Rozumie pani, pułkownik Stillwater to powszechnie szanowany człowiek. Niemożliwe, by tknął swoją żonę.

Usta kobiety niemo się poruszały. Jakby nie mogła znaleźć słów, których szukała.

– Wasz czcigodny pułkownik Stillwater zgwałcił własną córkę! Kto robi coś takiego?

– Na pewno nie ktoś, kto dowodzi tysiącami w armii amerykańskiej. Na pani miejscu byłbym ostrożniejszy. Powtarzanie tego typu zniesławiających oskarżeń może się wiązać z nieprzyjemnymi konsekwencjami.

Dłoń sierżanta zacisnęła się wokół mojego przedramienia. Wyrwał mnie z uścisku Aimée. Próbowwała mnie jeszcze chwycić, ale na nic się to nie zdało. Byłam poza jej zasięgiem, jeszcze zanim ci ludzie się tu pojawili. Po prostu o tym nie wiedziała.

Nie miałam pojęcia, co się później wydarzyło. Świat zaczął się wokół mnie zaciskać, ciemnieć wokół krawędzi. Ledwie mrugnęłam, a już leciałam do przodu. Kolana się pode mną ugięły. Ziemia spieszyła mi na spotkanie.

ELODIE

Widziałam ten raport policyjny. Raz. Był bardzo szczegółowy. Rozsierzona podejściem armii do śmierci mojej mamy, pani detektyw Aimée Berger zwróciła się z pisemną prośbą do rządu izraelskiego, by spróbował wszcząć postępowanie karne. Skończyło się to politycznym koszmarem. Kobieta miała związane ręce i mogła tylko się przyglądać, jak zatuszowano całą sprawę. Ojca oczyszczono z wszelkich zarzutów, ja nie zostałam poddana obdukcji, a mamę pochowano bez jakiegokolwiek ceremonii na tyłach żydowskiego cmentarza, mimo że była katoliczką, w dodatku w kraju, którego nigdy nie uznała za swój dom. Nie wolno mi było wziąć udziału w pogrzebie. Ojciec nie miał nawet zamiaru się na niego wybrać.

Robiłam, co mogłam, by tego nie pamiętać. Pamiętanie tylko wszystko utrudniało. Teraz jednak Wren siedział obok mnie, patrzył mi prosto w oczy i miał do mnie wiele pytań. Czułam do niego żal o to, że odgrzebywał tę sprawę, ale przede wszystkim nie mogłam znieść tego, że chłopak, który tak niesamowicie mi się podobał, przez cały ten czas znał mój sekret. Okropny, brudny, mroczny sekret, o którym nikt nie powinien wiedzieć.

– Myślałam, że policja wojskowa zniszczyła ten raport – odezwałam się w końcu. – Upewnili się, że wszelkie ślady po nim zostały wymazane z bazy pamięci policji Tel Awiwu. Wiem to na pewno.

Wren nerwowo bawił się paznokciami. Skinął głową. Zaatakował ostatni skrawek czarnego lakieru, jaki nosił od nocy naszego pierwszego spotkania. Teraz pozbył się go raz na zawsze.

– Mieli kopię na swoim serwerze – wyjaśnił.

– Rozumiem.

– Nie mogę uwierzyć, że z powrotem cię tam odesłali – zaczął. – Że musiałaś żyć dalej z tym skurwysynem.

– No wiesz, miałam czternaście lat. Poza tym uznali, że nie zrobił nic złego, więc gdzie indziej mieli mnie odesłać?

– Co z twoimi dziadkami? Rodzicami mamy? Nie mogli cię przygarnąć?

To było takie bez sensu. W czym niby miały mi pomóc próby wymyślenia lepszego scenariusza postępowania – trzy lata po fakcie? *Było, minęło.*

– Dziadek już nie żył. Babcia miała Alzheimera. Tak naprawdę nigdy nie zrozumiała, że mama umarła. Wróciłam do ojca i tyle.

– To takie... – Nozdrza mu zafalowały, dłonie zacisnęły się w pięści. Wyglądał, jakby chciał w coś porządnie przypierdolić. – Dotknął cię jeszcze kiedyś? – warknął.

– Nie! – zaprzeczyłam od razu. – Boże, nie. Tylko ten jeden raz. Nigdy więcej tego nie zrobił. Chyba był naćpany czy coś, gdy... tamtego dnia.

– Miałem niezłe jazdy po narkotykach, Malutka Eli, ale nigdy nikogo nie zgwałciłem. Nigdy nikogo nie zabiłem, do kurwy nędzy. Nawet jeśli masz rację, jeśli coś wziął, doszedłby do siebie następnego poranka. Z jakiego jebanego powodu trzymał cię w tej pierdolonej skrzyni przez pięć dni?

Powrót do tych wspomnień oznaczał powrót do tamtego miejsca, a ja... ja nie mogłam tego, kurwa, zrobić. Powoli podniosłam się z łóżka i podeszłam do okna. Słońce jasno świeciło, a wszystko było takie zielone. Niemal wiosenny dzień drastycznie kontrastował z ciemną

chmurą, która wisiała teraz nad moją głową. Czułam się, jakby rozpościerający się po drugiej stronie szyby świat nie był prawdziwy.

– Nie wiem. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Wiedziałam, że skończę martwa, jeśli poruszę ten temat, a ojcu odpowiadało udawanie, że nic się nie stało, więc po prostu robiłam, co musiałam, by przetrwać. Krótco po tym zaczął mnie szkolić. Każdego dnia przechodziłam przez mordercze treningi. Na początku nie mogłam tego zrozumieć. Potem zobaczyłam w jego oczach nienawiść do samego siebie. Chciał, żebym była w stanie się obronić. Przed nim. Myślę, że zawsze się bał, że... że mógłby to znowu zrobić. – Nabrałam gwałtownie powietrza, ale wciąż było mi słabo. Czułam, że mogę w każdej chwili zwymiotować. – Wyjazd z Tel Awiwu, przeniesienie do New Hampshire? Udawałam sama przed sobą, że tylko przysporzyło mi to kłopotów i nie mogłam znieść tego, że oddzielono mnie od przyjaciół, ale tak naprawdę... nie mogło mi się przytrafić nic lepszego. Może nie jest to najzdrowszy mechanizm radzenia sobie z traumą, ale chcę zapomnieć o tamtym okresie swojego życia. Chcę zapomnieć o wszystkim. Każdym jednym dniem. Więc proszę... Nie chcę już o tym rozmawiać. Nie potrafię. To i tak nie pomoże, a ja...

Przytulił mnie od tyłu. Oplótł mocno ramionami, twarz wtulił w moją szyję.

– Ćśśś, ćśśś, już dobrze. Już dobrze. Przepraszam. Ćśśś, proszę, nie płacz.

Nawet nie zauważyłam, że płakałam, a tymczasem wydobywały się ze mnie desperackie szloch przerywane gwałtownymi wdechami. Odbijały się echem od ścian hotelowego pokoju. Kiedyś, w czasie przerw na lunch, zamykałam się w szkolnej łazience, żeby sobie tak czasem popłakać. Nie mogłam tego robić w domu. Odkąd nie było już mamy, którą mógł pracować na kwaśne jabłko, pułkownik Stillwater czuł się usprawiedliwiony wyżywaniem się na mnie podczas naszych porannych sesji na siłowni. Płacz kosztowałby mnie lanie życia.

– Tak cię przepraszam. Tak kurewsko cię przepraszam – powtarzał jak mantrę w moje włosy. – Przepraszam, że do tego wróciłem. Przysięgam na Boga, że nie chciałem sprawić, żebyś się tak czuła.

– Więc... więc po co do tego wracałeś? – wysapałam między szlochami.

Wren westchnął ciężko. Był pełen frustracji. Odwrócił mnie w swoją stronę i ujął w dłoń moją twarz. Zmusił mnie do spojrzenia w pełne emocji zielone oczy.

– Przeszłaś tak kurewsko wiele i zrobiłaś to wszystko sama. Chciałem, żebyś wiedziała, że już nie jesteś sama. I chciałem, żebyś wiedziała, że już po wszystkim. Nie musisz się już nim zamartwiać, Elodie. Nigdy więcej cię nie skrzywdzi.

– Nie wiesz tego – zaprotestowałam. – Nie mów takich rzeczy. Czeka mnie jeszcze kilka miesięcy, zanim się od niego uwolnię, Wren. Może ty już jesteś pełnoletni, ale ja będę dopiero w czerwcu.

Potrząsnął głową.

– Spokojnie, E. Już dobrze. Obiecuję ci. Już po wszystkim.

Wyczułam drugie dno w tych słowach. Krył się w nich dodatkowy komunikat. „Już po wszystkim”, bo on się tym zajął. Zrobił coś, przez co mój ojciec nie będzie już w stanie mnie skrzywdzić. Poczulałam nagłą panikę, w gardle stanęła mi gula.

– O mój Boże. Wren, co ty zrobiłeś? – zapytałam ostrożnie.

– Elodie, gdy mnie poznałaś, wiedziałaś już, że jestem potworem. Bardzo się dla ciebie zmieniłem, bo chcę być dobry, dla ciebie – podkreślił. – Ale są takie części mnie, których nigdy się nie pozbędę. Gdy tylko upewniłem się, co do twoich uczuć, ten skurwysyn już był martwy. Gdy tylko zobaczyłem swoje własne uczucia odbite w twoich oczach, nie mogłem pozwolić na to, by to, co zrobił, uszło mu na sucho.

Nie... nie wiedziałam nawet, co powiedzieć. Co myśleć. Nie miało to żadnego sensu.

– Gdy tylko się upewniłeś co do... moich uczuć? – powtórzyłam.

Kącik ust delikatnie wygiął mu się do góry.

– Tak. Wiesz, o czym mówię, prawda? – Położył moją dłoń na swojej piersi, tuż nad sercem, po czym przykrył swoją. – Kocham cię. Nie wiem, jak to zniosę, jeśli to nieprawda, ale myślę, że ty też mnie kochasz, Malutka Eli. Czy się mylę? Czy oszukiwałem się przez cały ten czas?

Kocham cię.

Już po wszystkim.

Kocham cię.

Już po wszystkim.

Podniosłam na niego wzrok. Na tego pięknego, nieokrzesanego chłopaka. Poeci od tysiącleci rozpisywali się na temat twarzy takich jak jego. I nagle... nagle ten okropny strach, który kulił się we mnie od czternastego roku życia... zniknął.

– Nie mylisz się – wyszeptałam. – Kocham cię.

Wypuścił powietrze. Głowa opadła mu na pierś. W tej chwili był personifikacją ulgi.

– Dzięki, kurwa, Bogu.

– Wren? Zabiłeś mojego ojca? – zadałam w końcu to pytanie.

Spojrzał na mnie spod tych ciemnych, ciemnych brwi, a mi oddech uwiązał w gardle.

– Nie, Malutka Eli. Nie zabiłem go. Ale zadbałem o to, by poczuł kurewski ból.

WREN

Gdy byliśmy mali, Mariposa opowiadała mi i Mercy różne historyjki na dobranoc. Układała nas do snu, zasiadała w krześle stojącym w kącie naszej wspólnej sypialni, a następnie rozpoczynała szeptanie złowieszczym, przerażającym głosem, który przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Jej celem nie było napełnienie naszych główek fantastycznymi baśniami, o których moglibyśmy później śnić. W życiu. Chciała wzbudzić w nas strach przed Bogiem. Opowieści o szkaradnych potworach i zdeformowanych stworach były sposobem na kontrolowanie nas.

Mali bohaterowie, których spotykał okropny los, zawsze byli Niegrzecznymi Dziećmi. Źle się zachowywali, nie okazywali szacunku starszym i nigdy nie robili tego, o co się ich prosiło, więc spotykała ich za to surowa kara.

Mariposa miała nadzieję, że pełne nieszczęścia bajki czegoś nas, dwie biedne sieroty, nauczą i dzięki temu zacniemy się lepiej zachowywać. Niestety, ja z tych nocnych seansów horrorów wyciągnąłem tylko jedną lekcję: najlepszym sposobem na to, by przestać bać się potworów, jest stanie się jednym z nich.

Nie istniała taka rzecz, jakiej nie powiedziałbym Elodie. Jeśli chciałyby poznać każdy najdrobniejszy szczegół tego, co przydarzyło się pułkownikowi Stillwaterowi w weekend, w który zaciągnąłem Dashiella i Paxa na pokład samolotu, a następnie na drugi koniec świata, żeby pomogli mi poradzić sobie z tym skurwysynem – to usiadłbym z nią do rozmowy, by zrelacjonować całą sprawę krok po kroku. Wydawało mi się jednak, że nie tego w tej chwili chciała. Teraz potrzebowała przyswoić nowe informacje. To, że była wolna, a sekret, który ukrywała tak długo, nie musiał już stopniowo zżerać jej duszy. Mogła wreszcie wyjść ze swoich ciemności, ku światłu, i Bóg mi świadkiem, że będę już tam na nią czekał, gotowy.

Na ten moment zadała tylko jedno pytanie:

– Jeśli to się stało kilka tygodni temu, dlaczego nikt nic o tym nie mówił? Dlaczego mnie nie poinformowano, że został zaatakowany?

Postanowiłem podzielić się tym, co wiedziałem, bez owijania w bawełnę.

– Przez pierwsze kilka dni po tym, jak odstawiono go do szpitala, nie wiedzieli, kim był. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, a jego twarz była... zbyt opuchnięta, by dało się go rozpoznać. Potem policja wojskowa dodała dwa do dwóch i przenieśli go do placówki medycznej armii. Twój ojciec był na tyle długo świadomy, by nalegać, żeby o niczym cię nie informowano. Potem wprowadzono go w stan śpiączki farmakologicznej, żeby pomóc mu wyzdrowieć. Mój kontakt nie może dowiedzieć się niczego więcej bez zwracania na siebie uwagi, więc to wszystko, co jestem w stanie ci powiedzieć.

Skinęła sztywno głową, przyjmując to do wiadomości.

Spodziewałem się, że po tym, co zrobiłem, odsunie się ode mnie, ale tak się nie stało.

Zatrzymaliśmy się w hotelu aż do niedzielnej nocy, a ja zdążyłem przyzwyczaić się do uczucia trzymania Elodie w ramionach, gdy zasypiała. Nigdy nie doświadczyłem czegoś tak przerażającego i niebiańskiego zarazem. Byłem do tego stopnia zafascynowany słuchaniem jej powolnego, miarowego oddechu, że sam prawie nie zmrużyłem oka.

Podróż powrotną do Wolf Hall spędziliśmy w ciszy, ale nie było w niej nic niekomfortowego. Wypełniał ją spokój i zadowolenie. Elodie opierała głowę na moim ramieniu, przyglądając się światu migającym za szybą. Dłonią jeździła w górę i w dół wnętrza mojego

uda.

Z każdą minutą subtelnie zbliżała się do krocza. Jej ruchy spowolniły, stały się bardziej prowokujące, co w końcu zmusiło mnie do zjechania na pobocze, bym mógł poprawić prężącą się w spodniach erekcję.

– Jesteś, kurwa, niebezpieczna – warknąłem i obrzuciłem ją ciężkim spojrzeniem. – Jak facet ma się skoncentrować na prowadzeniu, gdy dziewczynę dzielą milimetry od pocierania jego kutasa?

Niczego nie oczekiwałem. Nawet jej nie dotknąłem od czasu naszej rozmowy o tym, co jej się przydarzyło w Tel Awiwie. Przynajmniej nie seksualnie. Całowałem ją, a także trzymałem w objęciach, ale nic więcej. Czekałem na jej ruch. Wykonała go teraz, w aucie zaparkowanym tuż przy wjazdowym zagajniku. Położyła dłoń bezpośrednio na moim penisie i ścisnęła go z siłą sprawiającą niemal ból.

– Ciekawe, jak dasz radę się skoncentrować, gdy będę go miała w ustach – stwierdziła, zupełnie mnie zaskakując. – Jedź.

– Chcesz, żebyśmy zginęli? – zaśmiałem się.

Zagryzła końcówkę języka, rozpięła guzik moich jeansów i zaczęła powoli, sugestywnie rozsuwać zamek.

– Widziałam, jak prowadzisz. Nic nam się nie stanie. Po prostu patrz na drogę, Jacobi.

Wiele razy robiono mi loda w trakcie jazdy, ale z Elodie było inaczej. Te słodkie, perfekcyjne usteczka były tak nieśmiałe i delikatne, że zupełnie odchodziłem od zmysłów, gdy je wokół mnie zaciskała. Nie chciałem nas zabić, gdy nasze wspólne życie razem jeszcze się nawet nie zaczęło, bez względu na to, jak miało ono wyglądać. Wślizgnęła dłoń w bokserki, zacisnęła palce wokół prącia i uwolniła go z krępującego materiału. Jej niebieskie oczy rozszerzyły się na widok opuchniętej, błyszczącej główki mojej męskości.

– Chyba nie muszę się powtarzać, prawda?

A teraz jeszcze do mnie pyskowała? *Podoba mi się to.* Mimo to chwyciłem ją za nadgarstek i powstrzymałem przed posunięciem się dalej.

– Może zrobimy tak. Pozwolisz mi się wylizać na masce auta, a ja pozwolę ci zrobić ze sobą, co tylko będziesz chciała, gdy wrócimy do akademii. Umowa stoi?

Spojrzała na mnie, jakbym do końca zwariował.

– Na masce auta? Tego auta? Teraz? Na poboczu?

Nigdy się nie zgodzi.

– Tak.

– Gdy ktokolwiek może przejechać obok i nas zobaczyć?

– Tak.

– I mogą nas za to aresztować?

– Dokładnie.

– W porządku.

Wbiła we mnie wyzywające spojrzenie. Nie sądziła, że naprawdę mogłem to zrobić. O rany, musiała się jeszcze dużo o mnie nauczyć. *Gdy mówię, że coś zrobię, to tak jest.*

– Super. Ściągaj spodnie. Lepiej, żeby twój goły tyłek znalazł się na masce w przeciągu następnych trzech sekund, bo pożałujesz, że cokolwiek zaczęłaś, Stillwater.

Znieruchomiała, ale tylko na sekundę. Wyszła z samochodu. Podążyłem za nią, gotowy gonić ją wokół pojazdu, gdyby chciała się wycofać, ale ona wskoczyła na maskę mustanga, oparła się na łokciach i obrzuciła mnie kuszącym, kokietującym spojrzeniem, przez które jądra same mi się zacisnęły. Boże, tak kurewsko chciałem już w niej być.

– Będziesz tak tam stał? – zapytała z zawadiackim uśmieszkiem.

Włożyłem ręce do kieszeni i przeniosłem ciężar ciała na jedną nogę.

– Czekam, aż te spodnie znikną. Ale nie przejmuj się mną, mam miły widok.

Czy słyszała tęsknotę w moim głosie? Widziała, jak bardzo pozwoliłem sobie upaść? Jak cholernie miało mnie boleć, gdy ta dziewczyna w końcu zda sobie sprawę z tego, jakim gównem byłem i mnie rzuci? I dlaczego wciąż nachodziły mnie znikąd te dziwne momenty paniki, jakbym był zaledwie o krok od katastrofy?

Znałem odpowiedź na ostatnie pytanie, ale łatwiej mi było udawać, że tak nie jest, niż stawić czoło prawdzie. Dotąd nie byłem zbyt dobrym, prawym czy miłym człowiekiem. W nowej skórze czułem się jak w kradzionym garniturze. Nie należał do mnie i ktoś w końcu miał się o niego upomnieć. Mimo to dobrze w nim wyglądałem, pasował do mnie. I lubiłem go, kurwa, nosić. Nie zamierzałem go ściągać bez walki.

Jej śmiech sprawił, że sam miałem ochotę się zaśmiać.

– Na pewno miałeś już całą masę dziewczyn rozłożonych na tej masce.

Zagryzłem wargę i szybko potrząsałem głową.

– Co? Nie? – znowu się zaśmiała. Dźwięk wzniósł się ku koronom drzew ciągnących się wzdłuż drogi. – Nie wierzę. Jestem pierwsza?

Podszedłem bliżej, tak, że goleniami stykałem się ze zderzakiem, i położyłem dłonie na jej udach.

– Może cię to zaskoczy, ale byłaś wieloma moimi pierwszymi razami, Malutka Eli. Pierwsza dziewczyna, jaką zabrałem do domu. Pierwsza dziewczyna, jaką nazwałem swoją dziewczyną. Pierwsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek kochałem. – Ostatnie wyznanie nie należało do łatwych. Zatrzymało się gdzieś z tyłu gardła, nie chcąc wyjść. Powiedziałem je nieśmiało, niezdolny do spotkania jej wzroku.

Wyprostowała się. Palcami delikatnie pogłaskała mnie po policzku, odwracając moją twarz w swoją stronę, tak, żebym spojrzał jej w oczy.

– No to jesteśmy w takiej samej sytuacji – wyszeptała. – Też nigdy wcześniej nie kochałam żadnego chłopaka.

Złapałem ją za nadgarstek i przycisnąłem usta do jego wnętrza.

– Bycie pierwszym to dobry początek – wymruczałem. – Ale planuję być jedynym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek pokochasz, Malutka Eli. Już zawsze.

– Jaki zachłanny – skomentowała, bawiąc się moimi włosami.

Dosłownie cała jaśniała. Jeszcze nigdy nie widziałem jej tak cichej, wewnętrznie zadowolonej. Zupełnie się rozkleiłem.

– Mm, bardzo zachłanny – zgodziłem się. – Byłbym kompletnym idiotą, gdybym pozwolił ci się wymknąć. Jestem twój. Będę twoją żalosną zabaweczką. Możesz ze mną robić, co zechcesz, a ja wciąż tu będę, błagając o więcej. A właśnie...

Pochyliłem się, żeby ją pocałować. Wciąż jeszcze nie przywykłem do tego, jak się czułem, gdy to robiłem: przepełniony, pozbawiony tchu, odurzony. Westchnęła mi prosto w usta, gdy położyłem ją na masce. Żrenice miała maksymalnie rozszerzone. Czerń stopniowo połykała błękit, gdy pracowałem nad jej spodniami, rozpinając i szybko ściągając je z jej nóg.

– Jakieś wątpliwości? Zmiana zdania? – upewniałem się.

Potrząsnęła głową.

– Bierz się do roboty, Jacobi – rozkazała. – Nie wiesz, że to wysoce nieuprzejme, kazać dziewczynie czekać?

Odsunąłem majtki na bok i obnażyłem jej cipkę.

– Ojej. A ja tak nie znoszę być nieuprzejmy...

Sapnęła, gdy przejechałem po niej językiem. Nie zajęło mi długo, by dyszała i wiła się na

moim aucie. Odruchowo zaciskała palce u stóp, gdy drażniłem się z nią za pomocą delikatnych, ale zdecydowanych pchnięć samym czubkiem języka. Chciałem doprowadzić ją na skraj szaleństwa. Trzęsa się i drżała pode mną tak cudownie, że miałem ochotę, kurwa, zapłakać nad jej pięknem.

– Wren! O Boże, Wren. Pierdol się. Pierdol się!

Wiedziała, jak lubiłem pogrywać. Że chciałem utrzymać ją w tym stanie tak długo, jak tylko było to możliwe: bezbronną, w dość kompromitującej pozycji, balansującą na granicy orgazmu. Może nie byłem już tym samym zimnym, bezdusznym, okrutnym księciem Riot House, ale wciąż potrafiłem być dupkiem, jeśli tylko miałem na to ochotę. Wbiłem palce w biodra i rozkoszną pulchność przyciśniętych do samochodu pośladków. Czekałem na właściwy moment.

– Boże... proszę... proszę... proszę... Wren! Pozwól mi dojść!

A gdzie w tym zabawa? Wybuchnąłem śmiechem, a ciałem dziewczyny wstrząsnęły gwałtowne konwulsje. Szarpnęła biodrami, próbując uzyskać większy nacisk ze strony mojej twarzy, ale odsunąłem się poza zasięg jej ruchów, by sfrustrować ją jeszcze bardziej.

– Mmm, a teraz kto jest zachłanny? – drażniłem się.

Słodki, kurwa, Jezu. Ona była po prostu przepyszna. Nie mogłem się nasycić. Przejechałem po niej płasko językiem, jednym dręcząco powolnym ruchem, a moja biedna malutka Elodie zaskomlała żałośnie, bliska desperacji.

Już niedługo. Słyszałem w oddali warkot silnika. Użyłem końcówek palców, by ją przygotować. Zanurzyłem je w cipce, rozkoszując się tym, jak zacisnęła pięści na moich włosach i pociągnęła dokładnie odrobinę za mocno. Miałem wrażenie, że kutas mi zaraz eksploduje, ale potrafiłem być cierpliwy.

– Proszę, Wren – kontynuowała błaganie. – Boże, proszę. Potrzebuję cię. Tak kurewsko bardzo chcę cię w sobie poczuć.

Jeszcze bliżej. Jeszcze głośniej. Ktokolwiek jechał drogą, już prawie do nas dotarł.

Wepchnąłem w nią całe palce i jednocześnie zassałem wilgotną, nabrzmiąłą łechtaczkę, kręcąc na niej kółka językiem. Wrzasnęła. Buzia napełniła mi się słodkimi sokami. Rżnąłem ją palcami, umieszczając je pod takim kątem, by odnaleźć ten jeden punkt, dzięki któremu miała zobaczyć pieprzone gwiazdy. I właśnie w tym momencie minął nas samochód kempingowy.

Rozległo się trąbienie. Ktoś wychylił się przez okno i krzyknął coś niezrozumiałego, ale nie przestawałem. Elodie szarpnęła biodrami, przestraszona. Chciała się zakryć. Przycisnąłem ją do maski za biodra, po czym wywarczałem ostrzeżenie.

– Dokończ to – rozkazałem. – Pieprz moją dłoń, Elodie. Pieprz ją.

Szybko wdrapałem się na jej ciało. Przycisnąłem nasadę dłoni między jej nogi, centralnie na łechtaczce. Pocierałem ją i coraz mocniej poruszałem palcami...

– O mój Boże...

Oczy Elodie wywróciły się do wnętrza czaszki. Biodra pracowały zaciekle. Spojrzałem w dół i zupełnie, kurwa, zafascynowany obserwowałem, jak moja Malutka Eli ocierała się o moją dłoń, gdy jej plecy wygięły się w łuk, a całym ciałem wstrząsnął orgazm.

Nigdy, w całym swoim jebanym życiu, nie byłem tak podniecony.

Sięgnęła między nogi, a następnie pchnęła moje palce jeszcze głębiej.

– Kurwa! Wren! Ja pierrrrr...

Podkurczyła nogi i przewróciła się na bok, przyciskając czoło do mojego ramienia. Trzęsa się gwałtownie, usiłując jakoś przetrwać wewnętrzne spustoszenie, którego właśnie doświadczyła.

– O... mój... Boże... – wydyszała. – O mój Boże.

Schyliłem głowę, a następnie nosem odsunąłem jej włosy, by móc pocałować ją w szyję.

Dopiero teraz pozwoliłem sobie na kurewsko zadowolony z siebie uśmieszek; tylko dlatego, że nie mogła go zobaczyć.

– Ćśśś, już dobrze – szeptałem.

Jęknęła płaczliwie, gdy wyciągnąłem z niej palce. Odwróciła się ponownie na plecy, z uroczo zarumienionymi policzkami, i zamrugała w stronę bezchmurnego nieba, jakby wciąż jeszcze była oszołomiona.

– Tamci ludzie zdecydowanie nas widzieli – zauważyła.

Położyłem się obok niej, z dłońmi na klatce piersiowej.

– Zdecydowanie – zgodziłem się.

Parsknęła śmiechem i skryła twarz w dłoniach.

– Jak to się w ogóle stało? To ja tu próbowałam być niegrzeczna.

Achhh, Chryste. Ta dziewczyna. Ta dziewczyna. Odwróciłem głowę i żartobliwie ukąsiłem ją w płatek ucha.

– Znasz mnie już na tyle dobrze, Malutka Eli, by wiedzieć, że jakkolwiek niegrzeczna nie będziesz, ja zawsze będę gorszy.

Gdy już wcisnęła swój śliczny tyłeczek w jeansy, wróciliśmy na drogę. Marudziła trochę, że nie dałem sobie zrobić laski, ale wiedziałem, że gdybym tylko pozwolił jej się zbliżyć, od razu wjechałbym w drzewo. Żeby ją udobruchać, musiałem przysiąc, że spędzimy resztę nocy nadzy w moim pokoju w Riot House.

Śmiałyśmy się i żartowaliśmy, a ja docisnąłem gazu, chcąc już wrócić. Czułem się taki lekki i po prostu, kurwa, wolny. A przynajmniej dopóki nie znaleźliśmy się w odległości pół godziny od Mountain Lakes i nie zauważyłem kątem oka, że Elodie płakała. Po jej policzkach spływały ogromne łzy, a mi serce zacisnęło się w piersi.

– Jezu, E. Co do kurwy? Co... co ja... Zrobiłem coś nie tak? Co się dzieje?

Ja pierdołę, po prostu się zajebię, jeśli już udało mi się ją zranić.

– T-to... co zrobiłeś... mojemu ojcu... – wydukała, walcząc o każde słowo.

Kurrrrrrrrrrwa.

Wszystko we mnie opadło.

Wiedziałem, że podejmowałem ryzyko. Byłem gotowy stawić czoła konsekwencjom, gdyby znienawidziła mnie za to, co zrobiłem. Mimo to strach, który owinął mi się teraz wokół tchawicy, dusząc, gdy usiłowałem nie zjechać z drogi, sprawiał wrażenie, jakby miał być moim końcem.

– Poleciałeś na drugi koniec świata... – wydusiła. – W swoje... urodziny...

– Elodie. Kurwa.

– I skrzywdziłeś... bardzo niebezpiecznego człowieka... b-bo mnie... skrzywdził...

– Tak cholernie cię przepraszam.

Zdjęła mi prawą dłoń z kierownicy, podniosła moją rękę i wtuliła się w bok, chowając twarz w piersi, gdy zaczęła płakać jeszcze mocniej.

– Nie przepraszaj. To najbardziej... romantyczna rzecz... na całym, kurwa, świecie.

ELODIE

Tydzień później

Zaproszenie było czarne, upstrzone luksusowym, aksamitnym wzorem. Czułam się, jakbym dotykała samego grzechu. Naszyty na grubej kartce złoty ornament był przepiękny. Uniosłam ją do światła, by móc lepiej się przyjrzeć. Zastanawiałam się, kiedy wsunął mi to pod drzwi. Wren nic nie wspominał o zaproszeniu mnie na imprezę. Cała akademicka dosłownie wrzała rozmowami na ten temat, jednak my z jakiegoś powodu w ogóle go nie poruszyliśmy.

Rezydenci Riot House serdecznie zapraszają pannę Elodie Stillwater na swoją elegancką imprezę kostiumową, która odbędzie się w ten piątek, w ich skromnym domostwie o 20:00.

Na autorów najbardziej pomysłowych przebrań czekają nagrody.

Nie ma potrzeby potwierdzania zamiaru przybycia.

Gdy usłyszałam dochodzące z korytarza płaczliwe zawodzenia Cariny, szybko schowałam zaproszenie pod leżącą na biurku książką. Wołała moje imię.

– Elodie Stillwater, natychmiast mnie wpuść!

Otworzyłam drzwi i pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam, były ciemne sińce pod oczami dziewczyny. Wyglądały na opuchnięte od płaczu. Wmaszerowała do mojego pokoju i od razu rzuciła się na łóżko, by zaraz potem jęczeć z twarzą w poduszkach.

– Hej, co jest?

Wdrapałam się na łóżko, położyłam obok i odgarnęłam jej włosy z twarzy. Zacisnęła mocno oczy i wydała z siebie cichy szloch.

– Andre. On... To koniec. Rzucił mnie.

– Co do kurwy? Co się stało? – zdziwiłam się.

– Nie mam pojęcia. Wszystko układało się super, mieliśmy wczoraj zjeść razem kolację, ale mnie wystawił. A dzisiaj popołudniu dostałam tę dziwną, lakoniczną wiadomość, w której stwierdził, że nie może już ze mną spędzać czasu, bo ma teraz trzy razy więcej nauki. Nie może już ze mną „spędzać czasu”! Jakbyśmy się tylko luźno spotykali! – zawyla. – Tydzień temu powiedział mi, że się we mnie zakochał, Elle. Jakim cudem można się zakochać i odkochać w tak krótkim czasie? To jakiś jebany rekord.

– Dziwne. Wydawał się inny.

– No wiem! On taki nie jest! Dlatego jestem pewna, że Dashiell musiał maczać w tym palce. Po prostu to wiem, Elodie. On lubi się wtrącać i mieszać w cudzych sprawach. Nie może znieść, że ktoś ma czelność być szczęśliwym.

– Rozmawiałas z nim o tym? Zapytałaś, czy coś mu powiedział?

– Nie. – Pociągnęła nosem. – To na nic. Wyparłby się, że ma coś z tym wspólnego. Co za dupek! Wszystko, na co mam teraz ochotę, to Netflix i pizza, ale mam tyyyyle zaległości... – narzekała. – Będę musiała zarwać nockę, jeśli chcę zdążyć do jutra z projektami z angielskiego i chemii.

– Chcesz, żebym ci potowarzyszyła? Jestem dobra w byciu moralnym wsparciem.

Przycisnęła sobie poduszkę do twarzy, po czym ponownie jęknęła.

– Proszę, nie odbierz tego źle, ale nie lubię być z ludźmi, gdy cierpię. Już czuję, że zaraz

wpadnę w spiralę wstydu i to epickich proporcji. Lepiej, żeby nie było przy tym żadnych świadków. – Zadziwiająca, jak dobrze ją rozumiałam, mimo że mówiła przez poduszkę. – Jeśli przyjdiesz do mojego pokoju, będę tylko płakać i się wkurzać, a wtedy żadna z nas nie spędzi miło czasu. Naprawdę muszę teraz popracować.

Złapałam za róg poduszki, ale gdy spróbowałam ją pociągnąć w dół, by móc zobaczyć jej twarz, przytrzymała ją mocno ręką.

– Przyszłam, żeby zapytać, czy masz może jakieś nadprogramowe zakreślacze. I karteczki samoprzylepne. I może Valium.

– Tak, jeśli chodzi o artykuły papiernicze. Nie, co do leków na receptę.

Jęknęła jeszcze głośniej, a potem rzuciła poduszkę na drugą stronę pokoju.

– Dlaczego nikt w tej szkole nie ma żadnych dobrych tabletek? Pieprzyć cele rekreacyjne. Wydawałoby się, że przynajmniej połowa z nas leczy się na zaburzenia lękowe.

Ktoś w Riot House z pewnością był w posiadaniu chemicznej ulgi, jakiej teraz potrzebowała. Nie zamierzałam jednak sugerować, by poszła zapukać do ich drzwi.

– Będzie dobrze, słońce – pocieszałam ją. – Andre jest pierdolonym idiotą, jeśli nie chce z tobą być, a ty dostaniesz piąteczki z tych projektów. Kto, jak nie ty? Jesteś prawdziwą *bad bitch*. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Zmarszczyła nos, po raz kolejny balansując na granicy łez.

– Jesteś dobrą przyjaciółką, Stillwater – odpowiedziała płacząco. – Podaj te zakreślacze, zanim stracę resztki chęci do życia.

Dałam Carinie to, czego potrzebowała, a ona potem wyszła. Zamknęłam drzwi ze świadomością, że się myliła, i to na wielu poziomach. Nienawidziłam siebie za to. Ukrywałam przed nią tak wiele rzeczy, że czułam się jak pierdolony potwór. *A jeśli nie powiem jej, że zakochałam się we Wrenie Jacobim, nic tego nie zmieni.*

Wren: Śpisz?

Ja: Prawie. A ty?

Wren: Tak. SMS-uję przez sen. To dość problematyczne.

Ja: Zabawne.

Wren: Dostałaś zaproszenie?

Ja: Tak. Było pod drzwiami, gdy wróciłam do pokoju. Nie chciałeś na mnie zaczekać?

Wren: Pax je dla ciebie zostawił. Mówiłem, żeby tego nie robił.

Wpatrywałam się w wiadomość, w te proste, bolesne słowa: „mówiłem, żeby tego nie robił”. Wren w ogóle nie wspominał o tej całej imprezie, ale uznałam, że nadmiernie analizowałam sprawę. Tymczasem proszę – nie chciał, żebym przyszła? Po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszliśmy, to nie miało żadnego sensu. Nawet jeśli musielibyśmy się wymykać do jakichś ciemnych pomieszczeń, w których nikt by nas nie znalazł, i tam skradać sobie pocałunki, wciąż myślałam, że chciałby mojej obecności. Coś we mnie zwiędło i umarło.

Ja: Wow. Zabolalo.

Wren: Sam nie mam ochoty tam iść, E. Uwierz mi, to będzie katastrofa. Nie chciałem, żebyś przyszła, bo te imprezy zawsze źle się kończą.

Ja: Jak to?

Wren: Mamy takie głupie gierki. Chciałbym móc powiedzieć, że jestem niewinny, ale to nieprawda. Kiedyś lubiłem bawić się ludźmi równie bardzo, co Dash i Pax. Czasami sprawy wymykały się spod kontroli. Bywało, że posuwaliśmy się za daleko. Tym razem też tego ode mnie oczekują.

Ja: Konkretnie od ciebie? Może po prostu nie bierz w tym udziału?

Minęła dłuższa chwila, ale w końcu odpowiedział.

Wren: To nie takie proste. Wiszę Dashowi i Paxowi przysługę. Nie byłem sam w Tel Awiwie, pamiętasz? W przeszłości sprawilem im wiele cierpienia. Znają mnóstwo moich sekretów. Takich, o których ci jeszcze nie opowiedziałem. Może powinniśmy się spotkać...

Teraz była moja kolej na pisanie i usuwanie odpowiedzi. Nagle poczułam niepokój. O jakich sekretach mógł mówić? Jak straszne mogły być? Od razu wyciągnęłam pochopne wnioski.

Ja: Oczekują, że prześpisz się z jakimiś dziewczynami w czasie tej imprezy? Dlatego nie chcesz, żebyś przyszła?

Cisza.

Przycisnęłam telefon do piersi. Z trudem oddychałam, bo z bólu ścisnęło mi się serce. *Co to była, do cholery, za impreza?* W końcu komórka ponownie zawibrowała.

Wren: Może po prostu spotkajmy się za godzinę w altance? Łatwiej będzie to wytłumaczyć osobiście.

Ja: Okej.

Serce waliło mi jak szalone. Nie mogłam uwierzyć... Kurwa. Nie mogłam uwierzyć, że po całym tym wspólnie spędzonym czasie, po tym jak powiedział mi, że mnie kocha i po tych wszystkich obietnicach, które złożyliśmy sobie w tamtym durnym zajeździe, teraz robił mi coś takiego. Czułam się, jakby chciał ze mną zerwać, a ja nie wiedziałam, czy będę w stanie to znieść. Podniosłam się z łóżka, na którym oglądałam telewizję na laptopie, i zaczęłam krążyć po pokoju w jedną i w drugą stronę, i tak w kółko, w kółko, i...

Nagle zatrzymałam się przed oknem, mrużąc oczy na rozciągające się za nim ciemności. Ze środka labiryntu unosiła się słaba poświata. Przedzierała się przez konary wiecznie zielonych dębów. Była ledwie zauważalna – ale była tam. Wyraźnie ją widziałam. Co oznaczało, że Wren był już w altance, a w takim razie dlaczego chciał, żebym spotkała się z nim dopiero za godzinę? Chryste, pewnie niepotrzebnie rozdmuchiwałam coś błędnego, ale kurwa, jeśli nie musiałam, to nie miałam najmniejszego zamiaru czekać aż jebaną godzinę, by usłyszeć, o co chodziło. *Idę tam i dowiem się, co tu się, do cholery, odpierdala.*

W przeciwieństwie do pierwszego razu, gdy zapuściłam się w labirynt, dzisiaj powietrze niemal stało w miejscu. Było też o wiele jaśniej i cieplej, dlatego nie wzięłam ze sobą kurtki. Na niebie nie widniała nawet jedna chmurka, a do tego księżyc był już prawie w pełni i rzucał tak dużo światła, że bez problemu poruszałam się wśród wysokiego żywopłotu, nie gubiąc się przy tym ani razu. Uszy dzwoniły mi od ciszy, gdy zbliżałam się do altanki. Zaplanowałam już całą wiązanekę, którą zamierzałam poczęstować Wrena, jeśli tylko znalazłabym go tutaj z nosem w książce. Nie pozwoliłam sobie na wzięcie pod uwagę scenariusza, w którym przyłapałabym go na spotkaniu z inną dziewczyną. Wiedziałam, że nie zrobiłby mi czegoś takiego. Byłam tego pewna w takim samym stopniu, jak tego, że rano wstanie słońce, a Ziemia nadal będzie obracać się wokół własnej osi. Mimo to okropne uczucie, które wezbrało mi się w żołądku, nie dawało o sobie zapomnieć.

Dlaczego po prostu nie odpowiedział na pytanie, które zadałam w tamtej wiadomości? Jeśli nie planował niczego robić z innymi dziewczynami, dlaczego nie mógł mi tego normalnie napisać?

Dopiero niecałe dwa metry od altanki byłam w stanie zobaczyć, co działo się w środku. I nie było tam Wrena.

Za to był Dashiell.

I Carina.

Kurwa!

Szybko przypadłam do ziemi. Usta zalał mi smak miedzi; ugryzłam się w jebany język. Oczy zaszyły mi łzami z bólu, ale nie wydałam z siebie żadnego dźwięku. Kucnęłam wśród krzewów róż rosnących za oknem. Co prawda ze środka nie mogli mnie tu zobaczyć... ale ja z kolei nie mogłam się stąd wydostać. To cud, że nie zauważyli, jak maszerowałam w stronę budynku. Nawet jeśli przebiegłabym na czworakach w stronę wejścia do labiryntu, bardzo możliwe, że moja obecność i tak zostałaby wykryta. Utknęłam tu. Byłam w dupie.

Głosy wydostały się na zewnątrz przez otwarte okno, rozpraszając nocną ciszę.

– Nie masz prawa!

Głos należał do Cariny i... *Achhh, szlag by to.* Brzmiała, jakby płakała. Kurwa, tego właśnie teraz potrzebowałam: żeby mnie przyłapano na podsłuchiwanie takiej rozmowy. Przynajmniej wyglądało na to, że mieszała go z błotem za zrujnowanie jej związku z Andreem.

– Masz rację. Przepraszam – powiedział cicho Dashiell. Wow, akustyka w tej altance była niesamowita. Głos miał niski i głęboki, a jednak słyszałam go perfekcyjnie. *Naprawdę musisz się stąd wydostać.* – Po prostu nie chcę, by to się na nas zemściło, okej?

Jebany gnojek. Miał naprawdę dziwne sposoby na okazywanie uczuć. *Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zaplanowałaś całą sprawę tak, by Carina przyłapała cię z kutasem w buzi innej dziewczyny. Od tego trzeba było zacząć, dupku.*

– Policja musi się o tym dowiedzieć – powiedziała Carina. – To... to, o co mnie prosisz... to nie jest w porządku, Dashiell. Musi ponieść konsekwencje. Nie może tak po prostu... – Płakała. Płakała tak mocno, że dusiła się własnym bólem. – Nie możemy pozwolić, żeby znowu uszło mu to na sucho. Co jeśli... co jeśli znowu kogoś skrzywdzi? Co jeśli skrzywdzi Elodie?

Wszystko się zatrzymało.

Moje serce.

Mój mózg.

Jakakolwiek zdolność rozumienia.

Co ona właśnie, do cholery, powiedziała?

– Jest niebezpieczny, Dash. Wiesz o tym. Nie możemy pozwolić, by ktoś jeszcze przez

niego cierpiał. Nie dlatego, że za bardzo boimy się coś powiedzieć, do kurwy nędzy.

– Słuchaj, nie wiesz, o czym mówisz. Skąd pewność, że nie była naćpana, gdy to napisała? Przez większość jebanego czasu nie miała w ogóle kontaktu z rzeczywistością. Mercy o to zadbała. Po prostu spał tę rzecz i zapomnijmy o tym.

– Ale Elodie...

– Wiem, że to twoja przyjaciółka, Carrie – przerwał – ale ja jej nie znam. Jeśli tak ci na niej zależy, postaraj się, żeby trzymała się od niego z daleka. To nie powinno być zbyt trudne. Wkrótce o niej zapomni, a ty już nie będziesz musiała martwić się o jej bezpieczeństwo.

– Jak możesz być taki zimny? Taki odcięty od tego wszystkiego?

Słyszałam, jak westchnął.

– Zależy mi tylko na tobie, Carina. Chyba przedstawiłem to jasno. Jeśli nie chcesz o tym słuchać, w porządku, twoja sprawa. Rozumiem. Spierdoliłem sprawę. Możemy o tym porozmawiać innym razem. A teraz daj mi to.

Czego on, do cholery, od niej chciał? I o czym oni, do kurwy nędzy, mówili? Zaryzykowałam zerknięciem nad krzewami, ale mogłam zobaczyć tylko czubki ich głów. Płacz Cariny stał się jeszcze głośniejszy.

– W porządku. Proszę, lordzie Lovett. Zawsze jest tak, jak ty tego chcesz, prawda?

Jeszcze nigdy nie słyszałam, by mówiła z taką goryczą i zranieniem w głosie. Nawet wcześniej, gdy powiedziała mi, że Andre zerwał z nią poprzez SMS-a.

– Nie rozumiem, dlaczego tak go chronisz – kontynuowała. – Nie jest twoim przyjacielem. Wiesz o tym, prawda? Może i zachowuje się, jakby nim był, ale tylko wykorzystuje ludzi by dostać to, czego chce.

– Może masz rację – zgodził się Dashiell. – Ale liceum zaraz się kończy, Carrie. Wszyscy rozejdziemy się w swoją stronę. Pewnie nigdy więcej go nie zobaczę. Do tego czasu muszę go jednak widywać każdego jebanego dnia, więc nie zamierzam ryzykować tym, że otworzy tę swoją jadaczkę i wygada wszystkim, co się stało tamtej pierdolonej nocy.

– O Boże, co ty zamierzasz... – przestraszone sapnięcie Cariny nagle się urwało.

Wydała z siebie ciche skomlenie. Dźwięk był tak pełen rozpacz i smutku, że miałam ochotę tam wbiec, by ją do siebie przytulić. Ale nie mogłam. Ta wymiana między nimi była zdecydowanie prywatna. Obawiałam się, że mogła też być do pewnego stopnia nielegalna. Byłam kompletnie zdezorientowana, ale Carina wspomniała moje imię i...

Drzwi od altanki nagle gwałtownie się otworzyły.

Carina wybiegła na zewnątrz. Widziałam, że twarz miała całą we łzach. Objęła się ramionami, jakby robiła, co w jej mocy, by się nie rozpaść.

Co za, kurwa, szczęście, że patrzyła w drugą stronę i nie mogła zobaczyć, jak wchodziłam głębiej w krzaki jak jakaś pieprzona kryminalistka.

– Carina, zaczekaj! – Dash wyszedł z altanki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Podeszedł do mojej przyjaciółki i położył jej dłoń na ramieniu. Odwrócił ją twarzą do siebie. – Wszyscy popełniamy błędy, okej? I to duże. Ale nie uważam, że powinniśmy wciąż za nie płacić.

Pociągnęła nosem, po czym otarła go wierzchem dłoni.

– Mówisz o tym, co on zrobił? Czy o tym, co ty mi zrobiłeś?

Przez chwilę milczał. Już myślałam, że pozwoli jej odejść bez żadnej odpowiedzi, ale wtedy zebrał się na odwagę, wznosił oczy ku niebu i skinął głową.

– Tak. Mówię o tym, co ci zrobiłem. Żałuję, okej? Nienawidzę tego, że tak cię skrzywdziłem. Pozwoliłem, by sprawy wymknęły się spod kontroli i podjąłem złą decyzję. Każdego dnia tego żałuję. Kiedy mi wybacysz?

Carina.

Biedna Carina.

Zamrugła. Jej profil był skąpany w księżycowym świetle.

– Kiedy zrozumiesz, że twój status społeczny nie uprawnia cię automatycznie do świeżego startu, gdy tylko spierdolisz sprawę?

Gdy od niego odeszła, wyglądała na najsmutniejszego człowieka na świecie. Przynajmniej dopóki ramiona Dashiella nie opadły, razem z głową, a spomiędzy jego ust nie wydobyło się ciężkie, przygnębione westchnienie. Wtedy to on zawłaszczył sobie ten tytuł.

Również odszedł, znikając we wnętrzu labiryntu. Zostałam sama. Uda paliły mnie od dziwnej, poskręcanej pozycji, w której ukrywałam się w krzakach. Bolało jeszcze bardziej, gdy w końcu się podniosłam i wyprostowałam nogi.

Czego ja właśnie, do kurwy nędzy, byłam świadkiem?

Równie dobrze mogliby rozmawiać szyfrem, bo i tak niewiele z tego rozumiałam. Udało mi się jednak zebrać sporo niepokojących informacji – z pewnością wydarzyło się coś złego. Coś, w czym zarówno Carina, jak i Dashiell brali udział, a moja przyjaciółka martwiła się, że mogło się to przydarzyć również mnie.

Zmroziło mi serce.

Weszłam do środka. Czulałam mrowienie na całym ciele. W ciągu sekundy dostrzegłam książkę, leżącą na stosie palących się w kominku kawałków drewna. Ogień lizał już jej skórzaną oprawę. Poparzyłam sobie palce, wyciągając ją z płomieni.

Dopiero gdy książka upadła na podłogę, okładką do mnie, zdałam sobie sprawę z tego, czym konkretnie była.

Pamiętnikiem Mary Bancroft.

MARA

5 czerwca

Słowa nie potrafią opisać tego uczucia. Gdyby ktoś przyłożył mi teraz broń do skroni, zmuszając do wyjaśnienia, co się ze mną dzieje, powiedziałabym, że jestem szczęśliwa i przerażona jednocześnie. Naprawdę cholernie przerażona.

Mama zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że nie powinnam się teraz zajmować chłopcami. Chce, żebym skupiła się na nauce, nie wychylała się za bardzo i zajęła ocenami. Ha! Dobre sobie. Co ona niby wie o prawdziwym życiu? Jest zajęta własnymi sprawami. Nie ma bladego pojęcia, jak to jest być tutaj uwięzioną, bez możliwości ucieczki i bez nikogo z kim można by porozmawiać. Poe mnie rozumie. Poe wie dokładnie, przez co przechodzę. Jest tu dłużej ode mnie. Tylko on mnie naprawdę słyszy. Gdybym go nie miała, nie wiem, co bym zrobiła.

Carina uważa, że zupełnie mi odbiło, że się z nim zadaję. Według niej jest zbyt zepsuty, by móc cokolwiek poczuć, ale ja doświadczyłam z nim takich rzeczy, jakie w ogóle nie mieściły jej się w głowie. Ta bliskość. To, jak sprawia, że się czuję, gdy mówi, że mnie kocha. Nie jest taki, jak myślą inni.

Ale czasami... czasami patrzy na mnie tak, jakby chciał pozbawić mnie duszy. Wtedy czuję panikę. Oczywiście będzie na imprezie, a my będziemy musieli udawać, że nic nas nie łączy. Będzie pił i dobrze się bawił z tymi durnymi chłopakami z Riot House, a ja będę musiała udawać. Zachowywać się, jakby wcale się ze mną nie spotkał dzisiaj rano w naszym sekretnym miejscu, jakby wcale nie pieprzył mnie tam do utraty zmysłów. Wiem, że ma problemy. Wiem, że to ryzykowne i że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Ale tak trudno o tym pamiętać, gdy jest we mnie, gdy całuje mnie w szyję, gdy szepcze moje imię.

Gdyby Carina wiedziała, jak słodki i delikatny potrafi ze mną być, nie mówiłaby o nim takich rzeczy. Byłaby po mojej stronie. Jest moją przyjaciółką. Powinna być po mojej stronie. To irytuje mnie w tym wszystkim najbardziej. Powinnam być w stanie powiedzieć jej wszystko.

Mam tylko nadzieję, że mnie nie skrzywdzi. Czasami, gdy leżę w jego ramionach, czuję, że byłby zdolny do czegoś szalonego. Te jego huśtawki nastrojów potrafią być przerażające.

8 czerwca

Zły dzień. Złapałam Poego na patrzeniu się na Damianę. Twierdzi, że go nie interesuje. Że w życiu by jej nie tknął. Ale ja wiem, co widziałam w jego oczach. Cały czas tak patrzył na mnie. Damianą flirtowała z nim po lekcji. Co za dziwka. Zrobiłaby wszystko, żeby tylko go przelecieć. Żeby zabrać coś, co należy do mnie. Gdyby sprawy wyglądały inaczej, nie musiałabym się martwić czymś takim. Pewnego dnia będziemy mogli otwarcie okazywać sobie uczucia i wtedy już nic nie stanie nam na drodze. Po prostu muszę być cierpliwa. Jeśli chłopaki z Riot House się o nas dowiedzą, słono za to zapłacimy.

9 czerwca

Nie dam rady już dłużej. Chcę wrócić do domu, ale matka jak zwykle wie, kurwa, lepiej. Według niej przesadzam i po prostu muszę się zdystansować. Jak mam to zrobić, skoro on zawsze jest obok? Na korytarzach? W czasie pierdolonych zajęć? Zawsze mnie obserwuje. Zawsze patrzy na mnie tak, jakbym była czymś, co chciał zjeść.

Skrzywdził mnie dzisiaj. Oskarżyłam go o zabawianie się z Cariną i przyparł mnie do ściany. Złapał mnie za szyję i przez chwilę widziałam to w jego oczach. Widziałam, że chciał mi ukrećić głowę. Zacisnął palce. Zobaczyłam drżącą w nim agresję. Bałam się.

10 czerwca

Nie chcę iść na tę głupią imprezę. Wiem, że wydarzy się tam coś strasznego. Czuję to w kościach. Dzisiaj założyłam na zajęcia sweter. Ten, który dał mi zeszłej nocy, po tym jak zostawiłam go w altance. Zupełnie mu odbiło, gdy mnie w nim zobaczył. Rozkazał mi zabrać go z powrotem do swojego pokoju i ukryć. Nie wiem, o co mu chodzi, ale to wszystko zaczyna mnie już niepokoić. Pójdę na tę imprezę, a potem wrócę do domu. W przeciwnym razie... Wiem, że to głupie, że ja jestem głupia, ale boję się, że Poe mnie zabije.

ELODIE

Siedziałam wśród zwęglonych kartek pamiętnika Mary i miałam wrażenie, jakby sama dusza wykrwawiała mi się na podłogę. *To nie mogło się, kurwa, dziać.* Ilość dowodów w tym zeszycie odebrała mi dech. Byłam zbyt przerażona, by je dopuścić do świadomości.

Poe?

Potajemny związek ukrywany przed członkami Riot House?

Nienawiść Cariny do wybranka Mary?

Ta sprawa z Damianą?

To wszystko...

Otarłam z policzków wściekle łzy. Desperacko usiłowałam ogarnąć umysłem to, co właśnie przeczytałam.

Edgar Allan Poe był ulubionym poetą Wrena.

Ile razy ostrzegał mnie, że nie możemy o nas powiedzieć Dashiellowi i Paxowi?

Carina nie znosiła Wrena.

No i rzeczywiście pieprzył się z Damianą. Carina mi o tym powiedziała. Przeleciał ją miesiąc przed moim pojawieniem się w Wolf Hall. Czy to możliwe, że interesował się nią tak długo, a gdy już ją zdobył, od razu się znudził?

Mercy zdążyła już mi zasugerować, że Wren i Mara Bancroft się spotykali. Ale że się pieprzyli? I bała się go? Bała się, że ją zamorduje. A potem tak po prostu zniknęła? Co ja miałam o tym wszystkim myśleć?

Jak mogłam pozwolić na wmówienie sobie, że najlepszym wyjściem było zapomnienie o dziewczynie, która wcześniej zajmowała mój pokój? Gdzie ja miałam, kurwa, głowę? Byłam zbyt zdesperowana, zbyt przestraszona perspektywą stracenia jedynej przyjaciółki, jaką tu miałam. Nie chciałam tworzyć między nami konfliktu, więc oddałam Carinie pamiętnik. Uwierzyłam, gdy powiedziała, że przekaże go policji, ale nie zrobiła tego. Zatrzymała go, bo coś ukrywała.

Wiele z kartek było do tego stopnia spalonych, że nie dało się ich odczytać. Ogień zniszczył większość pierwszej połowy książki, więc nigdy się nie dowiem, co tam napisała. Płomienie nie tknęły jednak ostatnich wpisów, które odmalowywały niesamowicie negatywny obraz sytuacji. Stanowiły obciążające oświadczenie.

Nie słyszałam, jak otworzyły się drzwi. Nie słyszałam, kiedy wszedł do środka. Zupełnie znieruchomiałam, gdy za moimi plecami rozległ się głos.

– Elodie.

Musiałam wyglądać okropnie. Siedziałam na podłodze przed płonącym kominkiem, podczas gdy podłogę pokrywały dziesiątki luźnych kartek popisanych niebieskim długopisem, a całe palce miałam w sadzy. Wren stanął nade mną, ubrany w znoszone niebieskie jeansy i biały podkoszulek. Po raz pierwszy zobaczyłam go w kolorze innym niż czerń, przez co zatrzymałam gonitwę myśli, skupiając się tylko na Wrenie Jacobim. Nigdy nie był tym, czego się spodziewałam. Zawsze mówił czy robił coś, co mnie zaskakiwało. Teraz byłam oficjalnie zszokowana. Czy naprawdę był tym, kim myślałam, że był?

Schylił się i podniósł jedną z leżących u jego stóp kartek. Między ciemnymi brwiami uformowały się dwie linie.

– Co robisz? – zapytał ostrożnym, niepewnym głosem. *I słusznie.*

– Opowiedz mi o Marze. – Głos nie brzmiał, jakby należał do mnie. Może dlatego, że miałam zatkałe uszy i czułam się, jakby gruba szyba oddzielała mnie od reszty świata. – Spotykaliście się, prawda?

Na jego twarzy pojawił się dziwny, pozbawiony emocji wyraz. Przeczytał wpis widoczny na trzymanej w ręku kartce, powoli kręcąc głową. Nie wyglądał na szczęśliwego z powodu tego, co tam napisano.

– Co to jest? – zapytał.

– Jej pamiętnik. Nie pisała w nim każdego dnia, ale zawarła najważniejsze rzeczy. Może mi o niej opowiesz?

– O czym tu mówić? Uczyła się w Wolf Hall. Zaginęła. Gazety się o tym rozpisywały.

– Byłam wtedy w Tel Awiwie – przypominałam. – Nieszczególnie interesowałam się małomiasteczkowymi wiadomościami z New Hampshire. Kurwa, nawet wtedy nie wiedziałam, że to miejsce istniało. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Wren. Spotykaliście się?

Jego wyraz twarzy nie zmienił się. Przypominał teraz maskę.

– Elodie, mówiłem, że miałem inne dziewczyny przed tobą. Nie jestem dumny z tego, z jak wieloma się spotykałem w ubiegłym roku. Nie sądziłem, że będziesz chciała mnie za to ukrzyżować. Z Marą poszedłem na jedną randkę, ale nic z tego nie wyszło. Wybacz, ale... – potrząsnął głową – To nie tak, jak myślisz.

– To nie tak, jak myślę? – Czułam, jak z głębi gardła wydobył mi się zjadliwy śmiech. – To nie tak, jak myślę. Jasne. A więc jak? Jakaś głupia laska z imprezy wymyśliła sobie wszystko na twój temat, tak? – Ścisnęłam w pięści luźne kartki, które wypadły z pamiętnika Mary. – To naprawdę chore gówno, Wren. Wynika z tego, że ją skrzywdziłeś. Że przez ciebie zaginęła. Nie miałeś z tym nic wspólnego, tak? To chcesz mi powiedzieć?

Maska spokoju, którą dotąd nosił, nagle pękła.

– Czy ty mnie poważnie właśnie o to pytasz? Jezu Chryste, E. Myślisz, że zabiłem Marę? – zapytał z niedowierzaniem.

– Zbyt wiele tu zbiegów okoliczności. Małych rzeczy, które prowadzą do ciebie. Tylko ktoś chory na umyśle, nie dodałby dwa do dwóch.

– Elodie. – Zassał dolną wargę. Zielone oczy, te same, które ostatnio patrzyły na mnie z taką łagodnością, teraz przemieniły się w lodowaty gład. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz. Żadnego.

– Więc mnie łaskawie oświeć, bo jestem przerażona. Zaczyna mi odbijać. Wszystko wskazuje na to, że zakochałam się w mordercy.

Zacisnął szczęki tak mocno, że napięcie sięgało nawet jego skroni.

– Naprawdę tak uważasz? Naprawdę myślisz, że mógłbym to zrobić?

Spojrzałam na rozsiane na podłodze wpisy Mary. Były jak małe zapomniane kawałki przeszłości, ciche krzyki o pomoc. Nie wiedziałam już, co myśleć.

– Nie... wiem.

W ciągu sekundy, którą zajęło mi uniesienie na niego wzroku, Wren odwrócił się do mnie plecami i wyszedł. Z szalejącą w środku paniką pobiegłam do swojego pokoju. Serce nie mogło przestać mi walić. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, upewniając się, że byłam sama, szybko ruszyłam w stronę parapetu i odsłoniłam kawałek drewna zasłaniający skrytkę Mary. W dniu, gdy Mercy odkryła to miejsce, a potem wyciągnęła z niego pamiętnik Mary, Carina nie zauważyła leżącego we wgłębieniu czarnego pudełka z namalowanymi na nim kwiatami wiśni ani zwiniętego w kulkę swetra. Trzęsącymi się dłońmi sięgnęłam do środka i wyciągnęłam oba przedmioty, po czym położyłam je na brzegu łóżka.

Najpierw przyjrzałam się granatowemu swetrowi. Miał na przodzie złote literki składające się na słowa: „Wolf Hall Academy”. Mnóstwo uczniów chodziło w nich po korytarzach. Dopiero gdy zajrzałam do środka i zauważyłam dwie małe literki zapisane na metce, moje serce oficjalnie się złamało.

W.J.

Wren Jacobi.

Zmrożona do szpiku kości przerażeniem, otworzyłam lakierowane pudełko i wyciągnęłam z niego garść kruczoczarnych piórek.

ELODIE

Jakoś przetrwałam następny dzień. Odpowiadałam Carinie, gdy coś do mnie mówiła, ale przed oczami ciągle miałam wczorajszą scenę. Ją, stojącą przed altanką z Dashielle, owiniętą swetrem, rozmawiającą o tym, co stało się z Marą. Jej strach o to, że ze mną mogło stać się to samo. Smuciła się i narzekała na Andrego, a ja reagowałam odpowiednimi dźwiękami. Udawałam zainteresowanie, a tak naprawdę wlokłam się z jednej klasy do drugiej, zastanawiając się nad tym, co ja miałam teraz, do kurwy nędzy, zrobić.

Byłam zupełnie załamana.

Nie widziałam Wrena ani żadnego z chłopaków z Riot House. Cała trójka nie pojawiła się w Wolf Hall, choć wyglądało na to, że nikt nie zauważył ich nieobecności. Pewnie przygotowywali się do dzisiejszej imprezy. Dlaczego nauczyciele w żaden sposób nie komentowali ich wagarowania, było dla mnie niezgłębioną zagadką.

W czasie lekcji francuskiego, moich ostatnich zajęć tego dnia, przyszła po mnie dyrektorka. Z ponurym postanowieniem na twarzy poprowadziła mnie wzdłuż korytarza do swojego gabinetu. Gdy już zasiadła za swoim biurkiem, a ja usiadłam naprzeciwko niej, odchrząknęła i przekazała mi wiadomości, na które czekałam, odkąd Wren opowiedział mi o swojej wyprawie do Tel Awiwu.

– Elodie, obawiam się, że mam złe wieści. Okazało się, że... – Nie wiedziała, gdzie podziąć oczy. – Twój ojciec uległ jakiemuś wypadkowi. Był w barze w Tel Awiwie, gdy zaatakowało go trzech mężczyzn. Otoczyli go w bocznej uliczce i poważnie pobili. W wyniku tego zdarzenia najprawdopodobniej został sparaliżowany.

Patrzyłam prosto przez nią, jakby była przezroczysta.

– Też jestem w szoku, że stało się to tak dawno temu – kontynuowała. – Zazwyczaj jesteśmy od razu informowani, jeśli coś się przydarzy któremukolwiek z członków rodziny naszych uczniów, ale z jakiegoś powodu postanowiła nas powiadomić o tym, uch, incydencie dopiero dzisiaj popołudniu. Wygląda na to, że urazy twojego ojca uległy pogorszeniu po tym, jak dwa dni po trafieniu do szpitala dostał udaru mózgu. Wciąż żyje i samodzielnie oddycha, ale obawiam się, że nie reaguje na bodźce zewnętrzne. Lekarze pracują z nim każdego dnia, jednak twierdzą, że wszedł w stan jakiejś fugi dysocjacyjnej¹². Jest obudzony, ale... Wiem, że słuchanie tego musi być trudne, bardzo przepraszam, ale... Wygląda na to, że utknął we własnej głowie. Czy wszystko w porządku, Elodie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Chwyciłam za ramię plecaka, ścisnęłam mocno materiał w dłoni i utrzymałam kontakt wzrokowy z dyrektorką.

– Tak, słyszę panią. Rozumiem.

– To naturalne, że chciałabyś wrócić i z nim być, Elodie. Widzę, jak wstrząsnęła tobą ta wiadomość. Obecnie zajmują się nim w jednostce wojskowej, a że wciąż jesteś nieletnia, nie możesz sama udać się do Tel Awiwu. Twój ojciec powierzył nam opiekę nad tobą na czas twojej nauki u nas, więc obawiam się, że będziesz musiała tutaj zostać, dopóki pułkownik Stillwater nie dojdzie do siebie na tyle, by móc wyjść ze szpitala. Zdaję sobie sprawę z tego, że to pewnie ostatnia rzecz, jaką chciałabyś teraz usłyszeć, ale muszę cię prosić o współpracę. Żywię ogromną nadzieję, że nie zaczniesz sprawiać problemów dlatego, że nie możesz...

– W porządku – przerwałam jej. – Rozumiem. Będę się trzymać zasad. Nie sprawię pani

żadnych problemów.

Harcourt sprawiała wrażenie, jakby jej wyraźnie ulżyło. Pewnie myślała, że zrównam to miejsce z ziemią w desperackich próbach dostania się do swojego biednego, sparaliżowanego ojca w katatonii. *Gdyby tylko знаła prawdę.*

– Cóż, dziękuję ci, Elodie. Nie wiem, czy jesteś wierząca, ale ja w takich chwilach lubię szukać oparcia w modlitwie do Jezusa – poradziła. – Jeśli pomodlisz się do niego o zdrowie dla swojego ojca, to kto wie? Może wróci do siebie, zanim się obejrzysz.

– Wierzę w naukę, proszę pani. Wolałabym usłyszeć, co uważają na ten temat lekarze. Szczególnie, jak dużo czasu zajmie, zanim stanie o własnych siłach?

Dyrektorce opadła szczęka, przez co mogłam zobaczyć umazane szminką zęby.

– Obawiam się... To znaczy... Lekarze uważają, że jest nikłe prawdopodobieństwo na to, że twój ojciec kiedykolwiek całkowicie do siebie dojdzie. Jest nikłe prawdopodobieństwo, że jeszcze kiedyś będzie chodził, Elodie. Nie wiadomo nawet, czy wyjdzie z tego stanu „fugi dysocjacyjnej”. Dlatego wspomniałam o modlitwie. Widzisz, to bardzo silne narzędzie. Dużo potrafi zdziałać. Obawiam się, że bez tego... – wiała się dalej, ale przestałam słuchać.

Ile razy powiedziała, że się „obawia”?

Obawiam się, że mam złe wieści.

Obawiam się, że nie reaguje na bodźce zewnętrzne.

Obawiam się, że będziesz musiała tutaj zostać...

Co za dziwne wyrażenie. Przecież się nie bała. Była zakłopotana, zmartwiona i gotowa na to, by mieć już z głowy całą tę farsę, żeby nie zajęła jej przypadkiem więcej czasu.

Ja za to bardzo długo się bałam. Te wieści zmieniły wszystko. Wyglądało na to, że już nigdy nie miałam obawiać się swojego ojca. Wszystko dzięki Wrenowi. Dryfowałam przez ten dzień w zupełnym zawieszeniu, pusta i odcięta od swojego otoczenia, a nawet przez chwilę nie zastanowiłam się nad tym, czy może teraz to on był tym, którego się obawiałam.

Co niepokojące... chyba nie.

ELODIE

Drzwi do mojego pokoju były otwarte na oścież. Na skraju łóżka, przykrytego szaroróżowym kocem, siedziała Mercy Jacobi. Choć tu nie pasowała, wydawało się, że czuje się tu swobodnie. Gdy tylko zobaczyła mnie w progu, od razu wyszczerzyła się niczym kot z *Alicji w Krainie Czarów*.

– Zanim cokolwiek powiesz, niczego nie dotknęłam – zastrzegła z uniesionymi w pokojowym geście dłońmi. – Chciałam tylko podrzucić ci kostium na dzisiaj.

Spojrzałam na nią spode łba. Wydawało mi się to najbezpieczniejszą opcją.

– Kostium? Nie mam żadnego kostiumu.

– Wren go dla ciebie kupił, głuptasku. – Wskazała głową na zwisający z drzwi szafy czarno-złoty pokrowiec. – Skoczyłam wcześniej do domu z alkoholem i zapasem lodu, a mój starszy braciszek akurat był w trakcie robienia dziury w ścianie swojej sypialni i to gołymi rękami. Wyglądał na dość zdenerwowanego. Pewnie nie wiesz, o co w tym chodzi, prawda?

Boże, była w tym dobra. W tym całym udawaniu. Podejrzewałam, że dobrze wiedziała o mnie i o Wrenie, a mimo to zgrywała idiotkę.

– Nie mam pojęcia, o co w tym chodzi. Czy ktokolwiek wie, o co chodzi Wrenowi? Jest permanentnie wkurwiony – mruknęłam niezobowiązująco.

Uśmiech Mercy był sztuczniejszy od jej perfekcyjnie białych zębów.

– Achhh, szkoda. Nic mnie tak nie smuci, jak problemy w raj. Ale w porządku. Jeśli oboje wolicie się dąsać i zamęczać, to macie do tego pełne prawo. Zostawię cię, żebyś mogła w spokoju przymierzyć swój kostium.

– Nie potrzebuję go, Mercy. Nie idę na imprezę.

– Och, nie. Musisz przyjść! Wszyscy będą. Chcesz być jedyną osobą z tego piętra, która zostanie sama w pokoju, jak ostatni smutas, gdy reszta będzie się świetnie bawić?

– Carina też nie idzie – odparłam butnie.

Mercy uśmiechnęła się półgębkiem, po czym wstała z łóżka. Nonszalanckim krokiem wyszła na korytarz.

– Jesteś tego pewna, Stillwater? Carina lubi dużo mówić, a rzadko idą za tym jakieś czyny. Mogę się założyć, że weźmie udział w dzisiejszej zabawie.

– Nie jestem w nastroju, Mercy. Mogłabyś, proszę, wziąć z mojego pokoju ten pokrowiec? Gdyby Wren chciał, żebym go zatrzymała, sam by mi go dał.

– Pewnie się boi, że jeśli podejdziesz do ciebie bliżej niż na dwa metry, to ci odpiardoli i oskarżysz go o próbę morderstwa – stwierdziła z lisim uśmiechem.

Kurwa.

Czyli wiedziała o tym, co stało się w altance. Wątpiłam, że od Wrena, ale kto wie? Wiele razy już się pomyliłam. *Komicznie wiele razy. Może Jacobi powiedział to Dashiellowi, a on powiedział Mercy? Zresztą, co to, do cholery, zmieniało?*

– Zgodnie z zaproszeniem, impreza zaczyna się o ósmej, ale polecam pojawić się koło dziewiątej – rzuciła przez ramię. – Dobrze wejście pomaga, gdy sprzecza się z takim facetem jak mój brat. A ja, kurwa, jestem pewna, że w tym kostiumie będziesz takie miała.

Cała w nerwach, rozsunęłam pokrowiec. Osunął się na podłogę. Niepokój, który czułam do tej pory, gwałtownie się potroił na widok tego, co było w środku. To nie był jakiś tam kostiumik z marketu za dwadzieścia dolarów. Nie był też przebraniem, które zamawiało się online. Tego typu strój trzeba było wykonać od podstaw, zgodnie z całą listą konkretnych wymogów, które przesyłało się do krawca kilka tygodni przed wydarzeniem.

Był piękny.

Góra błyszczała kryształkami Swarovskiego. Była śnieżnobiała, jakby oszroniona. W luksusowy materiał wszyto usztywnienie, a z tyłu znajdowały się wstążki, których sznurowanie musiało zajmować wiele czasu. Nigdy nie miałam na sobie czegoś tak skomplikowanego.

Spódniczkę wykonano z przezroczystej, jedwabnej tkaniny. Warstwy srebra, błękitu i bieli przeplatały się ze sobą, a były przy tym tak eleganckie oraz zachwycające, że nie mogłam się oprzeć przed ich dotknięciem.

Pierwszy raz w życiu widziałam tak piękne ubranie. Od razu rozpoznałam, czym miało być: kostiumem Dzwoneczka. Gdy sprzeczałyśmy się tamtej pierwszej nocy na strychu, wspomniałam, że jako dziecko zawsze chciałam być Dzwoneczkiem, ale nie zawsze mogliśmy dostać to, czego chcieliśmy... *Zapamiętał to? Taką żartobliwą, rzuconą na odczepne uwagę?* Nie mogłam uwierzyć, że zachował tę informację w pamięci, a później zamówił to przebranie.

Było zbyt piękne.

To za dużo.

To wszystko... to po prostu za dużo, do cholery.

Udało mi się poskładać bardzo podejrzany obraz ostatniego roku życia Wrena. Był tak przerażający i okropny, że nie mogłam tego znieść. Wciąż go kochałam. Nie mogłam się zmusić, by przestać. Czułam, jak nóż wbijał mi się między żebra, prosto w serce. Upadłam na kolana, przyciskając do piersi piękny strój wróżki.

To takie niesprawiedliwe.

Wiedziałam, że zakochanie się w kimś takim jak Wren było niebezpieczne. Nie sądziłam jednak, że skończę, szlochając w najdroższe ubranie, jakie kiedykolwiek trzymałam w rękach, martwiąc się o to, że być może zamordował jakąś dziewczynę. Dziewczynę, która kiedyś spała w moim pokoju. Boże, podobieństwo sytuacji było zbyt, kurwa, zatrważające, by w ogóle o nim nie myśleć.

Położyłam się na podłodze. Na początku płakałam, a potem już tylko wpatrywałam się w świecącą nade mną lampę. Próbowalam uciszyć roznoszące się po mojej głowie piskliwe brzęczenie. Nie mogłam go się pozbyć. Miałam wrażenie, że zaraz oszaleję.

I wtedy coś we mnie pękło.

Muszę poznać prawdę.

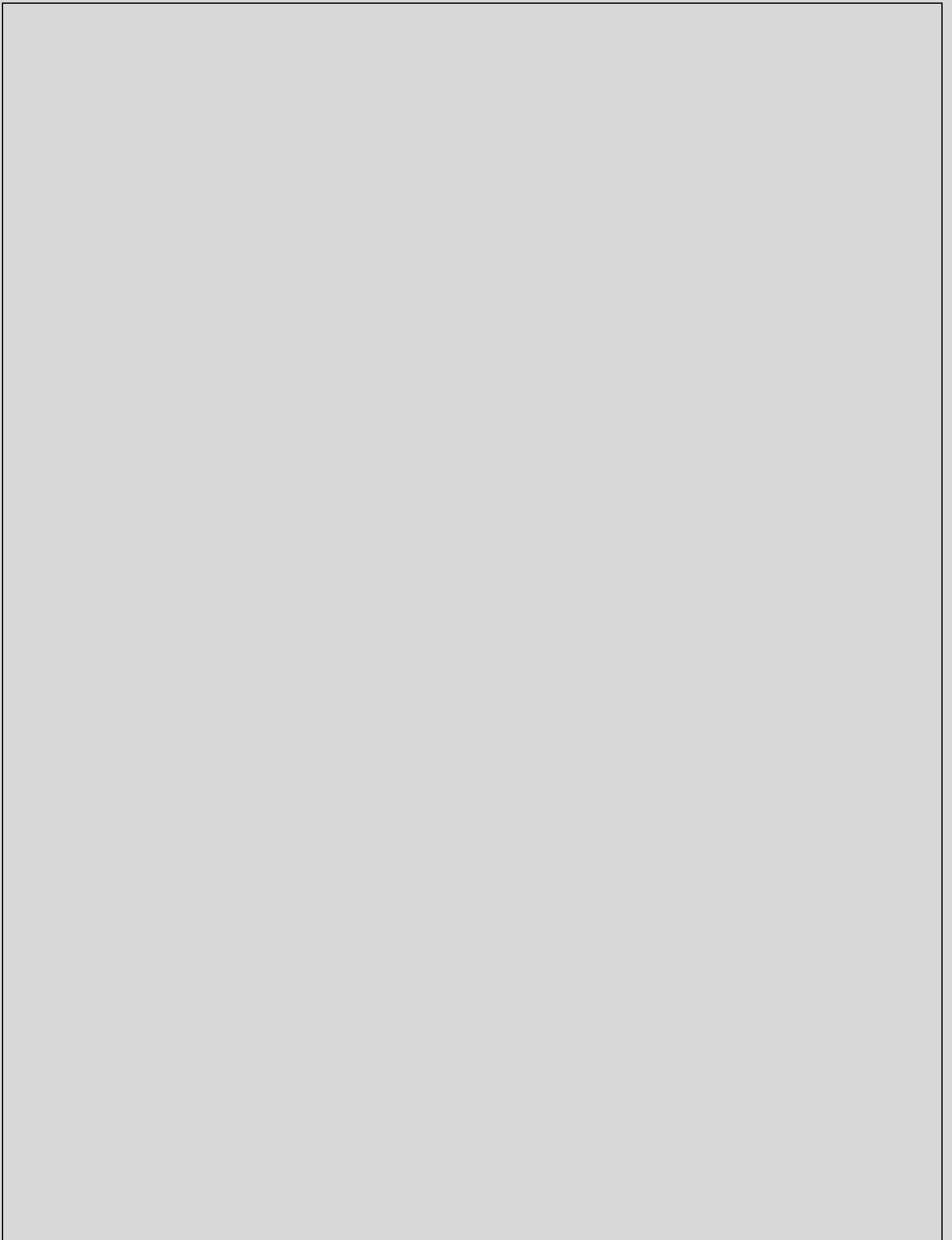
Zasługuję na to, by ją poznać.

Miałam w dupie to, na jaką idiotkę miałam przez to wyjść. Zamierzałam pójść na tę imprezę i odkryć prawdę na temat tego całego gówna.

Ale najpierw musiałam zrobić coś innego.

Zeszytniałe od długotrwałego leżenia na podłodze plecy zaprotestowały gwałtownie, gdy podniosłam się do pozycji siedzącej i otworzyłam dolną szufladę swojej toaletki. Spomiędzy poskładanych koszulek zerkało na mnie małe, białe pudełko, które Carina zostawiła pod moimi drzwiami pięć dni temu. Spiorunowałam wzrokiem piękną kruczoczną kobietę widoczną na zdjęciu. Ciekawe, czy będę w stanie utrzymać na twarzy równie szeroki sztuczny uśmiech, co ona, gdy już pojawię się w drzwiach Riot House?

Wielce, kurwa, wątpliwe.



ELODIE

Sukienka pasowała na mnie jak ulał. Nawet gdy ktoś posiadał czyjeś dokładne wymiary, znalezienie sukienki, która leżała tak dobrze, było czymś niezwykłym. Wbicie się w nią wymagało wiele wysiłku i pomocy Pres w zasnurowaniu tyłu kostiumu, ale gdy już się z tym uporałyśmy, musiałam przyznać, że efekt końcowy był niesamowity. Wyglądałam wspaniale. Pomijając kostium, gdy tak stałam przed tym lustrem i przyglądałam się swojemu odbiciu, miałam wrażenie, jakbym patrzyła na siebie po raz pierwszy od trzech lat.

– Podoba mi się. Serio mi się podoba – zawyrokowała Pres, robiąc krok do tyłu i stukając palcem wskazującym o swoją żuchwę. Miała na sobie przebranie Beetlejuice’a z filmu *Sok z żuka*, wykonane z czarno-białych pasiastych piżam, ogromu czarnego cienia do oczu i peruki Alberta Einsteina. – Na początku się zdziwiłam, bo jestem przyzwyczajona do ciebie jako blondynki, ale wiesz co, teraz uważam, że ciemne włosy bardziej ci pasują.

Wróciłam do swojego naturalnego koloru. Całą operację przeprowadziłam w pokoju; wybiegłam tylko na chwilę do łazienki, gdy alarm w telefonie, który ustawiłam, zadzwonił na znak tego, że czas zmyć farbę. Byłam znowu brunetką... Czułam się, jakbym wróciła do domu. Odzyskałam małą część siebie, którą mi odebrano. Teraz byłam osobą, którą od początku miałam być, a nie kimś obcym, kogo usiłował stworzyć mój ojciec.

– Tak, też tak uważam – zgodziłam się.

Odwrociłam się od lustra i wzięłam leżące na łóżku zaproszenie.

– Chcesz pójść ze mną? – zapytała Pres. – Nie mogłam się wyrobić, więc powiedziałam reszcie, żeby poszli beze mnie.

– Jasne.

Tak więc razem z Pres zeszyliśmy w ciemności ze wzgórza. Jeszcze zanim znalazłyśmy się na odgałęzieniu prowadzącym do domu Wrena, pulsująca muzyka, roznosząca się po lasach otaczających Riot House, dawała znać, że impreza rozpoczęła się na dobre. Nie było potrzeby pukać: drzwi stały otwarte na oścież niczym ogromna, pozbawiona uzębienia paszcza, prowadząca z ciemności prosto w same serce ogni piekielnych.

W środku na ścianach tańczyły świetliste tęczce, które podążały moim śladem z pomieszczenia do pomieszczenia. Kryształki Swarovskiego przechwytywały i odbijały padające na nie światło, rozsiewając wokół eksplozje kolorów, gdy Pres ciągnęła mnie za sobą przez tłum. Wyglądało na to, że byli tu wszyscy z Wolf Hall, ubrani we wszelkie możliwe dziwaczne i wspaniałe kostiumy. Usiłowałam dostrzec coś nad głowami zgromadzonych ludzi, przeklinając siebie samą za to, że jestem taka niska. Nic nie mogłam zobaczyć. Skupiłam się zatem na tym, by nikt ze skaczących do muzyki ludzi na mnie nie nadepnął. Zauważyłam Rashidę. Siedziała przy kominku i rozmawiała z chłopakiem, którego nie znałam. Na mój widok zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy. Gdy mnie w końcu rozpoznała, pomachała, wskazała na włosy, a potem podniosła kciuki w górę.

Nigdy wcześniej nie widziałam tej kuchni. Była, oczywiście, ogromna. Na środku stała wielka, marmurowa wyspa, a na niej masa butelek z alkoholem i misek z jedzeniem. Żadne chipsy czy inne przekąski, jakie zwykle jadło się na tego typu domówkach. O nie, blat był pełen krabowych ciasteczek, pasztecików z ciasta francuskiego, faszzerowanych jajek i elegancko wyglądających wypieków, co musiało być sprawką Dashiella. Byłam pewna, że Wren nie

zamówiłby czegoś takiego, a paszteciki nie wydawały się czymś w stylu Paxa.

– Chcesz coś? Skoczę po piwo – krzyknęła przez ramię Pres.

Skinęłam krótko głową, a już po chwili miałam w ręce butelkę Coronę. Szkło było zimne i lepkie od skroplonej pary wodnej. Moja towarzyszka pociągnęła mnie głębiej w zgiełek tłoczących się ciał. Ścisnęła mnie za dłoń i pisnęła głośno.

– Jest! – wykrzyknęła. – O Boże, dlaczego nie włożyłam czegoś bardziej seksownego. Co jest ze mną, do kurwy, nie tak?

Po drugiej stronie pomieszczenia, przy schodach, stał Pax. Rechotał ze słów dziewczyny ubranej w obcisły kostium czarnej kotki. Miała opaskę z małymi, czarnymi uszkami, narysowane na policzkach wąsy i uroczy, czarny nosek.

– Noż kurwa mać. Jebany Beetlejuice? – jęknęła Pres, chwytając się za pasiaste piżamy. – No serio. Ale ze mnie pieprzona idiotka.

– I tak lepiej, żebyś trzymała się od niego z daleka – wymamrotałam w butelkę.

– Boże, nie zaczynaj. Zaczynasz brzmieć jak Carina – biadoliła. Nagle coś zwróciło jej uwagę. – O, hej, zobacz! Jest i ona! Carina!

Nie ma, kurwa, mowy. Niemożliwe, żeby Pres właśnie dostrzegła Carinę. Ale gdy spojrzałam w stronę, którą wskazywała Pres, zobaczyłam swoją przyjaciółkę stojącą przy jednym z obrazów Wrena. Miała na sobie fioletowe tutu i falbaniastą górę z malutkim kapelusikiem na czubku głowy. Za otaczającą go wstążkę wetknęła karty do gry i jasnozielone piórka.

– Wow, ale ma zajebisty kostium – skomplementowała. – Przebrała się za Szalonego Kapelusznika. Chodź, przywitamy się.

Wyciągnęłam dłoń z uścisku Pres, a potem zrobiłam krok do tyłu.

– Nie, ja... – nie dokończyłam.

Było za późno.

Gdy Carina uniosła wzrok, zauważyła mnie i natychmiast pobladła. Co gorsze, chłopak, z którym rozmawiała, odwrócił się i oto...

Moim oczom ukazał się Wren.

Nie przebrał się za nikogo. Miał na sobie swoje codziennie czarne ubrania: koszulkę i znoszone jeansy. Zero starań, by dołączyć do konkursu na najlepszy kostium. Gdy mnie zauważył, stojącą obok Presley, rozszerzył w zaskoczeniu oczy. Przerwał prowadzoną rozmowę, by ruszyć w tłum, torując sobie do mnie drogę. Ogarnęła mnie panika.

– Uch, wybacz. Muszę iść do łazienki.

– Elodie, zaczekaj, pójdę z tobą! – krzyczała za mną Pres.

Nie słuchałam. Nie miałam najmniejszego, kurwa, zamiaru czekać. Czułam się, jakbym utknęła na karuzeli, gdy przedzierałam się przez stłoczonych nastolatków. Serce waliło mi jak szalone. Znalezienie łazienki zajęło mi całą wieczność, ale na szczęście nie było kolejki. Szybko wpadłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Oparłam się o gładkie drewno i skupiłam na unormowaniu oddechu.

Dziesięć sekund później rozległo się pukanie.

– Elodie, to ja. Wpuść mnie.

Oczywiście, że mnie znalazł, ale miałam nadzieję, że zajmie mu to trochę dłużej. Potrzebowałam czasu, by zebrać myśli. Przygotowałam sobie cały szereg pytań, które chciałam mu zadać, ale teraz nie mogłam sobie przypomnieć żadnego z nich. Wszystko, co teraz miałam w głowie, to jedno wielkie niedowierzanie. Carina jednak przyszła na tę pierdoloną imprezę. Przysięgała, że tego nie robi, a jednak tu była, i to wystrojona jak szczer na otwarcie kanału. W dodatku była w trakcie całkiem przyjaznej konwersacji z chłopakiem, który obecnie dobijał się do drzwi łazienki.

- Idź sobie, Wren.
- Nie. Wpuść mnie. Muszę z tobą porozmawiać.
- Daj mi chwilę!
- Elodie, to jest idiotyczne. Otwórz te cholerne drzwi.
- Wracaj na imprezę, Wren. Znajdę cię, gdy będę gotowa.

Boże, proszę, po prostu sobie idź. Idź sobie. Idź sobie. Idź sobie.

Po drugiej stronie zapanowała cisza. Wypuściłam drżący oddech i zrobiłam krok do lustra. Przyglądałam się swojemu odbiciu. Kogo ja właściwie próbowałam oszukać, przychodząc tu? Serio myślałam, że tak po prostu do niego podejść i zażądać wyjaśnień? Na miłość boską, serce rozpadło mi się na milion kawałków, gdy tylko go zobaczyłam, a teraz...

Drzwi szybko się otworzyły. Wren wpadł do środka i zamknął je za sobą. Wgapiłam się w niego z szeroko otworzoną buzią, niezdolna do sklecenia dwóch słów.

– Przepraszam, że to zrobiłem. – Skrzywił się i potarł tył karku. Nieśmiało podniósł drugą dłoń z trzymaną w niej monetą. – Nie trzeba być mistrzem włamywania, by otworzyć te drzwi. Wystarczy moneta.

– Nie powinno cię tu być – syknęłam. – Co, gdybym korzystała z toalety?

– Przyszłaś tu, żeby się przede mną schować, Malutka Eli. To dość oczywiste.

Miałam ochotę mu przypierdolić, ale jego twarz sprawiła, że znieruchomiałam. Wyglądał na udręczonego. Pod oczami miał ciemne sińce, a jego skóra była bledsza niż zwykle, zaś włosy bardziej rozczochrane. Sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz wyjść z siebie.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać. Czy możesz się uspokoić na jebany kwadrans?

– Miałaś okazję ze mną porozmawiać w altance, Wren. Wolałaś odejść. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak podejrzanie to wyglądało?

– Miałaś poważne oskarżenia, a ja nie chciałem powiedzieć czegoś, co...

Westchnął z frustracji.

– ...co bardziej by cię obciążało? – dokończyłam za niego.

– Nie! Jezu Chryste, Elodie. Przestań. Nie miałem nic wspólnego ze zniknięciem Mary. Nawet jej, kurwa, nie tknąłem, okej?

– To jak wyjaśnisz ten pamiętnik? Wszystko, co w nim napisała, wskazuje na ciebie. A sweter, który trzymała w swojej kryjówce? Miała też garść piórek w pudełku. Dokładnie takich samych jak tamto, które mi dałaś.

Skrzywił się i przeczesał dłońmi włosy.

– Jaki sweter?

– Z logiem Wolf Hall. Z twoimi inicjałami na metce, Wren. Boże!

Potrząsnął głową.

– J-ja... nie wiem, skąd go wzięła. Miałem taki sweter przez chwilę w zeszłym roku, ale potem po prostu zniknął. Nie wiedziałem, co się z nim stało. A piórka... Kurwa. Nie wiem, co mam ci powiedzieć, Elodie – wyrzucał z siebie szybko tłumaczenia. – Wiedziała, że je kolekcjonowałem. Może je dla mnie zbierała? Przysięgam, że nigdy jej żadnego nie dałem, a co dopiero garść. Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz, okej? O Marze i o tym, co zaszło w zeszłym roku w akademii. Obiecuję, że ci o tym opowiem. Wyjaśnię ci wszystko z wszelkimi paskudnymi szczegółami. Ale dopóki nie usiądziemy i o tym nie porozmawiamy, proszę, po prostu... po prostu musisz mi uwierzyć. Nic jej nie zrobiłem.

Wyglądał na załamane. Zebrało mnie na mdłości.

– Jak ja mam, do cholery, uwierzyć w jakiegokolwiek twoje słowo? Jak mam wysłuchać tej historii, którą przede mną ukrywałaś, i tak po prostu uznać ją za prawdziwą?

Jego przystojna twarz nabrała zdystansowanego, pozbawionego emocji wyrazu.

– Mówiłem ci, Malutka Eli. Żadnych kłamstw, nigdy. Obiecałem ci to.

Stała mi gula w gardle. Byłam tak cholernie nieszczęśliwa. Chciałam mu wierzyć. Chciałam usłyszeć to, co miał do powiedzenia, i mu zaufać. Ale...

– WRENIE JACOBI! Gdzie się chowasz, do kurwy nędzy?!

W salonie rozległ się ryk: hałaśliwy wrzask, którego źródłem mógł być wyłącznie Pax. Wkrótce przyłączyły się do niego inne głosy, z każdą chwilą przybierając na głośności.

Co tu się, do cholery, dzieje?

Wren przycisnął palce do oczu i sapnął w irytacji.

– Ja pierdołę. Muszę iść, Elodie. Jeśli nie wyjdę, wyważą te drzwi...

– WREEEEEEEN! Masz trzy sekundy, dupku! Pokaż tę parszywą mordę!

Intensywnie zielone oczy, pełne błagania i cierpienia, spotkały moje.

– Tylko nie odchodź, Malutka Eli. Obiecuję, że mnie wysłuchasz.

Boże, ale ze mnie idiotka. Złamałam się, choć tylko na chwilę.

– Dobra. Wysłucham tego, co masz do powiedzenia. Ale gdy tylko uznam, że kłamiesz, na tym koniec. Odchodzę.

Wyglądał, jakby mu ulżyło. Bolał mnie widok tego rodzaju desperacji na jego twarzy. Skinął głową, po czym głęboko się skrzywił.

– Dobrze.

Odwrócił się, a następnie wyszedł z łazienki, prosto w czekający na niego po drugiej stronie drzwi chaos. To było istne szaleństwo. Uczniowie Wolf Hall szturchali się i rozpychali łokciami. Nie rozumiałam, gdzie szli, dopóki nie wymknęłam się z łazienki i nie przyłgnęłam plecami do ściany przy drzwiach wejściowych. Wszyscy pchali się do schodów.

Pax i Dashiell już na nich stali. Wren niechętnie do nich dołączył z twarzą tak mroczną i wzburzoną, że przypominał prawdziwego potwora. Pax był przebrany za Alexa z *Mechanicznej pomarańczy*, podczas gdy Dashiell, tak jak Wren, przebrał się za siebie. Miał na sobie drogą czarną koszulę, a także nieskazitelnie czyste, szare, eleganckie spodnie, które musiały kosztować majątek. Gdy Wren stanął obok nich i odwrócił się przodem do tłumu, Pax oraz Dash wydali z siebie okrzyk radości, klepiąc go po barku i plecach.

– Uczniowie akademii Wolf Hall! Moment, na który wszyscy czekaliście, właśnie nadszedł! – zawołał Dash.

– Panie i panowie, przedstawiam wam mistrza polowania! – zawtórował mu Pax.

Rozbrzmiała ogłuszająca wrzawa. Wszyscy zgromadzeni kolektywnie oszaleli.

ELODIE

Nie wiwatowałam razem z nimi. Stałam kompletnie zesztywniała od pełnej szoku obojętności, obserwując rozwijające się na moich oczach szaleństwo. Jakies pięć metrów na prawo ode mnie, z salonu, wyłoniła się Carina. Obgryzała paznokcie. Nie wydawała się podekscytowana tym, co działo się na schodach. Była całkowicie skupiona na mnie.

– Elodie, możemy porozmawiać chwilkę na zewnątrz? – zapytała.

Zlustrowałam ją wzrokiem. W głowie miałam wspomnienie pogardy, z jaką patrzyła na Mercy, gdy informowała ją, że nie zamierzała wybierać się na tę imprezę. Po raz kolejny mnie okłamała. Nie podobało mi się to.

– Nie.

– Elle, proszę... – Próbowала chwycić mnie za dłoń, ale się odsunęłam.

Na szczycie schodów Wren właśnie zaczynał mówić.

– Wiecie, jak to działa. Jako mistrz polowania ustalam tej nocy zasady. Zgodnie z tradycją Riot House, przygotowałam zabawę, która albo podniesie wasz status społeczny na resztę roku szkolnego, albo sprawi, że skończycie na samym dnie. Wasz los leży wyłącznie w waszych rękach! – Zauważył mnie stojącą przy drzwiach i wyraźnie się wzdrygnął. – Dzisiejszą zabawę skonstruowano w taki sposób, by wyeliminować nawet najbystrzejszych z was. W otaczającym dom lesie znajdują się czerwone flagi, takie jak ta. – Wyciągnął z tylnej kieszeni jeansów czerwony materiał i uniósł go wysoko w powietrze. – Sto z nich ukryto w promieniu trzech kilometrów. Zbierzcie ich tak wiele, jak wam się uda, i przynieście je z powrotem tutaj, do bazy. Osoba, która będzie ich miała najwięcej, wygra pokój w Riot House do końca tego roku szkolnego oraz czek imienny na pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Wśród ludzi rozległo się pełne zdziwienia sapnięcie. Najbardziej zaskakujący był wyraz twarzy Dashiella oraz Paxa. Ewidentnie nie takiej nagrody oczekiwali.

– Osoba, która zbierze ich najmniej...

Zebrani uciszali się wzajemnie, w napięciu czekając na jego kolejne słowa.

– ...stanie się naszym popychadłem aż do dnia rozdania świadectw. Będzie dla nas gotować. Będzie dla nas sprzątać. Będzie najniższym ogniwem hierarchii społecznej. Wybór należy do was. Życie tutaj, bez nadzoru, bez żadnych bezsensownych, durnych zasad albo zostanie naszym chłopcem do bicia. Udział w zabawie nie jest obowiązkowy, ale jeśli się na to zdecydujecie... będą konsekwencje.

– A to nowość – szepnęła Carina. – W zeszłym roku...

Urwała i spojrzała niezręcznie w dół, na swoje dłonie.

– W zeszłym roku, co? Jak wyglądała zabawa w zeszłym roku?

Uciekała wzrokiem. Nie, żebym spodziewała się czegoś innego. Policzki jej zapłonęły.

– W zeszłym roku każdy musiał przespać się z maksymalnie dużą ilością osób przed końcem imprezy. Te zabawy zawsze wiążą się z seksem. Dzisiaj po raz pierwszy...

Nie miała szansy na dokończenie swojej wypowiedzi. Odwróciłam się do niej plecami, zde gustowana tym, co sugerowała. Było mi niedobrze. Nie chciałam słyszeć reszty.

– Macie czas do trzeciej nad ranem! – krzyknął Wren nad na nowo rozgorzałym gwarem.

– Miłego polowania. I miejcie się na baczności. Dzisiaj w nocy grasują wilki polujące na swoje ofiary.

Oczy Paxa błysnęły chęcią mordy. Twarz Dashiella była niemożliwa do odczytania. Tak naprawdę nie obchodził mnie jednak żaden z nich. Moje oczy były skupione na Wrenie, który właśnie się pochylał i podnosił coś ze schodka. Maską wilka była absolutnie obrzydliwa: zniekształcona, wykrzywiona w warknięciu głowa bestii wyglądała jak coś rodem z koszmarów. Powoli nałożył ją sobie na twarz. Z obnażonych kłów stworzenia skapywała krew. Carina wydała z siebie zduszony dźwięk.

– Boże. Czyli jednak się myliłam.

– Co do czego?

Spiorunowała wzrokiem Dashiella, gdy ten założył na głowę własną maskę.

– Gdy członek Riot House mówi o polowaniu na ofiarę, Elodie, ma na myśli seks.

WREN

– Do kurwy nędzy, co ty wyprawiasz?

Moje plecy uderzyły o ścianę, zanim zdołałem odpowiedzieć. Pax wszedł w moją przestrzeń osobistą, patrząc na mnie spode łba z otwartą furią.

– Nie możesz tak po prostu zapraszać ludzi do mieszkania tutaj bez wcześniejszego uzgodnienia tego z nami. Co do kurwy, Jacobi? Gdzie ta osoba ma niby spać?

Zaśmiałem się. Z zawadiacko przekrzywionym melonikiem na czubku głowy złość wyglądała na nim przekomicznie.

– Mam to w dupie, może sobie nawet wziąć mój pokój – stwierdziłem. – Najwyżej przeniosę się na zaplecze Cosgrove, nie ma problemu.

– Nie wyprowadzisz się – wyszczał Dashiell z drugiego końca pokoju, którego używaliśmy do gry w Call of Duty. Zaciągnęli mnie tu za kołnierz koszulki, gdy tylko ludzie zaczęli wytaczać się z domu, żeby rozpocząć polowanie. – Co się z tobą stało, człowieku? Nie jesteś tym samym gościem, z którym rozpoczęliśmy tę tradycję. Szczerze, to w ogóle cię nie poznaję. Gdybyś na koniec nie dorzucił tego o wilkach, srogo byś za to zapłacił.

Boże, był taki przewidywalny. Oczywiście, że prawdziwa impreza Riot House nie mogła się obyć bez masy anonimowego seksu.

– Nie zamierzałem tego dorzucać – odepchnąłem Paxa – ale wiedziałem, że będziecie się czuć oszukani, jeśli nie zamoczycie swoich kutasów.

– Wszyscy je dzisiaj zamoczymy, Jacobi – fuknął Pax. – Łącznie z tobą.

Znowu parsknąłem śmiechem.

– Że co? Zamierzasz mnie zmusić do przelecenia wężyka dziewczyn? Poważnie?

Pax wyrzucił ręce w powietrze i odwrócił się do Dasha.

– Ja pierdolę, ty się nim zajmij. Ja mam dość.

Dashiell nic nie powiedział. Stał z dłońmi w kieszeniach, obserwując mnie w ciszy.

– Chodzi o Elodie, prawda? – odezwał się w końcu.

Odpowiedziałem mu wyzywającym spojrzeniem.

– Oczywiście, że chodzi o Elodie. O kogo innego miałoby chodzić?

– Jesteś w niej zakochany.

– Tak.

– Panie, zlituj się nad nami! – zawył Pax. – Nie jesteś zakochany w tej dziewczynie, Wren. Ona jest nikim. Nikim, rozumiesz? Jakaś małą francuską kurewką, która...

Ból rozszedł mi się w górę ramienia, kumulując w stawie barkowym. Pax wylądował twardo na tyłku i podjechał jeszcze kawałek na podłodze. W ciągu ułamka sekundy już na nim siedziałem, jedną ręką trzymając go za szyję, a drugą przygotowując się do drugiego ciosu. Byłem śmiertelnie spokojny.

– No dalej, powiedz to. Dokończ to jebane zdanie.

Pax zrzucił mnie z siebie i szybko odsunął się poza mój zasięg, gramoląc się do pionu.

– To zaszło za daleko. Mieliśmy umowę. Żadnych dziewczyn. Nigdy. Tym dla ciebie jest, Wren? Bo dobrze wiesz, że nikt z nas się na to nie zgodzi.

Spojrzałem na Dashiella. Czekałem, aż poprze Paxa. Milczał.

Miałem, kurwa, dość. Na początku naszej przyjaźni Riot House było dla mnie

sanktuarium, ale przez ostatnie kilka miesięcy czułem się tu jak w więzieniu.

– Tak, Elodie jest moją dziewczyną. Proszę. Powiedziałem to. Wasza dwójka może się z tym łaskawie pogodzić i przejść nad tym do porządku dziennego albo w wielkim pośpiechu znaleźć sobie pokoje w akademii. Wasz wybór.

Chciałem odejść, ale Dashiell złapał mnie za rękę.

– Myślisz, że tak łatwo skończyć tę przyjaźń, Wren? To się mylisz. Przypominam ci, że na drugim końcu świata znajduje się pierdolony pułkownik w śpiączce i to tylko dlatego, że zgodziliśmy się zrobić coś, za co moglibyśmy trafić za kraty do końca naszych dni, o ile nie zostalibyśmy wcześniej rozstrzelani.

– To ma być groźba, lordzie Lovett? Bo rzeczy, które dla was zrobiłem, mogły się skończyć w dokładnie ten sam sposób, jeśli nie gorszy.

– A co z Marą? – wtrącił Pax.

– MAM W DUPIE MARE! – Zrobiło mi się czerwono przed oczami. *Przysięgam, kurwa, na Boga, że zaraz stracę resztki samokontroli.* Nabrałem powietrza w próbie zapanowania nad rozsadzającym mnie gniewem. – Mara nie jest moim problemem. Nie skrzywdziłem jej. Nic jej nie zrobiłem. Od dawna jej nie ma i żaden z nas nie może na to nic poradzić, więc przestańcie wracać do tematu.

Byłem już piętro niżej, gdy Pax za mną zawołał:

– Lepiej się módl, żeby ta twoja dziewczyna nie weszła tej nocy do lasu, Jacobi. Znasz zasady. Jeśli to zrobi, wszyscy mamy do niej jebane równe prawo!

Chciał reakcji, a ja nie zamierzałem dać mu tej satysfakcji.

Nie ważyłby się tknąć Elodie.

Zbiegłem w dół schodów ze swoją durną wilczą maską w dłoni, obawiając się tego, do czego mogła doprowadzić ta noc.

ELODIE

Nocne powietrze było chłodne i rześkie. Drzewa szumiały, szepcząc coś między sobą, gdy szłam brzegiem lasu w stronę drogi powrotnej do Wolf Hall. Wytrzymałam całe piętnaście minut na imprezie Riot House i potrzebowałam prysznic. Czułam się brudna. Czułam się zawiedziona, a także oszukana. Chciałabym być teraz z mamą, ale nie mogłam, bo była, kurwa, martwa.

– I tak cię dogonię, wiesz? – mruknęła idąca za mną Carina. – Nieważne, jak szybko będziesz szła. Nigdzie się nie wybieram.

– A szkoda.

– Elodie, no weź. Nie jesteś zbyt fair.

– FAIR? – Gwałtownie się odwróciłam, gotowa pozbawić ją głowy. – Nie masz prawa tak do mnie mówić, Carino Mendozo. Myślałam, że się przyjaźnimy, a ty przez cały ten czas ukrywałaś przede mną różne rzeczy. Obiecałaś, że zanieśiesz pamiątnik na policję. Nawet nie zająknęłaś się na temat istnienia Mary. Przysięgałaś, że nie przyjdiesz na tę imprezę. A tu proszę, niespodzianka za niespodzianką!

– Nie powiedziałaś mi, że spotykasz się z Wrenem – odparowała niewzruszenie.

– Tak, to było chujowe, ale nie czułam, żebym mogła ci o tym powiedzieć. Ty za to nie miałaś powodu, by utrzymywać mnie w nieświadomości w sprawie Mary, prawda?

Wśród drzew rozległ się głośny wrzask: na wpół zwierzęcy, na wpół ludzki. Obie znieruchomiałymy z oczami wbitymi w ciemność. Włoski z tyłu karku stanęły mi dęba.

– Po co ktokolwiek miałby w środku nocy biegać po lesie bez latarki – wymamrotałam pod nosem. – To nie ma żadnego sensu.

– Trudno jest przebywać tak długo w zamknięciu, Elle – westchnęła Carina. – Jesteś tu dopiero od paru miesięcy, a wyobraź sobie, jakby to było spędzić tu kilka lat. Ludziom odbija. Ty tego nie rozumiesz. Dla uczniów Wolf Hall członkowie Riot House są naprawdę ważni. Od nich zależy cały przyszły rok. Chłopcy chcą być tacy, jak oni, a dziewczyny chcą się z nimi umawiać. Zawsze tak było. Więc gdy wymyślają tego typu chore gówno, ludzie przepychają się między sobą, byle tylko móc wziąć w nim udział.

– To się stało w noc zniknięcia Mary? Próbowала dołączyć do zabawy?

– Tak.

– Czyli co, mam się tam zawlec i wygłupiać razem z całą resztą? Tego oczekują?

– Pax i Dashiell pewnie tak – przyznała. – Wren, nie. Rozmawiałam z nim, zanim się pojawiłaś. Chciał, żebyś trzymała się tak daleko od tego miejsca, jak to tylko możliwe, Elle. Dobrze, że wracasz do akademii, okej?

Huh. Teraz rozumiem. Wren nie chciał, żebym przyszła na imprezę. Chciał, żebym trzymała się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe. No cóż, Wren będzie musiał się nauczyć, że nie zawsze dostaje się to, czego się chce. Zacisnęłam szczęki.

– Wiesz co, Carina? Może jednak wezmę udział w tej głupiej zabawie – stwierdziłam. – W ten sposób nie będzie już żadnych sekretów. Będę wiedziała, czy przeleci połowę akademii. Będę wiedziała wszystko, co tu się wydarzy, i nikt nie będzie w stanie już niczego przede mną ukryć!

– Elodie! Co ty, do cholery, robisz... Czekaj! Elle, tu nic nie widać!

Ale ja zesłam już z drogi. Ruszyłam prosto w las, w stronę podekscytowanych krzyków reszty uczniów Wolf Hall. *Jakże mogłabym im pozwolić bawić się samym.*

Klnąc jak szew, Carina rzuciła się za mną w leśne podszycie.

– To chore. Po co to wszystko? Kogo obchodzi, co robi Wren?

– Mnie. Mnie obchodzi. Sprawił, że się w nim zakochałam i teraz mnie, kurwa, obchodzi. To najgorsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić.

– Więc przestań! – wykrzyknęła, zniecierpliwiona.

– A, no przecież. Oczywiście – sarknęłam. – Tak, jak ty przestałaś kochać Dashiella? Bo to takie proste, prawda? Po prostu się naciska wyłącznik? Widziałam, jak na niego patrzyłaś przed altanką tamtej nocy.

Zakłęła raz jeszcze.

– Okej, okej. Zwolnij trochę, dobra? Dzięki Bogu, że nie założyłam obcasów. Skąd w ogóle wiesz, gdzie idziesz?

Wskazałam na bezchmurne niebo wyglądające spomiędzy gałęzi drzew. Nie zamierzałam choćby na nią spojrzeć.

– Potrafię wyznaczać kierunek na podstawie gwiazd. Jedna z wieeeeelu rzeczy, jakich nauczył mnie stary, dobry pułkownik Stillwater. Kto by pomyślał, że to mi się przyda. Kierujemy się na południowy zachód. W razie czego bez problemu wrócę na drogę. A teraz przyknij się albo wracaj do Wolf Hall. Skończyłam tę rozmowę.

Szłyśmy przez godzinę.

Carina wydzierała się w niebogłosość za każdym razem, gdy z lasu wyskoczył jakiś uczeń z pękiem czerwonych flag w dłoni. Cała ta zabawa przypominała mi nawiedzoną przejażdżkę, na którą zabrali nas rodzice Leviego w Halloween dwa lata temu. Pokryci zakrzepłą krwią aktorzy wybiegali z ciemności ze sztucznymi piłami łańcuchowymi, usiłując nas przestraszyć. Wtedy krzyczałam, ciesząc się widowiskiem. Ale to nie było na niby. Ta zabawa to największy idiotyzm, o jakim kiedykolwiek słyszałam, i nie mogłam uwierzyć, że ludzie dobrowolnie brali w tym udział.

Zaprowadziłam nas z powrotem do domu. Przyglądałam się drzewom w poszukiwaniu maski wilka, ale żadnej nie zauważyłam. Piękny strój Dzwoneczka, który kupił mi Wren, zahaczał o niemal każdą gałązkę, jaką mijałam, a ja nie robiłam absolutnie nic, by zapobiec jego podarciu.

Zdałam sobie sprawę z tego, że wszyscy pewnie są już w głębi lasu, więc zmieniłam kierunek na północ. Liczyłam kroki, by wiedzieć mniej więcej jak daleko zaszłyśmy. W końcu dotarłyśmy do małej polany.

– Na miłość boską, możemy zrobić przerwę? Kostka mnie boli.

Źle stanęła jakieś dwa kilometry temu i nieustannie na nią narzekała. Burknęłam coś pod nosem i usiadłam na najbliższym kamieniu. Nasłuchiwałam zbliżających się kroków, ale wokół nas panowała cisza. Carina usiadła obok.

– Słuchaj. Przepraszam, że ci o wszystkim nie powiedziałam. Kocham cię, Elle. Jesteś moją przyjaciółką. Zależy mi na tobie, a ta cała sprawa z Marą to jedno wielkie bagno. Nie chciałam, żeby twój czas w Wolf Hall był tak samo pochrzaniony jak nasz, okej?

– Dlatego chciałaś, żebym trzymała się z dala od Wrena – mruknęłam odrętwiale. – Żeby nie zrobił mi nic złego.

Dziewczyna zmarszczyła czoło w zdezorientowaniu.

– Nie. W sensie, mówiłam ci... Wren był w domu w czasie imprezy. Naprawdę nigdzie

nie wyszedł – zaczęła. – Ich wspólna historia skończyła się, zanim się na dobre zaczęła. Mara na początku nie potrafiła się z tym pogodzić. Ciągłe za nim łąziła jak jakieś zagubione szczenię. A potem nagle, z dnia na dzień, przeszła nad tym do porządku dziennego. Zupełnie z dupy. Bardzo dziwnie się zachowywała. Mercy twierdziła, że zaczęła spotykać się z kimś innym, ale nikt z nas nie mógł dojść do tego, z kim. Przyszła na imprezę i wyglądała na stuprocentowo szczęśliwą. Nie zamieniła z Wrenem nawet jednego słowa. Wszyscy się dobrze bawiliśmy, a potem... w jednej z chwil z nami była... a w drugiej już nie.

Nie czułam, żeby mnie okłamywała. Wren też wydawał się mówić prawdę, co zupełnie mąciło mi w głowie, biorąc pod uwagę wszystkie wskazujące na niego dowody. Byłam po prostu... byłam tak cholernie zmęczona próbami rozwikłania tej sprawy. Bolała mnie głowa i utkwiałam w środku jebanego lasu, ubrana w błyszczący kostium wróżki, i nic już nie miało najmniejszego sensu!

– Naprawdę cię przepraszam, Elodie. – Carina chwyciła mnie za dłoń i mocno ścisnęła. – Proszę, uwierz mi, że miałam powód, by o niczym ci nie mówić. Opowiem ci o wszystkim, czego się dowiedziałam po tamtej nocy, okej? Żadnych więcej tajemnic, obiecuję.

Wydawała się taka szczerą i poważną. Oczy jej błyszczały, były trochę zaszkłone, jakby powstrzymywała się od łez – a złość we mnie, która wrzała do tej pory, obudowując się ścianą gorącego powietrza, nagle dopaliła się i znikła, zostawiając mnie smutną oraz zimną.

– W porządku. Zaczynij od początku, ale niczego nie pomijaj.

Uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Ta impreza była dziwna. Wiedziałam, że coś było nie tak, odkąd przekroczyłam próg domu. Wszyscy zachowywali się jakoś zdystansowanie. Zapytałam Mercy, o co chodziło, a ona powiedziała...

Głośny chrzęst przerwał ciszę. Obie podniosłyśmy wzrok i w napięciu czekałyśmy na kolejny dźwięk. Nadszedł po sekundzie: ciężki trzask, a potem następny, i następny. Spośród drzew wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Nie miał na sobie koszulki. Z bioder zwisały mu jeansy. Twarz zakrywała jedna z masek Wrena.

– Kontynuuj, Carrie – wymruczał niski głos. – Nie chcę przerywać historyjki.

WREN

Przeszukałem cały dom, od góry do dołu.

Nigdzie jej nie było.

Pojechałem do akademii i wpadłem do jej pokoju. Tam też jej nie było, ale mój sweter z logiem Wolf Hall już tak. Zwisał ze stojącego przy oknie krzesła. Gdy tylko go zobaczyłem, od razu przypomniałem sobie moment, w którym miałem go na sobie po raz ostatni. Wszystko nagle do mnie wróciło, niczym cios w twarz. Strach ścisnął mi żołądek. Włożyłem go tydzień przed ostatnią imprezą Riot House. Na zewnątrz było zimno, a ja miałem spotkać się z kimś w altance.

Zarzuciłem go na siebie, nawet o tym nie myśląc, a zdjąłem, gdy już byłem na miejscu, po czym zostawiłem go tam – tak bardzo się spieszyłem, by stamtąd uciec. To była zła noc. Skomplikowana. Nie skończyła się dobrze, a ja zrobiłem wszystko, by o niej zapomnieć.

Teraz jej szczegóły wracały do mnie z subtelnością uderzenia młotem.

Pragnę cię, Wrenie Jacobi. A zawsze dostaję to, czego chcę.

Uśmiechnąłem się. Zbyłem śmiechem. Zlekceważyłem go, bo w tym byłem dobry.

No to masz pecha, staruszk. Nie możesz mnie mieć.

Wtedy wywrócił mój świat do góry nogami.

Elodie pewnie po prostu brała udział w zabawie. Nic jej nie było. Ale coś we mnie, coś skrecającego się z niepokoju krzychało, żebym ją znalazł. Nie miała pojęcia, w jak wielkim niebezpieczeństwie się znajdowała, jeśli była teraz w lesie.

Musiałem ją znaleźć. Musiałem ją znaleźć, zanim on to zrobi.

Wyciągnąłem i włączyłem telefon. Zanim otworzyłem wiadomości i szybko wystukałem kilka słów, zbiegałem już po schodach.

Ja: Gdzie teraz jesteś?

Odpowiedź przyszła zaledwie po chwili.

Elodie: A jak myślisz? Właśnie dołączam do zabawy.

ELODIE

– Przestań się zgrywać, Pax. – Wstałam i otrzępałam sukienkę, po czym skrzywiłam się w reakcji na widok chłopaka. Nie miałam dzisiaj siły na użeranie się z nim. Okej, może ostatnim razem, gdy próbował mnie przestraszyć, od razu usadziłam go na dupie, ale wtedy jeszcze nie wiedział, że potrafiłam się obronić. Teraz mógł być przygotowany, co utrudniało sytuację. – Przykro mi, jeśli się źle bawisz, ale chcę tylko znaleźć Wrena i się stąd wynieść, okej?

Maska wilka przechyliła się upiornie na bok. Pax podszedł bliżej.

– Wren, Wren, Wren. No tak. Wszyscy pragniemy Wrena, czyż nie?

– Cóż, wiesz, gdzie typ śpi, więc możecie sobie później przegadać swoje problemy w domu. Myślę, że te moje są teraz trochę bardziej pilne.

Zrobiłam krok w prawo, chcąc go wyminąć, ale odzwierciedlił mój ruch, robiąc krok w swoje lewo i blokując mi drogę.

– Elodie? – odezwała się Carina.

– Pax. Zejdz mi, kurwa, z drogi. A może chcesz się ośmieszyć przed Cariną?

Tym razem zrobiłam krok w lewo, ale ponowił swój manewr i nie pozwolił mi przejść. Słyszałam, jak ciężko oddychał przez otwory w masce. Dźwięk był chrapliwy i mokry.

– Elodie – powtórzyła Carina. – Elle... To raczej nie jest Pax.

Zmarszczyłam brwi, a potem przyjrzałam mu się. Zdecydowanie nie stał przede mną również Dashiell; miał na kłacie niewielką ilość ciemnych włosów, a Dash był ciemnym blondynem. Nie był to też Wren, bo on nawet nie miał tam włosów. Czułam się, jakby prąd przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa. Zrobiłam krok do tyłu.

– Kim...?

Nagle Carina stanęła u mego boku i splotła nasze palce.

– Dochowaliśmy twojej tajemnicy – wyszczała. – Nic nikomu nie powiedzieliśmy. Obiecałeś, że nigdy więcej czegoś takiego nie zrobisz.

Mężczyzna w masce powoli pokręcił głową, cmokając z dezaprobatą.

– Nie znoszę łamać danego słowa, Carrie. Naprawdę. Myślałam, że do tego czasu mi przejdzie, ale... – Sięgnął do góry, pociągnął za przerażający pysk wilka i powoli ściągnął maskę, odkrywając swoją tożsamość. – Po prostu nie potrafię przestać go kochać. To obsesja, wiem. Myślałam, że poradzę sobie z tym, że zależy mu na kimś nowym, ale to niemożliwe. Nienawidzę jej tak samo, jak nienawidziłem tamtej. – Mówiąc to, mężczyzna zwrócił w moją stronę pełne nienawiści oczy, lustrując mnie nimi z obrzydzeniem. – On jest mój, Elodie. Im szybciej wbijecie to sobie do łbów, durne, małe kurewki, tym szybciej przestaniecie umierać.

Doktor Fitzpatrick.

Mój mózg nie był w stanie przestać powtarzać jego nazwiska.

Doktor Fitzpatrick?

W czasie lekcji zawsze był taki przyjazny, pełny troski... Rozwodził się na temat poetów, beształ Wrena, rozkazując mu, by się wyprostował... Czytał jego wiktoriańskie porno na głos przed całą klasą, aby go zawstydzić... Byłam cholernie zdezorientowana. Miałam wrażenie, że mózg zaraz wyleje mi się przez uszy z przegrzania. Wyraz twarzy nauczyciela był pełen złośliwości. To wystarczyło, by wyglądał zupełnie inaczej. Tak, jakby był kimś obcym. Czułam się, jakbym widziała go teraz po raz pierwszy w życiu.

– Awww, biedna Elodie. Nie powiedział ci, co? – szydził.

– O czym?

– O tym, że byliśmy razem. Krótko, jasne, ale po prostu potrzebował czasu, żeby zobaczyć, że jesteśmy bratnimi duszami. Jesteśmy sobie, kurwa, przeznaczeni. Ale wiesz, jaki on jest. Uparty. Są rzeczy, do których po prostu się nie przyzna, jeśli nie zgadzają się z jego planem. To dlatego jeszcze ci nie powiedział, że cię kocha, Elodie.

Czułam się, jakbym zamiast języka miała watę. Nie mogłam zamknąć buzi. Robiłam, co w mojej mocy, by poukładać sobie w głowie to, co właśnie usłyszałam.

– Powiedział, że mnie kocha – wyszeptalam.

Oczy doktora Fitzpatricka zmrużyły się w pełne okrucieństwa szparki.

– Co?

– Powiedział, że mnie kocha – powtórzyłam głośniej. – Kocha mnie.

– Przestań, Elle – ostrzegła Carina, wbijając mi paznokcie w dłoń.

Nauczyciel gwałtownie potrząsnął głową. Przycisnął nadgarstek do czoła i zamknął mocno oczy. Dopiero wtedy zauważyłam masywny nóż myśliwski, który ścisnął w dłoni. *Jakim, kurwa, cudem dopiero teraz go zobaczyłam?* Ostrze połyskiwało szaleńczo w świetle księżyca, które wpadało na polanę przez piętro koron drzew.

Uniósł górną wargę w zdegustowaniu i nagle rzucił się w naszą stronę. Czubek noża skierował prosto w moją twarz. Carina wrzasnęła obok, a ja... nawet... nie... mrugnęłam...

– Nie powiedział tego – prychnął. – Nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Niemożliwe. Wren nie mógłby się zakochać w takiej dziewczynie jak ty. Potrzebuje więcej niż jakieś durne, głupiutkie sukieneczki, znoszone martensy i idiotyczne pytania do dyskusji. To niemożliwe.

To niemożliwe, by stojący przede mną człowiek był w pełni władz umysłowych. *Niemożliwe.* Nikt zdrowy nie celowałby komuś w twarz nożem takiej wielkości, jednocześnie wygłaszając tego typu tyrady. Był zupełnie oderwany od rzeczywistości. Powinnam powiedzieć coś, co by go udobruchało, ale było to ryzykowne. Musiałam z wyczuciem ważyć każde słowo. Doktor Fitzpatrick był wysoko funkcjonującym wariatem – musiał nim być, skoro tak długo oszukiwał resztę świata.

Już miałam się odezwać, gdy nagle zdałam sobie z czegoś sprawę.

– Czekaj. Ten nóż. Znam ten nóż. To jego wbito w moje łóżko!

Fitz odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

– Boże, ale ty jesteś zadufana w sobie: „Och, moje łóżko. Moje cenne książki. Moje rzeczy”. Bla, bla, bla. Dyrektor Harcourt zostawiła go w szufladzie swojego biurka, więc go odebrałem. Mam ten nóż od bardzo dawna, wiesz? Ma wartość sentymentalną.

– Dlaczego zniszczyłeś mi pokój, do cholery?

Mężczyzna warknął i nieznacznie się przybliżył.

– A miałem wybór? Pokój stał pusty całymi miesiącami, a potem pojawiłaś się ty. Nie udało mi się jeszcze znaleźć ani durnego pamiętnika Mary, ani swetra Wrena. To była kwestia czasu, zanim byś się na nie natknęła i zaczęła zadawać pytania. Więc przetrzepałem całe miejsce z góry na dół. Wszystko rozerwałem. Znalazłbym je, gdybyś nie wróciła. Słyszałem, jak narzekałaś przez telefon na swojego ojca, idąc po schodach, więc uciekłem.

– Boże, ty jesteś pojebany – skomentowała pod nosem Carina.

Wciąż to wszystko przetwarzałam, ale niejasne, zmieszane strzępy informacji, które dotąd doprowadzały mnie do bólu głowy, nagle połączyły się w całość.

– To o tobie pisała w pamiętniku, nie o Wrenie. To ciebie się bała.

Nauczyciel angielskiego uśmiechnął się półgębkiem. Przekręcił nóż w dłoni tak, by

światło odbijało się od jego ząbkowanego ostrza.

– Trochę się nią zabawiłem, przyznaję. Nie była w moim typie, ale sprawienie, że myślała, że jej chciałem, było całkiem zajmujące. Tak naprawdę chciałem tylko, żeby trzymała się z daleka od Wrena, ale... – Wzruszył ramionami i zaśmiał się cicho. – Była taka naiwna. Nie to co ty, ech. Nie, ty jesteś bystra, Elodie. Składanie tego w całość teraz nie ma już jednak żadnego sensu. Jest już za późno.

WREN

– Hej! A gdzie twoja maska? Byłeś cholernie gorący jako wilk, Jacobi.

Oto ja i moje szczęście. Oczywiście, że pierwszą osobą, na którą natknąłem się w lesie, była Damiana. Miała pięć czerwonych flag zawiązanych wokół nadgarstka. Obcisły strój pielęgniarki wyglądał, jakby w każdej chwili mógł z niej spaść. To pierdolony cud, że w tych białych szpilkach nie wpadła jeszcze do jaru i nie skręciła sobie karku. Przebiegła dłońmi po mojej klatce piersiowej, wydając przy tym z siebie przypominający kota pomruk.

– Nieważne, niepotrzebna mi maska. I tak mnie złapałeś. Teraz jestem twoja, tak długo...
– wydeła usta – ...jak tylko masz na to ochotę.

– Przestań, Dami.

Rzuciła się do przodu z zamiarem pocałowania mnie.

– Chryste, przestań, do cholery! Szukam Elodie. Widziałaś ją?

Jej twarz od razu nabrała kwaśnego wyrazu.

– Pieprzyć Elodie, Wren. Ile razy mam ci to powtarzać? Ja...

Nie słuchałem dalej. Zostawiłem ją samą i pobiegłem w las. Tętno tak mi szalało, że cały się trząsałem. Musiała gdzieś tu być. Niestety, okazało się, że promień trzech kilometrów obejmował jednak dość spory obszar terenu, a mi nieszczególnie wychodziło znajdowanie w tych ciemnościach kogokolwiek pożytecznego. Sprawdziłem telefon, modląc się, by zobaczyć na ekranie wiadomość od Elodie, ale miałem tylko jedną kreskę zasięgu – *okej, teraz już zero* – i włączyłem w to, by ktokolwiek z uczestników zabawy miał więcej.

Co za jebana katastrofa.

Nie mogło być gorzej.

Pół minuty później, w sposób typowy, wszechświat postanowił mi pokazać, że jednak mogło.

Wpadłem prosto na Mercy. Siedziała na zwalonym pniu drzewa i paliła papierosa, jakby nie było nic nienormalnego w tym, że spędzała środek pierdolonej nocy w lesie. Była ubrana w czarno-biały strój cheerleaderki, a włosy miała związane w dwa kucyki, zaś twarz całą w rozmazanym makijażu. Chyba chciała się przebrać za jakiegoś rodzaju zombie. Nawet nie wyglądała na zaskoczoną, gdy podniosła wzrok i mnie zobaczyła.

– Co tam, braciszku? Dobrze się bawisz? – Wypuściła nosem dwie stróżki dymu.

– Elodie gdzieś tu jest. Muszę ją znaleźć.

– Huh, to ci szok.

– Nie mam teraz czasu na przepychanie się z tobą – warknąłem. – Po prostu mi powiedz, czy ją widziałaś.

Uniosła na mnie brew i ponownie zaciągnęła się papierosem.

– Nawet jeśli ją widziałam, dlaczego miałabym ci o tym powiedzieć? Ostatnio nie byłś dla mnie zbyt miły, Wren.

Miałem ochotę zacząć krzyczeć.

– Dobrze wiesz, dlaczego jestem na ciebie wściekły! To wszystko twoja wina!

Odwróciła się do mnie ze złością na twarzy.

– O czym ty, do cholery, mówisz? Nic nie zrobiłam.

– Wtrącałaś się w moje sprawy, Mercy, tak jak zawsze. Powiedziałaś Fitzowi, że

spotykałem się z Marą, gdy wcale tak nie było. Ujęłaś to w taki sposób, jakbyśmy byli w poważnym pierdolonym związku, mimo że wiedziałas, że ten człowiek jest zupełnie szalony – mówiłem, tracąc nad sobą panowanie. – Mara zaginęła przez twoje słowa. Sprawiałaś, że stałem się odpowiedzialny za to, co jej się przydarzyło!

– Chciałam tylko pomóc – wyszczała, strzepując papierosa na podszycie. Wstała, podeszła do mnie i dźgnęła mnie palcem w klatkę. – Poza tym nie wiemy, co przydarzyło się Marze, okej? Pewnie jest teraz w Cabo, popija margarity i robi laski jakimś studenciakom na plaży. To typ rodem z *Zaginionej dziewczyny*, idioci.

– Mów sobie tak dalej, jeśli lepiej się z tym czujesz, Merce. Fakty są takie, że Fitz nigdy by się nią nie zainteresował, gdybyś mu nie powiedziała, że się z nią spotykałem. Mara była twoją przyjaciółką. Czy ci się to podoba, czy nie, rzuciłaś mu ją na pożarcie.

Po raz pierwszy od lat w jej oczach zalśniły szczerze łzy. Nigdy nie okazała choć cienia skruchy z powodu tego, co zrobiła. Choć wyglądało to przekonująco, nie zamierzałem tak po prostu uwierzyć w prawdziwość tego pokazu emocji. Mercy zawsze zalewała się łzami, gdy czegoś chciała.

– Masz rację, była moją przyjaciółką. I tak, powiedziałam coś, czego nie powinnam. Próbowалаm tylko pomóc ci wyplątać się z sytuacji, w którą nigdy nie powinieneś wchodzić. Chryste, Wren, przecież tobie nawet nie podobają się chłopcy. Co ty sobie myślałeś?

Nie powinienem jej tak długo unikać. Powinniśmy to przegadać miesiące temu, ale byłem zbyt zły, by choćby na nią spojrzeć. Wciąż się tak czułem.

– Słuchaj, nie będę się teraz z tobą kłócić na temat mojej orientacji seksualnej, gdy Elodie może być w niebezpieczeństwie. Fitz gdzieś tu jest i chyba jej szuka. Muszę znaleźć ją pierwszy. Jeśli nie zamierzasz mi pomóc, to w tym momencie się z tobą żegnam.

Ruszyłem przez drzewa, kierując się na północ. Oczy zdążyły mi się przyzwyczaić do ciemności. Pewny swoich kroków zwiększyłem tempo. Wszystkie moje zmysły trwały w stanie najwyższej gotowości.

– Jezu, Wren! Wren! – wołała za mną Mercy. Zatrzymałem się na tyle długo, by umożliwić jej dogonienie mnie. Gdy zeskoczyła z kamienia i wylądowała obok mnie, dyszała, zupełnie pozbawiona tchu. – Skoro nigdy nie dałeś mi okazji na odkupienie swoich win, mogę ci pomóc znaleźć tę twoją małą, głupiutką dziewczynę.

– Nie będziemy po tym kwita, Mercy. Wciąż będzie nam do tego daleko.

Wydeła dolną wargę i przewróciła na mnie oczami w dokładnie ten sam sposób, w jaki robiła to, odkąd skończyliśmy pięć lat.

– Dobra. Jak chcesz, dupku. Ale musisz przyznać, że jest to dobry początek. A teraz prowadź. Wiedziałaś, że nie bez powodu założyłam dzisiaj tenisówki.

Mijały minuty. Potem godzina. Około pierwszej nad ranem doszedłem do wniosku, że przeczesanie takiego terenu i znalezienie w nim jednej dziewczyny po prostu nie mogło się udać. To było istne szaleństwo. Nawet z Mercy, wrzeszczącą w kółko imię Elodie, prawdopodobieństwo, że się na nią natkniemy, było nikłe.

– Nie ma jej tutaj, Wren – stwierdziła Mercy. – Jest malutka, nawet cała mokra nie waży pięćdziesięciu kilo. Po co miałyby się w ogóle bawić w jakieś durne polowanie? Założę się, że siedzi teraz w tej ohydnej kawiarni, pije koktajle mleczne i obżera się frytkami razem z Carrie Mendozą.

– Nic nie wiesz o Elodie, więc może się przymkniesz, co? Wiem, że tu jest. Po prostu to wiem. Nawet jeśli tak nie jest, ja i tak przeszukam każdy jebany skrawek tego lasu, żeby się

upewnić. Fitz powiedział, że „dołącza do zabawy”. Jeśli jest jakakolwiek szansa na to, że ją skrzywdzi, muszę go, kurwa, powstrzymać.

– Wow, serio wpadłeś po uszy. Nigdy nie widziałam, żeby tak ci na czymś zależało – przyznała cicho. Po raz pierwszy nie miałem wrażenia, że ze mnie szydzi. Brzmiała na autentycznie zaskoczona.

– No wiesz, w końcu przychodzi taki moment, że człowiekowi zaczyna na czymś zależeć, Mercy. Bez tego, po co byłoby to wszystko, do cholery?

– W sensie?

Spojrzałem na nią.

– Życie.

Nagle wybałuszyła oczy i błyskawicznie skierowała je do przodu. Chwyliła mnie za nadgarstek, a potem pociągnęła za sobą, za drzewo.

– Ćśśś, usłyszałam coś.

– To pewnie wiewiórka, Merce. Chodź.

Syczała i zapluwała się, waląc mnie w plecy i usiłując sprawić, żebym się zatrzymał, ale szedłem dalej. Podążyła za mną, choć przez cały czas klęła pod nosem. Piętnaście sekund później też coś usłyszałem: niskie, pozbawione tchu jęknięcie.

– Co, do kurwy?

Mercy wskazała na prawo, a ja dzięki temu odkryłem źródło dźwięku. Naga Presley Adams, z podskakującymi cyckami, została przygwożdżona do drzewa przez rżnącego ją bez opamiętania chłopaka w wilczej masce. Naturalnie był to Pax. Miałem tę nieprzyjemność wielokrotnie widzieć jego nagi tyłek, przez co z łatwością go rozpoznałem. Nawet bez bielizny Calvina Kleina.

– Obrzydliwe – skwitowała scenę Mercy.

Dobrze wiedziałem, że gdyby tylko miała ku temu okazję, sama przespałaby się z Paxem, więc adresatką jej komentarza była najprawdopodobniej Pres. Okrążyłem parkę na tyle szerokim łukiem, by uniknąć przechodzenia tuż obok.

Byliśmy już prawie na skraju dozwolonego obszaru zabawy, który graniczył z terenami akademii. Wtedy natknęliśmy się na jaskinię. Znajdowała się wewnątrz skały u podnóża olbrzymiej skarpy, która pięła się w stronę nieba tuż nad baldachimem z gałęzi drzew. Mercy rzuciła okiem w głąb ciemnej paszczy i potrząsnęła głową.

– Uch, uch. Nie. Nie ma mowy. Nie idę tam.

– W porządku, więc nie idź. – Stałem u wejścia do jaskini i wpatrywałem się w niezgłębioną ciemność. Nic, kurwa, nie widziałem. – ELODIE!!!

Krzyk wrócił do mnie zwielokrotniony przez echo, odbijając się od skalnych ścian. Z każdym powtórzeniem rozbrzmiewał coraz ciszej, coraz dalej. Wyglądało na to, że jaskinia była głęboka. Czekałem, nasłuchując odpowiedzi, która nigdy nie nadeszła.

– Już prawie jesteśmy w szkole – zauważyła Mercy. – Może pójdziemy i tam sprawdzimy? Równie dobrze mogła wrócić.

Żułem wnętrze policzka. Zastanowiłem się przez chwilę nad jej słowami, ale nie byłem w stanie się pozbyć zjadającego mnie od środka niepokoju. Sama myśl o zaniechaniu poszukiwań i powrocie do akademii napęłała mnie tak niewytłumaczalnym przerażeniem, że nie mogłem w ogóle brać takiego scenariusza pod uwagę.

– Zaczekaj tutaj, Merce. Krzyknij, gdyby ktoś przyszedł.

– Na litość boską, Wren. To głupie! Po prostu wracajmy!

Nabrałem powietrza i wszedłem do środka.

ELODIE

Krav maga to system stworzony specjalnie po to, by nauczyć Siły Obronne Izraela, jak rozbroić napastnika. Konkretnie, jak odebrać mu pistolet albo, na przykład, nóż. Mogłabym odebrać Fitzpatrickowi ten nóż myśliwski w trzech szybkich ruchach, ale czekałam na właściwy moment. Był tak pewny, że miał pełną kontrolę nad sytuacją, że non stop gadał i wyjawiał wszystkie swoje sekrety niczym złoczyńca z jakiegoś pieprzonego filmu o Jamesie Bondzie, a ja chciałam dowiedzieć się tak dużo, jak to fizycznie możliwe, zanim złamię mu nadgarstek i ucieknę.

Carina szła przede mną ze związanymi z tyłu pleców rękami. Mnie spotkało to samo – cienka lina, jakiej użył do skrępowania nas, wrzynała mi się w skórę – ale na tym etapie nieszczęśliwie się tym przejmowałam. Bardziej interesowało mnie to, dokąd nas zabierał.

– Zwiększmy tempo, drogie panie, bo do rana nie dotrzemy na miejsce.

Brzmiał na radosnego, ale nie zapomniał o moich wcześniejszych słowach. Nie wierzył w to, że Wren wyznał mi miłość. Wciąż usiłował mnie przekonać, że się myliłam.

– Okłamywał cię, wiesz? Zabrał sobie folder z twoimi informacjami z gabinetu Harcourt. Ukradł twoje zdjęcie. Zamierzał się tobą zabawić. Wiedziałaś o tym?

– Tak, wiedziałam o tym. Powiedział mi. Znam wszelkie szczegóły małej obsesji, jaką miał na moim punkcie na samym początku, gdy się poznaliśmy. Ale wszystko się zmieniło. Stało się prawdziwe. I dla mnie, i dla niego.

Może powinnam brzmieć na odrobinę mniej znudzoną – i odrobinę bardziej przestraszoną? Oczywiście, że srałam pod siebie z przerażenia, ale jednocześnie byłam pewna, że we właściwym momencie będę w stanie przejąć kontrolę nad sytuacją. Chciałam trochę sprowokować naszego doktora. Na tyle go zdenerwować, by zaczął popełniać błędy. Carina obrzuciła mnie surowym spojrzeniem, które mówiło samo za siebie: „Co ty, do kurwy nędzy, wyprawiasz, dziewczyno? Nie podburzaj go. Przez ciebie obie umrzemy!”

– Oczy do przodu, Carrie – rozkazał Fitz. – Grzeczna dziewczynka. Chyba byśmy nie chcieli, żebyś się potknęła i skrzyła sobie kark, prawda?

– Powiedział, że jestem pierwszą osobą, którą kiedykolwiek pokochał. To, co jest między nami, jest wyjątkowe – stwierdziłam lekko. – Nie sądziłam, że chłopak taki jak Wren zainteresuje się kimś takim jak ja, ale sposób, w jaki czasami na mnie patrzy... – Westchnęłam w udawanym rozmarzeniu. – Gdy pojedziemy na studia, zamieszkamy razem. Będzie wspaniale. I... – Nie miałam szansy dokończyć.

Upadłam do przodu, a moja twarz uderzyła o ziemię. Ze związanymi z tyłu rękoma nie miałam możliwości jakiegokolwiek osłonięcia się. Siła uderzenia rozniosła się bólem po całym ciele, od głowy aż po stopy. *Cóż... Może trochę przesadziłam.*

– Stul ten swój dziwkarski pysk, Elodie. – Nauczyciel angielskiego kucnął nade mną, warcząc mi prosto do ucha. – Chyba że chcesz się tu wykrawić.

WREN

Ledwo skręciłem za najbliższy róg i zauważyłem przed sobą światło. Nadzieja ożyła na nowo. Może z jakiegoś powodu nie usłyszała, jak ją wołałem. Może sobie tutaj siedziała, zabijając czas, zanim wróci do Wolf Hall. Tak bardzo się spieszyłem, że potknąłem się o rozsiane na wąskiej ścieżce kamienie i cudem uniknąłem upadku, łapiąc się szorstkiej ściany.

– Elodie?

Powinienem jej wszystko, kurwa, powiedzieć, gdy miałem ku temu okazję. Ukrywanie tego przed nią było niesamowicie głupie. Potrzebowała znać prawdę, żeby móc się przygotować na to, w co się pakowała. Byłem tchórzem. Byłem słaby. Zdobycie jej zaufania trwało tak długo... Byłem przekonany, że uda nam się dobrać do zakończenia szkoły, a Fitz o niczym się nie dowie. Byłem taki głupi.

– ELODIE! – okrzyk rozniósł się jeszcze dalej niż ostatnim razem.

Zanim zdołałem nabrać powietrza i ponownie ją zawołać, znalazłem się w otwartej grocie o wysokim sklepieniu. Światło, które wcześniej dostrzegłem, pochodziło od elektrycznych lampek rozwieszonych po jednej stronie ściany. Z topornego głazu spływała woda, gromadząc się w brudnych kałużach. Na samym środku stała kamienna plinta.

Nie, nie plinta.

Ołtarz.

A przynajmniej tak to wyglądało. Podeszedłem do tej kamiennej konstrukcji ze ściśniętym sercem i... *O mój Boże*. W uszach rozbrzmiało mi piskliwe brzęczenie. *To Mara*. Leżała na środku ołtarza z dłońmi spoczywającymi na piersi. Zostały z niej już tylko kości i matowe włosy.

To tutaj była.

Cały ten czas...

Policja przeszukała lasy i nigdzie jej nie znalazła. Poszukiwania przeniosły się nawet na Florydę, gdzie mieszkali rodzice dziewczyny. Obkleili jej twarzą kartony z mlekiem i tablice ogłoszeń, a ona przez cały ten czas była tutaj, cicho przemieniając się w popiół.

– Ja pier... dołę.

Uniosłem dłoń. Palce zawisły nad szerniałą czaszką i...

– O Boże!

Cofnąłem dłoń, prawie wyzionąwszy ducha. Mercy stała u wejścia, wpatrując się w ciało dziewczyny, która kiedyś była jej przyjaciółką. Szok zniekształcił jej twarz. Nawet w słabym świetle rzucanym przez lampki widziałem, jak była blada.

– Jezu, prawie dostałem zawału! – wysyczałem.

Podeszła do mnie na chwiejnych nogach, z wyciągniętą ręką, jakby ziemia właśnie się pod nią poruszała, a ona walczyła o utrzymanie równowagi.

– Przysięgam... – wyszeptwała. – Przysięgam, że byłam pewna, że wszystko z nią dobrze. Że po prostu się zmyła. Czyli jednak nie robi lasek w Cabo...

– Nie – Słowo, które ze mnie wyszło, było cięte i szorstkie.

Mercy była odpowiedzialna za dużą część tego, co się stało. Nie zamierzałem tego mówić na głos; w końcu jaki sens miało przerzucanie się winą po fakcie? Ale ja i Mara ledwie się znaliśmy. Raz poszliśmy na randkę i nawet się nie pocałowaliśmy, a ja uznałem, że do mnie nie pasowała. Jak na dupka przystało – nie była dla mnie wystarczająco niewinna. Była tak samo

skażona i zagubiona jak ja wtedy, przez co nie miałem ochoty nawet na jednonocną przygodę. Na początku o mnie zabiegała, ale szybko zrezygnowała. Nie było między nami żadnej urazy. A potem Mercy musiała wtrącić się z tym swoim nochalem, przez co Mara skończyła martwa. Fitz nawet by jej nie tknął, gdyby siostra nie powiedziała tego, co powiedziała.

Mercy stanęła nad zwłokami przyjaciółki. Widziałem, jak pracowały jej mięśnie szyi. Chyba zaczęła rozumieć, co zrobiła. W końcu zaczęło to do niej dochodzić. Łzy spływały jej po twarzy, gdy przyglądała się kościom przyjaciółki: od czaszki, poprzez żebra, miednicę, kości udowe, piszczelowe, strzałkowe...

– Nie gawędziłabym z nim sobie na ulicy, gdyby choć przez myśl mi przeszło, że był zdolny do czegoś takiego – wyszeptała. – Ja... ja myślałam, że to zabawa... że to zabawne, że tak nie chciał zostawić cię w spokoju. Nie wiedziałam...

Otoczyłem jej barki ramieniem i przytuliłem ją do siebie. Była powodem większości poczucia winy, jakie trawiło mnie przez ostatni rok – bo ja wiedziałem. Wiedziałem, że Fitz był szalony. Bałem się, że mógł zrobić coś takiego, ale nie miałem na to żadnych dowodów. Aż do dzisiaj. W tej chwili jednak Mercy cierpiała, a wciąż była moją pieprzoną rodziną. Będzie musiało minąć wiele czasu, zanim wszystko przetrawi, ale teraz zamierzałem ją pocieszyć, bo tak właśnie powinni zachowywać się bracia.

– Musimy wezwać policję – wymamrotała w moją koszulkę.

– Wiem. Zrobimy to. Ale najpierw musimy znaleźć Elodie. Nie chcę, żeby skończyła na tej płycie obok Mary. Przeszukajmy resztę jaskini i...

Głośny zgrzyt rozniósł się echem po przejściu za nami. Jakby kamień poturlał się po ziemi, a następnie uderzył o ścianę. Wymieniliśmy się z Mercy oniemiałym spojrzeniem.

– Kryj się – wysyczała.

Ale było za późno. Nie mieliśmy, gdzie się schować. Grota znajdowała się na samym końcu jaskini. Nie było w niej nic poza ołtarzem.

Zrobiłem więc to, co powinienem zrobić już dawno temu.

Odwróciłem się i czekałem.

Nadszedł czas, bym zmierzył się z potworem.

ELODIE

Carina wydała z siebie zduszony okrzyk. Dzięki temu wiedziałam, że z przodu czekało nas coś złego. Ściany przejścia zwęzły się wokół, jakby chciały mnie zdusić. Doktor Fitzpatrick pchnął mnie od tyłu, zmuszając do wejścia do otwartej groty. Serce stanęło mi w piersi.

Wren.

Na mój widok oczy rozszerzyły mu się z przerażenia, ale już po chwili całkowicie zobojętniały. Stojący za mną nauczyciel parsknął pustym, zaskoczonym śmiechem.

– Proszę, proszę, proszę. A kogo my tu mamy?! Dopiero co o tobie rozmawialiśmy, czyż nie, dziewczęta? O, i Mercy. Wow, mamy tutaj cały gang.

Wren wpatrywał się we mnie. Jadeitowe oczy lustrowały mnie z uwagą, począwszy od stóp. Szukał urazów. Potrząsnęłam szybko głową, by dać mu znać, że nic mi nie było. Zrobił krok do przodu i wsunął dłonie do kieszeni. Typowy, normalny ruch Wrena.

– Co się dzieje, Wes? Co robisz?

– Myślałem, że to oczywiste – odpowiedział mu. – Wygląda na to, że znowu mamy ten sam problem. Te dziewczyny po prostu nie mogą przestać wypełzać spod podłogi, usiłując się między nas wcisnąć. Ledwie zająłem się jedną, a już druga wyskakuje znikąd. – Zaśmiał się pod nosem. – Przypomina mi to tę grę zręcznościową, „Uderz kreta”. Co za szczęście, że zawsze byłem w nią dobry. Może przytrzymasz Carinę? Zadbaj, by była cicho, a ja zajmę się Elodie.

Po twarzy chłopaka przebiegł grymas obrzydzenia.

– Na jakiej planecie ty żyjesz, staruszkule? Nie będę nikogo uciszał. Do cholery, rozwiąż im ręce. Co jest z tobą nie tak?

Doktor Fitzpatrick aż odchylił głowę. Na policzku miał stróżkę brudu. Po lewej stronie też. Ślady po tym, jak próbował podnieść mnie do pionu po moim upadku. Zadrżała mu dolna warga, zupełnie jakby był małym chłopczykiem, który właśnie otarł sobie kolano i nie wiedział, czy wolno mu zapłakać.

– Nie musisz do mnie mówić takim tonem, okej? Staram się. Staram się robić to, co dla nas najlepsze. Jak mamy być razem, gdy te dziwki ciągle mieszają ci w głowie?

– Nie myślisz racjonalnie – wyszeptał Wren. – Potrzebujesz pomocy.

– Teraz już tylko ty możesz mi pomóc. Pomóż mi zająć się tą dwójką, a pozwolę, by twoja siostra sobie poszła. To rodzina, prawda? Nic nikomu nie powiesz, Mercy, obiecujesz? Rozumiesz, dlaczego to się musi stać? Przecież to ty powiedziałaś mi o Marze, zgadza się?

Brzmiał na tak zdesperowanego. Miał teraz zupełnie inną aparycję, niż podczas lekcji. Nie mogłam zrozumieć, że to ta sama osoba. Odwróciłam się plecami do ściany jaskini, korzystając z rozproszenia nauczyciela. Skręciłam dłoń tak, by była jak najwęższa, i zaczęłam wykręcać nadgarstek w prawo i w lewo, przesuwając sznur wzdłuż dłoni milimetr po milimetrze.

Mercy była blada jak zjawa. Przeniosła wzrok z Wrena na doktora Fitzpatricka. Niekontrolowanie się trzęsła.

– J-ja... n-nie wiedziałam... ż-że to się stanie...

Już prawie uwolniłam jedną rękę.

– I po co dalej udajesz, Mercy? – fuknęłam. – Nienawidziłaś mnie, odkąd wróciłaś do Wolf Hall. Od pierwszego dnia zachowywałaś się jak skończona suka. Po prostu sobie idź, do cholery. Wynos się stąd.

Mercy podskoczyła. Chyba zapomniała, że tu w ogóle byłam. Wren zmarszczył brwi, ale szybko zrozumiał, co usiłowałam zrobić.

– Właśnie, Merce. Jesteś rodziną. Więzy krwi są najważniejsze. Więc... wynoś się stąd. I nie waż się pisać choćby słówka o tym, co tu dzisiaj zobaczyłaś.

Fitz z uwagą śledził całą wymianę, skacząc wzrokiem od jednej do drugiej osoby. W czasie zajęć zawsze sprawiał wrażenie tak władczego i silnego. Był panem swojej przestrzeni, emanował pewnością siebie. Tutaj sprawiał wrażenie poddenerwowanego i niespokojnego. Stresowało mnie samo patrzenie na niego.

– Dobra. – Dziewczyna z trudem przełknęła ślinę. – Jak chcecie. I tak mi nie zależy. Zobaczymy się w domu, Wren.

Modliłam się w duchu, by Mercy się domyśliła, że ma zadzwonić na policję, gdy tylko odzyska zasięg. Najpierw potrzebowałaby jednak dotrzeć do głównej drogi, a wątpiłam, że była w stanie to zrobić. Przeszła powoli wzdłuż ściany, z rezerwą przyglądając się Fitzowi.

Nie powinnam się odzywać, ale oczywiście to zrobiłam.

– Czekaj. Może Carina poszłaby z nią? Nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Nie obchodzi ją Wren. To ze mną masz problem.

Mężczyzna z maniackim uśmiechem odwrócił w dłoni nóż myśliwski. Pokręcił głową. Na twarzy miał rozczarowanie. Odciął Mercy drogę i zablokował swoim ciałem wyjście z jaskini.

– Jesteście po prostu okropni. Mercy, spodziewałem się po tobie więcej. Taka właśnie z ciebie profesjonalna aktorka. Co za wstyd. Wracaj do brata. No dalej, ruchy.

Wzdrygnęła się, gdy uniósł nóż, żeby pokazać ostrze. W ciągu sekundy stała przy Wrenie. Nie dziwiłam jej się: błysk w oczach Fitz'a był po prostu, kurwa, demoniczny.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy się w swojego rodzaju impasie, klaso. Wren, ty nie chcesz przyznać się do swoich prawdziwych uczuć. Mercy, tobie nie można ufać, mimo że powinnaś mieć na uwadze dobro swojego brata. Carina, ty jesteś zwykłą ofiarą okoliczności. A Elodie... Cóż. Elodie po prostu musi umrzeć. I co teraz?

– Jest nas czwórka. – Wren zerknął na mnie kątem oka. – A ty jesteś jeden. Szanse na to, że uda ci się nas powstrzymać, są dość nikłe.

Fitz miał na twarzy autentyczne przerażenie. Zrobił krok do przodu z dłońmi uniesionymi w uspokajającym geście.

– O czym ty mówisz? Nigdy bym cię nie zabił, Wren. Przecież cię kocham – szeptał błagalnie. – Musimy się tylko pozbyć tych dziewczyn.

Uwolniłam obie ręce. Sznur upadł na ziemię. Mentalnie przygotowywałam się już do działania.

Twarz Fitz'a wykrzywiła się w okrutnym uśmiechu.

– Nie boję się trzech chuderlawych dziewczynek. I nie wydaje mi się, żebyś był w stanie mnie zranić... – kontynuował.

Był całkowicie skupiony na Wrenie. Zachowywał się jak w transie. Był odurzony, wręcz fanatyczny. To smutne, do jakich rozmiarów urosła ta obsesja. Był chory. Rzeczy, jakie zrobił, by spróbować go zdobyć... To, do czego był zdolny...

Nagle Fitz odbił w bok. W dłoni dzierżył nóż, którego użył do zadżgania mi łóżka. Strach mnie zelektryzował. Czas zwolnił. Byłam gotowa. Zaczekałam do ostatniej chwili i...

– Nie! – trzy głosy krzyknęły równocześnie. Słowo rozniosło się echem po jaskini.

Wren ruszył do przodu, chcąc chwycić mężczyznę... ale Carina była bliżej. Zupełnie zmrożona patrzyłam, jak się na niego rzuciła. Ręce wciąż miała związane z tyłu pleców. Mogła go powstrzymać jedynie poprzez wpadnięcie w niego barkiem.

Wiedziałam, jak miało się to skończyć, jeszcze zanim się to wydarzyło.

Fitz ją zauważy.

Zauważył.

– CARINA, NIE!

Będzie miał czas na to, by się odwrócić.

Miał.

Będzie już na nią czekał, gdy na niego wpadnie.

Czekał.

Nóż...

Nóż...

Mogłam tylko krzyczeć, gdy Fitz zwrócił ostrze w stronę Cariny i dźgnął ją nim prosto w brzuch.

WREN

Carina, Carina, Carina.

Słodka mała Carrie.

Kwoka czuwająca nad swoimi pisklaczkami z czwartego piętra.

Właśnie dlatego Harcourt wyznaczyła ją na opiekunkę wszystkich uczennic Wolf Hall – była bezinteresowna, odważna i gotowa do poświęceń, byle tylko zapewnić reszcie bezpieczeństwo. Teraz to widziałem.

Ostrze zniknęło w brzuchu dziewczyny aż po rękajeść. Z jej ust wydobyło się mokre, drżące sapnięcie. Fitz parsknął obłąkanym śmiechem, gdy ujął w dłonie głowę Cariny, która właśnie ześlizgiwała się z jego noża. Wyglądał na chorobliwie wręcz zafascynowanego wyrazem jej twarzy. Zamrugła w zaskoczeniu. Wciąż poruszałem się w ich stronę, blisko ziemi. Dotarłem do niego w momencie, gdy przygotowywał się do drugiego dźgnięcia. Elodie była tuż obok. Złapała Carinę za ramiona i odciągnęła ją na bok, gdy powaliłem Fitz.

– ZŁAŻ ZE MNIE! – zawył.

Był ode mnie starszy i zdecydowanie większy, ale ja byłem silniejszy. Poczułem nagły ból. Krew spłynęła wzdłuż mojej ręki, ale nie poluzowałem uścisku. Owinąłem ramię wokół jego szyi, wbijając przy tym stopy w ziemię, żeby się dobrze zaprzeć. Próbowałem jakoś stanąć za tym skurwysynem. Jeśli tylko udałoby mi się go porządnie podduścić, odciąłbym mu dopływ tlenu. On walczył jednak jak prawdziwy diabeł i nie zamierzał wypuścić z dłoni tego jebanego noża.

– Carina! O Boże, Carina! – Elodie podniosła dziewczynę, a potem zaczęła krzyczeć w stronę Mercy. – Rozwiąż jej ręce! Nie stój tak tam, do kurwy!

– Pogódź się... z tym... Wren! – wywarczał Fitz. – Już prawie... skończone!

Dłoń tak ślizgała mi się od własnej krwi, że wypuściłem z uchwytu jego nadgarstek. Fitz wykorzystał okazję i zamachnął się do tyłu, nad swoją głowę. Stalowe ostrze trafiło mnie w zagięcie szyi. Mimo kolejnych smagnień, nie puściłem go. Fitz łkał i wymachiwał nożem, dźgając do tyłu. Skręcałem się, by uniknąć ostrza.

– PUSZ-CZAJ! To nie tak... miało... być!

Miałem w dupie, co sobie ten facet zaplanował. W końcu udało mi się przenieść za jego plecy. Wzmocniłem ucisk wokół jego szyi, używając drugiej ręki jako dźwigni.

– Dźgaj mnie, ile chcesz, Wes. Nie puszczę cię, dopóki nie padniesz.

– Nie możesz... pozwolić... by mnie zabrali...

Kolejne dźgnięcie w przedramię. W udo. W bok.

Ruchy Fitz'a zaczęły spowalniać. Nóż upadł na ziemię. Wbił się palcami w moją rękę, chcąc poluzować uchwyt, ale nie miał na to żadnych pierdolonych szans. *Nie pozwolę, żeby jeszcze kogoś zranił. Prędkiej się tu wykrwawię, dusząc tego skurwysyna do ostatniego tchu, nim pozwolę, by skrzywdził kolejną osobę z mojego powodu.*

– Nie oddycha! Nie oddycha! – przesywający krzyk Mercy wypełnił mi uszy.

Mrugnąłem i Elodie stała już nad nami z nożem w rękach.

– Chory... pokręcony... skurwysyn... – wydyszała.

Spodziewałem się, że go wypatroszy, ale nie zrobiła tego. Odwróciła broń, trzymając ją za rękajeść, po czym przywaliła mu ciężkim metalowym uchwytem prosto w głowę. Po jaskini

rozniał się przyprawiający o mdłości trzask.

ELODIE

Skurwysyn stracił przytomność.

Chwyciłam sznur, którym miałam związane ręce, oraz ten, który Mercy dopiero co zdjęła z nadgarstków Cariny, a potem rzuciłam w stronę Wrena.

– Upewnij się, że nigdzie nie ucieknie, zanim go dobiję.

Nawet po tym, jak ojciec zamordował mi mamę i całymi dniami przetrzymywał mnie w tamtej skrzyni, nie sądziłam, że kiedykolwiek będę miała odwagę go zabić. Teraz jednak nie miałam żadnych wątpliwości, co do tego, że pozbawię Wesleya Fitzpatricka życia, jeśli choć drgnie w przeciagu następnym paru minut.

Carina cała drżała, przyciskając sobie dłonie do brzucha. Mercy wydawało się, że już nie oddychała, ale na szczęście tak nie było. Nabierała jednak powietrze w płytki, chrapliwy sposób, co nie brzmiało dobrze. Nie wypowiedziała ani słowa; wpatrywała się tylko we mnie w przerażeniu. Krew wypływała niemrawo z okropnie wyglądającej rany.

– Musimy ją zabrać do akademii – stwierdziłam.

– N-nie powinniśmy jej ruszać. Wezwijmy pomoc – jęknęła Mercy.

Wren potrząsnął głową.

– Nie doczeka tego. Wezmę ją.

Z ust Cariny wydobył się przestraszony, pełen bólu okrzyk, gdy Wren ujął ją za ramiona i podniósł z zimnej ziemi. Już po chwili szliśmy przed siebie. Fitz wciąż był nieprzytomny, gdy zostawiliśmy go związanego w jaskini, z twarzą w brudzie.

Las otaczał nas z każdej strony, był ciemny i nie wróżył niczego dobrego. Wren nie odezwał się więcej. Dysząc, odnalazł właściwy kierunek, a następnie ruszył biegiem z Cariną na rękach, w stronę akademii.

Mimo dodatkowego obciążenia, a także trudności ze złapaniem tchu, wciąż był o wiele szybszy ode mnie i Mercy. Nie czułam uderzających we mnie gałęzi. Nie czułam żadnego bólu, gdy potknęłam się i upadłam. Nie spuszczałam wzroku z pleców Wrena. Po prostu biegłam dalej.

Zgubiłam buty.

Gdy dotarliśmy do drogi, od ulgi zakręciło mi się w głowie. Podeszwy stóp zdzierają mi się od asfaltu, gdy podążałam za Wrenem. Nie zawahał się ani na chwilę. Byliśmy jednak tak daleko od akademii... Za daleko. Z wizją szarpanej, krwawiącej rany przed oczami, zaczęłam tracić nadzieję.

Nie uda nam się. Wrenowi się nie uda. Nie mamy wystarczająco dużo czasu.

Nagle rozległ się dźwięk klaksonu, a ja prawie zesłam na zawał ze strachu. Przez absolutnie przerażającą sekundę przemknęło mi przez głowę, że to Fitz. Że jakoś uciekł z jaskini i gazował w naszą stronę. Wtedy minął nas samochód Paxa. Charger zatrzymał się z piskiem opon tuż przy Wrenie. Mignęły mi blond włosy.

Choć Mercy była ponad kilometr za mną, wciąż usłyszałam jej krzyk.

– To Dash!

Zatrzymałam się, by mogła mnie dogonić.

– Skąd wiedział?

– Wysłałam mu wiadomość z jaskini – wydyszała, po czym wzruszyła ramionami. – Nie wiedziałam, czy dojdzie, ale... – urwała, walcząc o oddech.

Nieważne, skąd wiedział. Ważne, że się pojawił. Nie sądziłam, że kiedykolwiek tak się ucieszę na widok tego dupka. Ledwie trzymałam się na nogach, gdy dotarłam do auta. Dash trzymał Carinę w ramionach i układał ją na tylnym siedzeniu, klnąc przy tym jak szaleniec. Twarz miał szarą, a ruchy gorączkowe.

– Wsiadaj do auta, Wren! – krzyknął. – I to, kurwa, już!

Wren machnął ręką, po czym zatoczył się, wpadając na auto.

– Nic mi nie jest. Zabierz ją. Nie czekaj na karetkę. Jedź!

Dopiero gdy upadł na jedno kolano, zdałam sobie sprawę z tego, jak źle wyglądał. O Boże. *O kurwa, o kurwa, o kurwa.* Był cały we krwi. Na ramieniu miał otwartą ranę, a jego koszulka była całkowicie pocięta, tak samo jak ręce.

Dashiell zatrzasnął tylne drzwi, potrząsając głową. Chwytał Wrena brutalnie za ramię i podniósł do pionu.

– Wsiadaj do tego pierdolonego auta, Jacobi. Jesteś jedną nogą w grobie.

– N-nic... mi nie... jestttt... – wybełkotał, po czym oczy wykręciły mu się białkami do wnętrza czaszki i zemdłał w uścisku Dashiella.

W jaskini nie zauważyłam jego obrażeń. Byłam tak skupiona na Carinie, a teraz... a teraz wyglądało na to, że... że on zaraz...

A mimo to pobiegł.

Biegł przez las, żeby tylko uratować Carinę, podczas gdy sam się wykrwawiał. Zakryłam dłońmi usta, by stłamsić szloch. *To się, kurwa, nie dzieje. To się nie dzieje.*

Dash wpakował go na przednie siedzenie, a następnie zwrócił na nas uwagę.

– Wszystko w porządku? Dacie radę same wrócić do akademii?

Skinęłam głową, mimo że nie byłam tego pewna.

– Jedź, Dash. Przejedź każde czerwone światło, tylko nie pozwól, żeby umarli.

ELODIE

Funkcjonariuszka policji w skupieniu cicho szeptała coś w swoją krótkofalówkę, podczas gdy kolejny radiowóz, z migającymi światłami i włączoną syreną, pomknął w górę podjazdu prowadzącego do akademii Wolf Hall. Na miejscu znajdowało się już pięć policyjnych aut, choć w większości pustych. Policjanci pobiegli w głąb lasu. Kierowali się na południe, w poszukiwaniu wysuniętej skały. W świetle poranka dało się ją dostrzec ponad koroną drzew.

– I to tyle? To cała historia? – dopytywała kobieta. Zmrużyła oczy, patrząc na nas, a potem przypięła krótkofalówkę do paska. Przedstawiła się jako oficer Haynes Hartung, ale prosiła, żebyśmy mówili do niej „Amy”. – Nauczyciel to zrobił? Nauczyciel angielskiego? Z powodu jakiegoś ucznia?

Mercy wciąż była w szoku. Pokiwała nieprzytomnie głową, wpatrzona w stopnie.

– Tak, z powodu mojego brata. Niósł Carinę, ale on... ale ona...

– Właśnie dostałam wiadomość ze szpitala – poinformowała nas Amy. – Chłopak i dziewczyna są w złym, ale stabilnym stanie. Dziewczyna by umarła, gdyby trafiła tam choć chwilę później. Cokolwiek zrobił twój brat, moja droga, uratował jej życie.

Coś we mnie pękło. Nie byłam w stanie oddychać. Zmuszenie ust, by formowały zrozumiałe słowa, już wcześniej balansowało na granicy niewykonalności, ale teraz, gdy usłyszałam, że z Wrenem i Cariną wszystko może być dobrze, to wpadłam w histerię.

Zaczęłam płakać i nie mogłam, kurwa, przestać.

Mercy otoczyła mnie ramionami i obie szlochałyśmy w swoich objęciach.

Na drogę zaczęli wychodzić kolejno wracający do szkoły uczniowie, ubrani w strasznie wyglądające kostiumy. Wyglądali na dość sponiewieranych. Dyrektorka zaprowadziła ich do środka akademii. Mieli poczekać w stołówce, aż ktoś do nich przyjdzie i wyjaśni całą sytuację.

O dziewiątej nad ranem z lasu wyłonił się zespół policji. Nieśli między sobą bezwładnie zwisające ciało doktora Fitzpatricka. Usłyszałam coś o „stawianiu oporu” i „obserwacji psychiatrycznej”, ale nic więcej do mnie nie dotarło. Około południa ludzie w białych ubraniach roboczych, które wyglądały jak kombinezony, załadowali do furgonetki koronera niebieski worek z ciałem.

Wtedy przybył detektyw i zaczął zadawać nam pytania, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Byłam zbyt odrętwiała, by się do tego zmusić. Mercy zajęła się rozmową, bo i tak wiedziała o Marze więcej ode mnie.

Po wszystkim zabrano nas do szpitala na badania. Poza paroma rozcięciami i zadrapaniami oraz słabym stanem stóp, wszystko było ze mną w porządku.

Mimo to się nie stawiałam.

Chciałam zobaczyć Wrena.

WREN

Choć czułem się źle, gdy zapakowali mnie na szpitalne łóżko i w pośpiechu wjechali ze mną na oddział ratunkowy – teraz było super. Cokolwiek mi podali, musiało być w chuj silne, bo miałem wrażenie, jakbym unosił się na chmurce, a moje kości składały się z waty cukrowej.

Policja zadawała mi pytania, dopóki nie odpowiedziałem piętnaście razy w ten sam sposób. Ktoś przyszedł, żeby mi powiedzieć, że stan Cariny się poprawiał. Jestem na tyle pewny swojej męskości, by móc przyznać, że w tamtym momencie oczy zapiekły mnie od łez. Chwilę po tym dowiedziałem się, że Fitz zabrano do aresztu śledczego. Później obraz mi się rozmył, a potem wszystko spowiła ciemność.

Spałem prawie jak zabity.

Około czwartej podali mi leki, dzięki którym stałem się trochę bardziej świadomy. Wtedy do pokoju wślizgnęła się Elodie. Uśmiechnęła się do mnie słabo i oparła o ścianę po drugiej stronie sali. Bawiła się skórkami wokół paznokci.

– Gdy kupiłem ci tę sukienkę, nie sądziłem, że do tego stopnia o nią nie zadbasz.

Cała była pokryta krwią Cariny, jej własną i chyba nawet moją. Połowy z przyszytych do góry kryształków nie było już na swoim miejscu, a ze spódniczki zostały strzępy. Ale Elodie pokryta brudem, wyglądająca, jakby właśnie wróciła z wojny, mimo wszystko, była piękna. Wygładziła trochę materiał z przodu, choć nie mogło to w niczym pomóc.

– Wiesz, szczerze to na początku nocy też na nią szczególnie nie uważałam. A potem, gdy wszystko wymknęło się spod kontroli przez Fitzę... – Wzruszyła ramionami. – Przepraszam, że została zniszczona.

Wypuściłem powietrze nosem w cichym śmiechu. Od razu się skrzywiłem, gdy w reakcji po moim ciele rozeszła się fala bólu.

– To nic. Nie musisz przepraszać. Mam dla ciebie dobrą wiadomość: w najbliższej przyszłości nie będzie już żadnych imprez w Riot House. Harcourt tu była. Powiedziała, że od razu nas wydali ze szkoły, jeśli taki pomysł przejdzie nam przez myśl.

– Nie dziwię się jej.

– Mm, ja też – zgodziłem się. Pozwoliłem sobie na przyjrzenie się mojej Małej Eli i po raz pierwszy... po raz pierwszy poczułem, że przyszłość wcale nie miała być taka straszna. – Nie miałem okazji, żeby ci powiedzieć, że podobają mi się twoje włosy.

– Naprawdę? – Schyliła głowę i dotknęła kosmyków. – Myślałam, że wolałeś blond.

– Kolor twoich włosów nie ma dla mnie znaczenia, Elodie. I tak będę cię kochał tak samo, bez względu na wszystko.

Westchnęła, a następnie odepchnęła się od ściany. Podeszła do łóżka, zatrzymała się u jego stóp i wsparła dłonie na metalowej poręczy.

– Nie spodziewałam się, że jeszcze to kiedyś powiesz – przyznała cicho. – Że mnie kochasz. Czuję się tak źle z tym, że oskarżyłam cię o zrobienie czegoś tamtej dziewczynie. Po prostu... wszystko tak się zagmatwało i...

Podparłem się i spróbowałem wyprostować. Gruby kawałek gazy, jaki nakleili mi na szwach u dołu szyi, mocno się napiął. Skrzywiłem się przez ból.

– Nie jestem na ciebie zły. Każdy doszedłby do takich wniosków. Zostawiłem sweter w altance w noc, w którą powiedziałem Wesowi, że nie chciałem mieć z nim nic wspólnego. Musiał go zatrzymać, a potem dać Marze. Do tego ma równie dużą obsesję na punkcie poezji i Edgara Allena Poe'go, co ja. Jeśli tylko wiesz już, że jestem niewinny... – nagle urwałem. Zalała mnie fala paniki, a wraz z nią zimny pot. – Wiesz już, że jestem niewinny, prawda?

– Tak! Boże, tak! Dlatego czuję się tak okropnie.

Wyciągnąłem dłoń w jej stronę.

– To chodź tutaj.

Na początku była niepewna. Gdy tylko znalazła się w moim zasięgu, chwyciłem ją za rękę i pociągnąłem bliżej, tak by usiadła obok, na skraju łóżka.

– Gdybym po prostu opowiedział ci o Marze i Wesie, to nie byłoby nas tutaj dzisiaj.

Ostrożnie obserwowala moją twarz. Widzialem, jak zastanawiala się nad swoimi następnymi słowami.

– Więc dlaczego tego nie zrobiłeś?

– Bo byłem głupi. Bo myślałem, że wszystko się jakoś ułoży, jeśli tylko przestaniemy wracać do tego tematu. Uznałem, że gdy tylko przetrwamy rozdanie świadectw, będziemy wolni. I od akademii, i od Fitza. Nie chciałem przyznać przed tobą, że wmieszałem się w relację akurat z nim.

– Dlaczego? – Obrzuciła mnie żartobliwie kpiącym spojrzeniem. – Bo to facet?

– Ha! Nie. Bo był częścią jebanego ciała pedagogicznego, a relacje uczeń-nauczyciel to taki pierdolony banal. Lubię myśleć, że jestem bardziej oryginalny.

– Więc... nie podobają ci się faceci?

Nie mogłem zbyt dobrze odczytać wyrazu jej twarzy, ale... cholera. Wyglądała na niespokojną. Odwróciłem się na bok i... *O kurwa. Okej, to nie był dobry pomysł.* Oparłem się z powrotem na poduszce, wyczerpany.

– Zawsze podobali mi się ludzie, Malutka Eli – wyjaśniłem. – Ich płęć nigdy nie miała dla mnie zbyt dużego znaczenia. Teraz to już i tak nieważne.

Zmarszczyła nosek. Bawiła się moimi palcami, głaszcząc je własnymi.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego. Bo znalazłem już swoją osobę. Na wypadek, gdybyś nie zdawała sobie z tego jeszcze sprawy: dla mnie nie będzie już nikogo poza tobą, Elodie Stillwater. Reszta świata może się pierdolić.

EPILOG

WREN

Dwa tygodnie później

– Jesteś pewny? Zawsze możesz zmienić zdanie – burczał pod nosem Pax.

Spędził ostatnie dwadzieścia minut na siedzeniu w aucie i próbach wyperswadowania mi tego pomysłu. Nie byłem pewny, z czego konkretnie wynikał jego opór, ale sprawiał wrażenie uczulonego na zmiany. Od lat wszystko wyglądało tak samo. Nasza trójka i nikt więcej. Choć wciąż mieliśmy mieszkać razem, a do zakończenia szkoły zostało już tylko kilka miesięcy, sama perspektywa kogoś nowego, kogoś bardziej permanentnego, oficjalnie wkraczającego w naszą orbitę, przyprawiała go o dreszcze.

Wyciągnąłem rękę i uderzyłem go lekko w ramię z tylnego siedzenia.

– To nie koniec świata, stary. Wszystko będzie dobrze. Wyluzuj. Sprawiasz, że posiadanie dziewczyny brzmi jak coś gorszego od śmierci.

– Dobrze będzie tobie. Ty wyciągniesz regularny seks z tego układu, a my co? Zajętą sofę? Dziwne kłębki włosów pod przyszcicem? Jebane falbaniaste majtki zmieszane z naszym praniem? Tampony w apteczce? – biadolił. – Chryste.

– Przecież się nie wprowadza, dupku. Będzie zostawać na noc w weekendy. Zadbam o to, by trzymała swoje tampony przy sobie. I nie martw się, nikt by się nie ośmielił zająć twojego miejsca na sofie.

Czułem się, jakbym próbował przemówić do strauumatyzowanego dziecka, którego ojciec właśnie zaczął się umawiać z kimś nowym. Prawie spodziewałem się, że zaraz zacznie tupać nóżką i wyskoczy ze starym dobrym: „nie będę jej nazywał mamą!”.

– A ty nie masz nic do powiedzenia na ten temat? – Pax spiorunował wzrokiem siedzącego na miejscu pasażera Dashiella.

Ten westchnął z frustracją, ale wiedziałem, że robił to na pokaz.

– Po głębszym namyśle doszedłem do wniosku, że Wren może robić, co mu się żywnie, kurwa, podoba. Poza tym zmiany są dobre. Może też byś sobie znalazł dziewczynę?

Paxa aż cofnęło z przerażenia.

– Wykluczone! Po co miałbym się dobrowolnie pakować do więzienia?

Parsknąłem śmiechem, a Dash zrobił to zaraz po mnie. Jediną osobą, która się nie śmiała, był Pax. Bardzo wziął sobie do siebie ten przewrót w swojej codziennej rutynie.

– Dobra. Jak chcecie, dupki. Wychodzę.

Wysiadł z auta i pomaszerował w stronę wejścia do akademii ze schyloną głową. Sztywny chód i agresywne wymachiwanie rękami wyrażały jego zdenerwowanie.

– Nie przejmuj się, w końcu się ogarnie – pocieszył mnie Dash.

– Oby tak było. Dla twojego dobra – zaobserwowałem. – Jak się dowie, że też masz dziewczynę, do końca mu odbije.

– Ani, kurwa, słowa więcej – uciął bardzo poważnym tonem. – Musimy stopniowo przyzwyczaić go do nowej sytuacji, kroczonek po kroczonek. Już jest trudny. Wspólne życie z Paxem w trakcie kryzysu egzystencjalnego nie będzie fajne.

Nie mogłem się nie zgodzić.

Weszliśmy do szkoły. Czułem się dziwnie zestresowany. Zrobiłem coś absolutnie nie do

pomyślenia: przeciwstawiłem się swojemu ojcu. Wziąłem udział we wstępnym przesłuchaniu przed sądem i zeznawałem przeciwko wariatowi. Na tym etapie wszystko inne w moim życiu powinno być bułką z masłem. A jednak publiczne ogłoszenie reszcie świata, że byłem w kimś zakochany i jedyne, czego chciałem, to sprawianie, by codziennie się uśmiechała, zupełnie mnie, kurwa, przerażało.

Wiosenna przerwa międzysemestralna była tuż tuż, więc musiałem znosić ciekawskie spojrzenia i szeptane komentarze tylko przez następnych kilka tygodni, ale wciąż... Nie pamiętałem, kiedy ostatnio aż tak pociły mi się dłonie.

„Incydent” – jak lubiły to nazywać władze Wolf Hall – wciąż stanowił gorący temat i prawdopodobnie miało tak już pozostać aż do końca roku szkolnego. Niecodziennie zdarza się, by nauczyciel do reszty postradał zmysły i usiłował zamordować kilku uczniów. Niecodziennie też znajduje się martwe ciało na terenie przynależnym do akademii. Gdy zmierzaliśmy do byłej „nory” nauczyciela od angielskiego, otaczający nas uczniowie plotkowali o najnowszych informacjach: o zdjęciach twarzy Fitz’a, które krążyły po Internecie, o udzielonym przez rodziców Mary wywiadzie dla CNN, o tym, że Fitz przyznał się do wszystkiego... Po tym, co się stało, mieliśmy zostać przeniesieni do normalnej sali, ale uczniowie zareagowali tak negatywnie na ten pomysł, że Harcourt w końcu uległa, pod warunkiem że nasz poziom koncentracji ani oceny nie ucierpią z powodu otoczenia. Osobiście miałem w dupie, gdzie mieliśmy mieć angielski. Ważne, że jego już tu nie było.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza, gdy razem z Dashem przeszliśmy przez drzwi. Damiana spiorunowała mnie pełnym zawiści wzrokiem. Nie byłem pewien, w którym momencie zdecydowała, że mnie nienawidzi, ale nie miałem z tym żadnego problemu. Pax już siedział na swoim miejscu na podłodze pod oknem. Dash przewrócił na mnie oczami i poszedł usiąść obok naszego przyjaciela.

Byłem już w połowie drogi do wysłużonej skórzanej sofy ustawionej pod rzędem okien, gdy nagle skręciłem w lewo. Poczułem ukłucie w żebrach, gdy ją zobaczyłem. Siedziała, jak zwykle, na kwiecistej kanapie pod wydrukiem *Pocałunku* Gustava Klimta.

Elodie Stillwater. Nigdy nie widziałem bardziej zapierającej dech w piersiach istoty.

Swoje, teraz ciemne, włosy upięła w celowo niedbałego koczka. Twarz okalały długie, falujące kosmyki. W ciepłym świetle wczesnego poranka jej oczy wydawały się jeszcze bardziej niebieskie, niż zwykle. Promienie słoneczne uwypukliły piegi, które zaczęły się powoli pojawiać na grzbiecie zgrabnego noska.

Żuła końcówkę długopisu i obserwowała mnie z uniesionymi w rozbawieniu brwiami. Miejsce obok niej było puste. Carina miała zostać wypuszczona dopiero za tydzień lub dwa; póki co odrabiała swoje prace domowe w szpitalnym łóżku. Dash każdego wieczoru niby to „chodził na siłownię”, a tak naprawdę zanosił jej notatki. *Ha*.

Stałem przed Elodie i wskazałem brodą miejsce obok.

– To co, zmusisz mnie do zapytania, czy to miejsce jest wolne, czy może pozwolisz mi zachować choć iluzję wciąż bycia „cool”?

Wydęła dolną wargę i zastanowiła się nad tym przez chwilę.

– Ech, chyba uratuję cię przed podobnym banałem. Ale tylko dlatego, że wyglądasz seksownie w tej koszulce.

Przygładziłem dłonią jej przód.

– W tej starej rzeczy? – zdziwiłem się teatralnie.

Dosłownie promieniowałem szczęściem. Co innego wiedzieć, że się dobrze wygląda – czego byłem świadomy i nie zamierzałem za to przeproszać – a co innego usłyszeć komplement od ukochanej dziewczyny. W przerażeniu odkryłem, że mogłem się nawet zarumienić.

Zarumienić! Słodki, kurwa, Jezu. Co się ze mną stało?

Usiadłem na miejscu obok. Czułem na nas wzrok każdego obecnego w sali ucznia. Odwróciłem się, zarzuciłem nogi na podłokietnik i położyłem głowę na jej kolanach. Siedząca w pierwszym rzędzie Damiana wydała z siebie dziwny, zduszony odgłos. Elodie nieznacznie opadła szczęka, a w oczach błysło zaskoczenie. Szybko jednak doszła do siebie i zaczęła bawić się moimi włosami, okręcając je sobie wokół palców.

– Jeśli nie będziesz ostrożny, ludzie pomyślą, że coś nas łączy, Jacobi – zażartowała.

– Nie możemy do tego dopuścić, prawda?

Chwyciłem ją za dłoń i delikatnie pocałowałem we wnętrze nadgarstka. Nie mogłem się nacieszyć widokiem tego, jak jej źrenice rozszerzyły się w reakcji na ten publiczny pokaz uczuć. Pewnie myślała, że usiądę obok i będę trzymał ręce przy sobie, a tu proszę. Sęk w tym, że nie miałem już o co się martwić. Cała sprawa nie była nawet w połowie tak straszna, jak się spodziewałem. Niepotrzebnie się przejmowałem. Było coś cholernie wyzwajającego w „nieukrywaniu się”.

– Ależ jesteśmy z siebie zadowoleni, hm? – Uniosła na mnie brew.

– A i owszem. – Skinąłem głową. – Bardzo.

– Ach tak? Ciekawe, jak szybko uciekniesz na drugą stronę sali, jeśli spróbuję cię pocałować w usta? – Obrzuciła mnie na wpół wyzywającym, na wpół kpiącym spojrzeniem.

– Nigdzie się nie wybieram i to bez względu na to, gdzie postanowisz mnie pocałować. – Spojrzałem sugestywnie na swoje krocze, nie mogąc się oprzeć okazji do podroczenia się z nią.

Dobry Boże, nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Była tak kurewsko piękna. Tak kurewsko idealna. Tak kurewsko moja. Policzki jej poróżnowiały, a ja musiałem zdusić w sobie potrzebę zaciągnięcia jej do pokoju i rozebrania do naga.

Dzisiaj czuła się wyjątkowo odważna. Próbowwała się schylić, żeby mnie pocałować, ale w naszej obecnej pozycji nie było to możliwe. Pomogłem jej, podpierając się na łokciu, wychodząc naprzeciw tej czułości. Pocałunek nie był jakiś otwarcie seksualny. Prawie nie użyłem języka. Nie byliśmy w końcu zwierzętami; a przynajmniej Elodie nie była, zaś ja nie chciałem jej zawstydzić. To jeden z tych pocałunków, które tliły się jak powoli pobudzany do życia płomień. Wznieciliśmy ogień, którym zdecydowanie musiałem się później zająć. Na ten moment jednak ująłem tylko w dłonie jej twarz, po czym przejechałem palcami wzdłuż szyi, na co zareagowała dreszczem. Z drugiego końca pomieszczenia dotarł do nas zniecierpliwiony krzyk. Jego autorem był naturalnie Pax.

– Noż kurwa mać! Serio?

Coś uderzyło mnie w tył głowy – po odczuciu wnosiłem, że była to kulka papieru – ale nie odsunąłem się. Przynajmniej dopóki nie spadł na nas grad takich kulek, do których rzucania dołączyła się reszta uczniów. Elodie roześmiała mi się prosto w usta.

– Okej, dowiodłeś swego. Jesteś nieustraszony. Chyba chcą, żebyśmy przestali.

Pociągnąłem ją jeszcze zębami za dolną wargę, zanim pozwoliłem, by się odsunęła.

– Farciara z ciebie, Malutka Eli. Uratowana przez kolegów z klasy.

– Wit... Och. Witajcie, uczniowie. Młody człowieku, jeśli nie miałbyś nic przeciwko zostawieniu tej biednej dziewczyny w spokoju, udam, że niczego nie widziałam.

Z przodu klasy, przy świeżo zainstalowanej między regałami czarnej tablicy, stała kobieta. Na oko po trzydziestce. Odwróciłem się i osunąłem na swoim miejscu obok Elodie, udając, że z zaangażowaniem obserwowałem sufit. Tak naprawdę jednak przyglądałem się intruzowi – podobnie jak cała reszta klasy. Wyglądała uroczo. Sprawiała wrażenie kogoś, kto piekł w weekendy ciasta i karmił ptaszki przez okno. Złapałem Dasha na serwowaniu Paxowi kuksańca w żebra, i to na tyle mocnego, by uleciało z niego całe powietrze. Wpatrywał się

w nowoprzybyłą, jakby właśnie objawił mu się sam Bóg. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Kobieta się uśmiechnęła, odchrząknęła i objęła nas spojrzeniem.

– Klaso, nazywam się Jarvis Reid. Możecie do mnie mówić po imieniu. Jak już się pewnie domyśliliście, jestem waszą nową nauczycielką angielskiego. Dopiero co przeprowadziłam się z Nowego Jorku i wciąż się uczę, gdzie co się znajduje, więc proszę, bądźcie dla mnie wyrozumiali, dopóki się nie zadomowię. Jeśli ktoś z was chciałby mnie wdrożyć w materiał, który przerobiliście do tej pory, byłabym bardzo wdzięczna.

Pax poderwał się na równe nogi. Na twarzy widniał mu ten słynny uśmiech, który złamał serce niezliczonym supermodelkom od Rzymu po Londyn i z powrotem.

– Cześć, Jarvis. Z chęcią pomogę.

Wymieniliśmy się z Elodie porozumiewawczym spojrzeniem.

Chryste.

Zaczyna się.

Notka od autorki: Dziękuję za przeczytanie *Riot House*! Mam nadzieję, że podobała ci się historia Elodie i Wrena.

Jeśli zżera cię ciekawość, co się wydarzyło, gdy chłopcy z Riot House polecili do Tel Awiwu – odwróć stronę!

ROZDZIAŁ BONUSOWY: TEL AWIW

*Tel Awiw**Sto lat*

Niebo nad Tel Awiwem przypominało jedną wielką plamę ropy. Mógłbym namalować taki widok w bardzo zły dzień: ciemne, złowieszcze chmury koloru zahartowanej stali zebrały się wzdłuż horyzontu, obiecując rychłą eksplozję chaosu. Słońce jeszcze nie wzeszło, ale było blisko. Świadczyła o tym paskudna fioletowo-czerwona poświata, przywodząca na myśl siniak. Unosiła się nad pokrywającym olbrzymią przestrzeń miastem.

Mniej więcej nad Atlantykiem, Pax zdał sobie sprawę z tego, że nie czekały go tu żadne striptizerki. Od tego momentu jego nastrój był jeszcze bardziej ponury niż pogoda. Teraz oparł się łokciem o drzwi taksówki i zajadłe obgryzał paznokcie kciuka.

– Muszę iść do Jerozolimy – powiedział nagle. – Matka mnie zabije, jeśli się dowie, że tu przyleciałem i nie odwiedziłem świętego miasta.

– A skąd ma się o tym dowiedzieć? – Dash siedział z przodu, obok kierowcy. Obserwował migające za szybą budynki z taką obojętnością, na jaką mógł zdobyć się tylko ktoś, kto już osiem razy zwiedził cały świat. Dla niego nic już nie było nowe. – Nie rozmawiasz z Meredith od dwóch lat. Wątpię, by miała zainstalowany jakiś alarm, który daje jej znać, gdy opuszczasz kraj.

Pax całkowicie znieruchomiał; paznokieć utknął uwięziony między przednimi zębami. Oczy o kolorze ciekłej rtęci wywiercały Dashowi dziurę w tyle głowy.

– A ty, co sobie, kurwa, myślisz? Jakim prawem mówisz o niej „Meredith”?

– Przecież tak ma na imię?

– Nieważne jak ma na imię. Nie możesz tak o niej mówić.

– Tak, czyli jak?

– Jakbyś ją znał.

– Znam ją. – Dash spojrział na niego przez ramię z firmowym uśmiechem numer trzy. Wersja anielska pod tytułem: „temu chłopcu wszystko wolno”. – Spotkaliśmy się przynajmniej osiem razy. Fascynująca kobieta. Zawsze była dla mnie bardzo miła.

Ktoś z zewnątrz uznałby te słowa za szczere, może nawet uprzejme. Wszystko przez ten akcent. Dzięki brytyjskiej otoczce Dash zawsze brzmiał na grzecznego w najwyższym stopniu. Coś w jego głosie sugerowało jednak, że mama Paxa była dla niego bardzo miła. Bardziej, niż powinna. Ja i Pax bardzo dobrze to usłyszeliśmy. Uszy chłopaka odchyliły się do tyłu, jak u psa.

Pochyliłem się do przodu i przycisnąłem kłykcie prosto w kręgosłup Dasha, na tyle mocno, by krzyknął.

– Nie mamy na to czasu. Nie dzisiaj. Wszyscy jesteśmy w chuj dobici *jet lagiem* i musimy się wyspać. Bójka w taksówce w niczym nam nie pomoże.

– Mów za siebie, ja czuję się dobrze – stwierdził Dashiell, po czym docisnął palec wskazujący do szyby. – Spójrzcie, mają tutaj sklepy 7-Eleven. Ale dziwne.

– Nie mogę polecieć do Izraela i nie być w Jerozolimie – warknął Pax, kontynuując temat.

– Dowie się o tym. Nie wiem jak, ale tak będzie. Co ja jej mam wtedy powiedzieć? Sorka, mam, nie mogłem odwiedzić miejsca narodzin naszego Pana i Zbawcy, bo byliśmy zbyt zajęci zabijaniem jakiegoś człowieka?

Kierowca, który od momentu naszego wejścia do taksówki posługiwał się łamaną angielszczyzną, dostał nagłego ataku kaszlu. Złapał się mocno kierownicy, jakby miał problem z utrzymaniem kontroli nad pojazdem.

Posłałem Paxowi tak ostre spojrzenie, że mogłoby przebić płuco.

– Nikogo nie zabijemy. To będzie małe „okaleczonko”, nic więcej.

– Tylko nie rozumiem po co. – Dash wyjął komórkę, a następnie zaczął przewijać wiadomości, które spłynęły do jego telefonu, odkąd opuściliśmy lotnisko. – To nie ma z nami nic wspólnego. To nie ma z tobą nic wspólnego, co czyni całą sprawę jeszcze dziwniejszą. Myślałem, że nienawidzisz tej dziewczyny.

– Nienawidzenie ludzi jest dziecinne. Nikogo nie nienawidzę.

– Poza Mercy – mruknął Pax. – I twoim ojcem. I Fitzem. I czasem mną.

Wyszczrzyłem na niego zęby w uśmiechu.

– Tylko gdy zostawiasz swój syf w moim pokoju albo pożyczasz książki bez pytania.

– Mieszkamy razem. Przecież wiesz, gdzie się podziały – odciął się.

– Okej, powiem tak: gdy pożyczasz książki bez pytania, nie zwracasz ich, a gdy w końcu uda mi się je odzyskać, mają zagięte rogi i są pobrudzone ostrym sosem, ty pierdolony ignorancie.

Tylko na to burknął. Nie mógł zaprzeczyć. Jego zbrodnie były zbyt częste i zbyt ohydne, by był w stanie się ich wyprzeć. Jedyne, co mu pozostało, to przyznać się do winy, więc zmienił temat.

– No dobra. Ten typ zrobił coś złego dziewczynie, którą w żadnym razie nie jesteś zainteresowany. Zaciągnąłeś nas na drugi koniec świata, żeby skopać mu dupę, bo nie zależy ci na Elodie i nie obchodzi cię, co się z nią dzieje – wyliczał. – Możemy to jeszcze raz przeanalizować, bo coś mi się nie zgadza? Z mojej perspektywy wygląda to na zachowanie drastycznie nie-w-stylu-Wrena.

Wbiłem paznokcie w skóropodobny materiał siedzenia, pełen kotłujących się we mnie uczuć. Nie sądziłem, że byłem w ogóle zdolny do czegoś tak oczywistego i banalnego jak uczucia, a tu proszę, właśnie mnie dopadły i pieprzyły mi życie.

– Nie czytałeś tamtego raportu – wycodziłem. – Nie wiesz, co jej zrobił.

– Rozumiem, że gość jest ciężkim przypadkiem łajdaka, Jacobi – zaczął Dash – ale z ciebie też żaden święty. Jeszcze kilka dni temu planowałeś złamać tej dziewczynie serce. I... Nie, nie, nie, nie. Nawet o tym nie myśl. Jeśli zamierzasz udawać, że nadal taki jest plan, wyrzucę cię ze znajomych na Facebooku i nigdy więcej się do ciebie nie odezwę.

Przemilczałem swój przygotowany na tę okazję sprzeciw i wyjrzałem pochmurnie przez okno.

– Nie mam Facebooka.

– Nieistotne. Fakty są takie, że chciałeś skrzywdzić tę dziewczynę. Teraz nagle zaliczyłeś zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i wszedłeś w rolę jej księcia na białym rumaku. Co za rycerskość.

– Co za szaleństwo – zaprotestował burkliwie Pax.

Nie chciałem ich okłamywać. Nie chciałem też przyznać, że mieli rację. Wyciągnąłem raport z leżącej u moich stóp torby, po czym milcząco podałem go Paxowi. Przewrócił oczami – najwidoczniej nie miał ochoty go czytać – ale otworzył teczkę i zaczął jechać wzrokiem wzdłuż strony. Na czole pojawiła mu się wyraźna zmarszczka. Obserwowałem, jak czytał, skończył,

a następnie zaczął od początku. Oczy jeszcze wolniej przesuwały się po słowach, gdy próbował ogarnąć umysłem to, czego właśnie się dowiedział.

– Jezu Chryste – syknął w końcu.

Dash wyciągnął rękę. Czekał, aż Pax poda mu dokument. Było mi cholernie gorąco. Ubrania gryzły mnie w skórę. Czułem się niesamowicie niekomfortowo z dzieleniem się z nimi tą częścią historii Elodie – do tego stopnia, że już prawie wydarłem Dashowi raport z rąk i odwołałem całą akcję. To było takie lekkomyślne z mojej strony. Postawiłem ich w trudnej sytuacji, której większość ludzi nie byłaby w stanie wytrzymać. Czy naprawdę byłem aż tak oczarowany tą dziewczyną, że byłem gotów narazić przyjaciół na niebezpieczeństwo bez właściwego przemyślenia sytuacji? Może byłoby lepiej, gdybym...

– Ja... pierdołę... – wyszeptał Dash. – To jest... Nie wiem nawet...

– No wiem.

– Dobra. W porządku – wydusił z siebie Pax. – Czaję już, o co ci chodzi.

Spojrzałem na Dasha we wstecznym lusterku. Wyglądał, jakby miał się zaraz zrzygać.

– Ta. W porządku. Teraz rozumiem.

– Okej, czyli zrobimy typowi krzywdę – zgodził się Pax, kiwając głową. – W chuj na to zasługuje. Zgoda. Ale to... to nie znaczy, że będę dla niej miły, gdy wrócimy, Jacobi.

Parsknąłem śmiechem, choć miałem wrazenie, że właśnie poharatano mi przełyk.

– Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

Kierowca docisnął gaz, mknąc przez zatłoczoną ulicę. Chyba chciał jak najszybciej odstawić nas na miejsce i udać, że w życiu nas nie widział. Oparłem głowę o zagłówek i odetchnąłem z cichą ulgą. Nie znosiłem zdradzania sekretów, których sam w pierwszej kolejności nie powinienem był poznać, ale musiałem to zrobić. Wiedziałem, że gdy zobaczą dowód, czarno na białym, przestaną kwestionować moją logikę. Może i Riot House nie miało zbyt dobrej sławy... ale nawet my nie mogliśmy pozwolić, by tego typu zło ominęła kara.

Dobę później

The Longhorn Saloon to jeden z wielu amerykańskich barów w Tel Awiwie. Tak się składało, że znajdował się najbliżej starego domu Elodie, którego adres wykradłem z jej akt w akademii... Znajdował się też najbliżej bazy pułkownika Stillwata. Gruntownie zbadałem sprawę. Nie wybraliśmy tego miejsca w nadziei, że skurwysyn się tu pojawi. Byłem pewien, że to zrobi. Zapłaciłem komuś, by włamał się na jego konto i sprawdził rachunki. Poza tym, że saldo składało się z sześciocyfrowej kwoty, szybko okazało się, że co kilka dni ubywało z niego od osiemdziesięciu do stu dolarów, właśnie w The Longhorn Saloon. Zamykał rachunek grubo po północy. Był jebanym stałym klientem.

Wejście do baru nie stanowiło problemu. Pax już dawno temu załatwił nam fałszywe dowody tożsamości, o które tym razem nawet nikt nie zapytał. Dopiero po pierwszym piwie zdaliśmy sobie sprawę z tego, że w Izraelu picie alkoholu jest dozwolone już od osiemnastu lat – a pracownicy i tak mieli na to wyjebane. Lokal był pełen Amerykanów: w połowie turystów, w połowie żołnierzy. Byli hałaśliwi i awanturniczy. Personel był zbyt zarobiony, by mieć czas na przejmowanie się naszą trójką.

Zamówiliśmy po piwie, a potem usiedliśmy przy stoliku w rogu. Z tego miejsca najlepiej widzieliśmy wchodzących i wychodzących ludzi. Dashiell udawał, że uważnie studiował kieszonkowy przewodnik po Jerozolimie i Tel Awiwie, a Pax w międzyczasie nie robił

absolutnie nic, by pomóc nam utrzymać pozory bycia turystami. Jawnie piorunował wzrokiem każdą osobę, która przeszła przez drzwi baru.

– Jeśli nie przestaniesz, zaraz staniemy się ofiarami linczu – zgañił go dyskretnie Dash. – Nie znoszę wdawać się przez ciebie w bijatyki w barach. Poza tym tej nocy to my tu mamy być agresorami.

– Nic nie poradzę. – Pax zmarszczył nos. – Dziwnie tu śmierdzi.

– Orzeszkami ziemnymi i stęchłym piwem. – Pociągnąłem spory łyk z butelki. – Jeśli nas zdemaskujesz, zanim choćby zobaczymy Stillwatera, poważnie się na ciebie wkurwię. Wyluzuj, do cholery.

Pax podniósł gazetę „New York Times”, którą zgarnął przy wejściu, i zasłonił nią sobie twarz. Nieszczęśliwie uwiarygodniło to naszą przykrywkę, ale przynajmniej zasłonił ten swój grymas.

– Gość jest pułkownikiem – burknął pod nosem. – Na chuja pije w barze z innymi żołnierzami? Twój ojciec w życiu nie wszedłby do takiego miejsca.

– Mój ojciec lubi przebywać z równymi sobie. Coś czuję, że pułkownik Stillwater woli otaczać się podwładnymi, i to nawet po godzinach. Pewnie to jedyny sposób uzyskania odrobiny szacunku, na jaki tego typu człowiek może liczyć.

Minęła godzina. Zamówiliśmy trzecią kolejkę piwa. Próbowałem się nie wiercić, ale było to trudniejsze, niż myślałem. Pogodziłem się z tym, po co tu przylecieliśmy, ale ta cała akcja wciąż była cholernie głupia. *Jeśli nas złapią...*

Wyparłem tę myśl, gdy tylko się pojawiła.

Nie mogłem myśleć o hipotetycznych konsekwencjach, gdyby coś poszło nie tak.

Minęła kolejna godzina. Przy stole bilardowym po drugiej stronie baru rozgorzała bójka. Pax wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakby chciał się dołączyć. Znaczące spojrzenie od Dasha szybko go ostudziło.

O dziesiątej przez drzwi wtoczyła się do środka grupka dziewczyn. Po torbach z naszywkami w kształcie liści klonu i dziwacznej wymowie samogłosek wносиłem, że były Kanadyjkami. Chuda blondynka w odsłaniającym opalony brzuch topie spojrzała na nasz stół, a ja już wiedziałem, że mieliśmy przekichane.

– Pax. Nie okazuj zainteresowania. To zły moment – ostrzegł go Dash.

Ale było już za późno. Typ wystartował ze swojego siedzenia, zanim którykolwiek z naszej dwójki zdołał go zatrzymać.

– Skurwysyn. – Z impetem odłożyłem butelkę z piwem, gotowy za nim iść.

– Niech idzie – powstrzymał mnie Dash. – To by było dopiero podejrzane, gdyby nikt z nas nie usiłował tu zamoczyć. W razie czego go przechwycimy.

Nie podobało mi się to. Pax, z czarującym uśmiechem na ustach, ruszył prosto na blondynkę. Miałem ochotę zdzielić go w tył tego pustego łba, ale nie mogłem nic zrobić. Był tu, bo go o to poprosiłem. Robił to na moją prośbę. Jasno dał mi do zrozumienia, że uważał angażowanie się w relację z Elodie za błąd, ale gdy przyszło co do czego, nawet o tym nie wspomniał. Przyleciał tu, bo był dobrym przyjacielem. Nie mogłem mu żałować małego flirciku.

Kanadyjki się nie patyczkowały. Cała czwórka otoczyła Paxa, jakby był drugim Mesjaszem, i już po chwili chłopak został zaciągnięty na drugi koniec baru.

– Ciekawe, czy Elodie powiedziała Carinie – zastanawiał się na głos Dash, z uwagą przyglądając się swoim paznokciom. – No wiesz, o skrzyni. I... no, o wszystkim.

Nie był w stanie wypowiedzieć słowa „gwałt”, ale do tego się odnosił.

Przełknąłem żółć. Nie rozumiałem, jak ten gość mógł zrobić coś takiego własnemu dziecku.

- Wątpię.
- Chyba są blisko, nie? Elodie i Carina?
- Tak, przyjaźnią się.

Dashiell wydał dolną wargę. Obracał przed sobą pustą butelkę po piwie.

– Elodie pewnie wie, czy Carina się z kimś spotyka. Pewnie rozmawiają o tego typu rzeczach. No wiesz, bo są dziewczynami. A dziewczyny tak robią.

– Jezu, człowieku. I ty do mnie się rzucasz o lubienie dziewczyny? – Uniosłem na niego brwi. – Co jest z tobą nie tak, do cholery? Skoro tak ci się podoba, dlaczego potraktowałeś ją w taki sposób?

Nagle niesamowicie zainteresował go przewodnik.

– Wow, w Jaffie zachowały się pozostałości akropolu¹³. Brzmi fajnie.

– Żalotne.

Sporunował mnie wzrokiem i rzucił przewodnik na stół.

– Więc oboje jesteście żalotni i na tym skończmy ten temat, okej?

– Hej, popaprańcy! – Podniosłem wzrok. Pax machał do nas z przyklepionym do twarzy rozluźnionym, pijackim uśmiechem. Ale nie był pijany. Był pierdoloną legendą, jeśli chodzi o tolerancję na alkohol, a wypił tylko trzy piwa. Niemożliwe, by zdażył wypić z tymi dziewczynami więcej niż kilka szotów. – Dupki! Ruszcie się! Musicie poznać mojego nowego znajomego. Jest pierdolonym pułkownikiem!

Poczułem, jak wzdłuż kręgosłupa wystrzelił mi prąd elektryczny. Wszystkie zmysły nagle stanęły w pełnej gotowości. Znalazł Stillwatera po drugiej stronie baru?

– No chyba sobie, kurwa, jaja robicie – wysyczałem.

– Można się było tego spodziewać, Pax za prawdziwy magnez na kłopoty. Trzeba go było puścić wolno dwie godziny temu – stwierdził ponuro Dash, po czym dopił piwo i wstał ze swojego miejsca.

Ruszyłem za nim. Serce waliło mi jak szalone, gdy przedzierałem się przez zbity tłum, a następnie zupełnie stanęło, gdy zobaczyłem Paxa z ręką zarzuconą na barki mężczyzny, którego od razu rozpoznałem.

Był jebanym czołgiem. Z tak szerokimi barami praktycznie nie miał szyi; zupełnie jakby jego głowa była bezpośrednio przytwierdzona do obszernej klaty. Jasne włosy przystrzyżono blisko skóry, w tym samym stylu, w jakim nosiła swoje fryzury większość wojskowych znajdujących się w tym barze. Jason Stillwater był mięśniakiem i tyranem. Zobaczyłem to w jego oczach – podobnych do oczu Elodie. W tych tutaj nie było jednak niczego dobrego, słodkiego czy łagodnego. Płonął w nich brutalny, okrutny płomień. Zacisnąłem szczęki, żądny krwi tego człowieka. Znienawidziłbym go od pierwszego wejrzenia, nawet gdybym nie wiedział, co zrobił Małej Eli. Ale wiedziałem. W porównaniu do swojej córki był prawdziwym olbrzymem. Wszystko, co miałem teraz przed oczami, to jego wielka sylwetka przyszpilająca ją do ziemi, siłą rozwierająca jej nogi, wdzierająca się do środka...

Otrząśnij się, Jacobi. Nie ma na to czasu.

Dash zachwiał się delikatnie. Klepnął mnie w ramię, niby dla zachowania równowagi – obaj musieliśmy się teraz trzymać wersji Paxa – ale wiedziałem, co chciał też w ten sposób przekazać: „Nie martw się, stary. Jesteśmy z tobą”.

Gdy dotarliśmy do Paxa, jego oczy były zaszkłone i nieskupione. Bóg jeden wie, jak udało mu się osiągnąć ten efekt.

– Słuchajcie. Ten facet mieszka tu – przerwa na udawaną czkawkę – od prawie sześciu lat! Stoi na szczycie hierarchii w armii. Powiedz im, gdzie jeszcze żyłeś, stary. No dalej, powiedz im!

Nasz przyjaciel trącił łokciem ojca Elodie, przy okazji wpadając na niego barkiem. Pułkownik Stillwater zacisnął szczęki. Piwo rozkołysało się w jego kuflu; spory chlust wylądował na wylakierowanym blacie. Niemal widziałem, jak para wychodziła mu z uszu, ale zapanował nad swoim temperamentem. Uwielbiał czuć się bohaterem. Po co miałby robić scenę, skoro typ właśnie zamierzał ubóstwić go przed swoimi przyjaciółmi? Pułkownik był tego typu człowiekiem, który z chęcią odłoży swój gniew na bok, w zamian za piękny komplement.

Przez moment układał sobie w głowie, co zamierzał powiedzieć. Miał rozwarte usta i oczy pełne wysokiego mniemania o sobie. Nabrałem powietrza. Jeszcze nie słyszałem jego głosu. Głosu, który wypełniał koszmary Elodie. Tak jak ona, już nigdy nie będę w stanie o nim zapomnieć i już nigdy nie wrócę do momentu, w którym go nie znałem.

I wtedy bańka pękła.

– Anglia. Niemcy. Cały Bliski Wschód, oczywiście. Honduras. Ale o najbardziej interesujących miejscach nie mogę wam powiedzieć. Większość mojej pracy jest ściśle tajna. Tego typu rzeczy sprawiłyby, że chłopcy, tacy jak wy, posiusialiby się w majtki i pobiegli z płaczem do swoich mamusi. – Parsknął śmiechem prosto w kufel, niesamowicie z siebie zadowolony. – Boże. Sam chciałbym móc rozmawiać o tym gównie. Mózg by wam dosłownie rozjechało. Jego kawałki trafiłyby i do Timbaktu, słowo daję.

Och, ale ja ci wierzę, Jasonie. Jestem pewny, że masz w zanadrzu historie tak okropne, że mdliłoby mnie przez nie do końca życia. Ilu naruszeń praw człowieka się dopuściłeś? Ile międzynarodowych praw złamałeś? Ilu ludzi zamordowałeś i ile kobiet zgwałciłeś, tylko dlatego, że mundur, który nosisz, dawał ci ku temu sposobność?

Przeszedł mnie dreszcz na samą myśl o tych liczbach.

Jason zakręcił palcem w powietrzu, bez słów dając znak barmanowi, by przyniósł dla nas następną kolejkę. Złość podeszła mi do gardła kwaśną, palącą żółcią. Wolałbym umrzeć z pragnienia, niż wypić cokolwiek, co ten człowiek dla mnie kupił, ale nie mogłem wyjść z roli. To, by nie nabrał żadnych podejrzeń, było kluczowe dla całej akcji. Jeśli zrobiłbym cokolwiek, co by go zaniepokoiło, w sekundę by się ulotnił.

Śmiałem się razem z Paxem i Dashem, gdy barman postawił przed nami piwa. Upewniłem się, że mój uśmiech sięgał oczu, gdy stukaliśmy się kuflem z Jasonem.

– To jest, kurwa, niesamowite – stwierdził Dash, zaciągając. Po jego brytyjskim akcencie nie było choćby śladu. W jego miejsce pojawił się perfekcyjny, niedbały amerykański, tak czysty, że gość równie dobrze mógłby uchodzić za kogoś z Kalifornii. Sposób wymawiania samogłosek wskazywał z kolei na bardziej południowe korzenie. Przejście było nieskazitelne. Nikt nie zgadłby, że nie spędził całego życia w Stanach. Pozostanie przy swoim normalnym akcencie nie byłoby tutaj dobrym pomysłem; od razu by się wyróżnił, stał bardziej zauważalny, łatwiej zapadłby w pamięć. A zapadnięcie w pamięć to ostatnia rzecz, której teraz potrzebowaliśmy. – Dziadek był w marynarce. Myślałem nad dołączeniem, ale...

Twarz Jasona wykrzywiła się w jawnym obrzydzeniu.

– Pierdolone pizdeczki z marynarki. Masz cipkę, dzieciaku?

Dashiell, wyglądając jak zbesztany młodzieniaszek, opuścił rękę z trzymanym piwem.

– Nie, Sir?

– Więc na chuja chcesz dołączyć do marynarki? Jesteś mężczyzną?

– Tak, Sir – teraz brzmiał na pewniejszego.

– Więc się nie pierdol i dawaj do armii. Tak robią prawdziwi mężczyźni. Jeśli jeszcze do nich nie należysz, nie martw się. Armia szybko to zmieni.

– A jak tam zarobki? – wtrącił Pax.

Opierał się łokciem o blat obok Jasona. Trochę się zataczał, raz nawet prawie lądując

nosem w kroczu Jasona. Gdy skończymy tę szopkę, będę musiał zamienić z nim słówko na temat jego zdolności aktorskich. Co innego być przekonującym, a co innego przesadzać. Jeśli dalej będzie się tak zachowywał, to nas wyda.

– „Jak tam zarobki”? A jakie to ma, kurwa, znaczenie? – warknął pułkownik. – Jeśli kochasz swój kraj, chcesz chronić jego ludzi i bronić amerykańskiego sposobu życia, to robiłbyś to nawet za darmo, ty mały smarkaczu. – Parsknął śmiechem, tym samym dając nam znać, że tylko żartował. – Ale skoro pytasz: zarobki są takie, jak można się tego spodziewać. Gówniane. Musiałbyś sobie odłożyć trzy pensje, żeby móc zamówić prostytutkę na noc. Ale są inne plusy, ulgi podatkowe i tak dalej. Ogólnie mówiąc, im dłużej w tym siedzisz, tym więcej zarabiasz. Ja już mam miłą posadkę.

– Czyli co, jesteś jakąś elitą, tak? – dopytywał Pax. Dziewczyny, które go tu przyprowadziły, zdążyły znudzić się naszą rozmową i jedna po drugiej wycofywały się w stronę właśnie zwolnionego stolika. Tak było lepiej. Gdyby spędziły z nami więcej czasu, zwiększyłyby to ryzyko, że zapamiętałyby nasze twarze nawet po tym, jak wypite szoty uderzą im już do głów. Pax rzucił ojcu Elodie przebiegłe spojrzenie, mrużąc jedno oko. – Jesteś najwyższym rangą oficerem w tym barze?

– Ha! Chłopcze, jestem najwyższym rangą oficerem w promieniu ponad trzystu kilometrów. Nie ma takiej rzeczy, która wydarzyłaby się w Tel Awiwie bez mojej wiedzy. Pieprzyć izraelską policję, to ja tu jestem królem tego miasta. Mogę robić, co chcę. Mówić, co chcę. – Przyćmione alkoholem spojrzenie powędrowało za śliczną kelnerką, która biegła od stolika do stolika z rękoma pełnymi jedzenia. – Brać, co chcę...

Co za pierdolony, chory, obrzydliwy...

– A z tobą co nie tak, piękniśiu? – zwrócił się nagle do mnie. – Zapomniałeś języka w gębie? Nie powiedziałeś ani słowa, odkąd tu przyszedłeś.

„Piękniśiu”? *Jeszcze tego pożałuje.* Wyszczrzyłem zęby w głupkowatym, pijackim uśmiechu, który wydawał się go ułagodzić.

– Sorka, stary. Po prostu... nie czuję się... za... – Złapałem się ręką za brzuch, jednocześnie wydymając policzki.

– Oho. Chłał szkocką przez cały ten czas – wyjaśnił Dashiell. – Chyba potrzebuje się przewietrzyć. Jest bezpiecznie na tej ulicy z przodu?

– Bezpiecznie? Oczywiście, że tak.

– Okej. Super. Bo słyszeliśmy, że często tutaj okradają turystów. A gdybyśmy stracili kasę i paszporty, to bylibyśmy w kompletnej dupie i...

– Jezu Chryste. Co za banda pizdeczek. – Jason odstawił piwo na blat. Nogi barowego stołka zapiszczały, gdy gwałtownie go odsunął, po czym wstał. – Pójdę z wami. Przynajmniej na tyle, ile zajmie mi wypalenie papierosa. Jeśli wasz kolega do tego czasu nadal będzie zielony, to będziecie musieli poradzić sobie sami.

Achhh, stary, dobry, przewidywalny Jason. Taki duży chłopiec! Nikt nie śmiałyby zadrzeć z kimś takim jak on. Jasna sprawa, że zaproponował robienie za naszego ochroniarza. Lubił to uczucie bycia w dowodzeniu. Ojciec Dashiella był zupełnie taki sam; pewnie stąd wiedział, że ta sztuczka zadziała. Udawanie, że jesteśmy paczką zupełnie nieudolnych, bezużytecznych, rozpuszczonych nastolatków, których trzeba poprowadzić za rączkę, nawet jeśli chodziło tylko o wyjście na minutę na zewnątrz? Jason Stillwater nie potrafił się oprzeć takiemu rarytasowi.

Dash i Pax poszli pierwsi. Pijacko podśpiewywali, zmierzając w stronę wyjścia. Szedłem za nimi. Zataczałem się, wszedłem nawet w jedno czy dwa krzesła dla lepszego efektu, i przez cały ten czas czułem za plecami obecność Jasona. Cudem powstrzymałem się przed odwróceniem się i rozbiciem mu butelki na głowie. Wyszczerbione szkło wbijające się w skórę,

zadrapujące czaszkę... Widziałem to przed oczami. Wrażenie było tak realne, że dłonie zaczęły mnie mrowić z potrzeby urzeczywistnienia tej wizji...

Na zewnątrz ciepłe nocne powietrze omiotło mi skórę niczym jedwab. Po drugiej stronie drogi stał rząd oświetlonych fast foodów i punktów z jedzeniem na wynos. Z otwartych drzwi unosił się aromat pysznych grillowanych mięs, ziół i przypraw. Zaburczało mi w brzuchu, co wydawało się niestosowne, zważywszy na to, co miało się zaraz wydarzyć.

Ojciec Elodie wyciągnął paczkę papierosów z tylnej kieszeni jeansów. Obserwowałem, jak zapalał jednego, z głową pochyloną nad płomieniem. Wyobrażałem sobie krzywdę i zniszczenie, jakich źródłem stały się te mięsiste, niezdarne łapska.

– Mogę jednego wyżebrać? – zapytałem.

Zmrużył na mnie oczy i potrząsnął głową.

– Ja pierdołę. Te dzieciaki nigdy nie mają własnych papierosów.

Mimo to podał mi paczkę. Wyciągnąłem jednego i włożyłem między zęby, po czym oddałem mu resztę. Zmrużył oczy jeszcze mocniej.

– Wiem, że jesteś pijany, ale zazwyczaj się je zapala.

– Och, zachowuję go na później – wyjaśniłem.

– Na później?

– Woow! – Pax chwycił Dashiella za ramię i zaczął nim potrząsać. – Widziałeś tamtą laskę? O kurwa, ale sztuka. Normalnie osiem na dziesięć.

Od razu o mnie zapomniał. Przypominał rekina, który właśnie zwęszył zapach krwi. Gwałtownie się odwrócił.

– Gdzie?

Dashiell jęknął posępnie i odchylił głowę do tyłu. Gdybyśmy znajdowali się w innej sytuacji, całe to jego aktorzenie byłoby niezwykle zajmujące. Zawsze jest taki sztywny, bezwzględnie wyprostowany, z każdym elementem pod kontrolą. Ta luzacka, amerykańska wersja jego osoby była cholernie fascynująca.

– Poszła tamtą alejką i nie była ósemką, stary, tylko jebaną jedenastką.

– Brunetka?

Zanim się zorientowałem, co robiłem, dołączyłem do przedstawienia.

– Nie, blondynka. Mała, drobniutka. Wielkie, piękne niebieskie oczy. Człowieku, wyglądała jak jakaś mała porcelanowa laleczka.

Jason obnażył zęby w wymownym, przerażającym geście. Złość i pożądanie walczyły ze sobą na jego twarzy. Ta reakcja powiedziała mi wszystko, co potrzebowałem wiedzieć. Już o niej myślał. O niewinnej, niebieskookiej blondyneczce. O rżnięciu jej. O robieniu jej krzywdy. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie opisałem jego własną pierdoloną córkę. Jakikolwiek resztki wątpliwości czy poczucia winy z powodu tego, co zamierzałem mu zrobić, oficjalnie mnie opuściły.

Co za chory skurwysyn.

Jason skakał wzrokiem między mną a Dashem, by w końcu stanąć na Paxie.

– Czyli wszyscy ją widzieliście, tylko nie ja? To nie brzmi zbyt fair, prawda, chłopcy?

W którą stronę poszła?

Pax wskazał na alejkę po drugiej stronie ulicy, już bez leniwego, pijackiego uśmiechu.

– Tam.

– To ślepy zaułek. Pewnie tam skoczyła, żeby się wysikać. Pijane laski tak właśnie robią.

Wiedzieliśmy, że to ślepy zaułek. Zbadaliśmy wszystkie boczne uliczki wokół baru, zanim przestąpiliśmy próg The Longhorn Saloon. Zdecydowaliśmy się na tę konkretną alejkę, bo nie było tam kamer monitoringu. Poza tym była na tyle wąska i ciemna, że przechodzący obok

ludzie w życiu nie zaryzykowałiby sprawdzenia, co się w niej działo, nawet gdyby zauważyli jakiegoś rodzaju poruszenie.

Jason przeżuwał wnętrze policzka ze wzrokiem wbitym w wejście do zaułka. Szybko podjął decyzję, która w ogóle mnie nie zdziwiła.

– Chodźmy, chłopcy. Skoro ta brudna kurewka chce sikać w miejscach publicznych, musi liczyć się z konsekwencjami. Wystraszymy ją trochę.

– To na pewno dobry pomysł? – Dash nerwowo potarł tył karku.

Ostatnia szansa.

Ostatni moment na zrehabilitowanie się.

Jason zbył go machnięciem dłoni.

– Tak jak mówiłem, musi dostać nauczkę. Skoro spuszcza gacie w miejscu publicznym, nie może być zła o to, że grupka facetów zobaczy jej cipkę. Dobrze jej tak.

Idealnie, Jason. Dzięki za potwierdzenie, że jesteś obrzydliwym, paskudnym, wyrachowanym sukinsynem, który nie zasługuje na to, by oddychać.

Ruszył na drugą stronę drogi. Zaciągnął się papierosem, po czym posłał w nocne niebo obszerną chmurę dymu. Pospieszył nas, byśmy za nim ruszyli.

– Szybciej, bo nam ucieknie – syknął.

Wymieniłem się z przyjaciółmi znaczącym spojrzeniem. Cała nasza trójka była w tej chwili całkowicie trzeźwa. Przebiegliśmy przez ulicę, by dogonić Jasona i wejść za nim do alejki. Ani Dash, ani Pax nawet się nie wzdrygnęli, gdy skinęliśmy do siebie porozumiewawczo głowami.

Po to tu byliśmy. Przelecieliśmy tysiące kilometrów, by zająć się tym problemem i właśnie nadszedł ten moment. Jason był już prawie na samym końcu zaułka, gdy odwrócił się do nas z głęboko zmarszczonymi brwiami.

– Jesteście bardziej, kurwa, pijani, niż myślałem. Nie ma tu żadnej dziewczyny...

Wyszło pięknie. Cała ta poprzedzająca ściema, potem mój łokieć odciągany do tyłu, dłoń formująca się w pięść, lecąca do przodu... Wielu ludziom już w życiu przywaliłem, i pewnie jeszcze większej ilości przywalę, ale ten prawy sierpowy miał na zawsze zapisać się w mojej pamięci jako Uderzenie Życia.

Gdy kłykcie spotkały się z twarzą skurwysyna, ból wystrzelił wzdłuż ręki, aż po bark. Głowa odgięła mu się do tyłu, odsłaniając spód żuchwy. Poleciał do tyłu jak ścięte drzewo i uderzył o ziemię z potężnym trzaskiem.

– Ałaaaa. Czyżby to była twoja głowa? – zaśmiał się Pax, po czym leniwie oparł się o kruszącą się ceglana ścianę. – Ale dostałeś dzwona, synku.

– Chryste, jego czaszka pewnie przypomina teraz rozwalonego arbuza – oto i brytyjski akcent Dashiella powrócił z pełną siłą.

Rozłożony na ziemi brudnego zaułka pułkownik Jason Stillwater poruszył się nieznacznie, po czym jęknął z bólu. Chyba autentycznie go znokautowałem. Nagle zebrał się do kupy, jakby dopiero odzyskał świadomość. Wymachiwał rękami i nogami w próbie powrotu do pionu. Udało mu się to dopiero po trzech nieudanych próbach. Podniósł się z trudem, cały rozklekotany, jakby w każdej chwili mógł runąć. Oczy błysnęły mu furiją.

– Co do kurwy, dzieciaku? Czy ciebie... – Splunął krwią. Gdy otarł dłonią usta i zobaczył, że jest czerwona, cały posiniał na twarzy. – Czy ciebie pojechało?! Jestem pierdolonym pułkownikiem armii Stanów Zjednoczonych. Nie możesz... Nie możesz tak po prostu mnie, kurwa, uderzyć.

Mechanicznie zsunąłem z ramion skórzaną kurtkę. Wyciągnąłem ją w stronę Dasha, który odebrał ją ode mnie, schludnie poskładał i przełożył sobie przez rękę.

– A jednak właśnie to zrobiłem – zaobserwowałem. – Nie chcesz, żebym cię uderzał, pułkowniku Stillwaterze? No to będziesz musiał mnie powstrzymać, ty chory gnojku.

Zmarszczył brwi, pełny niedowierzania. Niemożliwe, żeby facet z tak parszywym ryjem mógł spłodzić równie piękną dziewczynę. Matka Elodie musiała zapierać dech w piersiach i mieć cholernie mocne geny.

– Nie mam pojęcia, co ty sobie myślałeś, dzieciaku, ale nawet nie wiesz, w co się wpakowałeś. – Sądząc po tonie, Jason musiał uznać, że byłem w jakimś stopniu upośledzony. Nie mieściło mu się w głowie, że ktokolwiek o zdrowych zmysłach poważiłby się na tknięcie człowieka równie ważnego, jak on. – Nikt ci już nie pomoże, popełniłeś poważne przestępstwo. Uszkodzenie własności rządu Stanów Zjednoczonych? Niedobrze. Bardzo niedobrze. Będą cię czekały konsekwencje, gnojku. Nie ma innego wyjścia. Ale... jeśli sam się wydasz policji, potraktuję cię łagodnie. Dam im znać, że byłeś pijany i próbowałeś się popisać przed kolegami. Pewnie skończysz tylko z jakimiś pracami społecznymi.

Boże, co za cudowne uczucie. Jeszcze lepsze, niż się spodziewałem. Ten sam mężczyzna, który zgwałcił i zabił swoją żonę, po czym zgwałcił i pobił swoją córkę, był teraz autentycznie przerażony. Był jebaną bestią napakowaną mięśniami, które stanowiły zwykłą podpuchę. Na moje oko dupek od lat jechał na sterydach. Nie miał żadnej wytrzymałości. Nie potrafił się szybko poruszać. Był ospałym, ciężkim, niezdarnym olbrzymem, który miał zaraz dostać lanie, i dobrze o tym wiedział.

Strzeliłem palcami, przejeżdżając językiem wzdłuż przednich zębów.

– Nie ma mowy, Jason. Nie w tym życiu. – W kilku szybkich, wyćwiczonych ruchach podwinąłem rękawy aż do łokcia, niczym jebany lekarz przygotowujący się do odbycia niezbyt przyjemnej, ale koniecznej czynności. – Mamy jednak czas na rozmowę. Krótką pogawędkę, zanim przejdziemy do rzeczy.

Zrobiłem krok w jego stronę. Dotąd stojący jak kłoda Jason rzucił się w lewo, chcąc precyzyjnie się obok, ale Pax już tam stał i blokował mu drogę. Idiota naprawdę próbował czmychnąć drugą stroną i wpadł prosto w Dasha. Nasza trójka działała jak jedność, tworząc wspólny front. Zgodnie postąpiliśmy do przodu. Nie miał innego wyjścia, jak się wycofać.

– Już po was. Boże, serio nie widzicie, jakie to porabane? Chłopaki, nie możecie tak po prostu zaatakować wysokiego rangą członka armii. Źle się to dla was skończy.

– Widzisz, w teorii jest wiele rzeczy, które nikomu nie powinny ująć na sucho. – Wzniosłem oczy ku księżycowi widocznemu na skrawku nieba obramowanego dwoma budynkami, między którymi znajdowała się alejka. – Na przykład morderstwo. Nikt nie powinien móc kogoś zabić, bez względu na to, jaki ma status społeczny. Nie powinien też móc zgwałcić własnej córki, a następnie więzić ją dniami w skrzyni. Te dwie rzeczy z całą pewnością nikomu nie powinny ująć na sucho.

Oczy Jasona wypełniły się lodowatą grozą. Widziałem to. Czuję też obrzydliwy swąd zwierzęcego strachu. Jeszcze przed chwilą nie miał pojęcia, dlaczego robiliśmy coś takiego, ale teraz już wiedział. Patrzenie na to, jak uświadamiał sobie, że nie ma do czynienia ze zwykłym chuligańskim wybrykiem i zaczynał się miotać, szperać w kieszeniach... to była czysta przyjemność.

– Hej, hej, hej.

Pax zainterweniował. Złapał dupka i wykręcił mu prawą rękę za plecy.

– Nie lubimy telefonów – rzucił mu prosto w twarz. – Byłoby miło, gdybyśmy zachowali tę małą, przyjacielską rozmowę tylko między naszą czwórką. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Włożył dłoń do jego kieszeni, wyłowił komórkę i rzucił na ziemię. Jason się wyrwał i rzucił do urządzenia, ale Pax już je kopnął na drugą stronę alejki, do mnie.

Ciekawe, jakiego typu okropieństwa skrywały się w komórce człowieka takiego jak Jason Stillwater. Mógłbym wziąć ją ze sobą do Stanów i złamać zabezpieczenia. Na bank miał tam jakieś chore gówno, za które na resztę życia wylądowałby za kratami. Nie zamierzałem jednak zostawiać jego losów w rękach prawa. Miał rację. Był na to zbyt potężny. Wojsko wkroczyłoby do sprawy i oczyściło go z wszelkich zarzutów, tak jak wtedy, gdy postrzelił swoją żonę oraz skrzywdził Elodie. Nie. To, jakie grzechy zapisano w pamięci jego telefonu, nie miało żadnego znaczenia. *Sprawię, że zapłaci za to, co zrobił. Upuszczę z niego na tyle krwi, by przykryła wszelkie występki, jakie ukrywał w leżącym u moich stóp iPhone. I nie zatrzymam się na tym.* Jak gdyby nigdy nic położyłem stopę na ekranie, po czym przeniosłem na nią całość swojej wagi. Szkło trzasnęło pod podszewą. Uśmiechnąłem się.

– Słuchaj, cokolwiek ci powiedziała, to kłamstwo. W sensie, Elodie. Bo chodzi o moją córkę, tak? – Jason spojrział do tyłu. Rumiana twarz wyraźnie pobladła, gdy zdał sobie sprawę z tego, że nie miał już gdzie uciec. Trzymetrowa ceglana ściana oddzielała go od wolności. Zaczął się jąkać. – J-jest... zupełnie jak jej matka. Z-zawsze kłamie. Zawsze manipuluje wszystkimi wokół. Nie wie, jak być szczerą. C-cokolwiek ci powiedziała... Czeka!

Spojrzałem na niego spod zmarszczonych brwi. Na mojej twarzy widniał uśmiešek. Wiedział, że było za późno. Negocjacje na nic nie miały mu się już przydać. Nie było takiego kłamstwa, którego wypowiedzenie by go uratowało. Rzuciłem się na niego, a rozsadzająca mnie, przesiąknięta adrenaliną furia, przejęła kontrolę nad moim ciałem.

Nigdy więcej jej nie skrzywdzi.

Nigdy więcej jej nie zagrozi.

Gdy z nim skończę, nie będzie w stanie nawet wydukać jej imienia. Będzie miał szczęście, jeśli będzie je w ogóle pamiętał.

Po pierwszych kilku uderzeniach Jason chyba sobie przypomniał, że byłem tylko siedemnastolatkiem, i zaczął wymachiwać własnymi pięściami. Nie miałem nic przeciwko odrobinie bólu. Pieczenie świeżo otwartych ran na kłykciach, tępe pulsowanie w szczęce, brak tchu... wszystko było tego warte. Tak, jak minutę temu sam powiedział: czyny mają swoje konsekwencje. Byłem gotowy zapłacić tę cenę, jeśli tylko oznaczało to, że ten chory psychopata dostanie to, na co zasłużył.

Gdy zacząłem opadać z sił, mając problemy z przyszpileniem potwora do ziemi, Dash i Pax dołączyli do zabawy i odegrali swoje role w symfonii bólu.

Już po chwili z Jasona Stillwatera została tylko kupa surowego mięsa leżąca w kałuży własnej krwi, pobłyskującej w świetle księżyca.

– Kurrrrrwa! Dobra, stary, już koniec – wysyczał Pax, odciągając mnie od ciała. Nie mogłem odwrócić od niego wzroku. Nie potrafiłem zmusić nóg do posłuszeństwa. Z ust wydobyło mi się parsknięcie maniakalnego śmiechu. Rozniosło się echem po ścianach alejki.

– Wren? Jezu Chryste, odbija mu – usłyszałem Dasha gdzieś zza pleców. – Szybko, podnieś go. Musi zacząć się ruszać.

– Co ty wyprawiasz? – warknął Pax.

– Zgarniam portfel tego skurwiela. Jeśli dobrze to rozegramy, będzie wyglądało na rabunek i... – mówił coś dalej, ale go nie słyszałem. Pax chwycił mnie za rękę i postawił do pionu, ale tego też nie poczułem.

Wszystko, co widziałem, to zakrwawiona, opuchnięta twarz człowieka, który ją skrzywdził. Wszystko, co czułem, to obezwładniająca radość z powodu świadomości, że już nigdy więcej nie miał być w stanie tego zrobić.

Gdy przyjaciele odciągnęli mnie w końcu od zniekształconego, leżącego nieruchomo ciała Jasona Stillwatera, zapaliłem papierosa, którego mi dał.

Palący dym w płucach smakował jak jebane zwycięstwo.

KSIĄŻKI AUTORSTWA CALLIE HART

Chcecie dowiedzieć się więcej o Zethu, Sloane Romerze i detektywie Lowellu?

Seria *The Blood & Roses* jest już dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited. ZA DARMO W RAMACH KINDLE UNLIMITED!

MROCZNE, SEKSOWNE I POKRĘCONE!

„BAD BOY”, KTÓRY POSIĄDZIE TWOJE SERCE I DUSZĘ.

Cała seria *The Blood & Roses* dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

MASZ OCHOTĘ NA ZNIKNIĘCIE W MROCZNYM, POCIĄGAJĄCYM ŚWIECIE BYŁEGO KSIĘDZA, KTÓRY STAŁ SIĘ PŁATNYM MORDERCĄ?

Seria *Dirty Nasty Freaks* dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

UWIELBIASZ HISTORIE Z MROCZNĄ I NIEBEZPIECZNĄ GŁÓWNA BOHATERKĄ? CHCESZ SIĘ DOWIEDZIEĆ, CO PRZYDARZYŁO SIĘ SIOSTRZE SLOANE?

Książka *Dead Man's Ink Boxset* dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

MASZ OCHOTĘ NA OSOBNĄ HISTORIĘ, ALE RÓWNIE EMOCJONALNĄ, MROCZNĄ I POKRĘCONĄ?

Książka *Calico* jest już dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

A MOŻE ZAPIERAJĄCA DECH W PIERSIACH FABUŁA?

Between Here and the Horizon dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

A MOŻE TOCZĄCA SIĘ W NOWYM JORKU HISTORIA O ZŁAMANYM SERCU I NOWEJ MIŁOŚCI, ZE ZDROWĄ PORCJĄ PRZEMOCY?

Rooke dostępna za darmo w ramach Kindle Unlimited!

ZAOBSERWUJ MNIE NA INSTAGRAMIE!

Najlepszym sposobem na to, by być na bieżąco z wszystkimi premierami moich książek, jak i pewnymi BARDZO ekscytującymi, sekretnymi projektami, nad którymi obecnie pracuję, jest zaobserwowanie mnie na Instagramie! Ta aplikacja szybko stała się moją ulubioną formą komunikacji ze światem zewnętrznym – byłoby wspaniale móc cię gościć na moim profilu! Odpowiadam na prywatne wiadomości (choć może mi to zająć trochę czasu) i często publikuję zdjęcia mojego miniaturowego jamnika Coopera. Jak widzisz – same plusy, zero minusów!

@calliehartauthor

Nie mogę się doczekać, aż spędzimy razem trochę czasu!

DEVIANT DIVAS

Jeśli masz ochotę porozmawiać o moich książkach (albo jakichkolwiek książkach), powymieniać się zdjęciami i cytatami swoich ulubionych bohaterów, wziąć udział w różnych zabawach czy rozdaniach – to zapraszam cię do swojej prywatnej grupy na Facebooku!

Nazywamy się *Deviant Divas* i byłoby super, gdybyś do nas dołączyła!

PODZIĘKOWANIA

Musiałam napisać krótką notkę w ramach podziękowania dla paru osób.

Gemmo Sherlock i Kylie Sharp, jesteście pieprzonymi legendami. Udaje wam się trzymać mnie w ryzach, mimo tego jak jestem żenująco niezorganizowana. Kocham Was.

Podziękowania – raz jeszcze – dla Kylie oraz Imogen Wells, Sophie Ruthven, Crystal Solis i Deborah Daken. DZIĘKUJĘ Wam z całego serca za przeczytanie i sprawdzenie pierwszej wersji tego tomiska w tak krótkim terminie. Wiele to dla mnie znaczy i jestem niesamowicie wdzięczna za waszą pomoc.

Na koniec, bardzo dziękuję Wam, drodzy czytelnicy, za przeczytanie tej książki! Nie macie pojęcia, jak ważni jesteście dla nas, jako autorów. Tak się cieszę, że mam Wasze wsparcie! Mam nadzieję, że podobała Wam się historia Elodie i Wrena!

¹ Escher, czyli Maurits Cornelis Escher – holenderski grafik, uchodzący za najbardziej znanego artystę w świecie nauki. Jego prace są inspirowane matematyką i bazują na zjawisku iluzji optycznej, przez co oszukują nasze zmysły, przedstawiając z pozoru niemożliwe formy. Prace Eschera to przede wszystkim wyjątkowa zabawa perspektywą i przestrzenią (przyp. red.).

² Jane Austen – autorka powieści opisujących życie angielskiej arystokracji. Fabuła najczęściej dotyczyła załotów i problemów społecznych związanych z zamążpójściem.

³ DTF – akronim od Down To Fuck, czyli „chętny/a na seks” (przyp. tłum.).

⁴ *Aller en enfer* – z franc. idź do diabła (przyp. red.).

⁵ Mesa – pomieszczenie znajdujące się na jednostce pływającej, służące jako jadalnia, miejsce zebrań załogi, wspólnego wypoczynku, do celów reprezentacyjnych i odpraw urzędowych (przyp. red.).

⁶ Wayfarers – charakterystyczny typ okularów marki Ray-Ban (przyp. red.).

⁷ Byron George Gordon, *Ciemność*, przekład Adama Mickiewicza (przyp. tłum.).

⁸ Edgar Allan Poe, *Kruk*, przekład Stanisława Barańczaka (przyp. tłum.).

⁹ George Gordon Byron, *Kłęska Sennacheryba*, przekład Zofii Trzeszczkowskiej (przyp. tłum.).

¹⁰ Percy Bysshe Shelley, *Do skowronka*, przekład Ludmiły Marjańskiej (przyp. tłum.).

¹¹ Mikrofisze – arkusze błony mikrograficznej zawierające mikroobrazy rozmieszczone w układzie wierszy i kolumn.

¹² Fuga dysocjacyjna – zaburzenie lękowe, ucieczka historyczna. Osoby dotknięte tym schorzeniem uciekają z nieprzyjemnej dla siebie sytuacji w inną rzeczywistość, mają też całkowitą amnezję wsteczną (przyp. red.).

¹³ Akropol – choć słowo to kojarzy się głównie z Atenami, nie odnosi się ono jedynie do zabytku w stolicy Grecji. W starożytności mianem akropolu określało się znajdujące na wysokim wzgórzu osiedle złożone z cytadeli, pałaców i świątyni. Pełniły one różne cele – od obronnych po publiczne i religijne (przyp. red.).

